

PRACE HISTORYCZNO-LITERACKIE

Nr 52

STUDIA I SZKICE

ROZBIORY I KRYTYKI

NAPISAŁ

IGN. CHRZANOWSKI

TOM DRUGI



KRAKÓW — 1939

Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA

PRACE HISTORYCZNO-LITERACKIE

Nr 1.	STANISŁAW PIGOŃ O «KSIĘGACH NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO» A. MICKIEWICZA	Wyczerpane
Nr 2.	PIOTR BAŃKOWSKI MAURYCY MOCHNACKI, JAKO TEORETYK I KRYTYK ROMANTYZMU POLSKIEGO	Wyczerpane
Nr 3.	STANISŁAW SZARSKI MITOLOGIA KLASYCZNA W POEZJI KOCHANOWSKIEGO	Wyczerpane
Nr 4.	WAŁAW BOROWY IGNACY CHODŹKO (ARTYZM I UMYŚLOWOŚĆ)	
Nr 5.	KAZIMIERZ CHODYNICKI POGLĄDY NA ZADANIA HISTORII W EPOCE STAN. AUGUSTA	
Nr 6.	WŁADYSŁAW WŁOCH POLSKA ELEGIA PATRIOTYCZNA W EPOCE ROZBIORÓW	Wyczerpane
Nr 7.	Ks. CEZARY PĘCHERSKI BRODZIŃSKI A HERDER	Wyczerpane
Nr 8.	STEFAN HARASSEK KANT W POLSCE PRZED R. 1830	Wyczerpane
Nr 9.	ALEKSANDER ŚLAPA FRYDERYK SKARBK JAKO POWIEŚCIOPISARZ	Wyczerpane
Nr 10.	ZOFJA GAŚIOROWSKA SŁUŻBA NARODOWA W SPRAWIE ANDRZEJA TOWIAŃSKIEGO	Wyczerpane
Nr 11.	TADEUSZ NEWLIN-WAGNER SŁOWACKI WOBEC ZAGADNIENIA PREDESTYNACJI	Wyczerpane
Nr 12.	JAN GEBETHNER POPRZEDNICZKA ROMANTYZMU (ANNA MOSTOWSKA)	Wyczerpane
Nr 13.	IGNACY GÓRSKI BALLADA POLSKA PRZED MICKIEWICZEM	
Nr 14.	EDMUND RAPPAPORT WAŁAW POTOCKI JAKO SATYRYK	Wyczerpane

OMYŁKI DRUKU

T O M I

Str.	25	w.	4	od dołu	zamiast:	krytyczny	—	Krytyczny
„	44	„	21	„ góry	„	poeów	—	poetów
„	65	„	19	„ „	„	je	—	go
„	66	„	6	„ „	„	wszystkiego	—	wszytkiego
„	67	„	8	„ „	„	ipsssima	—	ipsissima
„	73	„	9	„ dołu	„	im	—	mu
„	88	„	5	„ „	„	pieśni,	—	pieśni
„	94	„	14	„ „	„	nieomylne;	—	nieomylne,
„	95	„	14 i 15	„ „	„	Stefana Czarnieckiego	—	Stefana Czarnieckiego
„	106	„	3	„ „	„	calego, bez	—	calego (bez
„	111	„	5	„ góry	„	Przyjciele	—	Przyjaciele
„	118	„	11	„ dołu	„	zepsuty	—	zepsuty
„	121	„	11	„ „	„	paradia	—	parodia
„	123	„	12	„ „	„	kunstowne	—	kunstownie
„	126	„	15	„ góry	„	mitogią	—	mitologią
„	130	„	7	„ „	„	Thalysia)	—	(Thalysia)
„	131	„	14	„ dołu	„	Kniaźnina	—	Kniaźnina
„	132	„	2	„ góry	„	Erot.	—	Erot.
„	138	„	15	„ dołu	„	spowodu	—	z powodu
„	147	„	2	„ góry	„	nadzieja	—	nadzieja;
„	153	„	2	„ „	„	ani koszyka	—	wykreślić
„	153	„	8	„ „	„	słyszysz	—	słyszysz to
„	176	„	4	„ „	„	przedstawiciele	—	przedstawicie- lem
„	183	„	5	„ dołu	„	zza granicznych	—	z zagranicz- nych
„	184	„	14	„ „	„	o tem	—	o tym
„	188	„	13	„ „	„	literatur	—	literatur)
„	188	„	3	„ „	„	origines	—	origines
„	192	„	2	„ góry	„	mówienia	—	mówienia

Str. 194	w. 13	od dołu	zamiast: poszanowania	—	poszanowaniem
" 195	" 13	" góry	" to	—	to z
" 206	" 5	" dołu	" sentymenalizmu	—	sentymentalizmu
" 216	" 4	" "	" Paryéa	—	Paryża
" 236	" 2	" "	" religi	—	religii
" 243	" 4	" "	" zaśmi	—	zaćmi
" 244	" 1	" "	" 1820	—	1830
" 262	" 7	" "	" z pod	—	spod
" 277	" 7	" "	" któremu	—	który
" 288	" 16	" góry	" z pośród	—	spośród
" 289	" 19	" "	" Cieciszewskiego	—	Cieciszowskiego
" 292	" 9	" dołu	" kości-	—	kości?
" 304	" 14	" góry	" Dziadów	—	<i>Dziadów</i>
" 305	" 5	" dołu	" poezzja	—	poezja
" 306	" 10	" "	" kórzy	—	którzy
" 306	" 3	" "	" z pod	—	spod
" 307	" 18	" "	" <i>Sofoklesa</i>	—	Sofoklesa
" 319	" 1	" góry	" zamłodu	—	za młodu
" 323	" 15	" dołu	" nich	—	nicht
" 326	" 5	" "	" kórzy	—	którzy
" 335	" 6	" góry	" zrębile	—	zrębie
" 348	" 16	" dołu	" z pod	—	spod
" 350	" 15	" "	" nie możliwą	—	niemożliwą
" 354	" 10	" góry	" «Wallenroda»	—	<i>Wallenroda</i>
" 359	" 12	" "	" z pod	—	spod
" 370	" 18	" "	" z przed	—	sprzed
" 375	" 18	" "	" oblota	—	oblata

T O M II

" 331	" 4	" "	" filozofii	—	nowszej filozofii
" 394	" 22	" "	" Życzyński	—	Żywczyński

STUDIA I SZKICE LITERACKIE

PRACE HISTORYCZNO-LITERACKIE

1. STANISŁAW PIGOŃ. O «Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego» A. Mickiewicza. Wyczerpane.
2. PIOTR BANKOWSKI. Maurycy Mochnacki, jako teoretyk i krytyk romantyzmu polskiego. Wyczerpane.
3. STANISŁAW SZARSKI. Mitologia klasyczna w poezji Kochanowskiego. Wyczerpane.
4. WACŁAW BOROWY. Ignacy Chodźko (Artyzm i umysłowość).
5. KAZIMIERZ CHODYNICKI. Poglądy na zadania historii w epoce Stanisława Augusta.
6. WŁADYSŁAW WŁOCH. Polska elegia patriotyczna w epoce rozbiorów. Wyczerpane.
7. Ks. CEZARY PECHERSKI. Brodziński a Herder. Wyczerpane.
8. STEFAN HARASSEK. Kant w Polsce przed r. 1830. Wyczerpane.
9. ALEKSANDER ŚLAPA. Fryderyk Skarbek, jako powieściopisarz.
10. ZOFIA GĄSIOROWSKA. Służba narodowa w Sprawie Andrzeja Towiańskiego. Wyczerpane.
11. TADEUSZ NEWLIN-WAGNER. Słownicki wobec zagadnienia predestynacji. Wyczerpane.
12. JAN GEBETHNER. Poprzedniczka romantyzmu (Anna Mostowska).
13. IGNACY GÓRSKI. Ballada polska przed Mickiewiczem.
14. EDMUND RAPPAPORT. Wacław Potocki, jako satyryk.
- 15—16. ZOFIA REUTT-WITKOWSKA. Studia nad utworami dramatycznymi Korzeniowskiego. Część pierwsza i druga.
17. TADEUSZ MITANA. Religijność Skargi (studium psychologiczne).
18. ZOFIA REUTT-WITKOWSKA. Studia nad utworami dramatycznymi Korzeniowskiego. Część trzecia.
19. MICHAŁ DADLEZ. Pope w Polsce w XVIII wieku.
20. STANISŁAW SAPIŃSKI. Badania źródłowe nad Kazaniami niedzielnymi i świątecznymi Skargi.
21. ADAM BAR. Charakterystyka i źródła powieści Kraszewskiego.
- 22—23. STEFAN HARASSEK. Józef Gołuchowski. Zarys życia i filozofii.
24. JÓZEF LYTKOWSKI. Józef de Maistre a Henryk Rzewuski.
25. JULIAN KRZYŻANOWSKI. Romans pseudohistoryczny w Polsce wieku XVI.
26. JULIUSZ KIJAS. Kaczkowski, jako współzawodnik Sienkiewicza.
27. MIECZYSLAW BRAHMER. Petrarkizm w poezji polskiej XVI w.
28. STEFANIA ZDZIECHOWSKA. Stanisław Brzozowski, jako krytyk literatury polskiej.
29. JAN DIHM. Niemcewicz, jako polityk i publicysta w czasie Sejmu Czteroletniego.
30. EUGENIUSZ KORECKI. Ze studiów nad źródłami «Zwierciadła» Reja.
31. WŁADYSŁAW SZCZYGIEL. Źródła «Rozmów Artaxesa i Ewandra» Stanisława Herakliusza Lubomirskiego.
32. WŁADYSŁAW BOBEK. «Argenida» Wacława Potockiego w stosunku do swego oryginału.
33. ST. SPLAWIŃSKI. «Farsalia» Lukana w przekładach polskich XVII w.
34. IGNACY FIK. Uwagi nad językiem Cypriana Norwida.
35. SŁAWOMIR CZERWIŃSKI. Elżbieta z Krasieńskich Jaraczewska.
36. JÓZEFA WAGNERÓWNA. «O Wolnym Malarstwie w Polsce» (Niemcewicz).
37. RÓŻA FISCHERÓWNA. Samuel Twardowski, jako poeta barokowy.
38. TADEUSZ PASIERBIŃSKI. Hieronim z Moskorzowa Moskorzowski.
39. WIKTOR WEINTRAUB. Styl Jana Kochanowskiego.
40. IRENA TUROWSKA-BAROWA. «Zabawy przyjemne y pożyteczne».
41. JULIUSZ NOWAK. Satyra polityczna Sejmu Czteroletniego.
42. TADEUSZ MIKULSKI. Ród Zoiłów.
43. ZYGMUNT LEŚNODORSKI. Lucjan w Polsce.
44. APOLONIA ZALUSKĄ. Poezja opisowa Delille'a w Polsce.
45. RYSZARD WROCZYŃSKI. Idee dramatów Świętochowskiego.
46. HENRYK BARYCZ. Geneza i autorstwo «Equitis Poloni in Iesusitas Actio Prima».
47. JULIUSZ NOWAK. Satyra polityczna Konfederacji Targowickiej i Sejmu Grodzieńskiego.
48. JÓZEF SPYTKOWSKI. Barwy, kształty i ruch w «Królu-Duchu».
- 49—50. MARIA OSTROWSKA. T. T. Jeż (Zygmunt Miłkowski), życie i twórczość.
- 51—52. IGNACY CHRZANOWSKI. Studia i szkice. Rozbiory i krytyki.

PRACE HISTORYCZNO-LITERACKIE

Nr 52

STUDIA I SZKICE

ROZBIORY I KRYTYKI

NAPISAŁ

IGN. CHRZANOWSKI

TOM DRUGI



KRAKÓW — 1939

Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA

«GODZINA MYŚLI»
(Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

I

Słusznie powiedziano o *Godzinie myśli*, że poetyczniejszej autobiografii nie ma w poezji całego świata (1). Bo, że ten poemat jest autobiografią, to nie ulega wątpliwości; wiemy to przecie od samego poety, który dnia 15 marca roku 1833 pisał do matki o trzecim tomie swych *Poezycji*: «Na końcu... umieszczam poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo».

Wobec tak wyraźnego świadectwa, nie trudno, jeżeli się zna biografię Słowackiego, określić, które szczegóły poematu są wzięte z życia. Owo «piękne rodzinne miasto», które «wieżami wytryska z doliny, wąskim nieba nakrytej błękitem», to Krzemieniec, — tym pewniej, że jedną z gór, otaczających dolinę, nazwał Słowacki po imieniu.

Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem.

Gród litewski, w którym się uczyło dwoje dzieci, to Wilno. Młodsze z dzieci, z czarnymi oczami, to młody Juliusz Słowacki — najprzód w szkołach, potem w uniwersytecie, — od młodości marzący o sławie poetyckiej i od młodości żyjący raczej marzeniami poetyckimi, aniżeli rzeczywistością. Te marzenia to jakby pierwszy rozdział autobiografii.

Treścią drugiego jest przyjaźń dziecka młodszego ze starszym, które «włos miało jasny, kolor oczu lazurowy». Że jest to przyjaciel lat szkolnych Słowackiego, Ludwik Spitznagel, to widać choćby tylko z tego, że w pamiętniku swoim, pisany

(1) Tadeusz Grabowski: Juliusz Słowacki, I, 157 (wyd. drugie).
Studia i szkice II



w Dreźnie, opowiada Słowacki, że mu Spitznagel wpisał w sztambuch dziecinny ten czterowiersz:

Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w drogiej przeszłości się stawiał,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił:
Jak przeszłość, zniknął, jak przeszłość — nie wróci.

Otóż ten sam czterowiersz wpisuje przyjaciel przyjacielowi i w *Godzinie myśli*, z jedną tylko drobną zmianą — przeszłości «drogiej» na «złotą».

Treścią rozdziału trzeciego jest miłość — dziecka z czarnymi oczami ku dziewczycy z czarnymi oczami; tą dziewczicą-aniółem jest, oczywiście, panna Ludwika Śniadecka.

Akcja poematu obejmuje (formalnie przynajmniej) lat trzy: toteż na początku mowa o dwojgu dzieciach, przy końcu — już o dwóch młodzieńcach.

Kończy się poemat podwójną katastrofą, która stanowi rozdział czwarty, — tj. rozstaniem się młodzieńca o czarnych oczach z «aniołem snów dziecinnych» i wiadomością o samobójstwie młodzieńca o lazurowych oczach.

«Oto jest romans życia, nie skłamany w niczym», mówi poeta w zakończeniu. Czy tak jest naprawdę? Czy *Godzina myśli* jest autobiografią zupełnie wierną? Jeżeli się porówna poemat ze wspomnianym pamiętnikiem, to łatwo będzie spostrzec, że rozstanie się Słowackiego z panną Śniadecką miało przebieg nieco inny: odbyło się nie na tak poetycznym tle, jak w poemacie, nie o wschodzie księżyca, nie w ciemnej dębowej ulicy, itd. I jeszcze: z *Godziny myśli* możnaby mniemać, że o samobójstwie Spitznagla dowiedział się Słowacki dopiero w dzień zerwania z panną Śniadecką (1); w rzeczywistości tymczasem samobójstwo Spitznagla zaszło w lutym roku 1827, a zerwanie z panną Śniadecką — w czerwcu roku 1828. Skupił Słowacki te dwa wypadki w jednym dniu — ze względów artystycznych, dla wywołania silniejszego efektu, podobnie jak ze względów artystycznych zmienił tło, na którym się odbyło rozstanie.

W ogóle, przy całym swoim charakterze autobiograficznym, *Godzina myśli* jest nie pamiętnikiem, tylko p o e z j ą, na

(1) «Wydobył pismo, całą zamkniętą pieczęcią».

którą oprócz prawdy, oprócz «romansu życia», złożyło się także zmyślenie. Czy do dziedziny zmyślenia nie należy także czasem szczegół o lekturze Swedenborga? czy istotnie pisma jego czytał Słowacki już w dzieciństwie, już jako uczeń gimnazjum wileńskiego? W pamiętniku młodości i w korespondencji głucho o tym zupełnie; nie należy więc wcale do niemożliwości, że Swedenborga poznał Słowacki dopiero później, może dopiero w Paryżu, i że swoje późniejsze wrażenia wstawił w ramy poematu o młodości (1).

Nie dosyć na tym. Mówi Słowacki w *Godzinie myśli*:

..... Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie;
Wyobraźnia złotymi rozkwitała farby
I kładła się, jak tęcza, na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga.
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom, lecz, by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Milтона,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Słowa te zawierają w sobie charakterystykę własnej poezji Słowackiego (2), przy czym w słowach: «gmach budował niedowiarstwem ciemny» bardzo słusznie domyślano się (3) aluzji do znanego sądu Mickiewicza, że poezja Słowackiego to wspaniały kościół bez Boga; jeżeli tak, to przytoczone wiersze odnoszą się nie tyle do młodocianych rojeń Słowackiego w Wilnie, ile do jego późniejszych poezyj. Tłumaczy się tu poeta (w roku 1833), dlaczego jego dotychczasowa poezja była tak smutna: nie on temu winien, tylko ta, którą kochał w młodości, a z którą się rozstać musiał. «Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste, jak diamentowe źródło, i tak wonne, jak lilia wiosenna...»

Nie wolno więc na *Godzinę myśli* patrzeć, jako na wierne odbicie dzieciństwa i wczesnej młodości Słowackiego: obraz

(1) Por. Grabowski, j. w. 158. — (2) Kleiner, Juliusz Słowacki, I, 270. Kridl w Bibliotece Narodowej (Seria I, nr 47), str. 232. — (3) Treściak, Juliusz Słowacki, I, 62.

jest nie tylko upiękaszony przez zmyślenie poetyckie, ale także zalamany w pryzmacie późniejszych myśli i uczuć. I, jeżeli poeta mówi, że w latach młodzieńczych «przed sobą przyszłości postawił zwierciadło i rzucał w nie obecne chwile», to z równą słusnością powiedzieć by można, że tworząc *Godzinę myśli*, Słowacki postawił przed sobą zwierciadło przeszłości, tj. wspomnienia lat młodych, i rzucał w nie «obecne chwile», tj. późniejsze myśli i uczucia. Tym sposobem czas akcji tego poematu, właściwie mówiąc, obejmuje dużo więcej, niż trzy lata: jest to autocharakterystyka nie tylko ранней молодости, ale i czasów późniejszych, i one to właśnie zabarwiły wspomnienia młodości, rzucając na nie swój smutny cień. Cały zaś początek poematu jest obrazem nie ранней молодости, lecz jedynie czasów późniejszych:

Gluche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczerzy,
Są hymnem tego świata — a ten hymn posepny,
Zbłąkanymi głosami wiecznie wiebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery,
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.

Pesymizm to beznadziejny i... metafizyczny: zło panuje nie tylko na ziemi, ale łączy także harmonię niebios. Prawda, już w młodości był w sercu Słowackiego głęboki smutek, ale się jeszcze nie skryształizował w doktrynę filozoficzną.

Czy jest jakie lekarstwo na ten pesymizm?

Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Ta cisza marzeń o chwilach, prześnionych w młodości, była Słowackiemu pociechą w latach późniejszych, — i ta właśnie cisza wykołysała *Godzinę myśli*: ulgi w głębokim smutku szukała dusza poety we wspomnieniach młodości oraz w ich poetycznym przekształcaniu, w ich zabarwianiu współczesnym stanem uczuciowym.

II

Źródło formy *Godziny myśli* szukano w dwóch utworach Byrona: w *Śnie* i w *Skardze Tassa*. Że obydwa te utwory Sło-

wacki znał, to nie ulega wątpliwości; a i na to nie podobna się nie zgodzić, że ze *Snem* łączy *Godzinę myśli* pokrewieństwo dosyć bliskie, a ze *Skargą Tassa* — dalekie (1). Lecz w nierównie bliższym pokrewieństwie niż ze *Snem* jest *Godzina myśli* z utworem polskim, którego autora Słowacki bardzo wysoko cenił; utworem tym jest drugi z *Dwóch fragmentów* Józefa Korzeniowskiego (2), pisany pod wpływem *Snu* Byrona.

..... We śnie, czy na jawie,
Widziałem dwóch młodzieńców. Z serca i urody
Podobni, biegli w życiu różnymi zawody.
Siłami lat młodzieńczych, z mętnej gminu fali,
Z okiem w górę patrzącym, wcześniej wypływali
I z sercem pełnym wiary wyciągali dłonie
Do wielkości, do chwały.

Po tym wstępie zaczyna się opowieść o pierwszym z dwóch bezimiennych młodzieńców: opuścił kraj, party żądzą rzemiosła rycerskiego, i walczył na obcej ziemi; po latach, smutny i zbolący, powrócił pod dach rodzinny.

Tu przerywa Korzeniowski historię pierwszego młodzieńca, aby opowiadać o drugim, który się poświęcił nauce filozofii i historii, oraz poezji:

Czasem silną dumania wiedziony potrzebą,
Kiedy ziemia spoczywa, on sam patrzy w niebo
I tam szuka natchnienia; tam znajduje szaty
I farby, w które ziemskie przyodziewa światy;

(1) Kleiner, j. w. I, 262. — (2) Gdzie się ten fragment ukazał po raz pierwszy w druku, tego autorowi tego szkicu dojść się nie udało. W każdym razie ogłosił go Korzeniowski drukiem — nie dopiero w r. 1849 (Powiastki, opowiadania i dwa fragmenta poetyckie) — tylko już w «okresie krzemienieckim», t. j. w epoce Anieli, Mnicha, Dymitra i Marii, Pięknej kobiety (ob. Widman, Józef Korzeniowski, Lwów 1868, str. 35), — w jakimś czasopiśmie albo almanachu. Lewestam we wstępie do wydania zbiorowego podaje za Wóycickim (na którym dopuścił się plagiatu), że drugi Fragment był drukowany w jakimś «piśmie zbiorowym wileńskim», ale jego tytułu nie przytacza. Chmielowski (Nasi powieściopisarze) pisze, że Dwa fragmenta były drukowane w dwóch rocznikach Meliteli (1829 i 1830); wiadomość to niezgodna z prawdą: w roczniku 1830 jest wprawdzie Fragment pierwszy, ale w roczniku 1829 niema drugiego Fragmentu.

Stamtąd ogień porwany w pierś swych istot leje,
I wtenczas, jak skowronek, gdy wiosna powieje,
Wylewa młode czucie tony tym śmielszemi,
Im się wyżej podnosi, im dalszy od ziemi.

Myśl jego, zabłąkana na dalsze bezdroże,
Żąda więcej od ziemi, niż ziemia dać może.

Tutaj znowu zachodzi zmiana w scenach widzenia poety. Młodzieniec-wojownik ukazuje się na jakimś świetnym zebraniu towarzyskim w «gmachu wspaniałym wśród wielkiego miasta»; poznaje tutaj «piękną kobietę», która «niedawno była tańców i biesiad królową». «Uciekli z wrzawy miasta», pobrali się, ale cóż, — on uprzykrzył sobie niebawem ciche życie na wsi, znowu uciekł z kraju i wstąpił do szeregów napoleońskich. A ona? ona z rozpaczyny dostała pomieszania zmysłów:

..... W zapomniane stroje
Zaczęła się przybierać — śmiała się, mówiła
O kochanku, o szczęściu, często pieśń nuciła
Wesela, — lecz słuchacze płaczący i smutni
Poznali, że to głosy rozstrojonej lutni.
Zamknięto ją nareszcie.

Teraz następuje ciąg dalszy historii drugiego młodzieńca: i on poznał kobietę, młodą dziewczynę, która była «życiem ojca i rozkoszą matki» i która go pokochała, zanim go poznała, — bo czytała jego poezję i myślała sobie, że kto jest poetą słowa, ten będzie także poetą życia:

Siedząc, wsparta na dłoni, ilekroć myślała:
Jak ognistą być musi ta wymowna dusza,
Co tak rzewnie zasmuca, tak rozkosznie wzrusza!
Często w tęsknych rojeniach postać jego marzy,
Sen jej nawet wykreślał rysy jego twarzy.
Ujrzała go nareszcie. — Jak jej serce biło!
Westchnienie ją wydało i oko zdradziło.
Obaczył on ten uśmiech, co współ jaśniej
Ze łzami i lekliwe ośmiela nadzieję;
Zbliżył się i ukoil drżącą od bojaźni,
Zdało mu się, że znalazł twór swej wyobraźni,
Pokochał ją...

Lecz i oni nie byli z sobą szczęśliwi, albowiem «on jej serca nie pojął, ona — jego głowy». I oto on uciekł za granicę, pod włoskie niebo, a ona umarła z rozpaczyny.

«Lat kilka upłynęło». Spotkali się dwaj młodzieńcy, a raczej już dwaj mężowie, w Rzymie, w Kolizeum, podczas nocy księżycowej. Patrząc na ruiny gmachu, «zadrżeli mimowolnie», bo one przypomniały im... ruiny własnej przeszłości. Wrócili potem do kraju, ale szczęścia nie zaznali już nigdy.

Pierwszy pod jakieś smutne mury się przyciska,
Skąd słyzy pieśń wesela, co mu lzy wyciska.
Drugi, wsparty na krzyżu, który grób ocienia,
Rozmyśla o przeszłości i słucha — milczenia.

* * *

Cóż jest cieniem? co prawdą? — Tu koniec powieści.
Dla jednych nie bez myśli, dla wielu — bez treści.

Jeżeli teraz, po streszczeniu *Fragmentu*, porównamy z nim *Godzinę myśli*, to spostrzeżemy wręcz uderzające podobieństwa zarówno w treści, jak w technice poetyckiej.

Treścią obu utworów jest smutna historia dwóch młodzieńców, którzy się wyróżniali spośród swych towarzyszy: jak młodzieńcy Korzeniowskiego «z mętnej gminu fali, z okiem w górę patrzącym, wcześniej wypływali», tak w poemacie Słowackiego na ławie szkolnej «siedziało dwoje dzieci — niezmiészani w tłumie». Bohaterowie obu poetów obrali sobie różne zawody, i u obydwóch jeden z bohaterów jest poetą: jak we *Fragmentie* «drugi młodzian» «żyje myślami — lepsze światy lepszymi zaludnia tworamami», tak w *Godzinie myśli* «dziecko z czarnymi oczami» «natchnieniom dało myśl skrzydlatą i wypadkami myśli żyło w siódmym niebie». Bohaterowie obu poetów mają złamane życie.

Co się tyczy techniki poetyckiej, to w obydwóch poematach o losach dwóch młodzieńców opowiada ktoś trzeci, który ich znał, który ich widział. Tu i tam narrator zrazu opowiada o obydwóch młodzieńcach, potem osobno to o jednym, to o drugim, i przy końcu dopiero na nowo łączy z sobą ich losy. Tu i tam akcja trwa lat kilka — od dzieciństwa do wieku dojrzałego. A i zakończenie *Fragmentu* przypomina trochę za-

kończenie *Godziny myśli* — o tyle, że obydwie są jakby konkluzjami z dwóch opowieści.

Podobieństwa te upoważniają, jeśli się nie mylimy, do mniemania, że w genezie *Godziny myśli* odegrał *Fragment Korzeniowski* rolę — co najmniej pobudki i wzoru, i to wzoru treści zarówno, jak formy. Mając jednak zupełną świadomość odrębności swego utworu, rozmyślnie przeciwstawił się Słowacki Korzeniowskiemu — w zakończeniu. Korzeniowski nie rozstrzyga, co w jego utworze jest cieniem, a co prawdą: Słowacki mówi o swoim utworze, że jest to «romans życia, nie sklamany w niczym»; koniec *Fragmentu* jest zarazem «końcem powieści»: *Godzina myśli* tymczasem to «powieść nieskończona». Jej dalszym ciągiem będzie *Kordian* (1).

III

A teraz zapomnijmy i o genezie i, jakkolwiek nie jest to rzeczą łatwą, o tym, że *Godzina myśli* jest poetyczną autobiografią Słowackiego, i rozpatrzmy ten poemat jedynie ze stanowiska jego wartości ideowych i estetycznych — tak, jak gdyby się nie wiedziało, że jego autorem i głównym bohaterem jest sam Słowacki.

W duszę narratora *Godziny myśli* głęboko wżarł się smutek, który silnie i wyraźnie bije ze wstępu do poematu: snuje tutaj narrator swoje własne refleksje, mówi o sobie, nie o dwojgu dzieciach, które znał od ławy szkolnej. Związek tego wstępu (obejmującego wierszy 46) z powieścią polega na tym, że historia dwojga dzieci jest ilustracją zawartego we wstępie pesymistycznego poglądu, iż «hymnem tego świata» są «głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczerzy». Zakończenie w zupełności harmonizuje z tym pesymizmem:

Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconym na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny...

(1) Że w genezie *Godziny myśli* ważną rolę mogła odegrać także powieść Balzaka *Louis Lambert*, wykazał Henryk Życzynski w rozprawie J. Słowackiego «*Godzina myśli*» (*Pamiętnik Literacki* XXII—XXIII, 1925/26).

Jedno i drugie dziecko cierpi, albowiem jedno i drugie jest chore: «oba wątłej postaci, marmurowo biali». Lecz od choroby ciała gorszą jest choroba ducha: dzieci mają chorą wyobraźnię, — nie wystarcza im teraźniejszość i codzienność, jak dzieciom normalnym; one odczuwają ustawicznie jakiś brak, jakąś pustkę duchową, którą zapełniają rojeniami swojej chorej wyobraźni, podsycanej jeszcze lekturą ksiąg mistycznych Swedenborga. Z przedziwną subtelnością, za pomocą drobnych a znamiennych szczegółów uobrazą *Godzina myśli* zarówno to poczucie pustki duchowej dwojga dzieci, ich niezadowolone z rzeczywistości, jak rojenia ich wyobraźni: podczas lekcyj szkolnych, na wiosnę, słuchają «szmeru rosnących kwiatów», a w zimie tęsknią do wiosny; lecz woń sosny i kwiatów nudzi ich, więc «wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną: była to woń wierzbami oplakanej wody». Krótko mówiąc, obydwaj uciekają od rzeczywistości, środkiem zaś do tej ucieczki jest nie tylko pogoń za nowymi, nie pospolitymi wrażeniami, ale także sięganie pamięcią, a raczej chorą wyobraźnią, w daleką, daleką przeszłość — w epoki życia, które poprzedziły życie obecne, ziemskie, oraz — w przyszłość:

A przecuciami życie widzieli do grobu,
I nie ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem.

Takich dzieci i w ogóle takich ludzi nie miała poezja polska przed *Godziną myśli*; nawet we własnej poezji Słowackiego jest ten poemat nowością: bohaterowie jego wcześniejszych powieści poetyckich byli pokłóceni ze światem, męczyli się i cierpieli, ale nie mieli duszy chorej od urodzenia: tymczasem bohaterowie *Godziny myśli* urodzili się chorzy. Istotę i rodzaj tej choroby scharakteryzowali dokładnie i szczegółowo dwaj pisarze francuscy — Lasserre i Seillière: jest to *le mal romantique*. Bo romantyzm, jako reakcja przeciwko jednostronności wielkiej kultury oświecenia, może być zdrowiem, ale może być i chorobą. Romantyzm *Ody do młodości* jest zdrowiem: niezadowolone z rzeczywistości, a zwłaszcza nienawisć samolubstwa, rodzi w młodym, gorącym i szlachetnym sercu święty zapal do ruszenia z posad bryły świata; romantyzm *Konrada Wallenroda* jest także zdrowiem: rozpacz

w duszy bohatera na widok niewoli narodu pobudza go do czynu, mającego na celu wolność ojczyzny; romantyzm czwartej części *Dziadów* jest — w swym ostatecznym bilansie — także zdrowiem, bo choroba romantyczna (zaślepienie i wyłączna miłość kobiety) nie kończy się ani dziką rozpaczą, ani samobójstwem, tylko uleczeniem chorego. Tymczasem romantyzm *Godziny myśli* jest — od początku do końca — chorobą.

Lecz zbyt złożonym zjawiskiem był romantyzm, aby jego objawy mogły nie być rozmaite. Więc dwaj bohaterowie *Godziny myśli*, pomimo że obydwa odczuwają pustkę życia i obydwa mają zbyt wybujałą, chorobliwą wyobraźnię, są jednak różni od siebie (1), i tę różnicę uwydatnia *Godzina myśli* nie mniej subtelnie, jak podobieństwa.

Jeden tedy młodzieniec, niezadowolony z rzeczywistości, pragnie urzeczywistnić swoje zadające jej kłam marzenia, nadać ciału posągom swojej myśli, nie umiając odosobnić jej wytworów od rzeczywistości:

Nigdy od krain myśli nie odłamał życia,
Sprzągl razem i powiązał dwa niezgodne światy;

albo raczej: chciał tylko je sprząc i powiązać, ale — nie umiał. Nie umiał zaś dlatego, że nie był poetą, albo, jeśli kto woli, był poetą tylko w duszy, nie był poetą słowa, bez którego nie ma poezji: «Niech mi świat da poezję — dać mu jej nie mogę». Zabłysła mu w duszy nadzieja, że świat da mu poezję, uśmiechnęła mu się podróż na wschód, i obiecywał sobie, że tam wszystko zobaczy, co wykołysała jego dusza, więc całe trzy lata poświęcił nauce języków wschodnich, lecz kiedy się ich nauczył, kiedy miał już jechać, nagle uświadomił sobie, że na wschodzie są «kraje bez zim i wiosen», że więc i wschód nie da mu wszystkiego, o czym marzył, — i odebrał sobie życie. Choroba romantyczna była śmiertelna...

Choroba romantyczna drugiego młodzieńca nie była śmiertelna — dlaczego? Dlatego, że był poetą nie tylko w duszy, ale i poetą słowa, że więc mógł dokonać tego, na co się pierwszy młodzieniec zdobyć nie umiał: odłamał życie od krain

(1) Por. Kleiner, jw., I, 263, nast.

myśli, «sprzągl razem i powiązał dwa niezgodne światy» — właśnie w słowie, w twórczości:

.....marzenia stroił czarnoksiężską szatą,
A potem silną wolą rzucił je przed siebie,
I stawaly — i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem,
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy...

Przecucie go nie zawiodło: dał marzeniom wyrazy, i poezja właśnie była mu lekarstwem na pustkę w duszy: niezadowolony ze świata rzeczywistego, stworzył sobie świat inny, którego był władcą i panem. Spotkało go nieszczęście: zawód w miłości; «serce, jak kryształ, w setne poryło się skazy», ale bić nie przestało; owszem, te skazy serca posłużyły mu za materiał do poezji: «wszystkie czucia skarby ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie». Prawda, gmach tej poezji był smutny, «niedowiarstwem ciemny», «nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga»: ale poeta ocalał, nie odebrał sobie życia i... może z czasem będzie budował inne, jaśniejsze, gmachy poezji, bo przecie «po-wieść nieskończona»...

Cóż więc jest idea *Godziny myśli*? To, że poezja jest dla chorych dusz (pewnego typu) nie tylko pocieszycielką, ale i żywicielką, że ona zachowuje przy życiu tych, którzy są poetami słowa; czyli inaczej: twórczość poetycka jest dla poetów najsilniejszą sprężyną, alfą i omegą życia, racją ich bytu. Przemówiła tutaj filozofia romantyczna, która podniosła poezję do godności i wysokości siły twórczej.

Że przez taką ideę, *par excellence* romantyczną, *Godzina myśli* nie ma w sobie tej powszechności, tego ogólnoludzkiego charakteru, co, dajmy na to, *Oda do młodości* albo *Konrad Wallenrod*, zbytecznie mówić: jest to utwór, który mógł powstać tylko w epoce romantyzmu i jest obrazem pewnej swoistej psychiki tylko tej epoki.

Lecz wznosi się *Godzina myśli* na wyżyny ogólnoludzkiej poezji — przez swoje piękno. Niezmiernie jasna, iście klasyczna przejrzystość kompozycji, ułatwiająca ogarnienie całości poematu (co jest jednym z naczelných warunków głębokiego odczuwania estetycznego); subtelność i plastyka charakterystyki; prostota stylu i języka, piękno przenośni i porów-

nań (1), — to wszystko częściowo jedynie tłumaczy nam siłę wrażenia, jakie ten poemat na czytelniku wywiera. A i harmonia pomiędzy smutną treścią a ciemnym tłem («ciemna szkolna sala», «bory ciemne», «gwiazdy gasnące», «księżyc błady») także nie wyjaśnia całkowicie dziwnego uroku, więjącego z tej powieści. Główna tajemnica uroku tkwi w swoistym stosunku uczuciowym narratora (poety) do swoich bohaterów, do dwojga chorych dzieci, w głębokim, choć bezpośrednio nie wypowiedzianym, współczuciu względem nich i — więcej może — w podziwieniu dla ich poetyczności. Ten stosunek uczuciowy poety względem swoich bohaterów należy do typu *sentymentalnego*: poeta pieści się z ich uczuciami, z ich chorobą, z ich nieszczęściem; to prawda: lecz i sentymentalizm może przecie być wielką poezją, — jeśli poeta jest wielki. Sentymentalizm ma to do siebie, że przystraja uczucia w kwiaty wyobraźni; otóż właśnie te kwiaty *Godziny myśli* są cudowne — nade wszystko w opisie rozstania się młodzieńca z dziewczę-aniółem. Że «dziecko z czarnymi oczami» otacza poeta większym współczuciem, że się więcej z nim pieści, aniżeli z dzieckiem o oczach lazurowych, to jasne: dziecko z czarnymi oczami to przecie on sam!

I jedno jeszcze. W *Trenach* Kochanowskiego są cztery wiersze, będące największą może z ich wszystkich piękności:

Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde:
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.

Nic rzewniejszego Kochanowski w życiu swoim nie napisał. W *Godzinie myśli* jest sześć wierszy tak prostych, tak w swoim uczuciu silnych, tak już nic nie sentymentalnych, że rzewniejszych nie ma chyba w całej poezji Słowackiego:

Ludzie nieraz: «On umrze», mówili przed matką;
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy

(1) Charakterystykę stylu powieści poetyckich Słowackiego (aż do *Lambra* i *Godziny myśli* włącznie) podał Kridl w doskonałym studium, poprzedzającym ich wydanie w Bibliotece Narodowej, jw.

I przeczyła z uśmiechem — lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i, myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: «Niech się dzieje wola Boga».

Miał słuszość Słowacki, kiedy pisał do matki: «Zwłaszcza to wyrażenie: Mama powtarza: niech się dzieje wola Boga, ja zaś, wspomniawszy na ciebie, nie zdolną do wyrzeczenia słów tych etc..., jest ogromnym wyrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa i Bogu nawet, jeżeli by go miał zabić, broni». Ale nie miał słuszości, kiedy pisał, że tę myśl, którą «ukradł» z listu matki, «znacznie osłabił w wierszu». Bo czy w poezji całego świata wiele jest wyrazów miłości macierzyńskiej, tak prostych i zarazem tak pięknych, jak te sześć wierszy?

SPISEK KORONACYJNY W «KORDIANIE»

(Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

I

Sprawa tak zwanego «spisku koronacyjnego» (która to nazwa figuruje na karcie tytułowej *Kordiana*) jest «po dziś dzień kwestią sporną» (1), a przynajmniej należy nie wyjaśnioną. Niektórzy nawet podają w wątpliwość, czy istotnie planowano jakiś zamach na życie Mikołaja, kiedy ten dnia 17 maja 1829 r. przybył do Warszawy na koronację (która się odbyła dnia 24) (2). Wątpliwości te jednak nie mają, jak wolno mniemać, podstawy. Przypatrzmy się znanym dotychczas źródłom.

Biorąc formalnie, pierwszą drukowaną wiadomość o Spisku Koronacyjnym podał w paryskim *Pamiętniku Emigracji* z dnia 5 sierpnia roku 1832 Aleksander Łaski, oficer grenadierów, wychowaniec warszawskiej Szkoły Podchorążych, w artykule *Uwagi nad początkiem rewolucji polskiej z powodu pierwszych rozdziałów nowego dzieła doktora Spazier* (3). Opowiada autor, że «kilku podoficerów ze Szkoły Podchorążych, jeszcze przed rokiem 1828, odważyło się na rzecz wielką, straszną, ale pewną; zamiar ich olbrzymi olbrzymie też zwiastował skutki; podczas koronacji miano go wykonać; ...szła gra

(1) Askenazy, Na marginesie *Kordiana* w *Kwartalniku Historycznym* XVI, 598). Toż (uzupełnione) w *Nowych wczasach*, Warszawa 1910, str. 260. — Por. Br. Pawłowski, O *Kordianie* uwag parę w *czasopiśmie Na ziemi naszej*, 1909, nr 21. — Tenże, *Legenda czy fakt historyczny?* (*Kurierze Warszawskim* z dnia 3 lipca r. 1910). — (2) Tymoteusz Lipiński, *Zapiski z lat 1825—1831*, Kraków 1883 (wydał Kazimierz Bartoszewicz), str. 141. — (3) Całkowity przekład dzieła *Spazier* (*Historia powstania narodu polskiego w roku 1830 i 1831*) ukazał się w Paryżu (Lipsku) w r. 1833.

o całą Słowiańszczyznę: od Newy po Odrę byłaby się rozwijała krwawa walka, rozpoczęta na Placu Saskim ofiarą Pomazańca i całej jego rodziny». Mówi dalej Łaski, że «Szkoła Podchorążych z ostrymi ładunkami oczekiwała świtu owego dnia, w którym miało zostać nieprawdą sławne i rzetelne w dziejach naszych przysłowie, że Polak rąk swoich nigdy nie zmywał krwią panującego». Jednakże spiszek spełnił na niczym, jak mówi Łaski, «za sprawą mdłych duchów», to jest dyplomatów i polityków; ci bowiem, kiedy się im młodzi spiskowcy zwierzyli ze swego zamiaru, «przelekli się samej myśli tak nadzwyczajnego zdarzenia» i «zapytywali samych siebie: co powie Europa?» Nie może im tego darować Łaski, wyrzuca im, że «jedyny i pewny środek dźwignienia raz na zawsze Polski z upadku... zepsuł strach wielooki, zepsuła mała wiara... mędrców i trefnisiów politycznych, którzy we dwa lata potem dyplomatycznym, misternym, kancelaryjnym dowcipem Polskę ratować chcieli, to pod wszechwładztwem dyktatury, to za mniemaną dworów interwencją; żadna szabla polska nie naprawi złego, wyrządzonego Ojczyźnie mądrością dyplomatów». Nazwisk ani owych dyplomatów, ani spiskowców nie wymienia Łaski w tym pierwszym swoim artykule.

Ujawnia je dopiero w drugim, pod tytułem *Szkoła Podchorążych*, drukowanym w tymże *Pamiętniku Emigracji* z dnia 3 maja roku 1833. Opowiada mianowicie, że podporucznik pułku grenadierów gwardii, Piotr Wysocki, «przykomenderowany do instrukcji Szkoły Podchorążych piechoty, zrobił związek w Szkole Podchorążych dnia 15 grudnia 1828 roku». Członkami tego związku byli: Karol Karśnicki, Stanisław Poniński, Józef Gurowski, Kamil Mochnacki, Seweryn Cichowski, Józef Dobrowolski, Karol Paszkiewicz i Aleksander Łaski. Na początku stycznia roku 1829 Kamil Mochnacki wprowadził do związku brata swego Maurycego, «w tym samym prawie czasie przyjęto Gurowskiego Adama i Cichowskiego Adolfa». Spomiędzy członków Izby Poselskiej przypuszczono do tajemnicy Walentego Zwierkowskiego, Franciszka Trzcńskiego i Gustawa Małachowskiego, — a to w tym celu, żeby wybadać, «jaki na nich wrażenie sprawi zamiar zaczęcia rewolucji w Polsce przez poświęcenie na Saskim Placu mają-

cej przybyć na koronację całej rodziny cara». Do porozumienia się z tymi posłami Wysocki wyznaczył Adama Gurowskiego. «Wszakże — dodaje Łaski — gdyby mógł być związek przewidzieć, że jedna z tych osób, zamiast ocenić według jego myśli przedsięwziętą sprawę, poda w wątpliwość dobry skutek usiłowań młodzieży wojskowej, byłby się nigdy nie odważał narażać i siebie i rzecz na największe niebezpieczeństwo przez objawienie jej tej śmiałej myśli» (1).

Obydwie relacje Aleksandra Łaskiego zgadzają się z relacją ze wszystkich najważniejszą i niewątpliwie najwiarogodniejszą, — samego Piotra Wysockiego, który w kilka dni po wybuchu powstania listopadowego ogłosił w *Kurjerze Polskim* z dnia 10 grudnia r. 1830 *Wiadomość o Tajemnym Towarzystwie, zawiązanym w celu zniesienia rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskim oraz działanie wojenne Szkoły podchorążych piechoty w nocy z dnia 29 na 30 listopada 1830 r.* (2). Podaje tutaj Wysocki rolę przysięgi, jaką dnia 16 grudnia roku 1828 wykonali spiskowi: «Przed Bogiem i Ojczyzną naszą ujarzmioną, odartą z praw i przywilejów konstytucyjnych, przysiegamy. Najprzód: nie wydać na przypadek uwięzienia żadnego członka zawiązującego się Towarzystwa, choć by z tego powodu przyszło ponieść najśroźsze męczarnie. Powtóre: połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie potrzeba, w obronie zgwałconej Ustawy Konstytucyjnej. Potrzebie: ostrożnie rozszerzać związek za wiedzą podpisanych członków Towarzystwa, nie przyjmując ani pijaków, ani szulerów, ani ludzi skazitelnego charakteru pod jakimkolwiek bądź względem».

Opowiada dalej Wysocki o swoich własnych zabiegach około werbowania dla Związku nowych członków wśród starszyny wojskowej, oraz o tym, że wojskowi zażądali od niego, aby wybadał także obywateli cywilnych, czy gotowi są poprzeć robotę spiskową: «Natenczas posłałem podchorążego Paszkie-

(1) Łaski ma tutaj na myśli Gustawa Malachowskiego. — (2) Ob. Luniński: *Wspominki z dni historycznych kart kilka*, Warszawa 1910. — Artykuł Wysockiego wydał osobno i poprzedził obszerną przedmową Leonard Rettel: *Pamiętnik Piotra Wysockiego* (Biblioteka Ludowa Polska, Paryż 1867).

wicza do najzasłużeńszego męża w sprawie ojczystej, J. U. Niemcewicza, żeby w tej mierze jego rady zasięgnął imieniem członków Towarzystwa. Sędziwy ten Polak przyjął oświadczenie nasze z najżywszym uczuciem obywatelskiego serca, z rozrzwienieniem pochwalał dobre chęci, ziszczenie ich jednak do dalszego czasu odkładając. Niemcewicz powiedział: „Teraz nie czas jeszcze, ale nadejdzie pożądana chwila”. Wyrazy Niemcewicza zmocniły naszego ducha! Zapaliły chęć i wolę do dalszych usiłowań w tym względzie. W nim wszyscy widzieliśmy reprezentanta życzeń i nadziei narodu».

Inni obywatele, według opowieści Wysockiego, także goździli się na powstanie, ale nie chcieli na razie oznaczać czasu wybuchu. «Wież o koronacji i zwołaniu posłów na obrady sejmowe — pisze w dalszym ciągu Wysocki — nową otuchę wlała w serca nasze. Koło 10 maja roku 1829 gorliwiej pracować zaczęliśmy. Obywatele zjechali się na obrzęd koronacyjny. Posłowie Trzeciński i Zwierkowski, udawszy się natychmiast do mojego pomieszkania, oświadczyli mi, że zbliżyła się chwila, tak długo oczekiwana, podniesienia oręża w sprawie swobód krajowych wobec reprezentantów narodu». Związkowi przyklasnęli tej myśli. A wówczas, «nie przestając na tym, zasięgnęliśmy rady innych posłów, czyliby nie należało użyć właściwych środków, jakie w ręku mieliśmy swoim, celem przyspieszenia wielkiego dzieła odzyskania swobód konstytucyjnych. Odpowiedziano nam, że nie czas jeszcze» (1).

Ze słów Wysockiego, że chwila obrzędu koronacyjnego była chwilą «tak długo oczekiwaną», i że «należało użyć właściwych środków», nie trudno się domyślić, że miał on tu na myśli zamiar związkowych zamachu na Mikołaja. Ale dlaczego każe się tylko domyslać? Dlaczego nie mówi o tym jasno i wyraźnie? Wyjaśniono to już dawno, i to w sposób bardzo przekonujący (2). Oto w kilka dni po wybuchu powstania, kiedy to plan działań nie był jeszcze ustalony, kiedy chciano z jednej strony jeszcze paktować z Rosją, a z drugiej — starać się

(1) Dalsza opowieść Wysockiego już nas nie obchodzi: mowa tam już o wybuchu powstania 29 listopada. — (2) Ernest Luniński: *Spisek koronacyjny. Rzeczywistość — czy fantazja?* w tygodniku *Świat* r. 1909, nr 38.



o interwencję Europy, nie wolno było palić mostów za sobą; a spalaniem mostów byłoby ujawnienie zamierzonego spisku na życie cara. Dlatego to Wysocki nie nazwał rzeczy po imieniu, dlatego to jego opowieść, chociaż w treści swojej jest pierwszą drukowaną relacją o Spisku Koronacyjnym, nie jest nią formalnie.

Otwarcie pisano o nim dopiero na emigracji. W artykule pod tytułem *O Związku przedrewolucyjnym w Pamiętniku Emigracji* (z dnia 21 maja 1833) opowiada Roman Soltyk, syn kasztelana Stanisława, poseł konecki, że na trzy miesiące przed koronacją ofiarowano mu «dowództwo w tym działaniu». Mniejsza zresztą o ten artykuł.

W kilkanaście dni później (5 czerwca) ukazał się w tymże czasopiśmie artykuł *O spisku koronacyjnym*. Autorem jest osławiony Adam Gurowski, który na emigracji, jak mówi Władysław Mickiewicz, był najprzód jednym z najprzewrotniejszych wicherzycieli, a potem, «po wygłaszaniu skrajnych zasad i poduszczaniu przeciw zasłużonym mężom wychodźstwa został pierwszym jego apostatą». Otóż Gurowski podaje różne szczegóły, których nie ma w relacjach Łaskiego i Wysockiego, a więc ten nasamprzód, że pomysł zamachu na Mikołaja powstał w głowie Tytusa Działyńskiego, że on to «napomknął» Gurowskiemu, «czyliby nie można zebrać kilku odważnych ludzi i na przypadek, gdyby familia carska przybyła do Warszawy, postąpić sobie z nią bez żadnej ceremonii, dla dania tem hasła całemu ludowi w całej Polsce do rozkucia obcych więzów». Gurowskiemu, jak sam dalej opowiada, podobał się ten projekt, toteż, kiedy go przyjęto do związku Wysockiego (a było to w czasie, kiedy już uchodziło za rzecz pewną, że cesarz na koronację przyjedzie), wtajemniczył w plany zamachu Wysockiego i innych związkowców: «Przekładałem im, czyliby tej komedii» (tj. koronacji) «nie można dać tragicznego rozwiązania. Przychylili się do tego zdania». «Nadjechał car do Warszawy: chwila stanowczego działania zbliżała się». Lecz «posłowie, których o związku uwiadomiono, jednomyślnie przeciwko gwałtownemu protestowali się krokowi; sam Gustaw Małachowski nie radził przywołać tego do skutku, w co pierwój tak mocno wierzył. Te odradzania sprawiły, że pomyslna

chwila stracona została; car i bracia jego znajdowali się na Saskim Placu; podchorążowie z nabitą bronią otoczyli pomażança; Moskwa mogła w jednym momencie otrzymać zasłużoną karę za rozbiór Polski...» «Wszystko zepsuła niewczesna obawa, wyraźniej powiem, wszystko obróciła w niwecz bojaźliwa polityka Gustawa Małachowskiego...» Minął dzień koronacji... Podchorążowie postanowili ostatniego spróbować momentu: chcieli wykonać «podczas ucztę ludu, od czego ich na Saskim Placu wstrzymali». Ale cóż, kiedy posłowie (a wśród nich Bonawentura Niemojewski, Alojzy Biernacki, Teofil Morawski) znowu odradzili. Nadaremnie Wysocki usiłował ich przekonać: «uważali oni to za niebezpieczne i niepewne i sankcji swojej odmawiali».

Relacyj Mochneckiego (1) i Goszczyńskiego (2) nie będziemy przytaczali, albowiem obydwaj oparli się w nich na opowieściach Łaskiego i Gurowskiego. Krótka wzmianka Andrzeja Edwarda Koźmiana (3) nie dodaje nic nowego, podobnie jak opowieść Spaziera (4).

II

Zdawałoby się tedy wobec wymienionych świadectw, że Spisek Koronacyjny jest faktem historycznym. A jednak poseł ostrołęcki i członek Rządu Narodowego, Stanisław Barzykowski, przeczy temu kategorycznie i twierdzi, że żadnego takiego spisku nie było (5).

Lecz jakież przytacza argumenty?

1) Wiadomości o spisku, podane przez Spaziera i Mochneckiego, opierają się, mówi Barzykowski, «wyłącznie i jedynie na podaniach Adama Gurowskiego, arcyłotra, kłamcy, kłamcy z profesji i ze zwyczaju, człowieka najgorszej wiary i bezdennej nikczemności; odstąpił on od religii, Ojczyzny, rodziny, zasad, wyparł się i wyprzysiągł wszystkiego, czego tylko

(1) Powstanie narodu polskiego (Dziela, tom II, Poznań 1863 r., str. 291 nast.). — (2) Noc Belwederska (Dziela zbiorowe, wydanie Zygmunta Wasilewskiego w jednym tomie, str. 502 nast.). — (3) Wspomnienia I, 132. — (4) Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes (1832). — (5) Historia powstania listopadowego I, 253 nast.

zbrodniarz najczarniejszy wyprzysiąc się może, aby otrzymać przebaczenie cara. Jest to najohydniejszy oszust polityczny, jakiego historia nasza kiedykolwiek знаła. Możeż świadectwo takiego człowieka osławionego być jakiegokolwiek znaczenia?» Że hrabia Gurowski był nikczemnikiem i kłamcą, zdrajcą i renegatem, to prawda, ale wobec tego, że przed nim stwierdzili istnienie spisku ludzie innego pokroju (Aleksander Łaski i Roman Soltyk), wolno co najwyżej podawać w wątpliwość pewne szczegóły, opowiedziane przez Gurowskiego, ale nie sam fakt.

2) Mówi Barzykowski, że najlepszym dowodem, iż nie planowano zamachu na życie Mikołaja, jest milczenie Wysokiego: «Czyżby mógł przemilczeć o tak ważnym zamiarze, o tak śmiałym projekcie, z którego tak ważne następstwa wypływać mogły? Mógłżeby najważniejszą rzecz opuścić? Przypuszczać to niepodobna». Owszem, podobna! A dlaczego, tośmy już widzieli.

3) Przeczytawszy artykuł Gurowskiego, opowiada dalej Barzykowski, pytał o wszystko Gustawa Małachowskiego, który tak odpowiedział: «Ja miałbym przyjmować lub podawać bezecną myśl morderstwa monarchy, najprzeciwniejszą mojemu sposobowi myślenia i moim zasadom? Na otwartym polu pojmuję i lubię się mierzyć z nieprzyjacielem, ale podstępem zabijać — tym moja dusza się brzydzi. My, Polacy, w królów krwi nie broczyliśmy ręki, i ja uważam to za chlubę naszego narodu. Mógłżebym dzielić myśl jakiegokolwiek morderstwa? Nadto czyn taki byłby najniepolityczniejszy, najzgubniejszy dla naszej sprawy. Co jest moralne, to jest i polityczne; co nie jest takim, jest złe i szkodliwe». Podobnie Tytus Działyński i Bernard Potocki zaprzeczyli wszystkiemu, o co ich w tej sprawie pytał Barzykowski. Cóż na to powiedzieć? Przypuśćmy nawet, że Gurowski zmyślił udział Małachowskiego, Potockiego i Działyńskiego w spisku: czy z tego wynika, że spisku nie było? A zresztą, kto wie, może na emigracji Małachowski żałował swego udziału i wyparł się go. W każdym razie warto zaznaczyć, że choćby nawet nie wierzyć Mochnackiemu, to jednak o udziale trzech wymienionych osób w spisku opowiada także Goszczyński, którego o kłamstwo nikt chyba jeszcze nie posądził i nie posądzi. Prawda, że w swej *Nocy Belwederskiej* oparł się on

na relacji Gurowskiego, ale gdyby ona była wierutnym kłamstwem, toby jej nie powtórzył; a kto jak kto, ale Goszczyński musiał wiedzieć o wszystkim, chociaż sam (dlaczego, nie wiadomo) do spisku nie należał.

4) Jeden jeszcze argument przytacza Barzykowski: «My też, mówiąc bez przesady, mieliśmy bardzo rozległe stosunki w Warszawie, a jednak o zamachu nie słyszeliśmy, jak nikt o nim w całej nie słyszał stolicy». Ten argument jest, zdawałoby się, ze wszystkich najpoważniejszy, jeżeli zważyć, że w Polsce o nic tak nie trudno, jak o dochowanie tajemnicy, i o nic tak nie łatwo, jak o plotki polityczne. (Wiedział coś o tym już Jan Stanisław Jabłonowski). Ale i u nas przecie są wyjątki, są zamiary, z którymi i Polak nie tak łatwo się innemu zwierzy; a do takich zamiarów należał chyba spisek na życie cesarza, uplanowany przez zapalną i pełną ducha ofiarnego młodzież ze Szkoły Podchorążych. Jeśli wśród niej był jaki wyrodek, to i on musiał milczeć — ze strachu o własną skórę.

A tak wszystkie cztery argumenty Barzykowskiego nie wytrzymują krytyki.

Trudno także przystać na wywody Aleksandra Kraushara w pracy pt. *Spisek koronacyjny z roku 1829 w świetle prawdy historycznej* (1). Autor opowiedział tutaj sprawę Wincentego Smagłowskiego, o której zwięzłą wiadomość podał już znacznie wcześniej Józef Bieliński (2).

Smagłowski, kleryk pijarski, był studentem uniwersytetu warszawskiego; dowiedziawszy się, że cesarz zjeżdża na koronację do Warszawy, postanowił ją, przy pomocy kilku kolegów, udaremnić, jak pisał w swym zeznaniu przed komisją śledczą, «drogą aresztowania wszystkich w sali koronacyjnej aż do czasu podpisania przez nich przedłożyć się mających warunków». Gdyby zaś cesarz odmówił podpisu na zobowiązaniu, że konstytucji nadal gwałcić nie będzie, to, roil sobie Smagłowski, wypowie mu się posłuszeństwo, osieroconą zaś koronę ofiaruje się Napoleonowi księciu Reichstadt (3). Dodajmy do tego, że ani na cesarza, ani na nikogo z jego rodziny nie miał

(1) Przegląd Polski 1909 i osobno, Kraków 1909. — (2) Kwartalnik Historyczny 1904, s. 514 nast. — (3) Luniński, Wspominki.

Smagłowski zamiaru podnosić ręki: w razie oporu planował tylko wymordowanie obecnych w sali koronacyjnej, asystujących cesarzowi Moskali, oraz niektórych Polaków, a wśród nich, oczywiście, Wincentego Krasieńskiego (1). Ten zamiar naiwny doszedł do wiadomości Niemcewicz, który zawiadomił o spisku rektora uniwersytetu; ten zaś zwołał Radę uniwersytecką, która po cichu relegowała Smagłowskiego z uniwersytetu, a jego kolegów skazała na sześć dni aresztu.

Otóż Kraushar twierdzi, że ta właśnie awantura studencka jest źródłem «legendy» o Spisku Koronacyjnym, który nigdy nie istniał! Gdzie Krym, gdzie Rzym, a gdzie karczmny babiński! Mogli planować zamach studenci uniwersytetu, dla czegożby nie mogli knuć spisku uczniowie Szkoły Podchorążych? Jedno z drugim nic wspólnego nie ma, i jedno drugiemu nie przeszkadza. Raz jeszcze, wątpliwości, czy istniał Spisek Koronacyjny, nie mają podstawy; ten spisek jest nie legendą, ale faktem.

A jeśli kto powie, że była to jednak tylko burza w szklance wody, to mu się odpowie, że i burza i szklanka i woda to nie bajki, tylko rzeczy prawdziwe.

Słowacki więc, zamierzając pisać dramat historyczny, miał zupełne prawo obrać sobie za jego tło ten właśnie spisek.

III

Zachodzi teraz pytanie, skąd się autor *Kordiana* dowiedział o Spisku Koronacyjnym.

Koronacja odbyła się w czasie, kiedy Słowackiego nie było już od trzech miesięcy w Warszawie; czy już przed wyjazdem słyszał o spisku? Wolno wątpić, bo spisek był trzymany w tak ścisłej tajemnicy, że się o nim nie dowiedziała nawet tajna policja warszawska (zrobiłaby przecie użytek z tego odkrycia!).

Według wszelkiego prawdopodobieństwa dowiedział się o nim dopiero w Paryżu — albo od ludzi, albo też z pierwszego artykułu Aleksandra Łaskiego w *Pamiętniku Emigracji*; artykuł ten nie tylko przypomniał mu zapewne czytana prawdo-

(1) Tamże.

podobnie jeszcze w Warszawie *Wiadomość* Wysockiego, ale i otworzył mu na nią oczy. Drugi artykuł Łaskiego, oraz artykuł Adama Gurowskiego ukazał się w *Pamiętniku Emigracji* dopiero wtedy, kiedy Słowacki mieszkał już w Szwajcarii, ale, że pismo to do Genewy niewątpliwie docierało, więc nic nie stało na przeszkodzie do przypuszczenia, że myśl napisania *Kordiana* przyszła mu do głowy dopiero po przeczytaniu tych artykułów (1): istnieje bowiem wyraźna zbieżność pomiędzy ich niektórymi szczegółami a pomysłami Słowackiego — w czwartej scenie aktu trzeciego.

Kordian jest głęboko przekonany, że z chwilą zamordowania cesarza wybiję godzina wolności i wielkości Ojczyzny:

A potem kraj nasz wolny! potem jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela
I po burzliwej nocy oddycha i żyje.

Ten rys entuzjazmu Kordiana, jego naiwna wiara, że czyn zamierzony pociągnie za sobą wielkie i błogosławione skutki dla Ojczyzny, odpowiada w zupełności wierze Łaskiego, że «zamiar... olbrzymi olbrzymie też zwiastował skutki», i jego naiwnemu pogładowi, że Spisek Koronacyjny był «robotą» «bardzo polityczną», co więcej, «jedynym i pewnym środkiem dźwignięcia raz na zawsze Polski z upadku»; podchorążowie, mówi jeszcze Łaski, zamierzonym «królobójstwem» «położyć chcieli kamień węgielny nowego politycznego bytu Polski, a może postaci całej Północy», «samej Moskwy rozszarpane by zostały wnętrzości i rozpalona wojna między ambitnymi pretendencjami korony, osieroconej na Saskim Dziedzińcu».

Jeżeli zaś Kordian mówi:

A gdy kraj ocale,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem,
Ja się w chwili ofiarnej, jak kadzidło spale,
Imienia nie zostawię po ciele spalonym,
Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne
Pochwałą, a zapłącą tylko zapomnieniem, —

(1) W liście do matki z dnia 15 marca r. 1833 Słowacki nie miał jeszcze na myśli Kordiana. Ob. Eugeniusz Kucharski, Głosy do Kordiana, Tygodnik Ilustrowany r. 1920, Nr 50.

to czy będzie przesadą powiedzieć, że słowa te mają źródło w myśli, zawartej w przytoczonym przez Gurowskiego oświadczeniu podchorążych, iż «chcieli tylko uderzyć, dać hasło i natychmiast ze sceny narodowej zniknąć w szeregach, aby nie ściągnąć na siebie pozoru, jakoby dla innych, prócz najczystszej miłości sprawy ojczystej, pobudek, oręż podnieśli?» Kordian jest uosobieniem tego ducha całkowitego poświęcenia podchorążych.

Od Łaskiego mógł się także dowiedzieć Słowacki, że miano wymordować całą rodzinę carską, i tak też rzecz przedstawił:

Starzec z ludu.

Wiele potrzeba zabójstw, nim się kraj odzyska?

Głos z tłumu.

Car...

Starzec.

To jedno.

Głos.

Carowa żona.

Starzec.

Drugie...

Głos.

I dwóch braci.

Starzec.

Cztery... Licz dalej, bracie, bo się liczba straci.

Głos.

Syn cara.

Starzec.

Piąte.

Głos.

- I już wszyscy.

Starzec.

Zabijajcie!!!

A krew niech na mnie spada.

I mówi jeszcze Starzec:

A kiedy Bóg zawoła w straszny dzień sądowy,
Stanę przed Bogiem obok jakiego mocarza,

Co się codzienną zbrodnią we łzach ludu pławi,
I powiem: Boże! Boże, patrz, otośmy krwawi!
Zdjęliśmy tę krew z ludzi, aby drzewo krzyża
Lżejsze było płaczącym na ziemskim padole;
A teraz się na Twoję opuszczamy wolę...

To znaczy, że, zdaniem Starca, zabójstwo cesarza byłoby dużo mniejszą zbrodnią, aniżeli zbrodnie, jakie cesarz codziennie nad Polską popełnia. I ten właśnie argument dodaje Kordianowi, który się już zaczął wahać, nowych sił, wpaja wń przeświadczenie, że mordu może dokonać z czystym sumieniem. Otóż posłuchajmy, co mówi Łaski: «Jest pewien kres, poza którym wyrazy z b r o d n i a, c n o t a nie mają żadnego znaczenia, i to tylko jest dobre, co pożyteczne dla milionów, to prawe, co się z ich ogólnym zgadza interesem, co z tej tylko strony chwalić trzeba, że jest wielkie i z niczym innym nie porównane... Rodzaj śmierci, wymyślony dla Polski przez carowę, gatunek zgonu, wynaleziony dla dwudziestu milionów, nie poprzedzonego starością ani żadnym omdleniem publicznego ducha w narodzie, ale nagłego, skąd sześćdziesięcioletnia wynikła męczarnia dla tych dwudziestu milionów, — jest to tak straszny czyn, że dla sprawców jego i w niebie i na ziemi i pod ziemią zabrakłoby miłosierdzia, gdyby im Bóg, ludzie albo piekło tę winę odpuścić chciało. Jak z jednej strony winę, tak z drugiej karę i zemstę pokolenia zbrodniarzy i pokolenia ofiar jedno drugim przekazują w puściźnie. W prostej linii od carowej każdy car ma współnictwo w kabale rozbioru Polski. W prostej linii od rycerzy Baru do dnia dzisiejszego każdy bez wyjątku Polak ma obowiązek zemsty, nigdy nieodwołany, nigdy niezatracony...» Słowa te podpisałby Starzec od A do Z; podpisałby je i Kordian, on, który także nie może zapomnieć o tym «męczeństwie», jakie «wymyśliła» dla Polski «nierząd-nica i car-Katarzyna».

Dosyć tego, aby się zgodzić na to, że artykuły o Spisku Koronacyjnym w *Pamiętniku Emigracji* mogły dostarczyć nie-mało pokarmu fantazji Słowackiego, i to, dodajmy, nie tylko dla charakterystyki Kordiana, ale i do całych scen. Oto np. Gurowski opowiada, że kiedy posłowie drugi raz, już po koronacji, powstrzymali podchorążych od wykonania zamiaru,

wówczas «okropne było położenie Wysockiego; rzecz zbyt daleko się posunęła, aby ją za niebyłą uważać godziło się: albo skończyć, albo w przeciwnym razie paść ofiarą tego, co zamierzył, — takie było jego przeznaczenie». Równie «okropne było położenie» Kordiana, który rzecz za daleko posunął, «aby ją za niebyłą uważać»: otóż z tego położenia wyobraźnia Słowackiego wysnuła całą scenę straży nocnej w zamku królewskim.

Zbytecznie dodawać, że scena głosowania spiskowców, czy zabijać cesarza, czy nie, powstała z opowieści Łaskiego i Gurowskiego o naradzaniu się podchorążych z posłami, tylko że w rzeczywistości posłowie oświadczyli się jednomyślnie przeciwko zamachowi, a w poezji sto pięćdziesiąt głosów padło przeciw, a pięć — za.

Stało się tak pod znacznym wpływem argumentów i zaklęć Prezesa.

A gdy jaki Antoniusz Europie okaże
Płaszcz skrwawiony Cezara?... i do zemsty zbudzi?

Ze wojowano tym argumentem w rzeczywistości, o tym z goryczą opowiada Łaski: «dyplomaci... rozbroili rękę uzbrojoną... wstrzymali zamach, pytali się: co powie Europa?»

Przytacza także Łaski, jak widzieliśmy, owo «sławne i rzetelne w dziejach naszych przysłowie, że Polak rąk swoich nigdy nie zmazał krwią panującego». W imię tej właśnie tradycji narodowej jest Prezes tak stanowczym przeciwnikiem spisku, którego wykonanie byłoby w jego oczach «hańbą» i «wstydem» dla Polski.

Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!
Nieraz w te prochy iskrę myśli kładłem,
Budziłem królów, serca ich odgadłem,
Działali... w dziejach, jak na jasnym niebie,
Nigdzie czerwone nie padały plamy. —
Gdybyście, króle, z trumien dziś powstałi,
Ludzie by rzekli: «O znamy was, znamy!
«Starzec nam o was mówił, żeście biali,
«Jako anieli... Tak nam starzec prawił».
Jazbym tron nieskalany Polaków zakrwawił!

Lecz o tym, że «Polak rąk swoich nigdy nie zmazał krwią panującego», nie potrzebował się Słowacki dowiadywać z prasy

emigracyjnej: wiedzieli to wszyscy — dzięki temu patriocie, który «budził królów» i «serca ich odgadł», dzięki *Śpiewom historycznym* i dodanym do nich *Uwagom nad upadkiem i charakterem narodu polskiego*: z tego to źródła wiedziało całe pokolenie porozbiorowe, że «nie masz podobno narodu, w którymby królom większą cześć oddawano, jak w naszym, że «nigdy tron Polski krwią nie był zboczony» (1), czyli że, jak mówi Prezes, «na jasnym niebie nigdzie czerwone nie padały plamy».

Mówi jeszcze Prezes:

Wzrok mój przytępiał długim wiekiem, lecz sumnienie
Ma bystre oczy, widzę, że światło zagasło,
Lepiej przy Waszyngtonie było umrzeć.

«Z tych słów — mówi Józef Ujejski — w łączności z poprzednią wzmianką o budzeniu królów i prawieniu o nich ludziom od razu widać, że ten Prezes to autor *Śpiewów historycznych*, Niemcewicz» (2). Tego samego zdania jest Kleiner i w ogóle wszyscy komentatorowie *Kordiana*, poczynając od Małeckiego. Jedynym wyjątkiem jest Askenazy, który twierdzi, że «w słynnej scenie czwartej Prezes jest to Soltyk Stanisław, prezes Towarzystwa Patriotycznego, stosowniejszy tu od Niemcewicza, do którego zwykle ta postać odniesioną bywa, a który przecie ani do tego, ani do żadnego innego z ówczesnych związków tajnych nie należał» (3).

Kto ma słuszość? Zobaczmy przede wszystkim, co mówi tekst sceny, w której występuje Prezes.

Przytoczony początek monologu («Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!») wyklucza, zdawałoby się, wszelkie wątpliwości: nikt chyba nie zaprzeczy, że to Niemcewicz. Ale tuż potem mówi Prezes:

Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalanej młodzieży sztyletami władam,
Mam sto rąk, sto sztyletów... gdy chcę, sto ran zadam.

Otóż, kiedy się czyta te słowa, powstają wątpliwości, i to bardzo poważne, czy wolno myśleć, że prezes to Niemcewicz,

(1) *Śpiewy historyczne*, Warszawa, 1819, str. 567. — (2) Biblioteka Narodowa, serja I, nr 2. — (3) *Nowe wczasy*.

bo przecie Niemcewicz nigdy się nie rzucił w czarne cienie otchłani spisków, nigdy nie władał sztyletami zapalanej młodzieży.

Czy ta zapalona młodzież istotnie zwróciła się do Niemcewicza po radę? Czy Niemcewicz istotnie, jak opowiada Wysocki «z najwyższym obywatelskiego serca rozrównaniem pochwalil dobre chęci» spiskującej młodzieży? Askenazy twierdzi, że się w *Pamiętnikach czasów moich* Niemcewicza znajduje «niepodejrzana relacja» «o zapytaniu, z jakim do niego zwrócili się spiskowi». Najwyraźniej pomieszał tu Askenazy opowieść Wysockiego z opowieścią Niemcewicza. Bo jakże? O Spisku Koronacyjnym dowiedział się Niemcewicz... dopiero na emigracji, «już za granicą», jak o tym sam najwyraźniej mówi: «Wielki książę Konstanty, lękający się najmniejszego tłumy, sądzący o pospółstwie naszym, jak o moskiewskim, mniemał, że będzie i pijaństwo i towarzyszące mu kłótnie i wrzawy. Przygotował więc wszędzie kadzie z wodą, czarną farbą zaprawną, z przyprawnymi do nich sikawkami, z rozkazem, by tam tą czarną wodą sikać i wraz naznaczonych nią porywać i do więzienia prowadzić po odebraniu liczby oznaczonych knutów. Nie było jednak tego potrzeby. Lud cały zachował się cicho, spokojnie, smutnie. Dowiedziałem się atoli od jednego, już za granicą, że nie tylko sikawki, lecz silniejsze potrzebne były środki ostrożności. Wybuchnięta blisko rokiem później rewolucja okropniejszym sposobem dnia tego spełnić się miała. Szkoła podchorążych ze studentami, a może i wojskiem, otaczającym altanę carską, postanowiła była dnia tego do całej rodziny carskiej, wzięwszy każdego za cel, dać ognia kulami i jednym razem całe gniazdo samowładców zgładzić. Zabrakło serca temu, co miał dać znak wystrzału. Bóg nie dopuścił, by naród polski skaził się tym zdradzieckim zabójstwem...» (1).

Pewne wątpliwości, czy Prezesem jest Niemcewicz, mogą także budzić słowa: «Lepiej przy Waszyngtonie było umrzeć». Bo przecie Niemcewicz, chociaż podczas pobytu swego w Ameryce poznał osobiście Waszyngtona, ale nigdy przecie nie był

(1) *Pamiętniki czasów moich*, Lipsk 1868, str. 320—321.

przy nim — podczas wojny z Anglią, więc nie mógł «przy Waszyngtonie... umrzeć», chyba że wyrazy «przy Waszyngtonie» są peryfrazą, że znaczą tyle, co «w Ameryce»: w takim razie myśl Prezesa Niemcewicza byłaby taka, że wolalby być umrzeć w Ameryce, niż wrócić do kraju i doczekać się smutnego widoku, «że światło zgasło».

Jęk Prezesa: «Oh! ja nie mam dzieci», zgadza się z Niemcewiczem, który, jak wiadomo, był bezdzietny. A i to się z nim w zupełności zgadza, że Prezes występuje w obronie «staropolskiej cnoty», że wymaga czci dla «zbielalego włosa» i że w ogóle jest człowiekiem czystym i dostojnym. Jeżeli dalej Prezes mówi spiskowcom: «Czekajcie!», to, jak świadczy Wysocki, powiedział to samo mniej więcej i Niemcewicz, kiedy go podchorążowie powiadomili o swoich zamiarach: «Teraz nie czas jeszcze, ale nadejdzie pożądana chwila». Na upartego i ten także szczegół, że Prezes wzruszony klęka przed Kordianem, można by uzgodnić z postacią Niemcewicza, ale jedynie o tyle, że chociaż zrazu, po wybuchu powstania listopadowego, był mu przeciwny, poczytując je za «porywczy wybuch gorącej, lecz nierozważnej młodzieży» (1), jednak potem zmienił swoje stanowisko. «Poszedłem za rewolucją, lubom ni czasu, ni sposobu, ni osób, które ją zaczęły, nie aprobowal; poszedłem, gdym ujrzał, że cały naród poszedł za nią» (2).

Ale teraz — odwrotna strona medalu.

Prezes:

Księżę, powiedz mi, wiele lat masz?...

Książdz:

Pięćdziesiąty!

Prezes:

Gdyś się rodził, rok miałem dwudziesty dziewiąty.
I biłem się za wolność.

Akcja trzeciego aktu *Kordiana* odbywa się w roku 1829, a więc Książdz urodził się w roku 1780; jeżeli zaś Prezes miał wówczas rok dwudziesty dziewiąty, więc urodził się w roku

(1) J. U. Niemcewicza *Pamiętniki z 1830—1831 roku*, wydał M. A. Kurpiel, Kraków 1909, str. 46. — (2) Tamże, str. 81.

1751. Tymczasem Niemcewicz urodził się dopiero w roku 1758, a w roku 1780 za wolność się nie bił — bo przecie nie popłynął do Ameryki, aby «przy Waszyngtonie» walczyć za niepodległość Stanów Zjednoczonych, za niepodległość zaś Polski bił się dopiero przy Kościuszcze.

Lecz był człowiek, który się urodził właśnie w roku 1781, dnia 16 grudnia, i o nim to właśnie powiedziano, że jest w *Kordianie* «stosowniejszy od Niemcewicza»: Stanisław Soltyk (1).

(1) Dokładną datę narodzin Stanisława Soltyka podaje rodzony prawnuk Soltyka, Kazimierz Morawski, który udzielił piszącemu te słowa dwóch notatek z archiwum rodzinnego; jedna — pisana ręką córki Soltyka, Konstancji Lempickiej, druga — ręką jego prawnuczki, Konstancji Morawskiej. Ponieważ biografia Soltyka jest do dziś dnia nie opracowana (por. Askenazy, List Soltyka w Tygodniku Ilustrowanym r. 1912, Nr 2), więc podajemy tu obydwie notatki:

I. «Stanisław Soltyk, podstoli koronny, kawaler Orła Białego i św. Stanisława, syn Macieja, kasztelana warszawskiego i Salomei (z Nakwaskich) Soltyków, urodził się 16 grudnia 1751 roku, umarł dnia 4-go czerwca 1833 roku. Lat wiele poświęcił zwiedzaniu cudzych krajów, znajdował się przy oblężeniu Gibraltaru w roku 1782, gdzie kilka miesięcy przebył. Sprawował urzędy publiczne. Był posłem sławnego sejmu 1791 roku. Konstytucja Trzeciego Maja w domu jego najpierw czytana była. W r. 1794 czynnie należał do usiłowań ratowania Ojczyzny wraz z Kościuszką. Dwukrotnie Prusaków i Austriaków był więźniem, co trwało lat kilka. Za obcych rządów, ku zachowaniu ojczystego języka, zawiązał Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie. W odrodzonej Polsce, pod panowaniem cnotliwego Fryderyka Augusta Sasa, w roku 1881 sejmowi jako marszałek przewodniczył, homagium złożył imieniem przyłączonych czterech województw: krakowskiego, sandomierskiego, lubelskiego i podlaskiego. Roku 1825 był znowu posłem-senatorem. Od 22 lutego 1826 przez lat trzy ciężko więziony u Karmelitów w Warszawie. Wyrokiem sądu sejmowego niewinnym uznany, znękany wiekiem i nieszczęściami wrócił wreszcie na łono rodziny w dniu 16-go marca 1829. Konstancja z Soltyków Lempicka».

II. «Babka nasza Konstancja z Soltyków, kasztelanowa Ludwika Lempicka, urodziła się w Wiedniu w roku 1794, z ojca Stanisława Soltyka i matki Karoliny z książąt Sapiehów. Ojciec skutkiem rewolucji Kościuszkowskiej był właśnie w więzieniu austriackim, i tam mu żona o narodzeniu córki doniosła. Wzrastała ona w tym patriotycznym domu Soltyków, nawskróś polskim i przeciwstawianym francuskim wpływom Blachy. W domu Soltyków powstała i rozwinęła się myśl zawiązania Towarzystwa Przyjaciół Nauk... Podstoli koronny Soltyk zostawał w zupełnym odosobnieniu. Małeńka celka u Karmelitów miała

Czy już w roku 1780 «walczył za wolność» Ameryki? O tym biografia jego milczy. Wiadomo natomiast, że w roku 1782 «znajdował się przy oblężeniu Gibraltaru», to znaczy, że istotnie walczył za wolność Ameryki, biorąc udział w wojnie z Anglią — po stronie sprzymierzonej z Ameryką Francji i Hiszpanii.

Nie dosyć na tym. Soltyk daleko słuszniej od Niemcewicza mógłby mówić o sobie: «Jam niegdyś z piersi mojej lał poety pienia»: jako poseł na sejm czteroletni napisał przecie wierszem *Powinszowanie sejmującym stanom po przemienionych w prawo zasadach*; potem zaś o jego pieniach już nie słyhać nic (kiedy tymczasem o *Śpiewach* Niemcewicza słyhać było nie tylko «niegdyś», ale i do samej jego śmierci i po śmierci i będzie słyhać zawsze, póki narodu polskiego na świecie).

Dodajmy, że o tych szczegółach z życia Soltyka mógł się Słowacki bardzo łatwo dowiedzieć od jego syna Romana, który był na emigracji w Paryżu. O najważniejszej natomiast z obchodzących nas tu rzeczy nie potrzebował się od nikogo w Paryżu dowiadywać, bo sam, mieszkając w Warszawie doskonale wiedział, że jeśli kto w Królestwie Kongresowym miał prawo mówić sobie:

Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalanej młodzieży sztyletami władam,
Mam sto rąk, sto sztyletów... gdy chcę, sto razy zadam, —

tylko jedno wysokie okienko, nigdy nie otwierane. Okropne powietrze, zła strawa, a zwłaszcza straszna samotność tak wyniszczyły naszego pradziada, iż wyszedł od Karmelitów złamanym starcem i wkrótce życie zakończył. Pożółkłe kartki, pisane jego ręką w pierwszych dniach po aresztowaniu, ręka córki pobożnie wkleiła w książkę do nabożeństwa».

«22 lutego 1826 byłem zatrzymany o szóstej wieczór w mieszkaniu moim na Świętokrzyskiej Nr 1344, zaprowadzony do Brühlowskiego palacu, gdzie Komitet odbywał swoje sesje d'enquête. Po zapytaniach, które trwały blisko godzinę, zaprowadzony zostałem do mieszkania generała Kuruty, gdzie dotychczas mieszkam. — 14 kwietnia 1826. Jestem zupełnie oddalony od wszelkiego towarzystwa, sam, w samotności zupełnej. — Tak byłem smutny parę razy, że życie było mi nieznośnym. Teraz całą ufność pokładam w Bogu».

to Stanisław Soltyk, «ten naczelnik wszystkich tajnych związków i schadzek», jak nazywa go Barzykowski. Soltyk to przecie, nie Niemcewicz, był prezesem centralnego komitetu Towarzystwa Patriotycznego; a kiedy Antoni Jabłonowski, wysłany z ramienia Towarzystwa do Rosji dla porozumienia się ze spiskowcami rosyjskimi, powrócił do Warszawy i oświadczył na posiedzeniu komitetu, że ci spiskowcy żądają życia księcia Konstantego, wówczas stary Soltyk zerwał się z krzesła i zawołał: «Damy im własne głowy, jeżeli tego koniecznie potrzeba, ale niech nie żądają od nas, byśmy skrytobójcami się stali» (1), — podobny przez to do Prezesa w *Kordianie*, oburzającego się na samą myśl skrytobójstwa.

Nie wszystkie szczegóły charakterystyki Prezesa zgadzają się z życiem Soltyka. Mniejsza nawet o to, że miał on dwoje dzieci (Romana i Konstancję), że więc nie mógł wołać żałośnie, jak Prezes: «Och! ja nie mam dzieci»; o wiele ważniejszą jest rzeczą, że, wypuszczony z więzienia u karmelitów w marcu roku 1829, był tak schorowany, iż nie brał już do śmierci udziału w życiu publicznym i nie władał już sztyletami zapalanej młodzieży.

Więc ostatecznie kto ma słuszość? czy ci, którzy twierdzą, że Prezes w *Kordianie* to Niemcewicz, czy też ci, którzy za «stosowniejszego tutaj» poczytują Stanisława Soltyka?

Jeżeli się za podstawę do odpowiedzi na to pytanie weźmie jedynie brzmienie tekstu, to odpowiedź może być tylko jedna: nie mają słuszości ani jedni, ani drudzy; czyli, mówiąc inaczej: Prezesem w *Kordianie* nie jest ani Niemcewicz, ani Soltyk.

Więc kim jest Prezes? Biorąc ściśle, to znaczy opierając się jedynie na brzmieniu tekstu, Prezes jest tylko... Prezesem, to jest postacią fantazyjną, poetycką, przy której tworzeniu fantazja Słowackiego zasilala się rysami wziętymi zarówno z po-

(1) Barzykowski, tom I, str. 282.

staci Niemcewicza, jak z postaci Soltyka (1), i stopiła te rysy rzeczywiste z fantazyjnymi — w jedną całość psychologiczno-artystyczną.

Lecz odpowiedź ta jeszcze nie wyczerpuje całego problemu postaci Prezesa w *Kordianie*. Wolno bowiem jeszcze zapytać: kto wyobraźnię Słowackiego pobudził do stworzenia wizji poetyckiej Prezesa silniej — Niemcewicz czy Soltyk? Zupełnie pewnej odpowiedzi dać na to pytanie nie można dla braku materiału.

Że Soltyk mógł być punktem wyjścia, a nawet ośrodkiem krystalizacyjnym tej wizji, to nie ulega wątpliwości; albowiem, raz jeszcze, Słowacki nie mógł nie wiedzieć, że stary kasztelan był «naczelnikiem wszystkich tajnych związków i schadzek».

Z drugiej jednak strony nic nie staje na przeszkodzie do przypuszczenia, że w wyobraźni Słowackiego mógł tę rolę odegrać Niemcewicz.

Prawda, w rzeczywistości nie brał Niemcewicz udziału w życiu konspiracyjnym Królestwa Kongresowego, ale od czegoż legenda? A przecie Niemcewicz należał do kategorii tych ludzi, o których i około których tworzą się legendy narodowe (i którzy, mówiąc nawiasem, zasłużyli sobie na nie). Otóż legenda o uczestnictwie Niemcewicza w robocie konspiracyjnej powstała, jak się zdaje, jeszcze w kraju, jeszcze przed emigracją. Słusznie mówi Mochnacki w swej opowieści o Towarzystwie Patriotycznym, że «taka była po wszystkie czasy imaginacja związkowych, że zawsze czegoś wyższego nad to, co widzą przed sobą, wymagają» (2). Rozumiał tę prawdę Soltyk, który, według świadectwa Mochnackiego, stanawszy na czele komitetu centralnego Towarzystwa Patriotycznego, nie długo

(1) Podobnież nie wolno mówić tout court (jak to czyni Askenazy), że Księdzem w *Kordianie* jest Skórkowski, biskup krakowski. Wolno tylko mniemać, że pomysł tej postaci Słowacki zawdzięcza biskupowi Skórkowskiemu, zacnemu patriocie, który, jak opowiada Barzykowski (I, 441), «powstanie listopadowe powitał sercem, pełnym religijności i patriotyzmu», i który «zaraz na początku powstania wydał dwa listy pasterskie do duchowieństwa diecezji swojej, tchnące wysokim duchem religijnym i żarliwym uczuciem patriotycznym». —

(2) Dzieła, t. II, Poznań 1863, s. 237.

«mógł wystarczyć» «potrzebie poetyckiej, egzaltowanej niewidomego naczelnika, wiele, niezmiennie wiele mogącego»; dlatego to «musiał mówić, że ma jeszcze kogoś nad sobą, lecz go wymienić nie może, aby umysły utrzymywać w ciągłej mistyfikacji» (1).

Otóż czy związkowi nie mogli myśleć, albo raczej czy mogli nie myśleć, że owym niewidomym naczelnikiem nikt inny być nie może tylko Niemcewicz, który był przecie już za Księstwa Warszawskiego, a cóż dopiero za Królestwa Kongresowego, przedmiotem nie tylko czci powszechnej, ale wręcz kultu narodowego, był nie tylko «dyktatorem moralnym» Warszawy, ale i przedstawicielem niepodległej Polski i, dodajmy jeszcze, uchodził w oczach młodzieży za redaktora odezwy Kościuszki, głoszącej, że «każdy Polak winien jest ostatnią kroplę krwi w obronie Ojczyzny poświęcić» (2). Nie dziw, że młodzież już przed rokiem 1826 wyobrażała sobie, że Niemcewicz stoi na czele jakiegoś wielkiego spisku (3). Nie dziw, że i Wysocki, kiedy nosił się z myślą powstania, zwrócił się do «najzasłużeńszego męża w sprawie ojczystej», aby zasięgnąć jego rady. Niemcewicz, jak widzieliśmy, odradził — i tutaj to może tkwi początek drugiej legendy o nim, że zażegnał Spisek Koronacyjny.

Ta zaś legenda utrwaliła się na emigracji (4). Jest rzeczą

(1) Tamże, s. 236—237. — (2) Józef Bieliński, *Kwartalnik Historyczny* r. 1904, s. 515—516. — (3) Spazier, *Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes*, Altenburg 1832, I, 112. — (4) Jak mocno się utrwaliła, o tym najlepiej świadczy to, że Czartoryski, pisząc swój *Żywot J. U. Niemcewicza*, wydany w roku 1860, uwierzył nie Niemcewiczowi, którego *Pamiętniki czasów moich* (wydane w r. 1848) znał, tylko — legendzie. «Podczas koronacji — pisze Czartoryski (str. 216) — nie tajno jest, jaka myśl zajęła niektórych z naszej młodzieży. Wiedząc, że cała rodzina carska, co do jednego, zbiera się na tę uroczystość do Warszawy, zamierzali, roili oni wszystkich razem zabrać i, przyprowadziwszy tym rząd moskiewski do największego zamieszania i anarchii, zacząć natychmiast powstanie, przy trwającej właśnie i nie wiodącej się wojnie tureckiej. Moment niezawodnie był i daleko dogodniejszy i obiecujący pomyślniejsze skutki, niż wybrany na końcu następnego roku. Młodzi ludzie przyszlizli do Niemcewicza dla zwierzenia mu się i dla zasiągnięcia światła w jego doświadczeniu i patriotyzmie. Pytali go, czy godzi się, czy należy odwa-

bardzo prawdopodobną, że się zaczęła utrwać tuż po ukazaniu się artykułów Gurowskiego. Oto jedni, jak Barzykowski, nie uwierzyli im i, poczytując rozpowszechnianie wiadomości o Spisku Koronacyjnym za rzecz dla emigracji niekorzystną, kategorycznie zaprzeczyli faktowi, inni uwierzyli, a zastanawiając się nad przyczynami, dla których zamach na Mikołaja nie doszedł do skutku, powiedzieli sobie, że nikt inny zażegnać go nie mógł, tylko jeden jedyny Niemcewicz, jako «najzasłużeńszy mąż w sprawie ojczystej».

I ta właśnie legenda, której naturalnie Słowacki nie mógł nie znać, czyni zupełnie usprawiedliwionym przypuszczenie, że w genezie postaci Prezesa w *Kordianie* rolę główną odegrał Niemcewicz.

żyć się na taki czyn, który nie mógł się dokonać bez zażartego na miejscu sporu, bez wylania krwi i narażenia mężów niewinnych, co zaufali szlachetności narodu. Niemcewicz odradził młodym Polakom przedsięwzięcia, któreby plamą przeniewierzenia i okrucieństwa nacechowane było w dziejach: i sądę, że dobrze, przezornie i sumiennie uczynił. Okoliczności wprowadzie były przychylne do zaczęcia powstania; ale nie trzeba było zaczynać od srogięgo, zapamiętałego, bezwzględne go i zdradliwego czynu, któryby i naród rosyjski i inne kraje oburzeniem i zgrozą był napelnił i sprowadził na Polskę tak Moskwy, jak jej sprzymierzeńców, żądzą zemsty zapalone sily i słuszną naganę powszechną, i całego świata europejskiego potępienie. Naród w takim razie, opierając swoje ocalenie na zdradzie i srogości, postąpiłby przeciw własnemu wrodzonemu charakterowi, a to się nigdy nie udaje, straciłby czystość dochowaną, szlachetność i zacność, które stanowią wyższość i jedyną silę jego sprawy. Przyczyniając się do uchylenia tego zamysłu, Niemcewicz osłonił Polskę od klęsk większych i sroższych niż te, co na nią wkrótce spadły i które nie byłyby łagodzone szacunkiem i sympatią innych ludów, lecz owszem, ich odrazą pogorszone». Takie przedstawienie rzeczy tłumaczy się, oczywiście, ogólnym charakterem książki Czartoryskiego, to jest zamiarem okrycia Niemcewicza wszystkimi blaskami aureoli patriotycznej. Dodajmy jeszcze, że na podstawie Wspomnień z przeszłości Wiktora Feliksa Szokalskiego (Wilno 1914, wydał Adam Wrzosek, t. I, str. 182) możnaby jednak mniemać, że Spisek Koronacyjny zażegnał nie kto inny, tylko Niemcewicz: «Dowiedziałem się potem od samego Niemcewicza, iż przychodzono do niego radzić się w tym celu i że udało mu się nareszcie ten szalony, a zarazem nikczemny zamach odwrócić». Ale cóż na to poradzić, że sam Niemcewicz, jak widzieliśmy, wyraźnie pisze, iż o tym spisku dowiedział się dopiero za granicą!

Ale co innego geneza postaci poetyckiej, co innego materiał, z którego poeta ją stworzył, a jeszcze co innego sama postać, sam twór: Gustaw, Konrad Wallenrod, Konrad z trzeciej części *Dziadów* (a i ksiądz Robak także) nie jeden rys swojego życia i swojej psychiki zawdzięczają życiu i psychice Mickiewicza, ale ani jeden z nich Mickiewiczem nie jest, podobnie jak nie jest Mickiewiczem pierwsza osoba prologu w *Kordiana* (1). Tak samo, raz jeszcze, Prezes w trzecim akcie *Kordiana* nie jest ani Niemcewiczem, ani Soltykiem, tylko Prezesem. Ci krytycy, którzy — z uszczerbkiem dla ścisłości wyrazu — mówią krótko, że Prezesem jest Niemcewicz (albo Soltyk), przeszkadzają czytelnikowi *Kordiana* do estetycznego odczuwania wspaniałej postaci Prezesa, zniewalając ich do myślenia o Niemcewiczu (czy o Soltyku), to jest o historii, zamiast do rozkoszowania się poezją Słowackiego, w której postać Prezesa jest jedną z najpiękniejszych pereł.

Mówi się często, że w poprzedzającym tragedię *Kordiana* *Przygotowaniu* ów

Starzec jak skowronek,
Zastygły pod wspomnień bryłą,
Napół zastygłą, przegniłą,
Poeta — rycerz — starzec — nie,
Dziewięciu Feba sultanie
Eunuch.....

że ten Starzec to Niemcewicz, czyli, że to «nie», ten «eunuch» to Prezes. Znowu — brak ścisłości! Niewątpliwie w *Przygotowaniu* chciał Słowacki skarykaturować i skarykaturował Niemcewicza, i to, nazywając rzecz po imieniu, w sposób niegodny, obrzydliwy, ale czy karykatura a prawda to jedno i to samo? Przypominają się tutaj mądre słowa Tadeusza Zielińskiego o *Chmurach* Arystofanesa: «Poeta chciał w nich odmalować szkodliwy dla moralności wpływ ruchu sofistycznego,

(1) Ob. studium St. Pigonia, pt. Uwagi o prologu «*Kordiana*» (w książce Na wyżynach romantyzmu, Kraków, 1936, str. 186—198).

lecz popełnił trudny dla nas do wytłumaczenia błąd, czyniąc przedstawicielem jego człowieka, który był właśnie jego przeciwnikiem — Sokratesa. Toteż czytelnik tej komedii uczyni najlepiej, jeżeli owego karykaturalnego Sokratesa oddzieli całkowicie w świadomości swej od świętej dlań postaci Sokratesa historycznego» (1). Podobnie i czytelnik *Kordiana* uczyni najlepiej, jeżeli owego karykaturalnego Niemcewicza oddzieli całkowicie w świadomości swej od świętej dla narodu polskiego postaci Niemcewicza historycznego (2).

(1) Literatura starożytnej Grecji epoki niepodległości, Część pierwsza, Warszawa 1923, str. 131. — (2) Warto jeszcze dodać, że owo «dziewięciu Feba sultanie eunuch» jest szyderstwem nie tylko z Niemcewicza, ale, kto wie, może i z Krasickiego, do którego Niemcewicz pisał tak: «...Kopernik w śmiałym przedsięwzięciu — Miał tylko z sobą jedną z Muz dziewięciu: — Świetną Uranię gwiazdami wieńczoną; — Ty zaś, co umiesz i śpiewać i radzić, — Tobie jednemu było zostawione — Wszystkie je dziewięć zgromadzić». (Juliana Niemcewicza Pism różnych wierszem i prozą tom II, Warszawa 1805, str. 419). A to, że Niemcewicza nazwał Słowacki skowronkiem, tłumaczy się zapewne bajką Krasickiego Skowronek, która stanowi postscriptum listu Krasickiego do Niemcewicza z Heilsberga d. 7 lutego 1790 (tamże, str. 422).

DLACZEGO SŁOWACKI NIE WYKOŃCZYŁ «HORSZTYŃSKIEGO»?

(Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

Osiedlając się w końcu roku 1838 w Paryżu, miał Słowacki w tece dwa utwory, napisane jeszcze w Szwajcarii: *Balladynę* i *Horsztyńskiego*; w pamięci miał nadto *Mazepę*, tragedię, którą także napisał jeszcze w Szwajcarii, ale którą wkrótce po napisaniu spalił. *Balladynę* przerobił i ogłosił drukiem; *Mazepę* napisał na nowo i także wydrukował: czemu nie tknął *Horsztyńskiego*? czemu go nie wydrukował? czemu pozwolił na to, że się kilkanaście kartek rękopisu zawieruszyło i przepadło?

Bohatera tej tragedii, Szczęsnego, nazwano Hamletem polskim, i słusznie: Szczęsny jest podobny do Hamleta, ale nie tyle dlatego, że się Słowacki wzorował na Szekspirze, ile dlatego, że pisząc swoją tragedię, miał w żywej pamięci pewną chwilę własnego życia, w której sam był do Hamleta podobny. Na tę chwilę, do dziś dnia jeszcze niezupełnie jasną, rzuca niezmierznie ciekawe światło jeden dokument ogłoszony dopiero w roku 1924 w 34 numerze *Przeglądu Współczesnego* przez Kallenbacha — z rękopisów Biblioteki Krasieńskich w Warszawie. Jest to tak zwany *Akt jedności* z dnia 17 stycznia roku 1831. Czytamy tu, pomiędzy innymi, następujące ślubowanie podpisanych:

«Bronić wszelkimi siłami niepodległości Ojczyzny...
raczej ustąpić z ziemi naszej lub zginąć, jak ujrzyć w niej
zwyckiego wroga».

Podpisali to ślubowanie, pomiędzy innymi: Adam Czartoryski, Władysław Zamoyski, Ludwik Nabelak, Kazimierz Brodziński, Hieronim Kajsiwicz, Józef Meyzner i — Juliusz

Słowacki. Jak ten ślub spełnili? Czartoryski był prezesem Rządu Narodowego; Zamoyski, Nabelak, Kajsiwicz i Meyzner walczyli; Brodziński, jak świadczy Bohdan Zaleski, «jako mógł i umiał najlepiej, krzątał się około sprawy: na posterunkach w stolicy, z karabinem na plecach przedumał wiele nocy i owoce tych dumań ku pożytkowi przysyłał członkom Rządu i różnym wziętym osobom w Sejmie i obozie». Słowacki także dumał, owoce tych dumań zakładał w kształty poetyckie, ale nie walczył, nie chodził nawet z karabinem na plecach po stolicy, natomiast — wyjechał za granicę, jako kurier dyplomatyczny z ramienia Rządu Narodowego. Prawdopodobnie wysłał go sam Czartoryski, który wiedział o jego istnieniu dzięki listowi polecającemu od Jana Śniadeckiego — wysłał go może dlatego, że się dowiedział o jego męce duchowej. Bo Słowacki się męczył: nie mógł się zdecydować na wstąpienie do wojska.

Z tej to męki właśnie urodził się Hamlet polski, to jest Szczęsny w tragedii *Horsztyński*.

Cała rozmowa Szczęsnego z Nieznajomym, to szczerza i bolesna spowiedź Słowackiego, to wierne zwierciadło jego własnej męki duchowej — w owej chwili, kiedy pragnął spełnić ślubowanie, pod którym położył swoje nazwisko, — i kiedy nie mógł się zdecydować.

Nieznajomy: Namysliłeś się?

Szczęsny: Głęboko — i płasko....

Nieznajomy: Czy możemy liczyć na ciebie?

Szczęsny: Nie.

Nieznajomy: Ale ja ci uręczam, że nasza sprawa pewna.

Szczęsny: Więc ja wam niepotrzebny.

Nieznajomy: Niepotrzebni są przeciwko nam...

Szczęsny: Niepotrzebni jednak muszą żyć, bo nie wiedzą, jak być na świecie, a nie zajmować dwóch stóp ziemi. Człowiek, póki żyje, dwie tylko, jak umrze, sześć stóp potrzebuje miejsca...

Nieznajomy: Nie wiem, co mam o tobie myśleć, panie kolego...

Szczęsny: Myśl o mnie tak, jak ja o sobie myślę... Raz zdaje mi się, że jestem zanadto wielki, abym mógł skonać na bruku między bijącą się zgrają — i przeciąć niewiadomą śmiercią życie, przeznaczone do wielkich czynów. Drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak mały, że nie ma czym nabić harmaty...

Nieznajomy: Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz z wypadkami...

Szczęśny: Otóż tu nieszczęście, że wypadki wydają się mi raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posagu olbrzyma, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karła; drugi raz wypadki wasze zdają mi się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi, chodząc nieuważnie... Gdybym co zaczął, skończyłbym... To bieda, że nie zacząć nie mogę...

Nieznajomy: Więc nie chcesz być z nami?

Szczęśny: Nie chcę... nie mogę...

A scena, w której Szczęśny każe obrywać Amelii margeritkę: «Jeżeli wypadnie tak — to będę z moim ojcem... Będę się cieszył, jeżeli margeritka powie tak... Wypadło tak!... Idź, powiedz mojemu ojcu, że jestem z nim — na wieki — na wieki», — czy ta scena nie jest wyrazem poetyckim tej choroby psychicznej, która się nazywa niemożnością powzięcia decyzji, a która nawiedziła Słowackiego w roku 31?

Jest w *Horsztyńskim* i własny wyrzut sumienia Słowackiego:

Boże wielki! ja się dawno nie modliłem do Ciebie, a teraz czuję serce moje wołające z głębi wnętrzości o litość nad nami... Nad nami? Czym ja jestem? Ja nie powstałem!... Krzyczę między czterema murami wtenczas, kiedy inni umierają w milczeniu...

Nie brak w tragedii innych jeszcze bolesnych przeżyć. Smutek Szczęśnego jest własnym smutkiem Słowackiego z czasów przed wybuchem powstania, kiedy to skarżył się przed siostrą przyrodnią, że jest «nudny i niespokojny». «Domański nazywa mnie nudnym, co w jego litewskim dialekcie to samo znaczy, co smutny». «Nudzę się», mówi Szczęśny, to jest: «jestem smutny». A w czym szuka Szczęśny pociechy na smutek? «Czasy świeże — mówi do Salomei — mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku, poezję». Tego lekarstwa jednak używał nie Szczęśny, tylko Słowacki...

«Piszę teraz więcej, niż kiedykolwiek, a co dziwniejsza, że piszę prozą... Bóg wie, dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie, i stąd więcej może będzie naturalności i bardziej rozwiane zarysy... Kiedyś to wszystko wyda ktoś na świat, może mały Stasio, jak dorośnie». Tak pisał Słowacki do matki, mając na myśli *Horsztyńskiego*. Dlaczegoż to pisał tę tragedię «zupełnie dla siebie», dlaczego z góry ją przeznaczył na utwór pośmiertny? Właśnie dlatego,

że *Horsztyński* jest w wielu miejscach autobiografią, spowiedzią, i to spowiedzią z tych życia chwil, których wspomnianie nie mogło być dla Słowackiego rozkoszą, których wyjawiać przed światem nie chciał.

Prawda, i *Kordian* był w znacznej mierze autobiografią, był także spowiedzią ze słabości, a jednak ogłosił go Słowacki drukiem; tak, ale *Kordian* był jednocześnie samoobroną, w *Kordianie* poeta zdawał się mówić do uczestników powstania: patrzcie, czy taki człowiek, jak ja, nawet gdyby został w kraju, mógłby się wam na co przydać? czy jego nieszczęsne nerwy mogłyby mu nie wymówić posłuszeństwa? Nie dosyć na tym. *Kordian* nie dokonał czynu, ale się bądź co bądź na czyn porwał: Szczęśny się na żaden czyn nie porwał, bo się wahał, wahał i wahał; zdobył się jedynie... na bierność: nie wystąpił ani przeciwko ojcu, ani przeciwko Ojczyźnie. Wahał się i Słowacki, pomimo, że ślubował «bronić wszelkimi siłami niepodległości Ojczyzny, i zdobył się także tylko na bierność: wyjechał za granicę, co sam nazwie wprost ucieczką — ale dopiero później, już w epoce mistycznej, kiedy w jego szlachetniejszej duszy królowała pokora. Przed przystąpieniem do towiańszczyzny królowała w jego duszy duma, w której Krasiński słusznie dopatrywał się mocnej przymieszki pychy: czy wobec tego mógł Słowacki ogłosić tragedię Szczęśnego? czy mógł się narażać, aby złośliwe języki na emigracji utożsamiały go ze Szczęśnym?

Oto dlaczego — z utworów, napisanych w Szwajcarii — przerobił i ogłosił *Balladyne*, napisał na nowo i ogłosił *Mazepę*, a *Horsztyńskiego* nie wykończył i nie ogłosił. Później zaś, w epoce mistycznej, nie dbał o swoją dawniejszą poezję — i zaprzepaścił, czy też ofiarował komu na pamiątkę kilka kart tej wspaniałej tragedii, może nie zdając sobie sprawy, jak straszliwą krzywdę wyrządza tym polskiej poezji dramatycznej.

IDEA «BALLADYNY»
(Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

I

Dwie redakcje „Balladyny“. Cóżbyśmy za to dali, gdyby nam była znana pierwsza redakcja *Balladyny*, z roku 1834! W odgadywaniu idei przewodniej tej tragedii, którą Słowacki ogłosił drukiem dopiero w roku 1839, jako pierwszą z sześciu zamierzonych «kronik dramatycznych», stalibyśmy wówczas na daleko pewniejszym gruncie, aniżeli dotychczas. Są jednak pewne dane, na których podstawie można się pokusić, jeśli nie o szczegółową rekonstrukcję, to przynajmniej o najogólniejszą charakterystykę pierwszej redakcji i, co za tym idzie, o ustalenie niektórych późniejszych zmian i uzupełnień (1).

(1) Sprawie tej poświęcił już dawno specjalne studium Tadeusz Pini, ale niestety nie ogłosił go drukiem. Z krótkiego streszczenia tej pracy, ogłoszonego przez Biegeleisena (Dziela Juliusza Słowackiego V, 358 nast.), widać, że, zdaniem autora, pierwsza redakcja nie miała jeszcze cech dramatu historycznego i że nie zawierała w sobie jeszcze mitu o koronie Lechowej. Praca niniejsza, ogłoszona drukiem w Pamiętniku Literackim XXII—XXIII (r. 1926) podejmuje i uzasadnia ten bardzo prawdopodobny pogląd. Usiłował go zbić Kallenbach w artykule Wiadomość o autografie *Balladyny* (Przegląd Współczesny nr 68, r. 1927), twierdząc, że odnaleziony autograf pochodzi z roku 1834 i że jest jedyną redakcją *Balladyny*, a to na tej podstawie, że mieści się on w zeszycie, pochodzącym z czasów pobytu Słowackiego w Genewie. Kruchość tego argumentu wykazał z. c. w złośliwym artykule Poduczony Kallenbach czyli nauka i charakter (Wiadomości Literackie 1928, nr 1). Kleiner (w trzecim wydaniu *Balladyny* w Bibliotece Narodowej 1930 r.) jest jakby niezdecydowany: «Pismo nie pozwala wprawdzie stanowczo stwierdzić, czy rękopis pochodzi z r. 1834, czy z r. 1839; ale fakt, że utwór pisany jest w kajecie genewskim, skłania raczej do sądu, iż mamy przed sobą tekst szwajcarski, chociaż przechowanie czystego zeszycu przez lat kilka i użycie go po latach nie jest niemożliwe... W każdym razie autograf przechyla szalę na korzyść poglądu, że poeta ogłosił utwór dawny w postaci niezmiennionej». Brückner odrzuca pogląd

Pierwszą redakcję *Balladyny* scharakteryzował Słowacki matce w tych słowach: «Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedia cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jak gdyby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy». Redakcję zaś drugą scharakteryzował Słowacki Krasińskiemu tak: «Wychodzi na świat *Balladyna* z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczeniów».

Z porównania tych dwóch wyznań samego poety wolno wyprowadzić przede wszystkim ten wniosek, że w pierwszej redakcji *Balladyna* nie miała na twarzy ariostycznego uśmiechu: była przecie «cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jak gdyby ją gmin układał»; a przecie gmin, układając ballady, bierze je na serio, nie śmieje się z treści tego, co opowiada, chociażby ona nawet była... komiczna i «przeciwna zupełnie prawdzie historycznej», albo nawet «przeciwna podobieństwu do prawdy»; komizm w balladach gminnych jest naiwny, nie ariostyczny. Otóż, posługując się terminologią Schillera, w pierwszej redakcji była *Balladyna* poezją «naiwną», a dopiero w drugiej — «sentymentalną» (1). Genialna różno-

na istnienie dwóch redakcyj (Przegląd Współczesny, 1926, nr 46, str. 182). Odnaleziony jednak niedawno w Kórniku autograf pięciu pierwszych pieśni Beniowskiego przechyla raczej szalę na korzyść poglądu, że odnaleziony autograf *Balladyny* pochodzi z czasów paryskich. Sprawę mogłyby ostatecznie rozstrzygnąć dokładne badania nad pismem Słowackiego, a tych jeszcze jak niema, tak niema. Więc narazie niechaj wolno będzie trwać przy poglądzie, że odnaleziony autograf *Balladyny* jest drugą, późniejszą jej redakcją.

(1) Możliwą jest rzeczą, że w zamiarze Słowackiego stworzenia wielkiego utworu w stylu poezji ludowej odegrała pewną rolę myśl współzawodnictwa z Mickiewiczem: kto wie, może Słowacki chciał przeciwstawić Panu Tadeuszowi, jako utworowi, opiewającemu życie

stronność talentu czyniła Słowackiego zdolnym do twórczości w obydwóch tych kierunkach.

Że w pierwszej redakcji *Balladyna* nie miała jeszcze ariostycznego uśmiechu, za tym przemawia, prócz pośredniego świadectwa samego poety, inny jeszcze dowód. Krasiński, w liście do Gaszyńskiego, z dnia 20 listopada roku 1839, w liście, w którym polemizuje ze zdaniem przyjaciela o *Balladynie*, pisze: «Proszę cię, wypisz mi dedykacją, o której mówisz, nic o niej nie wiem i nic nie słyszałem». A więc drukowanej *Balladyny* Krasiński nie widział jeszcze wówczas na oczy: znał ją dopiero z pierwszej redakcji, którą mu Słowacki w Rzymie niewątpliwie czytał (1). Oto dlaczego w liście do Gaszyńskiego panuje zupełne milczenie o uśmiechu ariostycznym: mówi o nim Krasiński dopiero później, w listach do Słowackiego i Żaluskiego, kiedy poznał już redakcję drugą, drukowaną.

Jeżeli się tedy zgodzimy na to, że pierwsza redakcja była wolna od ariostycznego uśmiechu, to można będzie twierdzić,

szlachty, utwór, osnuty na podaniach ludowych; utworowi zaś realistycznemu (z którego to charakteru Pana Tadeusza Słowacki od razu zdawał sobie doskonale sprawę, jak to widać z listu do matki z dnia 18 grudnia roku 1834) chciał może przeciwstawić utwór, którego treścią byłby «nowy kraj poetyczny, idealny». — Czy, jak się to starał wykazać Wojciech Grzegorzewicz (w Pamiętniku Literackim, XIII), na koncepcję *Balladyny* wpłynęła teoria Grimma, jest rzeczą wątpliwą, a przynajmniej niepewną: czyż z teorii dopiero miał się Słowacki uczyć, jak gmin tworzy? Czy nie lepiej przypuścić, że się tego nauczył z samych tego rodzaju utworów, na których podstawie Grimm skleił swoją teorię, a więc np. z Nibelungów oraz innych poematów i romansów średniowiecznych, tudzież ballad nowoczesnych? Znał może i dramaty Tiecka. Z tych to utworów, a nie dopiero z teorii, mógł się Słowacki dowiedzieć, że cechami poezji gminnej są: cudowność, anachronizmy, nieprawdopodobieństwa i wszystkie inne cechy, które wyszczególnia, za Grimmem, Grzegorzewicz. Nie bardzo jakoś chce się wierzyć i w to, żeby, jak to sądzi Kleiner (Juliusz Słowacki, II; Biblioteka Narodowa nr 51; Juliusz Słowacki, Dzieła wszystkie, IV), Słowacki świadomie spełniał postulat estetyki romantycznej, żeby mianowicie *Balladyna* była świadomą syntezą różnorodnych pierwiastków, np. tragizmu z komizmem, prawdy z fikcją, wzniosłości z groteskowością i t. d. Te wszystkie pierwiastki w *Balladynie* są niewątpliwie, ale, znowu, czy potrzeba ich obecność wyjaśniać aprioryczną myślą poety, trzymaniem się teorii?

(1) Grzegorzewicz, j. w. str. 37.

że nie było w niej ani *Pisma*, ani *Kuriera*, ani *Wawela*, ani *Filona*.

Wprowadzając do trzeciej sceny aktu piątego dwóch «rycerzy-burmistrzów», dając im imiona *Pismo* i *Kurier* i każąc obu powiesić, wydrwił Słowacki czasopisma emigracyjne, które albo niegodziwie, albo głupio przyczepiały się do jego utworów: porachunki te nastąpiły dopiero w Paryżu, w epoce przygotowywania *Balladyny* do druku.

W Wawelu, jak to już dawno spostrzeżono, ośmieszył Słowacki Lelewela. Ośmieszał go wprawdzie już w Szwajcarii, w *Kordianie*, ale jako polityka i jako historyka mógł go ośmieszyć dopiero w Paryżu, kiedy to, powziawszy zamiar stworzenia całego cyklu «kronik dramatycznych», uwierzył, że poeta swoim natchnieniem lepiej przeniknie i oświeśli mroki dalekiej przeszłości, aniżeli uczony historyk swoją uczoną metodą analizy źródeł.

Filon nie mógł figurować w pierwszej redakcji nie dlatego, że jako sentymentalny kochanek jest w czasach, kiedy się odbywa akcja *Balladyny*, anachronizmem (bo poezja gminna roi się od anachronizmów), ale, nie mówiąc już o innych względach, przede wszystkim dlatego, że postać ta nie ma nic wspólnego ze stylem twórczości ludowej: «I to także baśń — ale nie baśń szczera, ludowa; to baśń sztuczna, o fałszywych tonach, robiona z pseudoklasycznych reminiscencji i sentymentalnej pozy» (1).

Natomiast Pustelnik był już zapewne w pierwszej redakcji; tę bowiem postać zawdzięcza Słowacki nie literaturze pseudoklasycznej i sentymentalnej (2), tylko *Liliom* Mickiewicza, które tak doskonale trafiają w ton naiwnej poezji ludowej.

Grabiec, jako postać, wzięta z życia ludu, był już zapewne; ale czy w drugiej redakcji nie uległ pewnym zmianom i uzupełnieniom? Przecie w miłości Goplany do Grabca, eterycznej nimfy do rubasznego chłopca, wyszydził Słowacki naiwną uludę drugorzędnych romantyków, że źródeł wielkiej poezji trzeba szukać przede wszystkim w prostym ludzie, w jego życiu, obyczajach, poezji, że tedy prowadzi droga do odrodzenia litera-

(1) Kleiner, Juliusz Słowacki 3 II, s. 9. — (2) tamże.

tury. Tym naiwnym właśnie pokazuje Słowacki Grabca, jakby mówiąc do nich ironicznie: «Przypatrzcie się temu chłopu i podziwiajcie jego poetyczność!» Otóż w pierwszej redakcji nie mogło być jeszcze tej ironii i, co za tym idzie, takiej karykatury rubaszości chłopskiej; cieszył się przecie Słowacki, że *Balladyna* otworzyła mu «nowy kraj poetyczny..., kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny»: i z takiego świata miałby sobie żartować? Mógł sobie z niego drwić dopiero w drugiej redakcji, kiedy to zmieniły się i p o w i ę k s z y ł y jego zamiary artystyczne.

Lecz zmiana tych zamiarów polegała nie tylko na zamianie poezji «naiwnej» na «sentymentalną», ale nadto na udzieleniu większej niż pierwotnie roli pierwiastkowi historycznemu.

Że ten pierwiastek był już w pierwszej redakcji *Balladyny*, o tym nie pozwalają wątpić własne słowa poety: «Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy». Obecność tego pierwiastku nie tylko nie klóciła się z zamiarem «ulożenia» tragedii «tak, jak gdyby ją gmin układał», ale, przeciwnie, była wynikiem tego zamiaru, wiadomo bowiem, że gmin często opowieści swoje przywiązuje do jakiegoś miejsca i do jakiegoś czasu; naśladował to już Mickiewicz w *Liliach*, których akcja odbywa się w czasach wyprawy Bolesława Śmiałego na Kijów. Oczywiście, cała ta «historyczność» pierwotnej *Balladyny* była «przeciwna zupełnie prawdzie historycznej»; dosyć, że akcję swojej tragedii umieścił z pewnością Słowacki na tle jakichś dawnych «dziwnych» czasów, być może — za panowania jakiegoś Popiela, jak w ostatecznej redakcji.

Nie było jednak jeszcze w pierwszej redakcji cudownej korony i jej dziwnych losów. Ta korona posiada moc mistyczną: z chwilą, kiedy ją Pustelnik zakopał w lesie, żeby ją uchronić przed rabunkiem samozwańca, zwały się na krainę nadgoplańską klęski i zbrodnie; sama zaś cudowna korona przechodzi różne i bardzo dziwne koleje. Otóż te pomysły zawdzięcza Słowacki najwyraźniej broszurze Lelewela pt. *La couronne de Pologne et sa royauté*, której w Szwajcarii, pisząc *Balladynę* po raz pierwszy, znać jeszcze nie mógł, wyszła bo-

wiem dopiero w roku 1837 (1). Szczegółowo opowiada tutaj Lelewel dzieje korony, którą się koronował Chrobry dnia 25 grudnia roku 1024.

W lat kilka po koronacji o mało nie zaginęła na zawsze korona polska: uwiozła ją z sobą za granicę Ryksa i oddała cesarzowi. I oto natychmiast posypały się na Polskę straszliwe klęski, tak że ledwie nie przypały jej o zgubę. A kiedyż się Fortuna na nowo uśmiechnęła Polsce? Dopiero wtedy, kiedy Kazimierz Odnowiciel odebrał koronę swojego dziada z rąk cesarza. Lecz około roku 1080 znowu runęły na Polskę różne nieszczęścia, i korona Chrobrego przestała zdobić głowę tych, co nosili jeszcze tytuł królewski. «Powieść ludu głosiła, że to Michał Archaniół zdarł godło państwa polskiego z głowy naczelnika narodu, nie był on już bowiem godzien jej nosić od czasu, kiedy się Polska rozpadła na dzielnice». Myśl jedności państwowej prysła, i odtąd już nie śmiano tknąć korony; więc złożono ją w świątyni narodowej, w mieście starym, niknącym i podupadłym — w Gnieźnie, które poczytywano za kolebkę narodu; «kurz coraz grubiej osiadał koronę i pokrywał ją przez dwa wieki z górą..., a lud, pozbawiony jej widoku, rozdzierały niezgody domowe». Dopiero 26 czerwca roku 1295 otrząsnęto ją z kurzu i włożono w Gnieźnie na skronie Bolesława». Dodaje Lelewel: *La couronne de Boleslav avait alors quelque chose de magique*. W roku 1319 koronował się nią Łokietek, i odtąd przechowywano ją w Krakowie: oddał ją Łokietek pod straż całego narodu, — i oto korona przestała być tylko skarbem dynastycznym, a stała się klejnotem całego narodu. Od tej pory nie było już strachu, że ją ukradnie nieprzyjaciół, albo porwie złośliwy cudzoziemiec. Siedemkroć wieńczyła skronie Jagiellonów i urokiem swoim pociągała ku sobie całą ciżbę innych narodów (*une foule d'autres peuples*). Ale cóż, kiedy po Jagiellonach przyszli królowie-cudzoziemcy,

(1) W Rouen, imprimerie de D. Brière, bez osobnej karty tytułowej i bez wymienienia roku. Datę ukazania się podaje Estreicher II, 564 i X, 164. Przekład polski (niezbyt udolny) znajduje się w tomie XIX Polski, dziejów i rzeczy jej, str. 582—624. — O możliwym wpływie Calderona na pomysł cudownej korony jako talizmanu ob. Kleiner, Juliusz Słowacki * II, s. 32 i 33.

i zaczęła się epoka pohańbienia świętej korony, «splamienia szacownego klejnotu, który, przetrwawszy na ziemi ojczystej półtora wieku zniszczenia i zepsucia, dostał się wreszcie w ręce nikiemnych zabójców». Nawiasem mówiąc, odpowiedzialność za to składa Lelewel nie tylko na jezuitów, ale i na... kobiety. Po obiorze Stanisława Augusta przywieziono koronę do Warszawy i włożono ją «na głowę, obwieszoną lokami wypudrowanymi, zlaną pachnidłami, na głowę odprawionego i zapłaconego amanta, który wołał się wyrzec przybrania stroju narodowego, używanego przy tym uroczystym obrzędzie, aniżeli naruszyć wymuskany werżet, ostrzyć długie włosy ufryzowane, uperfumowane i wypomadowane». I oto miara pohańbienia starożytnego klejnotu dopełniła się: korona przestała być symbolem jedności narodowej, — przeciwnie, stała się znakiem rozprzeżenia. Co się z nią stało po trzecim rozbiore, czy wraz z całym skarbem ukradł ją «jeden z rabusiów Rzeczypospolitej — król pruski», czy też może, jak wieść niesie, «jakieś patriotyczne ręce zdołały, kiedy rozkradano skarbiec, unieść z niego jedną tylko koronę Bolesława, jako szacowne *palladium* Polski, złożyć ją w bezpiecznym miejscu i oddać pod straż ludzi, wiernych swojej Ojczyźnie», — tego Lelewel nie wie.

Czy ta jego opowieść o tak zmiennych losach korony polskiej, o wierze w jej moc mistyczną, o jej kradzieży i pohańbieniu, o wieści, że ją ukryto w bezpiecznym miejscu i oddano pod straż ludzi, wiernych swojej ojczyźnie, — nie mogła wpłynąć, albo raczej czy mogła nie wpłynąć na wyobraźnię Słowackiego, w epoce, kiedy powziął zamiar pisania «kronik dramatycznych»? Na samym początku swojej rozprawy skarży się Lelewel, że kiedy Węgrzy mają «szczegółowe i uczone opisy» swojej korony, «korony świętego Stefana», «u nas, w Polsce, nie było antykwariuszów, którzyby sporządzili i ogłosili uczony opis korony Bolesława Wielkiego, równie starożytnej, jak korona świętego Stefana». Słowacki żartował sobie zuczonych antykwariuszów i historyków, drwił sobie z ich metody naukowej, której parodię włożył, w epilogu do *Balladyny*, w usta Wawela-Lelewela. Toteż nie metoda, nie «rozśadek», tylko «instynkt poetyczny» powiedział mu, że korona Chrobrego jest jeszcze starożytniejsza od korony węgierskiej,

że kiedy święty Stefan otrzymał jakąś tam koronę od jakiegoś tam cesarza bizantyńskiego, Lech dostał koronę w darze od jednego z Trzech królów świętych, i to jeszcze jaką koronę!

Zbawiciel niegdyś, wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej lona;
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał: caca! i na brylant biały
Różanych ustek perelkami świecił.

Nie dziw, że

z rozlicznego cudu
Korona Lecha sławną niegdyś była,
W niej szczęście ludu, w niej krainy siła
Cudem zamknięta...

I właśnie dzięki temu «instynktowi poetycznemu» Słowackiego, dzięki jego królewskiej wyobraźni, w której, jak w tej koronie lechowej, «brylant... między dwoma rubiny na trzech perłach» leżał, — powstała o polskiej koronie królewskiej tak poetyczna legenda, jakiej o swojej koronie nie ma żaden inny naród na świecie.

Jeden jeszcze pomysł *Balladyny* zawdzięcza Słowacki Lelewelowi. W broszurze *La couronne de Pologne* czytamy, co następuje: «Stare przysłowie polskie mówi: przez imaginację pojechał na koronację; otóż są tacy chorzy, którzy w obłądnie swoim głoszą królewskość Polski i imaginują sobie, że już niebawem oglądać będą jej blask. Ale bo też od pomieszania zmysłów nie jest wolna nasza emigracja, płynie zaś ono z tych warunków, w jakich się znajduje. Nasi chorzy są zajęci zazwyczaj losami swojej ojczyzny, jej przyszłością, i najczęściej trapi ich myśl, że królewskość zbawi Polskę. Sami przybierają tytuł króla, albo dają go innym, z góry rozdają nominacje na wysokie godności i dostojeństwa królewskie. Smutny to udział ich choroby»... Czy nie przypomina się ukoronowany Grabiec, kiedy mianuje Chochlika ministrem, a Skierkę nadwornym blaznem, i kiedy układa różne głupie projekty rządzenia państwem? I czy to wszystko nie jest złośliwą satyrą, wymierzoną przeciwko tym półgłówkom i obłąkańcom emigracyjnym, o których mówi Lelewel?

Jeden to dowód więcej, że postać Grabca w drugiej redakcji *Balladyny* Słowacki przekształcił: w pierwszej Grabiec jeszcze się nie koronował, bo nie było w niej jeszcze korony. A jeśli nie było korony, to nie było ani jej zakopania i wykopania przez Pustelnika, ani rozmowy o niej Kirkora z Pustelnikiem; co więcej, nie było zdetronizowanego króla, ani, co za tym idzie, samozwańca, ani, co najważniejsza, Balladyna nie myślała o koronie i nie potrzebowała zabijać Grabca, żeby ją dostać, ani iść z wojskiem na Gniezno.

Cóż pozostaje dla pierwszej redakcji? Prawdopodobnie — świat elfów, bo przecie trudno przypuścić, żeby się tragedia, «ulożona tak, jak gdyby ją gmin układał», obywała bez świata fantastycznego; a już na pewno — Balladyna, Alina, Kirkor, Pustelnik, Grabiec (którego Balladyna porzuciła dla Kirkora) i Wdowa (którą Balladyna wypędziła, zostawszy żoną Kirkora); na koniec — może jakiś rycerz (dla którego Balladyna zabiła albo kazała zabić Kirkora). Była więc istotnie *Balladyna* «podobna do starej ballady». Taki zakres treści pozostaje w zgodzie z tym, co Słowacki pisał do matki o pierwotnej *Balladynie*: «Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z *Królem Learem* Szekspira. O, gdyby stała się kiedy przy *Królu Learze*! Dłaczegoż to ani jednym słowem nie wspomina Słowacki o tej «znajomej sztuce», której *Balladyna* dużo jeszcze więcej zawdzięcza niż *Królowi Learowi*, z którą też ma dużo jeszcze więcej «rodzinnego pokrewieństwa»? dlaczego nie wspomina o *Makbecie*? Wyraźnie dlatego, że pierwsza redakcja, o której pisał matce, nie miała «rodzinnego pokrewieństwa» z *Makbetem*, że pierwotna Balladyna nie myślała o koronie, że nie została «wbrew rozwadze i historii... królową polską»; na treść pierwotnej redakcji składały się rozwinięte i uzupełnione własną fantazją Słowackiego pomysły, wzięte z *Malin*, z *Lilij* i z *Króla Leara* (pomysł niewdzięcznej córki), a prawdopodobnie także — ze *Snu nocy letniej*. Akcja odbywała się już w czasach dawnych, ale «kroniką dramatyczną» pierwotna *Balladyna* jeszcze nie była (1).

(1) Powyższe uzasadnienie tezy o dwóch redakcjach *Balladyny* pozostaje w sprzeczności z wywodami Władysława Ćwika, który w swoich cennych Badaniach stylometrycznych nad językiem Juliusza Słowackiego

II

Symbolika «Kronika dramatyczna» powstała dopiero w Paryżu: przeistoczyła się w nią pierwotna tragedia, podobna do starej ballady, dzięki temu, że w głowie Słowackiego zaświtał nowy pomysł — cudownej korony. A jednocześnie zaczął grać na jego ustach uśmiech ariostyczny, który zabił pierwotną «naiwną» poezję, który przepoił «kronikę» «ironią romantyczną». I oto pytamy: z jakiego źródła, z jakich zamiarów artystycznych poety wypłynęły te dwie zmiany? Odpowiedzieć na to pytanie znaczy to samo, co wyjaśnić ideę *Balladyny*.

«Ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z cizy wiekowej wydobywam chóry prorockie». Tak określił sam poeta w poprzedzającym *Balladynę* liście dedykacyjnym swój zamiar artystyczny, powzięty w roku 1839, a przyświecający jego twórczej pracy nad «wielkim poematem», który miał «się nawiązać z sześciu tragedij, czyli kronik dramatycznych». Istnieje pogląd, że przez «chóry prorockie» rozumieć tutaj należy te, które «pojawiają się w *Lilli Wenedzie*», skąd płynąłby wniosek, że *Lilla Weneda* «widocznie pisana już była w chwili wydawania *Balladyny*» (1). Może to i prawda, ale wcale nie tak

wackiego (w Księdze pamiątkowej ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin J. S.) twierdzi, że gdyby Słowacki przerobił w Paryżu *Balladynę*, to musiałaby ona «posiadać jakieś cechy tych utworów, o których napewno wiemy, że były pisane po Kordianie, a przed rokiem 1839, jak Horsztyński, W Szwajcarii, Podróż na Wschód, Waclaw, Anelli, Cenci, Dantyszek», że więc «powinnyby występować» w *Balladynie*, pomiędzy innymi, takie wyrazy, «a przynajmniej niektóre z nich», «jak: smętny, fatalny, ohydny, szkaradny, horror, kaskada, girlanda, anielstwo, krwawnik, narcyz, smętnieć». Otóż, po pierwsze, Ćwik nie wiedział jeszcze o tym, że dwie pieśni *Podróży na Wschód* powstały właśnie w roku 1839, to jest w tym samym, co *Balladyna*, a pomimo to tych wyrazów w nich niema. Po drugie (i to rzecz najważniejsza), psychika poety, kiedy na nowo przystępuje do pracy nad dawniej napisanym utworem, może być, o ile w niej nie nastąpił jakiś rozstrzygający o jej kierunku przełom, podobną do psychiki z czasu, w którym się praca nad utworem zaczęła; cóż dopiero, kiedy utwór był już gotowy, kiedy go tylko poeta przekształca!

(1) Kleiner — w objaśnieniach do *Balladyny* w Bibliotece Narodowej nr 51.

widoczna. Albowiem «chóry prorockie» słyhać już w ciszy wiekowej *Balladyny*; to znaczy, już w fantastycznej legendzie o *Balladynie*, a nie dopiero w *Lilli Wenedzie*, kryją się utworzone przez «lepszy od rozsądku» «instynkt poetyczny» Słowackiego poglądy na przyszłość, na dalsze dzieje nie tylko dawnej, niepodległej, ale i późniejszej, porozbiorowej Polski (1). Gdyby «chórów prorockich» w *Balladynie* nie było, nie rozpocząłby od niej Słowacki cykl swoich «kronik dramatycznych», nie umieszczałby w jednym z nią szeregu *Lilli Wenedy*.

A jakaż myśl przyświecała Słowackiemu, kiedy tworzył *Lillę Wenedę*? Ta, że «każdy lud dźwiga już w dzieciństwie swoim wszystkie zarodki przyszłych dziejów», że «jak dziecko przez naiwne swoje skłonności zdradza namiętność i uczucia, co kiedyś mają miotać jego sercem, tak i naród nie zbija nigdy swoich początków w biegu dojrzalszego wieku»; że «zdrowe wyobrażenie o początkach narodu i o pierwotnym jego kształceniu się... równie jest potrzebne do poznania dziejów tego narodu, jak niezbędnym jest poznanie przyczyny, aby dobrze skutki ocenić»; że wreszcie, «widząc nawet skutki, których trudno jest odgadnąć przyczynę, lepiej będzie tworzyć przypuszczenia, które są tylko do prawdy podobne, aniżeli zostać w ciemności, jeśli nie chcemy, aby całe państwo myśli poddane było pod czczy empiryzm» (2).

(1) Myśl, że *Balladyna* jest utworem w znacznej mierze symbolicznym, że jest mianowicie symbolem teraźniejszej Polski (współczesnej Słowackiemu), wypowiedział i uzasadnił Stanisław Kotowicz w rozprawie: Wątek ideowy w «*Balladynie*» J. Słowackiego i w «*Weselu*» St. Wyspiańskiego (w *Księdze Pamiątkowej*, tom III). Słowacki — mówi słusznie autor — «przenosi współczesność i jej tragedię na tło fantastyczne i stwierdza tym samym, że to, co się dziś dzieje, już tak niegdyś miało się mogło i musiało» (str. 9). Dzisiaj, kiedy badania nad genezą *Balladyny* i *Lilli Wenedy* znacznie postąpiły, ta przewodnia myśl rozprawy Kotowicza staje się jeszcze oczywistszą, niż była w roku 1909, i można ją jeszcze dokładniej uzasadnić. Punktem wyjścia niniejszego studium jest właśnie znakomite studium Kotowicza. Trudno jednak zgodzić się z poglądem autora, że *Balladyna* jest symboliką tylko «współczesności narodu» (str. 39, 43). — (2) Przytoczone słowa są wyjęte z dziełka Lewestama p. t. *Pierwotne dzieje Polski*. Zupełnie możliwą jest rzecz, że te poglądy (których genezę, mówiąc nawiasem, wartoby

Otóż ta sama myśl przyświecała Słowackiemu, kiedy tworzył *Balladynę*, albo raczej wtedy dopiero, kiedy ją w Paryżu przetwarzał. Pierwotna *Balladyna*, jako poezja «naiwna», nie była jeszcze utworem symbolicznym (czyli raczej: była utworem symbolicznym, ale nieświadomie — tylko o tyle, o ile symboliczną jest każda w ogóle poezja, nie wyłączając «naiwnej», jako wyraz czyli symbol myśli, uczuć i w ogóle całej treści duchowej poety podczas tworzenia); natomiast późniejsza *Balladyna*, ta, którą znamy, która jest poezją «sentymentalną», jest już utworem świadomie symbolicznym, jak i *Lilla Weneda*.

Tylko że, obmyślając *Lillę Wenedę*, musiał Słowacki utworzyć «z Polski dawnej» taką «legendę fantastyczną», jakiej przedtem w skarbcu jego wyobraźni nie było; obmyślając zaś *Balladynę*, nowej «legendy fantastycznej» tworzyć nie potrzebował, albowiem w skarbcu swojej wyobraźni znalazł ją gotową, co więcej miał ją napisaną. Przyjrzawszy się jej, ujrzał w niej nowe wartości, nowe możliwości estetyczne, przydatne do urzeczywistnienia zupełnie nowych artystycznych zamiarów; trzeba było jednak stare klejnoty otrząsnąć z pięcioletniego pyłu, dodać kilka nowych, złożyć całość i oprawić ją w nowe ramy. I tak oto wyszła na świat nowa *Balladyna*.

Ze starej pozostały w niej wszystkie anachronizmy, niekonsekwencje psychologiczne i niepodobieństwa do prawdy; przybyły z pewnością i nowe. Krasiński je zrozumiał i wyjaśniał ciekawym: «Pluc już dobrzem nadtracił, i żółci mi przybyło niemało, od kiedy tłumaczę im, a oni nie rozumieją, nie widzą, że nawet pod historycznym względem ten czas winien być tak pojęty, bo był w rzeczywistości takim chaosem, taką mieszaniną, takim socjalnym grochem z kapustą, chrześcijaństwa niedowarzonego jeszcze i pogaństwa, usuwającego się z powierzchni ziemi» (1). Ale nie przyszło Krasińskiemu na myśl, że ten «chaos», ten «socjalny groch z kapustą», mógł być dla Słowackiego nie tylko cechą zamierzchłych czasów, ale i «chórem prorockim» — symbolem tego nieładu, którego się, pod wpływem Krasińskiego, dopatrywał w przeszłości Polski, szczegółowo zbadać) zawdzięcza Lewestam Słowackiemu, a nie Słowacki Lewestamowi.

(1) Listy, III, s. 5—6 (do Słowackiego).

a i tego także, który na własne oczy oglądał w Paryżu — wśród emigracji: przecie «każdy lud dźwiga już w dzieciństwie swoim wszystkie zarodki przyszłych dziejów...»

Nie dosyć na tym. Kto i co wprawia w ruch akcję *Balladyny* i stanowi o takim, a nie innym jej przebiegu? Nie tylko ludzie i ich myśli, zamiary, marzenia, uczucia, namiętności, ale także świat pozaludzki. Jego rola w dynamice *Balladyny* jest nawet o wiele ważniejsza niż ludzi. Gdyby się Goplana nie zakochała w Grabcu, gdyby nie była o niego zazdrosna, nie kazałaby Skierce wyrwać na moście złotej karety Kirkora, i, co za tym idzie, Kirkor nie zatrzymałby się w chacie Wdowy, nie poznałby Aliny i *Balladyny*. Gdyby nie cudowna muzyka echowa, która za sprawą Skierki zaczyna «hymnami powietrznymi dzwonić», Kirkor nie pozostałby u Wdowy dłużej i nie pokochałby dwóch siostr. Gdyby Skierka nie śpiewał do ucha Wdowie: «Niechaj idą w las dziewczyny», Wdowa nie wyprawiłaby ich do lasu, i, co za tym idzie, *Balladyna* nie zabiłaby Aliny. Gdyby nie dzwony podziemne, Pustelnik nie odbiegłby korony, i, co za tym idzie, Skierka i Chochlik nie porwałiby jej i nie dali Grabcowi, itd. Jednym słowem, gdyby nie Goplana i jej elfy, akcja *Balladyny* miałaby całkiem inny przebieg, albo raczej nie byłoby tej tragedii, którą dzisiaj znamy.

Lecz obok świata pozaludzkiego, w osobach Goplany, Skierki i Chochlika, ogromną rolę w dynamice *Balladyny* odgrywa jeden jeszcze pierwiasek pozaludzki: straszliwa kara boża, jakaś klątwa wisząca nad krainą nadgoplańską, tak żywo przypominająca tę klątwę, która zawisła nad Tebami, jako kara za «zbrodnie» nieszczęsnego Edypa (1):

Ty wiesz, jak nasza ziemia wszeteczeństwem
Króla skalana. Wiesz, jak Popiel krwawy
Pastwi się coraz nowym okrucieństwem...
Dotąd żyjącym pod Lecha koroną
Bóg dawał żniwo szczęścia nierozsiane,
Lud żył szczęśliwy; dzisiaj niesłychane

(1) Kotowicz, j. w., 9 nast. To też w «sofoklesowskim *niestety*» (w liście dedykacyjnym) ma Słowacki na myśli nie «bolesną postać Antygony», jak sądzi Kleiner (Bibl. Narodowa, nr 51), tylko tragedię Edypa. Por. Sinko, Hellenizm J. Słowackiego. (Warszawa 1925), str. 191.

Pomory, głody sypie boża ręka.
Ziemia upałem wysuszona pęka,
Wiosenne runa złością się, nim ziarno
Czola pochyli, a wieśniacy garną
Sierpami próżne tylko włosy żyta.
Ta sama Polska, niegdyś tak obfita,
Staje się co rok szarańczy szpichlerzem;
Niegdyś tak bitna, dziś bladym rycerzem
Z głodami walczy i z widmem zarazy (1).

A na to odpowiada Kirkorowi Pustelnik:

Ach! jam przeklęty! przeklęty! trzy razy
Przeklęty! winien jestem nieszczęść ludu...
...Z rozlicznego cudu
Korona Lecha sławną niegdyś była,
W niej szczęście ludu, w niej krainy siła
Cudem zamknięta... oto ja wygnany
Lud pozbawiłem tej korony...
Korona brata mego jak liczmany
Falszywa... moja pod spróchniałe karcze
Lasu wkopana...

Tak więc główną przyczyną nieszczęść, jakie się zwały na krainę nadgoplańską jest to, że cudowna korona znikła z powierzchni ziemi! (1) Oto dlaczego w tej krainie rozigrały się jakieś niesamowite siły, jakieś potęgi diabelskie, oto dlaczego «drzewa, ręką ludzi szczepione», wydają «nieprzewidziane owoce». I rzeczywiście, wszystko w *Balladynie* dzieje się na opak, albo, mówiąc po staropolsku, diabli wiedzą jak; cała tragedia jest «obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumy ludzkiego, z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie». Szlachetny Kirkor dostaje za żonę nie dobrą Alinę, tylko złą *Balladynę*; «powietrzna Goplana kocha się w rumia-

(1) Por. Król Edyp: «Ojczyzna nasza w tej straszliwej porze — W odmęcie nieszczęść, jako widzisz, tonie — I nad żar krwawy głowy wznieść nie może: — Śmierć zgladza dzieci w macierzyńskim łonie. — Pod żarem śmierci upadają trzody — I niedojrzałe pełzną ziemi płody. — Zaraza, przebóg! ta straszna bogini, — Okropną pustkę w domu Kadma czyni. — Czarny się Hades na tebańskiej ziemi — Bogaci łzami i jęki naszemi». (Przekład Kaszewskiego). — (2) Ze korona w *Balladynie* posiada moc cudotwórczą, że jest talizmanem, to bardzo szczegółowo i przekonywująco wyjaśnił Kotowicz.

nym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnych i umarłej kochanki»; Pustelnik przez gapiostwo, zasluchany w dzwony podziemne, odbiega cudownej korony, która też ozdobi najprzód skronie rubasznego pijaka, a potem — zbrodniarki.

Cóż to wszystko znaczy? Tłumaczyć, że taki przebieg akcji jest «wyrazem pesymistycznego poglądu na świat», «przekonania o irracjonalności świata» (1), — nie wystarcza. Nie wolno zapominać, że *Balladyna* jest przecie, z woli Słowackiego, jedną z sześciu «kronik dramatycznych», mających na celu rozświetlić historię Polski, «roztworzyć» «mgłę dziejów przeszłości». A jeżeli tak, to wolno stwierdzić jako rzecz pewną, że przedmiotem pesymizmu Słowackiego był w *Balladynie* nie cały świat, tylko «Polska, dzieje i rzeczy jej». Uwierzył Słowacki Krasińskiemu, że dawna, już historyczna Polska, to «ogrom niedorzeczności» (2); a i we współczesnej sobie, porzobiorowej Polsce widział wszystko może, tylko nie porządek i ład. I właśnie taki pesymistyczny pogląd na dzieje Polski umożliwił Słowackiemu przekształcenie dawno napisanej «legandy fantastycznej» o *Balladynie* na «kronikę dramatyczną». Od Lelewela dowiedział się, jakie to dziwne dzieje przechodziła korona Chrobrego: dzieje te przerzucił w zamierzchłą przeszłość, do czego upoważnił go pogląd, że «każdy lud dźwiga już w dzieciństwie swoim wszystkie zarodki przyszłych dziejów». Przerzucił w zamierzchłą przeszłość i to, co się stało w końcu XVIII wieku: prawowita korona polska znikła, i krajem zaczęli rządzić nieprawowici władcy. Cóż dziwnego, zdaje się mówić Słowacki w *Balladynie*, że naród utracił koronę, jeśli już w dawnych czasach, które były kuźnicą jego przyszłości, raz już tę koronę utracił? Cóż dziwnego, że Polska swoją «duszę anielską» więziła i więzi w «czerepie rubasznym», jeśli już przed wiekami, w zaraniu dziejów Polski, były w jej kolebce nadgoplańskiej, obok takich dusz anielskich, jak Kirkor, takie czerepy rubaszne, jak Grabiec? Cóż dziwnego, że w Polsce niektórzy królowie zostali z woli narodu królami chyba tylko po

(1) Kleiner, j. w. str. 18—20. — (2) Ob. list Krasińskiego do ojca (Kallenbach, Zygmunt Krasiński, II, str. 294).

to, aby «trudniej było zgadnąć», jeśli już dawniej koronę królewską nosił na skroniach Grabiec? Cóż dziwnego, że dzisiaj panują w Polsce najeźdźcy, jeśli już w zaraniu jej dziejów zasiadał na jej tronie samozwaniec, a potem — przy pomocy zbrodniczego cudzoziemca — zbrodniarka?

Tak, wierząc, że nie historyk, tylko poeta przenika mroki przeszłości, miał Słowacki prawo mówić, że, pomimo niedorzeczności i anachronizmów, wszystko w *Balladynie* «ma wewnętrzną siłę żywota», że «natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy, we śnie nawet, nie widziane istoty»; miał prawo, «wbrew rozwadze i historii», posadzić *Balladynę* na tronie polskim. Miał także prawo, wierząc w wyższość «instynktu poetycznego» nad «rozsądkiem», wydrwić w epilogu Lelewela: już to samo, że taki epilog jest, świadczy wyraźnie, że *Balladyna* jest utworem świadomie symbolicznym.

Lecz w utworze tym ukrywa się pogląd Słowackiego nie tylko na przeszłość i współczesność Polski: piorun, który spada na «chwilowe panowanie» *Balladyny*, błyska i roztwiera także mgłę p r z y s z ł o ś c i.

Lecz któż cisnął ten piorun? «Anioł kar», z rozkazu Bogamściciela płynący po niebie za wygnaną przez tegoż Bogamściciela Gopłanę (1). Otóż ta kara śmierci, wymierzona Balla-

(1) Bałucki (Kobiety dramatów Słowackiego, 15) twierdzi (zupełnie nie uzasadniając tego poglądu), że piorun rzuciła Gopłana. Słusznie protestuje przeciwko temu Kotowicz (str. 26—27). Kleiner oświadcza się za Gopłanę, a to na podstawie dwóch tekstów: «Popłatałam ludzkie czyny, — Tak że Bogu mścicielowi — Trzeba wziąć grom i upuścić — Na ludzkie dzieła i winy»... «Lecz nad mury gnieźnieńskimi — Lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi». Twierdzi Kleiner, że obydwa te teksty są zupełnie wyraźne i że świadczą, iż *Balladynę* pokarała Gopłana. W rzeczywistości nie są to teksty tak «wyraźne». Co do pierwszego, to ze stanowiska składni zupełnie możliwe jest wyjaśnienie, że to Bóg-mściciel weźmie grom; co do drugiego, interpretacja, że «zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi» oznacza «rzucę piorun», jest nie tylko sztuczna, ale wprost naciągana — podobnie jak inna jeszcze interpretacja. W scenie ostatniej paż przynosi wiadomość: «Ja sam widziałem z goplańskiego lasu — Za żórawiami lecącą dziewczynę. — Ta na ostatnią orszaku ptaszynę — Padając, białe zawiązała rączki — Za szyję

dynie z rozkazu bożego, jest (podobnie jak w *Anhellim* rycerz, przebiegający śnieżne pustynie Sybiru, a w *Lilli Wenedzie* Najświętsza Panna, ukazująca się w obłokach nad pobożowiskiem), symbolem wiary Słowackiego w lepszą przyszłość Polski: to piekło, którego widownią jest dzisiejsza Polska, — nie będzie trwało wiecznie, złe się na koniec przesili, sam Bóg-mściciel pokarze nieprawowitych władców, którzy ukradli i skrwawili koronę polską.

Takby się w ogólnych zarysach przedstawiała idea *Balladyny*. Nie będąc utworem alegorycznym, jest ona jednak —

ptaka; a głową do ziemi — Sypała włosów rozwite obrączki — Jasne jak słońce, i tak na warkoczu, — Gdy promieniami rozwiał się złotemi, — Leżała płynąc». Wkrótce potem nadbiega strażnik: «Na czarnym wozie jakaś jęzda błada, — Stu żórawiami wywieziona z piekła, — Wężami stado wędrujące siekła — I kierowała nad zamek do chmury». Otóż zdaniem Kleinera (Bibl. Narod. j. w., str. 229) wzmianka o żurawiach dowodzi, że «jest to ta sama postać, którą w jasności świetlanej oglądał paż», to znaczy Goplana, tylko że «przemienia się ona niby (?) w Hekate piekielną». Ależ dlaczego nie miałyby to być dwie różne postaci? Kotowicz ma zupełną słuszość, że «to tak prześliczne, urocze zjawisko nimfy-dziewczyny, nie ma, nie może mieć nic wspólnego z «jędzą», która niebawem piorunem zabije Balladynę». I rzeczywiście, czy można sobie wyobrazić eteryczną, pełną wdzięku Goplanę, która brzydzi się krwią i nożem i która, kiedy Balladyna zamordowała Alinę, idzie «po fali kryształowej biegać» i rzucić «ten ciemny obraz zbrodni w jasne koła zwierciadlanego Gopla», — czy można sobie wyobrazić Goplanę jako piekielną Hekate? I czy jest choć jedno miejsce w tekście Balladyny, któreby wskazywało, że Goplana wystąpi w roli mścicielki? Przeciwnie, jest jeden, zupełnie wyraźny tekst, wskazujący, że w charakterze Goplany niema miejsca na rolę mścicielki. «Idź — mówi do Balladyny — weź ten dzbanek... ja ciebie nie zgubię, — Ale natura, zbrodnią pogwałcona, — Mścić się będzie». (Kotowicz, str. 26). Z drugiej strony, nie ma potrzeby uciekać się do przypuszczenia, że to jakaś nadgoplańska Hekate rzuciła piorun. Tajemnicę wyjaśnia najlepiej sama Goplana: «Anioł kar za mną popłynie, — Krzycząc mi w duszy: Pamiętaj — O róż i malin krainie?» Na upartego możnaby wprowadzić mniemać, że ten anioł kar, skoro krzyczy w duszy Goplany, jest tylko uosobieniem jej wyrzutów sumienia; ale przecie wyraźnie mówi Goplana: «za mną», nie «ze mną», więc o przenośni mowy niema: anioł kar popłynie za nią, i krzyk jego groźny będzie przerażał jej duszę. Otóż piorun rzucił na Balladynę ten właśnie anioł kar, który się wydał oczom strażnika, powiększonym ze strachu, bładą jęzdą.

i musiała być — utworem symbolicznym: inaczej, raz jeszcze, nie wcieliłby jej Słowacki do cyklu «kronik dramatycznych».

Na zakończenie — jedno jeszcze. Postać Filona da się wytłumaczyć i zrozumieć tylko pod warunkiem zgody na symboliczny charakter *Balladyny*. Jeżeli mianowicie zgodzimy się na to, że kryją się w niej poglądy Słowackiego nie tylko na Polskę dawną (historyczną), ale i współczesną, to nie trudno będzie wyjaśnić, w kogo mierzył Słowacki, tworząc postać Filona i z całą świadomością wzorując ją na Gustawie Mickiewicza (1). Wyraźnie — w samego Mickiewicza, w jego rzekomą czułościowość, którą już raz wydrwił w *Prologu do Kordiana*, a której dopatrywał się w tym, że bohater *Dziadów części trzeciej* jest bohaterem serca, a nie czynu, oraz w apoteozowaniu przeszłości Polski w *Księgach narodu*. Taka czułościkowa miłość przeszłości na nic się Polsce nie przyda: oto w jakiej myśli i w jakim uczuciu tworzył Słowacki postać Filona. Najwyraźniej może, najjaskrawiej, drwiny z rzekomej czułościowości Mickiewicza widać w rozmowie Filona z Pustelnikiem (w scenie 3 aktu III): Filon ciągle szuka mogiły Aliny i jest przekonany, że ona i w grobie nie straciła swojej świeżości i młodości. «W grobie tyle świtu, co nad kołyską marzeń», mówi Pustelnik, — jak gdyby Słowacki mówił do Mickiewicza: «O czym marzysz, żeby było w przyszłej Polsce, to wszystko umieszczasz w jej przeszłości, i dlatego ci się zdaje, że tam wszystko takie piękne».

(1) Kotowicz, j. w., str. 38 nast.

CZY «LILLA WENEDA» JEST ARCYDZIEŁEM DRAMATU?

(Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

Nazwano *Lillę Wenedę* nie tylko największym arcydziełem poezji dramatycznej Słowackiego, ale jednym z największych arcydzieł tragedii całej Europy: to «największa tragedia, jaką stworzył romantyzm europejski», mówi Kleiner (1); to «piękno bezprzykładne dotąd», «piękno najwyższe, jakie istnieje w naszym teatrze», mówi Tadeusz Grabowski, dodając, że dzięki *Lilli Wenedzie* stanął Słowacki «obok największych tragiczków czasów najnowszych, jak Schiller lub Grillparzer, Berlioz i Wagner, wreszcie Ibsen» (2).

Dawniejsi krytycy byli bardziej powściągliwi w pochwałach. Małecki pisze wręcz, że «nie śmiałby z nas żaden pewnie zaliczać tragedii tej do skończonych arcydzieł», i że, «godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie» (3). Tarnowski z właściwą sobie wymową i zmysłem estetycznym, wykazuje szczegółowo różne nadzwyczajne piękności *Lilli Wenedy*, poczytuje ją za utwór, wyższy od *Balladyny*, mówi, że rozpacz podbitego narodu nigdy jeszcze tak silnie, jak tutaj, nie przemówiła, że «zguba fatalna» narodu «bez winy, a bez ratunku, oddana jest rysami tak strasznie smutnymi, a tak majestatycznie wielkimi», iż «nigdy może pathos u Słowackiego nie było wyższym i prawdziwszym», iż «jego wyobrażenia nigdy może nie poczęła figur na większe rozmiary» (4).

Kto ma słuszość: krytycy nowsi, czy dawniejsi?

(1) J. Kleiner: Juliusz Słowacki, wydanie drugie, II, 364. — (2) T. Grabowski: Juliusz Słowacki, wydanie drugie, I, 362. — (3) A. Małecki: Juliusz Słowacki, wydanie trzecie, II, 29. — (4) St. Tarnowski: Dwa odczyty. I. *Balladyna*. II. *Lilla Weneda*. Poznań 1881, str. 40.

I

Każdy chyba zgodzi się na to, że od arcydzieła dramatu wolno żądać, aby jego akcja kroczyła nieustannie naprzód, nie cofając się, ani nawet nie zatrzymując się w swym biegu, oraz, co za tym idzie, aby charaktery osób odsłaniały się nade wszystko w akcji i za pomocą akcji. Czy *Lilla Weneda* odpowiada temu wymaganiu? (1)

Scena pierwsza aktu pierwszego jest przepysznym wdrożeniem akcji; zwycięstwo Lechitów nad Wenedami i głośny tryumf zwycięzców, tak mocno odbijający od głuchego milczenia wziętego do niewoli Derwida z synami, — to scena w wielkim stylu tragicznym. Jaskrawy kontrast względem niej stanowi początek sceny drugiej: rozmowa św. Gwalberta ze Ślazurem, mająca charakter komiczny. Nie o to jednak idzie, tylko o to, że ta scena nie posuwa akcji, że służy jedynie do charakterystyki św. Gwalberta i Ślaza. Posuwa się akcja dopiero z tą chwilą, kiedy do chaty św. Gwalberta wchodzi *Lilla Weneda* z błagalną prośbą o ratunek dla wziętego do niewoli ojca. Koniec zaś tej sceny (monolog Ślaza i podłożenie przezeń ognia pod chatę) znowu akcji nie posuwa. W scenie trzeciej rozpoczyna Gwinona swoje okrutne dzieło znęcania się nad Derwidem; w ramach tej sceny znajduje się mowa Derwida («Nigdy! o! nigdy, piekielna! ty nie usłyszysz pieśni niewolnika»), mowa wspaniała, majestatyczna, ale akcję posuwająca jedynie o tyle, że Gwinona każe wylupić oczy Derwidowi. Dalszy ciąg tej sceny, od czasu wejścia *Lilli Wenedy*, jest już cały wypełniony akcją dramatyczną, ale zawiera w sobie pomysł, który na dalszej budowie dramatu zaważy ujemnie: *Lilla Weneda* zakłada się z Gwinoną, że choćby ojciec trzy razy był skazany na śmierć, ona go trzy razy wybawi od śmierci. Otóż ten pomysł zatrzymuje akcję (a przynajmniej jeden z jej trzech strumieni) w miejscu: sytuacja Derwida długo, bo aż do końca prawie sceny trzeciej aktu czwartego, nie zmienia się zasadni-

(1) Przeciwno temu wymaganiu zaprotestował Bronisław Gubrynowicz, nazywając je «szkolarską definicją» (*Studia Literackie* 1935, str. 268). Oczywiście jest to sprawa osobistego poglądu na wartości dramatyczne i swoistej wrażliwości estetycznej.

czo — król Wenedów jest ciągle w niewoli — zmieniają się jedynie szczegóły tej jednej sytuacji. Scena pierwsza aktu drugiego jest wdrożeniem drugiego głównego strumienia akcji, to jest tego, którego bohaterką jest nie Lilla, tylko Roza Weneda; lecz zakończenie tej sceny, monolog Ślaza, idzie już prawie wyłącznie w służbę charakterystyki mówiącego, nie akcji; dopiero przy końcu zapowiada Ślaz, posłuszny rozkazowi Rozy Wenedy, że idzie «służyć u Lecha i zwać się szlachcicem». Ale mniejsza o to: monolog to bardzo krótki, a następująca po nim scena druga cała posuwa akcję naprzód, zwłaszcza od chwili ukazania się Lilli Wenedy, która błaga Lecha o litość i sprawiedliwość dla oślepiętego ojca. Natomiast początek sceny trzeciej (rozmowa Gwinony z dziećmi) jest w stosunku do akcji głównej tylko epizodem, niepotrzebnym do jej rozwoju; długa zaś mowa Gwinony («O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała Uwiesić przez ciebie z islandzkiego brzegu») jest wprawdzie świetną autocharakterystyką Gwinony, ale nie czynnikiem posuwającym akcję. Jest za to tym czynnikiem cała reszta aktu drugiego.

W akcie trzecim monolog Gwinony na początku sceny trzeciej, a w scenie czwartej prawie cała rozmowa Gwinony z Derwidem, akcji, ściśle biorąc, nie posuwa; jeżeli zaś kto powie, że ta rozmowa jest potrzebna do tego, aby Derwid rozdrażnił Gwinonę, która każe go wrzucić do wieży z węzami, że więc jest psychologicznym uzasadnieniem tego rozkazu, to można odpowiedzieć, że i tak, bez tej rozmowy, Gwinona po raz drugi skazałaby Derwida na śmierć — w myśl zakładu z Lillą Wenedą. W tymże akcie, w scenie trzeciej, rozmowa Lilli z Lelum jest w stosunku do głównej akcji epizodem, uwy-puklającym jedynie charakter Lilli (1).

Akty czwarty i piąty są już prawie całkowicie wypełnione postępem akcji. Co najwyżej możnaby tu zrobić zarzut, że monolog Ślaza w scenie drugiej aktu czwartego («Moja nieboszczka matula mówiła, że kłamstwem wyjdę na pana»), sam w sobie, jako komizm, doskonały, nie tylko ani o jeden krok nie posuwa akcji (bo to, co Ślaz zapowiada, że robi, robi później).

(1) Por. Henryk Życzyński: Teoria dramatu, str. 45.

ale nawet nie dorzuca do charakterystyki Ślaza ani jednego nowego rysu.

Niechaj będzie tego dosyć dla okazania, że jeśli ideałem poezji dramatycznej jest doskonale zespolenie akcji z charakterystyką osób, albo, innymi słowy, zupełne pochłonięcie charakterystyki przez akcję, to *Lilla Weneda* jest od tego ideału dosyć daleka.

II

Utwór dramatyczny, w którym akcja zupełnie pochłania charakterystykę, jest przez to samo sceniczniejszy od takiego, w którym są sceny, służące wyłącznie celom charakterystyki. Więc *Lilla Weneda* także od ideału sceniczności jest daleka, — tym dalsza, że owe trzy pomysły, za pomocą których córka wybawia ojca, urzeczywistniają się nie przed oczami widza, tylko poza sceną: o tym, że Polelum rzucił w ojca toporem, dowiadujemy się z opowiadania Lecha, o zaczarowaniu węży przez Lillę — od Sygonia, o nakarmieniu ojca liliami — od samej Lilli. I czy mogło być inaczej? Nakarmić ojca mogła wprawdzie Lilla na scenie; ale syn, ciskający w ojca toporem? Byłaby to szarlataneria dramatyczna, nie dramatyczność. Gdyby zaś Słowacki kazał Lilli czarować na scenie węże, byłaby to scena — jedno z dwojga: albo wstrętna i męcząca, gdyby węże były prawdziwe, albo też śmieszna, gdyby węże były sztuczne. Tak, czy inaczej, dosyć, że sam Słowacki uznał te pomysły za niesceniczne.

Za pomysł niesceniczny uznał także bitwę Wenedów z Lechitami, skoro prawie całą umieścił za sceną. Mniejsza o to, relacje bowiem o bitwie nie przechodzą w długie opowieści epickie, są krótkie i, co najważniejsza, doskonale symbolizują uczucia opowiadających osób (Sygonia i Lecha). O wiele poważniejszy będzie zarzut, że o tym, iż Wenedzi utracili ducha, to znaczy o tym, co stanowi najważniejszy czynnik ich tragedii i najważniejszą przyczynę ich klęski, dowiadujemy się nie tyle z tego, co się dzieje na scenie, ile z opowiadania Rozy Wenedy (sc. 4 aktu IV) i z króciutkiej relacji Lecha (sc. 6 aktu V): przez to traci na sile odczuwanie estetyczne tragizmu Wenedów.

III

Spójrzmy teraz na *Lillę Wenedę* ze stanowiska dynamiki i logiki akcji dramatycznej. Co ją wprawia w ruch?

W akcie pierwszym wszystkie zdarzenia płyną logicznie z woli, myśli i uczuć działających osób: Lech i Gwinona, dzicy z natury, a upojeni tryumfem, znęcają się nad zwycięzonymi; Lilli Wenedzie miłość ojca każe błagać świętego Gwalberta, żeby go ratował; święty Gwalbert, tknięty litością, idzie z Lillą do Lechitów; Derwidowi poczucie godności królewskiej każe po królewsku zachowywać się w niewoli itd. Można by jednakże i na tym już akcie dopatrzyć się pewnej skazy. Oto — przy końcu sceny pierwszej — Lech woła:

Na koń! hej, na koń!
Ufundujemy na trupach królestwo;

a jednak na pole nie wyrusza (pomimo, że o co, jak o co, ale o brak gorącej krwi nikt go nie posądzi) i najspokojniej siedzi sobie w domu, jeszcze nawet w akcie drugim. Ale mniej-sza o to.

W scenie pierwszej aktu drugiego już stanowczo zaczyna się coś psuć w logicznej dynamice akcji. Roza Weneda rozkazuje Ślazowi, aby szedł do obozu Lechitów i wykradł im czarodziejską harfę, która się wraz z królem Derwidem w ich ręce dostała. Czy to prawdopodobne? Czy podobna, aby Roza, która przecie chyba знаła Ślaza, jego tchórzostwo i jego nikczemność, jemu właśnie kazała wykraść harfę, do której Wenedzi przywiązują tak wielką wagę? A jeśli go nie znała, to także nie mogła mu powierzać tak ważnej funkcji. Nie, to nie Roza Weneda, tylko Słowacki wysłał Ślaza do obozu Lechitów, bo mu tam był potrzebny! (1) A dlaczegoż Ślaz posłuchał Rozy? Dlaczego przebrał się w zbroję i poszedł? Czy mu choć odrobinę zależało na tym, żeby Wenedzi odzyskali harfę? Wszystko to psychologicznie nieuzasadnione.

Niektórzy i to jeszcze poczytują w akcie drugim za błąd psychologiczny, że Lilla Weneda, aby ocalić Derwida, zawie-

(1) Przeciwno temu zarzutowi zaprotestował Józef Grzelka, *Kompozycja Lilli Wenedy*, Warszawa 1935, str. 24—25.

szonemu za włosy na drzewie, od śmierci, każe rodzonemu synowi ciskać w ojca toporem: czy dobra, czuła, kochająca Lilla mogła coś tak strasznego wymyślić? Odpowiedź prosta: mogła, bo musiała, wiedząc, że, jak sama mówi do Polelum, «jedyny to jest dla ojca ratunek»; a zresztą i to prawdopodobnie wiedziała, że Polelum nie chybi.

W akcie trzecim do obozu Lechitów przyłazi Ślaz. Dobrze, zgódźmy się na to! Zbyt sprytny jest na to, aby się nie bać, że się cała ta jego impreza może dlań skończyć niefortunnie, więc, kiedy go postawiono na straży, dlaczego nie wziął nóg za pas i nie czmychnął? dlaczego czeka na świętego Gwalberta i ucieka dopiero wtedy, kiedy zdjął z siebie zbroję i wdział ją na swego pana? Jedynie dlatego, że tak chciał... Słowacki. W tymże akcie dowiadujemy się, że Derwida, wrzuconego do wieży, węże nie tknęły, zaczarowała je bowiem grą na harfie Lilla Weneda; wolno jednak wątpić, czy były one dla niej tak wyjątkowo uprzejme, że nie patrzyły z apetytem na Derwida, póki ona nie przyszła (1).

I jedno jeszcze w tym akcie. Lech ciągle jeszcze siedzi w domu. Przychodzi wieść, że Wenedzi wzięli do niewoli Lechona: Lech każe ostrzyć miecze, zapowiada straszną zemstę, ale mu jakoś jeszcze nie pilno w pole, skoro nasamprzód chce wypróbować męstwo stojącego na warcie Salmona.

W scenie pierwszej aktu czwartego — dopiero teraz — Lech wyjawia Gwinonie tajemnicę, że Lechon w niewoli, bo przedtem nie mówił jej nic: kiedy się o tym dowiedział od gońca, zawołał:

Nie mówić Gwinonie!
Ona miłuje bardzo tego syna.

Co się zmieniło t e r a z? Nic: mógł przecie Lech ufać, że odbije syna. Więc to oznajmienie Gwinonie o nieszczęściu nie

(1) Dr. Grzelka (j. w. str. 32) przypuszcza, że «Chrzanowskiemu nie podoba się Ślaz i dlatego, że jest — katolikiem»; lecz tej naukowej hipotezy autor nie popiera żadnym argumentem. Natomiast bodaj czy nie słusznie broni Słowackiego przed dwoma pierwszymi zarzutami nieprawdopodobieństwa w akcie trzecim tragedii; ale, że pewności nie ma, niech te zarzuty pozostaną, póki ich kto nie zbije lepiej (ku wielkiej radości oskarżyciela).

Lechowi było potrzebne, tylko Słowackiemu, jako środek techniczny, aby wypędzić Lecha w pole — na widok dzikiej rozpaczki Gwinony. Była inna jeszcze racja, dla której Słowacki kazał Lechowi oznajmić żonie o wzięciu Lechona do niewoli: oto Gwinona, wypuszczając na wolność Derwida po trzecim ocaleniu go przez Lillę, ma powód do zatrzymania u siebie czarodziejskiej harfy Wenedów, jako zakładu za Lechona.

W dalszym przebiegu akcji rolę rozstrzygającą odgrywa kłamstwo Ślaza, który oznajmia Wenedom, że Derwida i Lillę zamordowali Lechici; gdyby nie to kłamstwo, Roza nie zamordowałaby Lechona, a gdyby go nie zamordowała, toby wzamian za żywego syna Gwinona oddała Wenedom harfę, a Lilla nie potrzebowałaby iść po nią ze Ślazem do obozu Lechitów i nie byłaby uduszona przez Gwinonę. Przeciwno takiego rodzaju uzasadnianiu wypadku można, zapewne, buntować się w sercu, bo to przecie straszne, aby jedno kłamstwo jednej marnej figury pociągało za sobą tak daleko sięgające skutki; ale protestować w rozumie przeciwko tak ujętej logice wypadków na tym «najlepszym z możliwych światów» trudno — od czasów Woltera.

Akt piąty jest już prostą konsekwencją wypadków poprzednich: Lillę, kiedy po harfę przyszła bez Lechona, Gwinona udusiła i martwe jej ciało odesłała Wenedom przez Ślaza; jakim cudem ten bohater, idąc z Lillą w paszczę rozwścieczonego zwierza, nie drapnął, dlaczego jemu właśnie kazano towarzyszyć Lilli, — to jest znowu tajemnicą Słowackiego... Tymczasem Wenedzi walczą i, jak się to nieraz słyszy, zwyciężyliby, gdyby im Derwid zagrał na harfie. Ale harfa nie wróciła — i Wenedzi przegrywają.

IV

Czemże jest ta harfa, która, zdawałoby się, odgrywa tak ważną rolę w dynamice *Lilli Wenedy* i wywołuje katastrofę? Że jest symbolem poezji narodowej, zagrzewającej do zwycięstwa, a przez to symbolem ożywianej przez poezję mocy ducha narodowego, wiary narodu w swoje siły, w swoją gwiazdę, w zwycięstwo, to jasne. Wenedzi nie uwierzą, aby mogli zwy-

ciężyć bez harfy. Lelum, kiedy wraz z bratem udusił Sygonia, wskazuje z tryumfem na jego ciało i woła:

O! gdyby ojca harfy jęk — o! gdyby
Jeden jęk tylko harfy Derwidowej,
A z wszystkich byłyby — o, takie trupy...

Podczas bitwy wpada na scenę jeden z Wenedów z okrzykiem:

Lechici nas łamią,
Lud czeka pieśni!

Roza Weneda, wysyłając Ślaza po harfę, wyraźnie mówi:

Skona mój ojciec,
Ale harfa zwycięży narody.

Kiedy zaś Derwid wraca bez harfy, Roza woła:

O! bogdaj mię piorun!..
Bo ty bez harfy przyszedłeś, o! królu!
I dziś upadniesz na stos — bez królestwa.

I wreszcie, kiedy się zbliża Ślaz, Roza, myśląc, że przynosi harfę, woła:

Już słyszę harfę idącą, już słyszę..
Uderzcie w tarcze, niech się zejdą wodze:
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.
A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,
A wszyscy, którzy nie usłyszą — pomrą.

I Derwid, myśląc, że w skrzyni, przywiezionej przez Ślaza, jest harfa, mówi do rycerzy:

Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą —
A duszę już mam w rękach, tu — jak piorun,
Jak piorun całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią. —

Lecz w skrzyni harfy nie było, i wkrótce potem mógł Lech powiedzieć o Wenedach, że «zupełnie ducha stracili ci ludzie». Nie straciły go tylko jednostki: dla nich tylko były prawdą słowa Rozy Wenedy, że trup Lilli i płacz Derwida to skuteczniejsza pobudka do męstwa, niż harfa; ogół ducha stracił.

Czyby go jednak nie stracił, gdyby harfa zagrała? Czyby ona mogła dać Wenedom zwycięstwo? Wolno wątpić! Bo przecie w pierwszej bitwie (to jest w tej, o której przebiegu dowiadujemy się z prologu) harfa była jeszcze w rękach Wenedów, a jednakże ponieśli straszliwą klęskę. Nie, Wenedzi ludzą się tylko, że zwyciężyliby, gdyby im harfa zagrała. Więc w dynamicie *Lilli Wenedy* nie harfa odgrywa rozstrzygającą rolę, nie ona prowadzi do katastrofy, tylko to samo, co przyprawilo Wenedów o pierwszą klęskę: «przekleństwo»:

Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki,
Widzę umarłą...

— — — — —
Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty...

Co znaczą te słowa Rozy Wenedy, która i podczas drugiej bitwy nazywa Wenedów ludem, «potępionym przez Boga»? Czy to jakieś *fatum* starożytne, które np. kazało Edypowi zamordować ojca i ożenić się z matką? Nie, to *fatum* tkwi w samych Wenedach, a polega na słabości ducha, na braku wiary we własne siły, na oglądaniu się na pomoc z zewnątrz, na liczeniu na Boga i na harfę czarodziejską, a nie na siebie. Już w prologu, kiedy Roza Weneda zaklina się harfciarzom:

Że kości z pobojuwiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy,

harfciarze odpowiadają:

Wstaną i zginą raz drugi...

A przy końcu pierwszego aktu mówią:

Z ust się wydiera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy, drżąc na piorun z chmur...

W akcie czwartym Roza Weneda opowiada, że miała straszliwą wizję:

...Stali ludzie w szyku, równi,
Równi, zimni, biali jako groby...

Wtem ktoś cicho wykrzyknął: *Giniemy!*
I tysięcy sześć — nietkniętych żelazem —
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem —
Otworzyłam jeden tulów trupowy,
I znalazłam, że w nim serce zbladło,
I tak trzęsło się, jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta,
I rozciąłam drugą pierś dla ptaków;
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków
Zamiast serca. — I pierś trzecią rozdarłam,
I spojrzalam w nią — lecz była pusta!
I nie było w niej serca...

Tuż potem wchodzi na scenę dwunastu wodzów wenedzkich — nie mają oni wiary w zwycięstwo, tłumacząc się, że przecie król «i harfa jego złota w niewoli» i że nie widać jakos «wodza dwugłowego». Wódz dwugłowy zjawia się wprawdzie, cóż z tego, kiedy i on w zwycięstwo nie wierzy: przecie Polelum już dawniej (w akcie trzecim) pocieszał smutnego brata — czym? tym, że «za trzy dni wszyscy będziemy niczym»; w akcie piątym Lelum, nawet po uduszeniu Sygonia, nie wierzy w zwycięstwo — bez harfy, jak nie wierzy w nie Wened, wpadający na scenę z krzykiem: «Lehici nas łamią, lud czeka pieśni!» Później wodzowie wenedzcy zaprzysięgają wprawdzie zemstę, ale dodają: «aż do śmierci», to znaczy, przysięgają, że zginą, ale nie obiecują zwycięstwa. Podobnie i Lelum, całując zmarłą siostrę, mówi:

Na ustach twoich, siostro — zaprzysięgam,
Że zobaczymy się dziś...

A Derwid? Derwid tak dalece stracił ducha, że się dwakroć przebija nożem ofiarnym, a konając, zdobywa się na piękny frazes:

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce...

Ten zaś upadek ducha wśród Wenedów jest rzeczą tym smutniejszą, że mają oni przecie i fizyczną i liczebną przewagę nad Lechitami; są oni przecie olbrzymami, a Lehici karłami; co zaś do przewagi liczebnej, to Lech wyraźnie mówi:

Rycerzy moich garsteczka maleńka,
Podjazdem i te siły rozerwane;

A ci Wenedzi z dwunastu się krain
Zeszli i całe okrywają pole.

Ta właśnie słabość ducha Wenedów, którzy — raz jeszcze — ludzą się tylko, że zwyciężyliby, gdyby mieli harfę, odgrywa w dynamice *Lilli Wenedy* rolę rozstrzygającą i prowadzi do katastrofy tragicznej. Otóż w świetle tej słabości, czyli raczej pod warunkiem uświadomienia sobie tej słabości, godzimy się z rolą (a przynajmniej rozumiemy tę rolę), jaką w dynamice tragedii odgrywa przypadek, czy też to drobnutkie zdarzenie, jakim jest kłamstwo Ślaza: gdyby Wenedzi byli silni duchem, gdyby liczyli nie na pomoc z zewnątrz, tylko na siebie, toby ono nie pociągnęło za sobą tak strasznych skutków.

V

Lecz teraz powstaje pytanie: dlaczego Słowacki tak właśnie akcją pokierował? Dlaczego dynamika tragedii jest, jak widzieliśmy, nie wszędzie logiczna? Tłumaczy to się tym, że się wizja tej tragedii kształtowała w wyobraźni Słowackiego nie tylko pod znacznym, ale pod dominującym wpływem idei patriotycznej.

Jak dla Eurypidesa, kiedy pisał *Trojanki*, *Hekubę* i *Andromachę*, lzy ludzkie i nieszczęścia, które pociągnęła za sobą wojna trojańska, były symbolem tych nieszczęść i lez, które wywołała bratobójcza wojna peloponeska (1), tak dla Słowackiego

(1) Pokrewieństwo *Lilli Wenedy* z tragediami Eurypidesa sięga może głębiej, aniżeli dotychczas sądzono, polega bowiem nie tylko na technice, na wprowadzeniu chórów (Sinko, Hellenizm Juliusza Słowackiego, 170). Kto wie, może trzy wyżej wymienione tragedie Eurypidesa odegrały pewną rolę w genezie niektórych pomysłów *Lilli Wenedy*: *Andromacha* zachowuje w niewoli podobną godność wobec zwycięzcy-Menelaja, jak *Derwid* wobec *Gwinony* (ob. Tragedie w przekładzie Kasprowicza II, 72); jak *Lilla Weneda* błaga o litość dla ojca, tak *Hekuba* zaklina *Odyseusza*, aby nie oddawał na śmierć jej ukochanej córki, *Polikseny* (I, 215); *Odyseusz* jest podobnie pyszny wobec *Hekuby*, jak *Gwinnona* względem *Derwida*; przodownica chóru w *Hekubie* woła: «Aja! jakżeż to źle jest żyć w więzach niewoli, przemocy dźwigać jarzmo jakżeż to nas boli!», a cały chór śpiewa pieśń rozpacz po utracie niepodległości (I, 242), — podobnie jak harfiarze w tragedii polskiej. Co

kiego walka *Lechitów* z *Wenedami*, która się skończyła klęską *Wenedów*, była symbolem jego myśli i uczuć, wywołanych upadkiem Polski, a zwłaszcza katastrofą 1831 r. Te właśnie myśli i uczucia ukształtowały tragedię i, jak to zobaczymy, ponoszą odpowiedzialność za błędy logiczne jej dynamiki.

Ale dlaczegoż to szukał Słowacki kształtów, symbolizujących jego myśli i uczucia patriotyczne, w zamierzchłej przeszłości? Dlaczego swoją wizję tragiczną upadku Polski i powstania listopadowego, pokrył mgłą całych wieków? Na to są dwie odpowiedzi. Jedna jest zawarta w tych słowach *Mickiewicza*:

Ale o krwi tej, co się świeżo lala,
O łzach, którymi płynie Polska cała,
O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała, —
O nich pomyśleć nie mieliśmy duszy!...
Bo naród bywa na takiej katuszy,
Że kiedy zwróci wzrok ku jego męce,
Nawet Odwaga załamuje ręce...
Te pokolenia, żałobami czarne,
Powietrze, tyłą klątwami ciężarne...

do techniki, warto jeszcze na to zwrócić uwagę, że prolog do *Lilli Wenedy* jest nie tylko wdrożeniem akcji, ale zarazem krótkim streszczeniem, jeżeli nie całej tragedii, to przynajmniej tragedii narodu *Wenedów*: otóż taką techniką posługiwał się także Eurypides, z tą wszakże różnicą, że jego prologi nie mają akcji dramatycznej, są bowiem monologami. — Najsilniejszym jednak węzłem pokrewieństwa, który wymienił sam Słowacki, jest «półposagowość formy». Co to znaczy? To, że tragedie Eurypidesa, niektóre przynajmniej, nie mają już dawnej prostoty posagów: po pierwsze dlatego, że akcja niektórych tragedii (po między innymi *Hekuby* i *Trojanek*) nie jest jednolita, że płynie nie jednym strumieniem, że się w rozwoju swoim nie tylko pogłębia, ale i rozgałęzia (podobnie jak w *Lilli Wenedzie*); a po wtóre dlatego, że w tragediach Eurypidesa jest albo zupełnie, albo prawie zupełnie nieznana dwóm jego wielkim poprzednikom mieszanina idealizmu i realizmu, że są w nich nieraz takie szczegóły realistyczne, którymi by pogardził Sofokles, a tym bardziej Eschylus, że obok postaci wyidealizowanych są postaci bardzo prostackie: egoiści, nikczemnicy, wiaronowcy, ludzie o niskich ambicjach, słowem, jakby powiedział Słowacki, «mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa». (Por. Alfred et Maurice Croiset, Manuel d'histoire de la littérature grecque).

Tam myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów
 W sferę, okropną nawet ptakom grzmotów...
 O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie
 Złożona!... Nie masz sił mówić o tobie!...

Nie tylko Mickiewicz, ale i Słowacki nie miał do tego sił; co najwyżej mógł wyśpiewać k r ó t k i *Grób Agamemnona*, ale większych swoich utworów nie miał sił przepoić krwią, co się świeżo lała, ani łzami, którymi płynęła Polska cała: musiał tę krew i te łzy przenieść w wiekową dal, to zaś, co sam miał narodowi do powiedzenia, włożył w usta harfiarzy i Rozy Wenedy. «Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada, a czasem szczenioce Alfieriego językiem»: bo i Alfieri przez usta swoich postaci wypowiadał własne swoje myśli i uczucia (w wierszach nierymowanych, jak w *Lilli Wenedzie*); i on poczytywał swoje tragedie historyczne za pobudki do zrzucenia jarzma; i w jego oczach przeszłość załamywała się w pryzmacie bolesnej terażniejszości.

Drugą zaś odpowiedź dał sam Słowacki: «Zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową; ...teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi, ...jest to... dla mnie droga konieczna; ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistymi rzeczami, opadają mi skrzydła, i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć, albo gniewny, jak w onym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni, śpiewany przez poetę». Tak więc sam Słowacki przyznaje się, że aby mówić o rzeczach rzeczywistych, musiał je przyoblekać w fantastyczne widma, kolory, obrazy, inaczej by mu bowiem nie dopisało natchnienie; a przez «rzeczywiste rzeczy» rozumiał, pomiędzy innymi, rzeczy terażniejsze (1). A jeżeli tak, to krytyk ma nie tylko prawo, ale i obowiązek szukać w widmach, kolorach i obrazach *Lilli Wenedy* rzeczy rzeczywistych — i terażniejszych.

(1) Józef Maurer, Lilla Weneda, wyjaśnienie zasadniczych problemów (w *Przewodniku Naukowym i Literackim*, 1911, str. 73).

VI

Starano się wykazać, że w genezie *Lilli Wenedy* odegrały pewną rolę rozmowy Słowackiego z Fryderykiem Henrykiem Lewestamem, z którym poeta poznał się w Paryżu w roku 1839, czy też trochę wcześniej, i który niebawem (1841) ogłosi swoją marną elukubrację pt. *Pierwotne dzieje Polski* (1). Jest to bardzo możliwe. O hipotezie, że państwo polskie powstało drogą podboju, nie potrzebował się wprowadzić Słowacki dowiadywać dopiero od Lewestama; być może jednak, iż jemu zawdzięcza kilka drobnych pomysłów, jak ten np., że pierwotna ludność Polski była celtycka itd. Mniejsza o to. O wiele ważniejszy jest pomysł, że, jak pisze Lewestam w pomienionej elukubracji, «każdy lud dźwiga już w dzieciństwie swoim wszystkie zarodki przyszłych dziejów», że «jak dziecko przez naiwne swoje skłonności zdradza namiętności i uczucia, co kiedyś mają miotać jego sercem, tak i naród nie zbija nigdy swoich

(2) W. Hahn, Celtowie w *Lilli Wenedzie* (*Pamiętnik Literacki*, 1903); St. Turowski, Geneza narodu w *Lilli Wenedzie* (tamże, 1909). Kleiner nazywa Lewestamą «przyjacielem» Słowackiego. Na jakiej podstawie aż przyjacielem? i czy to nie za wiele zaszczytu dla Lewestamą, marnego kompilatora i zuchwałego, bezczelnego blagiera (takie pojęcie, zupełnie słuszne, mieli o nim jego słuchacze w Szkole Głównej i w uniwersytecie warszawskim)? W roku 1873 w tygodniku warszawskim *Kłosy* (Nr 409), w sprawozdaniu z przedstawienia *Mazepy*, opowiada Lewestam, że bawiąc w Paryżu, mieszkał w tym samym domu i na tym samym piętrze, co Słowacki, że «zabrana już poprzednio znajomość skutkiem bliskiego sąsiedztwa ścięła się», że mu Słowacki czytał *Mazepę* itd. Był Słowacki, pisze jeszcze Lewestam, o lat osiem od niego starszy, «z tym wszystkim serdeczna jego natura nie odpychała mnie; owszem, im skromniej ja usuwałem się na bok, tym on mnie życzliwiej poszukiwał i ciągnął do siebie». Dziwna rzecz, Słowacki w listach milczy o tym poszukiwanym i ciągnionym «nowym przyjacielu». Kiedy się czyta owo wspomnienie Lewestamą o Słowackim, mimowoli przychodzi na myśl przysłowie: «Więcej poufaleści, niż znajomości». Ten marny blagier — z właściwą swojemu semickiemu pochodzeniu arogancją — chciał się prawdopodobnie pochwalić! Warto oczyścić biografię Słowackiego z przyjaźni z tą «mniejszą mrówką ludzkości». Wyrazem «przyjaciel» posługuje się mowa polska o wiele ostrożniej, aniżeli niemiecka wyrazem *Freund*, a francuska wyrazem *ami*.

początków w biegu dojrzalszego wieku»; że «zdrowe wyobrażenie o początkach narodu i o pierwotnym jego kształceniu się... równie jest potrzebne do poznania dziejów tego narodu, jak niezbędnym jest poznanie przyczyny, aby dobrze skutki ocenić»; że wreszcie, «widząc nawet skutki, których trudno jest odgadnąć przyczynę, lepiej będzie tworzyć przypuszczenia, które są tylko do prawdy podobne, aniżeli zostać w ciemności, jeśli nie chcemy, aby całe państwo myśli poddane było pod czczy empiryzm». Czy tę myśl, że naród już w dzieciństwie swoim nosi zarodki przyszłych dziejów, zawdzięcza Słowacki Lewestamowi, czy komu innemu, czy samemu sobie, dosyć że w genezie *Lilli Wenedy* odegrała ona rolę bardzo ważną. «Lepiej... tworzyć przypuszczenia, które są tylko do prawdy podobne, aniżeli zostać w ciemności», — *Lilla Weneda* jest właśnie takim przypuszczeniem, które pod pewnym względem jest owocem nie tylko fantazji, ale i rozumowania: jeżeli «każdy lud dźwiga już w dzieciństwie swoim wszystkie zarodki przyszłych dziejów», to z tych późniejszych dziejów, z ich charakteru, wolno snuć wnioski o charakterze tego ludu w dzieciństwie. I oto spojrział Słowacki w zamierzchlą przeszłość swego narodu, w epokę powstawania państwa drogą podboju, pod kątem widzenia dziejów późniejszych, mianowicie epoki upadku, przez co, mówiąc nawiasem, wyprzedził «...szkołę historyczną krakowską», która także na przeszłość Polski patrzyła pod kątem jej przyszłego upadku, nade wszystko szukając przyczyn, które go wywołały. Różnica pomiędzy tymi «uczonymi» a poetą polegała na tym, że «uczeni» rozważali przeszłość Polski pod kątem jej upadku w końcu XVIII wieku, a poeta snuł fantazje o zamierzchłej przeszłości na kanwie swych rozmyślań nie tylko o przyczynach jej upadku w XVIII wieku, ale także o przyczynach klęski roku 1831. *Lilla Weneda* jest w swojej koncepcji historiozoficznej projekcją przeszłości bardzo świeżej w przeszłość bardzo daleką. Jeżeli do wyobraźni Słowackiego żywo przemówiła teoria, że państwo polskie powstało drogą podboju, to głównie dlatego, że dręczyło go zagadnienie, dlaczego Polska straciła niepodległość, dlaczego uległa podbojowi i dlaczego się w roku 1831 nie wybiła na wolność. Rozwiązał to zagadnienie tak, że Polska więzi swą du-

szę anielską w czerepie rubasznym: te dwa znamiona rozdzielił pomiędzy Lechitów a Wenedów (1), i tym sposobem *Lilla Weneda* jest satyrą na polski charakter narodowy, ten sam, zdaniem Słowackiego, w czasach zamierzchłych, co i dzisiaj. Czy jednak, charakteryzując Lechitów przez usta Gwinony, a nade wszystko Ślaza, wszystkie ich cechy wziął Słowacki z charakteru polskiego? Wolno sądzić, że nie; mianowicie dwie przynajmniej (gburostwo i gust do ukwaszonych ogórków) to cechy raczej rosyjskie niż polskie, nie mówiąc już o tym, że takie wady, jak «owczarstwo» (tj. pęd do naśladownictwa) i «zwyczaj przysięgać *in verba magistri*», przystają równie dobrze do charakteru polskiego, jak rosyjskiego.

Ale bo też pamiętać trzeba, że w tworzeniu się wizji artystycznej *Lilli Wenedy* daleko większy miała udział myśl o walce Polski z Rosją, aniżeli myśl o formowaniu się państwa polskiego. Prolog mianowicie, dwa pierwsze akty i akt trzeci aż do sceny czwartej włącznie — to obraz symboliczny Polski po upadku powstania kościuszkowskiego, obraz pierwszych lat niewoli. W tragedii, z wyjątkiem Rozy Wenedy, wszyscy tracą ducha: czy w rzeczywistości było inaczej? Dosyć czytać pamiętniki Skarbka, aby się przekonać, że ogół ducha stracił, że stracił wiarę we własne siły, że liczył na pomoc Pana Boga, Napoleona, Aleksandra I, ale nie na siebie. Znęcanie się Lechitów nad Derwidem i jego dziećmi to, oczywiście, obraz symboliczny znęcania się Rosji nad Polską po upadku powstania kościuszkowskiego, — i kto wie, czy swego okrucieństwa, swej zjadłości, swej dzikiej nienawiści względem zwyciężonych Gwinona nie zawdzięcza Katarzynie; zawdzięcza jej może także swoją «krew zieloną», którą jej ciska w oczy Derwid, a którą Słowacki dał Imperatorowej już w poemacie o Piaście Dantyszku. Kto wie także, czy Lech nie zawdzięcza swego poczucia sprawiedliwości cesarzowi Pawłowi, który, jak pisze Niemcewicz w *Pamiętnikach czasów moich*, «ze wszystkimi uniesieniami miał ważną cnotę, to jest sprawiedliwość». Mimochodem wtrąćmy tu jeden drobiazg: jeżeli Ślaza, kiedy na uczcie u Lechitów wziął w łeb talerzem, zawołał: «octu!» — to pomysł ten

(1) Kleiner, j. w. 327.

wziął wyraźnie Słowacki ze znanej dykteryjki o Moskalu, który na pytanie, co zrobił, kiedy dostał w pysk, odpowiedział: «uksusu priložil» (octu przyłożyłem).

Od sceny piątej aktu czwartego zaczyna się w tragedii symbolika powstania listopadowego. Kto wie, może nawet zwlekaniu Lecha, który, wbrew swojej walecznej naturze i gorącej krwi, nie spieszy się jakoś na pole bitwy, ma swoje źródło w zwlekaniu Rosji z «tłumieniem buntu polskiego». A co już żadnej wątpliwości nie ulega, to, że brak ducha u Wenedów jest symbolem nastroju społeczeństwa polskiego, które, zerwawszy się do boju, nie miało jednak wiary w zwycięstwo.

A Lelum i Polelum? Dlaczego, skuci łańcuchem w niewoli, są nim także skuci po wydostaniu się na wolność? Jest to oczywiście symbol: w niewoli stracili wiarę w przyszłość narodu i nie odzyskali jej, kiedy się ponownie rzucili do walki. Wyrażna to aluzja do niewierzących w zwycięstwo wodzów powstania listopadowego. Roza Weneda, uzbrajając braci, mówi do jednego: «Ty będziesz bronil brata swego tarczą», a do drugiego: «Ty go zakryjesz miecza błyskawicą»; potem zaś do obojgu: «Jesteście jednym rycerzem-mścicielem». Zdawałoby się więc, że Lelum i Polelum to symbol jedności dowództwa. A jednak dlaczego Słowacki mówi w liście *Do autora «Irydiona»*: «Oto jest rycerz, z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, ...wódz, mający dwie dusze i dwa ciała, n i e s z c z ę ś c i e narodu, przeznaczenie, dowodzące potępionemu przez Boga ludowi...»? Wobec tych własnych słów poety niepodobna wątpić, że Lelum i Polelum to gorzka satyra na wodzów powstania listopadowego, wśród których nie było zgody, a nade wszystko satyra na dwóch wodzów bitwy pod Grochowem, Radziwiłła i Chłopickiego. Kto wie nawet, czy genezą pomysłu, że Polelum niesie na rękach ciało zabitego brata, wciąż jeszcze przykute doń łańcuchem, i że po śmierci brata rzucił się zrozpaczony na stos, nie jest czasem to, że Chłopicki pod Grochowem był ranny, tak że musiano go odwieźć do Warszawy, i że Radziwiłł wtedy głowę stracił. Dopatrzone się różnicy pomiędzy Lelum i Polelum: Lelum to poeta i marzyciel, a Polelum — to mąż czynu; czy tak jest, czy nie jest, dosyć, że obydwaj są bliźniaczko do siebie podobni w tym, że pragną

nie zwyciężyć, tylko umrzeć, w zwycięstwo bowiem ani jeden, ani drugi nie wierzy, jak nie wierzył w nie ani Chłopicki, ani Radziwiłł.

Gdyby dalej nie myśl o powstaniu listopadowym, nie byłoby w *Lilli Wenedzie* świętego Gwalberta, przez co by akcja tragedii tylko zyskała na spoistości. Lecz względy artystyczne poszły tu w służbę idei: w postaci św. Gwalberta napiętnował Słowacki oportunistyczną politykę Watykanu, która przecie, wbrew temu, co się u nas tak często szumnie i pobożnie mówi, nie zawsze się odznaczała życzliwością dla Polski. Mieszka św. Gwalbert w czasce olbrzyma: co znaczy ten pomysł? W liście *Do autora «Irydiona»* czytamy: «Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej krzyż stoi, lampa się pali i błyszczy obraz rafałowski Bogarodzicy. Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu. Słyszysz, jak szemrze modlitwa? Lecz — o! — biada — o! losy... słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę». Czy ten olbrzymi czerep pusty, w którym płoną światła, wiszą obrazy i szemrzą modlitwy, nie jest wyraźnym szyderstwem z tych polskich czerepów, które modlitwą i pobożnością chcą osiągnąć to, do czego droga wiedzie jedynie przez czyn i wiarę we własne siły, a nade wszystko z tych czerepów, które nie mogą czy nie chcą wyzbyć się naiwnej wiary w «osobliwą życzliwość» Watykanu dla Polski?

Prawdopodobnie i w postaci Ślaza tkwi ironia względem polityki Kościoła: Ślaz jest nie tylko błaznem, tchórzem, kłamcą, ale i skończonym nikczemnikiem; otóż, dając św. Gwalbertowi takiego sługę, tym silniej napiętnował Słowacki politykę Watykanu, która, jak zresztą każda polityka, nie przebiera nie tylko w środkach, ale i w ludziach, w wykonawcach. Nicość moralna i śmieszność św. Gwalberta występuje jeszcze jaskrawiej — dzięki postaci Ślaza.

Lecz Ślaz odgrywa inną jeszcze rolę w ideologii *Lilli Wenedy*. Widzieliśmy, że jego kłamstwo przyczynia się do ostatecznej klęski Wenedów, oraz że Lilla i Roza powierzają mu bardzo ważne rzeczy do spełnienia, co jest wręcz nieprawdopodobne pod względem psychologicznym: otóż te pomysły przy-

czynią się do uwypuklenia idei Słowackiego, do tym silniejszego uwydatnienia niedołęstwa powstania listopadowego.

Lecz satyra na charakter polski i na powstanie listopadowe jeszcze nie wyczerpuje całej ideologii patriotycznej *Lilli Wenedy*. Jest w niej przykazanie narodowe, jak się powinien zachowywać naród w niewoli: uosobieniem tego przykazania jest król Derwid. Jego wspaniała mowa w scenie trzeciej aktu pierwszego nie posuwa ani na jeden krok akcji, ale przez jego to usta uczy poeta naród, jak się powinien zachowywać wobec najeźdźców:

..... Nigdy moje oczy
Lez nie wyleją, póki te lzy moje
Mogą posłużyć wam na wywołanie
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu.
O! nie — nigdy wy z króla-niewolnika
Nie uczynicie służalca-harfiarza...

.

Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić
W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze,
I wasze trupie twarze rozczzerwienić,
Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić.

.

. O! jędo!
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój — co jak jeden człowiek —
O! nie, jak jeden trup leżał na polu,
Myślisz, że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?

Utarczka słowna Derwida z Gwinoną, w scenie czwartej aktu trzeciego, także nie posuwa akcji, ale znowu jest nauką zachowania godności i niepodległości ducha w niewoli.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Nie po to napisał Słowacki *Lillę Wenedę*, żeby uczyć naród, jak się ma zachowywać w niewoli, tylko po to, żeby go pobudzić do wybiecia się na wolność:

Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą i nigdy,
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika?

Przez usta Lelum mówi tu, oczywiście, sam poeta. Więc jakież środki wskazuje Słowacki do podźwignięcia się z upadku? Odpowiedź prosta: trzeba się uleczyć z tych błędów charakteru narodowego (1), na które *Lilla Weneda* jest satyrą, nade wszystko z tych, którymi grzeszą, pomimo że mają w swym charakterze pierwiastki «duszy anielskiej» — Wenedzi, którzy utracili wiarę we własne siły, w przyszłość, w zwycięstwo, licząc na czarodziejską harfę albo na śluby pobożne (*Lilla Weneda* składa — na żądanie św. Gwalberta — ślub czystości!). Otóż Słowacki mówi w *Lilli Wenedzie* do narodu: tylko pod tym warunkiem możecie wybić się na wolność, jeżeli odzyskacie wiarę we własne siły, jeżeli nie będziecie wierzyli w żadną obcą przyrodzoną czy nadprzyrodzoną pomoc, jeżeli na nowo podejmiecie zbrojną walkę z wrogiem, nie szczędząc życia, i jeżeli tę walkę uznacie nie tylko za swój święty obowiązek, ale i za święte prawo moralne («Cóż, mój Galilejczyku?») (2).

Żeby zaś tę naukę wpoić w serca polskie, wprowadził Słowacki do tragedii harfiarzy, w rozwoju akcji zupełnie zbędnych! Wprawdzie — w zakończeniu aktu pierwszego wołają harfiarze, że «z ust się wydiera krzyk o zemstę Boga»; ale

(1) M. Janik, przedmowa do *Lilli Wenedy* w wydaniu Biblioteki Narodowej, str. 19. — (2) Czy ta zemsta wyda owoce? Czy Polska wybije się na wolność? Na to pytanie jasnej i pewnej odpowiedzi niema w *Lilli Wenedzie*. Zapowiedź Rozy Wenedy, że pomści krzywdę swego narodu, że zapłodni ją popioły rycerzy, może się nie ziścić. A ukazanie się Bogarodzicy nad gasnącym stołem, na którym spłonęli dwaj wodzowie Wenedów, czy jest istotnie, jak sądzi Tretiak, symbolem myśli, że «klęska Wenedów jest zwycięstwem siły brutalnej nad kulturą, ale zwycięstwem — bez jutra», że «prawdziwe zwycięstwo... moralne, odnoszą Wenedzi?». Wolno przypuszczać zupełnie co innego! Zjawienie się Matki Boskiej nad pobojuwiskiem przepowiedział św. Gwalbert, mówiąc do Lecha: «Dzisiejszej nocy — Najświętsza Panna, w mej celi spalona, — Objawi mi się nad najświętszym trupem, — Nad krwią, najbardziej Bogu ukochaną, — ten sam święty Gwalbert, który tylko co oznajmił Lechowi: «W imię krzyża dając zwycięstwo». Czy to wszystko nie jest poprostu ironią względem Watykanu, który (z konieczności zresztą) zdobył się dla ujarzmionej Polski — tylko na pociechę religijną? Czy nie jest to jednocześnie ironią względem małoduszności Polski, która nieraz pocieszała się przeświadczeniem, że tzw. moralne zwycięstwo jest po jej stronie?

w pieśni, kończącej akt drugi, mowa już o zemście ludzi, zemście n a r o d u, nie Boga:

O! niewolnicy!
Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!

(«Cóż, mój Galilejczyku?»). A cały chór trzeci jest pobudką do orężnej walki:

Już czas nam wstać!
Już czas nam wstać! i bić i truć oręż!

W chórze tym, jak to słusznie zauważono (1), harfiarze wychodzą zupełnie ze swojej roli: nie mogli przecie Wenedzi śpiewać o «świętej ziemi polskiej», bo jej jeszcze nie było, a tym bardziej nie mogli śpiewać, że się na tej ziemi lała krew, «jak zajrzeć tylko myślą». A nie jedyny to przykład w tragedii, że ludzie wychodzą ze swojej roli. W scenie czwartej aktu czwartego mówi Lelum:

O! śmierci! śmierci! krwawej śmierci Boże!
Jakże to łatwo być odważnym w boju!
Nieszczęśliwego Bóg nie zrobi tchórzem.
Gdzie są harfiarze? niech idą za wami
Z harfy złotymi — nie trzeba harfiarzy!

(1) Kleiner w wydaniu Lilli Wenedy («Pisarze polscy i obcy» Nr 5, str. 108). — Niechaj wolno tu będzie dodać następujące sprostowanie. W przypisku na str. 8 wydawca twierdzi, że Aischylosa Słowacki «za przykładem Francuzów chrześci Eschylem», — ale nie za przykładem Francuzów, tylko za przykładem dawnych Polaków, którzy transkrypcję i wymowę imion greckich wzięli od Rzymian, nie od Greków, którzy też nie przerabiali Fedona na Fajdona, jak dzisiejsi pedanci-filolodzy. — W przypisku na str. 28 warto by dodać, że motyw wskrzeszenia kości poległych rycerzy jest już w Piśmie świętym (u Ezechiela), a stąd dostał się do Hymnu do Boga Woronicza. — Na str. 29 nie objaśnił wydawca, co znaczą wiersze: «Wy umarłych poznacie... po ognistym śladzie koni»: przez żywych konie skaczą, a po umarłych depczą, zostawiając tym sposobem «ogniste» (tj. krwawe) ślady. Na tejże stronie — «rozbroni» nie jest wcale «wyrzyskim neologizmem», tylko, przeciwnie, archaizmem. — W wierszu 370 «dajcie» jest oczywistą omyłką druku — zam. «dajecie» (krew serca okrutnej Gwinonie). — Dowcip: «to kłamstwo, co mi matula mówiła o kłamstwie» (str. 114) przypomina sofizmat Epimenidesa.

Umarli lepiej widzą i śpiewają
Tę pieśń o sercach strzaskanych boleścią,
O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach;
Oni jedynie wiedzą, ile warte
Życie człowieka, ile ulatuje
Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
Które trzaskają ciało bohatera.

Mówić tak o «sercach strzaskanych boleścią», o wartości życia ludzkiego mógł... Kordian, lecz nie pierwotny człowiek: ale Słowackiemu, myślącemu o powstaniu listopadowym, chodziło o mocne uwydatnienie w Lelum pragnienia śmierci, płynącego z braku wiary w zwycięstwo:

W scenie drugiej aktu trzeciego Gwinona tak charakteryzuje Lechitów:

O! jak rycerze są ci łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;
A choć szychowają nie zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć klębka
. i tak oszukani
Potem przez dobroć rosnąć pozwalają
Fałszu krzewinie
Pokażę im
. co to jest kobieca wola,
Jaka głuchota na postronne jęki,
Jakie wlepienie oczu w same lono
Raz przedsięwziętej rzeczy być powinno.

W ustach «twardej dziewczki skandynawskiej» niektóre wyrażenia tej charakterystyki brzmią niezbyt naturalnie, ale bo też przez jej usta mówi... Słowacki.

W ogóle, tworząc *Lillę Wenedę*, nie raz i nie dwa prawdę artystyczną poświęca Słowacki idei, czyli, mówiąc inaczej, wizja artystyczna walki Wenedów z Lechitami nie zharmonizowała się należycie z ideologią patriotyczną, poszła w jej służbę, i tym właśnie tłumaczą się, jeżeli nie wszystkie, to prawie wszystkie słabe strony *Lilli Wenedy*, jako utworu dramatycznego: brak doskonałej harmonii pomiędzy akcją a charakterystyką osób, brak logicznej dynamiki, brak spójności akcji, brak doskonałej indywidualizacji stylu. Wszystkie te braki występują tylko dorywczo, tylko tu i owdzie: dosyć, że na sąd,

jakoby *Lilla Weneda* była «największą tragedią, jaką stworzył romantyzm europejski», «pięknem najwyższym, jakie istnieje w naszym teatrze», przystać trudno.

VII

Z tego jednak bynajmniej nie wynika, aby *Lilla Weneda* nie była jednym z cudów poezji Słowackiego i w ogóle polskiej poezji romantycznej. Na ogromnym bogactwie pierwiastków artystycznych (nie tylko ściśle poetyckich) tego utworu poznał się pierwszy Chlebowski (1), podnosząc wdzięk Lilli, różnorodność uderzających wyobrażeń postaci, urok tajemniczości, grozę i siłę nastrojową poszczególnych scen, piękność «prostego, zwięzłego, słodczą i siłą na przemian porywającego wysłowienia», ale nadto wielkie wartości muzyczne, oraz malarzkie — zarówno w barwach i światłach, jak w ugrupowaniu postaci. Kleiner szczegółowo i świetnie zanalizował te wszystkie wartości (dodając do nich jeszcze wartości plastyczne, rzeźbiarskie) i na tej podstawie słusznie stwierdził ten fakt, że Słowacki, zespalać w *Lilli Wenedzie* pierwiastki artystyczne różnych sztuk, uprzedził Wagnera w urzeczywistnieniu ideału artystycznego romantyków niemieckich — aby poezja była syntezą wszystkich sztuk.

Z tym wszystkim największymi wartościami *Lilli Wenedy* są — dla ogromnej większości czytelników — wartości ściśle poetyckie, to znaczy takie, które w całej pełni stworzyć może, ze wszystkich sztuk, jedna tylko poezja. Wszystkie inne wartości mogą być należycie odczute jedynie za pomocą środków pomocniczych, a więc dekoracji teatralnych, ugrupowania postaci na scenie, kostiumów, deklamacji, akompaniamentu muzyki; do odczucia wartości ściśle poetyckich wystarcza czytanie utworu.

Jakież są główne wartości poetyckie *Lilli Wenedy*?

Nazwał Słowacki ten swój utwór tragedią, już przez to samo wskazując jego wartość naczelną — tragizm. Czy jednak słuszny jest tak często wygłaszany pogląd, że *Lilla We-*

(1) Chlebowski, *Lilla Weneda*, geneza dramatu. (Pisma, tom I.).

neda jest wielką tragedią całego narodu, który ginie w walce ze stokroć niższym od niego moralnie i kulturalnie wrogiem? Ten pogląd popularny tłumaczy się zapewne bardzo częstym zjawiskiem wkładania w utwór poezji własnych myśli i uczuć, które wprowadzając ten utwór w nas potrafił, pobudził do działalności, ale których pełnego wyrazu artystycznego w sobie nie zawiera. Na walkę Wenedów z Lechitami w tragedii Słowackiego przywykliśmy patrzeć, jako na tragedię Polski, która uległa przemocy wroga. Otóż taki kąt patrzenia jest fałszywy. Bo przede wszystkim, jak to już widzieliśmy, Wenedzi mieli nad Lechitami i fizyczną i liczebną przewagę; jeżeli przegrali, to dlatego, że stracili ducha, że Lechici mogli ich rąbać, jak barany; i trudno naprawdę nie dziwić się, jak mógł tak rozważny krytyk, jak Chmielowski, twierdzić, że «nie przewaga moralna, lecz tylko przewaga siły fizycznej daje Lechitom zwycięstwo» (1). O wiele słuszniejszy pogląd wypowiedział Małeckie. «Nie ma... tragiczniejszego widoku — są jego słowa (2) — nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się i momenty, z własnej jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowym, żeby sumienie widzów, na ten straszny widok patrzących, nie miało im mówić, że to sprawa nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale przewag tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie ze szczęśliwej dla nich okazji». Czy *Lilla Weneda* jest taką właśnie tragedią, pyta Małeckie — i odpowiada, że nie! Dlaczego? Dlatego, że Słowacki «odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnej Wenedów, a zapomniał skreślić dodatnie. ...strony ich charakteru». I właśnie dlatego Wenedzi jako ogół narodu, pozbawieni są wielkości, bez której nie ma prawdziwej tragedii. Jeżeli pomimo to sympatyzujemy nie z Lechitami, tylko z Wenedami, to dlatego, że są wśród nich jednostki takie, jak Derwid w niewoli, oraz jego córki, że od tych jednostek pada blask na cały naród, że Lechici takich jednostek nie posiadają. Jeżeli wyłączymy te jednostki, nie będzie

(1) Przedmowa do wydania *Lilli Wenedy* w «Arcydzielnach polskich i obcych pisarzy», tomik 3, str. 10. — (2) Małeckie: Juliusz Słowacki, wyd. trzecie, III, 16.

żadnej podstawy do twierdzenia, że Wenedzi stoją o całe niebo wyżej od Lechitów, tym bardziej, że przecie męstwo i wiara Lechitów we własne siły, którymi to przymiotami o całe niebo przewyższają Wenedów, to przymioty m o r a l n e, i że Lechici dlatego, t y l k o dlatego, zwyciężają, że mają tę właśnie m o r a l n ą przewagę nad Wenedami.

Czy zaś upadek ducha Wenedów jest ich w i n ą, to inna sprawa. Stracili ducha już po p i e r w s z e j klęsce, więc, jak się zdaje, jest to słabość ducha wrodzona, jest fatalizmem ich natury. Zapewne, taki fatalizm zawiera w sobie możliwości tragiczne, ale żeby one przestały być tylko możliwościami, trzeba było uwydatnić d o d a t n i e strony natury ogółu Wenedów, a nie tylko jednostek; tymczasem Słowacki uwydatnił je tylko w jednostkach, i to niezawodnie z całą świadomością — aby je przeciwstawić ogółowi. A jeżeli kto powie, że wiarę Lechitów w siebie uwydatnił poeta także t y l k o w jednostkach, ten będzie miał słuszność jedynie f o r m a l n ą, zapominając, że dzielnym jednostkom Lechitów nie przeciwstawił Słowacki ani ich ogółu, ani też słabych moralnie jednostek, kiedy tymczasem dzielnym jednostkom Wenedów przeciwstawił ich ogół, pozbawiony wiary w siebie, oraz pozbawione wiary w zwycięstwo jednostki, mianowicie Lelum i Polelum, oraz innych wodzów, którzy — raz jeszcze — zaprzysięgają wprowadzić zemstę, ale którzy wierzą tylko w swoją śmierć, nie w zwycięstwo.

Oto są względy, dla których trudno się zgodzić na popularny pogląd, że *Lilla Weneda* jest tragedią całego narodu, — chyba że komu do doznania uczuć tragicznych wystarcza fatalizm słabej natury i widok słabych ludzi, dających się wyrzynać, jak barany. Wolno natomiast mówić o tragedii, rozgrywającej się w duszach wielkich jednostek: przede wszystkim Rozy, potem — Lilli, a po części i Derwida.

VIII

«Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jedynym strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swymi nogami... Eumenida eschylosowska, krzycząca: Zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo!»

Miał Słowacki zupełne prawo nazwać Rozę Wenedę Eumenidą eschylosowską, i to nie tylko dlatego, że jest ona uosobieniem świętej zemsty, jako nakazu sumienia i sprawiedliwości, ale i dlatego, że ma ona w sobie prawdziwie eschylosowską w i e l k o ś ć. Śmiało powiedzieć można, że w całej poezji Słowackiego (przed epoką mistyczną) większej kreacji nie ma. Wznosi się Roza Weneda do godności symbolu, mianowicie symbolu miłości ojczyzny, wyższej ponad wszystko na świecie, nie wyłączając nie tylko rodziny, ale i narodu, jego życia, jego krwi, do symbolu bezwzględного obowiązku względem Ojczyzny, streszczającego się w słowie: ofiara. Świętym prawem narodu jest życie, ale to życie trzeba okupić ofiarą życia w pełnieniu świętej zemsty względem tych, którzy chcą narodowi życie odebrać; a jeśli wszyscy mściciele zginą? to nic: zmartwychwstaną i dzieła świętej zemsty dokończą:

Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny:
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga...

Albowiem «zakocham się w rycerzy popiołach, i popioły mnie zapłodnią».

Roza Weneda jest w jednej osobie wróżką i kapłanką; jako wróżka, miewa chwile jasnowidzenia, więc dobrze wie, i to od dawna, że Wenedzi poniosą klęskę. Więc dlaczego ich pędzi do walki? Bo poczytuje ją za święty obowiązek względem Ojczyzny: pełńcie ten święty obowiązek, a reszta będzie i wam, i waszej Ojczyźnie przydana!...

W tej swojej wierze w świętość bezwzględnej ofiary dla Ojczyzny nie chwieje się Roza Weneda nigdy — ona ma wielkość posągu. Nie waha się ani na chwilę ludzi Wenedów, że mogą zwyciężyć, chociaż wie, że nie zwyciężą; tę swoją straszną tajemnicę odsłania tylko harfiarzom:

Okropniejszą rzecz widziałam błada.
Krew podmyła tron i wzięła z sobą.
Król na tronie włosy rwał i rzucił,
A pioruny je paliły w powietrzu;

ale dodaje:

Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom.

I raz jeszcze mówi do harfiarzy:

Nad naszą mogiłą
Wejdzcie słońce;

ale dodaje:

. lecz nie mówcie ludowi.

Na pogląd, że rola Rozy Wenedy jest dwoista, że i ona, kiedy ją opuścił szal natchnienia, miewa przebłyśki nadziei, że Wenedzi mogą zwyciężyć (1), przystać trudno; nie, w głębi duszy ona nie żywi tej nadziei, a jednak rzuca ich w otchłań pewnej śmierci — bo to ich obowiązek! I właśnie na tej świadomości, że oszukuje Wenedów, polega tragizm tej postaci, bo przecie Roza Weneda *cierpi* nad tą straszliwą koniecznością swojego postępowania, tylko że tłumi w sobie swoją mękę i raz tylko jeden wybucha bólem:

O! wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce!

Pod jednym tylko względem możnaby zakwestionować tragizm Rozy Wenedy, a przynajmniej jego *pełnię*: oto, jeżeli mają słuszność estetycy, że nieodzownym warunkiem zupełnego tragizmu jest, oprócz wielkości duszy i oprócz wielkości cierpienia, jedno z dwojga jeszcze: albo śmierć fizyczna, albo śmierć moralna, albo też jedno i drugie — to *temu* warunkowi Roza nie odpowiada: po klęsce Wenedów ona ostatnia zostaje żywa — i rzucając pod stopy zwycięskiego Lecha «łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum», mówi z *tryumfem*:

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

Dopięła swego: wszyscy jej rycerze polegli, moralne zwycięstwo ona odniosła. Lecz jeżeli to zwycięstwo zmniejsza jej tragiczność, to zwiększa jeszcze jej wielkość, jej groźną, majestatyczną wzniosłość.

(1) Kleiner, Juliusz Słowacki, wyd. drugie, II, 336.

Jako symbol bezwzględnej ofiary za ojczyznę, ona jedna jedyna w naszej poezji romantycznej godna stanąć tuż obok Konrada Wallenroda, wyższa nawet od niego tym, że w pełnieniu tego nakazu nie zna żadnych wahań, ale też przez to samo od Wallenroda... niższa, bo mniej *ludzka*.

Lilla Weneda nie jest postacią nadludzką i dlatego właśnie łatwiej trafia do ludzkich serc. Niemniej przeto jest, podobnie jak jej nadludzka siostra, postacią *wielką* — nade wszystko ogromem swej miłości rodzinnej, chociaż nie tylko rodzinnej, skoro, ocaliwszy już ojca, dobrowolnie wraca do Lechitów po harfę. Czy jest postacią także tragiczną? Bez cienia wątpliwości — przez wielkość swojej miłości, przez wielkość cierpienia i przez katastrofę tragiczną, przez śmierć, która jest skutkiem jej moralnej wielkości, jej bezgranicznego poświęcenia.

Pomimo to nie tragiczność, jeżeli wolno ufać osobistemu wrażeniu, jest jej naczelną wartością estetyczną, tylko to, co z tragicznością rzadko chodzi w parze — wdzięk, i to wdzięk tak wielki, że się znajduje na samej granicy wzniosłości.

Jeżeli istotą wdzięku jest doskonała harmonia pomiędzy pierwiastkiem duchowym a fizycznym, i to harmonia, osiągnięta *bez wysiłku* ze strony człowieka, płynąca z jego natury, to Lilla Weneda jest arcydziełem wdzięku, zespolonego z wielkością duszy i z tragiczną dołą; tajemnicą zaś jej wielkości duszy jest panująca w niej wszechwładnie miłość i płynące z niej bezgraniczne poświęcenie. Otóż kocha i poświęca się Lilla Weneda zawsze z wdziękiem, bo bez żadnego, choćby najmniejszego wysiłku, co najwyżej z cichym, cudownym w swej poezji smutkiem, ale zawsze chętnie, a z taką prostotą, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza w świecie:

Kochajcie mnie, bracia,
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno,
Lecz to z *wyczajna* powieść...

Tak, dla niej wszystko, co robi, choćby nawet ofiara życia, jest rzeczą *wyczajną*! Serce ma tak dobre, tak miękkie, że do nikogo, nawet do okrutnej Gwinony, nie umie mówić inaczej niż łagodnie, a nawet serdecznie. Lecz ta miękkość

serca nie zna żadnych wahań, żadnych kompromisów, czy to z ludźmi, czy z sobą samą. Kiedy Gwinona każe Derwidowi wybierać pomiędzy harfą a córką, pierwszym, odruchowym drgnieniem serca Lilli jest zaoszczędzić ojcu tego wyboru; ale kiedy Gwinona nie chce ustąpić, Lilla ani chwili się nie waha:

Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecko:
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze.
Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo, nieszczęśliwy,
Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo placzu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze.
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz,
Kochaj...

«Urodziłam się nie po to, żeby nienawidzić, lecz po to, żeby kochać», mówi o sobie Antygona grecka. To samo mogłaby mówić o sobie polska Antygona — Lilla Weneda, która siłą miłości nie ustępuje greckiej, a wdziękiem nad nią góruje, bo swoje dzieło poświęcenia i cierpienia pełni cicho, spokojnie, niemal z uśmiechem, i nawet kiedy się żegna z Lelum, który jest jednocześnie jej bratem i narzeczonym, ani razu nie uderza w tak bolesny ton, jak Antygona, kiedy się żegna z narzeczonym na ziemi i ze słońcem na niebie. Od gwałtownych wybuchów rozpacz ratuje ją, oprócz wielkiej miłości, jeszcze coś: odrobina sentymentalizmu, w który tak często wyposaża Słowacki swoich ulubionych bohaterów. Lilla Weneda nawet w chwilach smutku pieści się trochę ze swymi uczuciami — ze swoją ufnością w pomoc bożą, z miłością dla ojca i narzeczonego, ze swoim smutkiem nawet, otaczając te wszystkie swoje uczucia nimbem poezji.

Ze mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co, biały jak ja, swą mnie siostrą miewa,
I ten jest ze mną, co nad gołębiami
W nieba błękit jeszcze wyżej lata:
A gdy mnie nazbyt przycisnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła

I takich miejsc możnaby przytoczyć wiele, bo przecie Lilla dużo mówi, dużo więcej od Rozy i dużo wymowniej; lecz ta jej szczeniowatość płynie wprost z jej duszy, która wszystko, co w niej jest, chce i musi wyrazić w słowach (gdyby swoje uczucia głęboko zamykała w duszy, nie miałaby tyle wdzięku); mówi zaś nie tylko pięknie, ale i mądrze, posługując się, gdzie trzeba kogo przekonać, tak wymownymi argumentami, jakich człowiekowi dostarczyć może jedynie kochające serce i płynąca z niego rzadka przebiegłość. Drugiej tak ujmującej, tak czarującej postaci kobiecej nie ma w całej naszej poezji romantycznej!

Jedną jeszcze postać *Lilli Wenedy* ma w sobie pierwiastki tragiczne: jest nią, oczywiście, nie Lelum, ani Polelum, zupełnie pozbawieni wielkości, tylko stary król Derwid. Jego zachowanie się w niewoli, pełne już nie tylko godności, ale iście «królewskiego» majestatu, daje mu niezaprzeczoną wielkość, wysoce tragiczną, bo pociągającą za sobą mękę, i to zarówno ciała, jak ducha. Wspaniałą zwłaszcza w swojej sile i godności jest jego odpowiedź, kiedy Gwinona żąda od niego, aby wywołał ducha z czarodziejskiej harfy:

Nigdy! o! nigdy, piekielna!
Ty nie usłysz pieśni niewolnika,
Nigdy ta ręka od łańcuchów sina
Strun się nie dotknie!

Lecz ta moc ducha Derwida, kiedy się wydostał z niewoli, zalamuje się: nie złała go ani niewola, ani ślepotą, złała go dopiero śmierć córki, i z tego to źródła, oraz braku wiary w zwycięstwo, płynie jego samobójstwo. Zupełna ruina człowieka, i fizyczna i moralna, a płynąca z wielkiego nieszczęścia — to rys wysoce tragiczny (1).

(1) Chmielowski (jw., str. 11) słusznie zarzuca postaci Derwida brak zharmonizowania. Wprost przykre sprawia wrażenie, że ten król, który w niewoli zdobył się na tyle dumy, nieugiętości, godności, wybuchu tak gwałtownym oburzeniem na Rożę, kiedy ta pyta: «Bez harfy przyszedłeś?» Prawda, mogło Derwida strasznie zboleć, że się córka nie ucieszyła do ojca, powracającego z niewoli, ale jako król, wiedział przecie, dlaczego Roza pyta przede wszystkim o harfę («nie czas żało-

Wartości estetyczne trzech wymienionych postaci, Lilli, Rozy i Derwida, są jednocześnie wartościami m o r a l n y m i, przez co proces estetycznego «wczuwania się» w te postaci jest tym łatwiejszy (oczywiście tylko dla tego, kto te wartości uznaje, ceni i kocha).

Charakterystyka innych głównych postaci *Lilli Wenedy* jest nie mniejszym arcydziełem, tylko że rozkosz estetyczna płynie tutaj prawie wyłącznie z «kontemplacji» artyzmu tej charakterystyki, jej sztuki, nie zaś «wczuwania się» w dusze charakteryzowanych ludzi (chyba że kogoś widok okrucieństwa, głupoty, podłości nie razi). Są to postaci «ujemne».

Na pograniczu «ujemnych» i «dodatnich» stoi Lech, genialnie ujęta i genialnie pokazana mieszanina pierwotnej twardości i miękkości serca, braku kultury artystycznej, religijnej, umysłowej i poczucia sprawiedliwości, energii i opieszałości, dzielności rycerskiej, wiary we własne siły i «molierowskiej w domu słabości».

Z niepospolitą plastyką także uwydatnił Słowacki okrucieństwo, dziką energię, dziką pierwotność i... dziką miłość macierzyńską Gwinony; szkoda tylko, że czasem, jak widzieliśmy, ta dzika królowa przemawia stylem nadto kunsztownym, nie harmonizującym z jej dzikością, czym, nawiasem mówiąc, i Lech nieraz grzeszy, — kiedy np. rozkazuje Gwinonie «wzięcom na czołe położyć gwiazdę z ognia».

Nowe wartości estetyczne wnoszą do *Lilli Wenedy* św. Gwalbert i Śláz. Św. Gwalbert niejednego z pewnością razi — nie tyle przez to, że jest jaskrawym anachronizmem, ale nade wszystko przez to, że jest karykaturą ś w i ę t e g o; dosyć, że jako karykatura, jest postacią znakomitą. Swoją wartość komiczną zawdzięcza on potrosze samemu sobie, własnej głupocie i własnemu oportunizmowi, głównie jednak — swojemu słudze, Ślázowi, który go mocniej jeszcze ośmiesza, czy to dysputując z nim, czy przebierając go na Salmona.

Śláz za to nie potrzebuje niczyjej pomocy, aby się pokazać w całym blasku swojego komizmu. Jest to zaś komizm

wać róż, gdy płoną lasy»). Trudno się opędzić podejrzeniu, że to oburzenie Derwida na Rozę, mając ujście w tak gwałtownych i obelżywych słowach, tłumaczy się...wpływem króla Leara.

tchórza i zarazem łgarza, drwiącego sobie ze wszystkich i ze wszystkiego, cynika i zarazem spryciarza, wynoszącego całą skórę ze wszelkich niebezpieczeństw, a jednocześnie komizm błazna, obdarzonego rzetelnym dowcipem i tak zwaną «fantazją szlachecką», wcale nie głupiego, ale doskonale udającego głupca. Przez swój spryt, przez swoją fantazję, przez swój dowcip błaznowaty, mógłby uchodzić za prototyp Zagłoby, gdyby miał w sobie choć iskierkę męstwa, choć odrobinę serca, choć zdziebelko szlachetności, gdyby w ogóle nie był tak nikczemną kreaturą, taką «mniejszą», jeśli nawet nie najmniejszą, «mrówką ludzkości».

Nie przecząc jednak, że i święty Gwalbert i Śláz to figury szczerze komiczne, wolno jednak zapytać, czy ten ich komizm nie obniża naczelnej wartości *Lilli Wenedy*, to jest jej tragizmu. Odpowiedź na to pytanie zależy już wyłącznie od osobistych upodobań: jeden powie, że od małości tych dwóch kreatur tym silniej odbija wielkość tragedii Lilli i Rozy, inny, że przeplatanie tragizmu z komizmem mąci mu odczuwanie tragizmu, jeszcze inny, przeciwnie, powie, że śmiech jest mu pożądaną ulgą w odczuwaniu tragizmu, smutku, grozy itd. Zgody pod tym względem być nie może.

Ale na jedno zgodzą się chyba wszyscy: oto humor Śłaza bywa nie zawsze, ale czasem (np. w dyspucie teologicznej ze św. Gwalbertem, w scenie drugiej aktu pierwszego) własnym humorem Słowackiego, t y l k o Słowackiego, który przez usta Śłaza drwi sobie z dialektyki scholastycznej, a nade wszystko... z aureoli, opromieniającej głowę św. Gwalberta, tj. z powagi i z pseudoświętości Rzymu, albo raczej ze szczerej lub fałszywej łatwowierności polskiej, która, nie mogąc, czy też nie chcąc odróżniać wiary rzymsko-katolickiej od polityki Watykanu, nieraz nam wrogiej, bije czołem przed w s z y s t k i m, co stamtąd wychodzi, jak przed świętością. W ogóle Śláz należy do tych postaci *Lilli Wenedy*, przez których usta przemawia niekiedy sam poeta i które wtedy wychodzą ze swojej roli, przekraczając obręb możliwości swojej duszy, czy też swojej epoki.

Z drugiej jednak strony to właśnie, że w *Lilli Wenedzie* nieraz sam poeta zabiera głos (będący nie zawsze dysonansem

w psychice tych, przez których mówi), przepaja tę tragedię liryzm osobisty — nie tylko pod postacią satyrycznego humoru, ale i głębokiego bólu patriotycznego.

O! święta ziemio polska! arko ludu!
 Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lala!
 . . .
 Gdzie sprawiedliwość boska, gdzie pioruny?
 Syn na własnego ojca topór rzuca!
 . . .
 Wtem ktoś cicho wykrzyknął: Giniemy!
 I tysięcy sześć nietkniętych żelazem —
 Sześć tysięcy bez ducha upadło,
 Jakby je kto struł...
 . . .
 O! niewolnicy!
 Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!
 . . .
 Boże! patrzaj z nieba
 Na tych dwóch ludzi przed stołem Weneda
 Konającego — patrzaj na tych ludzi,
 I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
 Chwilę tryumfu i urągowiska!

Prawdziwie i pięknie mówi Tarnowski w swoim odczytaniu o *Lilli Wenedzie*, że «autor, Polak, znał dobrze uczucia tępnionego narodu, i łatwo mu było przenieść się nie już w ich położenie, ale w ich dusze i serca, potrzebował tylko być zupełnie subiektywnym, Polakiem i sobą, żeby oddać ten wzniosły i głęboki ton smutku, którego najdoskonalsza przedmiotowość możeby równie dobrze oddać nie była umiała: tutaj trzeba było być bardzo lirycznym, i Słowacki, nie wychodząc ze swej natury, mógł schwycić właśnie ten ton, który był potrzebnym; toteż, cokolwiek można *Lilli* zarzucić, to jedno jest pewne, że te uczucia rozpaczy..., które stanowią ponure tło poematu, a odzywają się przez usta wszystkich Wenedów, Derwida, jego dzieci i chóru, są pojęte i oddane w sposób prawdziwie wzniosły, mistrzowski, po prostu wielki».

Lecz nie tylko w bólu patriotycznym Wenedów słycać własne serce Słowackiego: słycać je równie mocno w obawie Rozy Wenedy i harfiarzy, żeby poezja polska nie osłabiała polskich dusz, żeby w niej «lud nad sobą nie usłyszał płaczu», oraz

w przykazaniu, żeby ta poezja była narodowym zniczem, na którym pali się ogień świętej zemsty.

Otóż ten liryzm to jedna z największych wartości *Lilli Wenedy*.

Nie jest ona arcydziełem dramatu, nie jest największym dramatem, na jaki się zdobył romantyzm europejski, ale — jeżeli pogląd, przeniesiony może z etyki do estetyki, że usterki dzieła sztuki mogą być okupione przez jego zalety, nie jest tak wielką herezją estetyczną — to czy będzie herezją powiedzieć o *Lilli Wenedzie*, że jej wielkie wartości poetyckie sownie okupują jej usterki, jako utworu dramatycznego? Nie będąc arcydziełem dramatu, jest *Lilla Weneda* wielkim arcydziełem poezji.

ZMARTWYCHWSTANIE POLSKI W DRAMACIE SŁOWACKIEGO «BENIOWSKI»

(Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

Autograf tego dramatu, albo raczej fragmentów dramatycznych, znaleziono dopiero w spuściźnie po Antonim Małeckim; w całości wydał je dopiero Kleiner w tomie dziesiątym *Dziel wszystkich Słowackiego*, wydawanych we Lwowie przez Ossolineum.

Tym fragmentom, chociaż na ich podstawie całość dramatu odtworzyć się nie da, przypada w rozwoju twórczości Słowackiego niezmiernie ważna rola, otwierają one bowiem nową epokę w jego poezji patriotycznej. Wprawdzie surowym sędzią przeszłości narodowej poeta być nie przestał, ale w świetlaną przyszłość Polski już zaczął wierzyć.

W akcie drugim ukazuje się na ziemi polskiej Chrystus i przepowiada Jerozolimie słowiańskiej, to jest Polsce, upadek, ściśle związany z jej ciężką winą: «Dlaczegoście wy, mury, nie szły na południe? — Dlaczegoście wy, wieże, nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: ...Chrystus! Chrystus!... Stałyście na miejscu — jako morze bez fali... zasypiałyście jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli... nie było was».

Oto ciężki grzech Polski: nie było jej w wyprawach krzyżowych, nie szła z postępem czasu, nie dotrzymywała kroku innym narodom. Nie dosyć na tym: «Zasypiałyście jako trumny ołowiane». Tak, kiedy Europa zachodnia wzmacniała władzę monarchiczną, Polska XVI wieku szła — przez demokrację szlachecką — ku anarchii. A w wieku XVII, kiedy na Zachodzie filozofia i nauki święcą niebywale przedtem tryumfy, Polska się pod względem umysłowym cofa. Ocknęła się w wieku XVIII, ale na ratunek było już za późno.

Lecz dalej mówi Chrystus: «Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię; — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzie-

ciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje, i zmartwychwstaniesz przez dzieci twoje... Przyszedłem w nocy ci chej — z Matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły — przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą... i powitał...»

Wtem z mogiły Wandy słysząc głos:

Leżę w helmie u nóg mego Pana:
Niech mnie wskrzesi w pancernej odzieży!
Na mym helmie z gwiazd girlanda różana,
A krzyżowy miecz podemną leży.
Niech mię wskrzesi — ja piękna i młoda...
Niech mię wskrzesi — niech rękę mi poda...

Słyszając ten głos, Najświętsza Panna błaga Chrystusa: «Panie mój, azaliż Ty nie możesz wziąć tej dziewczeczki za rękę i podnieść z grobu?»

Naprawdę, że gdyby z całego dramatu o Beniowskim ocalała ta jedna jedyna scena, byłby on niezmiernie cennym dokumentem do historii patriotyzmu Słowackiego: ten sam poeta i ten sam człowiek, który nie tak dawno jeszcze miał straszliwe pioruny na Polskę w *Grobie Agamemnona*, teraz mówi o niej jeszcze «srogi, lecz bez gniewu», i wierzy, że pomimo swoich win Polska zmartwychwstanie, bo na to zasługuje.

Lecz w jakimże stosunku z tą wiarą pozostaje akcja dramatu i postać jego bohatera? Odpowiedź brzmi: Beniowski walczył w Konfederacji Barskiej, a tę poczytywał Słowacki za pierwszy akt walki narodu polskiego o wolność. Oto, co czytamy w pierwszym fragmencie końcowej parabazy:

Jednego wieczora,
Gdy Beniowski w samotnej zamknięty komnacie
Dumał... a przez tęczowe się szyby cisnęło
Rozpromienione słońce... nad lasem bukowym,
Stała przed nim Matka umarła — w czamarze
Atlasowej... i rzekła boleśnie: Mój synu!
Czemu ty próżnym myślom oddałeś się cały
Wtenczas, kiedy Ojczyzna — już bliska skonania,
A jam jest nie zemszczona?...

Ale cóż, kiedy — z woli samego Chrystusa — kusi Beniowskiego Szatan! «Dozwoliłem — mówi Chrystus do świę-

tego Piotra — aby człowiek oddany był na pokuszenie i sprobowany w ogniu... stało się». A na słowa świętego Piotra: «Pozwól, że mu zajdę drogę... i ukazuje się na polu odkrytym», Chrystus odpowiada: «Jeszcze nie czas». Przypomina się mimowoli Faust Goethego. Lecz zachodzi pomiędzy Faustem a Beniowskim wielka różnica: Faust jest człowiekiem, zajęтым jedynie sprawami własnymi, jakkolwiek (zrazu przynajmniej), póki go szatan na złą drogę nie wprowadził, posiadającymi rzetelną wartość moralną, bo sprawami swego intelektu, dążącego do poznania najgłębszych tajemnic świata; Beniowski zrazu tylko, jak to widać z parabazy, «próżnym myśłom oddał się cały», od czasu zaś, kiedy stanęła przed nim Matka-Ojczyzna, jest patriotą. To jedno. Po drugie, Faust jest myślicielem, Beniowski — poetą, i to od samego początku dramatu, od pierwszej sceny pierwszego aktu. Szatan-Pamfilus pokazuje mu z daleka pole bitwy — i na to pole Beniowski patrzy jako poeta:

Przecudny widok — dymu tumany
Jako tumany jesienne lecą,
Szable złotymi listkami świecą..
Wiatr obłąkany
Jakieś harf tony — w stronę unosi..
O! jak czarownie śmiertelny spiż
Bucha i wyje... i błyskawicą
Zamiata ziemię — i wszecz i wzdłuż
Dymy się zdają duchów przyłbicą,
A dalsze dymy do białych róż
Podobne — z ziemi krwawej wychodzą.

Otóż tego zachwyty Beniowskiego nad bitwą Pamfilus się boi! Dlaczego? Żeby Beniowski sam nie rzucił się do walki za Polskę, to znaczy za bożą, chrystusową sprawę. Więc rozwiewa Pamfilus ten zachwyty poetycki Beniowskiego, zwracając jego uwagę na straszliwą rzeczywistość bitwy:

Czy słyszysz jęki?...
Patrz, tam się rumak z ziemi podnosi
Lecz wstać nie może... Złamany ma krzyż.

Nie dosyć na tym: odciąga Beniowskiego Pamfilus od walczącej Księżniczki, żeby ona nie wciągnęła go swoim przykładem w wir bitwy, trafiając do jego nerwu poezji. Usiłuje natomiast

Szatan rozdmuchać jeszcze w Beniowskim iskrę poetycką, byłoby tylko ona go nie podnieciła do czynu patriotycznego. Oto dłaczego, kiedy Beniowski rozmawia z obdartym chłopem białoruskim, który w jego oczach nie jest, w porównaniu z Księżniczką, «nawet człowiekiem», Pamfilus mówi: «O! jakże ty daleko epoki wielkich gawęd, która nadejdzie!... nie gardź mitologią chłopca... ..ja ci powiadam, że gdyby Homer z harfą złotą stał na twoim miejscu, stroiłby teraz pieśni narzędzie i słuchał, co ten niedźwiedź zarosły włosami opowie». I wypytuje Pamfilus chłopca o chłopską mitologię, ażeby jej poezją olśnić wyobraźnię Beniowskiego. To się Szatanowi udaje, więc z radością mówi do swej ofiary:

Rafaelowskich pełny jesteś rysów,
Dobrze, zakochaj się w marach, co blyszczą,
Takie miłości żywota nie niszczą.

Prowadzi Pamfilus dalej swoją szatańską robotę. Beniowski-poeta widzi jakąś postać przed sobą:

Cóż to za mara? — prześliczna!

A Pamfilus na to:

Rzuc — to Muza romantyczna.

Lecz Beniowski nie rzuca — i nadal się zachwyca swą wizją:

Cudna! z tęczową koroną,
Z twarzą dziecinnych aniołków;
Od niej leci woń fijołków
I zapach wiosniany miły,
Za nią krzyże i mogiły.

Nie trudno zrozumieć, co to za wizja: Beniowski widzi tę samą krainę, w której Irydion miał odbyć pokutę, widzi «ziemię mogił i krzyżów». Pamfilus boi się jego zachwyty i dlatego mówi ironicznie, że to «krzyże i mogiły samobójców»; dodaje: «Powiem ci pod sekretem, że ta piękna nimfa ma suchoty». I mówi jeszcze: «Przeklnij to piekło narodów, które się nie skończyły — i chodź dalej; pokażę ci kuźnię — przyszłości... Tam zobaczysz, czy człowiek winien się opierać w Termopilach... — i będziesz mógł przysiąc — albo odprzysiąc się...»

Ach, jakże te słowa są do dziś dnia aktualne — w ustach wszelkiego rodzaju szczerych zarówno, jak obłudnych kosmopolitów i komunistów, pomstujących na «piekło narodów», bo nie rozumiejących albo też udających, że nie rozumieją, iż jedynie przez «piekło narodów», przez miłość Ojczyzny i narodu prowadzi droga do ideału ogólnoludzkiego. Nie darmo trud odciągania Beniowskiego od walki za Ojczyznę i w ogóle od miłości Ojczyzny powierzył Słowacki nie człowiekowi, tylko... diabłu!

Lecz pomimo tej szatańskiej roboty w duszy Beniowskiego uczucia patriotyczne rosą.

W akcie drugim, kiedy Beniowski wstępuje na mogiłę Wandy, mogiłę, z której na rozkaz Chrystusa siedem lilij wyrosło, Pamfilus poucza go, że naiwne piosenki, które śpiewa zbliżający się Krakowiak, to wspaniały materiał do poezji artystycznej.

Wszystko to na darmo: w akcie trzecim ukazuje się ksiądz Marek i wciąga Beniowskiego do Konfederacji — ku wściekłości Szatana, którą jeszcze potęguje widok Chrystusa. «Czy widziałś Chrystusa?» — pyta Pamfilus Walkirii:

Włóczy się przez ciemnotę
I sieje gwiazdy złote
Z Pelejad i Syriusa...
Jak chłop... w kraj przeorany...
Sieje gwiazdy w kurhany.

Na rozmowie Pamfilusa z Walkirią urywa się dramat. Wolno się jednak domyślać z parabazy, że Beniowski, wbrew zapowiedzi Walkirii, nie dał się skusić, że poszedł na pole bitwy i zginął. Czytamy bowiem w drugim fragmencie:

Spada cień wieczora,
Słońce ogniste weszło między buki... —
Las cały skrwawiał — zajęczały kruki...
Szatan wywołał w zamku cień Hektora,
W ogromnej zbroi ...z krwawą w sercu plamą
I w helmie stanął jak pod Scejską bramą...
I rzekł: Beniowski! podobne cię losy
Czekają na tej ziemi... Będziesz zбитy...
Kurz zwala blaski twojej śnieżnej kity

I krew poklei twoje krucze włosy!
Jak ja pod Troją... zginiesz... i płomieniem
Będziesz pożarty — reszta jest milczeniem.
Westchnął i zniknął.

Otóż Beniowski nie chce poprzestać na tej wizji i domaga się innej:

...Z gwiazdami na czole srebrnymi
Wyszły dwa cienie, synowie Hellady,
Kastor i Polluks — i wrzasnęli razem...

Tu, na nieszczęście, urywa się drugi fragment parabazy, ale jego znaczenie jest zupełnie jasne: przecie Kastor i Polluks to wcielenie nie tylko miłości braterskiej, ale także rycerstwa, bohaterstwa, poświęcenia; szczególnie czczono ich jako opiekuńcze bóstwa młodzi i eżży, pochodzącej z dostojnych rodów, walczącej konno lub w ciężkozbrojnej falandze. Czčili ich nie tylko Grecy, ale i Rzymianie, jako bogów-zbawicieli.

Więc myśl Słowackiego jest taka: Beniowski za to, że zginął w walce za Ojczyznę, będzie czczony jako patron rycerstwa, jako bóg-zbawiciel. Pamiętać trzeba, że Słowacki, w miarę pogłębiania się patriotyzmu w jego duszy, coraz mocniej wierzył, że sprawa zmartwychwstania Polski to sprawa nie tylko narodowa, ale i boża, kosmiczna, że póki Polska nie zmartwychwstanie, dopóty nie będzie spokoju ani na tej ziemi, ani we wszechświecie. I ta właśnie wiara Słowackiego jest przewodnią «ideą» dramatu o Beniowskim.

Tym, którzy tej idei narodowej i patriotycznej nie widzą, czy też zamykają na nią oczy, warto przypomnieć dowcipny i szyderczy wiersz Wyspiańskiego o tym kimś, co przyjechał do niego «direkt von Wien, z Galicji jednak rodem», i radził mu, by «skończył też den Dimitri von Schiller»: «Das Thema ändern sollen Sie w ogólnoludzkim pędzie», — bo przecie narodowość i patriotyzm to nie są rzeczy ogólnoludzkie (chyba że dotyczą narodu wybranego...).

WPŁYW ROMANTYKÓW FRANCUSKICH NA TWÓRCZOŚĆ SŁOWACKIEGO

Wydana nakładem Polskiej Akademii Umiejętności książka Władysława Folkińskiego o wpływie romantyków francuskich na przedmistyczną poezję Słowackiego (1) należy nie tylko do najcenniejszych studiów o jego twórczości, ale w ogóle do najlepszych badań historyczno-literackich w nauce polskiej, i to nie tylko dlatego, że — od początku do końca — przynosi coraz to nową zdobycz naukową, ale także dzięki talentowi pisarskiemu autora oraz jego wybitnej indywidualności, na którą, pomiędzy innymi, składają się: subtelny zmysł estetyczny, gorący entuzjazm dla poezji i umiejętność analizy psychologicznej. Dostyc przeczytać kilka stron książki, aby się przekonać, że jej autor jest dużej miary uczonym, mianowicie historykiem literatury porównawczej, władającym doskonale jej metodą, w badaniach i uogólnieniach bardzo ścisłym i wolnym od owej ciasnej doktryny, która tak bardzo dyskredytuje w oczach szerokiego ogółu całą jedną dziedzinę badań historyczno-literackich, mianowicie «wpływologię», jak nazwał kiedyś dowcipnie powierzchowne dociekania porównawcze znakomity pisarz i znakomity krytyk, także od wszelkiej doktryny wolny, Grzymała-Siedlecki.

Otóż książka Folkińskiego należy właśnie do tej dziedziny badań «komparatystyki źródłowej», która, jak to stwierdza sam autor, «na ogół nie należy w Polsce do zbyt dobrze widzianych». A dlaczego? Odpowiedź brzmi: «Sądzić wolno, że dotychczasowe badania źródłowe, w naszym piśmiennictwie przeprowadzone, nie były... bez grzechu». Ten zaś grzech pole-

(1) Od Chateaubrianda do Anhellego. Rzecz o związkach między przedmistycznym okresem Słowackiego a romantyzmem francuskim. Kraków 1934, str. 162.

gał na tym, że się badacze wpływów literatur obcych na polską najczęściej ograniczali tylko do wyszukiwania źródeł, a nie wyjaśniali (bo sami nie rozumieli), co z nich poeci stworzyli. Jest to grzech, ze stanowiska naukowego, wręcz śmiertelny. Nie brak przecie poetów, którzy, jak to już Wiktor Hugo powiedział, są o wiele bardziej wrażliwi na «rzeczy czytane», niż na «rzeczy widziane».

Do nich, jak wiadomo, należał Słowacki. Toteż nie dziw, że lwią część studiów o jego twórczości poświęcano wylapywaniu tych «rzeczy czytanych», które zapładniały jego wyobraźnię; ale, co z nich wyobraźnia wytworzyła, najczęściej schodziło na plan dalszy, zamiast występować na samo czoło rozważań. Były wprawdzie wyjątki, żeby przypomnieć choćby tylko prześliczny odczyt Stanisława Tarnowskiego, który, stwierdziwszy, że pomysł świata fantastycznego w *Balladynie* zawdzięcza Słowacki Szekspirowi, jednocześnie uwydatnił większe bogactwo szczegółów tego świata w utworze Słowackiego w porównaniu ze *Snem nocy letniej*. A w czasach ostatnich, Kleiner w swej monografii o Słowackim, znacznie pomnażając ilość «wpływów», wykazuje umiejętnie różne tkwiące w czytanych przez Słowackiego utworach «możliwości», które on dopiero, dzięki swej fantazji, artystycznie wyzyskał.

Pomimo to śmiało powiedzieć można, że dopiero książka Folkińskiego jest, jeśli się tak wolno wyrazić, naukowym odkupieniem owego śmiertelnego grzechu, popełnianego przez tych badaczy, którzy, nie wyczuwając swoistego, na wskroś oryginalnego piękna poezji, za główny cel swoich badań obrali sobie «nicowanie utworu i mściwe wydobywanie poszczególnych nitek złotogłowia dla triumfalnego wykazania ich obcego pochodzenia». «W porównawczym badaniu — mówi dalej autor — idzie o co innego: o traktowanie zapożyczenia jako elementu twórczego, biorącego udział w tworzeniu i w tworzeniu się utworu. Nie może być mowy o mechanizmie zapożyczenia, jeśli idzie o poemat pierwszej wody i poetę wielkiej wagi. Idzie o fakt i produkt szczepienia. Któż wytoczy proces róży za to, że powstała ze skrzyżowania szczepów?»

Z tego to — jedynie słusznego — stanowiska rozpatruje Folkiński te utwory Słowackiego w przedmistycznej epoce

jego twórczości, w których genezie odegrały mniejszą lub większą rolę utwory romantyków francuskich — Chateaubrianda, Wiktora Hugo, Dumasa i Alfreda de Vigny. Nie cofa się wprawdzie autor przed szukaniem nowych, nieznanych przedtem «wpływów»; przeciwnie, szuka ich i — kto wie, czy nie ku wielkiemu (a może i przykreemu) zdziwieniu swoich poprzedników — znajduje ich całe mnóstwo. Tak np. udowadnia szczegółowo i niezbicie, że psychika *Araba* nie ma nic wspólnego z bajronizmem, że głównym winowajcą zemsty bohatera tego poematu nad całym światem jest nie Byron, tylko Chateaubriand ze swoim René'm. Niemniej przekonująco wykazuje Folkiński, że Chateaubriand oddziałał na wyobraźnię twórczą Słowackiego, jako autora nie tylko *Araba* i *Anhellego* (o czym pisał już Hoesick), ale także *Godziny myśli* i *Lambra* i *Kordiana* i *Horsztyńskiego* i *Podróży na Wschód z Grobem Agamemnona* i nawet jeszcze *Beniowskiego*. Nikt dalej nie zdawał sobie tak jasno sprawy z tego wielkiego wpływu, jaki na twórczość Słowackiego wywarła estetyka romantyczna Wiktora Hugo, wyłożona w jego przedmowie do *Kromwela*, a domagająca się, żeby ze sztuki nie wyłączać pierwiastka brzydoty, a nawet okropności: «Niechaj poezja pocnie mieszać w swoich dziełach, bez zacierania granic, groteskę ze wzniosłością, innymi słowy — ciało z duszą i zwierzę z duchem». I jeszcze: «Jako kontrast wzniosłości groteska jest najbogatszym źródłem, jakie natura może otworzyć sztuce». Mówiąc nawiasem, ta estetyka była reakcją przeciwko jednostronnej estetyce klasycznej, o czym pamiętał Balzac, opisując w *Jaszczyrze* ów skład przeróżnych dzieł sztuki, który zwiedzał bohater tej powieści: «Niedaleko od Chińczyka z porcelany — mata, śliczna jak bajaderka...; potwór chiński z oczyma powykręcany, ustami powykrzywianymi, członkami powyłamywanymi, cucił duszę pomysłami narodu, który, zmęczony pięknem zawsze jednostajnym, znajduje przyjemność niewymowną w płodzeniu brzydoty».

Kto pamięta *Wacława*, *Dantyszka* i *Beatrix Cenci*. ten wie, jak bardzo ta estetyka przypadła Słowackiemu do smaku, pomimo że, jak mówi Folkiński, «jego natura poetycka, sub-

telna i cicha, cała w półcieniach i półtonach, zdawała się wykluczać podobne efekty». W polskiej poezji romantycznej pierwiastek brzydoty ukazuje się, zanim go jeszcze Wiktor Hugo usankcjonował: wystarczy przypomnieć widmo złego pana w drugiej części *Dziadów*, albo i *Zamek kaniowski*. Dosyć, że w poezji Słowackiego ukazuje się ten pierwiastek dopiero pod wpływem nie tylko teorii, ale i praktyki Wiktora Hugo; najjaskrawszym zaś przykładem i dowodem (przez dawniejszych badaczy przeoczonym) jest ów szlachcic, włóczący się po piekle z czaszkami swoich rodzonych dzieci u pasa, — pomysł, żywcem przejęty z *Han d'Islande* Wiktora Hugo.

Tu jednak wtrąćmy, że pierwiastki brzydoty w poezji Słowackiego, niektóre przynajmniej, tłumaczą się nie tylko wpływami literackimi, ale i drgnieniami jego własnej duszy. Czy np. obrzydliwości w poemacie o Piaście Dantyszku nie mają źródła we własnym obrzydzeniu Słowackiego dla «czerepów rubasznych» dawnej szlachty polskiej? Że wyraz tego obrzydzenia jest przejawem — pod wpływem Wiktora Hugo, na to zgoda, ale samo obrzydzenie jest niepodzielną własnością Słowackiego, który zresztą w tym samym poemacie nie zapomniał i o «anielskiej duszy», więzionej w czerepie rubasznym. Albo jeszcze, czy pierwiastek grozy, stanowiący tak znamiennej cechę *Wacława*, nie jest symbolicznym wyrazem własnego uczucia Słowackiego, mianowicie jego odrazy, albo raczej głębokiego oburzenia na zdrajców Ojczyzny? Były wprawdzie w naszej poezji — już przed *Wacławem* — utwory o zdrajcach: *Duma o Glińskim* Niemcewicza, *Gliński* Wężyka, *Śmierć zdrajcy Ojczyzny* Góreckiego, — ale dopiero Słowacki napiętnował zdradę własnego kraju tak potężnie, jak na to zasługuje, — właśnie za pomocą pierwiastku brzydoty.

Pomijając drobniejsze ślady wpływu Wiktora Hugo (w prologu do *Kordiana*), niemałą zasługę Folkińskiego stanowi to jeszcze, że on dopiero wykazał tak szczegółowo, jak wielki był wpływ techniki teatralnej Wiktora Hugo na tragedie Słowackiego — i na *Horsztyńskiego* i na *Kordiana* i nawet na *Lillę Wenedę*, której technika dramatyczna całego jednego pomysłu, i to głównego (mianowicie trzykrotnego uratowania Derwida przez Lillę) jest techniką Wiktora Hugo (w *Ma-*

tion Delorme). Wprawdzie autor — w swej chwalebnej ostrożności — nie przysięga na to; stanowczo natomiast i słusznie twierdzi, że się pomyłono, szukając źródeł techniki Słowackiego w technice Calderona.

Zbyteczną jest rzeczą dodawać, że jak w całej książce, tak i w rozdziałach, poświęconych wpływowi Wiktora Hugo na Słowackiego, ani razu nie wpada Folkierski w ciasną doktrynę «wpływologiczną», wszędzie wykazując oryginalność Słowackiego, zwłaszcza w psychologii postaci dramatycznych.

Szeregiem nowych odkryć jest także rozdział, poświęcony tej roli, jaką odegrała w twórczości Słowackiego poezja Alfreda de Vigny. Że jego *Hélène* zaważyła niemało na genezie *Lambra*, a jego *Paryż* — na *Paryżu*, o tym się dawnym badaczom nawet nie śniło: dzięki Folkierskiemu będą mogli ujrzeć to na jawie. Że bez *Eloi* Alfreda de Vigny nie byłoby *Eloi* w *Anhelim*, o tym, przed Matuszewskim, który pierwszy z krytyków naszych zwrócił na to uwagę, wiedział doskonale... sam Słowacki. Ale Folkierski dopiero nie tylko tę sprawę na nowo wyświecił, ale, co ważniejsze (wierny swojej zasadzie, że już nawet nie naczelnym zadaniem, tylko jedynym sensem krytyki porównawczej jest wykazywanie odrębności estetycznej porównywanych utworów), zrozumiał i odczuł, iż, jak mówi, «Muza Słowackiego, podjąwszy wątek Vigny'ego, miała tu święcić prawdziwy tryumf swojej bluszczowości»; «całe piękno *Eloe*, cała jej treść emocjonalna i symboliczna, cała jej rola w poemacie należą wyłącznie do Słowackiego»; «wziął on postać *Eloe* tam, gdzie ją zostawił Vigny, ani pędzi drogi z nim nie przebywając», «nie umiał się pogodzić z potępieniem wiecznym, na jakie skazał *Eloę* Vigny, i, wręcz przeciwnie, anielicę swą postanowił wybawić i jak gdyby do rangi anioła przywrócić». «Jest w tej koncepcji Słowackiego nieporównane piękno, jest i niewątpliwe wywyższenie dostojęstwa *Eloi* i jak gdyby nadanie jej nowej próby poetyckiej, nieporównanie szlachetniejszej». «*Eloe*, zawiązująca skrzydła pod zmarłą *Ellenai* i wędrująca w dal księżycową z pełnymi trupa skrzydłami, śmiałością pomysłu i zwięzłą precyzją wykonania należy do tych ustępów romantyzmu europejskiego, które się kiedyś staną klasycznymi. Nie ma takich ustępów u Chateaubrianda i za-

zwyczaj zawodzą u Vigny'ego brakiem szerokiego tchu poetyckiego».

Na zakończenie swej pracy, która może i powinna służyć za wzór, jak należy prowadzić badania w dziedzinie literatury porównawczej, rzuca Folkierski kilka ogólnych uwag o wpływie literatury francuskiej na polską w epoce romantyzmu, jak ta np., że: «rola romantyki francuskiej w rozwoju romantyki polskiej była wcale znaczna, daleko znaczniejsza, niżli to dotąd podejrzewano».

Wreszcie (przy sposobności) jedno jeszcze. Autor wspomina ubocznie, że się Słowacki zachwycił (w roku 1832) *Teresą* Dumasa, który to dramat (czyli raczej melodramat) odegrał może rolę w genezie *Mazepy*. Otóż czy i Mickiewicz nie zawdzięcza czasem jednego drobnego pomysłu innemu dramatowi Dumasa?

Jak wiadomo, czerwiec i lipiec roku 1831 Mickiewicz spędził w Paryżu, kiedy to dramaty romantyczne Dumasa zaczęły już święcić wielkie tryumfy. Jednym z tych dramatów był *Antony* (po raz pierwszy wystawiony w Paryżu dnia 3 maja r. 1831). Otóż w scenie szóstej aktu czwartego Dumas przerywa główną akcję, podobnie jak Mickiewicz w scenie ósmej trzeciej części *Dziadów*. Treść obydwóch tych scen wypełniają rozmowy — w salonach literackich. W dramacie Dumasa jedna z pań pyta młodego poety, dlaczego nie opiewa przedmiotów świeżych, tylko wciąż szuka treści w wiekach średnich. A na to młody poeta odpowiada tak, jak przystało na obrońcę klasycyzmu, to znaczy podobnie, jak w dramacie Mickiewicza Literat odpowiada Damie Młodej. Kto wie, czy to podobieństwo jest przypadkowe.

PRZYJAŹŃ W ŻYCIU KRASIŃSKIEGO (Z WYKŁADÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM)

«Przyjaźń jedna nie więdnije: jest to, zapewne, do miłości, jak sosna lub cyprys do róży, ale też wiecznie zielone». «Mieć przyjaciela to lepsza dola, niż mieć kochankę». «Ze wszystkich snów naszych jeden tylko urzeczywistnić można: przyjaźń».

Podobnych aforyzmów o przyjaźni dałoby się w listach Krasińskiego do przyjaciół nie mało zebrać, i nie dziw: mało kto bowiem miał dla przyjaźni tak serdeczny i gorący kult, jak on, i mało kto miał tylu, co on, przyjaciół. Ale bo też niewiele kto był takim, jak on, przyjacielem. «Nad przyjaciółmi — opowiada Jan Koźmian — czuwał zbliśca i zdaleka, z niewieścią prawie troską i przemyślnością; kto go tylko poznał, musiał go na zawsze pokochać, a oddalając się, wiodł już za sobą od niego strumień światła i otuchy na całe życie». Kiedy się dowiedział, że któremu z przyjaciół dokucza bieda, zaraz mu posyła zasiłek, ale nie bezpośrednio, tylko przez ludzi, aby przyjaciel nie wiedział — niech Bóg broni — kto go wspiera. Tej dziwnie szlachetnej, dziwnie subtelnej opieki doświadczał na sobie np. biedny Norwid, doświadczał i Słowacki, i to w epoce, kiedy był bij zabij na Krasińskiego, doświadczał i Trentowski.

Nie o samych zresztą przyjaciółach pamiętał Krasiński. Oto np. Klaczko: nie lubił go Krasiński, ale wysoko cenił jego talent, rozum i pożytek, jaki Polsce swoimi pismami przynosi; więc, dowiedziawszy się kiedyś, że jest w potrzebie, posłał mu zaraz 500 franków... niby to na książki, potrzebne mu dla studiów. Wspierał także Mickiewicza: «Bądź łaskaw — pisał w roku 1847 do Cieszkowskiego — 1500 franków panu Adamowi oddać..., on w szkaradnej biedzie, i bieda przeszkadza mu do jasnego widzenia rzeczy». A pierwszą myślą Kra-

sińskiego po śmierci Mickiewicza była troska, czy jego dzieci nie są w biedzie: «Jeśli zaraz przyjść trzeba na ratunek dzieciom — pisał do Cieszkowskiego — to mi napisz».

Nie dosyć na tym. W *Psalmie miłości* mówi Krasiński:

Lecz jedyną tu koroną —

Wylać ducha na miliony,
Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszą wszystkim — myśli z nieba,
Nie nie spychać nigdy wdół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie...

Otóż — w przyjaźni swojej — wziął sobie Krasiński to hasło za gwiazdę przewodnią, zwłaszcza w postępowaniu z przyjaciółmi młodszymi: śmiało powiedzieć można, że rozciągał on serdeczną opiekę nad zdrowiem ich dusz, że wiodł je «do coraz wyższych kół».

W ogóle przyjaźń to prześliczna strona życia Krasińskiego, i, naprawdę, jeśli się pisze całe książki o jego miłości, to warto by kiedy napisać obszerną książkę o jego przyjaźni, jej historia bowiem rzuca nierównie piękniejsze światło na jego życie, aniżeli pełna cieniów historia jego miłości.

* * *

W osiemnastym roku życia, w listopadzie roku 1829, poznał Krasiński w Genewie bawiącego tam na studiach młodego Anglika, Henryka Reeve'a, przyszłego wybitnego publicystę i męża stanu, który z czasem wywierać będzie nie mały wpływ na opinię publiczną w Anglii. Zaprzyjaźnili się bardzo prędko: zbliżyły ich z sobą wspólne upodobania i marzenia. Bo i Reeve był poetą, chociaż tylko w «duszy» swej «wnętrnościach». W *Adamie Szaleńcu* daje Krasiński taki «portret lorda Grama»: «Nie wysyłał swych pieśni ku uszom ludzkim, sam otaczał się nimi, niby muzyką, przeznaczoną, by rozgrzewać serce jego wśród istot chłodniejszych, z którymi zmuszony był stykać się na swej drodze». Ten lord Gram to Reeve. I on, jak Krasiński, myślą ulatywał w przyszłość, jaśniejszą od smutnej teraźniejszości, i on wierzył za młodu w realizację

idealów; a do tego wróżył Krasieńskiemu nieśmiertelność, którą wyczytał na jego czole. Nie dziw, że przyjaźń pomiędzy dwoma marzycielami była serdeczna, idealna, a opierała się nie tylko na wzajemnej sympatii, ale i na wzajemnym szacunku, oraz na wzajemnej znajomości dusz: tajemnic pomiędzy nimi nie było w młodości. Nie osłabiało tej przyjaźni to, że Reeve był naturą o wiele prostszą, niż Krasieński, że nie było w nim np. ani tej pozy i egzaltacji, ani tego «układania dramatu», które cechowało Krasieńskiego.

Dlaczego się po kilku latach przyjaźń zerwała? Czy tylko dlatego, że każdy poszedł w swoją stronę? Nie tylko, ale i dlatego jeszcze, że się ludzie zmienili.

Albo raczej zmienił się jeden z nich — Reeve; Krasieński pozostał sobą, to jest — marzycielem, poetą, romantykiem, uciekającym od realnego życia; tymczasem w Reeve'ie, o którym Krasieński pisał kiedyś do ojca, że «z tym wszystkim jest zanadto mistyczny», zwyciężył poezję angielski zmysł życia praktycznego, ten zmysł, który mówi człowiekowi, że do zbyt wysokich idealów lepiej nie lecieć, bo... można skreślić kark.

Tym właśnie zwycięstwem praktycznego życia nad idealami młodości tłumaczy się to, że Reeve, który za młodu tak żywo odczuwał krzywdę Polski, później, kiedy się stał jednym z głównych kierowników opinii publicznej w swoim kraju, nie użył jakoś swego wpływu, żeby skłonić Anglię do obrony sprawy polskiej — ani w roku 1855, ani w 1863.

Nie to zresztą sprawiło, że przyjaźń Krasieńskiego z Reeve'm wygasła: w roku 1863 Krasieński już nie żył; w 1855 żył — ale przyjaźń rwać się zaczęła coś jeszcze o lat dwadzieścia wcześniej. Cóż na to wpłynęło? Reeve był naturą głęboko etyczną, przy czym — w młodości — etyce społecznej upodrzędniał etykę indywidualną; Krasieński, mimo że i on był naturą głęboko etyczną, nie umiał w życiu tych dwóch stanowisk z sobą pogodzić: nie tylko prawa, ale i uroszczenia jednostki buntowały się w jego romantycznej duszy przeciwko nakazowi moralnemu złożenia ich na ołtarzu etyki społecznej — i najczęściej zwyciężały. Reeve miał Krasieńskiemu za złe nie tylko jego uczucie zemsty względem swego krzywdziciela, Leona Łubieńskiego, uczucie, którego Krasieński nie mógł wyrwać ze

swjej duszy, ale nadto jego postępowanie z panną Henrietą Willan. A kiedy w kilka lat później wyznał Krasieński Reeve'owi swój romans z panią Bobrową, Anglik był oburzony, albowiem — wówczas jeszcze — patrzył na cudzą niedolę (jak o tym świadczy sam Krasieński) ze stanowiska prawodawcy, filozofa, moralisty, a nie poety-romantyka, poety-indywidualisty, mniemającego, że wolno mu, mówiąc słowami Żmichowskiej, «kłaść spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastrajając do gry krwawe żyły cudzego serca i przebierać po nich marmurowymi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku».

I tutaj właśnie dochodzimy do zrozumienia tego dobroczynnego wpływu, jaki na duszę Krasieńskiego wywarła przyjaźń z Reeve'em. Bujna natura Krasieńskiego nieraz buntowała się przeciwko dźwięczącemu w duszy nakazowi moralnemu, ale go nie zabiła nigdy; otóż, jeżeli się nakaz moralny, tłumiony to przez namietność, to przez zrodzone przy ich pomocy sofizmaty, nigdy jednak doszczętnie nie dał stłumić w duszy Krasieńskiego; jeżeli zawsze, mocniej lub słabiej, w niej dźwięczał (co było jedną z przyczyn jego ciągłej rozterki duchowej): to cząsteczka tej zasługi przypada w udziale Reeve'owi, który zawsze wskazywał swemu przyjacielowi prostą, uczciwą drogę do rozwiązywania różnych konfliktów moralnych. Był on dobrym duchem Krasieńskiego, i za to mu się należy wdzięczna pamięć w biografii poety.

* * *

Znacznie wcześniej, niż z Reeve'em, bo jeszcze w wieku dziecięcym, w Warszawie, zaprzyjaźnił się Krasieński ze starszym od siebie o lat cztery Konstantym Gaszyńskim, autorem bardzo w swoim czasie popularnej *Sielanki młodości*, którą naśladował jeszcze Sienkiewicz w swym poemacie o młodzińskim o Jasiu i Helci. Jako poeta, był to ptak małego lotu; umysł nie głęboki, ale zdolny, natura szlachetna, serce złote.

I właśnie za to serce złote kochał go Krasieński, pokochawszy w młodości, aż do śmierci. Ze swej wyższości umysłowej nad przyjacielem i ze swojej odrębności duchowej

zdawał sobie doskonale sprawę: «To w naszych naturach rozmaitym jest, że mnie zawsze tragiczność, ciebie komiczność rzeczy uderza». Lecz ta sprzeczność natur nie była przeszkodą do przyjaźni. Myśłami swymi nie mógł się Krasiński dzielić z Gaszyńskim tak obficie i szczegółowo, jak się dzielił z Jaroszyńskim, z Cieszkowskim, z Trentowskim, wiedząc, że nie byłby dobrze zrozumiany: ale serca Gaszyńskiego był pewny przez całe swoje życie, więc też chętnie dzielił się z nim swymi cierpieniami i kłopotami.

A prócz serca łączył go z nim jeszcze jeden z najsilniejszych węzłów przyjaźni — wspomnienia wspólnie przepędzonej młodości na ławie szkolnej, młodości, którą żartobliwie nazywał Krasiński «erą fajkową», — od fajki, za którą już w młodości przepadali obydwaj i przy której całymi godzinami gadali.

Pod imieniem Gaszyńskiego wydał Krasiński *Przedświt*.

* * *

Konstanty Danielewicz, syn lekarza w Opolu i sam lekarz, a do tego muzyk i myśliciel, uczestnik powstania listopadowego (ranny w bitwie pod Ostrołęką), był od Krasińskiego o trzy lata starszy. Poznali się z sobą jeszcze w Warszawie, w uniwersytecie. Musiał to być człowiek bardzo poważny, skoro generał Krasiński oddał mu pod opiekę syna, kiedy się ten udawał z Petersburga do Wiednia. Otóż dopiero w Wiedniu (w roku 1833) zaczęły się zadzierzgać pomiędzy nimi węzły przyjaźni. Odtąd był Danielewicz przez długi czas prawie nieodstępnym towarzyszem Krasińskiego w jego ciągłych podróżach i stale udzielał o nim informacji jego ojcu.

Ze wszystkich przyjaźni Krasińskiego ta była najsilniejsza, najgłębsza: tego to przyjaciela nazywał on swoim «przyjacielem absolutnym».

Zbliżyły ich nie tylko serca, ale i umysły; pod wpływem Hegla i Cieszkowskiego budował Danielewicz własny gmach spekulacji filozoficznej, czym niemało pobudzał Krasińskiego (jak on sam o tym świadczy) do rozmyślań o Bogu, ludzkości i Polsce.

Lecz nie było poecie sędzono długo posiadać takiego przyjaciela. W styczniu roku 1842 Danielewicz, bawiąc z Krasińskim w Monachium, ciężko zapadł na tyfus. Krasiński nie odstępował go ani na chwilę, ludząc się, że ukochany przyjaciel wyzdrowieje. Oto co pisał dnia 18 marca roku 1842 do krewnego swego, Stanisława Krasińskiego:

«Biedny Konstanty 9 marca konać zaczął, i doktory mu tylko kilka godzin życia dozwalały; więc nocą po księdza biegać musiałem i widziałem, jak olej Ostatniego Namaszczenia spoczął na tych tyle kochanych przeze mnie powiekach.... — Dzięki Opatrzności, wszechmogącej i której wyroki nie pilnują się rachub lekarzy, po trzech dniach ciągłego konania na tyfus, znać zwyciężył jego organizm, i śmierć, już stojąca obok, odeszła od łoża jego — został się żywy na nim, ale strasznie osłabiony i nawet dotąd zupełnie podług prawideł sztuki z niebezpieczeństwa nie wybrnął — lecz według nadziei serca mego, zda mi się, że go Pan ocalił — i dzięki, dzięki Panu, bo z nim połowa i umysłu i serca mego byłaby zeszła pod ziemię, w zimno grobu. — Piętnaście lat wspólnych myśli, rozmowań, uczuć byłyby odeszły ode mnie; dzięki Panu, dzięki!»

Lecz nadzieja była płonna: nastąpiło pogorszenie, i dnia 27 marca, w samą Wielkanoc, umarł Danielewicz. «Noc to najnocniejsza za życia mego» — pisał Krasiński do Ewy Ankiewiczówny. A do Gaszyńskiego: «On był mi aniołem-stróżem, on siłą moją, rozumem rozumu mego, i tak kochał mnie, tak kochał, że, przez wszystkich opuszczony, byłbym jeszcze nie skarżył się, gdyby on jeden tylko mi został. A teraz, teraz co?»

Na grobowcu zmarłego przyjaciela położył Krasiński taki napis: «Konstantemu Danielewiczowi, wśród najwznioślejszych w Polsce umysłów wzniosłemu — wśród najszlachetniejszych serc szlachetnemu, — oficerowi ostatnich wojsk polskich, przeszycemu kulą, gdy siedł na bagnety pod Ostrołęką, w lat jedenaście później zmarłemu na obcej ziemi w 34 roku życia, po długiej chorobie w Munich, dnia 27 marca 1842 r., towarzyszowi młodości całej, przyjacielowi, więcej niż bratu, kamień ten nad zimnymi zwłoki w rozpacz położył Zygmunt Krasiński».

«Niech śmierć i stokroć twe zwłoki tu grzebie,
Ty żyjesz, żyjesz pod zimnym kamieniem.
Nie jesteś prochem, ni snem, ni milczeniem, —
I ty wiesz w niebie, jak jam kochał ciebie».

«Ale dni moje prędsze były niż posel, uciekły, a nie wi-
działy nic dobrego. Przeminięły jako prędkie łodzie, jako orzeł,
leca do żeru. Hiob, rozdział 9».

Czym był Danielewicz dla Krasińskiego, o tym świadczą
te wiersze, wyjęte z elegii pt. *Fryburg*:

On mi był siłą, co mi rozum dała,
Bo mnie gnał naprzód wiecznym prawdy biczem;
On serce moje umiał wyżej męki
Stroić, jak w lutnię, w mąk zwycięskie dźwięki;
On jednym słowem tłumaczył mi wiele,
Milczeniem nawet mówił życia cele!
I gdym posłuchał głosu jego chwilę,
Czułem, że w duchu odrodzon na sile.
Wtedy mi w piersiach dzikie biło męstwo,
Świat mi wyglądał jako pole czynu,
Już mi w oddali jaśniało zwycięstwo,
I kwitł na skroni przyszyli liść wawrzynu.

«Pisałem *Nieboską komedię* — wyznaje Krasiński pani
Potockiej wkrótce po śmierci przyjaciela — wciąż dyskutując
z tym drogim umarłym — i on to pchał mnie tak do c z y n u
i kazał bezczynną pogardzać poezją. To nie ja, to on tam
odbity cały! Mnie chwala, a on umarł, i nie wspomną o nim».

Najpiękniejszym jednak wyrazem wdzięczności Krasiń-
skiego względem Danielewicza, pomnikiem poetyckim ich
przyjaźni, jest *Wstęp do Niedokończonego poematu*: Mło-
dzieńcem jest tu Krasiński, Aligierem zaś — Danielewicz.

* * *

Gdzie poznał Krasiński starszego od siebie o lat dwa-
dzieścia Adama Soltana, tego nie wiemy; być może, iż jeszcze
w domu ojca, Soltan bowiem, jako urodzony z Radziwiłłówny,
był krewny Krasińskich. Przyjaźń jednak zawiązała się do-
piero zagranicą, dokąd Soltan, jako pułkownik wojsk polskich
i uczestnik powstania listopadowego, musiał emigrować. Zna-
lazł się na emigracji sam jeden — bez rodziny: miał trzech

synów, ale mu ich po powstaniu porwał rząd rosyjski i umie-
ścił w korpusie paziów w Petersburgu; odebrano mu także
dwie córki i oddano do klasztoru wizytek w Kamieńcu, gdzie
jedna wkrótce zmarła. Otóż Krasiński był pocieszycielem tego
nieszczęśliwego człowieka, dla którego, prócz współczucia, ży-
wił szacunek i miłość, a nawet cześć i kult. Krasińskiemu to
zawdzięcza Soltan, że odzyskał pozostałą przy życiu córkę:
generał Krasiński wyjednał dla niej, na prośbę syna, paszport
zagraniczny.

Z żadnym innym ze swoich przyjaciół (z wyjątkiem mo-
że Cieszkowskiego) nie był Krasiński tak otwarty, jak z Soł-
tanem; przed żadnym innym tak głęboko, jak przed nim,
duszy swojej nie otwierał, spowiadając mu się ze swoich myśli,
a zwłaszcza ze swoich strapien, zarówno patriotycznych, jak
osobistych; nie ukrywał przed nim nawet swoich konfliktów
z ojcem i nie tał się ze swymi poglądami, bardzo surowymi,
ale słusznymi, na zdegenerowaną moralnie arystokrację pol-
ską. A z każdego listu bije mocno uczucie dla starszego przy-
jaciela, którego, jak mówi, «szczerze kocha i święcie szanuje»,
którego czcił, jako człowieka wyjątkowo zacnego i szlachet-
nego. «Ty jesteś jeszcze z tych — pisał raz do niego — w ma-
łej liczbie pozostałych na dzisiejszym świecie ludzi, którzy wie-
rzą w czucie głębokie, w honor, w pewne myśli święte — ale
strach mnie ogarnia, Adamie, bo takich ludzi, przez Boga,
już mało bardzo».

* * *

Stanisław Małachowski był od Krasińskiego starszy o lat
trzydzieście. I on, jak Soltan, walczył w powstaniu, i on także
musiał emigrować. Osiadł na stałe w Paryżu, gdzie go przez
szacunek nazywano wojewodą; za główny cel życia na emi-
gracji obrał sobie rzecz ze wszystkich najtrudniejszą: jedna-
nie ustawicznie waśniących się z sobą ludzi i stronnictw. «Na-
tura prosta i prawa — pisze o nim St. Tarnowski — zięmia-
nin, a potem żołnierz, jak być powinien, czyste zwierciadło
honoru z gorącą miłością ojczyzny, a zmysłem trzeźwym i pra-
ktycznym». Zbliżył się z nim Krasiński i zaprzyjaźnił w Rzy-
mie w roku 1839, pociągnięty ku niemu tym nade wszystko,

czego jemu samemu przez całe życie brakowało, tj. równowagę duchową i silną wolę. A Małachowski ocenił w Krasińskim jego wielki rozum, którym poeta swego starszego przyjaciela niewątpliwie przewyższał, jego patriotyzm, nie mówiąc już o jego poezji, i przywiązał się do niego, jak świadczy Tarnowski, «z siłą fanatycznego niemal uwielbienia, które zostało do śmierci najwybitniejszym z jego uczuć osobistych» i które mu kazało już w późnej starości napisać i wydać *Krótki rys życia i pism Zygmunta Krasińskiego* (1876).

W listach Krasińskiego do Małachowskiego nie ma tak szczegółowych i szczerych zwierzeń osobistych, jak w korespondencji z Soltanem; mowa tutaj głównie o sprawach emigracyjnych, od których się Krasiński trzymał zawsze na uboczu, ale które śledził z ogromnym zajęciem. Ukazuje się także w tych listach jedna śliczna cecha charakteru Krasińskiego, mianowicie jego dobroczynność i hojność dla ludzi i dla spraw narodowych, działająca zawsze w ukryciu.

* * *

W bliskich stosunkach pozostawał Krasiński z rodziną Koźmianów.

Stary Kajetan Koźmian, zacięty klasyk, zakłęty wróg Mickiewicza i romantyków, był przyjacielem generała Krasińskiego. Zygmunt Krasiński widywał go jeszcze w domu ojca, od dziecka przywykł go szanować i ten szacunek przechował na zawsze. W roku 1850, bawiąc w Warszawie, uczcił go wierszem, z którego ludzie do dziś dnia tak często przytaczają słowa:

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały.

A wcześniej jeszcze, w roku 1844, zaczyna się korespondencja z sędziwym klasykiem, obracająca się tylko około jednego przedmiotu, mianowicie około poematu *Stefan Czarniecki*, nad którym Koźmian na starość pracować zaczął. Listy Krasińskiego są wymownym świadectwem, jak wielką rolę w jego sądach literackich odgrywały uczucia przyjaźni: patrząc przez pryzmat serdecznego szacunku dla Koźmiana na jego

poemat, widział w nim rzeczy tak piękne, jakich, prócz niego (i może autora), nikt nigdy nie widział i nigdy nie zobaczy.

Z Andrzejem Edwardem Koźmianem, synem Kajetana, znał się Krasiński już w dzieciństwie, lecz nie łączyły ich, jak się zdaje, silniejsze węzły przyjaźni. Wkrótce po śmierci poety napisał Andrzej Koźmian jego życiorys, który wymownie świadczy o szczerym kulcie autora dla Krasińskiego.

Miał dlań kult i książdz Jan Koźmian, jak tego dowodzi, oprócz wspomnienia pośmiertnego, artykuł, napisany jeszcze za życia poety, pf. *Dwa ideały*; ideałowi Krasińskiego oddaje tutaj Koźmian pierwszeństwo przed ideałem Mickiewicza.

* * *

Znajomość Krasińskiego ze starszym od niego o rok Stanisławem Egbertem Koźmianem, bratem Jana, tłumaczem Szekspira, sięga czasów młodości: siedzieli razem na ławie szkolnej. Tę znajomość młodzieńczą odnowili w Rzymie w r. 1843, ale, jak o tym opowiada sam Koźmian, o przyjaźni nie było jeszcze mowy: «Pierwsze to spotkanie z Zygmuntem zostało mi wrażenie, że przeszedł mi drogę człowiek wielkiego ducha i wielkiego serca, któremu ja mogłem być przyjacielem na ławach szkolnych, póki między nami była równość, ale który teraz tak mię przerósł, że się obejść może beze mnie, zwłaszcza, że losy nas rozegnały daleko, i że nie wiedzieliśmy, czy się jeszcze kiedy zejdziemy». Zeszli się jednak — po trzech latach, wkrótce po rzezi galicyjskiej, w Heidelbergu, gdzie się Krasiński leczył. I tutaj to dopiero zawiązała się między nimi przyjaźń, o której się później, w lat kilkanaście po śmierci Krasińskiego, wyraził Koźmian, że poczytuje ją za największą ze wszystkich łask, jakie od Boga otrzymał. Przystawiali z sobą w Heidelbergu po kilka godzin dziennie i rozmawiali nade wszystko o zagadnieniach religijnych; jeżeli Krasiński powrócił do zaniedbanych od dłuższego czasu praktyk katolickich, tłumaczy się to po części wpływem Koźmiana.

Nie dosyć na tym. Bolał Koźmian nad tym, że Krasiński tak dobrze jak przestał tworzyć. Otóż, pragnąc go na nowo do twórczości pobudzić, napisał i wydał *Wiersz do mistrzów słowa*:

Mistrze słowa, wy milczyciele!
Któż nadzieję nam przechowa,
Kto z omdlenia wyrwie życie,
Gdy milczycie, mistrze słowa?

Do Krasińskiego zwrócił się Koźmian w tych słowach:

Gdzież, koronny mistrzu słowa,
Gdzież prorocza twoja mowa?
Ty, coś — jakby w objawieniu —
Na przedwstępnym widząc cieniu,
Jak nam klęska grozi nowa,
Zabłąkanych na bezdroże
W ostatecznej jeszcze chwili
Upominal w imię Boże
I zaklinał, by rzucili
Hajdamackie noże.

Tyś przed klęską piał ostatni,
Więc po klęsce zanuć pierwszy, —
Jeszcze sroższy, jeszcze szerszy,
Wygrzmij wyrok na grzech bratni!
Tyś ostatni ustal w pieśni,
Więc najwcześniej

Rozzerwane zwiąż ogniwa,
Wejdz w natchnienie, wyjdź na Synaj, —
Ty najmłodszy, najmilszy, —
A zeszedłszy, grom, zaklinaj,
Póki dzisiaj się nazywa
Dzień dzisiejszy.

Wiersz ten, pomimo że jako poezja lichy, znalazł odźwięk w sercu Krasińskiego: niebawem wydał dwa poematy, *Ostatni* i *Dzień dzisiejszy* (napisane niby, jak opiewają karty tytułowe, «przez autora wiersza *Do mistrzów słowa*»).

Nadto wdzięczność swoją dla przyjaciela wyraził Krasiński w serdecznym, ale nie wolnym od egzaltacji, wierszu *Do Stanisława Koźmiana*:

Gdy czyhał na mnie północny morderca,
Gdym nad przepaści już się chylił dołem,
Tyś mnie wielkością swego zbawił serca,
Ty byleś dla mnie widomym aniołem —

Nie onym, w marzeń wyśnionym godzinie,
Co blichtrzem skrzydeł błyska — aż przeminie,
Ale aniołem w duchu, w prawdzie, w czynie —
Tym, co nie ludzi ani się przymiła,
Lecz strzeże wiecznie i zbawia co chwila,
Opieką Bożą — w człowieka postaci,
Bratem niebieskim — pośród ziemskich braci,
Tarczą, obroną — czemsiś nienazwanem.
Za co dziękując, przyklękam przed Panem
I proszę Pana: niech tobie zapłaci!
Bo sam tę wieczną czuję w sercu trwogę,
Że nic ci oddać, ach! za to nie mogę,
Chyba to jedno, że z wiarą wciąż wołam:
«Strzeż mnie i kochaj!» — Nic więcej nie zdołam.

Dziękuję tutaj Krasiński przyjacielowi nie tylko za to, że rozwiewał nawiedzające go zwątpienia o przyszłości Polski, uciskanej przez «północnego mordercę», ale i za to z pewnością, że go do twórczości na nowo pobudził, a i za to jeszcze, że go umocnił w wierze katolickiej.

* * *

Lecz to umocnienie w wierze zawdzięczał Krasiński nie tylko Stanisławowi Koźmianowi, ale także Hieronimowi Kajsielowi. Poznał go w roku 1839, w Rzymie, gdzie bawił podówczas także Semeniuko. Obydwaj, wraz z Aleksandrem Jełowickim, pracowali nad Krasińskim. Później, w roku 1848, Kajsielowicz, znowu spotkawszy go w Rzymie, zaczął, jak się wyraził, jego duszę «żyć na nowo». Tym razem praca wydała owoce: dnia 26 marca przystąpił Krasiński do spowiedzi, po której «wyśpiewał... cudny swój psalm piąty, *Psalm dobrej woli*», jak opowiada Kajsielowicz w swym pamiętniku (1). Odtąd szacunek Krasińskiego dla Kajsielowicza graniczył z czcią: «Ojcie a przyjacielu! — pisał do niego w kilka lat później. — Nie uwierzysz, ile i jak często mi brak ciebie. Tobie chciałbym się zawsze spowiadać, a już nie odnalazłem, od kiedysmy rozdzieleni, podobnego do ciebie ojca duchownego! Ilekroć

(1) Tę wiadomość Kajsielowicza o tyle należy sprostować, że pierwsza redakcja Psalmu dobrej woli powstała jeszcze w roku 1846.

więc idę do spowiedzi, całą duszą moją rozteskniam się ku tobie».

Jak wielkie zaufanie miał do Kajsiewicza Krasiński, o tym świadczy także i to, że powierzając w roku 1854 papiery swoje Jerzemu Lubomirskiemu, prosił go, aby, wyrzucając z nich to wszystko, co uzna za heretyckie, naradzał się w tym względzie z Kajsiewiczem, «który szerokomyślnym i głębokoserdecznym duchem jest» (1).

* * *

Najstarszą przyjaźnią Krasińskiego jest przyjaźń z Augustem Cieszkowskim, młodszym od niego o dwa lata. Opowiada Andrzej Edward Koźmian, że kiedy Krasiński w ósmym roku życia przeszedł spod opieki baronowej La Haye «pod straż męską», wówczas dawna jego opiekunka «podjęła się opieki nad drugim dziećciem, w tym właśnie czasie osieroconym po zgonie matki, a które równie bystrym zdumiewało pojęciem, równie świetne na przyszłość zwiastowało wróżby umysłowe: dziećciem tym był August Cieszkowski: stąd też początek przyjaźni między Zygmuntem a Augustem».

Po wyjeździe Krasińskiego z kraju nie widzieli się bardzo długo, aż spotkali się w Mediolanie w roku 1839: «Spotkałem się z Augustem Cieszkowskim, autorem polemiki przeciwko systematowi Hegla w jego ostatecznych wnioskach... Dzieło jego wiele w Berlinie hałasu narobiło. Dobry i rozumny wysoko chłopiec; kilka rozmów z nim miałem bardzo ciekawych».

Nie wiedział wówczas Krasiński, że ten «dobry i rozumny wysoko chłopiec» stanie się jego najserdeczniejszym — po

(1) W rok po śmierci Krasińskiego autograf traktatu *O stanowisku Polski z bożych i ludzkich względów* oddano pod sąd nie jednego, ale aż dwóch szczeromyślnych i głębokoserdecznych duchów: Kajsiewicza i Semeneńki. Obydwa duchy orzekły, że «utworu tego żadną miarą ogłosić nie wypada i że jego ogłoszenie byłoby krzywdą, wyrządzoną zacnemu Zmarłemu», albowiem «to pismo jest niechrześcijańskie tak w swojej pierwszej zasadzie, jak w ostatnich zarysach». Innego zdania był wnuk poety, Adam Krasiński, który utwór ten ogłosił drukiem.

śmierci Danielewicza — przyjacielem, chociaż mu tego «absolutnego przyjaciela» nie zastąpi nigdy. A i tego jeszcze nie wiedział zrazu Krasiński, że zaprzyjaźniając się z Cieszkowskim, zaprzyjaźnia się z najszlachetniejszym i bodaj czy nie najgłębszym myślicielem polskim, jakiego wydała epoka romantyzmu. Ale niebawem już poznał, kto jest Cieszkowski, i już w styczniu roku 1840 pisał o nim do Delfiny Potockiej: «Prócz Mickiewicza nikogom tak wzniosłe w Ducha opatrzonemu nie znalazł, nikogo, coby miał bardziej orli wzrok i potężniejszą myśl».

Na filozofię, a zatem i na poezję Krasińskiego, wywarł Cieszkowski wpływ ogromny: jemu to zawdzięcza on pojęcie woli, jako sprężyny świadomego czynu i, co za tym idzie, jako dźwigni rozwoju ludzkości; przyjmując to pojęcie, tym samym przewyższył filozofię Hegla. Ten bowiem, utożsamiając byt z myśleniem, ujmując historię ludzkości jako proces logiczny, poczytywał rozwój bytu, postęp ludzkości za coś koniecznego; tymczasem Cieszkowski, wybiegając myślą w przyszłość, nie wystawiał sobie możliwości przyszłego rozwoju rodzaju ludzkiego bez coraz to wzmagającego się udziału świadomej swoich celów woli — i to właśnie wzmaganie się woli poczytywał za główną cechę nowej, przyszłej epoki, która zbuduje Królestwo Boże na ziemi. Tę myśl i tę wiarę Cieszkowskiego przyswoił sobie i ukochał Krasiński: bez Cieszkowskiego nie byłoby ani *Przedświtu*, ani *Psalmu dobrej woli*, ani traktatu *O stanowisku Polski*.

Czy i Krasiński wywarł nawzajem pewien wpływ na twórczość Cieszkowskiego? Jeżeli wstęp pierwotny do dzieła *Ojciec Nasz*, wstęp, którym była rozprawa *O drogach ducha*, rozrósł się do rozmiarów całego tomu (jedyne, który ukazał się w druku za życia autora), jest to zasługą Krasińskiego, który wymógł na przyjaciela, że wstęp rozszerzy. Czy jednak i na sam kierunek myśli Cieszkowskiego oraz na samą jej treść Krasiński wywarł jaki wpływ, o tym wolno wątpić: charakter eklektyczny jego filozofii przemawia raczej za tym, że w przyjacielskim obcowaniu myśli Krasiński był raczej stroną biorącą, aniżeli dającą. Zresztą wytknąć dokładnie granice myśli dwóch przyjaciół jest rzeczą równie trudną, jak ściśle

określić, co Schelling zawdzięcza Fichtemu, a co Fichte Schellingowi.

Pomimo jednak całego uznania dla filozofii Cieszkowskiego, pod jednym względem nie zgadzał się z nią Krasiński: oto nie wyrzekł się tej wiary, bez której żyć nie mógł, której też żarliwie przeciw Cieszkowskiemu bronił — wiary w i n d y w i d u a l n ą nieśmiertelność duszy. Jest to jeden z najważniejszych przedmiotów ich korespondencji filozoficznej.

Lecz nie same tylko troski swej myśli powierzał Krasiński przyjacielowi: zwierzał mu się i z trosk serdecznych, nie taił się przed nim ze swą miłością ku Delfinie Potockiej i... bronił przed nim zapomocą różnych sofizmatów swego prawa moralnego do tej miłości — wówczas nawet, kiedy już się był ożenił z Elizą Branicką. Ale Cieszkowski nie dał się na plewy złapać: zbijał wszystkie sofizmaty Krasińskiego, dowodząc mu, że postępuje niemoralnie, i koniec. Krasiński tym razem okazał się odpornym na logikę przyjaciela i robił wszystko, co mógł, aby opancerzyć przed nią swoje sumienie; a że namiętność jest najmocniejszym sojusznikiem człowieka, pragnącego stłumić głos sumienia, więc, pomimo logiki przyjaciela, w walce Krasińskiego z sumieniem nie ono zwyciężyło, tylko Krasiński. Lecz zwycięstwo to przyjaźni z Cieszkowskim nie osłabiło.

* * *

Z drugim znakomitym filozofem polskim epoki romantyzmu, Bronisławem Trentowskim, zapoznał się Krasiński jeszcze w Warszawie: kolegowali z sobą w uniwersytecie. Później zetknął się z nim we Fryburgu badeńskim, gdzie Trentowski był, od roku 1838, docentem prywatnym filozofii w uniwersytecie. Potem, jak się zdaje, znowu nie widzieli się z sobą przez czas dłuższy, a przynajmniej nie mamy o ich stosunkach wiadomości. Lecz pismami Trentowskiego interesował się Krasiński zawsze bardzo żywo, jak wszyscy zresztą myślący ludzie na emigracji i w kraju. Uchodził bowiem Trentowski powszechnie za umysł niezwykle potężny; miano mu jednak za złe, że pisze wyłącznie po niemiecku. Dopiero pod wpływem Mickiewicza, a głównie Libelta, zaczął od roku 1841

pisać po polsku: już w roku 1842 wyszła *Chowanna* i *Demonomania*, w 1844 — *Myślini*, w 1845 — *Urywki polityczne*. Krasiński czytał chciwie wszystkie pisma Trentowskiego, zarówno niemieckie, jak polskie, i szczerze podziwiał niepospolity talent pisarski ich autora, lotność jego myśli i wielki rozum.

Zrazu wprawdzie raził go trochę język Trentowskiego, rojący się od neologizmów; nie podobał mu się zwłaszcza wyraz *jażń*. Ale cóż, pisma Trentowskiego mają to do siebie, że im się je więcej czyta, tym się więcej podobają — choćby tylko dla niezrównanego temperamentu pisarskiego autora; i oto Krasiński dostał się pod wpływ Trentowskiego, i to zarówno jego myśli, jak i języka.

Po myśli Trentowskiego obiecywał sobie Krasiński bardzo wiele, a raczej nie sobie, tylko — całemu społeczeństwu polskiemu: wierzył (jak zresztą cała emigracja), że on da na koniec Polsce filozofię narodową; co więcej, wierzył, że on jest jednym z tych, którzy są powołani do wskazywania narodowi jego celów i dróg. I postanowił sobie Krasiński umocnić Trentowskiego w tym kierunku jego działalności, zachęcić go, aby swym piórem uczył naród nie tylko filozofii, ale i rozumnego patriotyzmu. W tym celu, bawiąc w roku 1846, już po rzezi, w Heidelbergu, zaprosił Trentowskiego do siebie.

Trentowski przyjechał. Bawił wtedy u Krasińskiego Stanisław Koźmian, który tak opowiada o tym przyjeździe: «Ułożyliśmy się, że, skoro przyjedzie, przyjdą do mnie, aby pójść na przechadzkę. Nie mogąc się ich doczekać, poszedłem na taras zamkowy, zwykle nasze *rendez-vous*. Wkrótce i oni przybyli. Trentowski, w ogromnym makintoszu, aż po kostki spadającym, ze starym, ciężkim parasolem w rękę, kłaniający mi się jak najuniżej przy powitaniu, wyglądał prędzej na kupca baranich skórek, niż na filozofa. Gdy się rozmowa nie kleiła, poszliśmy umyślnie w boczną ulicę z Póltllą, aby ich samych zostawić. Jakoż, skorośmy się znów do nich zbliżyli, spór już wrzał na dobre. Oto co mi utkwilo w pamięci z twierdzeń filozofa:

«Nie chrystianizm wykształcił Europę, ale Europa chrystianizm. Osobistość Chrystusa jest niższa w porównaniu z Ma-

hometem. Nie miał odwagi, uciekał do Egiptu, uciekał przed Żydami, mówiąc, że jeszcze czas jego nie przyszedł... Chryścianizm przejdzie, jak wszystkie inne religie», itd.

«Nie wiem — opowiada dalej Koźmian — dlaczego Zygmunt nie odpowiadał dość żwawo, czy że chciał mu dać się wygadać, czy że zgrozą był przejęty... Mnie tym więcej ta rozmowa zjatrzyła, że i przez nieufność w swe siły i przez zdanie się na Zygmunta, nie brał żadnego w niej udziału. Gdy więc po obiedzie prosili mię, abym przyszedł na herbatę, wolałem zostać w domu. Tymczasem dowiedziałem się nazajutrz od Poletyły, że całą noc dalszy spór się toczył, że Zygmunt nigdy nie był wymowniejszym, że przeszli całe pole prawd chrześcijańskich i dogmatów katolickich, że wyparował go ze wszystkich stanowisk, tak iż Trentowski, cofając się, wciąż powtarzał: ja nie filozof, tylko z przypadku zostałem pisarzem, a w istocie jam tylko ulan z jazdy augustowskiej».

Czy tej relacji Koźmiana wolno bezsprzecznie ufać? Czy ulan istotnie tak szybko skapitulował? Nie ma powodu, aby o tym wątpić; ale czy skapitulował szczerze, o tym wątpić wolno. Trentowski bowiem był to filut nad filutami: wielki spryt życiowy i niepospolita przenikliwość pozwoliły mu się szybko zorientować, że przyjaźń z Krasińskim może mu się doskonale opłacić, że więc wszystko, co jej staje na drodze, trzeba usunąć; a że spostrzegł, iż jego poglądy liberalne drażnią i bolą Krasińskiego, więc się z nich sam rozbroił i złożył je chytrze u stóp przyszłego przyjaciela, który — przy całym swoim rozumie — był człowiekiem ogromnie łatwowiernym.

Tak czy inaczej, dosyć, że od owej nocy, spędzonej na dyspucie, poczęła się przyjaźń Krasińskiego z Trentowskim. Aby dać przyjacielowi możność pracowania piórem dla Polski, obiecał mu Krasiński płacić tysiąc talarów rocznie — i płacił je najregularniej, mówiąc sobie, że, jak pisał do Cieszkowskiego, «świństwem byłoby..., gdyby taki Duch z głodu miał konać».

Owoce tej przyjaźni i szlachetnej propagandy Krasińskiego dojrzały szybko: już w roku 1847 wydał Trentowski swoje *Wizerunki duszy narodowej*, jedno z największych arcydzieł publicystyki polskiej. Otóż na tym dziele odbił się

bardzo wyraźnie wpływ Krasińskiego; jest ono nawzajem doskonałym komentarzem do niejednej myśli w *Psalmie miłości*. Jeżeli Trentowski, kalwin i wolnomularz, tak niedawno jeszcze, w *Urywkach politycznych*, pioruny miotał na Kościół katolicki, papieża nazywał Antychrystem i twierdził, że Polskę, «równie jak Irlandię, zabiła właściwie wiara w Antychrysta i oddychanie jego tchnieniem, t. j. niewolą, ciemnotą, stagnacją», a teraz, w *Wizerunkach duszy narodowej*, ni stąd ni zowąd dowodzi, że «katolicyzm jest jedną z najsilniejszych narodowości naszej twierdz i ucieczek»; jeżeli tak gorąco i wymownie broni szlachty polskiej: tłumaczy się to wpływem, a jeszcze pewniej... życzeniem Krasińskiego, którego w tym dziele pod niebiosą wynosi Trentowski, nie wymieniając go zresztą ani razu po nazwisku; nazywa go to Aniołem-Stróżem Polski, to apostołem polsko-chrześcijańskim, to Duchem-Orlem; przytacza też w cudzysłowach całe ustępy z listów Krasińskiego.

A i późniejsze dzieło Trentowskiego, wydane w roku 1848, *Przedburza polityczna*, jest w niemałej mierze także owocem jego przyjaźni z Krasińskim: dosyć powiedzieć, że kilka ustępów tego dzieła wyszło spod pióra Krasińskiego.

Miał Krasiński tak wielkie, tak zupełne zaufanie do Trentowskiego, że, bawiąc na kuracji w Baden, posłał mu na pewien czas na wychowanie dwóch swoich synów. Widział w nim, jak pisał, «istną, szczerą, złotą naturę polską», miał go za «najlepszego i najspokojniejszego z ludzi», za «prawdziwą i wyborną część ducha ogólnego polskiego», za opatrnościowego męża dla Polski. Trentowski nie pozostał oczywiście Krasińskiemu dłużny: nie mniej ani więcej, tylko zapewniał go, że on mu «zastępuje miejsce Boga na ziemi». Mówiąc nawiasem, po śmierci «zastępcy» bardzo natarczywie upominał się Trentowski u jego żony o dalsze zasiłki, tylko że pani Krasińska nie była ani tak łatwowierna, ani przede wszystkim... tak hojna, jak Krasiński, i odprawiła męża opatrnościowego z kwitkiem.

W *Panteonie* tak scharakteryzował Krasińskiego Trentowski: «Głos jego rozświecał, jak nagle lyskawica, a lał

w pierś pokrzepiający balsam. Miłością żywą był, i to się czuło. A charakter jego, jak u Cherubina».

* * *

Mickiewicza poznał Krasiński w Genewie dnia 11 sierpnia roku 1829 i niebawem odbył z nim (i z jego cieniem nieodstępnym, Odyńcem) dłuższą wycieczkę po Szwajcarii. Pierwsze wrażenie nie było zbyt korzystne: «Mickiewicz jest zimny, ponury», pisał Krasiński do ojca. Nie wiele jednak czasu było potrzeba, aby to pierwsze wrażenie ustąpiło miejsca zachwytowi; w dziesięć dni po poznaniu Mickiewicza donosi ojcu: «Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego», — to o umyśle Mickiewicza. Lecz i o jego wartości moralnej wypowiedział sąd niemniej korzystny, niezmiernie trafny w swej treści i bardzo silny w wyrazie. Sąd ten pochodzi wprawdzie z czasów późniejszych, kiedy Krasiński miał już za sobą drugie spotkanie z Mickiewiczem — w Rzymie r. 1830 i 1831, ale ten dopiero sąd tłumaczy nam, dlaczego Mickiewicz wywarł na Krasińskim tak wielkie wrażenie, dla czego tak go oczarował. «Poznałem... za granicą Mickiewicza», czytamy w liście do generała Morawskiego z dnia 30 stycznia roku 1833; «w nim jest prawdziwa poezja, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć...; do tego jest wielka harmonia między jego wyobraźnią a jego sercem». Przekonał się Krasiński, poznawszy Mickiewicza, że można być wielkim poetą, a jednocześnie nie zmyślać uczuć, nie karmić się ciągle a ciągle tylko wytworami fantazji, szukać w życiu przede wszystkim prawdy i dopiero tę prawdę życia przyoblekać w kształty poetyckie piękna, a nie odwrotnie — nie brać majaków wyobraźni za poznanie rzeczywistości.

Krótko mówiąc (jak to często się zdarza), Mickiewicz olśnił Krasińskiego tą stroną swojej poezji i swojego charakteru, której brakowało właśnie jemu, Krasińskiemu. «Zupełnie mi wyperswadował, — pisze do ojca — że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną... i że, chcąc być

czym teraz, trzeba uczyć się i uczyć i uczyć i prawdy wszędzie szukać».

Prawdę mówiąc, niezupełnie wyperswadował Mickiewicz Krasińskiemu, «że szumność jest głupstwem»: do samej śmierci nie wyzbył się on szumności i teatralności; inną natomiast naukę Mickiewicza pełnił wiernie: uczył się i uczył i uczył, prawdy wszędzie szukał — także do samej śmierci. I w ogóle wierzymy Krasińskiemu, kiedy wyznaje ojcu, że spotkanie z Mickiewiczem «wiele mu dobra przyniosło...». «Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem — i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie dobry i szlachetny».

Z biegiem czasu uwielbienie dla Mickiewicza wzrastało. Sąd o nim, wypowiedziany w liście do Morawskiego, nie jest bynajmniej jedyny. Oto np. do Gaszyńskiego pisał Krasiński w roku 1833: «Mickiewicz, jako człowiek, jest jeszcze piękniejszym, niż jako poeta; on jeden szczerze mówi, on jeden wie, co poświęcenie; dla tego myślę, że źle mu jest pomiędzy ludźmi, którzy interes swój mają na celu, a słowo poświęcenie przyczepiają do siebie, jak liść figowy na posągach».

Później, w artykule o Słowackim (r. 1841), napisze Krasiński, «że przed Mickiewiczem... nie było poezji w Polsce», że «czyn, którym duch nasz się objawił po rozebraniu się z ciała politycznego, zowie się Mickiewiczem», że «czym Alp ogromy, czym piramidy pustyni, czym wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, tym Mickiewicza dzieła». (1)

Nie stracił Krasiński serca dla przyjaciela i wtedy, kiedy ten uwierzył w mistrza Andrzeja i zaczął krzewić i propagować jego naukę; przeciwnie, wykłady paryskie, na których towianizm coraz to silniejsze piętno wyciskał, wręcz olśniły Krasińskiego. I jak mogło być inaczej, kiedy sam Krasiński skłaniał się zrazu do towianizmu? A cóż dopiero, kiedy się dowiedział, co mówił Mickiewicz z katedry paryskiej o *Niebo-*

(1) Historię sądów Krasińskiego o Panu Tadeuszu wyłożył i wyjaśnił St. Pigoń w swym znakomitym dziele *Pan Tadeusz, wzrost, wielkość i sława*. Warszawa 1934, str. 276, nast.

skiej komedii! «Ażem się rozplakał, gdy przeczytał cytację pana Adama» — pisał do pani Potockiej.

Po rzezi galicyjskiej miał Mickiewiczowi za złe, że nie zabrał głosu, że nie potępił winowajców, ale o jakimś głębszym żalu względem niego nie było nawet mowy. Co niezmiennie dla Krasińskiego, dla jego poczucia sprawiedliwości i jego autokrytycyzmu znamienne, to, że dowiedziawszy się w roku 1847 od Delfiny Potockiej, że się Mickiewicz wyraził o nim niezbyt pochlebnie, nie żywił doń urazy, owszem, przyznał mu słuszość. «O mnie — pisał do Cieszkowskiego — powiedział» (Mickiewicz), «że brak energii mnie gubi, że o trzy kroki zaraz się będę strzelał, ale całej prawdy mej duszy w oczy nie będę miał odwagi powiedzieć drugiemu, ani bez paszportu i lokaja przedzierać się przez wielkie przestrzenie geograficzne». Dodaje Krasiński: «W tym wszystkim wiele prawdy». Nie każdy by się zdobył na taką otwartość i bezstronność.

Rozumie się, że sąd Mickiewicza zabolął jednak Krasińskiego; widać to z listu do pani Potockiej: «Tak mnie osądził» (Mickiewicz), «jak gdyby Bóg mnie osądził, gdyby Bóg był bez serca... Energii, prawda, nigdy nie miałem do rozdeptywania serc ludzkich — on pamięta mnie w czasach takowej bezenergii..., pamięta, żem nie pojechał do powstania; więc ma prawo sądu nade mną i używa go, a jednak wiem głęboko, że on mnie kocha». Ale co innego ból, a co innego żal: żalu o ten sąd nie miał Krasiński do Mickiewicza i nie zmienił o nim zdania, skoro wkrótce potem pisał: «...Wszystko, co tylko powie» (Mickiewicz) «na mnie, daruję i przyjmę, bo, naprzód, jest w tym sąd Boży; powtóre, on sam nieszczęśliwy, tak jak mi go opisujesz. Boże mój! ufaj we wdzięczność narodów! Nikt tak ducha narodu nie podniósł, nie odletargował, nie wprowadził we wszystkie następstwa przyszłości, jak on!» A w kilka dni później: «Biedny on, biedny! chciał koniecznie urzędu proroczego, — w tym дума, bo, o ile można być prorokiem ludu swego za dni naszych, już był nim *de facto*... Ale z tym wszystkim to wielki duch! Siła żywotna w nim taka, że ją miliony poczuły, i w istocie ten człowiek stał się duszą Polski! O tym zapominać nie godzi się, nie można». Te listy pochodzą z roku 1847.

Lecz przyszedł rok 1848, rok rewolucyj. Dla przyjaźni dwóch poetów był to rok krytyczny, co się tłumaczy ich biegunowo sprzecznymi poglądami na rewolucję. Spotkali się w tym roku w Rzymie, bardzo dużo przebywali z sobą i dysputowali, ale do zgody dojść nie mogli: Krasiński nic dobrego nie wróżył Polsce ze wszczynających się ruchów rewolucyjnych, Mickiewicz tymczasem przywiązywał do nich ogromne nadzieje. Krasiński (podobnie jak Cieszkowski), jak dawniej, tak i teraz nie wierzył, aby rewolucja, jako czyn zły, mogła przynieść dobre owoce: Mickiewicz, jak dawniej, tak i teraz nie podzielał tego doktrynerskiego, ciasnego stanowiska i głosił zasadę, że, choćby nawet rewolucja była dziełem lotrów, to Pan Bóg czasem lotrów do swoich celów używa.

Zrazu usiłował Mickiewicz przekonać Krasińskiego, że ta burza, która we Włoszech zerwała się już z początkiem roku 1848, a która już wisiała nad Francją, nad Austrią, nad Prusami i groziła, zdawało się, całej Europie, przyniesie Polsce niepodległość. Umyślił sobie, że Krasiński pojedzie do Petersburga, przemówi do cara Mikołaja «duchem proroka, duchem wyższej natury» i skłoni jego serce ku sprawiedliwości dla narodów, jęczących w niewoli. Krasiński jednak patrzył krytycznie na ten wyskok marzycielstwa i mistycznego entuzjazmu, jaki opanował płomienną, a zboląłą duszę Mickiewicza, i zdawał sobie jasno sprawę już nie tylko z bezcelowości, ale wręcz ze śmieszności tego pomysłu. I zdołał przekonać Mickiewicza, że się ludzi.

Innym razem Mickiewicz zażądał od niego nie mniej ani więcej, tylko żeby wziął czynny udział w nadciągającej burzy. «Na to — opowiada Krasiński pani Potockiej — odpowiedziałem mu opisem mego położenia i dni stroskanych onych i sędziwych, z którymi boju nie chcę». (Mówi tutaj Krasiński o swoim ojcu). «Głowa wtedy wieszczą pochyliła się na piersi, zamknął oczy, jakby uderzony ciosem, — ani jednym słowem się nie sprzeciwił, wziął tylko za rękę mnie i rzekł: «Prawda, prawda, szkaradne, arcytrudne położenie, nie ma co robić, tylko Bogu cię polecić...». «O komunizmie potem się zgadało — a on: «Ot, widzisz, jest pewien jednak święty komunizm ducha; przecież i tyś w stosunku do mnie go tyle razy sprawował

z ducha, z serca, z uczucia — nie z musu, nie z prawa, nie z obowiązku, kiedyś mi przysłał pieniądze». Pod takim kształtem wspominał i podziękował». Tu dodaje Krasiński kilka słów, które wymownie świadczą, że Mickiewicz w jego oczach stał się jeszcze większym, niż był dawniej: «To także podziękowanie na rozmiar posągów Michała Anioła».

Tak, różnił się z Mickiewiczem Krasiński w poglądach na rewolucję i w ogóle nie podzielał jego programu politycznego, ostro sądził jego działalność w roku 1848, upatrując w niej dziki, godny Omara fanatyzm, ale rozumiał i odczuwał, że wielkość Mickiewicza, jako człowieka, jako charakteru, nigdy jeszcze nie zajaśniała w takim blasku wielkości, jak w tym roku, że Mickiewicz to «kolosalna natura», że «boże furory go porwały». «Czterdzieści dziewięć lat, a jak młodzieniec krzyczy, skacze, zapala się, wierzy, stąpa! Wszystkie mury głową by rozwalal — wszystkie piersi ludzkie targał rękoma, by po meksykańsku serca z nich wydobyć i na ofiarę poświęcić woli mistrza! Jakby mu płynem magicznym kto żyły ponapajał... Czerwienieje jak purpura królewska. Przeciw takiemu człowiekowi trzeba być bladym, zimnym, poważnym, spokojnym — a to wszystko jednak od głębokiej miłości. Kto się miłością nadeń nie podniesie wyżej, ten będzie musiał paść w konwulsjach na ziemię przed nim».

Trudno naprawdę powiedzieć, czego te słowa są lepszym świadectwem: czy wielkości świętego zapалу, «bożych furoarów» Mickiewicza, czy też szlachetnej bezstronności Krasińskiego i jego gorącego uczucia względem Mickiewicza.

A przykład to nie jedyny. Kiedy się Mickiewicz zdobył na tak wielki akt pokory, do jakiego jest zdolny tylko wielki człowiek, kiedy się ukorzył przed Kościołem, kiedy się wyspowiadał przed swoim wrogiem — księdzem Aleksandrem Jełowickim, człowiekiem pocziwym, ale należącym do tych, których Słowacki nazywał «mniejszymi mrówkami ludzkości», — Krasińskiego ta wielkość Mickiewicza zachwyciła, ale i... oburzyła. «Wczoraj z rana — pisał do pani Potockiej 1 marca — Adam się spowiadał..., a wiesz komu? śmiertelnemu nieprzyjacielowi: Jełowickiemu księdzu!... Tytan w więzach u Karła, jak w *Eddie* skandynawskiej bywa... Zapewnie myślał, że

gdy dopełni takiej nieskończonej ofiary, gdy tak się przegnie w dziesięcioro..., toć zaraz potem wstanie spod tego konfesjonalu jak olbrzym w obliczu Boga, że nieskończoność pokory da mu nieskończoność potęgi! Szturmem wziąć Boga! Boga czy tak, czy owak zmusić! Oto myśl, oto zamiar!»

A do Trentowskiego pisał Krasiński tak o Mickiewicz: «Zawsze to ten sam, żadnym cierpieniem nie zużyty duch, duch tytański, Prometej, przykuty do skały czy nieszczęść narodowych, czy wiar własnych, ale piersią podnoszący kajdany ludu swego, nałożone od bogów, jedną myślą, co gwoździem wrosła mu w czoło, chcący przewiercić świat, myślą o zbawieniu Ojczyzny».

Lecz kiedy się burza rewolucyjna zaczęła coraz silniej srożyć w Europie, kiedy na wieść o tym, co zaszło w Paryżu dnia 24 lutego (o barykadach i o ucieczce Ludwika Filipa), dusza Mickiewicza zadrżała z radości, — uczucia Krasińskiego względem Mickiewicza zaczęły się zmieniać, jak to widać nade wszystko z listów do Cieszkowskiego: «Uwierzyłem w diabła, widząc tego człowieka, — patrząc się na jego nienawiść..., na jego radość, ilekroć gdzie krew się leje...». «W nim Chrystusa nie ma..., miłości za grosz nie ma; bucha tylko zawiść i nienawiść — coś piekielnego...». «Mickiewicz... to doskonały Żyd. Czy wiesz, że matka jego była Żydówką, która się przechrzcila przed pójściem za ojca jego? Niezawodnie! — stąd w tym człowieku taki zakrój! — Kabala, Talmud, Dawid... energia... wszystko razem! Miłość Ojczyzny i Wallenrodyzm...».

Aż boleśnie czytać, tym boleśniej, że, jak opowiada Malachowski, Mickiewicz, kiedy wyruszał z Rzymu, aby formować legion, pożegnał Krasińskiego, mimo że go nie mógł namówić do udziału w tym czynie, bardzo serdecznie.

Lecz był to gniew chwilowy: przyjaźń dla Mickiewicza zbyt głęboko wrosła Krasińskiemu w duszę, ażeby ją mógł z niej wyrwać. I oto jeszcze w tym samym roku 1848, dnia 1 lipca, już z Paryża, pisze do Mickiewicza list, w którym się wprawdzie ostro przeciwstawia jego pogładowi, że «Bóg samych łotrów dobiera do sprawy swojej», ale który kończy słowami, wyjętymi z kochającego serca: «Bóg cię prowadzi i pobłogosław, Bóg strzeż Ducha twego!»

Nowa fala gniewu napłynęła do serca Krasińskiego, kiedy Mickiewicz zaczął wydawać *Trybunę ludów*. «Dopierom teraz się przekonał — pisze do Cieszkowskiego — jak głęboko upadł Mickiewicz... Możesz sobie wystawić: obiecał rządy Francji temu durniowi» (Ksaweremu Branickiemu) «i tym go trzyma...». «Pamiętaj, że mistycyzm szalbierski, używający imienia Bożego, by świat po muzułmańsku wyrzynać, jest arcyzbrodnią przeciwko Duchowi Świętemu...». «Cały skład *Trybuny* z samych lajdaków był złożony..., im w głowie był rabunek i rzeź w Paryżu».

Mimowoli, kiedy się to czyta, przychodzą na myśl słowa:

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem?

Naprawdę, że strach ma wielkie oczy... Wolałoby się, żeby takich, krzywdzących Mickiewicza, posądzeń nie było w listach Krasińskiego.

Lecz śmierć Mickiewicza uciszyła w nim wszystkie żale — odczuł on ją bardzo boleśnie; ale bo też nikt inny z pewnością, nikt inny w całej Polsce nie rozumiał tak głęboko całego ogromu poniesionej straty, nikt inny nie uświadomił sobie tak jasno, już za życia Mickiewicza, czym jest jego poezja dla narodu.

«Pan Adam już odszedł od nas; — pisał do Sołtana — na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem i żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy... Był to jeden z filarów, podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc tylu żywych i krwawych; filar to był olbrzymi, choć rozpekły sam, a teraz dołamał się i runął w przepaść. I całe sklepienie ono zadrzeć musi i kroplami krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego grobem!»

Do Cieszkowskiego pisał Krasiński to samo mniej więcej, ale dodał jeszcze: «Iskry, co w nim żyła i z nim się rozwiała, nie odnajdziem w żadnej innej piersi dziś. Pierś ta była Michałowo-Aniołowa».

*
* *

Ze Słowackim poznał się i zaprzyjaźnił Krasiński dopiero w roku 1836, w Rzymie. «Towarzyszem romansowych wędrówek» nazywa Krasińskiego Słowacki w liście do matki, mając na myśli wspólne wędrówki po Rzymie podczas nocy księżycowych. Ponownie spotkali się we Florencji, w roku 1838, już po powrocie Słowackiego z podróży na Wschód.

Głównym węzłem, który połączył ich serca, była poezja. Krasiński zdawał sobie doskonale sprawę, że w Słowackim jest jej więcej niż w nim, ale ta świadomość (rzecz u poetów tak wyjątkowa!) nie tylko go od Słowackiego nie odpychała, ale przeciwnie, przyciągała go ku niemu. Słowacki nawzajem rozumiał, że w Krasińskim jest więcej myśli głębszej niż w nim; ale, że mu Krasiński nigdy tego odczuć nie dał, że postępował z nim wyjątkowo delikatnie, a serdecznie, że podzielał z nim jego troski i przykrości, że nadto on pierwszy w Polsce i on jeden jedyny uznawał wielkość jego poezji i nie ukrywał przed nim tego swego sądu, więc nie dziw, że go Słowacki serdecznie pokochał i że był mu wdzięczny za przyjaźń, z której «lekarskich, uzdrawiających skutków» dobrze sobie zdawał sprawę.

Lecz myliłby się, kto by sądził, że w tej przyjaźni Krasiński był tylko stroną dającą, a nie biorącą. Z listów do Gaszyńskiego widać doskonale, w jakim stopniu uległ Krasiński czarowi poetyczności Słowackiego. Pod jego to dopiero wpływem zaczął on przyoblekać swoje myśli i uczucia w formę wiersza, którą się przed znajomością ze Słowackim — jeżeli pominąć nieudolny wierszyk, złożony w dzieciństwie ojcu na imieniny, i przesłiczne wiersze Orcia w *Nieboskiej Komedii* — nie posługiwał. Bardzo znamienne jest rzeczą, że najwcześniejszy utwór osobistej liryki Krasińskiego (*O, biedna, czegoż ja mam życzyć tobie?*) powstał w maju roku 1836, to jest wtedy właśnie, kiedy się zaczęła znajomość ze Słowackim. A utwór *Z nad wód* jest przecie wyraźnym naśladowaniem poematu *W Szwajcarii*.

Wspaniałym pomnikiem uczuć przyjaźni i wdzięczności Słowackiego względem Krasińskiego są, prócz wiersza *Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary*, dwa cudowne listy do «autora *Irydiona*»; a *Lelum* i *Polelum* w *Lilli Wenedzie* to sym-

bol poetycki tej przyjaźni. Jej pomnikiem w twórczości Krasieńskiego jest, prócz rozproszonych w listach do przyjaciół luźnych sądów o utworach Słowackiego, artykuł pt. *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, pierwszy godny geniuszu Słowackiego głos o jego poezji.

Prześlicznie odzwierciedla się przyjaźń «dwóch Wenedów» także w ich korespondencji, której nie znamy, niestety, w całości.

Nie zachwiała przyjaźni ani przelotna miłość Słowackiego ku dawnej kochance przyjaciela, pani Bobrowej, ani przystąpienie Słowackiego do towiańszczyzny, ani jego surowy sąd o *Przedświcie*. Podkopał przyjaźń dopiero *Ksiądz Marek*, w którym Słowacki rzucił cień na przodków Krasieńskiego i jego żony. Korespondencja się urwała. Później, w roku 1845, krótki pobyt Krasieńskiego w Paryżu o mało nie zerwał wszystkich stosunków: Krasieński przyjechał do Paryża w zupełnym *incognito*, więc spotkawszy Słowackiego na ulicy, nie poznał go. Słowacki uraził się głęboko — o mało nie doszło do pojedynku. Lecz niebawem nastąpiło pojednanie: pierwszy wyciągnął rękę — Krasieński (przez Gaszyńskiego); Słowacki ją przyjął, i niepodobna czytać bez wzruszenia jego listu do Krasieńskiego z dnia 12 stycznia roku 1846, listu, w którym przeprasza przyjaciela za *Księdza Marka*.

Lecz niedarmo mówi przysłowie: «Pojednana przyjaźń — jak marcowy lód». Kiedy Krasieńskiemu wpadł w ręce wiersz *Do autora trzech psalmów*, przyjaźń pękła już na zawsze. Nie darował Słowackiemu tego wiersza Krasieński, i nie tylko nie darował, ale się zemścił, i to, nazywając rzecz po imieniu, w sposób niezbyt szlachetny. Bo niczym nie zasłużył sobie Słowacki na te dwa straszne wiersze w *Psalmie żalu*:

Szlibyśmy oba i szczęśliwsi oba:

Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem.

To już nie tylko ironia: to potwarz! I w *Niedokończonym poemacie* nie darował swej urazy Krasieński: demagog Julinicz jest karykaturą Słowackiego (a po części — i Mickiewicza z roku 1848).

Lecz śmierć Słowackiego zagłuszyła w Krasieńskim wszy-

stkie jego żale do «drogiego Jula» i bardzo żalosnym echem odezwiała się w listach. «Biedny Słowacki! — pisał do Stanisława Koźmiana — umarł z suchot. «Niechże już zrzucę ten płaszcz lichy, co mię więził, i pójdę tam» — ostatnie słowa jego. Praniewicza kazał zawołać i Sakramenta z rąk jego wziął. Na pogrzebie trzydziestu było ziomków — nikt głosu nie zabrał, nikt nie uczcił choćby słowem jednym pamięci największego mistrza rymów polskich. — Biedny! biedny! Towianizm go zabił. Ileż to on marzeń przemarzył — ileż to wielkich przeznaczeń widział przed sobą! i, jak lady Stanhope, umarł przed wjazdem do nowej Hierozolimy. Co to się ta dusza namęczyć, nabołęć musiała! Znikł człowiek — Bóg wie o nim — imię zostało. Ludzie o imieniu, póki stanie mowy polskiej, będą wiedzieli».

* * *

Cypriana Norwida poznał Krasieński w Rzymie w roku 1848. Oto, co pisał do pani Potockiej o pierwszym wrażeniu tej nowej znajomości: «Na Sistina przez korrydarze i wschody labiryntowe dostałem się do Norwida; zapukałem, drzwi się otwarły — szeroka jakby pracownia. Lampa zasłonięta, gdyby iskra konająca jedna wśród ciemności; kilka ram — płótno jedno wielkie — dwie gipsowe głowy — a w tym zmierzchu człowiek młody: pół Słowackiego, pół Jerzego» (Lubomirskiego) «—ni to, ni owo, ale z obu coś; bo i fantazji ogrom, i tkliwości. Nerwowa natura, zagmatwana, siebie sama niedokładnie pojmująca, ale prześliczna, nie tytańska, ale prześliczna. Ogień w alabastrowym naczyniu. Sto luciolek» (świecących robaczek świętojańskich) «skupionych razem na duszę jedną. Choroba, nędza, a wszystko to w tęczy! Uprzejmość, grzeczność, wdzięczność i wdzięk wcale nie demokratyczne — woń jakaś arystokratyczna! Z godzinę siedział...».

Norwid przylgął do Krasieńskiego odrazu. Zaczęła się korespondencja. Krasieński udzielał swoim zwyczajem różnych rad serdecznych Norwidowi, póki się ten nie pogniwał, kiedy mu Krasieński, który sensu niektórych jego utworów zaledwie się dorozumiał «krwawą pracą», zarzucił otwarcie i szczerze niejasność stylu. Pomimo gniewu Norwida, Krasieński się do

niego nie zraził, chociaż, jak to widać z listów do Cieszkowskiego, sądził go bardzo surowo, zarzucając mu zarozumiałość, pychę, megalomanię, gorycz względem ludzi. Ale zawsze żywił serdeczne współczucie dla jego smutków i biedy i wspierał go potajemnie.

Po kilku latach, kiedy Krasiński bawił w Paryżu, przyjaźń się odnowiła; rozmawiali z sobą o *Quidamie*, i Norwid nazwał Krasińskiego «szlachetnie różniącym się przyjacielem»; przyjaźń tę tym więcej sobie cenił, że, jak się wyraził, żyje w epoce, «w której łatwiej może napotkać ludzi zapamiętałe się kochających, niż umięających szlachetnie i z miłością się różnić».

* * *

W Rzymie także, w tym samym roku, co Norwida, poznał Krasiński generała (albo raczej wówczas dopiero pułkownika) Władysława Zamoyskiego. «Czym więcej widuję Zygmunta — pisał Zamoyski do Czartoryskiego — tym bardziej go cenię. Jest to bez wątpienia jeden z najznakomitszych między nami ludzi — pojęciami, wiadomościami i zdrowym o rzeczach sądem, a przy tym pięknym nader uczuciem». A po kilku latach, już po śmierci Krasińskiego, zapisał o nim Zamoyski w swoim pamiętniku te słowa: «Przyjaźń ta była mi prawdziwym w życiu bogactwem i jedną więcej łaską Boga». Zwierciadłem tej przyjaźni jest pełna wyjątkowej serdeczności i wzajemnego zaufania korespondencja. «Mój drogi i bohaterki!» — tak zaczynają się zwykle listy Krasińskiego do Zamoyskiego. A Zamoyski pisał doń raz jednego: «Ciebie, spotkawszy, pokochałem duszą i umysłem, i ty mi drogą okazujesz przyjaźń; i prawdziwie — po matce, którą nazywałem sumieniem swoim, i która była mi ze wszystkich najdroższą, jedyną niemal nagrodą, — nikt mi tyle podobnie nie nagroził w duszy, jak ty twoją przyjaźnią, nikt też może tyle nie zachęcił, bo i ośmielił, i w niejednym oświecił i ustalił». To przywiązanie Zamoyskiego całym sercem odpłacał mu Krasiński: kochał go podwójnie, raz jako przyjaciela, drugi raz jako Polaka, pełnego «hartu, poświęcenia, odwagi i szlachetności w obliczu świata».

Z listów Krasińskiego do Zamoyskiego warto przytoczyć te słowa: «Póki człowiek tryumfuje, zwykle mi nic lub mało doń, lecz skoro przestąpi próg nieszczęścia, natychmiast zakochuje się w nim, jak w piękności jakiej! Zawszem czułem w nieszczęściu najprzedziwniejszą piękność tego świata, któremu Bogiem — nieszczęścia ideał! bo Bóg, a zarazem ukrzyżowany». Prześliczne to, a prawdziwe świadectwo, jakim to przyjacielem umiał być Krasiński. Soltan, Mickiewicz, Słowacki, Norwid mogliby byli o tym coś powiedzieć...

* * *

W Hadze w roku 1844 poznał Krasiński starszego od siebie o lat siedemnaście znakomitego malarza holenderskiego, Ary Scheffera, któremu Francja stała się drugą ojczyzną. Że się ta znajomość stała serdeczną przyjaźnią, to widać z ich korespondencji, której głównym przedmiotem są zagadnienia estetyczne. Do serca trafił Scheffer Krasińskiemu swymi obrazami, i to pochodzącymi z ostatniej doby jego twórczości, kiedy to troszczył się nie o dokładność rysunku, ani o wyrazistość barw, ani w ogóle o formę, tylko o ideę, o uduchowioną treść obrazu; taki charakter mają jego obrazy: *Św. Monika ze Św. Augustynem*, *Dante i Beatrycze*, *Matka Bolesna* i in. I ten właśnie rodzaj malarstwa musiał przypaść Krasińskiemu do serca, bo i on nie w formie, tylko w treści szukał istoty sztuki; a jeśli do tego dodać jego egzaltację, to nie trudno będzie zrozumieć, że Scheffera cenił na równi z Dantem, z Mickiewiczem, z Byronem i... z Napoleonem.

* * *

Ten szereg przyjaciół Krasińskiego, bliższych i dalszych, można by jeszcze przedłużyć, gdyby się szczegółowiej, niż dotychczas, znało jego życie. Zaprzyjaźnił się np. z Edwardem Jaroszyńskim, ale szczegóły tej przyjaźni nie są dotychczas dokładnie znane. Wiemy, że go Krasiński poznał w Rzymie w roku 1834, i że on to wprowadził go do domu państwa Bobrów; wiemy jeszcze, że mu się Krasiński zwierzał ze swych uczuć dla pani Bobrowej i że korespondował z nim i dysputował o zagadnieniach filozoficznych, Jaroszyński bowiem

studiował z zapalem filozofię i wielbil Hegla: to byłoby tak dobrze jak wszystko, co dotychczas o tej przyjaźni wiadomo.

Jaki charakter miała przyjaźń Krasińskiego z Romanem Żaluskim, której zawdzięczamy jeden z najpiękniejszych listów poety — o Słowackim, oraz z Jerzym Lubomirskim, tego dobrze nie wiemy.

A i przyjaźń z Adamem Potockim, późniejszym szwagrem Krasińskiego, nie jest dotychczas znana w szczegółach. Poznali się w roku 1839 w Wiedniu, gdzie Potocki bawił na studiach. Kiedy się rozstali, zaczęła się korespondencja. Listów Potockiego nie znamy; listy Krasińskiego na szczęście znamy, — na szczęście, bo są prześliczne. Zajmują one w korespondencji Krasińskiego zupełnie odrębny charakter, co się tłumaczy znaczną różnicą wieku przyjaciół: Krasiński, starszy od Potockiego o lat dziesięć, nie zwierza mu się ze swoich osobistych spraw, jak np. Sołtanowi albo Gaszyńskiemu, tylko udziela mu nauk i przestróg moralnych, wyklada mu główne obowiązki człowieka i Polaka w sposób szlachetny i podniosły, a niezmiernie delikatny i subtelny, — nie narzucając się młodszemu przyjacielowi z rolą mentora, tylko przemawiając doń serdecznie, jak do kochanego brata młodszego. Można by na tych listach położyć, jako motto, słowa, wyjęte z listu Krasińskiego do Słowackiego:

«Kto powie, że ode mnie się nauczył, iż człowiek nie powinien być aniołem, nie winien czuć się boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, we wznioślejsze okręgi; kto powie, że kiedykolwiek przystał w drugim na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi, że kiedykolwiek zalecił brak szlachetności i urody nieśmiertelnej, by stało się zadość chwilowym chętkom lub namiętnostkom moim, — tego powoływałam... przed sąd Boga».

Listy do Adama Potockiego są najpiękniejszym dowodem, jak bardzo Krasiński pragnął, aby jego przyjaciele dążyli «we wznioślejsze okręgi».

DWA PROBLEMY NACZELNE «NIEBOSKIEJ KOMEDII» KRASIŃSKIEGO

(ODCZYT, WYGŁOSZONY W UNIWERSYTECIE PARYSKIM
DNIA 7 MAJA 1937 ROKU)

Nasamprzód niechaj mi wolno będzie wyjaśnić, dlaczego za temat swego pierwszego odczytu, który wygłaszam w Sorbonie, obieram *Nieboską Komedię* Krasińskiego. Dla dwóch powodów.

Po pierwsze, w ostatnich czasach, dzięki temu, co się na świecie dzieje, nade wszystko w Rosji i w Hiszpanii, *Nieboska Komedia* stała się — przez jeden z dwóch naczelných swoich problemów, którym jest walka społeczna — utworem wysoce żywotnym; dowodem tego jest, że w roku zeszłym wystawiono ją na zagranicznych scenach teatralnych — w Hamburgu, w Pradze, w Budapeszcie, w Wiedniu.

Drugi powód jest natury bardzo osobistej. Przed laty czterdziestu trzema, po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Warszawie, we Wrocławiu i w Berlinie, miałem szczęście być studentem tego samego uniwersytetu, w którym dzisiaj — po raz pierwszy w życiu — mam zaszczyt przemawiać. (Za ten wielki zaszczyt składam najgorętsze podziękowanie panu Rektorowi Sorbony, panu Prezesowi Rady Uniwersyteckiej i panu Administratorowi Instytutu Studiów Słowiańskich, którzy do wygłoszenia odczytów raczyli mnie wezwać.) Otóż, jako student Sorbony, największy dług wdzięczności zaciągnąłem względem Ferdynanda Brunetière'a; wykladał o jednym tylko autorze — o swoim ukochanym Bossuet'cie — ale przy każdej sposobności kładł nacisk, że główną cechą literatury francuskiej jest jej charakter społeczny, i w tej społeczności ogólnoludzkiej, uniwersalnej, że w jej największych arcydziełach zarówno natura, jak historia obraca się najczęściej około człowieka, człowiek około społeczeństwa, społeczeństwo zaś około całej ludzkości.

Literatura polska, jak dotychczas przynajmniej, nie ma jeszcze tak szerokich widnokręgów: specjalne warunki, w jakich się rozwijała, sprawiły, że w jej arcydziełach, zwłaszcza po utracie niepodległości, cała treść obraca się najczęściej jedynie około Polski; stwierdził to już Mickiewicz w swoich wykładach w *Collège de France*. Lecz, nie mówiąc już o tym, że patriotyzm jest, przynajmniej u narodów kulturalnych, nie zarażonych trucizną kosmopolityzmu, także uczuciem równie ogólnoludzkim, jak np. miłość kobiety, albo miłość natury, że więc literatura, płynąca z uczucia patriotyzmu, także nie jest pozbawiona charakteru ogólnoludzkiego — nie mówiąc już o tym, są i w literaturze polskiej utwory, które obracają się bądź to około człowieka (jak np. *Treny* Kochanowskiego), bądź około społeczeństwa, jako części całej ludzkości. Otóż do takich utworów należy nade wszystko poezja Krasińskiego, który zagadnienie odbudowy Polski zawsze łączył z zagadnieniem przyszłych losów całej ludzkości; a najcelniejszy jego utwór obraca się bezpośrednio około jednego z najważniejszych zagadnień całej ludzkości, mianowicie około walki społecznej, z pominięciem zagadnienia narodowości i państwa narodowego. Tym utworem ogólnoludzkim *par excellence* jest właśnie *Nieboska Komedia*. Brunetière z pewnością zaliczyłby ją do *l'art social*, nie mówiąc już o tym, że przyklasnąłby zawartej w niej obronie religii chrześcijańskiej, którą rewolucja społeczna pragnie zniszczyć. I dlatego to, żeby uczcić pamięć tego znakomitego profesora Sorbony i jednego z najszlachetniejszych ludzi i uczonych, jakim się szczyci świat naukowy Francji, wziąłem za temat swego odczytu *Nieboską Komedie*.

Napisał poeta to swoje arcydzieło... w dwudziestym drugim roku swojego życia (1833). Już z tego względu jest ono czymś wyjątkowym w historii literatury europejskiej. Wprawdzie Szekspir napisał *Romea i Julię* w dwudziestym piątym roku życia, ale swoje arcydzieło — *Hamleta* — dopiero w czterdziestym. W twórczości Goethego epoka najwyższego rozkwitu twórczości zaczyna się dopiero od podróży włoskiej — w trzydziestym siódmym roku życia. Dante wyśpiewał *Boską Komedie* dopiero na wygnaniu, to znaczy już po trzydziestym

siódmym roku życia, *nel mezzo del cammin di nostra vita*. Corneille stworzył *Cida*, mając lat trzydzieści, Mickiewicz skończył *Pana Tadeusza* w trzydziestym szóstym roku życia.

Lecz pod innym jeszcze względem jest *Nieboska Komedia* utworem wyjątkowym. Oto w szczupłych rozmiarach mieści w sobie niezmiernie bogatą, przepastnie głęboką treść, wyrażoną z wręcz przerażającą w swojej genialnej zwięzłości jasnością, — przerażającą, bo pełną straszliwej grozy dramatycznej. Sam Krasiński nazwał formę swego utworu *dziką*, może zresztą dlatego, że jest pogwałceniem tradycyjnej formy dramatycznej. Dostatecznie powiedzieć, że każda z czterech części zaczyna się od wylewów lirycznych, w których poeta wyraża swoje własne uczucia i poglądy. Poszczególne zaś sceny są tylko naszkicowane, ale szkice to tak potężne, że «dzikość» jest jedną z głównych tajemnic wrażenia estetycznego, jakie *Nieboska Komedia* na czytelnika czy widza wywiera. Brunetière, ten gorący obrońca czystości i odrębności rodzajów literackich oraz pełni artystycznego wykonania pomysłów, zganiłby zapewne tę «dzikość» formy, ale by z pewnością nie zaprzeczył, że taka forma pozostaje w doskonałej harmonii z treścią — także «dziką», straszliwie dziką. A nie idzie tutaj o świat fantastyczny złych duchów, ani o tragedię nieszczęśliwej, wzgardzonej przez męża żony, ani nawet o obłąkanie chorego dziecka, tylko o samą «nieboską», to jest piekielną «komedię», o dziką, krwawą, mściwą, bezlitosną walkę, tę samą walkę, którą Lelewel poczytywał za prawo naczelne, rządzące ludzkością, to znaczy walkę «pomiędzy dwoma działami ludzkości», wyzyskującym a wyzyskiwanym, czyli inaczej, pomiędzy «działem», umiejącym, dzięki swym własnym zdolnościom i dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, zdobywać sobie wolność, używać bogactw, panować, a «działem», przez długi czas, z tych lub owych przyczyn, nie umiejącym dążyć do tych celów, wyzyskiwanym przez «dział» uprzywilejowany, ale wreszcie zrywającym się do zdobycia tych samych przywilejów, które zdobyli sobie wyzyskiwacze. Mówiąc krótko, główną treścią, albo raczej jednym z dwóch głównych problemów *Nieboskiej Komedii* jest rewolucja społeczna. Przez to staje ona w szeregu tych utworów, do którego należy

np. *Germinal* Zoli, *Tkacze* i *Rewolucja światowa* Hauptmanna, *Sąd nad światem* Bleibtreu'a, *Nad siły* Björnsona. Ale żaden z tych utworów nie może się równać z *Nieboską Komedią* ani siłą ekspresji, ani «dzikością».

Niejeden pomysł zawdzięcza Krasiński rewolucji francuskiej, niejeden — ruchowi społeczno-religijnemu uczniów i następców Saint-Simona, ale całość jest owocem własnych głębokich myślowych i uczuciowych przeżyć poety, który przejął od saint-simonistów ten pogląd ogólny, że w historii ludzkości po «epokach organicznych», to jest epokach budowy kultury, następują «epoki krytyczne», to jest epoki jej burzenia, i że czasy obecne są właśnie epoką krytyczną. «Ja wiem — pisał Krasiński do przyjaciela — że cywilizacja nasza ma się ku śmierci, wiem, że bliskie są czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać». Wyrazem artystycznym tego poglądu historiozoficznego jest właśnie *Nieboska Komedia*: «demokracja», której wodzem jest Pankracy, człowiek z ludu, walczy z «arystokracją», której przewodzi hrabia Henryk. — Charakterystyka tych dwóch obozów jest, na ogół biorąc, bezstronna, ale bardzo surowa i pesymistyczna, zwłaszcza charakterystyka dwóch wodzów: obydwaj są ludźmi bez wartości moralnej, ich czyny płyną nie z miłości społeczeństwa, nie z troski o sprawiedliwość społeczną, lecz z miłości własnej, z osobistego i kastowego egoizmu, ze wścieklej nienawiści do przeciwnika i jego obozu. W genialnie pomyślanej i genialnie przedstawionej dyspacie pomiędzy Henrykiem a Pankracym jest prawda, ale tylko w treści wzajemnych oskarżeń o zbrodnie, popełnione przez obydwaj walczące obozy; obydwaj pragną je pomścić — arystokracja, żeby się utrzymać przy władzy, demokracja, żeby ją zdobyć. Dodajmy, że Krasiński, chociaż sam arystokrata, suchej nitki nie zostawił na obozie arystokratycznym: przedstawił go, jako zbiorowisko tchórzów — jeden jedyny Henryk tchórzem nie jest, ale poza tym jest, raz jeszcze, człowiekiem bez wartości moralnej. Tymczasem w obozie demokratycznym jest jedna postać dodatnia — Leonard, straszliwy fanatyk, ale w dobrej wierze, walczący za sprawę demokracji, nie za siebie.

Zwycięża demokracja — okopy św. Trójcy, w których

się arystokracja broni, zdobywa Pankracy. Henryk ginie śmiercią samobójczą, ale przed rzuceniem się w przepaść słyży w podziemiach jakieś głosy — głosy ludzi, pokrzywdzonych przez arystokrację: «Na tobie kończy się ród przeklęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje i wszystkie namiętności swoje i całą dumę swoją, by skończyć... Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki!» Jest to naturalnie głos własnego sumienia hrabiego Henryka — i wyrok hrabiego Krasińskiego.

A zwycięski Pankracy? Cóż z tego, że zwycięża, kiedy, zdając sobie sprawę, że teraz, po zniszczeniu starego świata, trzeba budować świat nowy, bo «inaczej dzieło zniszczenia odkupionym nie jest», — równie jasno zdaje sobie sprawę, że on tego dzieła nie odkupi, nowego świata nie zbuduje.

Oto tragedia dwóch ludzi bez serca!...

«Dramatem, dotyczącym rzeczy wieku naszego» nazwał sam Krasiński *Nieboską Komedię*. Ale czy to nie za mało? Czy i dawniej nie było tak strasznych walk, płynących nie z miłości, tylko z egoizmu, z nienawiści i, oczywiście, z poczucia krzywdy społecznej? Historia mówi, że takie walki były. A dzisiaj? Czy rewolucja rosyjska i rewolucja hiszpańska nie odbijają się jak w zwierciadle w *Nieboskiej Komедii*?

Nie przestając tedy być dramatem przeszłości i teraźniejszości, jest *Nieboska Komedia* i niewątpliwie długo jeszcze będzie dramatem przyszłości. Kiedy nim być przestanie? Na to pytanie odpowiada zakończenie utworu. Zwycięski Pankracy — w obliczu śmierci — widzi «słup śnieżnej jasności», stojący «ponad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel, — ze splecionych piorunów korona cierniowa». Broni się Pankracy przed tą wizją, woła na pomoc «braci-demokratów», — nadaremnie: Jezus Chrystus nie zniknął, i Pankracy «stacza się w objęcia Leonarda i kona» ze słowami na ustach: «*Galilae, vicisti*».

Myśl Krasińskiego jest jasna. Walka społeczna będzie trwała może jeszcze przez wieki, ale nie na wieki, przyjdzie czas, kiedy ludzkość zrozumie, że nie tylko główną, ale jedyną prawdą moralną życia społecznego jest Jezus Chrystus. Nie podzielał Krasiński poglądu Leroux'a, że religię chrześcijań-

ską powinna zastąpić religia ludzkości; zdaniem Krasińskiego, religia chrześcijańska będzie właśnie religią ludzkości, gwiazdą przewodnią nie tylko poszczególnych ludzi, ale i całych społeczeństw.

Oto pierwszy problem *Nieboskiej Komedii*. Lecz zanim przejdziemy do drugiego, jedno jeszcze uzupełnienie.

Obraz walki społecznej poprzedza w utworze Krasińskiego cała jedna scena — rozmowa Żydów-przechrztów. «Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssajmy karty Talmudu, jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas, a dla chrześcijan — gorycz i trucizna. Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali, nie powstanie więcej... Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie, osadźmy potęgę Izraela... Chwil kilka jeszcze..., a świat — nasz, o bracia moi!» Tak mówi wódz całej bandy przechrztów, a banda ryczy i wyje z szalonej radości: «Przed wiekami ojcowie nasi umęczyli wroga» (tj. Jezusa Chrystusa), «my go na nowo dziś umęcymy i nie zmartwychwstanie więcej».

Co to wszystko znaczy? To, że, zdaniem Krasińskiego, główną sprężyną rewolucyj społecznych w społeczeństwach chrześcijańskich są Żydzi, którzy przyjmują chrzest, aby się wkupić do społeczeństw chrześcijańskich i podbudzać je do walk bratobójczych i krwawych przewrotów i żeby na gruzach społeczeństw chrześcijańskich zbudować własną potęgę. Ten pogląd Krasińskiego zachwycił zmarłego niedawno znakomitego pisarza angielskiego, Chestertona, który w swojej przedmowie do przekładu angielskiego *Nieboskiej Komedii* mówi, co następuje:

«Każdy nie poinformowany Anglik, który się po prostu zanurzy w te sceny rewolucji społecznej we wschodniej Europie, będzie przekonany, że to było napisane już w tym czasie, kiedy na kraje te padł cień wieży Babel bolszewizmu. Jeden punkt zwłaszcza zastanowi go, jako szczególnie znaczący. Poeta najoczywiściej uważa za rzecz pewną, że jakiegokolwiek są racje, usprawiedliwiające rewolucję, to we wczesnym swoim stadium, gdy rewolucja jest jeszcze konspiracją, musi ona być

konspiracją Żydów. Zasługuje na uwagę okoliczność, że jest to w szczególności konspiracja tych Żydów, którzy sami nie nazywają się Żydami, czyli, jak ich określa poeta, przechrztów. Cała sprawa buntu ludowego zaczyna się w jakimś sekretnym Sanhedrynie, gdzie ci Żydzi układają plan zniszczenia naszej społeczności w takich samych prawie ściśle słowach, jakie później przypisywano Mędrcom Syjonu. Dla przeciętnego Anglika kwestia ta była zupełnie nowa, gdy przed kilku laty zaczęły o niej po raz pierwszy napomykać gazety. Dla poety zaś polskiego była to rzecz stanowczo pewna już we wczesnym okresie wielkiego liberalnego stulecia. Jest to osobliwość pod względem literackim i historycznym prawdziwie rewelacyjna... Krasiński musiał spostrzec ten element bolszewizmu, czy to dlatego, że we wschodniej Europie był on zupełnie oczywisty nawet już wtedy, czy też dlatego, iż był to człowiek niezwykle przenikliwy i przewidujący».

Czy to wszystko prawda, nie wiem. Nie jestem historykiem, więc nie mam prawa mówić ani tak, ani nie. Pominąć jednak tego poglądu Krasińskiego nie miałem prawa — byłoby to nie tylko kaleczeniem, ale wręcz fałszowaniem idei *Nieboskiej Komedii*.

A teraz — drugi jej problem: stosunek poety do życia. Problem to bardzo popularny w epoce romantyzmu w całej literaturze europejskiej. Czy poeta ma prawo mówić tylko o sobie? czy nie powinien poezją swoją umoralniać społeczeństwa? czy jest człowiekiem takim, jak inni ludzie, czy też czymś niezwykłym, wyjątkowym? czy obowiązują go te same normy moralne, co innych ludzi? Warto tu przypomnieć utwór Wiktora Hugo: *Les deux côtés de l'horizon*. May pyta orla i wielkiej mewy (*le goëland*), co znaczy ten dziwny jakiś hałas, który dolatuje jego uszów:

Et le poëte a dit: — Que Dieu vous accompagne!
Retournez l'un et l'autre à vos nids hasardeux.
Toi, va-t-en à ta mer. Toi rentre à ta montagne.
Et maintenant, Seigneur, expliquons nous tous deux.

Takich za-pan-brat z Panem Bogiem możnaby przytoczyć dużo nie tylko w romantyzmie francuskim, ale i angielskim, a nade wszystko w niemieckim.

Zobaczmy, jak ten problem ujmuje Krasiński:

Gwiazdy wokół twojej głowy — pod twoimi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrysz, jest twoim — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twoim — chwale twojej nigdy nic nie zrówna. — Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek igraszką palców twoich — lzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki.

W tych słowach wyraził Krasiński myśl, którą w całej pełni uświadomiono sobie dopiero w epoce romantyzmu, tj. z jednej strony potęgę wyobraźni twórczej poety, a z drugiej — tę moc czarodziejską, jaką poeta pieśnią swoją wywiera na dusze ludzkie: te pierwsze słowa *Nieboskiej Komedii* to hymn tryumfalny na cześć poety i poezji!

Tuż potem jednak następuje zgrzyt żelaza po szkłe: «Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością». Oto ta smutna prawda, ta bolesna ironia, że jeśli nie zawsze, to bardzo często nie tylko własne czyny poety, ale nawet jego własne uczucia i myśli nie stoją w jego życiu na tej samej wyżynie, co w twórczości; co więcej, że poeta «potrafi udać anioła chwilą, nim zagręźnie w błoto».

«Ale i ty cierpisz — czytamy dalej — choć twoja boleść nic nie tworzy, na nic się nie zda», to znaczy: poeta miewa świadomość rozdzwiku pomiędzy swoim życiem a swoją pieśnią i cierpi z tego powodu, ale to cierpienie nie dźwiga go z nizin powszedniego życia na wyżyny.

Natomiast «błogosławiony ten», w którym poezja zamieszkała «jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidzialny, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki»; błogosławiony ten, który się nie oddzielił od miłości poezji «przepaścią słowa».

Jak rozwiązał romantyzm niemiecki ten problemat, płynący ze słabości natury ludzkiej, z braku harmonii dobrej woli z marzeniami o ideale etycznym — problemat stosunku poety-człowieka do poety-twórcy? Tak, że poeta, jako najwyższy ze wszystkich ludzi na ziemskim padole, stoi ponad życiem, że nie obowiązują go przykazania moralne, że poeta

jest jak Bóg, któremu prawem jest jego własna wola, co więcej, że najwyższą poezją jest... życie poety. Można by takie rozwiązanie znaleźć także w romantyzmie francuskim, angielskim, a i w polskim (pod wpływem otumaniającej głowy polskie filozofii niemieckiej). Krasiński rozwiązał to zagadnienie inaczej: poeta, choćby nie wiedzieć jak wielki, jest tylko człowiekiem, nie Bogiem, a jeżeli tak, to obowiązują go, jak wszystkich innych ludzi, normy życia moralnego, że przeklęty ten poeta, przez którego — dzięki wyobraźni — płynie strumień piękności, ale który sam nie jest pięknością.

Takim poetą jest właśnie hrabia Henryk. Naczelną władzą jego ducha jest wyobraźnia tak bujna, tak potężna, że aż zabijająca serce. «Łaska Twoja na rozum spadła, nie na serce moje» — woła raz Henryk do Boga. Omylił się. Wprawdzie i on, jak Faust, mówi, że «pracował lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości». Ale tego w *Nieboskiej Komedii* nie widać: widać za to, że łaska boża spadła mu na wyobraźnię poetycką, na potęgę marzeń, nie na serce. Kiedy Henryk wstępuje w śluby małżeńskie, Anioł Stróż woła: «Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może». Lecz złe duchy, jakby w obawie, że się w Henryku zbudzi serce, kiedy będzie miał «żonę dobrą i skromną», kuszą nie co innego, tylko jego wyobraźnię majakami dawnej, zmysłowej miłości, sławy rycerskiej i pięknej natury.

I złe duchy zwyciężają: jakże to znamienne, że Henryk, pojmując w małżeństwo «dobrą i skromną» (i, mówiąc prawdę, znacznie poetyczniejszą od siebie) kobietę, nie mówi, że «wstępuje w ziemskie śluby», tylko, że «zstępuje do ziemskich ślubów». Z czego zstępuje? Z wyżyn poezji. Bo przecie w oczach niejednego romantyka (Krasiński jako człowiek nie był wyjątkiem!) małżeństwo to proza, nie poezja życia, bo pociąga za sobą obowiązki domowe i rodzinne, a zatem odbiera człowiekowi wolność, bez której nie ma poezji; poezją może być tylko wolna miłość. Wprawdzie, widząc swą żonę w ślubnej sukni, w kwiatach i perłach, płonąca ze wstydu, słowem poetyczną, mówi Henryk: «O wiecznie, wiecznie będziesz» — czym? — może miłością? może skarbem? nie —

«pieśnią moją». Tylko — pieśnią. A ta pieśń jest bardzo krótkotrwała; wyobraźnia bierze górę nad sercem i kwiaty na skroniach kochanki wydają mu się już nie kwiatami, tylko... jaszczurkami, zwłaszcza kiedy miało przyjść na świat dziecko. Wówczas Henryk porzuca żonę, wraca wprawdzie za podszepetem Anioła Stróża do domu, zastaje dziecko, ale już nie zastaje żony, która, chcąc odzyskać miłość «poetycznego» męża, tak długo wysilała się, żeby być poetyczną, póki nie zamieszkała... w domu obłąkanych. I to pierwsza kara, którą Krasiński wymierza swemu bohaterowi.

Henryk rozpacza, a wtem słyszy głos: «Dramat układasz». To także straszna kara: on przez całe życie układał dramat, grał rolę poety, coś dziwnego, że kiedy go ogarnęła rozpacz, on sam już nie wie, czy to naprawdę rozpacz, czy tylko jej dramat, jej komedia. Otóż czy to nie nieszczęście nie umieć odróżnić we własnej duszy głosu serca od majaków wyobraźni?

Ale kara nie kończy się na tym. Dziecko Henryka, które zboliała matka zaklęła w kołysce, żeby było poetą, a nawet przeklęła, jeśli poetą nie będzie, wyrosło na poetę, większego od ojca. Ale poezja jest w nim siłą tak potwornie wielką, że zabiła jego siły fizyczne — odebrała mu wzrok; bo i po co mu oczy, kiedy ono nie umie patrzeć nimi na świat, kiedy go do niepoznania przekształca siłą swojej chorobliwej wyobraźni. Widząc to, wpada Henryk znowu w rozpacz — i tym razem już nie wątpi, że to naprawdę rozpacz, że on naprawdę kocha swoje dziecko...

A więc jest w duszy Henryka iskra miłości, — i Anioł Stróż chce ją rozżarzyć: «Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz». Tak, ale nad rozżarzeniem tej iskry musiałby Henryk sam pracować, a czy praca nad sobą jest poetyczna? Jak dla kogo: dla takiego poety, jak Corneille, Schiller, albo Mickiewicz — tak, ale dla takiego, jak hrabia Henryk — nie! Więc nie głos Anioła Stróża przemówił mu do duszy, tylko głos Orła: «Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę!... Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi twe, podle wrogi twe pójda w pył». To — zupełnie co innego, to —

poezja; choćby nawet walka była beznadziejna, ale przyniesie wojownikowi sławę. I oto ojca zwyciężył poeta: Henryk opuszcza chore dziecko i idzie na bój z rewolucjonistami, wmańwiając w siebie, że będzie walczył — w obronie przeszłości — za Chrystusa.

Czy jednak w bój prowadzi go miłość? czy on naprawdę kocha Chrystusa i przeszłość kultury? Chrystusa — nie, kulturę przeszłości kocha — ale tylko artystyczną. I oto w walce z demokracją, która chce zabić Chrystusa i zniszczyć kulturę przeszłości, Henryk jest znowu tylko — poetą. «Panować będę — walczyć będę — żyć będę — to moja pieśń ostatnia». A więc nie czyn, tylko znowu pieśń: do samej śmierci jest hrabia Henryk wierny utopii romantycznej o przetworzeniu życia na poezję.

I wreszcie — samobójstwo Henryka. Czy i ono jest poezją? Jedyne w drobnej części: dać się zamordować rozbestwionemu motłochowi demokratycznemu, a coś dopiero dostać się do niewoli — to nie poetyczne: lepiej skończyć poetycznie — rzucić się w przepaść. Ale w przeważnej części samobójstwo Henryka jest czynem rozpacz. A płynie ona stąd, że — w obliczu śmierci — przejrzał nagle, uświadomił sobie, że jego życie było ciągłym układaniem dramatu, i właśnie dla tego przeklina to, co poczytywał za jedyną wartość i jedyny cel swego życia: «Poezjo! bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki!» Przeklinając zaś tę wartość, tym samym stwierdził, że życie jest zagadnieniem nie estetycznym, jak to się wielu romantykom zdawało, tylko e t y c z n y m, że zadaniem życia jest nie miłość płodów własnej wyobraźni, tylko miłość chrześcijańska żywych ludzi, obowiązująca wszystkich, nie wyłączając poetów.

A więc, jak problem walki społecznej, tak i problem stosunku poety do życia Krasiński rozwiązuje w duchu etyki chrześcijańskiej. I dlatego to wolno powiedzieć, że *Nieboska Komedia*, chociaż — wskutek dwóch zawartych w niej problemów — nie posiada jedności artystycznej, posiada jedność i d e o w ą; tą zaś ideą jest, że, raz jeszcze, jedna jest tylko prawda moralna na świecie — Jezus Chrystus.

DWIE WIZJE ROMANTYCZNE PRZYSZŁOŚCI NARODOWEJ

(ODCZYT WYGŁOSZONY W RZYMIE DNIA 1 MAJA 1937 ROKU)

I

Rok 1843 upamiętnił się raz na zawsze w historii dwóch literatur europejskich: włoskiej i polskiej, albo raczej nie tylko w historii literatury, ale w ogóle w historii życia duchowego dwóch narodów. W maju tego roku, poza granicami Italii, w Brukseli, wyszło dzieło Wincentego Gioberti'ego: *Del primato morale e civile degli Italiani*; w tym samym roku w kwietniu, także na obczyźnie, w Paryżu, wyszedł poemat Zygmunta Krasińskiego: *Przedświt*.

Różnice pomiędzy tymi dwoma utworami rzucają się w oczy. Przede wszystkim *Del primato* to wielkie dzieło, pisane prozą; poezją, chociaż bez wiersza, jest tylko jego zakończenie pod tytułem *Augurio dell' Italia futura e conclusione totale dell' opera* (*Wieszczba przyszłej Italii i zakończenie całego dzieła*). Tymczasem *Przedświt* to niewielki, pisany wierszem poemat, poprzedzony prozaicznym wstępem.

Mniejsza jednak o te różnice formalne. O wiele ważniejsze są różnice treści.

Dzieło Gioberti'ego to naprawdę traktat historyczno-filozoficzny, zawierający w sobie poglądy autora na całą przeszłość kulturalną Italii, poglądy, wobec dzisiejszego stanu nauki często nie wytrzymujące krytyki, ale oparte na rozległej znajomości historii. Tymczasem poemat Krasińskiego wraz z przedmową ma tylko formę utworu historyczno-filozoficznego: fantazja i logika serca ma stanowczo przewagę nad prawdą historyczną i nad logiką rozumu. W dziele Gioberti'ego jedynie zakończenie jest marzeniem; poemat Krasińskiego jest, nie wyłączając przedmowy, marzeniem od początku do końca.

A jednak, pomimo tych i wielu jeszcze innych różnic, które niebawem postaramy się uwydatnić, są pomiędzy tymi dwoma utworami podobieństwa tak uderzające, że gdyby *Przedświt* wyszedł w roku nie 1843, ale chociaż o jeden rok później, to historyk literatury polskiej miałby prawo mniemać, że myślą wyśpiewania tego poematu natchnął Krasińskiego Gioberti; a byłoby to tym prawdopodobniejsze, że przecież Gioberti kochał «bohaterską», «wzniosłą i bolesną Polskę» (*l'eroica Polonia, la sublime e dolorosa Polonia*), że jej niewolę porównywał z niewolą «bohaterskiej» Irlandii i, jak wszystkim narodom podbitym, tak narodowi polskiemu przyznawał święte prawo do odzyskania niepodległości. W rzeczywistości jednak o jakiegokolwiek zależności *Przedświtu* od *Del primato* mowy być nie może. Jeżeli są pomiędzy tymi dwoma utworami podobieństwa, to tłumaczą się one jedynie zbieżnością czynników ich powstania.

Po pierwsze — to czynnik najważniejszy — obydwie utwory są owocem gorących uczuć patriotycznych swoich twórców. Gioberti bolał nad rozbiem Italii na prowincje i drobne państewka i marzył o jej nigdy przedtem nie istniejącym zjednoczeniu, a Krasiński bolał nad niewolą Polski dawnej, niepodległej i zjednoczonej, i marzył o jej wyzwoleniu; te marzenia dwóch patriotów przeistoczyły się w mocną wiarę w szczęśliwą przyszłość ich krajów, a wierze przybiegł z pomocą rozum i zaczął szukać w historii oraz w filozofii argumentów, któreby tę wiarę umocniły we własnych sercach, co więcej, żeby ją wpoily w serca współbraci.

Ta zaś dążność, ta tendencja patriotyczna pozostaje w jak najściślejszym związku z czynnikiem drugim — z duchem czasu, mianowicie z duchem epoki romantyzmu, tego potężnego prądu życia duchowego Europy, który już w wieku XVIII uświadamiać zaczął, a w wieku XIX ostatecznie uświadomił narodom ich indywidualności narodowe i wpoił w dusze cześć i miłość dla tych indywidualności, oraz wiarę, że, jak w to wierzył już Herder, są one dziełem bożym, a nawet, że, jak się wyraził Mickiewicz, «narodowość to największe dzieło boże na ziemi», że «duch ludzki musi pierwszej przejść przez narodowość, zanim dojdzie do powszechności». *Chi vuole Umanità,*

vuole patria, powiedział Mazzini: «Kto chce ludzkości, ten chce Ojczyzny». I mówił jeszcze Mazzini: *La vita è una missione*. «Życie to powołanie», — życie nie tylko każdej jednostki, ale, tym bardziej, każdego narodu. Cóż tedy jest powołaniem narodu? Przyczynić się do szczęścia całej ludzkości, do budowy Królestwa Bożego na ziemi; ten cel nie może być osiągnięty bez potęgi politycznej i duchowej poszczególnych narodów. Otóż obydwaj nasi romantycy — i Gioberti i Krasiński — święcie w to wierzyli. Wierzyli nadto, że na czele tej świętej pracy nad uszczęśliwieniem ludzkości staną ich własne Ojczyzny. «Prymat Italii jest pożyteczny dla Francji i wszystkich narodów»; «jedność Europy zależy nade wszystko od prymatu Italii». To są słowa Gioberti'ego. A Krasiński słyszy, jak sam Bóg mówi do Polski:

Ziemia tobie powierzona,
Byś ją wiodła czynu torem,
Aż się staną jej plemiona,
Jednym Ducha arcytworem!

II

Przyjrzyjmy się teraz bliżej podobieństwom i różnicom, zachodzącym pomiędzy *Przedświtem* a *Del primato*, biorąc pod uwagę nade wszystko rozdział ostatni tego dzieła *Augurio dell'Italia futura*.

«Skoro senne marzenia mogą złagodzić przynajmniej na chwilę bolesne uczucie wspólnych nieszczęść i napęlić znękaną duszę wesołą i wspaniałą nadzieją, to nie sędzę, żeby nie wolno było śnić». Tak się zaczyna wieszczba Gioberti'ego. A polski poeta, kiedy się w swym poemacie otrząsnął z tego piekła zwątpienia, nad którego drzwiami wisiał napis: «Tu nie ma nadziei», kiedy, płynąc ze swą Beatryczą po włoskim jeziorze, poczuł, że mu do duszy znękaney napływa jakaś niewysłowiona błogość na widok cudownej nocy gwiazdzistej, woła do swej siostry duchowej:

Rzeczywistość się pomalu
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu;
Daj mi teraz marzyć, daj!

O czymże śnią dwaj marzyciele? Obydwaj widzą swoje ukochane Ojczyzny nie takimi jakimi są, ale jakimi być powinny i jakimi będą.

Gioberti widzi swoją Italię wolną, zjednoczoną nie tylko pod względem politycznym, ale i «w języku, w literaturze, w religii, w duchu narodowym, w myśli naukowej, w obyczajach, w zgodzie publicznej i prywatnej pomiędzy różnymi mieszkańcami i różnymi państwami, które się na Italię składają». Ta przyszła zjednoczona Italia będzie państwem potężnym na lądzie i na morzu, będzie narodem, przodującym wszystkim innym narodom europejskim swoją kulturą polityczną i pedagogiczną, społeczną i moralną, ekonomiczną i przemysłową, towarzyską i obyczajową, naukową i artystyczną; będzie państwem i społeczeństwem, w którym «szczytem wszystkich spraw ludzkich będzie religia»; mocna, potężna, oddana Bogu, zgodna i spokojna w sobie, będzie przedmiotem szacunku i podziwu narodów; co więcej, szczęście Italii będzie szczęściem wszystkich narodów, i ona to stanie na ich czele w pochodzie ku lepszej, wielkiej przyszłości.

Na czymże się opiera wiara Gioberti'ego w taką przyszłość Italii? Czy, jak to często bywa u ludzi wierzących, płynie ona jedynie z gorącego pragnienia, żeby tak było w rzeczywistości, jak tego sobie człowiek — dla siebie, dla swoich drogich, dla Ojczyzny — życzy? Rozumie się, że uczucia patriotyczne odegrały ogromną rolę w wizji Gioberti'ego, ale oprócz nich zaważyły tu rozmyślania nad przyszłością Italii, wypełniające znaczną część dzieła *Del primato*. Możliwe nawet powiedzieć, że wizja przyszłości jest jedynie wnioskiem, wysnutym z tych rozmyślań (zabarwionych zresztą i to bardzo mocno, także uczuciami patriotycznymi, zwłaszcza szlachetną dumą narodową).

Swój pogląd na przeszłość Italii wypowiedział Gioberti już w samym tytule swej książki: *Del primato morale e civile degli Italiani*. We wszystkich dziedzinach cywilizacji Italia, dzięki swemu geniuszowi narodowemu, który umiał zharmonizować czyn z myślą, i dzięki swej religii katolickiej stanęła na czele wszystkich narodów; jej duch «pelazgijski» jest najdoskonalszym typem ducha «kaukaskiego», a więc w ogóle du-

cha ludzkiego; ona to już w starożytności, a i w czasach nowożytnych — dzięki Vico'wi, który sam jeden więcej jest wart, niż całe szkoły — wzniosła się na wyżyny nauk filozoficznych; ona przodowała całej Europie w naukach matematycznych, doświadczalnych, historycznych, nie mówiąc już o wiedzy religijnej: teologia katolicka jest jedyną teologią, która zasługuje na miano wiedzy: w sztuce, w literaturze, w języku Italia nie ma narodu sobie równego.

Niech tego wystarczy — dla stwierdzenia, że w tym poglądzie na prymat Italii jest niewątpliwie pewna przesada. Tłumaczy się to świadomą intencją autora, który, jak to sam wyznaje w liście do swego przyjaciela Vieusseux, pragnął «rozpłomienić dusze» swoich współbraci «i wzbudzić w nich poczucie własnych sił».

Czy jednak (nie mówiąc już o tym, że kult przeszłości narodowej jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem narodu kulturalnego) nie ma w tych *laudes Italiae* dużo prawdy? Przecież nie inny naród, tylko Italia, wydała już w wiekach średnich poetę tak wielkiego, że się większym żaden naród do dziś dnia nie może poszczycić; przecie rozkwit nauk politycznych, matematycznych, doświadczalnych zawdzięcza Europa Italii; przecie teologia katolicka do dziś dnia nie wydała większego teologa nad świętego Tomasza z Akwinu; a te dwa wielkie prądy, które się stały fundamentem kultury nowoczesnej — odrodzenie i humanizm — także nie innemu narodowi, tylko Italii, zawdzięcza Europa. Czy nie mieli pewnej słuszności saint-simoniści i inni niektórzy myśliciele epoki romantyzmu (jak np. Cieszkowski), twierdząc, że humanizm położył kres epoce «organicznej», twórczej i rozpoczął epokę «krytyczną», epokę rozstroju, — to inna sprawa; dosyć, że kamieniem węgielnym kultury nowoczesnej jest odrodzenie włoskie i humanizm włoski. Naród, który to wszystko stworzył, który stał na czele cywilizacji europejskiej, ma chyba prawo do *dolce sogno* (do słodkiego snu) o przyszłym «prymacie» wśród narodów europejskich.

A jakimiż środkami ten «prymat» zdobędzie? Na to pytanie odpowiada Gioberti, że nie przelewem krwi bratniej, nie rewolucjami, albowiem cel nie uświęca środków, nie cudem

żadnym i nie obcą pomocą, ale własnymi siłami, własnymi świętymi czynami: — miłością Ojczyzny, zgodą obywateli, konfederacją ksiąząt pod zwierzchnictwem moralnym papieża, nie tylko jako następcy świętego Piotra, zastępcy (*vicario*) Chrystusa i głowy Kościoła powszechnego, ale także zwierzchnika (*doge*) i chorążego (*gonfaloniere*) konfederacji, ojcowskiego arbitra i pacyfikatora Europy, nauczyciela i cywilizatora świata, ojca duchownego rodzaju ludzkiego, dziedzica i urodzonego, pokojowego pomnożyciela wielkości łacińskiej. Dla takiej zjednoczonej ojczyzny, dla jej obrony przed zewnętrznym nieprzyjacielem, nie żal będzie opuszczać swoich najdroższych i umierać na polu bitwy. «I umierający będą mogli uszczęśliwić swoje spojrzenie ostatnie widokiem pogodnego nieba ojczystego, a jeśli tego im losy odmówią, pocieszać się przynajmniej myślą, że ich kości strudzonych pożałują się współobywatele, krewni, przyjaciele, że nie będą leżały zapomniane i nieopłakane na obcej ziemi». Tymi słowami kończy się *Augurio dell'Italia futura* i całe dzieło Gioberti'ego.

III

A teraz — wizja przyszłej Polski w *Przedświcie* Krasińskiego. Wraz ze swą Beatrycą poeta, płynąc po jeziorze włoskim, wpatruje się w niebo gwiazdziste i słyszy muzykę sfer. Lecz w tej harfie niebiańskiej brak jednej struny — struny polskiej. Nadejdzie jednakże chwila, kiedy «Duch Boży» «stracony dźwięk ten przyjmie, znów do pieśni świata włoży», to znaczy chwila, kiedy Polska odzyska niepodległość polityczną, której pozbawiła ją cudza zbrodnia — zbrodnia religijna, zbrodnia przeciwko Bogu samemu, bo pragnąca zniszczyć największe ze wszystkich dzieł bożych — narodowość. Lecz się to pragnienie zbrodniarzy nie ziściło: Polska utraciła wprawdzie państwo, ale w jego grobie nie tylko nie zatraciła swej narodowości, ale przeciwnie utrwaliła ją jeszcze i wzmocniła, co więcej, zmyła z siebie w grobie swoje grzechy, uświęciła się i dlatego też, odzyskawszy niepodległość, stanie na czele wszystkich narodów świata i powiedzie je drogą c z y n u ku nowej epoce w dziejach świata — epoce Królestwa Bożego:

Wszystkie, wszystkie Duchy-Ludy
 Na szafirach swych dokola
 Pochyliły przed nią czoła
 Jeszcze głębiej, niżli wprzód!
 Rozkochane — zachwycone —
 Widzę, widzę — już przyklekną,
 W niej uznały Boże piękno,
 Dadzą jej świata koronę.

I przyklekły — i słyszałem
 Głos, co wola w wiecznym Niebie:
 Jak im Syna niegdyś dalem,
 Tak im, Polsko, daję Ciebie,
 Syn mój jeden był — i będzie,
 Lecz myśl Jego żyje w Tobie;
 Bądź więc prawdą, jak On, wszędzie,
 Ja cię córką moją robię.

Gdyś do grobu zstępowała,
 Byłaś częścią człowieczeństwa,
 Ale teraz — w dniu zwycięstwa
 Imię twoje: L u d z k o ś ć c a ł a.

— — — — —
 Wzbij się w bezmiar nieskończony
 Nad ubiegłych lat padolem,
 Wtedy pójda te miliony
 Za planety archaniolem.

Jaką będzie ta zmartwychwstała Polska, jakimi czynami powiedzie wszystkie narody w przyszłość, tego Krasiński — inaczej niż Gioberti — nie mówi szczegółowo w *Przedświcie*, poprzestając na myśli, że będzie im przodowała swoją czystością moralną. Wyjaśnia natomiast szczegółowo — nasamprzód w prozaicznej przedmowie, a później w samym poemacie, dlaczego Polska zmartwychwstanie i dlaczego będzie «planety archaniolem», dlaczego stanie na czele pochodów narodów ku Królestwu Bożemu. Tę misję swojej ojczyzny Krasiński, podobnie jak Gioberti, uzasadnia przeszłością narodu, ale tylko po części i zupełnie inaczej, niż Gioberti.

W przedmowie Krasiński, zasilając się poglądami Mickiewicza, Cieszkowskiego i saint-simonistów, rozumuje tak: Czasy dzisiejsze są epoką krytyczną, przez co są podobne do «dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa»; podo-

bieństwo to polega, mówiąc krótko, na straszliwej anarchii życia duchowego w przeciwieństwie do życia materialnego, które «coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowuje». W starożytności to skupienie dokonało się dzięki aniołowi dziejowemu, Cezarowi, który stworzył jedność materialną olbrzymiego państwa rzymskiego. Wiek XIX miał swego anioła: Napoleona, który nie stworzył wprawdzie uniwersalnego państwa, ale «co pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy»: on to mianowicie «narodowości ziemskie przebudził z uśpienia», on to sprawił, że «zapomniane ludy już się nie odpoznają». Podobnie jak w świecie starożytnym po epoce anarchii duchowej i po Cezarze zaczęła się nowa epoka, chrześcijańska, tak i teraz, po epoce anarchii duchowej i po Napoleonie, musi nastąpić nowa, wyższa epoka; dawniej chrześcijaństwo przekształciło moralnie jedynie dusze poszczególnych ludzi, obecnie przekształci moralnie całe ich zbiorowiska, to znaczy całe państwa: uświadomią one sobie, że dotychczasowa ich polityka nie była chrześcijańska, skoro jej owocem było rozszarpanie Polski; teraz dopiero rozumieją, że to była zbrodnia, daleko większa niż polityczna, «bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotycząca okęgów Bożych»: i ta zbrodnia będzie musiała być naprawiona: «Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. Słowo jedyne, Słowo Chrystusowe albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt, zadany temu świętemu Słowu, dalej trwać nie może».

Czy trzeba wykazywać całą kruchość tego rozumowania? Wystarczy powiedzieć, że opiera się ona na dwóch — ze stanowiska myślowego — kruchych przesłankach: po pierwsze na analogii dwóch epok dziejowych, a więc tylko na *argumentum per comparisonem*, a po drugie na apriorycznej, jak dotychczas nie sprawdzonej faktami, wierze w k o n i e c z n o ś ć postępu moralnego ludzkości. Jest to rozumowanie raczej poety, aniżeli myśliciela. W każdym razie niechaj wolno będzie zaznaczyć, że na konferencji pokojowej roku 1919 zwycięskie państwa koalicyjne w odpowiedzi na kontrpropozycję Niemców, dotyczące ziem polskich, wyraźnie stwierdziły to samo, co Krasiński, że mianowicie rozbiór Polski był «jednym

z największych bezpraw, jakie zapisały dzieje, zbrodnią, której wspomnienie samo zatrzymało przez długi czas życie polityczne».

Ale idźmy dalej. Jeżeli uzasadnienie restytucji Polski w przedmowie do *Przedświtu*, pomimo że ma pozory traktatu historiozoficznego, jest raczej poezją, aniżeli filozofią, to cóż dopiero powiedzieć o samym poemacie?

Gioberti uzasadnia swój mesjanizm romantyczny, tj. swój pogląd na misję dziejową przyszłej Italii, jej wielką przeszłością, jej epokowymi czynami w dziedzinie kultury duchowej. Romantycy francuscy z Micheletem i Wiktorem Hugo na czele swoją wiarę w misję dziejową Francji opierają na wielkiej rewolucji, która w oczach Micheleta jest przyjściem (*l'avènement*) Prawdy, zmartwychwstaniem Prawdy, reakcją Sprawiedliwości, a dla Wiktora Hugo rajska transfiguracją piekła ziemskiego, kluczem do raju, czynem Bożym; a stąd Francja to «narod Chrystusowy» (*Le Christ-peuple*). Bez względu na to, czy taki pogląd na wielką rewolucję, jako na początek, co więcej jako na źródło przyszłej epoki szczęścia Francji i całej ludzkości, jest słuszny, czy nie, dosyć, że i romantycy francuscy nadejście nowej epoki uzależniają także od wielkiego czynu Francji. Z romantyków polskich Mickiewicz, najprzód w *Księgach narodu polskiego*, później w *Prelekcjach paryskich* nie na czym innym, tylko także na czynach Polski opiera swoją wiarę w jej zmartwychwstanie, mianowicie na moralności jej polityki zagranicznej, na realizowaniu we własnym kraju hasła braterstwa, wolności i równości. Czy ten pogląd Mickiewicza na przeszłość Polski nie jest zbyt optymistyczny, to inna sprawa, dosyć, że Mickiewicz opiera swoją wiarę w zmartwychwstanie i wielką misję Polski także na czynach.

A Krasiński? W zakończeniu *Przedświtu* mówi wprawdzie:

Zgińcie, me- pieśni — wstańcie, Czyny moje!

a w samym poemacie, jak widzieliśmy, także mówi, że powołaniem Polski jest całą ziemię prowadzić ku Królestwu Bożemu «czynu torem», mianowicie czynem miłości chrześcijańskiej; ale czym uzasadnia to powołanie? Nie czynem,

tylko... upadkiem, «próbą grobu». Polska, rozumował Krasiński, to Chrystus narodów, a jeżeli tak, to musiała do b r o w o l n i e zejść w grób dla odkupienia grzechów świata:

My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości,
On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości,
Przyjąc na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów Polski marę,
Zstępującą w grób na trzy dni;
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano.

«Potwarz i bluźnierstwo» popełnia, zdaniem Krasińskiego ten, kto szuka «w ojcach winy», to znaczy, kto upatruje przyczyny upadku Polski w jej własnych przeszłych błędach.

Błogosławcie ojców winie!

wola poeta, bo gdyby nie «ich» winy, to jest gdyby nie to, że dawna Polska była zarówno w swojej polityce, jak w swoim ustroju państwowym, lepszą, moralniejszą, religijniejszą od innych narodów, — gdyby nie ta wina, to Polska nie byłaby rozszarpana przez mocarstwa, które w swej polityce nie kierowały się religią, nie mogłyby zmartwychwstać i poprowadzić wszystkich narodów ku Królestwu Bożemu. Mimowoli przypomina się tutaj *felix culpa* świętego Augustyna: gdyby nie grzech pierworodny, Jezus Chrystus nie wcieliłby się w człowieka i swoją męką krzyżową nie odkupiłby ludzkości, nie otworzyłby przed nią wrót do nowej epoki!

IV

Cóż powiedzieć o tej wieszczbie (*augurio*) Krasińskiego? Kiedy się szuka odpowiedzi na to pytanie, mimowoli przypominają się słowa, które o wieszczbie Gioberti'ego wypowiedział w roku 1848 Vincenzo Salvagnoli: «Gioberti przepowiedział zmartwychwstanie umarłego. Przejrzał on mogiłę wielkiego Narodu okiem wiary, obiecującej, że ktokolwiek kierował się ideą sprawiedliwości, ten, chociaż umarł, zmartwych-

wstanie». To samo można powiedzieć o Krasińskim, i to jeszcze z większą słusnością, niż o Giobertim. Albowiem naród włoski nie spoczywał w mogile — on tylko nie był zjednoczony w jednym państwie, ale, poza zaborem austriackim, różne państwa włoskie były niepodległe. Tymczasem naród polski nie tylko nie był zjednoczony, ale nadto poszczególne jego części (nie wyłączając Rzeczypospolitej Krakowskiej) jęczały pod obcym jarzmem.

Nie dosyć na tym. Wiare w przyszłość swojego narodu Gioberti opierał na jego olbrzymich, nie urojonych, ale rzeczywiście położonych zasługach około europejskiej kultury duchowej. Krasiński tymczasem wiarę swoją w przyszłość swego narodu opierał wprawdzie po części także na zasłudze nie urojonej, tylko rzeczywistej, mianowicie na moralniejszej, niż w innych państwach polityce zewnętrznej i wewnętrznej, ale nade wszystko na fakcie śmierci politycznej, na «próbie grobu». Jest to wiara typowo religijna, jeżeli religię będziemy pojmowali jako szukanie i stwierdzanie nieprzemijających wartości w życiu: człowiek cierpiący, a religijny, zgadzający się z wolą Bożą, człowiek nieszczęśliwy, któremu wydarto największe skarby, czasem za największą wartość poczytuje nie owe skarby, tylko ich wydarcie, jako drogę... do ich odzyskania. *Maior mors Christi quam vita!*

I wreszcie Gioberti wierzy i wyraźnie mówi, że jego *dolce sogno* o przyszłej Italii spełni się «bez gwałtownego wstrząsu i bez cudu, ale sposobem naturalnym», Krasiński — inaczej. I on wprawdzie nie mówi nic, żeby restytucja Polski mogła być owocem «gwałtownego wstrząsu», ale nic także nie mówi, że się dokona «sposobem naturalnym» — całkiem przeciwnie — mówi, że będzie dziełem «cudu», «Łaski Bożej»: ona to — Łaska Boża, jak niegdyś dopuściła rozbiór Polski w tym celu, żeby mogła odbyć «próbę grobu», tak teraz sprawi, że zmartwychwstanie. W żadnym innym poglądzie Krasińskiego nie uwydatnia się tak wyraźnie różnica pomiędzy *Przedświtem* a *Del primato*, jak w tej właśnie wierze, że Polska odżyje nie «sposobem naturalnym», tylko nadprzyrodzoną Łaską Bożą, to jest cudem. Ale bo też trzeba wiedzieć, że, kiedy *Del primato*, od początku do końca, opiera się na historycznych i filozoficz-

nych rozmyślaniach nad przeszłością i teraźniejszością Italii, *Przedświt* jest w swoim pierwotnym i jednocześnie zasadniczym pomysle owocem tego zjawiska duchowego, które psychologia nazywa intuicją syntetyczną, a które nagle, bez rozmyślań rozbłysło w duszy Krasińskiego, w Monachium, w wigilię Bożego Narodzenia w roku 1841, na widok gwiazdzistego nieba. Rozmyślania przyszły dopiero później.

V

Komuż historia przyznała słusność? Gioberti'emu czy Krasińskiemu? Ani jednemu, ani drugiemu. W każdym razie więcej słusności miał Gioberti: Italia zjednoczyła się istotnie sposobem naturalnym, dzięki wiekowej pracy narodu, bez cudu, ale nie pod wodzą papieża i nie bez gwałtownego wstrząsu, przeciwnie dzięki gwałtownym wstrząsom i nade wszystko dzięki wielkiej wojnie. A Polska zawdzięcza odzyskanie swej niepodległości także nie cudowi, tylko pracy duchowej swego narodu, który w niewoli nie zatracił swojej narodowości, i także dzięki wielkiej wojnie, która się skończyła klęską wszystkich trzech państw rozbiorowych.

Tym sposobem okazało się, że nie Gioberti miał słusność, tylko Mazzini, który powiedział, że narody powstają przez krew i męczeństwo, i nie Krasiński, tylko Mickiewicz, który się modlił o «wojnę powszechną za Wolność Ludów».

Czy z tego jednak wynika, żeby dzieło Gioberti'ego nie przyczyniło się do zjednoczenia Italii, a poemat Krasińskiego do odzyskania niepodległości Polski? Ależ nie! Obydwa te utwory w najwyższym stopniu wzmocniły żywotność ducha narodowego, bez której nawet mowy być nie może o zjednoczeniu i wywalczeniu niepodległości narodów. I jeżeli w Italii słusznie powiedziano, że dzieło Gioberti'ego to więcej niż książka, bo to czyn, że Gioberti był nie tylko prorokiem odrodzenia Italii, ale i jego wielkim współtwórcą, że imię Gioberti'ego jest odtąd święte dla wszystkich Włochów, jako tego, którego sama Opatrzność powołała do zasiania w ich duszach nasion przyszłości, — to zupełnie to samo i z równą słusnością powiedzieć można o Krasińskim: dzięki swojej wieszcz-

poezji, a nade wszystko dzięki *Przedświtowi*, jest on nie tylko prorokiem, ale i jednym z twórców odrodzonej Polski.

Jedno jeszcze. Mazzini powiedział nie tylko, że narody powstają przez krew i męczeństwo, ale nadto, że «życie, prawdziwe życie narodu stoi kierującą myślą moralną». Głosił to przykazanie i Gioberti. A Mickiewicz nie tylko modlił się «o wojnę powszechną» za «Wolność Ludów», ale powiedział także: «Każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic. O ile polepszyć i powiększyć dusze wasze, o tyle polepszyć prawa wasze i powiększyć granice». Głosił to przykazanie i Krasiński (w *Psalmie miłości*):

Nikt nie stawia gmachu z błota
I najwyższy rozum cnota.
A na ziemi być Polakiem
To żyć bosko i szlachetnie.

Niechże obydwaj te przykazania swoich wielkich nauczycieli pełnią obydwaj wielkie narody!

Niech żyje Italia! Niech żyje Polska!

MONOGRAFIA TADEUSZA PINIEGO O KRASIŃSKIM (1)

Wydana w roku 1928 książka Tadeusza Piniego o Krasińskim jest dziełem rzetelnej wartości, jak tego z góry można było być pewnym: jej autor bowiem jest utalentowanym pisarzem i uzdolnionym badaczem, zbrojnym w rozległą wiedzę i w dobrą metodę naukową; o tym świadczą już jego dawniejsze studia i szkice historyczno-literackie, wśród których na pierwszy plan wysuwają się prace o Garczyńskim i Krasińskim. A nadto autor posiada dwie zalety, nie często spotykane u krytyków: nie lubi pustych słów, troszczy się świadomie o zwiezłość i treściwość, oraz, co jest rzeczą jeszcze może rzadszą, ma niezależność sądu i odwagę cywilną, z jaką (także całkiem świadomie i, jeśli się nie mylimy, z niemalym upodobaniem) przeciwstawia się utartym sądom i w ogóle tradycji. Że szczególnie obfite pole w tym względzie miał autor w książce o Krasińskim, to jasne: nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że tradycja nadmiernie wyidealizowała Krasińskiego — po części jako poetę, ale nade wszystko jako człowieka.

W idealizowaniu człowieka najdalej posunął się Tarnowski, przebierając wszelką już miarę i często przecząc... własnym sądom Krasińskiego, który, jak mało kto, zdawał sobie sprawę z ujemnych stron swojego charakteru. W dziele Kallenbacha jest także pewna idealizacja (i to nie tylko Zygmunta, ale i jego ojca, generała Wincentego, bardzo nieciekawej figury). Stanowczą reakcję pod tym względem zainaugurował dopiero Chlebowski (w tomie piątym *Stu lat myśli polskiej*): nie ukrywając wielu wysoce dodatnich stron charakteru Krasińskiego,

(1) Krasiński, życie i twórczość. Poznań (1928). Wydawnictwo Polskie (R. Wegner), str. 324.

nie chowa pod korcem cech ujemnych, tłumacząc je zresztą (i bardzo słusznie) jego chorobliwością. Pini, mówiąc o Krasińskim, jako człowieku, idzie swoją własną drogą, zupełnie inną, niż Tarnowski, i różną od tej, którą poszedł Chlebowski: oto o jasnych stronach charakteru Krasińskiego wspomina wprawdzie, ale ich nie uwypukla, silnie natomiast uwypukla cechy ujemne, jako to ciągle układanie dramatu, brak decyzji i zdolności do czynu, usprawiedliwianie bezczynności za pomocą sofizmatów, a nade wszystko rozdziewięk pomiędzy własną teorią a praktyką życia. «Było to może największą tragedią jego życia, — mówi autor — że od ukochanej swej, ubóstwianej niemal twórczości musiał oddzielić się przepaścią słowa». Otóż tej właśnie «przepaści» pomiędzy słowem a czynem Krasińskiego nikt dotychczas z tak bezwzględną otwartością nie uwypuklił, jak Pini. I to jest niewątpliwie jego zasługą; byłaby jeszcze większa, gdyby to wszystko, co w życiu Krasińskiego było piękne i jasne (zwłaszcza wyjątkowa czujność sumienia) było oświetlone równie mocno, jak cechy ujemne, to znaczy, gdyby charakterystyka Krasińskiego była pełna, a nie jednostronna.

Tuż potem jednak trzeba dodać, że ta jednostronność płynie, jeśli się nie mylimy, nade wszystko z zamiaru dokonania rewizji popularnych sądów o Krasińskim, a nie z jakiejś antypatii czy uprzedzeń. Przeciwnie: autor, jak to widać z całej książki, żywi względem Krasińskiego szczerą sympatię. A mówiąc o ujemnych stronach jego charakteru i życia, szuka ich usprawiedliwienia, a przynajmniej wytłumaczenia psychologicznego, i to nie tylko, jak Chlebowski, w jego chorobliwości, ale także (co zasługuje na szczególną uwagę) w swoistej organizacji poetyckiej, w tym, że «niedoskonałość geniuszu poetyckiego prowadzi z sobą niedoskonałość poety w życiu politycznym, społecznym, nawet w życiu domowym»: pogląd ten ma w sobie dużo, bardzo dużo słuszności, chociaż pisać się nań bez zastrzeżeń trudno. Lecz nie tylko chorobliwość (w znacznej mierze odziedziczona po obojgu rodzicach) i nie tylko organizacja poetycka tłumaczy nam, dlaczego życie Krasińskiego potoczyło się taką, a nie inną koleją, i dlaczego jego charakter był taki, a nie inny: była jeszcze trzecia kłątwa jego

życia, ze wszystkich najcięższa, a był nią rodzony ojciec. Tak, wszystkie próby rehabilitacji generała Wincentego Krasińskiego do niczego nie prowadzą — wobec wielu niezbitych dowodów, że był to człowiek bardzo lichy, a do tego dotknięty, jak bardzo słusznie mówi Pini, «obłędem wiernopoddanym» wobec cesarza Mikołaja. Otóż nikt dotychczas nie wyjaśnił tak dokładnie, nie obwijając w bawelnę, jak ważną rolę w życiu i twórczości Krasińskiego odegrał ten obłęd jego ojca, obłęd, z którego syn zdawał sobie jasno sprawę i nad którym słusznie cierpiał, nieraz nadaremnie usiłując wyrwać tę świadomość ze swojej duszy. «General Krasiński zaciężył, jak zły duch, na całym życiu syna. Nie zdołał go nakłonić do zdobywania, jak on to czynił, łaski carskiej za cenę pogardy społeczeństwa, ale opętał mu duszę i skrepował jego wolę. Cała energia syna przeleżała się na twórczość, która była głośnym *veto* przeciw postępowaniu ojca i świadczyć miała, że syn z szlachetniejszego odlany kruszcu. Na inne protesty brakło już siły — a protestem i klęską dla generała byłby każdy udział syna w akcji patriotycznej, w «pójściu za Chrystusem». Autor ma najzupełniejszą słuszność, nie myli się, niestety, i wtedy, kiedy pisze, że «można wytłumaczyć zmorą ojcowską bezczynność całego życia Krasińskiego, jednej tylko sprawy wyjaśnić i usprawiedliwić nie można: stosunku do uwłaszczenia chłopów. Teoretycznie uznawał konieczność uwłaszczenia, nie tylko w korespondencji, ale np. w memoriale do Guizota..., ale sam nie uczynił w tym kierunku nic. W posiadaniu rodziny są listy do rządów dóbr; poleca w nich obchodzenie się ludzkie z chłopami, na karanie ich chłostą dozwala tylko w razie koniecznej potrzeby». «Od przeciętnego hreczkosieja — dodaje słusznie autor — nie możnaby zapewne wymagać więcej, ale dla autora *Przedświtu* jest to stanowczo za mało». Lecz i tutaj przytacza Pini na usprawiedliwienie Krasińskiego to, że położenia ludu nie znał widocznie i dlatego nie wziął go sobie do serca, to bowiem, co mu «poruszyło serce, przemawiało do jego woli i zwykle objawiało się czynem».

Jakimże tedy człowiekiem był Krasiński? czy w jego charakterze i postępowaniu przeważały dobre, czy złe pierwiastki? Otóż na to pytanie nie ma odpowiedzi w książce Piniego; na-

daremnie byśmy w niej szukali syntezy rozrzuconych po całym dziele poszczególnych rysów charakteru Krasińskiego. Na usprawiedliwienie jednak autora stwierdzić trzeba, że problem charakterystyki człowieka należy do dziś dnia (pomimo prac Michała Wiszniewskiego, Paulhana, Müllera-Freienfelsa, Jaspersa, Klagesa i wielu innych) do zagadnień najtrudniejszych.

Przejdźmy teraz od zagadnień charakterystyki Krasińskiego, jako człowieka, do obrazu jego twórczości w książce Piniego. Cały ten obraz jest owocem własnych badań autora, który liczy się wprawdzie (choć nie zawsze) z bogatą literaturą o Krasińskim, ale który nic na wiarę innych nie przyjmuje. Do najlepszych stron dzieła należą te, na których autor wyjaśnia historię powstania utworów Krasińskiego oraz ich genezę, i to nie tylko literacką, ale i życiową — te własne «przeżycia» poety, które się odbiły w jego utworach. I znowu trzeba przyznać, że nikt dotychczas nie rozpatrzył tego zagadnienia tak wnikliwie, jak Pini.

Lecz nasuwa się tutaj jedno zastrzeżenie, a nawet jeden bardzo ważny zarzut: oto autor nie dosyć ściśle odgranicza zagadnienie genezy tego lub owego pomysłu od jego wyrazu artystycznego. Oto np. w rozdziale o *Nieboskiej Komedii* autor twierdzi, że «postać hr. Henryka załamuje się... i przedstawia... raz Krasińskiego (np. rozmowa z filozofem), to znowu jego ojca — Krasiński zaś sam raz odgrywa rolę hr. Henryka, drugim zaś razem rolę Orcia, ...w rozmowie z Pankracym jest hr. Henryk znowu wyłącznie Krasińskim». Prawda, że na genezę postaci hrabiego Henryka złożyło się kilku ludzi; pomimo to o załamaniu się tej postaci ani mowy nie ma — w swoim wyrazie artystycznym jest hrabia Henryk postacią jednolitą. Albo jeszcze: «Krasiński — mówi Pini — posunął się... tak daleko, że panią Potocką, której opinia była bardzo nadwreżona, odważył się wprowadzić do *Przedświtu* i tam powierzyć jej wywołanie wizji Polski». Zapewne wszyscy wiedzą, że żywym modelem «siostry» w *Przedświcie* jest pani Potocka: ależ przecie jej nazwiska nie wymieniał Krasiński, podobnie np. jak Mickiewicz w czwartej części *Dziadów* nie wymienił ani imienia, ani nazwiska Maryli Wereszczakówny. Co innego model, a co innego obraz: «siostra» w *Przedświcie* jest tylko «sio-

strą», a nie panią Potocką; do estetycznego odczuwania utworu poezji wiadomości o genezie nie są najczęściej potrzebne, a często mu nawet przeszkadzają, i właśnie dlatego należy przy rozbiórce utworu ściśle odgraniczać pomienione dwa zagadnienia.

Rozbiory i oceny utworów Krasińskiego są, na ogół biorąc, trafne, ale nie zawsze wyczerpujące. A nie chodzi tutaj o drobne szczegóły, ale o rzeczy ważne.

Część trzecia *Nieboskiej Komedii* zaczyna się, jak wiadomo, od rozmowy przechrztów — dlatego, oczywiście, że za *spiritus movens* krwawych przewrotów rewolucyjnych Krasiński poczytywał żydostwo, co bystro spostrzegł (i mocno ten jego pogląd potwierdził) Chesterton w przedmowie do przekładu *Nieboskiej Komedii*, pomimo że nie znał z pewnością jego korespondencji z Cieszkowskim i z Delfiną Potocką. Warto przytoczyć dwa urywki z listów. «W duchu żydowskim jest wieczny instynkt przewrócenia chrześcijańskiego świata», pisał Krasiński do Cieszkowskiego. A do pani Potockiej pisał kiedyś tak: «Czym istotnie Żydy wśród świata naszego, wśród epoki chrześcijańskiej? oto dochowanym zabytkiem, nietkniętym, nienaruszonym ideału ojczyzny starożytnej, pogańskiej, która na tym zależała, by odgraniczyć się od całej ludzkości, być ciasną, być egoistyczną, starać się pod swoją jednostkę ludzkość całą podciągnąć lub swoją jednostką ludzkość całą zamordować. Nie inny ideał rzeczypospolitej greckiej, nie inny Rzymu, nie inny żydowskiego państwa: «Mój Bóg jest Bogiem zazdrosnym, Bogiem gniewu, każe zabijać cudzoziemców, rugować inne ludy z ich Ojczyzn, by moja Ojczyzna pierwszą się stała, przez zniszczenie ludzkości!» To żydowska miłość ojczyzny, i dlatego nam się podłymi, obrzydliwie szkaradnymi wydają, że starym ideałem żyją wśród wyższego ideału, wśród chrześcijaństwa. Stara cnota najwyższa stała się najniższą nową zbrodnią».

Otóż Pini w swym rozbiórce *Nieboskiej Komedii* zupełnie pomija rozmowę przechrztów — dlaczego, tego naprawdę trudno się domyślić. Nie wolno przecie posądzać autora, żeby nie zrozumiał tej myśli Krasińskiego; mógł się na nią nie zgodzić, ale dlaczego ją zataił? Czyżby na uwydatnienie poglądu

Kraśińskiego, że Żydzi są głównymi sprawcami przewrotów rewolucyjnych i że zięją nienawiścią i żądzą zniszczenia kultury chrześcijańskiej, poglądu, którego słuszność stwierdziła rewolucja rosyjska — zabrakło Piniemu odwagi cywilnej? A może nie pozwoliło mu na to jego stanowisko «postępowe», tak wyraźne w całej książce? Raz jeszcze — trudno się domyślić.

Stanowisko «postępowe» natomiast pozwoliło Piniemu śmiało wygłosić pogląd, że Kraśiński z «trybuna ludowego przeistacza się... najpierw w konserwatystę, potem we wsteczніка». Ilustracją tego poglądu autora jest nade wszystko rozbiór *Psalmu miłości*. Cóż, kiedy i ten rozbiór nie jest wyczerpujący! Gdyby był wyczerpujący, to — kto wie — możeby jego ostatecznym rezultatem było to, że, jak to z całą bezstronnością i uczciwością stwierdza Kridl (w swej świetnej przedmowie do *Psalmy przyszłości* w *Bibliotece Narodowej*), — «ściśle wzięwszy», Kraśiński «nie walczył z rewolucją... samą w sobie, ale z osłabianiem jej siły i narażaniem jej rezultatów przez rozbijanie syntezy duchowej narodu, którą stanowić miały ciało-lud i dusza-szlachta, przez powierzanie kierownictwa ruchu siłom ciemnym, jeszcze nieświadomionym, przez niszczenie naturalnych wodzów narodu — arystokracji duchowej». Kridl daje świadectwo i tej jeszcze prawdzie, że stosunek Kraśińskiego do ludu w *Psalmach* «nie był to protekcyjnalno-pogardliwy stosunek do «chłopków», lecz uznanie ludu za czynnik, jeżeli nie równej wartości, to równego znaczenia w syntetycznym tworzeniu narodu», i że «Kraśiński był naturą zbyt bujną, bogatą i wszechstronną, żeby go można zmieścić w jednym kierunku czy obozie».

W ogóle sprawa «konserwatyzmu» czy «wstecznictwa» Kraśińskiego nie jest bynajmniej tak prosta, jakby się zdawało.

Na to, żeby kwestię «konserwatyzmu» Kraśińskiego oświecić należycie, potrzebna jest wyczerpująca analiza nie tylko jego utworów, ale i jego listów, w których przecież są takie np. poglądy, że rewolucja francuska była «wspaniała w swoich pragnieniach», że dzięki niej dopiero «braterstwo, wolność i równość» były uznane jako prawo; jest nawet i taki pogląd (który u nas głosił już Sebastian Petrycy), że «stan komuni-

styczny państwa może być celem, ku któremu ciąży historia świata», z tym oczywiście zastrzeżeniem, że to «najwyższy stan społeczny, i dlatego, by nie być najstraszniejszą ironią, najstraszniejszym despotyzmem, musi nastać dopiero w dni one, gdy Chrystusowe oświecenie wszystkich oświeci». Czy tak pisać może «wstecznik»?

Jeżeli rozbiór *Psalmy miłości* i w ogóle wszystkich *Psalmy* jest w książce Piniego nie wyczerpujący, to rozbiory poematów *Dzień dzisiejszy* i *Ostatni* są po prostu zbagatelizowane, a surowe sądy o obydwóch tych utworach należycie nie uzasadnione. Ale mniejsza o to. Mniejsza także o kilka czy nawet kilkanaście nieścisłości, które autor popełnił w rozbiorach poezji Kraśińskiego: dodatnie ich strony sownie okupują wszystkie nieścisłości.

Teraz — rzecz najważniejsza: czy autor, który tak lubi przeciwstawić się tradycyjnym sądom, pomniejszył Kraśińskiego jako poetę? Czy to prawda, że, jak pisał pewien krytyk w jednym z dzienników krakowskich, z książki Piniego wypływa ten wniosek, jakoby naród niesłusznie zaliczył Kraśińskiego do swoich największych poetów, do «trzech wieszczów»? Nie, to nieprawda: z książki, napisanej przez krytyka tak zdolnego, jak Pini, taki wniosek wypływać nie może, toteż nie wypływa. Zupełnie przeciwnie.

Autor stwierdza wprawdzie, że talent Kraśińskiego wcześniej osłabł (co jest niewątpliwym, niezbitym faktem — nie widzieć go mogą tylko zaślepieni): ale silnie uwydatnia jego wielkość jako poety w epoce rozkwitu talentu. W rozbiórze *Nieboskiej Komedii* mówi o «genialnej prostocie» niektórych scen, o «umiejętności przetwarzania nawet abstrakcyjnych pojęć w jasne, przystępne dla wyobraźni, a łatwo uchwytnie dla oka sceny dramatyczne»; mówi dalej, że «rozdzielone części tragedii życia» Kraśińskiego złożyły się «w jedną z najtragiczniejszych scen, jakie zna literatura świata». I jeszcze: «*Nieboska Komedia* jest w całym tego słowa znaczeniu dziełem genialnym; potężne natchnienie twórcze wyrzuciło ją z piersi 21-letniego młodzieńca z taką siłą, że znalazły się w niej strzępy jego duszy, jego najistotniejsze i najskrytsze myśli, dumne marzenia i bolesne wyznania o własnej nicości..., ale żar natchnie-

nia był tak wielki, że stopił wszystkie te najrozmaitsze czynniki w jednolitą bryłę, nadając jej kształt wysoce artystyczny... Polsce przybył prawdziwy, wielki poeta». Motywy obce nie zachowały w *Irydionie* dawnego kształtu i barwy, lecz przetworzyły się zupełnie w wyobraźni poety, jakby stopione jej ogniem, dostosowały się posłusznie do charakteru całości i złożyły się na odlew tak jednolity i tak potężny w swej powadze, w swoim dostojęństwie, jakich niewiele posiada literatura świata». «Niektóre przemówienia *Irydiona* sprawiają wrażenie wulkanu, który, jak mówi Mickiewicz, «tylko dymi niekiedy przez słowa» — i dlatego też może jedynym utworem, mogącym pod względem powagi i siły ukrywanego uczucia stanąć obok poematu Krasińskiego jest *Powieść Wajdeloty...*, zwłaszcza zaś część jej druga». Arcydziełem jest w oczach Piniego także i *Przedświt*, w którym «uderza mistrzowskie stopniowanie wrażeń, uczuć i doniosłości wizji: poczynając od uczuć osobistych i piękna przyrody, przechodzi poeta do wizyj bohater-skich przodków, proroctwa wspaniałej przyszłości Polski, do jej zmartwychwstania, a kończy olbrzymim obrazem, ogarniającym cały wszechświat... Chociaż forma wiersza nie wszędzie jest równie doskonała, niektóre ustępy sięgają wyżyn takiego arcyzmu, iż stają obok największych arcydzieł naszej literatury». A czym był *Przedświt* dla narodu polskiego? «Krzewił i potęgował — mówi Pini — poczucie narodowe, patriotyzm; a było to zadanie wówczas może najważniejsze, bo w milionach, mówiących polskim językiem, trzeba było to uczucie raczej budzić, niż podniecać, a nawet raczej stwarzać dopiero, niż budzić. To, co niewola wywoływała drogą negatywną, to kształtowała poezja pozytywnie — a kształtowała dobrze i skutecznie, chociaż stale popadała w przesadę. Wszak «my z niej wszyscy!»

Warto jeszcze przytoczyć sąd autora o moralnych i narodowych wartościach poezji Krasińskiego: «Żaden z naszych poetów nie zajmował się sprawami etycznymi tak gorliwie, tak uporczywie i z tak wyraźnym celem podniesienia jej, jako sztandaru, na czoło twórczości... Krasiński nie cofa się nawet przed pewną prozaicznością formułowania dekalogu narodowego, staje się nauczycielem swego społeczeństwa i w tym wi-

dzi w ostatniej epoce życia swe posłannictwo. Katechizm to twardy, do wprowadzenia w praktykę życia wprost niemożliwy, bo czerpany z krainy ideału, ale tak wzniosły, że godzien tego, aby przyświecać narodowi i stać się jego drogowskazem. Zwłaszcza teraz, w czasach powojennego bolesnego upadku wszelkich zasad etycznych, poezja ta, która głosi, że «nikt nie tworzy gmachu z błota» i że «najwyższy rozum cnota» — cnota obywatelska naturalnie — może i powinna odegrać rolę dźwigni moralnej i nastroić nasze społeczeństwo na ton wyższy, szlachetniejszy. Byłby to najpiękniejszy pomnik dla autora *Przedświtu*».

Tych wszystkich sądów chyba wystarczy: pochlebniejszych nie mógłby wydać największy wielbiciel poezji Krasińskiego.

Dlaczego jednak (jak to recenzent miał sposobność już kilkakrotnie słyszeć) niektórzy witają w książce Piniego początek nowej ery w poglądach na poezję Krasińskiego, a mianowicie początek obniżenia jej wartości? Dla dwóch przyczyn. Pierwszą jest, że ludziom to najłatwiej i najprzyjemniej zapamiętać, co się im podoba: Pini o utworach Krasińskiego wydaje sądy surowe (najczęściej słuszne), więc ci, którzy Krasińskiego nie lubią, którym zależy na jego pomniejszeniu, skwapliwie te sądy chwytają, zapominając o sądach innych, przyznających jego poezji wielkość, albo nawet zamykając sobie na nie oczy i zatykając uszy. A przyczyna druga płynie z winy samego autora: jak nie zdobył się Pini na spójną charakterystykę Krasińskiego, jako człowieka, tak nie umiał, a może nie chciał zharmonizować, albo raczej zsyntetyzować swoich sądów o jego poezji. Jest to największy błąd monografii.

Są w niej inne jeszcze usterki i nieścisłości, a nade wszystko są «niedociągnięcia». Cóż z tego? «Niedoleżną na wieki pozostać musi krytyka tylko ujemna, zapatrzona ciągle w brak piękności — tak jak ślepy człowiek w brak światła — bo wytyka tylko próżnie, nie zapełnione życiem, a od życia twarz odchyła... Coś pięknego ujrzeć, ocenić i uznać jest jedną z największych ducha rozkoszy; lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy — zajadłe pogańskie serce wre im w piersiach... kochają się wściekle w ujemnym sily swojej kierunku. Ten wy-

łączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość uważają». Słowa te, należące z pewnością do najmędrszych, jakie w życiu swoim napisał Krasieński, powinny zawsze przyświecać krytyce nie tylko dzieł sztuki, ale i prac naukowych. Książka Piniego jest takiego rodzaju, że stosować do niej jedynie «krytykę ujemną» byłoby wielkim grzechem: posiada bowiem tyle wysokich zalet, że «ujrzyć» je i «ocenić i uznać» jest nie tylko «rozkoszą», ale i prostym obowiązkiem.

CUDZE CHWALICIE, SWEGO NIE ZNACIE, SAMI NIE WIECIE, CO POSIADACIE

Czyli inaczej: «Cudze się widzi pod lasem, a swego się nie widzi pod nosem». Albo jeszcze: «Do swego diabeł łyżkę miodu włożył, a do cudzego dwie».

Te przysłowia przychodzą mimowolnie na myśl, kiedy się czyta wydane w roku 1935 przez Stefana Szumana dzieło Michała Wiszniewskiego *Charaktery rozumów ludzkich*. W swoim czasie było ono poczytne (miało trzy wydania), ale aktualnym staje się dopiero dzisiaj, kiedy to psychologia zrywa na koniec z łatwymi uogólnieniami, kiedy się coraz żywiej zajmuje niezliczonymi różnicami, zachodzącymi pomiędzy charakterami i w ogóle psychikami ludzi. Wielkim rozgłosem cieszą się dzisiaj dzieła takich uczonych niemieckich, jak Odenbach, Dieter, Klages, poświęcone «typologii» umysłowości, uchodzące w oczach wielu za rewelacje i odkrycia naukowe. Okazuje się tymczasem, że, jak to wykazał Szuman w obszernej przedmowie do wydania dzieła Wiszniewskiego, nie Odenbach, nie Dieter, nie Klages i nie inni uczeni zagraniczni są właściwymi twórcami tej typologii, tylko uczony polski (zmarły w r. 1875) Michał Wiszniewski (ten sam, który jest autorem pierwszej naukowej *Historii literatury polskiej*, doprowadzonej, niestety, tylko do połowy XVII wieku). A jeśli stwierdzenie i szczegółowe uzasadnienie tego faktu przez Szumana jest dla wielu czytelników rewelacją, to tylko dlatego, że nie mamy dotychczas historii psychologii polskiej.

Jasno zdawał sobie Wiszniewski sprawę, że w dziedzinie rozróżniania i klasyfikacji «rozumów ludzkich» jest nowatorem. Oto jego własne słowa: «Nie mając w tym zawodzie żadnego przewodnika, żadnych śladów ludzkich, sam pierwszą przetorowałem sobie ścieżkę i zrobiłem, na co mnie stać było,

tą ciągle ożywiony i zachęcony myślą, iż przynajmniej dla przyszłego Linneusza rozumów otworzyłem nową drogę do poznania ludzi». To nie zarozumiałość, tylko świadomość swojej zasługi. Ale tu niejedyn może powie: «Jak to? przecie Fran- cja już w XVII wieku szczyti się La Bruyèrem, autorem klasycznego utworu o charakterach ludzkich». Prawda, ale utwór ten ma charakter nie naukowy, tylko literacki, nie systematyczny, tylko dorywczy, a nadto jego autor, przy całym swoim talencie obserwacyjnym, nie jest umysłem głębokim, i słusznie powiedziano, że ustrzegł się wprowadzić wielkich błędów, ale też nie dokonał wielkich odkryć. Dzieło Wiszniewskiego tymczasem jest naukowe, systematyczne i mające małe błędy, ale nierównie więcej niemałych odkryć.

W oryginale polskim (pierwsze wydanie r. 1837, drugie 1842) składa się z siedmiu rozdziałów. Oto ich tytuły: *Głupstwo i rozmaite jego odcienia; Przywary i niedoskonałości rozumów; Rozsądek, ludzie rozsądni, różne ich rodzaje; Dowcip, jego różnica od rozsądku i rozumu, tajemnice wesołego dowcipu i rozmaite rodzaje ludzi dowcipnych; Różnice w rozumach skąd wynikają; Dusze ogniste, głowy zapalone; Geniusz, jego przymioty i narowy*. W angielskim wydaniu swojego dzieła (1853) dodał autor jeszcze trzy rozdziały, które w wydaniu Szumana ukazują się po raz pierwszy w przekładzie polskim; są to uzupełnienia, w których autor wyjaśnia przyczyny różnorodności rozumów ludzkich, charakteryzuje inteligencję zwierząt i... umysłowość kobiet.

Dla uspokojenia ewentualnych czytelniczek dzieła Wiszniewskiego (żeby się nie zrażały sąsiedztwem ze zwierzętami) niechaj będzie wolno przytoczyć zakończenie ostatniego rozdziału: «Myśl kobieca dla przypodobania się przybiera wszystkie kształty, wszystkie czary i uroki; bojaźliwa w obecności mężczyzn» (w XIX wieku) «ukrywa się jakby pod zasłoną, lecz gdy ją nagle co obudzi, niesłychane z siebie wydaje echa. Jak opal, różnobarwne rozrzuca promienie, — przez które imaginacja i serce się przemykają».

Nie dosyć na tym. Przyznaje otwarcie Wiszniewski, że «są odcienia myśli i uczuć, które jedynie kobieta pochwycić i odmalować potrafi»; mówi jeszcze, że nie śmie wydawać osta-

tecznego sądu o zakresie umysłowych zdolności kobiet, i że nie komu innemu, tylko swojej czcigodnej matce zawdzięcza fundamenty wszystkiego, czym się jego głowa i serce poszczycić może.

Ale wróćmy do siedmiu pierwszych rozdziałów. Co za bystrość obserwacji, będącej jedynym źródłem całego dzieła! Co za subtelność w wyodrębnianiu rozmaitych odcieni każdego typu «rozumów ludzkich», zasługująca na tym większe uznanie, że psychologowie tak często wpadają w szablon! Oto np. odcienie «przywar i niedoskonałości rozumów»: głowa mierna, pedant, drobnowidz, rozum płytki i ograniczony, rozum o jednej myśli, rozum literacki («tak bujny w ogólnym myśleniu», a «niedołężny w sprawach codziennego życia»), rozum bez pamięci, rozum z bujną pamięcią, rozum bez dna, dziwak, rozum krzywy, rozum wykrętny i przewrotny, rozum nudny, rozumy leniwe, rozum zakochanego; rozum systematyczny, rozum samorodny czyli nieuprawny nauką, rozum spekulacyjny, rozum ludzi wahających się, sceptyk itd. Oto jeszcze kilka odcieni człowieka głupiego: głupiuteńki, gap, głupiec przesądny, pryncenz, dowcipkujący, płaczliwy, polerowany, zarozumiały, półgłówek, półgłupiec, przemądrzały, dobroduszny, prostaczek itd.

Są i zwięzłe charakterystyki narodów. Nie należą one do najlepszych części dzieła, niemniej przeto są w wielu szczegółach trafne (choć niewyczerpujące). Oto np. Włosi: czule ucho, pojęcie bystre, zmysł estetyczny; zawsze w duszy przytomny ideał piękności i trafność w naśladowaniu natury, myśli rozlane, styl rozwlekły, skłonność do brania drobnostek za rzeczy ważne. «Niemcy nie mają łatwego Francuzów pojęcia, lecz żelazną wytrwałość w pracach umysłowych, chętnie zawijają się w siebie i z siebie wszystko snują; u nich poezja staje się filozofią, a filozofia poezją duszy».

A Polacy? «Skłonni do uniesień, przekonanie rozumu słabiej działa na ich wolę jak zapal, który prędko ostyga; nie wytrwali w pracach rozumu, do długiego namysłu, do zimnej rozumu rachuby wstręt jakiś czują».

Za to poetyczni. O tym, że jedną z głównych cech charakteru polskiego jest nieszczęsna połowiczność — ani słowa.

W ogóle nie ubocznie tylko traktowane charaktery narodów, lecz świetne charakterystyki indywidualnych typów psychicznych rozstrzygają o niepospolitej wartości dzieła Wiszniewskiego.

A co jeszcze jego wartość podwyższa, to tak rzadki u naszych uczonych w ogóle, a filozofów w szczególności, talent pisarski i świadoma troska nie tylko o jasność, ale i o piękno języka. Nie będzie żadnej przesady, jeśli się nazwie Wiszniewskiego znakomitym stylistą. Takie np. charakterystyki, jak przesadnego głupca, pedanta, «ludzi z gustem», to prawdziwe cacka stylu (ale nie wycackane!). Zwięzłość — po prostu bajeczna i nie wykluczająca obrazowości. Oto przykłady:

«Pedanci... nie w naturę, ale w książki pilnie wlepiają oczy; zawsze im się zdaje, że przy nabladłym światelku okopconej latarki więcej jak przy blasku słońca zobaczą».

«Ludzie z gustem często miewają drażliwsze ucho niż sumienie».

«Strykowski jasno gada, a ćmi prawdę, Lelewel ciemno tłumaczy się, a historię objaśnil».

To upodobanie Wiszniewskiego do zwięzłości jest źródłem wielu jego świetnych sentencji, np.: «Rozum nasz podobny jest do oka, które wszystko łatwo widzi, prócz siebie»; — «Życie parlamentarne ma tendencję wyrabiania w ludziach dowcipu, ze szkodą głębokiej myśli i ścisłego rozumowania».

Ale dosyć tego — żeby czasem kto nie zastosował do krytyka sentencji Wiszniewskiego: «Mądry nie wie czasem, jak zacząć, a głupi — jak skończyć».

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI
(ODCZYT WYGŁOSZONY NA UROCZYSTYM POSIEDZENIU
BIBLIOTEKI POLSKIEJ W PARYŻU DNIA 3 MAJA 1937 R.)

Kraszewski to naprawdę postać na polu legendarna. Nie żeby jego życie obfitowało w jakieś nadzwyczajne wypadki, bo przecie i wygnanie z kraju i uwięzienie przez wroga było dla Polaka-patrioty epoki porozbiorowej wypadkiem raczej normalnym, aniżeli nadzwyczajnym. Natomiast jest Kraszewski postacią wyjątkową, na polu legendarną, przez swoją twórczość literacką. Pomyśleć sobie tylko: żył lat niemal siedemdziesiąt pięć, tworzył, jeśli pominąć dziecinne wierszyki, lat pięćdziesiąt sześć; to długo, ale przez ten czas napisał... trudno uwierzyć... przeszło siedemset tomów, w czym około pięciuset tomów powieści; resztę wypełniają poematy, utwory liryczne i dramatyczne, wielkie i pomniejsze dzieła historyczne, opisy podróży, publicystyka. Niektóre z tych pism, jak np. *Polska w czasie trzech rozbiorów*, do dziś dnia nie straciły wartości; ale swoje nieśmiertelne stanowisko w historii literatury i w ogóle życia duchowego Polski zawdzięcza Kraszewski powieściom.

Prawda, że wśród nich nie ma ani jednej, którąby można było nazwać skończonym arcydziełem; są powieści tak piękne, jak *Klara*, *Boża czeladka*, *Dwa światy*, *Powieść bez tytułu*, *Chata za wsią*, *Morituri*, *Rzym za Nerona*, *Stara baśń*, *Hrabina Cosel*, ale czy jest choć jedna, którąby się pod względem artystycznym mogła równać z niektórymi powieściami Sienkiewicza, Prusa, Reymonta? Miał wprawdzie Kraszewski bardzo niepospolity talent powieściopisarski, ale — co prawda, to nie grzech — nie wyzyskał go w całej pełni, przynajmniej w powieściach większych: dlaczego? dlatego, że pisał zbyt pośpiesznie, a czasami nawet niedbale.

Korzystał ze swej fenomenalnej łatwości pisanja, na której temat powstała dykteryjka, że czasem, chodząc po pokoju, dwóm sekretarzom swoim dyktował... dwie powieści: na przemiany — jedno zdanie z jednej, drugie — z drugiej. Było tak, czy nie było, dosyć, że swoje powieści tworzył, raz jeszcze, zbyt szybko, że nie wkładał on w nie usilnej i świadomej pracy nad ich artyzmem, bez której nie ma i być nie może arcydzieł sztuki.

Rzućmy teraz okiem na jego spuściznę powieściopisarską. Należy w niej rozróżniać dwa główne działy: powieść współczesną i powieść historyczną.

W powieściach współczesnych, obok obrazu społeczeństwa, wypowiadał Kraszewski — pośrednio albo i bezpośrednio — swoje własne zapatrywanie, jakim społeczeństwo być powinno. W poglądach politycznych bywał bardzo chwiejny: raz unosił się nad polityką romantyczną, nad entuzjazmem, nad manifestacjami narodowymi, innym razem potępiał to wszystko. Zawsze jednak trzymał wysoko sztandar godności narodowej. W poglądach społecznych także dokonywały się przeobrażenia. Zrazu występuje jako satyryk, który burzy, nie buduje; zrazu potępia jakoby chorą cywilizację zachodnio-europejską, przeciwstawiając jej niby zdrowy świat słowiański. Niebawem się jednak zreflektował, uświadamiając sobie coraz jaśniej, że cywilizacja zachodnio-europejska jest w znacznej mierze tworem Kościoła katolickiego, i w tym Kościele widział deskę zbawienia dla ludzkości. Ale cóż, poznał jako tako filozofię Hegla i pod jej wpływem zaczął na Kościół katolicki, a nawet w ogóle na religię, patrzeć krytycznie. Lecz znowu nastąpiła zmiana. Nauka, powiedział sobie, do niczego pewnego nie prowadzi, więc znowu przeciwstawił jej religię. Był jej wierny aż do śmierci, ale z zastrzeżeniami: ultramontanizmowi przeciwstawiał katolicyzm polski i w ogóle chrystianizm. Przejęcie się chrześcijaństwem kazało mu zabrać głos w niezmiernie aktualnej sprawie — w kwestii włościańskiej; po roku 1830 on ją pierwszy u nas poruszył. Ale i tutaj był chwiejny: przed rokiem 1848 jaskrawo malował nadużycia szlachty wobec wło-

ścian, po roku 1848 dał się uwieść prądom reakcyjnym i zachwalał dawny, jakoby patriarchalny stosunek szlachty do włościan, aż wreszcie, kiedy rząd rosyjski podjął reformę uwłaszczania włościan, stał się jej gorącym rzecznikiem.

Chwiał się Kraszewski i w swoich poglądach na dobrobyt materialny kraju: raz, jeśli nie, potępiał, to surowo krytykował pracę nad dobrobytem, drugi raz ją chwalił, póki nareszcie nie zdobył się na pogląd umiarkowany, że dobrobyt materialny jest konieczny, ale pożyteczny o tyle tylko, o ile nie zagłusza w życiu pierwiastków idealnych; a ponieważ mu się zdawało, że jest ich w naszym narodzie mało, więc czasem, np. w *Dzieciach wieku*, aż do przesady chlostał kulturę materialną i — wrogo występował przeciwko emancypacji kobiet w *Synach wieku* i w *Szalonej*; bądź co bądź do dawnego lekceważenia kultury materialnej już nigdy nie powrócił. Widzimy tedy, że i w poglądach społecznych był chwiejny; ale śmiało można powiedzieć, że nigdy nie był chwiejny w szlachetności uczuć, która zawsze bije z jego powieści społecznych.

Ich zakres jest, jak na nowoczesne stosunki społeczne, dosyć szeroki, o tyle, że obejmuje zarówno szlachtę i arystokrację, jak lud wiejski — w jego stosunkach z sobą, z dworem i ekonomem, z karczmą i Żydem. Współczucie smutnej doli ludu, jego niewoli, jego nadmiernej pracy, jego hańbie — oto główna cecha i główna zasługa społeczna powieści ludowych; prym trzymają *Ostap Bondarczuk*, *Jaryna*, *Chata za wsią*, *Ładowa pieczara*, *Jermola*. Charakterów dodatnich nie brak w tych powieściach, ale idealizacji nie ma — owszem, ciemnota, grzechy, a nawet zbrodnie są uwydatnione otwarcie, z tym bardzo ważnym zastrzeżeniem, że dno duszy chłopskiej jest tutaj szlachetne.

Cechą główną powieści szlacheckich jest nie współczucie, tylko satyra, która zrazu zdaje się być głównym celem powieści. W takiej np. *Latarni czarnoksiężskiej* nie dostrzega Kraszewski żadnej jasnej strony szlacheckiego życia — same cienie! Lecz po roku 1848 satyra słabnie. Satyryk przedziera się w nauczyciela: uczy, jakim szlachcic być powinien; najbardziej typową pod tym względem jest powieść pt. *Dziwadła*. Natomiast w stosunku do arystokracji nie zmienił się Kraszew-

ski, jest względem niej satyrykiem zjadliwym — wystarczy przypomnieć takie powieści, jak *Komedianci*, *Dwa światy*, *Ramultowie*. Najpełniej jednak i najpiękniej wyraził swoje poglądy na arystokrację w powieści *Morituri*: potęga rodu arystokratycznego upada tutaj wskutek przesądów stanowych, braku rachunkowości, a nade wszystko braku pracy; na arystokrację składają się sami konsumenci, jedynie zaś producenci mają rację bytu. Jest tedy ratunek dla arystokracji — praca społeczna: oto myśl przewodnia powieści *Ostatni z Siekierzyńskich*. Wolno z niej wysnuć ten wniosek, że arystokracja nasza o tyle może nadal istnieć, o ile... arystokracją być przestanie.

Lecz powieści ludowe i szlacheckie Kraszewskiego nie wyczerpują jeszcze całości jego powieści współczesnych; śmiało można powiedzieć, że nie było ani jednej ważniejszej sprawy życiowej, którejby on w swoich powieściach nie poruszył. A więc np. stosunek marzycieli, poetów i artystów do życia stanowi problem takich powieści, jak *Sfinks*, *Pamiętniki nieznajomego*, *Powieść bez tytułu*; dola i niedola nauczycieli i sprawa wychowania młodzieży — oto naczelné zagadnienie powieści: *Metamorfozy*, *Jaselka*, *Kopciuszek* itd.

Powieści historyczne odtwarzają dziewięć wieków historii polskiej — od obrazu ludów słowiańskich przed powstaniem państwa polskiego (w *Starej baśni*), aż do pierwszych lat porozbiorowych (*Pod blachą*).

Powieści, osnute na tle sześciu pierwszych wieków, od X do XV, są, z wyjątkiem poetycznej *Starej baśni*, będącej owocem dojrzałego już talentu, słabe. Może nigdy pośpiech w pisaniu nie dał się artyzmowi tak bardzo we znaki, jak tutaj. A nadto nie zawsze umiał być Kraszewski, chociaż znalazł dobrze dostępne sobie źródła dziejowe, sprawiedliwym wobec postaci historycznych, uwydatniając z predylekcją ich ciemne strony, a jasne pozostawiając w cieniu albo w półcieniu. A i to jeszcze nie stanowi zalety tych powieści, że historia przestaje być często tłem i staje się główną treścią, co zresztą, mówiąc

nawiasem, sprawiło, że mnóstwo czytelników uczyło się historii ojczyźnej dawnych czasów z tych właśnie powieści.

W powieściach z wieku XVI i XVII widać już znaczny postęp. Wystarczy wymienić *Zygmuntowskie czasy*, *Powrót do gniazda* albo jeszcze *Historię o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*. Wątek powieści wybija się tutaj na plan pierwszy i nieraz łączy się z tłem dziejowym w harmonijną całość.

Lecz najwyżej wzniosł się talent Kraszewskiego, jako autora powieści historycznych, w powieściach z wieku XVIII. Nie we wszystkich naturalnie — bo niektóre są pisane, jak to mówią, na leb na szyję. Ale są i takie — nasamprzód w obrębie czasów saskich — jak *Hrabina Cosel*, *Brühl*, *Z siedmioletniej wojny*; te trzy należą do najlepszych utworów Kraszewskiego. Tło obyczajowe podmalowane wspaniale, intryga prosta i przeprowadzona świetnie, osoby scharakteryzowane bardzo plastycznie. Ale — są to raczej powieści saskie, aniżeli polskie. W powieściach polskich, jako to: *Skrypt Fleminga*, *Wilczek i Wilczkowa*, *Starosta Warszawski*, nie ma już wyrazistego tła historycznego, jest tylko szereg drobnych scen, luźnie z sobą spojonych. Treścią jest po większej części życie nie polityczne, tylko prywatne, i to nade wszystko jego strony ujemne (z wyjątkiem jednej tylko powieści — *Pan na czterech chłopach*). Ze stanowiska prawdy dziejowej główną wadą tych powieści jest prawie zupełne pominięcie tego faktu, że już za czasów saskich zaczęły napływać do Polski prądy reformatorskie na polu wychowania. O wielkim reformatorze oświaty szkolnej, Stanisławie Konarskim, zaledwie wzmianka.

Podobna jednostronność widoczna jest w powieściach z epoki stanisławowskiej: *Maleparta*, *Diabeł*, *Staropolska miłość*, *Papiery po Glince*, *Ostatnie chwile księcia wojewody*, *Syn marnotrawny* itd. Mamy tutaj prawie wyłącznie obraz życia prywatnego w stolicy, malowany w strasznie ponurych barwach: orgiom, rozpuście, prywatnie życia stołecznego przeciwstawia Kraszewski zacność staropolskiego życia na prowincji. I w tym właśnie tkwi zasadniczy błąd tej grupy powieści. Prawda, panowała w Warszawie za Stanisława Augusta demoralizacja, ale w życiu umysłowym dokonał się ogromny postęp. Z drugiej strony, prawdą jest, że na prowincji, w zaścian-

kach szlacheckich, życie było może moralniejsze, niż w Warszawie, ale i to nie ulega wątpliwości, że zacofanie umysłowe, ciemnota, bezmyślny konserwatyzm, panujące na prowincji, były dla państwa niemniej niebezpieczne, jak demoralizacja obyczajowa stolicy. I ostatecznie nie zaścianki, tylko stolica zwyciężyła, nie bezmyślny konserwatyzm szlachecki, tylko idea postępu przemogła — nie tylko w literaturze stanisławowskiej, ale i w reformach, uchwalonych na sejmie czteroletnim.

Warto jeszcze wspomnieć o dwóch powieściach historycznych, ale nie z dziejów polskich: *Capreä i Roma* i *Rzym za Nerona*. W pierwszej ogólna charakterystyka państwa rzymskiego za czterech cesarzów: Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza i Nerona jest wysoce artystyczna, chociaż jednostronna o tyle, że autorowi chodziło nade wszystko o uwydatnienie ciemnych stron państwa rzymskiego, żeby je przeciwstawić światu chrześcijańskiemu. Natomiast druga powieść jest zupełnie wolna od tej jednostronności: bezstronność względem świata pogańskiego jest wprost zdumiewająca, przez co kontrast pomiędzy pogaństwem a chrześcijaństwem już nie jest tak ostry; powieść ożywia jakąś łagodna, rzewna, tkliwa, poetyczna wyrozumiałość.

Przejdźmy teraz od powieści do powieściopisarza. Jak przedstawia się — na podstawie twórczości Kraszewskiego — jego fizjognomia duchowa? Był to umysł wyjątkowo zdolny, lotny i fenomenalnie ciekawy. Nie było prawie żadnej gałęzi wiedzy ludzkiej, któraby go nie obchodziła — chciał wszystko wiedzieć. A do tego umysł niesłychanie giętki, z łatwością wyrzekający się dawnych poglądów i chwytający nowe. Szkoda, że ta rozległość i giętkość umysłu nie szła w parze z refleksją, z krytycyzmem, i stąd to właśnie płynęła chwiejność jego poglądów, któraby śmiało mogła pójść w przysłowie («chwiejny jak Kraszewski»), gdyby nie była cechą, jeżeli nie ogromnej większości, to bardzo wielu polskich umysłów. Można by wprawdzie tłumaczyć tę chwiejność poglądów stopniowym ich rozwojem, gdyby się one nieraz nie kłóciły z sobą w jednych

i tych samych dziełach, zwłaszcza pismach publicystycznych, np. w głośnych swego czasu *Rachunkach Bolesławity*. Całe szczęście jeszcze, że krańcowość umysłowa nie leżała w naturze Kraszewskiego: nie był on nigdy tak namiętnym wstecznikiem, jak np. Henryk Rzewuski, ani tak namiętnym postępowcem, jak, dajmy na to, Świętochowski. Świadomie, czy też mimowoli, dzięki takiej a nie innej naturze, dąży Kraszewski do zachowania w swoich poglądach złotego środka.

A jak o jego umyśle, tak i o jego uczuciu powiedzieć można, że się trzymało złotego środka: miękkie, łagodne, nie znające ani bezdennej rozpacz, ani niepomiernej radości, nie przechodzące ani w chłód, ani w czułość; od chłodu broniła go wrodzona dobroć, od sentymentalizmu wrodzone usposobienie satyryczne. Przy takim usposobieniu nie potrafił tworzyć ani sytuacji tragicznych, ani bohaterów tragicznych; miał predylekcję do ludzi albo miękkich sercem, albo też pospolitych; miękkich trochę idealizował, pospolitych ośmieszał, ale nie zawsze — czasem stawiał ich za wzór. Za to ludzi złych malował nieraz w barwach przejawionych. Entuzjastą nie był; zapalał się czasem, ale na krótko; gwałtownych, romantycznych porywów uczucia nie szukać w jego powieściach.

Wyobraźnię miał bardzo bogatą: dosyć powiedzieć, że się w tak wielkim mnóstwie swoich powieści ani razu nie powtarzał, nie kopiował samego siebie ani w postaciach, ani w sytuacjach. Głównym źródłem tej wyobraźni był ogromny zmysł obserwacyjny i ogromna łatwość kojarzenia doznanych wrażeń; stąd plastyka jest znamioną cechą jego talentu (z tym oczywiście zastrzeżeniem, że się nigdy nie wzniosła na wyżyny, osiągnięte w naszej powieści przez Sienkiewicza i Reymonta). Najlepiej umiał odtwarzać to, co widział na własne oczy; dlatego to powieści o kraju, napisane w kraju, mają na ogół biorąc, wyższość od powieści o kraju, napisanych za granicą. Nie można jednak nie przyznać, że i w powieściach historycznych umiał tworzyć żywych ludzi na podstawie nie autopsji, tylko studiów nad źródłami dziejowymi.

Do tworzenia pomysłów i sytuacji fantastycznych talentu nie miał; jego «fantazje» mają wtedy jedynie plastykę, kiedy są bliskie ziemi; tracą plastykę, ilekroć się od ziemi oddalają.

Krótko mówiąc wyobraźnia Kraszewskiego była nie «romantyczna», ale «realistyczna».

Nie dosyć na tym. Umiał on doskonale odtwarzać zewnętrzność człowieka, ale w głąb duszy sięgać nie umiał. Stąd powieści psychologiczne, np. *Pod włoskim niebem*, nie należą do jego najlepszych utworów. Stąd charakterystyka ludzi o duszach nieskomplikowanych udawała mu się nieraz doskonale, ale potykał się zawsze w charakterystyce ludzi o duszach bogatych; a nie tylko myśliciele, ale i artyści udawali mu się daleko gorzej niż ludzie przeciętni.

Tak przedstawia się — w najogólniejszych zarysach — fizjognomia duchowa Kraszewskiego. Powiedziano kiedyś, że jest to pod wielu względami duchowość typowo polska, a to nade wszystko przez swoją połowiczność, przez umiarkowaną temperaturę zarówno myśli, jak uczucia. Może to i prawda. Ale co jest prawdą już nie może, tylko na pewno, to to, że była w jego charakterze jedna cecha, której za typowo polską uznać, niestety, nie można. Jest nią wręcz nieprawdopodobna, żywiołowa, fenomenalna pracowitość, dzięki której mógł tyle napisać; sam jeden talent nigdyby nie wydał z siebie takiego ogromu twórczości.

Ta zaś twórczość zapisała się trwale w naszym życiu duchowym.

Nie jest wprawdzie Kraszewski twórcą nowoczesnej powieści polskiej: jej twórcami są Krasicki i Niemcewicz, Skarbek i Bernatowicz, Jaraczewska i Maria Czartoryska. Ale dopiero pod piórem Kraszewskiego nasza powieść nowoczesna przeszła z okresu niemowlęstwa w okres dojrzałości, tym więcej, że swoimi powieściami pobudził do twórczości powieściowej innych autorów, i to nie tylko młodszych, ale i starszych od siebie, żeby wymienić tylko Józefa Korzeniowskiego (który, mówiąc nawiasem, artyzmem przewyższył swego mistrza). Otóż śmiało można powiedzieć, że, nie będąc twórcą powieści polskiej, jest Kraszewski twórcą tego ruchu powieściopisarskiego, który już w drugiej połowie XIX wieku zapanował

w naszej literaturze niemal wszechwładnie. To pierwsza jego nieśmiertelna zasługa.

Drugą on sam najlepiej określił w tych słowach: «Krajowa literatura więcej osób obchodzić zaczęła, i niektóre domy, dając dobry przykład, dozwoliły sobie, na dziesięć tomów francuskich, kupić dwa polskie przynajmniej i odważyły się kłaść je otwarcie na stolikach salonu». Otóż tymi dwoma tomami były nade wszystko jego własne powieści.

A powieści te, mianowicie w pierwszej epoce jego twórczości, to znaczy przed wyjazdem z kraju przed rokiem 1863, budziły i podtrzymywały ducha narodowego oraz miłość literatury ojczystej, zachęcały do pracy społecznej i krzewiły znajomość przeszłości narodowej, zwłaszcza w kraju zabranym — na Litwie, na Wołyniu, na Podolu, na Ukrainie. To największa ze wszystkich zasług Kraszewskiego.

I dlatego to nie tylko w historii literatury polskiej, ale w ogóle w historii ducha polskiego odegrał on rolę niezmiernie doniosłą. I choćby nawet z czasem zupełnie przestano czytywać jego powieści i choćby nawet sądy o jego twórczości miały wypaść jak najsurowiej, i pomimo że więksi od niego zaćmili go swoim talentem i artyzmem, to jednak z tego stanowiska, jakie raz zajął w historii literatury polskiej i życia polskiego, nie straci go nigdy nikt ani nic. Raz na zawsze pozostanie Kraszewski jednym z najzasłużeńszych pisarzy i obywateli, jakich miała Polska.

ŚMIERTELNY WRÓG GŁUPSTWA

Setną rocznicę urodzin Jana Lama (1838) uczczono — z inicjatywy i staraniem jego bratanka, Stanisława Lama — dwoma wydawnictwami: pięciotomowym wydaniem jubileuszowym *Pism* (1) i tomem pism, nie objętych tym wydaniem (2).

Na treść tego tomu składają się, oprócz przedmowy wydawcy, Stanisława Lama, i autobiografii autora, jego dwa oryginalne utwory powieściowe: *Szklany człowiek* i *Pan komisarz wojenny*, dalej — przekład albo raczej przeróbka *Spisku w Bedford-Row* Thackeray'a (który, obok Dickensa, wywarł niemały wpływ na twórczość Lama), oraz dwa studia z dziejów Rusi średniowiecznej: jedno poprzedzające poemat albo raczej «śpiew historyczny» pt. *Zawichost*, drugie — *Starożytny Dźwinogród i Rożne Pole*. Obydwa te studia są niezmiernie ważne dla charakterystyki zainteresowań naukowych Lama i jego poglądów na łączność «dziejów halickiej i całej przednieprskiej Rusi» z dziejami Polski; poemat zaś o bitwie pod Zawichostem, pisany (w roku 1862) wyraźnie na wzór *Śpiewów historycznych* Niemcewicza, jest wymownym wyrazem przekonania Lama, że

Ziemia ta ruska, z lechicką zbratana,
Tak silnym węzłem z nią się kojarzyła,
Że go już ludzka nie rozerwie siła,

(1) Pisma Jana Lama w pięciu tomach, wydanie jubileuszowe, 1838—1938, przygotował do druku dr Stanisław Lam, wstępem biograficzno-krytycznym poprzedził dr Julian Krzyżanowski. Warszawa, 1938, nakładem Księgarni Wydawniczej Trzaski, Ewerta i Michalskiego. — (2) Jan Lam, *Szklany człowiek* i inne opowiadania. Pisma nie objęte wydaniem jubileuszowym. Zebrał i wydał dr Stanisław Lam. Warszawa, 1938, tymże nakładem.

i do dziś dnia jeszcze nieziszczonego (głównie dzięki nikczemnej polityce austriackiej i pruskiej) marzenia o braterstwie dwóch narodów, przygniecionych «wspólnym nieszczęściem». Ostatnia oktawa poematu brzmi:

Bo tu nie koniec, o, nie koniec pieśni:
O wielu rzeczach miałbym śpiewać jeszcze.
O wielu dziwach nikt prawie już nie śni,
A gdy zechcecie, tu wam je domieszcze,
O, wspólnej Matki synowie boleści!
W księżnicy losów drzemia myśli wieszczę,
Tylko sen ciężki uśpił naród chory,
A duszę jego trapią senne zmory!

Nowela *Pan komisarz wojenny* (1863) jest, według wszelkiego prawdopodobieństwa, osnuta na jakimś rzeczywistym zdarzeniu: wolno mniemać, że jej «bohater», ów «lordowski Farys», który niby to poszedł do powstania styczniowego i, drapnąwszy do Galicji, kazał sobie zadać ranę felcerowi, aby uchodzić za bohatera w oczach i w sercu egzaltowanej i bogatej panny, nie jest postacią zmyśloną. Nie brakło przecie w rzeczywistości takich bohaterów. Uczuciowość Lama bije z tej opowieści bardzo wyraźnie, a to jako uwielbienie dla prawdziwych bohaterów-powstańców i jako pogarda dla tchórzów i szachrajów arystokratycznych, pozujących na patriotów. Humor przemówił tutaj jako bolesna, sarkastyczna satyra.

Inny charakter ma powieść, pochodząca z lat dojrzałych Lama, pt. *Szklany człowiek*, — historia młodego snoba, pozującego na poetę i pieszczącego swój honor, aby się czasem nie stłukł, a będącego w rzeczywistości «safandulą, kandydatem na gruboplaskiego galicyjskiego mosterdzieja, któremu się gwałtem zachciało udawać romansowego bohatera». Jest to, zdaniem Lama, «typ rzeczywisty, iluż bowiem pomiędzy nami takich,... dla których myślenie i działanie jest takim wielkim trudem, iż raczej, aniżeli mu się poddać, wolą stać się igraszką w rękę każdego, który się za nich trudu tego podejmie». Co więcej, twierdzi autor, że «typ szklanego człowieka jest» (w czasach porozbiorowych) «niejako naszym królem-duchem, królem-duchem sprowadzonym do właściwego prozaicznego mianownika». Niechaj wolno będzie powiedzieć, że w twier-

dzeniu tym wpadł znakomity humorysta i niemniej znakomity obserwator życia w przesadę, jak to się często zdarza humorystom i satyrykom. Ale przesada to przelotna: gdyby sąd, że pan Władysław Podborski jest «niejako naszym królem-duchem», płynął z ugruntowanych poglądów autora na polski charakter narodowy, nie traktowałby on swego «bohatera» z tak wesołym humorem, nie pozbawionym wprawdzie uszczypliwej ironii, ale wolnym od tego zgryźliwego sarkazmu, z jakim potraktował «lordowskiego Farysa». Uwydatnia się to najlepiej w zakończeniach tych dwu utworów: *Pan komisarz wojenny*, chociaż olśnił pannę Wandę swoim patriotyzmem, nie ożenił się z nią, albowiem... poszedł do kozy (za co, tego ma się czytelnik sam domyślić), natomiast *Szklany człowiek* tłucze swój honor i rozwiewa swą poetyczność, pojmując w małżeństwo pannę Lalcę, będącą ideałem... prozaiczności, i zostaje... powiatowym marszałkiem, delegatem krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, posłem na sejm i do rajchsratu, «kędy wraz z tylu innymi szklanymi ludźmi... głosuje w myśl polityki rządu». Coś jak gdyby dzisiaj...

*
*
*

Pięciotomowe wydanie jubileuszowe *Pism* Lama jest bogatsze od dawnego, także pięciotomowego (z roku 1885), zawiera bowiem w sobie nie tylko powieści, ale nadto *Rozmaitości i powiastki* (wśród których są przepyszne *Swaty na Rusi*) oraz *Humoreski*. We wszystkich tych utworach (ale nade wszystko w *Wielkim świecie Capowic*, w *Koroniarzu w Galicji* i w *Głowach do poźloty*) humor Lama ukazuje się w całym swoim blasku — nie darmo przepadał za jego powieściami Sienkiewicz i zaprzyjaźnił się z nim podczas swego pobytu we Lwowie (trzecim z wesołej trójki był Bruno Abakanowicz). Współcześni pochłaniali nie tylko powieści Lama, ale i artykuły dziennikarskie, bo i te jaśniały humorem satyrycznym. Potomni także go nie skrzywdzili.

Wkrótce po jego śmierci (1886) ukazał się w *Kraju* Petersburskim obszerny artykuł Józefa Tretiaka, który jego talent satyryczny nazwał genialnym, dodając, że jego «satyra

miała zakres arystofanesowski» i że «nie typy i ogólniki wprowadzała na scenę swojej kroniki, ale osoby istniejące, z całą pełnią cech indywidualnych». Chmielowski w swoim *Zarysie najnowszej literatury polskiej* (1898) nazwał go raz «jednym z najlepszych humorystów naszych», a innym razem, w tejże książce, awansował go nawet na «najznakomitszego naszego humorystę». Bardzo słusznie mówi Chmielowski, że w humorze Lama jest obok śmiechu u ś m i e c h, a nadto «rzuwne uczucie, trzymane na wodzy, a skutkiem ciągłej walki dziennikarskiej zgorzkniałe i przytłumione, które jednak niekiedy wydobywa się na wierzch i swoim łagodnym działaniem mniej przykrymi robi te ciosy, jakie zadało szyderstwo». Zdaniem Tarnowskiego, wśród nowszych pieśni polskich «mało z pewnością było tak udatnych, a w rodzaju wesołym i humorystycznym ani jednej, jak *Panna Emilia* czyli *Wielki świat Capowic*... Brückner nazwał tę powieść «perłą humorystyki polskiej». Szweykowski scharakteryzował Lama jako «niepowszedniego obserwatora naszego życia zbiorowego, człowieka przy tym głęboko uczuciowego, ukrywającego jednak swe oblicze poza ironią, szyderstwem lub humorem».

Lecz specjalne studium o życiu, pismach i talencie znakomitego tego humorysty zawdzięczamy dopiero Julianowi Krzyżanowskiemu, którego fenomenalna erudycja w dziedzinie zarówno dawnej, jak nowszej i współczesnej literatury polskiej (i obcej) walczy o lepsze ze ścisłą metodą naukową i żywym temperamentem pisarskim. Studium to, umieszczone na czele wydania jubileuszowego, posiada bardzo niepospolitą wartość, nie mniejszą z pewnością niż jego monografia o Reymoncie. Scharakteryzował autor nie tylko humor i w ogóle talent satyryczny Lama, ale także strukturę i styl jego utworów, zarówno ich treść, jak jej ujęcie, czyli, jak się dzisiaj mówi i pisze, «podejście» do niej (dobrze, że nie «podłożenie»). Ciasnego, albo, może lepiej, bezmyślnego formalizmu, który w ostatnich czasach zaczął, za przykładem niemieckim i rosyjskim, zachwaszczać naszą naukę historii literatury, nie ma w studium Krzyżanowskiego ani żdźbła; jest za to (co nie jest jeszcze częstym zjawiskiem w naszej nauce) pierwiastek p o-

r ó w n a w c z y — uwydatnienie pokrewieństwa Lama z humorystami obcymi, zwłaszcza angielskimi.

Czy jednak warto było — pytamy teraz — wskrzeszać pisma autora, który się w swoim czasie cieszył ogromną poczytnością, i to nie tylko w Galicji, ale i w całej Polsce, któremu Rusini nawet przyznawali, że jest g e n i a l n y m publicystą, lecz którego pisma, chociaż są tak świetnym zwierciadłem życia Galicji bezpośrednio przed nadaniem i tuż po nadaniu jej konstytucji, dzisiaj — powie może niejeden — przestały być aktualne?

Otóż ten, kto tak powie, nie będzie miał słuszności. Powieści Lama, przynajmniej niektóre, są aktualne do dziś dnia i to dla dwóch przyczyn.

Po pierwsze, Lam jest bardzo niepospolitym humorystą, a humor (jak w ogóle każda postać piękna, czy to wzniosłość, czy wdzięk, czy to tragizm, czy komizm) jest zawsze aktualny. Kogo nie bawi humor Arystofanesa, Rabelais'go, Cervantesa, Szekspira, Moliera, Krasickiego, Fredry, Sienkiewicza, Prusa, Dickensa, Gogola i wielu jeszcze innych wielkich humorystów, ten jest pozbawiony wrażliwości estetycznej. Prawda, do szeregu humorystów wielkich Lama zaliczyć trudno, ale i w jego utworach jest humoru tyle, że czytając je, człowiek uśmieje się dowoli i serdecznie, nie tyle może z komicznych sytuacji, ile nade wszystko z komicznych postaci, które Lam charakteryzuje po mistrzowsku.

Oto np. wielkorządca austriacki miasta Capowice, «głupi Szwab», piszący się dawniej Wenzel Pretzlitschek, później, po nadaniu konstytucji «wiernym narodom» przez Najjaśniejszego i Najwspaniałomyślniejszego Cesarza Franza Josepha, przypominający sobie swe pochodzenie czeskie i podpisujący się Vaclav Precliček, — «domowy Wezuwiusz» ze swoimi kwasami w żołądku i ze swoim przekleństwem «Himmelkreutzdonnerwetter-sacramentkrucifix nochamal!», wierny poddany austriacki, w którym nazwisko hrabiego Gołuchowskiego budziło niesłychaną grozę, a później, kiedy «Seine k. k. apostolische Majestät» raczyła tegoż Gołuchowskiego mianować «zum Stathal-

ter der Königreiche Galizien i Lodomerien», cieszący się serdecznie, «že ein Landeskind został namiestnikiem» i twierdzący, że «ich bin eigentlich auch ein Pole, Pantoprotschou»; dawniej węszący wszędzie «Umsturzpartei», prześladowający i tępiący wszystko, co polskie, zaciekle (i strasznie głupi) germanizator, później wymawiający córce, że mu nie przypomniła «zaprenumirował tego *Czas* albo *Gazeta Narodowa*», bo przecie «das sind ja recht anständige Blätter» itd. itd. — to jedna z najkomiczniejszych figur w powieściopisarstwie polskim; talent satyryczny Lam święci w jej charakterystyce bodaj czy nie największy tryumf, i to zarówno pośrednio — w tym, co ta postać mówi i robi, czuje i myśli, jak bezpośrednio — w sposobie, w jaki go sam autor od siebie charakteryzuje, mówiąc np., że «mniej lojalny spostrzegacz byłby może porównał twarz pana Precliczka do fizjonomii gończaka, który, zgubiwszy na ziemi trop zająca, szuka go w powietrzu i kiwa ogonem dla objawienia trapiącej go wewnątrz niepewności»; biedny pan Precliczek nie wiedział, gdzie się podziła owa «Umsturzpartei», którą śledzić i wylapywać było jego głównym obowiązkiem, zanim Najwspaniałomyślniejszy Monarcha... nie dostał w skórę pod Sadową.

Lecz humor Lama przemawiał nie tylko jako wesół śmiech, ale często jako ironia, i to nieraz bardzo zgryźliwa, a nawet... bolesna, bo płynąca ze smutku; jako przykład może tu służyć *Koroniarz w Galicji*, powieść, w której Lam, sam będąc uczestnikiem powstania 63 roku, nie tylko ośmieszył, ale i napiętnował nieszczerzy i fałszywy, teatralny i sztuczny patriotyzm «cucyglarów» (tj. uciekinierów) oraz całej jednej «zacnej, światłej i niezależnej» części mieszkańców Galicji, «tego również politycznie dojrzałego, jak gruntownie lojalnego kraju». Można się nie zgadzać ze stanowiskiem Lama wobec powstania, które było nieszczęsnym, oplakany w swoich skutkach błędem politycznym, ale komu w piersiach bije polskie serce, ten nie może nie wyczuć własnych szlachetnych i szczerych uczuć Lama, nade wszystko jego bólu na myśl, że powstanie, mające na celu zbawienie narodu, stłumił wróg «w roku Zbawienia 1864». W tych kilku już nie ironicznych, ale straszliwie sarkastycznych słowach («rok Zbawienia» w od-

niesieniu do roku strasznej klęski!) — czy nie kryje się oprócz bólu patriotycznego ten sam bunt, który z serca Mickiewicza wyrwał po upadku powstania 31 roku słowa: «Kłamca, kto ciebie nazywał miłością!»?

Lecz nie tylko humor (to wesoly i pogodny, to bolesny i ironiczny) sprawia, że utwory Lama są w niemalej mierze do dziś dnia aktualne. Aktualność nadają im także same tematy, ożywione tym humorem, a dające się skupić w jednym słowie: «dzikość» — tak jak ten wyraz pojmował wielki humorysta Ignacy Krasicki, tj. jako brak kultury moralnej, estetycznej, ale przede wszystkim umysłowej: «Złych jest mnóstwo, a głupich liczba bez rachuby».

Lam był tego samego zdania: niemiłosiernie ośmieszał nade wszystko głupotę, wcieloną czy to w owego Precliczka, czy w pomniejszych c. k. urzędników, czy w królewaków w rodzaju czeladnika fryzjerskiego Artura Kukielskiego, alias majora Jana Ware, alias księcia Czetwertyńskiego. Ośmieszał oportunizm, egoizm, brak patriotyzmu i w ogóle ideałów życiowych, tytułomanię, płaszczenie się przed silniejszym, bezmyślny i wstrętny lojalizm wobec możnych tego świata, głupi konserwatyzm — długo byłoby wyliczać wszystkie objawy głupoty i niegodziwości ludzkiej, objawy, jeśli nie nieśmiertelne, to do dziś dnia jeszcze żywe i mające przed sobą jeszcze długą, długą przyszłość.

Czasem wpada Lam w karykaturę, ale jej rdzeń jest prawdziwy. Oto pewien «pan adiunkt oszczędzał co roku 1.500 zlr. ze swojej pensji, wynoszącej 800 zlr. rocznie»: czy dzisiaj należy to już do bezpowrotnej przeszłości? Albo: Mykita «dopuścił się obrazy honoru, połączonej z odrąbaniem głowy swego teścia»; sąd skazał go za jedno i za drugie, ale pan Precliczek orzekł w apelacji, że «obraza honoru była głównym czynem karygodnym w tym wypadku, a odrąbanie głowy itp. szczegóły były tylko przypadkowymi akcesoriami właściwej istoty czynu»; gdyby odrąbanie głowy sędziowie poczytali za główne przestępstwo, a nie za «ein Nebenumstand», byliby może «kwieskowani», a przecie posada, a cóż dopiero awans, to grunt, uczciwość zaś i niezależność sędziowska to tylko «Nebenumstand...»

A satyra na totalizm czy nie jest do dziś dnia aktualna? Czy i dzisiaj idiotyczne teorie totalistyczne nie chcą prowadzić narodu «do takiego błęgiego stanu błogosławieństwa, w którymby państwo od kolebki do grobu opiekowało się każdym ze swoich obywateli, wyznaczało mu, co ma robić o każdej porze dnia, co ma jeść, kiedy ma iść spać, a kiedy wdziewać świeżą bieliznę»; chodzi tu «o nie mniej i o nie więcej jak o przemienienie całej kuli ziemskiej w jeden olbrzymi dom poprawy i o zmuszenie służalczego rodu ludzkiego, by był wolnym i równym według modelu, przez najpierwszych i największych filozofów obmyślanego».

Nieraz także drwi sobie Lam z naszej pseudoarystokracji, z tych głupców, którzy nie mogą żyć bez tytułu hrabiego, chociaż do tego żadnego polskiego prawa nie mają, z towarzystwa, które się składa «z jednego młodego prawie-hrabiego, z jednego młodego po-wujence hrabiego, z dwóch młodych prawie-pól-podhrabiów». Do dziś dnia są u nas takie towarzystwa i tacy głupcy.

Podobnych aktualności znajdzie w powieściach Lama całe mnóstwo, i to właśnie jest, obok talentu humorysty, drugim powodem, dla którego warto było te powieści wznowić — dla uczczenia setnej rocznicy urodzin pisarza, który był śmiertelnym wrogiem nieśmiertelnego głupstwa.

O SIENKIEWICZU

Z CUDZYCH OPOWIADAŃ I WŁASNYCH WSPOMNIEN. Na słynnych w Warszawie wieczorach literackich u Deotymy Sienkiewicz bywał nie tylko jako «znakomitość literacka», ale i jako jej krewny. Nie przepadał jednak za nimi, śmieszył go bowiem, a najczęściej raził, ów nimb, jakim się Deotyma sama otaczać lubiła i jakim ją otaczali jej wielbiciele; irytował go sztuczny patos jej poezji (i w ogóle całej jej osoby). I nie dziw, bo przecie kto miał szczęście znać Sienkiewicza, ten wie, że był on uosobieniem prostoty i naturalności. Do tego — później — Deotyma pogniwiała się na niego, uroiła sobie bowiem, że powieść *Na polu chwały* Sienkiewicz pisze po to, żeby zaćmić *Sobieskiego pod Wiedniem*.

Daleko wcześniej jeszcze (na lat kilka czy nawet kilkanaście przed *Trylogią*) na jednym z owych wieczorów literackich, podczas kolacji, powstała «natchniona wieszczka», ujęła «kielich» w «drżące dłonie», otworzyła «natchnione usta» i wniosła «zaimprovizowany» toast na cześć obecnego księcia Lucjana Woronieckiego, uczestnika powstania listopadowego:

Piękną mitrę mieć na głowie,
Pięknie jeszcze oręż w ręce,
Więc, panowie, wnoszę zdrowie
I rycerskie i książęce.

Na «uczcie» był obecny także dobry znajomy Deotymy, bankier Wolff. Sienkiewicz, wysłuchawszy z uśmiechem toastu, nachylił się do sąsiada i szepnął mu do ucha:

Piękną krymkę mieć na głowie,
Pięknie, kto w procentach zdziera,
Więc, panowie, wnoszę zdrowie
Wolffa — żyda i bankiera.

Kiedys, w roku jubileuszu Sienkiewicza, zgromadziło się u niego kilku literatów warszawskich. Pomiedzy innymi była mowa o romantyzmie polskim. «Romantyzm — powiedział Sienkiewicz — był tym w naszej literaturze, czym legiony w historii: ocalił duszę polską». Aforyzm ten, trochę uzupełniony, posłał później Sienkiewicz do redakcji *Świata*, jako odpowiedź na ankietę, czy romantyzm był zjawiskiem dla narodu pożytecznym. Oto brzmienie całkowite aforyzmu, wydrukowane w nr. 37 (r. 1912): «Romantyzm był tym w naszej literaturze, czym legiony w historii: dał świadectwo narodowemu życiu, rozniecił wielki płomień Ojczyzny i duszę polską uczynił niezłomną». Warto dodać, że i mesjanizmu bynajmniej nie poczytywał Sienkiewicz za zboczenie umysłowe, przeciwnie, widział w nim zdrowe ziarno. Nie wierzył wprawdzie, żeby Polska była, czy też miała być w przyszłości, «Chrystusem narodów», ale wierzył mocno, że każdy naród ma swoje powołanie, a tym bardziej polski. Dlaczego tym bardziej? Dlatego, że naród polski Sienkiewicz poczytywał za najlepszy ze wszystkich na bożym świecie. Słowa Zagłoby, żeby się «z żadną inną nacją nie pomieniał», zawierają w sobie jego własny pogląd i jego własną wiarę. I można być pewnym, że na dzisiejszych potwarców narodu polskiego wybuchnąłby oburzeniem (nie za to jedno).

Niebawem po powrocie z Ameryki wpisał Sienkiewicz do albumu swej siostrzenicy, panny Wiesławy Lelewełówny, czterowersz, którego złośliwość, bardzo zresztą niewinna, zrozumie ten tylko, kto pamięta, z jak wielkim apetytem stary Andrzej Edward Odyniec (zmarły dopiero w roku 1885) obcował młode panienki:

Lubisz podobno w *Hani* chmielową altanę:
Bądź więc Hanią, ja Mirzy chętnie ci dostanę.
Jest nim poeta z wieńcem laurowym na głowie,
Winien zwać się Cmoktalski, Odyniec się zowie.

Kiedys (w r. 1900), na pytanie, którego z wielkich poetów najczęściej czyta, odpowiedział mniej więcej tak:

«Słowackiego, bo go najwięcej lubię. Mickiewicza kocham i uwielbiam, ale go codziennie czytać nie potrzebuję, bo go noszę w duszy i we krwi».

— A Krasińskiego?

«Krasińskiego nie mogę często czytać — uznaję jego wielkość, ale cóż, kiedy ja nie lubię koturnów».

Z utworów Słowackiego największym ukochaniem Sienkiewicza był *Beniowski* (i to zarówno pieśni, ogłoszone drukiem za życia poety, jak pośmiertne, których echa słyhać w *Ogniem i mieczem* i w *Panu Wołodyjowskim*). Na utwory epoki mistycznej patrzył w młodości bardzo krytycznie. W *Genezis z ducha*, «tak w jej treści, jak i w formie», widział «tylko głęboki upadek tego potężnego geniuszu, bezwarunkową ruinę umysłu i wyobraźni — tym smutniejszą, im świetniejszy był ów umysł i wyobraźnia». Słowa te pisał w roku 1873, to znaczy jeszcze w epoce swego «pozytywizmu». Z czasem jednak, nigdy nie poczytując *Genezis z ducha* za arcydzieło, zachwycał się jej poszczególnymi ustępami, nade wszystko jej początkiem.

O Fredrze powiedział kiedys: «Jest to chyba jakiś obłęd, że się go u nas nie nazywa wielkim poetą».

Z poetów po r. 1863 lubił przede wszystkim Asnyka — mnóstwo jego wierszy umiał na pamięć i napisał o nim śliczne *Wspomnienia z nad morskiego brzegu*. Z utworów Konopnickiej wielce sobie upodobał pieśni *Na fujarce*, *Z łąk i pól*, *Piosenki i pieśni*.

Poetów «Młodej Polski» nie lubił — z wyjątkiem Kazimierza Tetmajera. Wielkości poezji Wyspiańskiego nie uznawał; ale chylił głowę przed jego patriotyzmem, czemu dał krótki, ale bardzo wymowny wyraz po jego śmierci.

Z dawnych powieściopisarzy polskich najbardziej lubił Kaczkowskiego. Kiedy piszący te słowa, przygotowując do druku *Wybór powieści* Kaczkowskiego, radził się Sienkiewicza, które powieści «nieczujowskie» możnaby pominąć, usłyszał odpowiedź: «Stanowczo — żadnej».

Z powieściopisarzy obcych wręcz uwielbiał Dickensa. Kiedys (w lecie 1898 r.) jechałem z Sienkiewiczem z Paryża do Ploumanach (w Bretanii). W torbie podróżnej miał te cztery książki, w których się często rozczytywał: *Odyseję* (w przekładzie Siemieńskiego), *Pamiętniki Paska*, *Hamleta* i *Dawida Copperfielda*. Czym był dla niego Szekspir, o tym najlepiej świadczy artykuł, napisany podczas wielkiej wojny, pt. *Dlaczego mogłem czytać Szekspira?*

* * *

Z krytyków polskich najczęściej cenil Sienkiewicz Spasowicza, pomimo że w poglądach literackich nie zgadzał się z nim bardzo często, a w poglądach politycznych — nigdy. Poznawszy go osobiście w Warszawie, polubił go serdecznie. Raz powiedział o nim: «Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, któryby w takim stopniu, co on, był mieszaniną głębokiego myśliciela z naiwnym dzieckiem»; — miał tu na myśli «ugodową politykę» Spasowicza, którą poczytywał za szczyt naiwności politycznej i za wysoce dla społeczeństwa szkodliwą i upokarzającą. Często żałował Prusa, że go «ugodowcy warszawscy» wciągnęli w roku 1897 do swojej akcji.

Tarnowskiego, chociaż jego poglądów politycznych także nie podzielał, niezmiernie szanował, — słowa, które wypowiedział na jego obchodzie jubileuszowym w Krakowie, wypłynęły z głębi serca.

O Chmielowskim wyrażał się zawsze z szacunkiem, ale z większą jeszcze pobłażliwością, i śmiał się serdecznie, ilekroć sobie przypominał, że po ukazaniu się *Tatarskiej niewoli* Chmielowski wydał wyrok, iż «dziedzina powieści historycznej jest dla Sienkiewicza zamknięta...»

* * *

«Kocham was, me dzieci wieszcie...»

Kochał je nie tylko Mickiewicz, kocha je każdy twórca, o ile tylko jest twórcą prawdziwym, o ile jego «dzieci wieszcie» wyszły z «wnętrzości» jego duszy. Nie wszystkie jednak twory swoje darzy poeta jednakową miłością, a czasem bywa tak, że zrazu je kocha, a potem kochać przestaje. Wiadomo

np., że Mickiewicz w okresie towianizmu przestał kochać *Wal-lenroda*. Sienkiewicz z nowel swoich kochał nade wszystko *Janka i Latarnika*, bardzo lubił nowelę *Co się raz stało w Sydonie?* wyraził się nawet kiedyś: «To mi się bardzo udało». Z wielkich swoich powieści najbardziej kochał *Ogniem i mieczem*, tom pierwszy *Pana Wołodyjowskiego i Krzyżaków*. Z poszczególnych postaci ogromnie lubił Zagłobę, Wołodyjowskiego, Petroniusza; kochał Basię i Marynię; nie lubił Połanieckiego, a zwłaszcza Płoszowskiego; rozgniewał się nawet raz, kiedy go zapytał, czy to prawda, że w Płoszowskim nakreślił swój własny wizerunek, — i odpowiedział: «Chyba ja nie jestem takim życiowym niedolę, jak Płoszowski».

* * *

W liście otwartym do redakcji *Rusi* (z roku 1905), piętnującym szkołę rosyjską w Polsce, czytamy pomiędzy innymi te słowa: «Mój *Pamiętnik nauczyciela poznańskiego* jest przeniesiony w stosunki poznańskie tylko dlatego, że inaczej nie byłaby go puściła warszawska cenzura».

Na podstawie powyższych słów wydawcy tej noweli (w *Bibliotece uniwersytetów ludowych i młodzieży szkolnej*, nr 34) zaopatrzyli ją w komentarz tej treści, że Sienkiewicz miał tutaj na myśli szkołę rosyjską w Królestwie Polskim, że jednak, licząc się z warunkami cenzury, «przeniósł akcję opowiadania na teren zaboru pruskiego». Wiadomość ta jest nieścisła: możnaby na jej podstawie mniemać, że Sienkiewicz od razu napisał nowelę, której akcja odbywała się w Poznańskim, ale że, pisząc ją, miał na myśli szkołę rosyjską w Polsce.

W rzeczywistości było inaczej. Pamiętam doskonale (byłem wówczas, w zimie roku 1879, uczniem klasy czwartej gimnazjum V w Warszawie), jak jednego wieczoru, w domu swej ciotki Aleksandry z Cieciszowskich Dmochowskiej, Sienkiewicz czytał w szczupłym gronie bliskich krewnych nowelę pt. *Z pamiętnika korepetytora warszawskiego*; i nigdy nie zapomnę, jak olbrzymie wrażenie na słuchaczach (przeważnie młodziutkich) ta nowela wywarła, tym większe, że jej autor był obdarzony przedziwną zdolnością modulacji swego cichego, ale donośnego i przenikającego do duszy głosu. Skończywszy

czytać, Sienkiewicz odezwał się mniej więcej w te słowa: «O tym, żebym mógł to drukować w Warszawie, mowy nie ma; będę musiał przenieść Michasia do Poznania — może się nie polapią i puszcza». I tak się stało: głupia cenzura warszawska nie polapała się i puściła przerobioną nowelę, która się po raz pierwszy ukazała w warszawskim dwutygodniku *Niwa* (w tymże roku) pt. *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*. I pod tym tytułem drukowano ją we wszystkich zbiorowych wydaniach *Pism* Sienkiewicza, zapominając, albo raczej nie wiedząc, że redakcja pierwsza była drukowana w *Gazecie Lwowskiej* tegoż 1879 roku (nr. 236, 237 i 238) pt. *Z pamiętnika korepetytora* (z pominięciem «warszawskiego»), podpisana trzema wielkimi iksami (XXX). Odkrycia tego dokonał — dopiero w osiem lat po śmierci Sienkiewicza — Ferdynand Bostel — w *Słowie Polskim* 1924 r., nr. 294 (w artykule *Z twórczości Henryka Sienkiewicza*). Tę właśnie pierwszą redakcję czytał Sienkiewicz w gronie swoich krewnych w roku 1879.

* * *

Było to w redakcji *Słowa*, na jesieni w roku 1894. Na łamach *Biblioteki Warszawskiej* drukowano *Rodzinę Połanieckich*. Pewnego dnia wszedł do pokoju redakcyjnego znakomity publicysta Józef Kenig i zastał tam Sienkiewicza, jak z uśmiechem przyglądał się Prusowi i Donimirskiemu, grającym zapamiętałe w szachy. Dla starego Keniga żywił Sienkiewicz wręcz wyjątkową sympatię — wzajemną. Kenig (kto go znał, ten wie, że nie mogło być inaczej) mówił mu «ty», jak wszystkim młodszemu, o ile ich tylko lubił. Odezwał się tedy do niego w te mniej więcej słowa:

«Uażasz, Henryku, czytałem wczoraj twój opis śmierci Litki — i, uążasz, troszkę ten... troszkę płakałem. A to u mnie dużo! Bo uążasz, ja nieraz płaczę, kiedy czytam Mickiewicza, ale nie spodziewałem się, że i ty... Ale, wiesz, ten trzeci osiel, Słowacki, którego ty tak kochasz, to, uążasz, ja go nie bardzo...»

Sienkiewicz musiał sobie ten komplement Keniga zapamiętać, skoro z niego skorzystał w *Rodzinie Połanieckich*, wkładając w usta starego Zawilowskiego te słowa:

«Ho! to może i mój krewniak dorobi się na wierszach...

Niech pisze, niech pisze! Ja mu tego nie będę brał za złe... Pan Zygmunt był szlachcic i pisywał — i to, panie, nie od parady. Pan Adam był także szlachcic — i głośno o nim — głośniejsze niż o tym trzecim furfancie, co to się bawił w demokrację».

* * *

Jedną z najznamienniejszych i najpiękniejszych cech stylu Sienkiewicza jest prostota, będąca owocem nie tylko ujmującej, nadzwyczajnej, bajecznej prostoty człowieka, ale i świadomej pracy artystycznej. Sam Sienkiewicz zdawał sobie z tego sprawę doskonale. W roku 1898, w lecie, bawiłem z Sienkiewiczem u jego przyjaciela Brunona Abakanowicza na wyspie Ploumanach w Bretanii. Sienkiewicz pracował wówczas w dalszym ciągu nad *Krzyżakami* — zamykał się w swoim pokoiku na cztery spusty i pisał od wpół do dziewiątej rano do południa, po czym wychodził na plażę, często błądy i — dosłownie — ze spotniałym czołem. Otóż, zapytany, co go tak zmęczyło, odpowiedział: «Praca nad prostotą stylu».

* * *

Wkrótce po swoim jubileuszu (1900) powziął Sienkiewicz zamiar napisania powieści historycznej na tle epoki Juliana Apostaty. Lecz pisać jej nie zaczął. Oto co mi powiedział kiedyś, w końcu r. 1901 czy też na początku 1902: «Już stanowczo powieści o Julianie Apostacie pisać nie będę. Chciałem, podobnie jak w *Quo vadis*, wyzyskać kontrast pomiędzy światem pogańskim a chrześcijańskim, a tymczasem teraz, kiedy te czasy poznałem, jasno widzę, że moralność ówczesnego ogółu chrześcijan nie stała wyżej od moralności pogan. A zresztą powiedz sam, czy ja mogę darować ówczesnym chrześcijanom, że niszczyli i palili cudowne świątynie greckie?»

* * *

Czesław Jankowski w artykule *Ze wspomnień osobistych o Sienkiewiczu* (w miesięczniku warszawskim *Sfinks* r. 1917) opowiada, że tuż po wybuchu wojny r. 1914 spotkał się z Sienkiewiczem w Warszawie, w tramwaju, i że po krótkiej rozmowie pożegnali się gorącym uściskiem dłoni. Wszystko to —

zmyślone od A do Z: wybuch wojny zastał Sienkiewicza w Obłęgorku, skąd wyjechał prosto do Krakowa, z Krakowa do Wiednia, a z Wiednia do Szwajcarii. W przejeździe przez Kraków na zapytanie jednego z dobrych znajomych warszawskich, bawiącego wówczas w Krakowie (Ign. Balińskiego): «Komu pan życzy zwycięstwa?», odpowiedział krótko: «Diabłu samemu, byleby pobił Niemców».

* * *

SADY SIENKIEWICZA O NIEMCACH I PRUSAKACH.

Kto zna wszystkie dzieła Sienkiewicza, to znaczy nie tylko powieści, ale także całe mnóstwo artykułów literackich i publicystycznych (które się niebawem ukażą w wydaniu zbiorowym jego pism, nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie), — ten dopiero będzie sobie mógł wyrobić pojęcie o jego żywiołowej ciekawości intelektualnej i w ogóle o niezmiernie szerokim zasięgu jego umysłowości; śmiało powiedzieć można, że przez całe niemal swoje życie trzymał on rękę na pulsie życia umysłowego, moralnego, społecznego, politycznego wszystkich cywilizowanych narodów. Najżywiej zajmowało go życie starożytnych Greków i Rzymian, a z narodów nowożytnych (oprócz życia polskiego) — życie Francji, Anglii i Ameryki, jak świadczą o tym różne *Listy z podróży* oraz rozbiory i krytyki literackie, pochodzące przeważnie z wczesnej epoki jego twórczości.

Wśród nich nie brak także artykułów o literaturze niemieckiej, o życiu niemieckim i o charakterze narodu niemieckiego.

Literaturę niemiecką (od XVIII wieku) znał dobrze, zwłaszcza powieść nowoczesną; miał nawet tyle cierpliwości, że od początku do końca przeczytał zabójczo nudną *Aspazję* Hammerlinga. Czytał także powieści historyczne Dahna, ale mówił o nich z pobłażliwym uśmiechem; wołał Ebersa. Powieściom Spielhagena zarzucał brak realizmu w charakterystyce ludzi, ale nazwał go «mistrzem w kreśleniu obrazów natury». Lubił nowele Heysego, ale słusznie zarzucał im przewagę wykwintnej pracy literackiej nad talentem twórczym; o jego zaś tragedii *Sabinki* wyraził się, że

«...w dzisiejszych czasach czytelnicy nie lubią takich tematów i bodaj gotowi sądzić, że ów pedagog, który pensjonarkom jako temat do ćwiczenia zadał: «List młodej Sabinki do matki na drugi dzień po porwaniu», postąpił słuszniej, niż gdyby na tym wypadku osnuł tragedję».

Księga pieśni Heinego budziła w Sienkiewiczu zachwyt: nazwał ją kiedyś «wielkim kodeksem miłości, kroniką życia z chwili, gdy ono coś warte, pieśnią naprawdę echową, bo słowom jej odpowiada echo we wszystkich sercach młodych, tkliwych, kochających».

Goethego podziwiał, ale, rzecz ciekawa, nie kochał go tak, jak Schillera, nie tylko jako wielkiego poetę, ale jako szlachetnego idealistę i burzyciela podłości ówczesnych książąt niemieckich, ich potwornego egoizmu, kryjącego się «pod złotem, pudrem i koronkami, pod maską czy konserwatyzmu, czy modnego liberalizmu, pod przepychem i świetnym polorem dworskim».

«Zbrojny większym od innych geniuszem, najsilniej wstrząsa ówczesną społecznością i najpotężniej uderza toporem w pień drzewa, które podrebywali przed nim inni... Zrozpaczone serce poety druzgoce, burzy, rzuca palące się głównie w mieszkania ludzkie, rozbija więzienia państwowe, depce stosunki towarzyskie, kruszy podstawy religijne, rozrywa węzły rodzinne i w nadmiarze rozpaczki wzywa samo niebo na sąd przed zbolale serca ludzkie, owo niebo, co zawsze równie głębokie, błękitne, spokojne, zawsze również zatopione we własnej wielkości, zdawało się spoglądać z godną Brahmy obojętnością na nędzę ludzkiego żywota... Pod owym negatywizmem, wywołującym namiętne okrzyki na usta poety, leży cały nieprzebrany ocean miłości dla ludzi;... usta poety wyrzucają płomienie, a na dnie jego serca leżą lzy».

Lecz przy całym swoim zachwycie dla Schillera stwierdzał jednak, że w swoich pierwszych utworach jest on podobny do swego Karola Moora, który został rozbójnikiem z miłości do ludzi, że i on, jak Karol Moor, «niszczy, ale nie buduje» (1).

W roku 1878 jeździł Sienkiewicz, jako korespondent *Gazety Polskiej*, na wystawę powszechną do Paryża. Niemcy błyszczeli na niej swoją... nieobecnością, i ta właśnie ich nieobec-

(1) Pisma, tom 79, wydanie Tygodnika Ilustrowanego, 1906.

ność, wraz ze wspomnieniem o ich obecności na niedawnej wystawie w Filadelfii, dała mu pochop do wypowiedzenia kilku słów o głównym kierunku kultury cesarstwa niemieckiego:

«Była wystawa w Filadelfii; cóż na nią Niemcy posłali? Oto geniusz narodu niemieckiego streścił się w Kruppie i pośród dzieł przemysłu, nauki i sztuki figurował w postaci dział Kruppa, granatów, lawet, iglicówek. Inne narody chwaliły się pomysłami, mającymi na celu polepszenie życia — Niemcy pomysłami, mającymi na celu śmierć i bójanie ludzi hurtownie».

A miał tu Sienkiewicz na myśli nade wszystko Prusy i ich hegemonię po wojnie 1870—71 roku. Warto jeszcze z jego korespondencji przytoczyć te słowa:

«Prusy pragną się powiększyć, zabrać taką a taką prowincję sąsiedniego państwa, więc czyhają na nią, a gdy się zdarzy stosowna pora, to ją łapią. We Francji przeciwnie: przemawia jakaś idea, ogólnoludzka, nawet w wojnach... Tu każdy fakt (inaczej niż w Prusach) «ma swoją wewnętrzną ludzką duszę... nie tylko francuską... a przy tym każdy jest zapowiedzią, lub nawet często wcieleniem jakiegoś zwrotu w umysłach i dążeniach całego świata... Choćby się zgodził na tę rzecz wątpliwą, że filozofowie niemieccy są głębsi, a poeci niemieccy więksi od francuskich, to wszyscy, razem wzięci, są w takim stosunku do ostatnich, w jakim teoria jest do praktyki. Wolter nie był wielkim poetą, ani jednym z najgłębszych filozofów, ale jest czynem, jest praktyką, jest wszczepieniem w życie pewnych kierunków myśli, jest reformatorem i działaczem. Podobną cechę nosi cała działalność umysłowa francuska... Tego znaczenia i tego ogólnoludzkiego charakteru cywilizacji nie odbiorą Francji ani zwycięstwa pruskie, ani nieszczęścia polityczne»...

W roku 1883 Sienkiewicz zerwał z publicystyką i oddał się prawie wyłącznie twórczości powieściowej. Można by naturalnie i z powieści historycznych, nade wszystko z *Krzyżaków*, wysnuć wnioski, dotyczące jego sądu o historii i o charakterze Niemców w czasach dawnych. Ale tutaj chodzi nam nie o czasy dawne, tylko o współczesność.

Trzeba więc przypomnieć sąd Sienkiewicza o haniebnej ustawie, powziętej przez sejm pruski o wywłaszczeniu; nazwał ją jawnie i głośno — w przedmowie do swej ankiety, rozesłanej do wszystkich cywilizowanych krajów —

«nie tylko zbrodnią, lecz i niezmiernym błędem politycznym, przez który rząd pruski wyrządził szkodę ludzkości i krzywdę własnemu narodowi».

Jeszcze wcześniej, z powodu haniebnego wyroku w sprawie katowania dzieci polskich we Wrześni, ogłosił drukiem odezwę, w której czytamy pomiędzy innymi te słowa:

«Od czasów Fryderyka II i jeszcze dawniejszych polityka pruska była nieprzerwanym ciągiem zbrodni, przemocy, podstępów, pokory względem silnych, tyraństwa względem słabszych, kłamstwa, niedotrzymywania umów, łamania słów i obłudy».

W roku 1905 tygodnik paryski *Le Courrier Européen* ogłosił ankietę *Ce qu'on pense de l'Allemagne*. Odpowiedź Sienkiewicza — w przekładzie polskim — podała *Gazeta Warszawska* w tymże roku, w numerze 259. Ponieważ wydawca *Pism zapomnianych i niewydanych* przeoczył (swoim zwyczajem) tę odpowiedź, podajemy ją w całości.

Gdybym znał cokolwiek, co byłoby pożytecznym dla mojej Ojczyzny, lecz szkodliwym dla Europy i dla rodzaju ludzkiego, uważałbym to za występne.
Montesquieu.

«Należę do tych, którzy twierdzą, że idea Ojczyzny w umyśle i sercu wszelkiego człowieka zajmować winna miejsce naczelne; mimo to nie waham się przytoczyć powyższych słów Monteskiusza, ponieważ ustalają one w sposób stanowczy i logiczny granicę, do której iść winno uczucie narodowe. Trzeba kochać Ojczyznę przede wszystkim i nad wszystko inne, myśleć o jej szczęściu, lecz zarazem pierwszym obowiązkiem prawdziwego patrioty jest dbać o to, żeby idee jego Ojczyzny nie stały w sprzeczności ze szczęściem całej ludzkości, lecz przeciwnie żeby tworzyły jedną z jego podstaw. Tylko przy tych warunkach istnienie, rozwój i wielkość naszej Ojczyzny interesować będą całą ludzkość. Innymi słowy, dewizą każdego patrioty winny być słowa: «Przez Ojczyznę do ludzkości», nie zaś «Dla Ojczyzny przeciw ludzkości».

Właśnie w ten sposób pojmowaliśmy Ojczyznę my, Polacy, właśnie w ten sposób kochaliśmy ją. I oto dlaczego przyszłość jest nasza, bo Polska — to sprawiedliwość, to idea wolności, to prawo do życia równe dla wszystkich, to rozwój zasad humanitarnych.

Czy można też samo powiedzieć o Niemczech? Nie! I nie dla tego, aby dusza niemiecka, jako taka, nie była zdolna do wytwarzania i upra-

wiania wzniosłych idei. Naród, który wydał Goethego i Schillera, dowiódł dostatecznie, że zdolność taką posiada. Lecz dziś ta dusza niemiecka jest przez Prusy włoczona w okowach. Idealem, który jej narzucono, jest siła i bogactwo. Idea Ojczyzny niemieckiej na tem wyłącznie polega, aby nienasycony żołądek trawił jak najwięcej i aby spokój trawienia przez silną straż był ochroniony. Poza tym — nie!

Otóż to nie wystarcza.

Dla usprawiedliwienia swego istnienia, oprócz pieści i chleba, trzeba mieć jeszcze jakąś ideę moralną. Potędze dzisiejszych Niemiec zbywa całkowicie na wszelkiej podstawie moralnej. Stąd zaś wynika, że rozwój takiej potęgi nie tylko nie leży w interesie ludzkości, lecz znajduje się z nią w sprzeczności. Pijawka, której cała racja bytu polega na ssaniu krwi innych istot, jest tylko nieszczęściem dla swego otoczenia. I oto dlaczego Niemcy wszędzie i u wszystkich budzą nienawiść. Jest to w świecie całym jedyny naród, który wcale nie ma przyjaciół; naród zaś odosobniony nigdy nie będzie dosyć silnym, aby, będąc przyczyną powszechnego nieszczęścia, mógł znieść nacisk powszechnej nienawiści.

Taki jest obecny stan sprawy. Jaka będzie jej przyszłość — nie podejmuję się przesądzać. Będzie ona zależała od tego, czy dusza niemiecka zwycięży duszę pruską, czy będzie odwrotnie».

Artykuł ten (w oryginale francuskim) przedrukowało, już podczas wojny, czasopismo *L'Art et les Artistes* pod tytułem *La Pologne immortelle* (w zeszycie marcowym r. 1916). Warto było przypomnieć istnienie tego artykułu, ażeby znikły wszelkie wątpliwości, po czyjej stronie było serce Sienkiewicza podczas wojny.

W roku 1910, kiedy zaczęły się debaty, czy należy obchodzić rocznicę bitwy pod Grunwaldem, czy też nie (aby nie ściągać na zabór pruski nowych prześladowań), ukazała się w *Gazecie Warszawskiej* odezwa Sienkiewicza, piętnująca ewentualne «zaniechanie obchodu rocznicy grunwaldzkiej... wprost narodowym grzechem».

«Niewątpliwie należy liczyć się z położeniem naszych braci pod zaborem pruskim..., ale trzeba również pamiętać, że hakatystów nie przejednamy nigdy, i zważać na nich nie warto, gdyż oni wszelkie czyny nasze wezmą za wyzwanie — a brak czynów za dowód, że polityka ich jest owocna; inni natomiast, uczciwi Niemcy, nie zdołają zapewne oprzeć się myśli, że i oni obchodzą zawsze wielkie rocznice swych zwycięstw, a nie obchodziliby ich tylko w takim razie, gdyby ich dusze

spodlały, a patriotyzm wysechl. Ci z nich, którzy znają historię nie tylko z hakatystycznych gazet, może sobie nawet przypomną, że armię krzyżacką pod Grunwaldem rozgromili wprawdzie Polacy, ale że załgady Zakonu krzyżackiego w Prusach dokonali margrabiowie brandenburscy...»

Z lat przedwojennych pochodzi także bajka Sienkiewicza pt. *Kwiaty i krzemienie* — o «brandenburskiej świni», co to chciała zorać ryjem «polską grzędę», aby założyć «nowe państwo świńskie» w tych stronach; ale cóż, w grzędzie było tyle krzemieni, że ryjającej świni ryj pękł na dwoje.

...Wówczas z wstydem wraca
I tak rzecze do prosiąt: Kinder! próżna praca:
Pyszne kwiecie tej ziemi łatwo wprawdzie ginie,
Ale krzemienie zmożą nawet pruską świnię.

POŁONIA AMERYKAŃSKA W HOŁDZIE SIENKIEWICZOWI. Dwudziestą rocznicę śmierci Sienkiewicza uczciła polska młodzież amerykańska, zjednoczona w Związku Polskich Kółek Literacko-Dramatycznych w Ameryce, nie tylko uroczystościami w różnych miastach Stanów Zjednoczonych, ale i pięknym wydawnictwem pt. *Pamiętnik w dwudziestą rocznicę obchodów zgonu Henryka Sienkiewicza*. Ukazało się ono w Chicago r. 1937 — z inicjatywy i pod redakcją prezesa Związku Leona Walkowicza. Składają się na nie, oprócz biografii Sienkiewicza pióra Redaktora, liczne — angielskie i polskie — głosy o Sienkiewiczu, nadesłane do redakcji.

Na czele głosów angielskich figuruje list prezydenta Roosevelta do Walkowicza: «Drogi Panie! Nieśmiertelną pamięć na świecie zapewnia Sienkiewiczowi *Quo vadis*, dzieło, które nigdy nie będzie zapomniane dzięki swemu nieśmiertelnemu tematowi, dzieło, które jest dziedzictwem całego świata (a world heritage). Chętnie przyłączam się do hołdu, składanego przez Was wielkiemu twórcy tego dzieła».

Spośród innych głosów angielskich wyróżniają się listy profesorów uniwersytetów amerykańskich, zwłaszcza profesora uniwersytetu w Berkeley, G. R. Noyes'a, członka Polskiej

Akademii Umiejętności, autora studiów o Krasińskim i Słowackim, szczerego przyjaciela Polski. Jest to, właściwie mówiąc, nie list, ale artykuł pt. *Pokrzepiciel serc*; wielkość Sienkiewicza uzasadnia autor nie samą tylko powieścią *Quo vadis* (której przekład angielski, mówiąc nawiasem, rozszedł się dotychczas w Ameryce blisko w pięciu milionach egzemplarzy), ale także *Trylogia*, o której bohaterach mówi Noyes tak: «Ich kraj nie jest moim krajem, ich wiara nie jest moją wiarą, ale są to dla mnie postaci równie żywe, jak Achilles i Odyseusz».

Na czele głosów polskich o Sienkiewiczu umieścił Redaktor te słowa polskiego premiera, generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego: «Sienkiewicz potęgą swego talentu wskrzesił w duszach Polaków tęsknotę za własnym wojskiem w Niepodległej Ojczyźnie».

Nie brak naturalnie głosu Paderewskiego — z mowy, wygłoszonej na wieczornicy żałobnej, urządzonej przez Polski Centralny Komitet Ratunkowy w Ameryce w r. 1916, wkrótce po śmierci Sienkiewicza: «Budujmy pomnik! ...Budujmy Ojczyznę niepodległą — całą — wolną po wszystkie czasy! A gdy ona powstanie, ożyje i ludzkość całą olśni swym blaskiem — wtedy wśród niej jak wśród aureoli imię Henryka Sienkiewicza, obok największych i najzasłużeńszych, wiecznie jaśnieć będzie».

Następują artykuły generała Władysława Sikorskiego, generała Józefa Hallera, Wincentego Witosa, Romana Dybońskiego, Zygmunta Wasilewskiego, Witolda Belzy, księdza prałata Aleksandra Syskiego, Józefa Wiewiórki (współzałożyciela Związku Polskich Kółek Literacko-Dramatycznych w Ameryce) i autora niniejszego artykułu. Wyróżnia się wśród nich świetny artykuł Wasilewskiego; warto z niego przytoczyć przynajmniej kilka słów: «Sienkiewicz przyszedł na to w naszych czasach, aby pomóc odcieleśnionemu w poprzednim okresie duchowi polskiemu przyoblec się na powrót w ciało. Był to poeta inkarnacji narodowej, wyraz pokolenia, które dążyło do ucieleśnień w realnych kształtach».

W ogóle dla nieopracowanej jeszcze historii kultu Sienkiewicza w Polsce będzie *Pamiętnik* przyczynkiem niezmiernie ważnym. Ale nie tylko dla historii kultu i nie tylko dla zro-

zumienia tych nieśmiertelnych zasług, jakie Sienkiewicz położył około polskości w kraju i poza jego granicami. Oto jest jeszcze w *Pamiętniku* kilka nigdzie przedtem nie drukowanych jego listów, będących wręcz nieocenionym materiałem dla jego biografii. Idzie tu zaś przede wszystkim o list do Stanisława Osady (sekretarza Polskiego Centralnego Komitetu Ratunkowego w Ameryce) z dnia 12 lutego roku 1915, z Vevey.

Roman Dmowski w swoim dziele pomnikowym *Polityka polska i odbudowanie państwa* żałuje, że Sienkiewicz «odmówił jakiegokolwiek zainicjowania swego politycznego stanowiska wobec wojny», i przypuszcza, że jedną z najważniejszych tego przyczyn był stan jego zdrowia, które szybko po wybuchu wojny podupadło. Ktoś inny wypowiedział kiedyś przypuszczenie, że od zainicjowania swego politycznego stanowiska wobec wojny odwiedli Sienkiewicza niektórzy towarzysze jego pracy filantropijnej w Vevey, którzy, życząc sami zwycięstwa państwu centralnym, bali się, żeby Sienkiewicz nie wypowiedział otwarcie i głośno swego serdecznego życzenia klęski tych państw. Dlaczego tego życzenia nie ujawnił w druku? Dlaczego nie napisał żadnej odezwy politycznej po wybuchu wojny? Dlaczego nie podpisał protestu lozańskiego, który zainicjował i zorganizował Dmowski przeciwko aktowi państw centralnych z dnia 5 listopada 1916 roku, obiecującemu z równie ohydłą, jak niezgrabną perfidią odbudowanie niepodległego państwa polskiego? Częściowej odpowiedzi na te pytania nie trudno się doszukać w pomienionym liście do Stanisława Osady (pomimo że jest on przeszło o cały rok starszy od protestu lozańskiego).

Oto, stanąwszy na czele Komitetu w Vevey, którego jedynym zadaniem było zbieranie funduszków dla ograbianej i wyniszczanej przez wojnę Polski, musiał Sienkiewicz ograniczyć się do pracy filantropijnej i, co za tym idzie, zaniechać enuncjacji politycznych — tym więcej, że fundusze płynęły nawet... z Niemiec i z Austrii. Co się musiało dziać w jego sercu, kiedy odmówił podpisania protestu lozańskiego, nie trudno się domyślić: w tydzień po odmowie zakończył życie...

Ale to jeszcze nie wszystko. Píše generał Sikorski w swej książce, wydanej w r. 1930 (z datą 1931), pt. *Polska i Francja*:

«My, żołnierze, wzrosliśmy w krzepiącej nas atmosferze polskich tradycji rycerskich, wskrzeszonych genialnie przez Sienkiewicza w okresie niewoli; z tym głębszą radością stwierdziłem, wręczając mu w 1916 r. w Vevey odznakę honorową Legionów, że całą swą gorącą duszą był z nami». To samo mniej więcej pisze generał Sikorski w artykule, nadesłanym do *Pamiętnika*: «Ten, który swym piórem szlachetnym wskrzesił polskie tradycje rycerskie, stanął swym sercem gorącym po stronie żołnierza, bijącego się w swym najgłębszym przekonaniu o wolność i niepodległość Ojczyzny w warunkach jak najcięższych. Zrozumiał on szybko znaczenie Legionów. Zgodził się na plan powołania do życia w kraju polskiej siły zbrojnej, która w okresie zakończenia wojny miała się stać fundamentem naszej przyszłości najbliższej po wyzwoleniu. Odznakę zaś legionową... uważał aż do śmierci za jedną z najdroższych pamiątek honorowych».

Skąd generał Sikorski wie, że «aż do śmierci», tego nie wyjawiał. Ale mniejsza o to. O wiele ważniejszą jest rzeczą, że nie «całą swoją gorącą duszą», ale jedynie «swym sercem gorącym» był Sienkiewicz po stronie Legionów. Rozum był z sercem w niezgodzie, o czym niezbiecie świadczy list do Stanisława Osady. Ponieważ zaś mało kto zna *Pamiętnik*, w którym go ogłoszono, więc niechaj wolno będzie przytoczyć z niego dosłownie dłuższy ustęp, a to ze względu, że wyjaśnia doskonale i bezapelacyjnie «orientację» Sienkiewicza podczas wojny:

«W odpowiedzi na list Pański zaczynam od sprawy wysłańców Naczelnego Komitetu Narodowego, pp. Hausnera i Młynarskiego. — Nie znam ich osobiście, więc nie mogę powiedzieć o nich ani nic złego, ani nic dobrego. Potwierdzam natomiast, że nie można im było dać lepszej odpowiedzi jak ta, którą od Panów otrzymali. Z Naczelnym Komitetem Narodowym nie zamierzamy wchodzić w bliższe stosunki, z rozmaitych powodów. — Naprzód jest on instytucją czysto polityczną, a nie filantropijną; po wtóre jego orientacja niemiecko-austriacka prowadzi, podług mnie, kraj do przepaści, a po trzecie, skład jego osobisty nie może nikogo natchnąć ufnością. Należą do niego ludzie, którzy mogą być zaliczeni do rozmaitych kategorii moralnych. Są i bardzo zacni, którzy dali się pociągnąć w pierwszej chwili entuzjazmu i ślepej wiary w zwycięstwo prusko-austriackie. Z tych wielu już zwątpiło, ale zachowują się biernie i nie mogą się jawnie wycofać z obawy, by nie ściągnać na

się prześladowania rządu. Nie brak jednak i zaślepionych fanatyków o słabych głowach... Są także karierowicze i na koniec tacy, którym pod pozorem niepodległej Polski chodzi zupełnie o co innego. Zgadza się, że większość stanowią ludzie dobrej wiary, nie mogę im jednak przebaczyć, że zbalamucili i uwiedli tysiące najszlachetniejszej młodzieży, która, chcąc się bić za Polskę, chwyciła się pierwszej sposobności do wystąpienia i obecnie walczy obok Prusaków, przeciw cywilizacji, przeciw wolności narodów, i bezwiednie przykłada rękę do czwartego, może najgubniejszego podziału Polski. Wystąpienie ich jest politycznym szaleństwem, moje serce jest jednak z nimi, a nawet z ich przywódcami wojskowymi, o których to przynajmniej można powiedzieć, że zamiast obradować bezpiecznie i kłaniać się Austriakom w Wiedniu, nadstawiają głowy w polu i podtrzymują sławę polskiego męstwa. Piszę to wszystko Szanownemu Panu poufnie, nie do druku, albowiem w odpowiedniej chwili zabiorę głos w tej sprawie i z większą stanowczością. Ale chwila ta dotychczas nie nadeszła, i, gdybym to dziś zrobił, popełniłbym taki sam błąd, jaki zarzucam Naczelnemu Komitetowi Narodowemu. — Zechciejcie, Szanowni Panowie, to zrozumieć, a tymczasem czekajcie cierpliwie i nie twórzcie legionów na niczyją korzyść.

Sapienti sat! Chyba to wszystko jasne, jak słońce. Ale tu mógłby ktoś powiedzieć, że list Sienkiewicza do Stanisława Osady pochodzi z lutego r. 1915, a rozmowa z generałem Sikorskim odbyła się o cały rok później, że więc, kto wie, może przez ten czas zmieniły się poglądy Sienkiewicza, może jego serce zwyciężyło rozum polityczny. Nie dosyć na tym. Może nie jeden będzie się dziwił, dlaczego, kiedy nadeszła «odpowiednia chwila», to znaczy kiedy państwa centralne wydały ową odezwę dnia 5 listopada 1916 roku, w której szczerze tylko głupcy mogli uwierzyć — dlaczego Sienkiewicz nie zabrał głosu «w tej sprawie obszerniej i z większą stanowczością». Te i inne jeszcze wątpliwości rozwiać może i z pewnością rozwieje ogłoszenie dziennika, który Sienkiewicz pisał w Szwajcarii, a którego autograf przechowuje jego córka, pani Jadwiga Kornilowiczowa, w tym — słusznym niezawodnie — przekonaniu, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, aby go ogłosić drukiem. Jedno wszakże ulegać nie może najmniejszej wątpliwości: przez całe swoje życie za najniebezpieczniejszych wrogów Polski Sienkiewicz poczytywał, podobnie jak Dmowski, Niemców.

SIENKIEWICZ, JAKO BUDZICIEL DUCHA RYCERSKIEGO W NARODZIE. Sienkiewicz umarł, podobnie jak «trzej wieszcz», na obcej ziemi, i podobnie jak Mickiewicz, pełniąc służbę narodową: Mickiewicz — w Turcji, zbierając legion dla walki z Rosją, Sienkiewicz — w Szwajcarii, zbierając, jako prezes Komitetu Polskiego w Vevey, fundusze dla walki z nędzą i głodem, panującymi na ziemi polskiej podczas wielkiej wojny.

O innej walce marzył w młodości. Był jeszcze dzieckiem, kiedy pod wpływem *Śpiewów historycznych* Niemcewicza, których się uczył na pamięć, — zapragnął być rycerzem i, jak opowiada, «jeździć po cecorskim i po innych błoniach, jak Sieniański odważny i smutny». Prawda, że kiedy przeczytał *Robinsona Cruzo*, marzenia te prysły: zaczął marzyć o dalekich podróżach i o tym, żeby «osiąść na bezludnej wyspie». Ale niebawem wróciły pierwsze marzenia i stały się nawet o wiele bujniejszymi i śmielszymi: oto po przeczytaniu ilustrowanego życiorysu Napoleona, marzył Sienkiewicz już nie tylko o służbie rycerskiej, ale i o tym, żeby kiedyś «być wielkim wodzem». «Pragnienia te — są własne jego słowa — przetrwały cały wiek dziecinny, a nawet i część pierwszej młodości; zdawało mi się, że tylko na polu bitew można zyskać prawdziwą sławę — i nosiłem się z myślą wstąpienia do jakiejś szkoły wojskowej».

Do szkoły wojskowej nie wstąpił. Wstąpił do gimnazjum w Warszawie. Lecz marzenia rycerskie poszły za nim do gimnazjum. Idąc do klasy, często wstępował do katedry św. Jana — nie przez pobożność, jak sam we *Wspomnieniu* przyznaje, ale dlatego, że pociągały go tam portrety i rzeźby dawnych rycarzy. «Sam nie wiem, czy od tych rozmaitych pamiątek, od tych portretów, od tych pomników, od tych marmurowych twarzy, nie wiał na mnie wówczas wiatr minionych wieków, sławy, siły, wolności i nie nanosił tych ziarn, które długo leżały mi w duszy, zanim wyrosły z nich moje powieści historyczne».

Po ukończeniu gimnazjum wstąpił Sienkiewicz do Szkoły Głównej warszawskiej, która wpajała wprawdzie w swoich wychowawców ducha obywatelskiego, lecz od rozwijania w nich ducha rycerskiego nie tylko była bardzo daleka, ale, przeciwnie,

nie, tłumila go raczej, głosząc hasła «pracy organicznej» i ucząc, że ta praca, po upadku powstania 63 roku, to jedyny środek do ocalenia narodu. Głosił te hasła i Sienkiewicz w swoich felietonach, a nie tylko w felietonach. Przecie *Szkice węglem* to tak znamienita dla epoki pozytywizmu powieść społeczna, która (jak sam się wyraził jej autor) piętnuje «przepaść między dworem a chatą». A *Janko muzykant* czy nie jest także nowelą społeczną? Przecież i tutaj mamy jaskrawy i bolesny kontrast pomiędzy biednym chłopskim dzieckiem, które, urodziwszy się artystą, zmarło przedwcześnie, a jasnie państwem, którzy, wracając z podróży włoskiej do kraju, wpadają w zachwyt na myśl, że Włosi to «lud artystów...» A «nad Jankiem szumiały brzozy...»

Lecz ta struna społeczna brzmi rzadko w pierwszych utworach powieściowych Sienkiewicza. W sercu bowiem wciąż mu dźwięczała owa młodzieńcza struna rycerska; zagłuszyć jej nie chciał i nie mógł, tak była potężna. Więc uderzył w nią, i wtedy dopiero spełniło się marzenie jego młodości: nie został rycerzem, ale stał się «wielkim wodzem» swojego narodu.

Po raz pierwszy zadrgała ta struna już w obrazie bitwy pod Gravelotte — w szalonym męstwie *Bartka zwycięzcy*: ale to była jeszcze nie apoteoza, tylko straszliwa tragedia męstwa polskiego, będącego w służbie i idącego na pożytek śmiertelnego wroga — Prusaka. Czystym już dźwiękiem brzmi ta struna w przepięknym poemacie prozą *Niewola tatarska*: bo przecie bohater poematu, ów «książę niezłomny», jak go nazwał sam Sienkiewicz, pragnąc może uwydatnić jego pokrewieństwo duchowe z *Księciem Niezłomnym* Calderona, — walczył nie za wroga, tylko za wolną Ojczyznę, której się w niewoli tatarskiej nie wyrzekł i nie ugiął dumnej głowy ani przed swoimi katami, ani nawet przed samym chanem. Że w tym poemacie miał Sienkiewicz na myśli swoje własne czasy, czasy niewoli, kiedy to wyrodniała niejedna dusza polska, zapadając w chorobę lojalności względem zaborców — o tym ten tylko wątpić może, kto go nie znał.

Lecz *Niewola tatarska*, ogłoszona drukiem w roku 1880, to dopiero zapowiedź czegoś nierównie większego. Nastąpiła przerwa: czekał Sienkiewicz na natchnienie. Albo raczej sam

go szukał, rozczytując się w opowieściach o czynach rycerskich dawnej Polski. I niebawem natchnienie przyszło: dały mu je *Szkice historyczne* Kubali, które się w drugim wydaniu ukazały w rok niespełna po *Niewoli tatarskiej*. Pośród innych były tam szkice: *Królewicz Jan Kazimierz*, *Oblężenie Lwowa*, *Oblężenie Zbaraża*, *Bitwa pod Beresteczkiem*. Jak wielkie wrażenie wywarły one na Sienkiewiczu, o tym najlepiej świadczy jego własna ich recenzja, ogłoszona w *Niwie*. Olśniło go zwłaszcza *Oblężenie Zbaraża* i *Bitwa pod Beresteczkiem*. Pośród innych czytamy w tej recenzji następujące słowa: «Wyobraźnia czytelnika idzie ręką w rękę za autorem i patrzy na wszystko jak na rzeczywistość. Talent nadaje życie i plastykę osobom, rzeczom, widokom — a prostota i ścisłość opowiadania nadaje całości nieprzeparty urok prawdy... Państwo psuło się... wewnątrz, nie umiało się zdobyć na ład i wewnętrzny porządek, brakło mu sprężystości, trwałych urządzeń i statku do życia w pokoju; ale duch wojenny jeszcze nie zgasł, poczucie obowiązku walki i śmierci za Ojczyznę było żywe, i dlatego ta nierządna Rzeczpospolita mogła być jeszcze straszną czasami wojny, tym bardziej, że siły... miała ogromne». A stręściwszy za Kubalą charakterystykę Chmielnickiego, «tego strasznego człowieka, który pomimo wszystkiego budzi w nas podziw i ciekawość», — dodaje Sienkiewicz: «Co za postać dla dramaturga lub historyka-powieściopisarza!»

Oto zapowiedź nowej epoki w twórczości Sienkiewicza.

Minęło dwa lata, które wypełniła praca nad źródłami historycznymi XVII wieku, i na koniec, dnia 2 maja 1883 roku, odcinek warszawskiego *Słowa* zaczął się od słów: «Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia». Zaczęło wychodzić *Ogniem i mieczem*.

«Zdumieli się słuchacze». I nie opuszczało ich zdumienie przez lat kilka, towarzyszyło im bowiem nie tylko przy czytaniu *Ogniem i mieczem*, ale także *Potopu* i *Pana Wołodyjowskiego*.

Dlaczego? Przecie i przedtem była już w Polsce powieść historyczna; był Kraszewski, był Rzewuski, był Kaczkowski, i, kto wie, może niejedną pomysł *Trylogii* zawdzięcza Sienkie-

wicz tym swoim poprzednikom. Tak, ale dlaczegoż to dawniejsze powieści historyczne czytano wprawdzie z zajęciem, ale bez zdumienia, bez bicia serca? Dla dwóch przyczyn.

Po pierwsze dlatego, że dopiero Sienkiewicz powieść historyczną podniósł na tak wielkie wyżyny artyzmu, jakich nie osiągnął ani jeden z jego poprzedników polskich i zagranicznych, nie wyłączając twórcy tego rodzaju poezji — Walter-Scotta. A tłumaczy się to nie tylko genialnym talentem narracyjnym, którego owocem jest wręcz bajeczna plastyka wypadków i postaci powieściowych, ale i czymś innym jeszcze, bez czego nie ma wielkiej powieści historycznej: ani jeden z powieściopisarzy naszych przed Sienkiewiczem nie przejął się tak głęboko, jak on, wypadkami i postaciami naszej przeszłości, nade wszystko jej duchem rycerskim; ale bo też w piersiach żadnego innego autora powieści historycznej, nie tylko w Polsce, ale i za granicą, nie grała tak potężnie, i to od wczesnej młodości, struna rycerska.

Ale była jeszcze druga przyczyna zdumienia czytelników *Trylogii*. Była ona dla nich — w literaturze po roku 1863, w epoce pozytywizmu — nowością nie tylko przez «urok pieśni», t. j. nie tylko przez wielki artyzm i entuzjizm rycerski, ale i przez samą treść pieśni.

Hasła «pracy organicznej», głoszone w publicystyce oraz w poezji i w powieści tej epoki, były niewątpliwie bardzo na czasie i poszły duszy polskiej na użytek. Nie była dla niej także bez pożytku ta surowa krytyka przeszłości narodowej, którą podjęła szkoła historyczna krakowska. Ale jednego i drugiego było wreszcie za dużo. Przyszedł czas, kiedy ludzie mieli już dosyć nawoływań, żeby oszczędzać, żeby pomnażać bogactwa materialne, żeby rozwijać przemysł i handel, żeby się uczyć, żeby się nie wlec w ogonie kultury europejskiej, żeby zapomnieć o przekazanej przez poezję romantyczną idealizacji przeszłości i... żeby nie myśleć o odzyskaniu niepodległości politycznej drogą czynów zbrojnych.

I oto w tym właśnie czasie ukazała się *Trylogia*, która, jakby na złość hasłom pracy organicznej i na złość krakowskiej szkole historycznej, pokazała czytelnikom dawną Polskę w epoce, w której «państwo psuło się... wewnątrz, nie umiało

się zdobyć na ład i wewnętrzny porządek». Tego stanu państwa polskiego w XVII wieku bynajmniej Sienkiewicz nie zatębia, przeciwnie ujawnia go, a nawet piętnuje, zwłaszcza w *Potopie*. Ale jednocześnie czuł się nie tylko uprawnionym, ale nawet, jako Polak, w którego sercu żyła c a ł a przeszłość niepodległej Polski, zobowiązanym do «pokrzepienia serc» widokiem jasnych stron przeszłości, które po klęsce roku 1863 szły w niepamięć, w znacznej mierze dzięki jednostronności naszej ówczesnej historiografii i publicystyki. A cóż było najjaśniejszą stroną Polski XVII wieku? To, co ją ocaliło: d u c h r y c e r s k i i nieodłączny od niego duch religijny, duch bezgranicznego poświęcenia miłości własnej i własnego życia dla Ojczyzny, duch obrońców Zbaraża, Częstochowy, Kamieńca, duch, który ożywia piersi Skrzetuskiego, Podbięty, Wołodyjowskiego, duch, który odradza moralnie Kmicica i przekształca go z warcholą i zabijaki na rycerza i patriotę.

Oto największa nowość *Trylogii* i — nieśmiertelna zasługa Sienkiewicza. W żadnym innym utworze literatury naszej epoki poromantycznej nie dźwięczy tak mocno wiara, że «jeszcze Polska nie zginęła», ale pod warunkiem, że jej dzieci ożywi na nowo duch rycerski, którego braku żadna, choćby najmędrsza i najbardziej wyteżona praca organiczna nie zastąpi. Niechaj raczą przyjąć do wiadomości nasi pacyfiści i nasze pacyfiksatki, nasi kosmopolici i nasi «krajowi cudzoziemcy», że się bez ducha rycerskiego, bez miłości naszej Ukochanej Armii Polska nie ostoja jako potężne państwo. Odnowicielem zaś i krzewicielem tego ducha był u nas pod koniec XIX w. nie kto inny, tylko Sienkiewicz — przez swoją *Trylogię*. I dlatego to powiedzieć można, że stał się on «wielkim wodzem» swojego narodu. Nie doczekał szczęśliwej godziny zmartwychwstania Polski, ale przyczynił się do tego, że ona wybiła: podczas wielkiej wojny i w wojnie z bolszewikami ducha naszych rycerzy krzepiła *Trylogia*.

Niechże i podczas pokoju krzepi naszą młodzież i wznieca w niej ducha rycerskiego! I podczas nadciągającej wojny — także!

KSIĄŻKA KAZIMIERZA CZACHOWSKIEGO *Henryk Sienkiewicz, obraz twórczości*. Warszawa 1931. Jest to pierwsza u nas większa (obejmująca przeszło 340 stronic) książka tego rodzaju, znaczy książka, na którą, prócz zwięzłego życiorysu wielkiego pisarza i bibliografii, składają się świadectwa i sądy współczesnych i potomnych o jego życiu, charakterze, twórczości, zasługach. Nie ma takiej książki ani o Mickiewiczu, ani o Słowackim, ani o Krasińskim. Już choćby z tego względu zasługuje książka Czachowskiego na prawdziwe uznanie, zwłaszcza, że wybór z literatury krytycznej o Sienkiewiczu, którą autor zbadał bardzo dokładnie, jest umiętny i wysoce bezstronny.

Że sądy dodatnie przeważają tutaj nad ujemnymi, że z ogromnej większości kart «obrazu twórczości» Sienkiewicza bije uwielbienie i zachwyt, a tu i owdzie tylko słychać zgrzyty niechęci, — to się tłumaczy nie osobistą predylekcją Czachowskiego, tylko tym faktem, że się ogół krytyków polskich poznał nie tylko na genialnym talencie, ale i na nieśmiertelnych zasługach narodowych Sienkiewicza, których nie odebrała mu i nigdy nie odbierze ani niechęć, ani zazdrość, ani ciasnota. W bilansie dzisiejszym krytyki literackiej, dotyczącej Sienkiewicza, głosy Chmielowskiego, Spasowicza, Tarnowskiego, Bogusławskiego, Matuszewskiego, Gostomskiego, Kleinera, Pigionia, oraz Konopnickiej, Prusa, Żeromskiego, Lechonia, — mają przytłaczającą przewagę nad głosem głównego pomniejszyciela zasług Sienkiewicza — Stanisława Brzozowskiego. Oczywiście, autor głosu tego nie pominął — pominął za to głosy, zawarte w książce Wacława Nałkowskiego pt. *Sienkiewicziana*, będącej, jak słusznie pisze autor, «w wielu miejscach wprost oszczerczym paszkwilem», i przypominającej, dodajmy od siebie, niegodziwe kalumnie, jakie rzuciły różne męty emigracyjne na Mickiewicza podczas jego profesury w Collège de France. Bardzo słusznie postąpił Czachowski, że ten paszkwil pominął.

Szkoda natomiast, że pominął ocenę *Ogniem i mieczem* przez Bolesława Prusa i ocenę *Listów z Afryki* przez Weyssenhoffa, bo przecie obydwie recenzje stanowią w literaturze krytycznej o Sienkiewiczu tym ciekawszą i ważniejszą pozycję, że

wyszły spod pióra tak znakomitych twórców. Szkoda także, ale z innych względów, że autor nie przedrukował recenzji Kaczkowskiego, która jest bardzo wymownym wyrazem... «zawiści zawodowej».

Książka Czachowskiego jest wydawnictwem niezmiernie pożytecznym zarówno dla ogółu czytelników, jak dla historyków literatury. Miłośnikom Sienkiewicza daje ona możliwość poznania całego szeregu dawno zapomnianych, szerszemu ogółowi nieznanych, rozproszonych po czasopismach, a nieraz znakomitych krytyk (np. Bogusławskiego, Gostomskiego i innych), i w ogóle przesuwają przed oczami czytelników całą historię kultu Sienkiewicza. A dla historyków literatury będzie książka Czachowskiego doskonałą wskazówką i zachętą do opracowania historii tego kultu.

Lecz kto się tego zadania podejmie, ten będzie musiał pamiętać, że (jak to już przed laty stwierdził znakomity, a przedwcześnie zmarły krytyk francuski, Emil Hennequin) jeśli historia kultu wielkich pisarzy ma być krytyczną, to nie wolno jej opierać jedynie na głosach «oficjalnej krytyki»: trzeba jeszcze — obok faktu poczytności albo niepoczytności, obok materiału anegdotycznego itd. — uwzględniać głosy krytyki «niefachowej», która nieraz bywa lepszym kryterium i wyraźniejszym dowodem kultu od krytyki oficjalnej. O wrażeniu, jakie w zaborze rosyjskim zrobił *Pan Tadeusz*, daje lepsze pojęcie krótka wzmianka w *Pamiętnikach* Pawła Popiela, niż studia krytyczne; a z pamiętników Gabrieli Puzyniny (która *Krystynę* nazwała młodszą siostrą *Pana Tadeusza*) widać jasno, jak wielką poczytnością cieszyły się w swoim czasie, ile szlachetnych wzruszeń budziły powieści Hofmanowej.

Otóż przyszedł historyk kultu Sienkiewicza w Polsce będzie musiał oprzeć się — pomiędzy innymi — na pamiętnikach. Wyszły np. niedawno pamiętniki Tadeusza Hołówni (*Przez dwa fronty*); niechże wolno będzie przytoczyć z nich jeden dłuższy ustęp.

«Dlaczego właśnie Sienkiewicz — myślałem — osiągnął ten cud, że bohaterowie z jego *Trylogii* — Wołodyjowski, Skrzetuski, Zagłoba, Podbiłpięta, Bohun, Kmiecic, Soroka — żyją w świadomości narodu polskiego, stali się postaciami realnymi, niemal historycznymi, na równi

z królem Janem Kazimierzem, Wiśniowieckim, Chmielnickim? Dlaczego? Bo Sienkiewicz był Tkaczem, który szarą nić smutnej rzeczywistości narodu powiązał ze złotą nicią przeszłości polskiej i zaczął tę złotą nić wplatać w duszę budzącego się z wiekowego letargu chłopca polskiego, wiążąc nią serce robotnika polskiego mocnymi węzłami z historią narodu, od której chciano go zupełnie oderwać, ucząc, że proletariatus nie ma nigdzie ojczyzny i że winien kroczyć ku nowemu ustrojowi społecznemu drogą kosmopolityzmu. Dla warstw zaś oświeconych, dla tych wszystkich epigonów dawnej szlachty, wegetujących za ladą lub przy biurku, *Trylogia* stała się cudotwórczym eliksirem, który obudził w każdym z nich atawistyczne instynkty, sprawił, że żywiej zaczęła krążyć krew w zwiroteczalnych żyłach, wydobywając na powierzchnię duszy z najgłębszych pokładów zamarłe, zapomniane i lekceważone tradycje przodków. Wspomnienie tej dalekiej przeszłości obudził Sienkiewicz właśnie w pokoleniu, któremu trzeźwy rozum i hasło wzbogacenia się dyktowały, aby odwrócił się od tej przeszłości i zapomniał o niej. Sienkiewicz potęgą swego talentu przypomniał swemu pokoleniu tę przeszłość, jak się przypomina dawny sen, który się śniło, a którego po przebudzeniu nie pamięta się, chociaż tkwi podświadomie gdzieś tam na dnie duszy. Lecz to nie był sen, jeno zapomniana rzeczywistość, którą każdy nosił w sobie, biorąc ją w spadku od przodków razem z krwią, która, jak z kielicha do kielicha, z pokolenia w pokolenie się przelewała. I oto każdy po przeczytaniu *Trylogii* zaczynał odczuwać, że tkwi w nim wspomnienie tamtych minionych czasów, że krąży w żyłach jego te same krople krwi, które krążyły ongi w żyłach tych, którzy tamtych czasów byli uczestnikami lub świadkami. I dlatego dziś w każdym z nas właśnie *Trylogia* budzi wspomnienie uniesień, wad i przeżyć naszych przodków, które na nowo tak realnie zaczynamy psychicznie przeżywać. Każdy z nas, będąc nawarstwieniem minionych pokoleń, po trochu odnajduje samego siebie w każdym z bohaterów Sienkiewicza... Dlatego też wszyscy ci wyimaginowani talentem Sienkiewicza bohaterowie są w naszej świadomości realnymi postaciami, bo są to portrety i życiorysy naszych przodków, bo takimi byli oni w rzeczywistości — a że byli takimi, a nie innymi, zaświadcza nam o tem nasza własna krew, w spadku po tych przodkach w nas krążąca.

Czy to świadectwo nie jest bardzo wymowne? Czy dzisiaj i jej si pomniejszyciele Sienkiewicza rozumieją i odczuwają tę jego największą ze wszystkich zasług (której nie rozumiał i nie odczuwał ani Brzozowski, ani Feldman), że *Trylogia* zaczęła wplatać w duszę chłopca polskiego i robotnika polskiego złotą nić przeszłości polskiej, to znaczy uświadamiać mu jego polskość? Piszący te słowa widział i czytał własnymi oczami (w roku 1896) list pewnego robotnika polskiego, pisany z Sy-

berii do redaktora *Słowa*, Mścislawa Godlewskiego, z podziękowaniem za przysłanie *Trylogii*, list, zawierający te mniej więcej słowa: «Ja dopiero teraz czuję, że jestem Polakiem».

W wydanych w roku 1929 pamiętnikach pani Anny Leo pt. *Wczoraj* nie brak ciekawych wspomnień o Sienkiewiczu, które sięgają epoki jego młodości.

Można być pewnym, że z czasem, w miarę ogłaszania drukiem różnych pamiętników, zalegających w rękopisach, przybywać będzie coraz więcej ciekawych przyczynków do charakterystyki Sienkiewicza.

BOLESŁAW PRUS O «ZMARTWYCHWSTANIU»
TOLSTOJA

Prus nie byłby sobą, to znaczy nie byłby ani człowiekiem najszlachetniejszym ze szlachetnych, ani pisarzem, który ze wszystkich «idealów życiowych» ukochał najbardziej «ideał użyteczności», — gdyby się nie zachwycił *Zmartwychwstaniem* Tolstoja, wydany w oryginale rosyjskim w r. 1899. Piszący te słowa pamięta doskonale, jak bardzo cieszył się kiedyś Prus, że jeden z jego najserdeczniejszych przyjaciół, doktor Gustaw Doliński, napisał przedmowę do przekładu polskiego, wydanego w r. 1900 w *Bibliotece Dzieł Wyborowych* i mocno przez cenzurę okrojonego. A ponieważ był zawsze tego zdania, że «krytyka dobra znakomicie potęguje użyteczność literackich utworów», o ile się zajmuje nie tylko «klasyfikacją, anatomią, fizjologią», ale także «hygieną i patologią utworów literatury pięknej», więc sam napisał krytykę *Zmartwychwstania*. Ukazała się ona w *Kurierze Codziennym* w tymże 1900 roku (nr 158). Jak pilnie tę krytykę obmyślał, o tym bardzo wymownie świadczy jego własnoręczny notatnik, którego szczęśliwym posiadaczem jest p. Stanisław Jackowski, siostrzeniec Prusa. Jest tu cały szereg myśli, które — na równi z krytyką — rzucają niezmiernie ciekawe światło na Prusa, jako na krytyka utworów literackich wogóle, a w szczególności tak moralnie pięknych, jak *Zmartwychwstanie*, «którego — są jego własne słowa — najgłębiej religijnych i najgłębiej społecznych zalet nie są zdolne ocenić tylko pawie mózgi». Oto te myśli.

«Tolstoj arcykapłan ze swoim narodem odbywa spowiedź i pokutę. Jest to wielki dramat, wielki akt skruchy, bitwa wygrana o prawa jednostki.

Człowiek ma prawo, aby go nie dręczono niesłusznie.

Niewątpliwie dzieło to wpłynie na dolę kobiet upadłych i podsądnych.

Ludzie inni opisują nierząd, jak stręczyciele, a kryminał, jak złodzieje; Tolstoj — jak nieszczęście, wielkie nieszczęście.

Temat, obrobienie proste i jasne.

W człowieku są dwie istoty: zwierzę i duch.

Temat *Zmartwychwstania*. Machina sądowa miażdży niewinną, choć upadłą kobietę, którą chce ocalić arystokrata, jej uwodziciel.

Machina sądowa dławi niewinnego. Każda śrubka, dozorca, żołnierz, każda sprężyna jest na właściwym miejscu.

U Tolstoja nie ma ludzi idealnie dobrych, ani idealnie pięknych, i zawsze tacy i owacy mają podwójne cechy.

Plan — dantejska podróż przez więzienia, sądy, etapy do katorgi.

Nad czytelnikiem cięży bolesna omyłka, skutek niedbalstwa: Niechludow zepchnął z góry 17-letnią dziewczynę, a ona stacza się.

Sąd chwytą ofiarę, zabija, parzy, skrobie, paproszy, dzieli na części.

Niechludow poświęca się dla kryminalistyki — i w tym tkwi nadzwyczajna potęga poświęcenia.

Rosjanie mają głębsze basy, niż my. My mamy sopran, kontralt, tenor, baryton, bas, a oni coś głębszego.

Jaka odległość dzieli Niechludowa od tego nadzorca, który bił różgami? Jeden bije, drugi poświęca się.

Jak dla zrozumienia czwartego wymiaru uciekamy się do niższych, tak dla zrozumienia Niechludowa trzeba zniżyć skalę.

Dzień w więzieniu. Wielki pan skrzywdził kobietę z ludu — i odpokutował.

Z początku mistrzami Niechludowa byli Spencer i Georges, na końcu Nowy Testament.

W powieści mnóstwo potrąconych sytuacji, z których można by zrobić nowe opowiadania. Czy nie byłoby lepiej, gdyby Niechludow, zamiast jechać na Sybir za Masłową, pojechał na

wieś do swych chłopów i rządził ich funduszami i gospodarstwem? Ale Niechludow nie był reformatorem, tylko pokutnikiem, nie umiał pracować dla społeczeństwa, tylko dla jednostki i nad udoskonaleniem własnej duszy.

Gdy autor chwali klasy uprzywilejowane i ich poglądy, to nazywa się «sztuką czystą»; a gdy broni biedaków — «tendencją».

Gdy autor działa na uczucie i wyobraźnię — dobry, gdy na wolę — tendencyjny.

Tolstoj zdaje się wskazywać, że ten, kto odrodzi Rosję, ten wyjdzie z arystokracji z podkładem religijnym. Aby ulżyć nędzy, nie wystarczą zdolności i zapal; trzeba jeszcze pieniędzy i stosunków, a bodajże i tytułu.

To, co Niechludow, czynił św. Wincenty à Paulo.

Masłowa — Magdalena.

Porównać z dramataми Ibsena.

Dzieło, jak człowieka pest (?) +D+U+tz(to znaczy?) — logika, prawda, altruizm itd.

Celem jego dać poznać, odczuć i skłonić do pracy nad usunięciem ciemnoty, cierpienia i niesprawiedliwości.

To nie jest dzieło piękne ani ładne, ale doskonałe. Jest wyższe od *Nędzników*.

Jak doskonalili się ludzki charakter?

Jest to powieść wzorowa — artystyczna i — historyczna.

Za pewną ilość poświęcenia można wskrzesić duszę ludzką.

W innych powieściach bohaterowie cierpią dla miłości, tu — dla ocalenia wielu ludzi.

Utwór — jak człowiek. Książki — jak ładne kobiety, w gruncie głupie i nieczule egoistki.

Czy pisarz ma być pracownikiem czy bawicielem społeczeństwa?

Tłumacz nam, że dar krytyki jest specjalną łaską bożą, a krytyk tajemniczym pracownikiem.

Na krytykę nie mamy miejsca. Chcę wskazać tylko nadzwyczajne dzieło i złożyć hołd nadzwyczajnemu człowiekowi, którego nie wszyscy rozumieją.

Są utwory, które wprost odwracają uwagę od życia, gdy inne rozświetlają.

Książka *Zmartwychwstanie*, dzieło nie tylko narodowe, ale wszechludzkie, jest utworem, który naród nasz w szczególny sposób rozumie i odczuwa, a którego najgłębiej religijnych i najgłębiej społecznych zalet nie są zdolne ocenić tylko pawie mózgi».

Co znaczą skróty +D i +U? Zważywszy, że, według poglądu Prusa (w *Najogólniejszych ideałach życiowych*), «w palacu duszy musi się znajdować światło, ciepło i powietrze, czyli, przetłumaczywszy to na język zwykły, trzy Ideały: Doskonałość, Szczęście i Użyteczność» — wolno mniemać, że D oznacza tu D o s k o n a ł o ś ć, U — U ż y t e c z n o ś ć. Te dwa bowiem ideały osiągnął Tolstoj, zdaniem Prusa, w *Zmartwychwstaniu*. «Szczęścia» w tej powieści nie ma: nie doznaje go ani Kasia, unieszczęśliwiona przez Niechludowa, ani Niechludow, który, pomimo że, w poczuciu obowiązku chrześcijańskiego, pragnie odkupić swoją młodzieńczą zbrodnię uwiedzenia Kasi, nie znajduje szczęścia w pełnieniu tego obowiązku. To, oczywiście, nie mogło być w oczach Prusa wadą tej powieści. Przecie jego nauka o ideałach głosiła: «Nie myślcie o szczęściu; ...jeżeli przyjdzie, zrobi wam niespodziankę, jeżeli nie przyjdzie — nie zrobi zawodu...»

Z samej krytyki *Zmartwychwstania* jedną przynajmniej myśl warto przytoczyć: «Jak potrawa, którą ma nakarmić się człowiek, musi być zrobiona nie z pierwiastków chemicznych, ale z prawdziwych roślin i zwierząt, tak dzieło literackie, które ma oddziaływać na społeczeństwo, nie może być utworem naukowo-abstrakcyjnym, ale musi wypływać z bezpośrednich obserwacji, robionych nad rzeczywistymi ludźmi z ich rzeczywistym życiem. Dlatego traktaty socjologiczne, etyczne, filozoficzne zawsze będą miały nielicznych czytelników, podczas gdy powieść może zachwycać i kształcić miliony. Dlatego powieść winna być realistyczną».

WŁADYSŁAW REYMONT
(PRZEDMOWA DO ZBIOROWEGO WYDANIA DZIEŁ)

«Czy ja się w tym roku zobaczę drukowanym? Albo czy kiedykolwiek będę drukowanym? Nie zdaje mi się, — a jednak chciałbym! Nie pragnę tak silnie, aby to pragnienie zrobiło się faktem, ale pragnę. Tyle miernot się... tłoczy» (t. j. drukuje) «czytuje, a ich autorowie cieszą się sławą... Gdybym ja taką sławę nawet posiadał, robiłaby mi ona ogromną przyjemność, ale świadomość, ale sumienie wątpiłoby w słusność sławy».

Takie życzenia złożył Reymont w swoim pamiętniku samemu sobie dnia 7 maja 1892 r., to znaczy w dwudziestą piątą rocznicę swoich urodzin.

Pierwsze życzenie ziściło się jeszcze w tym samym roku: w krakowskim dwutygodniku *Myśl* ukazał się «szkic» pod tytułem *Wigilia Bożego Narodzenia*, z podpisem: Władysław Reymont. Minęło lat cztery, i zaczęło się spełniać drugie życzenie: *Komediantka* dała jej autorowi rozgłos, *Fermenty* go utrwaliły. A kiedy się w r. 1899 ukazała *Ziemia obiecana*, z rozgłosu zaczęła szybko urastać sława. O jej słusności nie wątpiło już chyba sumienie Reymonta.

Lecz to samo sumienie powiedziało mu, że na skrzydłach, które mu wyrosły ze świadomości osiągnięcia sławy, powinien lecieć coraz wyżej: «Pragnę pokazać i unaocznic nasze życie, zrobić przekrój filozoficzny wszystkich warstw, pokładów narodu, odtworzyć całe misterium życia polskiego,... odbudować polską duszę ogólną: p o l s k ą, bo wiem, czuję i wierzę, że to dusza odrębna i moc cudna i wspaniała, co nie zginęła pod pokładami obcych napływów i wrogich osadów i naszej własnej wrogości». I powiedziało mu jeszcze sumienie, świadome osiągniętej sławy, że wszystko, co dotychczas napisał, jest tylko jego «wstępem literackim».

Oto geneza psychologiczna tego dzieła, które jest kamieniem węgielnym jego sławy, już nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami, i nie tylko w Europie, ale także w Ameryce i w Azji: *Chłopów* przełożono na język niemiecki, szwedzki, duński, angielski, holenderski, francuski, włoski, czeski, słowacki, japoński, indyjski (páli), a i na żargon żydowski. Za to właśnie dzieło otrzymał Reymont w 1924 r. nagrodę Nobla, a kiedy prasa angielska wyraziła zdziwienie, że to nie Anglik, Tomasz Hardy, tylko Polak, jakiś tam Władysław Reymont, jest laureatem, jeden z dzienników amerykańskich odpowiedział, że świat może być Akademii Szwedzkiej tylko wdzięczny za przysądzenie nagrody wielkiemu pisarzowi, którego dzieła są «własnością całej ludzkości».

Zresztą na olbrzymim talencie Reymonta poznano się za granicą już na lat kilka przed nagrodą Nobla. W r. 1918 krytyk francuski Frank Schoell słusznie nazwał *Chłopów* «epopeją-romansem» i niemniej słusznie powiedział, że «to najzupełniejszy i bodaj czy najbardziej ludzki dokument o chłopie w literaturze wszystkich wieków». A w tym samym roku krytyk szwedzki, profesor uniwersytetu w Lund, Fryderyk Bööck, stwierdzając ogromną wyższość *Ziemi obiecanej* i *Chłopów* nad powieściami Zoli, «czuł się zmuszonym» (jak mówi) do szczegółowego porównania *Chłopów* — nie mniej ani więcej — tylko «z epopejami Homera», wykazując jednocześnie całą oryginalność talentu epickiego Reymonta.

Jakież są główne znamiona jego fenomenalnego talentu, który w całym swoim blasku zajaśniał w *Chłopach*, ale który mocno jaśnieje już i w *Ziemi obiecanej* i w «szkicach powieściowych» (zwłaszcza w szkicu *Sprawiedliwie*) i w «opowieściach», i w «obrazkach» i w nowelach?

Oprócz niezrównanego w swojej plastyce daru narracyjnego, i to zarówno w opowieści o czynach i charakterach ludzkich, jak w obrazach natury, daru, mającego swoje główne źródło w niesłychanej wrażliwości wzrokowej, słuchowej i ruchowej, oraz w bujnej, wręcz żywiołowej fantazji, która owoce tej wrażliwości nie tylko pomnaża, ale wyolbrzymia (czasem aż nawet do rozmiarów «potwornych i wspaniałych zarazem, jak szalejący huragan»), — posiada Reymont może w więk-

szym jeszcze stopniu aniżeli Sienkiewicz to, bez czego nie ma i nie może być epika w wielkim stylu: dar zapominania o sobie, o swoich własnych myślach, poglądach, uczuciach, czyli, innymi słowy, dar doszczętnego wcielania się w swoje kreacje artystyczne, bez czego by one nie mogły mieć tyle prawdy życia, ile jej mają. Szczytem tej sztuki zapominania o sobie i przeistaczania się w innych ludzi, i to od siebie duchowo niższych, są *Chłopi*. A idzie tutaj nie tylko o Borynę i Jagusię, o Hankę i Antka, o Witka i Rocha, lecz nade wszystko o samego narratora powieści.

O tym, co się działo pod Troją, opowiada sam Homer, o tym, co się działo w Soplicowie, — sam Mickiewicz; ale o tym, co się działo w Lipcach, opowiada właściwie nie Reymont, tylko chłop lipiecki, który ma swoją własną głowę i swoje własne serce, który swój pogląd na świat, swoje obyczaje, swój język, swoją religię zawdzięcza nade wszystko całej gromadzie i wielowiekowej tradycji, ale który swój żywiołowy talent epicki (a i swoje poczucie piękna natury) otrzymał w darze od Reymonta. Takie zjawisko nie jest wprawdzie nowością w naszej literaturze: już na początku XIX wieku mamy przecie *Dwóch Sieciechów* Niemcewicza, a później *Pamiętki Soplicy* Rzewuskiego, *Pamiętniki Winnickiego Pola*, *Jana Dęboroga* Syrokomli i inne gawędy, których autorowie chowają się za swoich narratorów; ale skryć się tak doszczętnie, jak Reymont, albo raczej tak całkowicie przeistoczyć się w swego niewymienionego narratora, jak on, nie umiał nikt inny.

Nie dosyć na tym. Jest Reymont epikiem z bożej łaski i dlatego jeszcze, że nikt inny nie umiał odtwarzać tak artystycznie życia z b i o r o w e g o: dowodem nie tylko *Chłopi*, ale i *Ziemia obiecana* i niektóre «szkice powieściowe» (zwłaszcza *Sprawiedliwie*), a i trylogia historyczna *Rok 1794*. O tych powieściach z większą jeszcze słuszością, niż o *Panu Tadeuszu*, powiedzieć można, że głównym tematem jest życie nie jednostek, ale całych zbiorowisk ludzkich.

A tego życia nie idealizuje Reymont: nie będąc naturalistą, jak Zola, nie cierpiąc nawet naturalizmu, jest realistą w wielkim stylu. Nie tając ani niskich instynktów ludzkich, ani nie przebierającej w środkach, czasem nawet krwawej

walki o byt pomiędzy jednostkami i całymi zbiorowiskami ludzkimi, nie wpada on nigdy w ciasną jednostronność i uwydatnia także dobre, szlachetne pierwiastki natury ludzkiej. «Chłopi Zoli — jak się wyraził krytyk francuski Muret — żyją jak bydła i znajdują upodobanie w swojej sromocie; chłopi powieściopisarza polskiego także nie wiodą cnotliwego życia, ale różnią grzech a cnotę; materia nie jest dla nich jedynym bogiem, w duszach swoich pozostali chrześcijanami». Tak jest nie tylko w *Chłopach*: nikt z tak wielką, tak męską odwagą nie obnażył ujemnych cech społeczeństwa szlacheckiego ginącej Polski, jak Reymont w swej trylogii historycznej; ale wśród tego błota moralnego i nierozumu tym jaśniej świecą ogniki przyszłego odrodzenia narodu, jego woli życia.

I oto nowa cecha naczelną twórczości i duchowości Reymonta: jego utwory to nie tylko wcielenie tężyzny i energii życia, ale, śmiało można powiedzieć, apoteoza żywiołowego pędu życia, okupionego choćby nawet samobójczą śmiercią (jak w *Marzycielu*). Wspaniałym symbolem tego kultu siły życiowej jest Boryna w swoich przedśmiertnych chwilach, kiedy to, na wpół przytomny, zrywa się z łóżka, idzie na pole i rzuca ziarna w swoją ukochaną, świętą ziemię; albo i Franek Kulesza, kiedy, w obliczu nadciągającej wojny z Niemcami, przerywa pracę na polu, a zleciwszy żonie gospodarstwo, zaciska zęby i idzie «na wroga» ze słowami: «Zapłacimy ścierwom za wszystko, zapłacimy!» — albo jeszcze owi uczestnicy procesji, którzy, kiedy ksiądz padł od kuli niemieckiej, chwytają z jego rąk «kielich z żywą Krwią i Ciałem Pańskim», niosą go dalej «wskroś huraganów, wskroś śmiertelnych odmetów bitwy, wskroś pożogi i zniszczenia. I w y n i e ś l i...»

Oto filozofia życia utworów powieściowych Reymonta — i jego własna. Nie dał w nich, jak tego pragnął, «przekroju filozoficznego w s z y s t k i c h warstw, pokładów narodu», nie odtworzył «c a ł e g o misterium życia polskiego»: ale «polską duszę ogólną», «duszę odrębną», «moc cudną i wspaniałą, co nie zginęła pod pokładami obcych napływów i wrogich osadów i naszej własnej wrogości», narodowi ukazał — nade wszystko w tym arcydziele powieści polskiej i wszechświatowej, którym są *Chłopi*.

WŁADYSŁAW NEHRING
WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

Pewne pismo warszawskie zakończyło wzmiankę o zmarłym dnia 30 stycznia 1909 roku Władysławie Nehringu wiadomością, że «czarna chorągiew, wywieszona» — na wieść o jego śmierci — «przez Akademię Umiejętności w Krakowie, była wyrazem nie tylko jej żałoby, lecz i całej inteligentnej społeczności polskiej».

Jeden to z tych ulubionych przez prasę codzienną albo bezmyślnych, albo świadomie kłamliwych frazesów, które balamucą opinię publiczną i zarazem usypiają sumienie społeczeństwa. Że śmierć Nehringa okryła żałobą naszą Akademię Umiejętności, to święta prawda: ale, żeby «cała inteligentna społeczność» miała po jego śmierci wdziawać żałobę, to nie prawda, — choćby już dla tego, że nasza «inteligentna społeczność», która na pogrzebie Deotymy głośno pytała, kto to jest właściwie ta Deotyma, tym bardziej nie wie, kto to jest bez żadnego porównania mniej od Deotymy głośny Nehring. Starsze pokolenie przypominało sobie może, iż się przed laty uczyło z jego *Kursu historii literatury polskiej*: ale z pokolenia młodszego «inteligentnej społeczności» czy wielu słyszało o Nehringu?

Wprawdzie pisma nie omieszkaly nas powiadomić, że był on Wielkopolaninem (urodził się w Klecku pod Gnieznem dnia 23 października 1830 r.); że się kształcił w szkołach poznańskich i w uniwersytecie wrocławskim; że po ukończeniu studiów był przez lat z górą dziesięć nauczycielem gimnazjalnym, a później, od roku 1868 do końca niemal r. 1907, profesorem języków i literatur słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim, którą to katedrę objął po śmierci Wojciecha Cybulskiego; że wreszcie ogłosił cały szereg uczonych książek i rozpraw po polsku i po niemiecku, które mu zjednały godność członka Akademii w Krakowie i w Petersburgu, Towar-

zystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu oraz wielu innych Towarzystw naukowych, słowiańskich i niemieckich. Te krótkie wzmianki i dłuższe artykułiki o życiu Nehringa przypieczętowano sądem ogólnym, że był to uczony znakomity. Ale — pomyślał zapewne niejedyn czytelnik — może to taka sama prawda, jak ta, że *Sobieski pod Wiedniem* Deotymy dorównywa *Iliadzie* czy nawet przewyższa ją plastyką (bo i tego frazesu nie wahano się naszej «inteligencji» za dobrą monetę po śmierci Deotymy podawać, nie rozumiejąc widocznie, jaka się tym krzywda Deotymie dzieje)? Nie, tym razem powiedziano prawdę: Nehring był istotnie znakomitym uczonym, tylko że nie umiano należycie tej prawdy uzasadnić i wyjaśnić. Postaramy się to uczynić we wspomnieniu niniejszym.

* * *

Ale nasamprzód — jeszcze kilka szczegółów z życia i kilka rysów charakteru mego ukochanego nauczyciela.

Dla historii czasopiśmiennictwa wielkopolskiego nie będzie może obojętną wiadomość, że założycielem *Tygodnika Poznańskiego*, który zaczął wychodzić w roku 1862 pod redakcją Kazimierza Szulca, był — Nehring.

Z innych jego zasług społecznych tę jedną przynajmniej wymienić warto, że on to był inicjatorem i organizatorem Towarzystwa Literacko-słowiańskiego, którego członkami mogli być jedynie uczniowie uniwersytetu wrocławskiego, «bez względu na narodowość, byleby tylko posiadali język polski lub inny jaki słowiański», a którego zadaniem było «przez wspólne naukowe prace, a mianowicie przez piśmienne rozprawy obeznać członków z językami, literaturą, dziejami i prawem ludów słowiańskich». Tak opiewała zatwierdzona w roku 1868 przez władze wyższe ustawa. W istocie jednak nie o słowiańszczyznę tu chodziło: chodziło o polskość, o pielęgnowanie jej i rozwój wśród napływającej tłumnie do uniwersytetu wrocławskiego młodzieży wielkopolskiej i, co ważniejsza jeszcze, wśród młodzieży śląskiej, do której uświadczenia narodowego przyczyniło się Towarzystwo Literacko-słowiańskie, pozostające pod troskliwą opieką Nehringa, nie mniej skute-

cznie, jak jego wykłady uniwersyteckie, zwłaszcza o poezji polskiej XIX wieku.

Bo Nehring był nie tylko znakomitym uczonym, ale i znakomitym obywatelem polskim. Kochał gorąco kraj rodzinny i dlatego to właśnie katedrę wrocławską poczytywał za placówkę nie tylko naukową, ale i narodową. Nie znaczy to bynajmniej, aby, jako profesor, «prowadził politykę»: nie, polityką nigdy nie splamiał katedry uniwersyteckiej Nehring, — on, który zawsze był apostołem czystej nauki; ale, rozumiejąc, że jednym z najpotężniejszych czynników życia narodowego jest czysta nauka wogóle, a coś dopiero nauka, której przedmiotem jest życie narodu — pod postacią czy to języka, czy literatury, czy innych czynów, — z tym żywszą gorliwością i z zapalem tym gorętszym krzewił tę właśnie naukę wśród młodzieży, rozbudzając w niej tym sposobem i utrwalając uczucia narodowe. I nie ulega najmniejszej wątpliwości, że długoletnia działalność profesorska Nehringa należy nie tylko do historii uniwersytetu wrocławskiego i do historii sławistyki, ale zarazem do historii polskiej pracy narodowej w ogóle, a pracy narodowej na Śląsku pruskim w szczególności. Nie było to bynajmniej dla uniwersytetu wrocławskiego tajemnicą: wszyscy profesorowie-Niemcy wiedzieli doskonale o tym, że ich jedyny kolega-Polak jest gorącym patriotą polskim, ale i o tem wiedzieli, że ten kolega-Polak jest jednym z najznakomitszych sławistów w Europie i że ten gorący patriota polski nigdy stanowiska swego nie nadużyje, że się nigdy nie będzie posługiwał katedrą, jako bronią propagandy politycznej, wierny swojej ulubionej maksymie Rankego: *Die reine Wahrheit, alles übrige Gott befehlen*. Więc nie wahali się koledzy Nehringa wybierać go trzykrotnie na dziekana wydziału filozoficznego, a później wynieśli go na najwyższą godność — rektora uniwersytetu. Z tych godności — zaszczytniejszych dla niego nierównie od udzielonej mu przez rząd pruski rangi tajnego radcy i kawalera orderu orła czerwonego — dumny był Nehring i szczęśliwy, bo, chociaż jaśniał przez całe swoje życie dziwną, wyjątkową skromnością, rozumiał jednak, mając świadomość swojej zasługi, że mu się one słusznie należą; wiedział

nadto, że się wśród kolegów cieszy nie tylko szacunkiem, ale i czcią, nie tylko uznaniem, ale i miłością.

«Chciałem — pisał dnia 8 grudnia roku 1900, w liście do ucznia, kreślącego to wspomnienie — odpowiednio do moich usposobień i zwyczajów spędzić dzień moich siedemdziesiątych urodzin w cichości, w zakątku domowym, w skupieniu ducha, i dlatego kiedyś powiedziałem, że tego jubileuszu święcić nie będę. Stało się inaczej! Moi starsi i młodszy uczniowie sprzyśegli się na to, aby dzień ten koniecznie wyróżnić, i od nich, zdaje się, wieść się rozeszła. Koledzy moi z uniwersytetu zrobili mi wielką radość i wnieśli gratulacje osobiście w dom, przyjęci *à bras ouverts*. A za tym przykładem poszły inne korporacje, przysłała też deputacja z seminarium słowiańsko-filologicznego. Nigdy w domu naszym nie było tak gwarno, jak w południe 23 października. A potem, jak by echo odezwania się w *Dzienniku Poznańskim* z dnia 25 października, dochodziły mię liczne głosy życzliwe i zbliska i zdaleka: przyszedł adres kółka sławistycznego z Krakowa, i stamtąd mają nadejść jeszcze dwa adresy: od wydziału filologicznego Akademii i od fakultetu filozoficznego w uniwersytecie. Nadchodziły też liczne listy, i przyszedł też list od Kochanego Pana, list bardzo serdeczny, pisany słowami miłości, wyjętymi z pod serca, miłości dla mnie, na jaką chciałem zasłużyć, a może nie zasłużyłem».

Nie zasłużył? Ach, Mistrzu Ukochany! cóżby wari byli Twoi uczniowie, gdyby Cię nie kochali — za Twoją pracę nad nimi, za Twoje mądre wykłady, ale nade wszystko za Twoją polską, jasną jak słońce, a czystą jak lza duszę?

I właśnie za duszę kryształową, za nieposzlakowaną piękności charakteru czcili i kochali Nehringa zarówno koledzy, jak uczniowie, zarówno rodacy, jak cudzoziemcy. *Viro morum candore atque suavitate omnibus collegis carissimo* — te słowa stanowią najpiękniejszą ozdobę odnowionego dyplomu doktorskiego, którym dnia 12 sierpnia roku 1906 uczcił uniwersytet wrocławski pięćdziesiątą rocznicę doktoratu swego ucznia zarazem i profesora, — i są najrzetelniejszą prawdą.

Prawdą również są i te słowa, w które ujęto zasługi nau-

kowe Nehringa: *Scriptis non minus acutis, quam accuratis, omnes fere litterarum slavicarum partes promovit.*

* * *

Jedyną popularną pracą Nehringa (jeżeli nie brać w rachubę opracowanego przezeń nowego wydania starej gramatyki polskiej Jana Poplińskiego tudzież uzupełnień w piątym wydaniu *Nauki poezji* Hipolita Cegielskiego), jest, a raczej w swoim czasie był — *Kurs historii literatury polskiej dla użytku szkół* (1866), będący w bezpośrednim związku z jego pracą nauczycielską w szkołach poznańskich, gdzie, prócz języków starożytnych i historii, wykładał język polski i historię literatury polskiej. Główną wadą tego podręcznika, oprócz przewagi pierwiastku biograficznego nad literackim i pewnej schematyczności wykładu, jest rażąca niewspółmierność w opracowaniu literatury dawniejszej a nowszej; słusznie powiedział Kazimierz Kaszewski (1), że książkę swoją powinien był dać autor tytuł: «Kurs historii literatury polskiej od czasów Mickiewicza z krótkim poglądem na piśmiennictwo dawniejszych epok»; ale nie mniej słusznie wyraził się Kaszewski, już wtedy wyróżniający się bezstronnością, że jest to, wśród podręczników szkolnych, pierwsza praca, «przedstawiająca ruch umysłowy ostatnich czasów w jego całości, dokonana metodycznie, poddająca wszystkie szczegóły pod ogólny sąd i stanowiąca obraz, oddychający harmonijną jednością». Zapewne, dzisiaj jest podręcznik Nehringa książką mocno przestarzałą, ale w swoim czasie odegrał w nauce szkolnej i domowej rolę bardzo pożyteczną.

Wszystkie inne prace naukowe Nehringa, nie wyłączając *Studiów literackich*, mają już charakter specjalny, często bardzo specjalny, i te właśnie prace zapewniają mu wybitne stanowisko w historii nauki. *Omnes fere litterarum slavicarum partes promovit.* Rzeczywiście: j a k o u c z o n y, mógłby był Nehring, zmieniając sentencję poety rzymskiego, śmiało powiedzieć o sobie: *Slavus sum et nihil slavici a me alienum*

(1) W Pamiętniku Literackim i Artystycznym (Warszawa, 1867, styczeń, str. 165 nn.).

esse puto. Obchodziły go zarówno języki Słowian, jak ich literatura i historia, etnografia i starożytności; zarówno *Sprawa Zborowskich*, jak *Pomniki języka staropolskiego*, zarówno epika ludowa rosyjska i serbska, jak *Pan Tadeusz* albo *Balladyna*; zarówno *Wyrazy z wątlą samogłoską l. r. pomiędzy spółgłoskami*, jak starożytne pomniki z czasów Piotra Własta, rozrzucone po stokach Sobótki na Śląsku. *Linguae veteris polonicae monumenta praeclare edidit et grammaticam e cognatis dialectis illustravit; cum de aliis poëtis polonicis, tum de Cochranio pulcherrime disseruit; complura capita mythologiae slavicae face criseos illuminavit; nomina locorum moresque Silesiae docte explicavit.*

Lecz ocena całkowitej spuścizny naukowej Nehringa przekracza nie tylko zamiary, ale, co większa, i siły autora niniejszego szkicu. Niechże mu za to wolno będzie scharakteryzować nieco szczegółowiej jego zasługi na polu historii literatury polskiej oraz historii języka polskiego. Zresztą te dwie dziedziny są w badaniach Nehringa najczęściej z sobą nierozłączne, jeżeli bowiem nie wszystkie, to przynajmniej najważniejsze jego badania językowe wzbogacają zarazem naukę historii literatury, osobliwie jego pomnikowe dzieło o pomnikach języka staropolskiego.

* * *

Był Nehring językoznawcą, etnografem, archeologiem, paleografem, historykiem, krytykiem, ale przede wszystkim i we wszystkim był — filologiem. Ścisła i umiejętna metoda filologiczna stanowi cechę wspólną wszystkich jego badań pomimo różnorodności ich dziedzin.

Znajomość metody filologicznej zawdzięcza Nehring szkole niemieckiej. Wprawdzie jego profesor wrocławski, filolog klasyczny G. Fr. Haase, był filologiem dawnej daty, to znaczy, że nie dopatrywał się pożytku z językoznawstwa porównawczego dla filologii klasycznej. Ale też nie jego obrał sobie Nehring za mistrza: poszedł za tymi, co uczyli, że filologia dopóty nie będzie nauką we właściwym i szerokim słowa tego znaczeniu, dopóki nie pójdzie drogą, którą jej wskaże metoda historyczno-porównawcza. Otóż Neh-

ring przyswoił sobie gruntownie zasady tej metody, i ona to (obok rozległej erudycji oraz trzeźwości umysłu i wręcz wyjątkowej ostrożności w wysnuwaniu wniosków) stanowi jego główną siłę, jako uczonego filologa; ona to właśnie sprawiła, że w swych badaniach nad językiem polskim jest Nehring polonistą, ale zarazem i slawistą, a w swych studiach literackich nade wszystko pyta o źródła utworu (w najszerszym znaczeniu tego wyrazu).

Slawiści byli w Polsce już przed Nehringiem; dosyć przypomnieć, że pierwsze trzy dziesięciolecia XIX wieku (epoka Towarzystwa Przyjaciół Nauk) tworzą w historii naszej slawistyki wcale piękną kartę, której jeden z uczonych rosyjskich poświęcił obszerne studium (1). Ale cóż, przyszedł rok 1831 i zatamował dalszy rozwój slawistyki polskiej: względy polityczne przeważyły nad naukowymi, i trzeba było później na nowo nawiązywać nie przetrwaną (zjawisko tak częste w historii naszej umysłowości!). Otóż Nehring, który zawsze był kapłanem czystej nauki, był u nas jednym ze wskrzesicieli slawistyki, jednym z najzasłużeńszych budowniczych nowego jej gmachu.

* * *

Podobne, tylko może większe jeszcze zasługi położył, jako krytyk i historyk literatury.

Jak slawistyka, tak i krytyka literacka istniała u nas przed Nehringiem: wszak był Brodziński, Mochnacki, Grabowski, Mickiewicz, Krasiński, było wielu innych. Ale nie było krytyki naukowej; usiłowania oparcia jej wyłącznie na filozofii albo na estetyce zawiodły, bo zarówno filozofia, jak i estetyka, wisiały jakby w powietrzu: przecie wszechwładny u nas podówczas romantyzm budował wspaniałe gmachy, ale na tęczę, nie na granicę.

Co zaś do historii literatury, to nie było jeszcze Nehringa na świecie, kiedy Bentkowski napisał swoje dzieło dwutomowe, ale o charakterze prawie wyłącznie bibliograficznym;

(1) W. Francew. Polskoje sławianowiedienije konca XVIII i pierwoj czetwerti XIX st. Warszawa, 1906.

miał Nehring lat dziesięć, kiedy się ukazał tom pierwszy dzieła Wiszniewskiego; miał lat dwadzieścia jeden, kiedy Maciejowski zaczął wydawać swoje trzypięciotomowe *Piśmiennictwo*. Ani Wiszniewski wszakże, ani Maciejowski dzieł swoich nie ukończyli. Dlaczego? Dla bardzo prostej przyczyny: brakowało tego, bez czego wszelka synteza naukowa jest niemożliwa — badań monograficznych. Te zainicjował wprawdzie u nas już Ossoliński: jego *Wiadomości historyczno-krytyczne* ukazały się jeszcze na kilka lat przed urodzeniem Nehringa i zawierały w sobie, pomiędzy innymi, obszerną monografię o Stanisławie Orzechowskim. I cóż z tego, kiedy się nie znowu przerywała: Ossoliński nie miał naśladowców! Trzeba było na nowo dawać pochop do badań monograficznych, żeby zaś nadać im charakter ściśle naukowy, trzeba było zastosować do nich krytykę filologiczną, bez której naukowej historii literatury niema i być nie może.

Otóż tego dzieła dokonali u nas czterej Wielkopolanie, co nie jest bynajmniej przypadkiem, ale pochodzi stąd, że Wielkopolanie kształcili się w szkole niemieckiej, a w Niemczech krytyka filologiczna najbujniej się rozwijała. Nazwiska ich brzmią: Antoni Małecki, Antoni Mierzyński, Józef Przyborski i — Władysław Nehring. Tym czterem uczonym zawdzięczamy pierwsze cztery, ściśle już naukowe, bo opracowane według zasad krytyki filologicznej, monografie historyczno-literackie: Małeckiemu — studium o Morsztynach, Mierzyńskiemu — o Klonowiczu, Przyborskiemu — o Kochanowskim, Nehringowi — o Heidensteinie. Monografia Małeckiego ukazała się roku 1859, Mierzyńskiego i Przyborskiego — w roku 1857, Nehringa — w r. 1856. Tak więc z pośród czterech współtwórców naukowej historii literatury polskiej Nehringowi należy się pierwszeństwo chronologiczne.

Zważmy nadto jedno jeszcze: Mierzyński poświęcił się później filologii klasycznej i mitologii porównawczej; Przyborski — językoznawstwu i bibliografii; a i Małecki, po napisaniu znakomitego dzieła o Słowackim, odda się niemal wyłącznie zrazu badaniom językoznawczym, potem — historycznym: jeden Nehring, nie zrywając z językoznawstwem, będzie do śmierci uprawiał niwę historii literatury polskiej i tym spo-

sobem najwięcej ze wszystkich przyczyni się do jej rozwoju i utrwalenia w niej naukowej krytyki filologicznej.

* * *

Największe i najtrwalsze zasługi położył Nehring około historii literatury średniowiecznej i języka staropolskiego.

Mniejsza o rozbiór krytyczny łacińskiej *Powieści kronikarza polskiego o Walterze i Helgundzie*, a nawet o *Początki poezji dramatycznej w Polsce*; nierównie większą mają wagę opracowanie i wydanie krytyczne *Psalterza Floriańskiego*, *Wigilii za umarłe ludzie* i *Kazań gnieźnieńskich*, oraz obszerna rozprawa *O wpływie języka i literatury staroczeskiej na język i literaturę staropolską*, oparta na szczegółowym zbadaniu czterech głównie pomników: *Psalterza Floriańskiego*, *Psalterza Puławskiego*, *Biblii królowej Zofii* i *pieśni Bogurodzica* (które nadto poświęcił Nehring studium osobne).

Ponad tym wszystkim jednak góruje najobszerniejsza i zarazem najcelniejsza książka Nehringa, jego dzieło klasyczne: *Altpolnische Sprachdenkmaeler*, w którym nie tylko usystematyzował, ale ocenił krytycznie wszystkie znane podówczas (r. 1886) zabytki języka staropolskiego i literatury średniowiecznej, zarówno prozy, jak poezji; tutaj też ogłosił po raz pierwszy, obok wierszowanej *Skargi umierającego*, najciekawszy zabytek naszej dawnej poezji: *Rozmowę Mistrza ze Śmiercią*. Dzisiaj, głównie dzięki Brücknerowi, ilość dawnych zabytków pomnożyła się, a ich znajomość pogłębiła, ale czy byłoby to możliwe bez książki Nehringa? Najlepszą i najbardziej kompetentną odpowiedź daje sam Brückner, który przy końcu swojej *Literatury średniowiecznej*, spłacając dług wdzięczności względem poprzedników, wylicza ich nazwiska, poczym dodaje: «Góruje nad nimi wieloletnią, wszystko ogarniającą pracą — Władysław Nehring; jego po niemiecku wydane dzieło o pomnikach staropolskich, jego wydanie *Psalterza Floriańskiego* wzorowe i innych szczątków i zabytków ułatwiło, a raczej umożliwiło i niniejszą pracę».

Jeżeli wieki średnie pociągały Nehringa, głównie jako filologa, to wiek XVI nęcił go, jako historyka literatury; bo

i któryż badacz nie kocha tego wieku złotego? Zresztą i tutaj nie zapomniał Nehring o języku: na trzeci zjazd historyków polskich w Krakowie nadesłał obszerny referat, w którym świetnie wykazał, pod wpływem jakich to czynników powstał i ukształcił się nasz prześlizgnięty język literacki tego stulecia; a pogląd, że choć w XVI wieku «wielu było pracowników na niwie języka polskiego», «ale głównie trzech pisarzy zasługuje na miano twórców języka piśmiennego z epoki złotej, tj. Marcin Bielski, Jan Kochanowski i Piotr Skarga», jest, z pewnymi zastrzeżeniami, słuszny.

Rejowi poświęcił Nehring specjalną rozprawę, w której zbadał i ustalił zależność *Żywotu Józefa* od wzorów obcych, dochodząc do tych samych rezultatów, do jakich współcześnie i niezależnie od niego dotarł Bruchnalski. Trzy studia o trzech historykach: o Heidensteinie, Solikowskim i Joachimie Bielskim, zawierają w sobie zarówno ich życiorysy, osnute na szerszym tle dziejowym, jak rozbiory krytyczne pism historycznych; wysunięcie Heidensteina na samo czoło dziejopisarstwa naszego XVI wieku jest dziełem Nehringa.

Lecz najwięcej wartości ze wszystkich jego studiów o literaturze tego stulecia posiadają trzy prace o Kochanowskim. Rzec o *Trenach* nie jest wprawdzie pierwszym studium krytycznym o tym arcydziele liryki staropolskiej (bo pierwsze i bardzo piękne napisał Felicjan), ale lepszego, głębszego pod względem analizy psychologicznej nie ma do dziś dnia. *Odprawę posłów greckich* badał pierwszy Mecherzyński (jeszcze w roku 1849); gruntownie zbadał ją dopiero Nehring (i współcześnie — Kallenbach). Wreszcie książka *Jan Kochanowski, życie i dzieła* nie tylko jest doskonałą syntezą całej pracy krytycznej o Janie z Czarnolasu aż do roku 1900, ale nadto należy do tych nie wielu naszych studiów historyczno-literackich, które w bardzo szczupłych rozmiarach zamykają bardzo bogatą treść.

Z pisarzy wieku XVII miał Nehring (podobnie, jak Tarnowski) największą słabość do Kochowskiego; to też poświęcił mu wcale obszerne studium, któremu jednak daleko do tej wysokości, na jakiej stoją prace o Kochanowskim. Natomiast rozprawę o Jędrzeju Morsztynie, poświęconą wyka-

zaniu stosunku jego poematu *Psyche* do oryginału włoskiego, słusznie uznano za studium klasyczne. Rozbiór szczegółowy *Tragedii o Scylurusie* Jurkowskiego, poprzedzony treściwym zarysem historii pierwotnej poezji dramatycznej w Polsce, oraz częściowe wydanie tzw. *Dialogu chełmińskiego*, wraz z piętnastu intermediami komicznymi — to także cenne przyczynki do historii poezji tego stulecia.

W zakresie literatury XVIII wieku — jedno tylko studium, ale za to, co się nazywa, znakomite: o poezjach Krasickiego. Na szczególną uwagę zasługuje przenikliwa, świetna analiza *Myszejdy*, wykazująca, że doszukiwanie się alegorii w tym poemacie (a szukał jej nawet ostrożny Chmielowski!) jest zgola bezpodstawne. Jeżeli które studium Nehringa, to właśnie rozbiór *Myszejdy* jest idealnym wypełnieniem tego zadania krytyki, które St. Beuve poczytywał za najważniejsze — żeby umiała czytać i uczyła czytać.

Zadanie to przyświecało Nehringowi i przy studiach nad poezją XIX wieku. Tu należą, prócz ogólnej charakterystyki poezji polskiej w epoce Mickiewicza oraz studium o młodości Bohdana Zaleskiego, rozbiory *Grażyny*, *Konrada Wallenroda* i *Pana Tadeusza*, *Balladyny* i *Lilli Wenedy*, *Nieboskiej Komedii* i *Irydiona*. Ani jeden z tych rozbiórów nie jest wprawdzie wyczerpujący, — zwłaszcza pod względem oceny artystycznej: ale każdy przynosi cały szereg bystrych spostrzeżeń, dotyczących nade wszystko genezy i myśli przewodniej utworu.

Wyróżnia się pod tym względem analiza *Balladyny*, doskonale uwydatniająca, na równi z rozbiorem *Myszejdy*, znakomitą metodę krytyczną Nehringa.

Im Auslegen seid frisch und munter,
Legt ihr's nicht aus, so legt was unter!

— mówi ironicznie i dowcipnie Goethe; i ma słuszość: iluż to krytyków, pragnąc wyjaśnić myśl przewodnią utworu, nie wyklada go, ale wkłada weń — to, o czym się poecie nigdy nie śniło! Ofiarą takiego «krytycyzmu» padła właśnie *Balladyna*, w której się dopatrywano jakiejś alegorii. Nehring zbił znakomicie te zapatrywania, wykazując, że *Balladyna* jest

«udramatyzowaniem związku świata duchów ze światem ludzi». (Nie dostrzegł jednak symbolicznego jej charakteru.).

A jak w tym studium, tak i we wszystkich innych, «kuszając się o to, ażeby odgadnąć, co poeta chciał napisać, w jakim duchu i sposobie», opierał się Nehring jedynie na tym, co sam poeta napisał, bądź w utworze, bądź w przedmowie, nigdy nie podsuwając mu własnych myśli, a cóż dopiero własnych... życzeń (bo i własne życzenia umieją «krytycy» wmawiać w poetów). W ogóle przy badaniu utworów nowszej poezji posługiwał się zupełnie tą samą metodą, którą tak świetnie stosował do studiów nad poezją dawniejszą: wszędzie, umiając sam czytać, uczył czytać, docierając z niepospolitą przenikliwością do ukrytej często intencji poety i głównie ze stanowiska tej intencji wydając sąd o jego utworze.

Z poetów XIX wieku największy kult miał Nehring dla Mickiewicza. Świadczy o tym wymownie, oprócz wymienionych już studiów, jego gorliwy udział w pracach Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza we Lwowie. Opracował wydanie krytyczne *Konrada Wallenroda*, a w tomach *Pamiętnika* Towarzystwa umieścił, oprócz gruntownej recenzji książki Chmielowskiego o Mickiewiczu oraz nieznanych materiałów do nauki Towiańskiego, dwie niezmiernie cenne, bo rozszerzające widnokrąg badań krytycznych, rozprawy. Jedną poświęcił *Prelekcjom paryskim*, nie tylko doskonale uwydatniając potrzebę i obowiązek naukowy krytycznego ich zbadania, ale nadto udzielając w tym względzie przyszłym badaczom wskazówek metodycznych; w drugiej scharakteryzował w ogólnych zarysach poglądy społeczne Mickiewicza, który, jego zdaniem, «miał ostatecznie ludzkość na względzie, a patriotyzm i pracę duchową w służbie Ojczyzny uważał jako szczebel do osiągnięcia tego najwyższego celu, którego hasłem było uszczęśliwienie ludzkości».

Dodajmy do tych studiów gruntowny rozbiór powieści historycznych Kraszewskiego, osnutych na tle XVI i XVII w., a będą już, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej najważniejsze i najcenniejsze pozycje w spuściźnie Nehringa, jako historyka literatury polskiej. Nie odznaczają się one ani talentem pisarskim, ani umiejętnością uwydatniania piękna, ani polotem

fantazji czy uczucia: ale jest w nich za to polot myśli badawczej, docierającej bystro do samego dna strony ideowej utworu i wyjaśniającej tajemne intencje autora. To też wszystkie bez wyjątku pogłębiają i rozszerzają wiedzę historyczno-literacką, wszystkie, dzięki znakomitej metodzie, służyć mogą jako wzór analizy filologicznej, wszystkie stanowią podstawę, umożliwiającą dalsze badania.

Oprócz studiów i monografij, rozpraw i rozbiórów, przyczynków i uwag, jest Nehring autorem całego szeregu recenzyj naukowych. Tym należy się osobna wzmianka, a to nie tylko dlatego, że prawie zawsze dorzucają do treści omawianych prac jakiś nowy szczegół albo też własny, oryginalny pogląd, ale nadto posiadają cechę, wysoce znamionną dla Nehringa, jako człowieka: oto strony dodatnie cudzej pracy uwydatniał zawsze nie tylko z ochotą, ale z widoczną radością, a co do stron ujemnych, to nie zatajał ich nigdy, ale mówił o nich z taką oględnością i delikatnością, z takim taktem i powagą, godną uczonego tej miary, co on, że i pod tym względem jego recenzje mogą służyć za wzór dla krytyków. Nigdzie ani śladu ironii, ani cienia niechęci; przeciwnie: wszędzie życzliwość, łagodność, poszanowanie dla cudzej pracy i dla cudzej indywidualności. W recenzjach to właśnie Nehringa wystąpiły na jaw owe *morum candor* i *suavitas*, dzięki którym był *omnibus collegis carissimus*.

* * *

Lecz w słowo drukowane włożył Nehring tylko część swojej rozległej, wszechstronnej w zakresie slawistyki wiedzy: całą wiedzę kładł w żywe słowo. Przez lat czterdzieści wykładał slawistykę w całej jej rozciągłości, ze szczególnym jednak uwzględnieniem rzeczy polskich. Etnografia i starożytna historia słowiańska, starożytności słowiańskie, wstęp do mitologii słowiańskiej; gramatyka cerkiewno-słowiańska, polska, czeska, rosyjska; gramatyka porównawcza języków słowiańskich; historia literatury polskiej, rosyjskiej i innych słowiańskich, — oto przedmioty ogólne, wykładane przez Nehringa. Oprócz nich — szereg wykładów specjalnych, jako to: *Życie Cyryla i Metodiusza*; *O Nestorze*; *Słowo o pulku Igora ze*

wstępem o ludowej epice słowiańskiej; *O Janie Kochanowskim*; *O Morsztynach*; *O Gunduliczu*; *Historia poezji polskiej i rosyjskiej w wieku XIX*; *O Mickiewiczu*; *O Słowackim*; *O Gołolu*; *O Turgieniewie* i in.

Że wykłady te były gruntowne, zbytecznie mówić. Sumienność naukowa Nehringa mogłaby pójść w przysłowie równie śmiało, jak jego ostrożność badawcza (*vorsichtig, wie Nehring* — pisał kiedyś Miklosich do Jagicza). Wymową nie olśniewały wykłady, ale za to posiadały to, co stanowi najwyższą może piękność wykładu uniwersyteckiego: silny akcent szczerości i głębokiego przejęcia się powagą katedry i nauki. Często zapalał się na katedrze Nehring; czasem, gdy wykładał np. o *Improwizacji* Mickiewicza, głos mu drżał ze wzruszenia; a raz, gdy mówił o *Trenach* Kochanowskiego, ukazały się — może pod wpływem bolesnego wspomnienia o śmierci syna — łzy w jego oczach, — w oczach, w których z taką wyrazistością odzwierciedlała się jego dusza, tak głębokich i mądrych, a tak dziwnie dobrych, łagodnych i pogodnych.

* * *

Oprócz wykładów, prowadził Nehring ćwiczenia praktyczne, mianowicie paleograficzne i językowe; ćwiczenia te przez długi czas zastępowały seminarium. Nad uczniami, kształcącymi się specjalnie w historii literatury polskiej, rozciągał osobliwą opiekę. Wie o tym doskonale piszący te słowa jego uczeń, który przez cztery semestry z tej jego opieki korzystał i do śmierci błogosławić go za to nie przestanie. Po dwie albo i więcej godzin tygodniowo uczył go Nehring u siebie w domu, uzupełniając szeregiem specjalnych szczegółów swoje wykłady, a nade wszystko wtajemniczając go w zasady krytyki filologicznej i w ogóle metody historyczno-literackiej. Dzięki Ci za to, Mistrzu Ukochany!

Przez długie lata bezowocnie kołatał Nehring do ministerium oświaty o seminarium slawistyczne. Dopiero w roku 1892 zabiegi te uwieńczyły się pomyślnym skutkiem. Ministerium wyznaczyło fundusz, ze wszystkich stolic słowiańskich zaczęły napływać książki dla biblioteki seminarium, i Nehring

z ścią młodzieńczą energią wziął się do pracy seminaryjnej. Nie zapomniał mu tej zasługi uniwersytet wrocławski, takie mu w dyplomie jubileuszowym wystawiając świadectwo: *Scholis et exercitationibus seminarii, ab ipso instituti, per octo fere lustra habitis, studia litterarum slavicarum in hac universitate mirum quantum auxit permultosque adulescentes sacris philologiae ita imbuunt, ut et ipsa ad incrementa scientiae plurimum conferrent*. W seminarium Nehringa ćwiczył się, pomiędzy innymi, uzdolniony filolog, Adam Babiarczyk, autor słownika do *Biblii Szarospatackiej*.

Ale i w dawniejszych latach, przed utworzeniem seminarium, ze szkoły Nehringa wyszło wielu dzielnych pracowników na polu języka i historii literatury, a więc: Mikołaj Bobowski, który tak wybitnie położył zasługi około historii naszej starożytnej poezji religijnej; Leon Biskupski, autor *Słownika kaszubskiego* i innych prac filologicznych, kustosz Muzeum Czartoryskich w Krakowie; Antoni Danysz, autor cennych studiów w zakresie historii wychowania w Polsce i polskiej literatury pedagogicznej; Bolesław Erzepki, kustosz biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wielki miłośnik i badacz języka i literatury staropolskiej, zasłużony wydawca całego mnóstwa jej zabytków; Bronisław Kąsinowski, autor studiów o Zabłockim i tłumacz *Fileba* Platona; Jan Leciejewski, autor wielu prac naukowych z dziedziny slawistyki; Rafał Loewenfeld, autor studiów o Górnickim i Kochanowskim oraz obszernej książki o Tolstoju; Leon Mańkowski, uczony slawista i zarazem sanskrycista, profesor gramatyki porównawczej w Uniwersytecie Jagiellońskim; Michał Rowiński, autor wybornej monografii o wersyfikacji polskiej; Jan Rzepecki, wydawca i komentator poezji Zbigniewa Morsztyna; Antoni Snowacki, autor cennej pracy o Konarskim; Kazimierz Szastecki, któremu zawdzięczamy polską gramatykę języka czeskiego i inni.

Nie uczniami wprawdzie, ale słuchaczami Nehringa byli, pomiędzy innymi, Bronisław Dembiński i J. K. Kochanowski. Nie godzi się również pominąć nazwiska zacnego pastora Rudolfa Abichta, niezarażonego pruskim jadem nienawiści ku Polsce, lektora języka polskiego i rosyjskiego w uniwersytecie

wrocławskim, autora kilku studiów językowych i literackich, który uczęszczał na wykłady Nehringa już w wieku dojrzałym.

* * *

Działalność profesorska Nehringa trwała do listopada roku 1907. Strudzony długoletnią pracą, znękany śmiercią trojga dorosłych dzieci i żony, usunął się od czynnej służby, chociaż było mu niesłychanie ciężko rozstać się z profesurą. Otrzymał uwolnienie (jak opiewa reskrypt ministerialny) «z najgorętszym uznaniem wielkich zasług, które położył przez czas długiej działalności akademickiej». Zasługi były istotnie wielkie, ale nie za wszystkie z pewnością dziękował mu minister pruski: miał na względzie jedynie zasługi naukowe, — o innych może nie wiedział, a gdyby wiedział, toby za nie nie dziękował. Ale nie zapomniało o nich jedno z czasopism berlińskich (*Taegliche Rundschau*), które z powodu tego reskryptu (ogłoszonego w pismach wrocławskich) pisało, co następuje: «Przed zasługami naukowymi Nehringa — czołem! Tak, ale on okrywał chwałą język polski i literaturę polską!... Czasami nawet wykladał po polsku, a i w domu jego mówiono po polsku»!!! (1).

Tak, to święta prawda. Prawdą jest, że Nehring przez cały czas swej profesury okrywał chwałą język polski i literaturę polską. Prawdą jest, że wykladał po polsku — tylko nie «czasami», lecz stale: mianowicie w soboty, od czwartej do piątej, wykladał po polsku przez cały szereg lat historię naszej wielkiej poezji romantycznej; a połowę, co najmniej, audytoryum sobotniego stanowili Ślązacy. Prawdą jest wreszcie, że w domu jego mówiono po polsku, bo po jakimuż, u diabła, miano mówić w domu polskim? Polakiem urodził się Władysław Nehring, Polakiem był przez całe swoje życie i Polakiem umarł — na biednej, oderwanej od ramion Macierzy, ziemi śląskiej.

(1) Die wissenschaftliche Bedeutung Nehrings in Ehren, aber er verherrlichte die polnische Sprache und Literatur und setzte die deutsche herab. Er las auch zuweilen polnisch, und zu Hause wurde polnisch gesprochen. (Cytata, przytoczona przez Nehringa w liście do autora tego wspomnienia).

JÓZEF TRETIAK

(1841—1923)

W osiemdziesiątym trzecim roku życia umarł w Krakowie, dnia 18 marca, Józef Tretiak, emerytowany i honorowy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor znakomitych studiów o Mickiewiczu, o Słowackim, o Zaleskim, o Goszczyńskim, o Krasickim, o Skardze, o Puszkynie.

Jego życiorys zasługiwałby na szczegółowe opracowanie, był to bowiem nie tylko dużej miary uczony i dużej miary talent pisarski, ale i człowiek nie tuzinkowy; charakter mocny, którego nie osłabiła ciężka szkoła życia; umysł samodzielny, który nie chodził drogami utartymi, ale sam je sobie przecierał, nie oglądając się nigdy na to, czy go one doprowadzą tam, gdzie jest popularność albo kariera. To też popularnością, taką przynajmniej, na jaką, zdawałoby się, zasłużył sobie przez wartość i przystępność swoich książek, nie cieszył się tak dalece: rozgłos dała mu dopiero najniepopularniejsza ze wszystkich jego książek, o Słowackim, niepopularna właśnie dlatego, że jej autor nie poszedł w niej drogą utartą. Nie zrobił i kariery, takiej przynajmniej, jaką nie raz robią stokrotnie warci od niego uczeni: katedrę uniwersytecką otrzymał dopiero w pięćdziesiątym roku życia, i to katedrę nie umiłowanej przez siebie literatury ojczystej, tylko ruskiej; klepał biedę nie tylko w młodości (kiedy to, zmuszony opuścić kraj, jako uczestnik powstania styczniowego, emigrował do Turcji, a potem przebywał przez czas dłuższy w Szwajcarii i we Francji), ale i długo jeszcze później, po powrocie do kraju (kiedy to zarabiał na chleb zrazu tylko piórem, jako dziennikarz, potem także profesurą w szkołach średnich); a i na starość bieda ponownie zajrzała mu w oczy dzięki tej ciężkiej, bolesnej, o pomstę do nieba wołającej krzywdzie, która się w zmarłychwstałej Polsce przez długi czas działa emerytom i weteranom.

Te jednak ciężkie warunki materialne nie przeszkodziły Tretiakowi do wytrwałej i płodnej pracy naukowej, którą obrał sobie za główny cel życia. Nie odrazu jednak na tę drogę wstąpił: zrazu pisywał powieści i poezję, o których dzisiaj wiedzą już chyba tylko czytelnicy... bibliografii, oraz felietony (w lwowskiej *Gazecie Narodowej*).

Pierwszą pracę historyczno-literacką, o Karpińskim, ogłosił dopiero w roku 1876 i 1877 (w *Tygodniu lwowskim*). Później wszakże — na czas dłuższy — z historią literatury polskiej wziął rozbrat, jał się natomiast krytyki współczesnych powieści i poezji (Zoli, Sienkiewicza, Asnyka, Kopnickiej); zainteresował się także dramatem staroindyjskim i epiką fińską i napisał dłuższe studia o tych przedmiotach, oparte, oczywiście, nie na oryginałach, tylko na przekładach.

W roku 1881 ogłosił głęboko pomyślaną, na wskrós oryginalną recenzję drugiego wydania monografii Małeckiego o Słowackim oraz gruntowną krytykę *Historii literatury polskiej* Spasowicza. Te dwie recenzje rozpoczynają długi, przerwany dopiero śmiercią, szereg prac historyczno-literackich Tretiaka.

W roku 1883 ukazuje się jego trzytomowa monografia pt. *Mickiewicz w Wilnie i Kownie*, która się po latach piętnastu doczekała nowego wydania (w dwóch tomach, pt. *Młodość Mickiewicza*), a której uzupełnieniem będzie książka *Adam Mickiewicz w świetle nowych źródeł* (1917). Oprócz tych książek cały szereg studiów i szkiców o Mickiewiczu, a więc: *Mickiewicz i Trembecki*, *Stosunki i pieśni miłosne Mickiewicza w Odessie*, *Dwie Zosie Mickiewicza*, *Karolina Jänisch*; cztery studia o Panu Tadeuszu: *Metodyczny rozbiór koncertu myśliwskiego*, *Obrazy nieba i ziemi*, *Tło historyczne* i *Żywioł osobisty*, dalej: *Mickiewicz i Kościuszko*, *Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny*, *Mickiewicz jako redaktor Trybuny Ludów*, *Kto jest Mickiewicz?* W ścisłym związku z tą długoletnią pracą Tretiaka nad Mickiewiczem, której, niestety, nie sędzono mu było doprowadzić do końca, pozostaje studium o wpływie Mickiewicza na Szewczenkę, szereg studiów o Puszkynie, oraz dwie doskonale charakterystyki: poezji polskiej po Mickiewiczu, oraz całej w ogóle poezji polskiej XIX wieku.

Drugim umiłowanym poetą Tretiaka był Zaleski: jeszcze w roku 1882 ukazały się szkice *Bohdan Zaleski i Ukraina* oraz *Młodociany wiek Zaleskiego*, a w latach 1911—1914 trzypięciotomowa monografia o nim.

Jeżeli do studiów nad Mickiewiczem pobudził Tretiaka przede wszystkim szczery, głęboki, gorący kult zarówno wielkiego poety, jak wielkiego, albo raczej największego człowieka porozbiorowej Polski, do studiów zaś nad Zaleskim po części nowy materiał do życia i twórczości «słowiczka ukraińskiego», a po części sympatia kresowca dla kresowca (Tretiak urodził się w Małych Biskupicach na Wołyniu, szkoły ukończył w Równem, studia uniwersyteckie rozpoczął w Kijowie), — to inne pobudki skłoniły go do zajęcia się życiem i twórczością Słowackiego. Nasamprzód — monografia Małeckiego i jej obszerna recenzja, napisana przez Tarnowskiego: Tretiak nie zgodził się w poglądzie na Słowackiego ani z Małeckim, ani z Tarnowskim, więc chciał wyrazić własny pogląd; jego studium o *Hamlecie polskim*, tj. o tragedii *Horsztyński*, jest jakby odpowiedzią Tarnowskiemu, który tę tragedię poczytywał za szczyt poezji dramatycznej Słowackiego. Lecz o napisaniu całej książki o Słowackim nie myślał jeszcze wówczas Tretiak: zamiar ten powstawał powoli, z jednej strony, w miarę rozszerzania się i pogłębiania studiów nad Mickiewiczem, którego porównanie ze Słowackim tym silniej narzucało się Tretiakowi, im się więcej jego kult dla Mickiewicza wzmacniał, a z drugiej strony, pod wpływem przeświadczenia, że wciąż wzrastający w młodych pokoleniach kult Słowackiego staje się bałwochwalstwem i przybiera kierunek fałszywy, że przedmiotem tego kultu jest nie nieśmiertelne piękno poezji Słowackiego, ale przede wszystkim jej grzmiące i szumne hasła w rodzaju: «Kocham lud więcej niż umarłych kości», «Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec», «Krzyż twym papieżem jest, twa zguba w Rzymie» itp., — hasła, banalizowane i wypaczane na wiecach, dla celów różnorodnej propagandy politycznej i społecznej, mającej najczęściej równie mało wspólnego z myślą i w ogóle z duszą Słowackiego, jak obca jest duchowi Mickiewicza ogromna większość tych mów, których musi słuchać

jego biedny pomnik w Krakowie. Jasną jest rzeczą, że te wszystkie względy nie mogły się nie odbić na książce Tretiaka o Słowackim (1).

Z innych poetów XIX wieku nikt już w tym stopniu, co Mickiewicz, Zaleski i Słowacki, nie pociągał Tretiaka. Lubił bardzo Brodzińskiego, ale studium o nim nie napisał, wydał tylko jego prześliczne *Wspomnienia mojej młodości*. Ujejskiego także bardzo lubił i napisał po jego śmierci doskonałą charakterystykę jego poezji. Do Krasińskiego, jako poety, nie miał nigdy szczególnego nabożeństwa. Interesowało go bardzo jego życie, czego dowodzą dwie rozprawy: *Krasiński w pierwszej dobie młodości* i *Tragiczność w życiu Krasińskiego*. Poezję jego cenił (o czym świadczą jego głębokie uwagi o *Niebońskiej Komedii* i *Niedokończonym poemacie*), ale się nią nie zachwycał. Zachwycał się natomiast jego listami, z których, jak się wyraził w studium o nich, bije «blask melancholiczny, ale tak czysty i szlachetny, że nie przestanie nigdy budzić czci i uwielbienia dla poety, pomimo iż forma artystyczna większej części jego utworów coraz mniej zapewne stawać się będzie ponętna».

Goszczyńskiego znał Tretiak osobiście, szanował go ogromnie, jako wielki i czysty charakter, i żywo odczuwał swoiste piękno jego poezji, na której się Tarnowski poznać po części nie umiał, a po części może nie chciał (przecie Goszczyński był demokratą, rewolucjonistą, a na dobitkę... towiańczykiem!); studia o *Zamku Kaniowskim* i o *Królu Zamczyska* należą do najlepszych studiów Tretiaka. Szkic o Towiańskim ma charakter jedynie przygodny — powstał na zamówienie redakcji *Stu lat myśli polskiej*.

Literatura dawniejsza, XVI i XVII wieku, nie była przedmiotem bezpośrednich zainteresowań Tretiaka. Niepopularnej wartości monografia *Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii Brzeskiej*, chociaż napisana dla uczczenia trzechsetnej rocznicy Skargi, jest jednak jakby tylko odnogą obowiązkowych studiów Tretiaka, jako profesora literatury ruskiej,

(1) Że taka jest geneza tego dzieła, o tem piszący te słowa dowiedział się od jej autora.

nad historią i literaturą Rusi. (Prześlicznym owocem tej profesury, mówiąc nawiasem, jest obszerna rozprawa pt. *Dawna poezja rуска*, stanowiąca ostatnią część zbiorowych *Dziejów literatury pięknej w Polsce*, wydanych w roku 1918 przez Akademię Umiejętności, jako tom XXII *Encyklopedii Polskiej*). Szkic o *Dawnej pieśni żołnierskiej* wypłynął ze studiów nad *Panem Tadeuszem*; zarodkiem książki pt. *Najświętsza Panna w poezji polskiej* jest studium o kulcie Mickiewicza dla Matki Boskiej; a i studium o Trembeckim ma charakter pracy jedynie pomocniczej — do badań nad stylem Mickiewicza. Zresztą literatura wieku XVIII pociągała Tretiaka bardziej, aniżeli wieków dawniejszych; świadczą o tym jego prace o Drużbaciej, o Leszczyńskim, o Konarskim, o Karpińskim, a nade wszystko trzy doskonale studia o Krasickim: *O satyrach, Krasicki jako prezydent trybunału lubelskiego i Charakterystyka w ramach szkicu biograficznego*.

Dodajmy do tych wszystkich studiów dwie rozprawy, wkraczające w zakres metodologii historyczno-literackiej (*Rodzimość i wpływ obcy w literaturze i Podział historii literatury polskiej na okresy*), oraz wyborne studium: *Finis Poloniae, historia legendy maciejowickiej i jej rozwiązanie* (1), a będziemy mieli już wszystkie najważniejsze prace historyczno-literackie znakomitego tego uczonego (2).

Jakież stanowisko zapewniają te prace Tretiakowi w historii naszej nauki historyczno-literackiej?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przede wszystkim rozważyć, że chociaż przed rokiem 1884, w którym się ukazała trzypięciotomowa jego monografia *Mickiewicz w Wilnie i Kownie*, nasza nauka historyczno-literacka posiadała już badania monograficzne o różnych pisarzach, np. Przyborowskiego o Kochanowskim, Nehringa o Heidensteinie i Joachimie Bielskim, Rzążewskiego o Kochowskim, Gąsiorowskiego o Mickiewiczu od roku 1829, Spasowicza o Syrokomli, były to jednak prace, w których bądź to biografia pisarza nie

(1) Uzupełnienia tej pracy i sprostowania błędów ob. Henryk Mościcki: *Okolo legendy Maciejowickiej* (Tyg. Ilustr. 1921) i nade wszystko Antoni Knot: *Finis Poloniae*, Lwów 1938. — (2) Jedyną większą pracą historyczną Tretiaka jest *Historia wojny chocimskiej*.

była umiejętnie powiązana z rozbiorem jego twórczości i stanowiła odrębną, luźną część całości, bądź też nie była należycie wyzyskana dla wyjaśnienia twórczości pisarza, nie mówiąc już o tym, że szczupłe rozmiary tych prac nie pozwalały autorom ani na pełnię życiorysu, ani na wszechstronność analizy twórczości. Pierwszą u nas obszerną monografią historyczno-literacką w wielkim stylu jest książka Maleckiego o Słowackim (1866—7); drugą jest drugie wydanie tej książki (1881), a trzecią — monografia Tretiaka o młodości Mickiewicza.

Otóż, w porównaniu z monografią Maleckiego o Słowackim, jest monografia Tretiaka o młodości Mickiewicza bardzo znacznym krokiem naprzód — nie tylko przez to, że analiza utworów jest o wiele i głębsza i subtelniejsza, ale nade wszystko przez to, że biografia została tutaj związana z twórczością spójniej, a co więcej, że to środowisko, w którym wzrastał Mickiewicz, zbadał i pokazał Tretiak daleko dokładniej, aniżeli to uczynił Malecki w odniesieniu do Słowackiego. Prawda, że drogę w tym względzie uitorował Tretiakowi Chmielowski swoją rozprawą *Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi* (1883); to jednak tłumaczy tylko (w pewnej mierze), ale ani o piędź nie zmniejsza tej wielkiej zasługi Tretiaka, że jego książka o młodości Mickiewicza jest pierwszą u nas monografią historyczno-literacką, w której środowisko zostało tak szczegółowo zbadane i tło tak umiejętnie podmalowane.

Z tym wielkim nabytkiem, który nauka historyczno-literacka zawdzięcza nade wszystko Taine'owi, nie wziął Tretiak rozbratu i później. Jeżeli monografia o Zaleskim, płaszku miłym, ale małego lotu, rozrosła się aż do trzech tomów, to dla tego, że opowieść o jego życiu i rozbiór jego twórczości umieścił Tretiak na niezmiernie i, mówiąc prawdę, nieproporcjonalnie szerokim tle. Że na tym tle postać Zaleskiego czasem zupełnie niknie, to prawda; ale niema chyba historyka literatury i w ogóle czytelnika, któryby się na tę (ze stanowiska konstrukcji artystycznej niewątpliwą i, dodajmy, w spuściźnie naukowej po Tretiaku wyjątkową) wadę skarżał, któryby raczej nie był za nią autorowi wdzięczny; tym bowiem szerokim tłem jest z jednej strony umysłowość Warszawy w okresie

walki romantyków z klasykami, a z drugiej emigracja polska w Paryżu.

Myliłby się jednak, ktoby, charakteryzując Tretiaka, jako historyka literatury, poczytał jego niepospolitą umiejętność umieszczania życia i twórczości pisarzy na tle odpowiedniego otoczenia za najznamienniejszą cechę jego talentu i metody naukowej: Tretiak, posiadający rozległą wiedzę i do śmierci żywo interesujący się postępami nauki historyczno-literackiej, znał oczywiście Taine'a, ale jego teorią o wpływie środowiska na dzieło sztuki nie przejął się nigdy tak bardzo, jak np. — w swoim czasie — Chlebowski: dzieło sztuki było w jego oczach przede wszystkim produktem indywidualnego talentu czy geniuszu twórczego, zależnego wprawdzie od otoczenia, ale tylko w pewnej mierze; w determinizm Taine'a Tretiak nie uwierzył nigdy, był raczej — przez całe swoje życie — wyznawcą wolności twórczej.

Stąd na pierwszy plan w jego analizie utworów literackich wysuwały się zawsze rozważania psychologiczne: jakich strun i pierwiastków duszy twórcy jest utwór wypływem i wyrazem? czy i jak odbiły się w utworach własne przeżycia duchowe twórcy? jak się kształtowała i w jakim kierunku dusza poety? co było w tej duszy *faculté maitresse* i — w związku z tym — co stanowiło najznamienniejszą cechę indywidualną twórczości tego lub owego poety? W odpowiedziach na te pytania i wogóle w tak pojętej krytyce psychologicznej nie dorównał u nas Tretiakowi nikt, a tłumaczy się to nie tylko subtelnością i wnikliwością jego umysłu badawczego, ale także jego talentem do syntezy, którym są obdarzone natury artystyczne: w młodości poeta i powieściopisarz, Tretiak miał przed sobą, także jako krytyk, żywą wizję człowieka i żywą wizję utworu literackiego, a że nadto posiadał niepospolity talent pisarski, więc musiał tę swoją wizję przyoblec w słowa i w ten sposób pokazać ją innym.

«Historią ducha poety i jej odbiciem w poezji» nazwał swoje dzieło o Słowackim. Jakże tę historię pojął? W odpowiedzi na to pytanie mieści się zarazem odpowiedź, dlaczego to dzieło wywołało w pewnych kołach, zwłaszcza młodzieży, takie oburzenie.

Za główną siłę, pracą Słowackiego — przed towianizmem — do twórczości poetyckiej, poczytał Tretiak szaloną ambicję dorównania Mickiewiczowi, a raczej nie dorównania (bo tego byłoby Słowackiemu mało), tylko prześcignięcia Mickiewicza; w ścisłym związku z tą tezą pozostaje inna: Słowackiego wręcz pożerała miłość własna, która górowała nad wszystkimi innymi uczuciami, nie wyłączając miłości kobiety i miłości Ojczyzny, co nie było zresztą rzeczą trudną, albowiem w ogóle uczuciowość była piętą achillesową duchowości Słowackiego: berło trzymało tam nie serce, tylko bujna, rozigrana fantazja, której rzucił na pożarcie zarówno intelekt, jak serce; stąd uczucia, które Słowacki wypowiadał w poezji, bywały niejednokrotnie uczuciami urojonymi. I z tego to stanowiska rozpatrzył Tretiak całą jego twórczość przed towianizmem — z podziwu godną konsekwencją: całe życie duchowe Słowackiego skupił w jednym centralnym ognisku.

Czy istotnie była nim ambicja prześcignięcia Mickiewicza, czy istotnie cała niemal poezja Słowackiego poszła w służbę temu jednemu naczelnemu celowi, innymi słowy, czy ten kąt widzenia, pod którym Tretiak ujął życie duchowe i twórczość Słowackiego w epoce przedmistrzowej, jest słuszny — to inna sprawa. Jeżeli się nie mylimy, taki kąt widzenia jest stanowczo za ciasny, a płynący z dwóch źródeł: po pierwsze stąd, że do życia Słowackiego autor zastośował kryteria, na których podstawie oceniał życie Mickiewicza; a po drugie stąd, że pisząc książkę o Słowackim, żywił doń z góry powziętą niechęć. Słowacki dążył do sławy, chciał niewątpliwie współzawodniczyć z Mickiewiczem: ale nie to było głównym zadaniem jego życia; zadaniem głównym, centralnym, któremu upodrzędniał całe swoje życie (nie wyłączając uczuć) było: stać się wielkim poetą, rozwinąć w sobie i doprowadzić do największej potęgi te wszystkie pierwiastki geniuszu poetyckiego, które od Boga otrzymał, a które sobie bardzo wcześnie uświadomił. Ten wielki cel przyświecał mu tym mocniej, tym jaśniej, że, jako poeta-romantyk, uwierzył, że wielka poezja zbawi ojczyznę, że jest jedną z najpotężniejszych dźwigni kultury duchowej narodu, zwłaszcza takiego, który nadmiarem tej kultury nie grzeszył, którego «czerepy» są jeszcze

«rubaszne», któremu do «anielstwa», a zatem i do zmartwychwstania z niewoli, jeszcze bardzo daleko.

W części drugiej swojego dzieła, poświęconej epoce mistycznej, uwydatnia Tretiak szczegółowo i świetnie transfigurację duchową Słowackiego, słusznie upatrując teraz centralne ognisko jego duszy nie w żądzy sławy, tylko w żądzy świętości. I, rzecz ciekawa, jednocześnie z uwzględnieniem tej zmiany w życiu duchowym poety zmieniać się zaczęło stanowisko autora względem niego — nie, żeby się teraz autor stał wielbicielem Słowackiego, ale że nie pozwala już sobie odtąd na te aluzje i podejrzenia, docinki i zarzuty, których mu dawniej nie szczędził.

Nie dosyć na tym: rozbiór twórczości Słowackiego w tej drugiej części dzieła jest o wiele wszechstronniejszy, aniżeli w pierwszej, nie mówiąc już o tym, że ta część druga jest pierwszą nie tylko umiejętną, ale wręcz świetną próbą rozbioru całości poezji Słowackiego w epoce towianizmu; nikt przed Tretiakiem nie przeorał tak głęboko gruntu, o którym, pomimo badań młodych następców Małeckiego, powiedzieć można, że prawie cały leżał odlogiem. Słusznie powiedział Zygmunt Wasilewski, że dzieło Tretiaka o Słowackim «wypływa ze źródła zatargu jego z Mickiewiczem, sączy się jakiś czas wąskim strumykiem analogii i kontrastu, po czym, rozrastając się coraz bardziej, zamienia się w nurt szerokich badań krytycznych».

Nieszczęście chciało, że pierwszą część swej monografii o Słowackim wydał Tretiak osobno (1903), zanim napisał i ogłosił całość (1905). Kto wie, gdyby dzieło wyszło od razu całe, nie wywołałoby może takiej wrzawy, nie byłoby powodem rozłamu i secesji w lwowskim Towarzystwie Literackim im. Mickiewicza, nie ściągnęłoby takich gromów ani na siwą głowę autora, ani na Akademię Umiejętności, która to dzieło uwieńczyła doroczną nagrodą: część druga, wydana we dwa lata po pierwszej, nie zatarła wrażenia, jakie wywarła pierwsza! Było to zresztą zjawisko zupełnie zrozumiałe (1).

(1) Wyjaśnił to Wasilewski w broszurze p. t. Spór o Słowackiego (1905).

Im bliżej było setnej rocznicy Słowackiego, tym silniej i potęgował się jego kult (którego historii nikt jeszcze nie napisał): Mickiewicza nie strącono wprawdzie z tronu świętości narodowej, ale posadzono obok niego Słowackiego, jako równego (na co, mówiąc nawiasem, wpłynął coraz częściej głoszony i coraz bardziej utrwalający się pogląd, że niema ani potrzeby, ani podstawy do poczytywania jednego z dwóch wielkich poetów za większego, a drugiego za mniejszego, że obydwaj są równie wielcy — każdy w swoim zakresie). Otóż każdy kult ma to do siebie, że jest chciwy i zachłanny, że ogarnia całość swojego przedmiotu, że się rozciąga na wszystkie jego części: jeżeli więc przedmiotem kultu jest człowiek, to cały. W Mickiewiczu naród, wiedziony nie tylko poczuciem estetycznym i nie tylko zmysłem, ale także instynktem narodowym, uczcił wszystko, to znaczy nie tylko poetę, ale i człowieka. Otóż w tym samym kierunku podążył i kult Słowackiego: chciano wzbudzić w społeczeństwie wiarę, że podstawy tego kultu nie tylko powinny być, ale że naprawdę są te same, co podstawy kultu Mickiewicza. Nie dziw, że kiedy się ukazała książka, w której autor, śledząc pilnie historię ducha Słowackiego, nie dojrzał w niej tego wszystkiego, co naród uwielbił i ukochał w historii ducha Mickiewicza, a zwłaszcza tych ogromnych, nadzwyczajnych wartości etycznych i narodowych, którymi jaśniał, jaśnieje i po wiek wieków jaśnieć będzie Mickiewicz i jego poezja, nie dziw, że się przeciwko tej książce — w młodych głowach i młodych sercach — zerwała burza. Jakto? odmawiać Słowackiemu wielkości, jako człowiekowi, twierdzić, że nie miał ani tak gorącego serca, ani takiego patriotyzmu i wogóle zmysłu społecznego, jak Mickiewicz — czy to nie bluźnierstwo? czy to nie przeszkoda w triumfalnym pochodzie Słowackiego na Wawel?

Dzisiaj ta burza już ucichła. Dzisiaj nawet i młodzi czytają już chyba całą książkę Tretiaka spokojnie, bez oburzenia, bez posądzania go o znieważenie świętości narodowej, chociaż naturalnie nie bez wielu zastrzeżeń przeciwko jego sądom. A historyk literatury winien dzisiaj stwierdzić, że monografia Tretiaka o Słowackim jest pierwszą u nas — przed książką Kleinera o Krasińskim — «historią ducha poety

i jej odbiciem, w poezji», pierwszą w naszej nauce historyczno-literackiej monografią psychologiczną na wielką skalę, i to bardzo świetną, dotychczas pod wielu względami nieprześcignioną. Dodajmy jeszcze, że, jak to piszący te słowa słyszał na własne uszy od Tretiaka, jego sąd o Słowackim, jako o człowieku, byłby dlań znacznie korzystniejszy w drugim, zamierzonym, ale nie skutecznym wydaniu monografii.

Co za wielka, niepowetowana szkoda, że krytyk, obdarzony tak wielką wnikliwością psychologiczną i takim talentem charakterystyki, jak Józef Tretiak, nie pozostawił po sobie całkowitej «historii ducha» Mickiewicza «i jej odbicia w poezji». Częściowo tylko wynagradza nam tę stratę, oprócz studium o *Czci Mickiewicza dla Najświętszej Panny*, nade wszystko przepyszny szkic p.t. *Kto jest Mickiewicz?*, szkic, będący naprawdę «syntezą jego poezji» i syntezą jego ducha, najlepszą, najprawdziwszą, najpiękniejszą ze wszystkich (bardzo jeszcze nie wielu) charakterystyk ogólnych Mickiewicza.

Że się Tretiak umiał zdobywać i na szersze syntezy — w dziedzinie charakterystyki nie tylko jednego twórcy, ale i całego zjawiska literackiego oraz całych prądów literackich, tego wymownie dowodzi z jednej strony jego piękna książka o *Najświętszej Pannie w poezji polskiej* (od najdawniejszych do ostatnich czasów), a z drugiej — jego charakterystyka *Głównych prądów poezji polskiej XIX wieku*. Kto się pragnie przekonać, do jak umiejętnej i drobiazgowej analizy był Tretiak zdolny w swoich badaniach historyczno-literackich, niech przeczyta jego książkę o Skardze, a choćby tylko jego studium o Mickiewiczu i Trembeckim, o *Tle historycznym w Panu Tadeuszu*, albo szkic o *Dawnej pieśni żołnierskiej*. Jak głęboko umiał wnikać w ideę utworu, tego najlepiej może dowiódł w studium o *Idei Wallenroda* i w rozdziale o drugiej części *Dziadów*.

Co stanowi bardzo wybitną cechę i zarazem wielką zaletę, śliczną ozdobę, a czasem wręcz urok analiz literackich Tretiaka, to jego subtelny zmysł estetyczny i umiejętność uwydatniania piękna utworu — w sposób zawsze bardzo prosty, nic wspólnego z felietonowym impresjonizmem nie mający, w sposób, zdawałoby się, często przedmiotowy, a jednak

tak bogaty i wyrazisty w kolorycie, tak ciepły, a dyskretny w uczuciu.

Zresztą sprawiedliwość każe wyznać, że skala odczuwań estetycznych Tretiaka nie była nadmiernie szeroka: odczuwał on bardzo żywo piękno poezji zarówno Mickiewicza, jak Słowackiego; doznawał zadowolenia przy lekturze takich kontrastów estetycznych, jakimi są: poezja Zaleskiego i poezja Goszczyńskiego; ale nie odczuwał np. swoistego piękna patetyczności — i dlatego to zapewne nie trafiała mu do duszy poezja Krasińskiego.

Piękności poezji modernistycznej nie widział; Kaspro-wicz i Wyspiański nie stanowią tu wyjątku. Kaspro-wiczowi nie odmawiał «prawdziwego talentu», ale wyraził się o nim, «że nie jest dość sobą, że zbyt skwapliwie stosuje się do mody, że aby podobać się, chce koniecznie utrafić w smak panującego prądu z poświęceniem istotnej swojej oryginalności». Nie odmawiał talentu i Wyspiańskiemu, owszem przyznawał, że talentem «prześcignął swoich rówieśników», ale to uwielbienie dla niego, które, jak mówił nie bez ironii, «wybuchło w młodym pokoleniu i pociągnęło za sobą niejednego ze starszych, szerząc się prawie epidemicznie», tłumaczył sobie nie tyle talentem Wyspiańskiego, ile, po pierwsze, jego «głębokim pesymizmem», po drugie «anarchizmem artystycznym», który... wprowadził do swoich utworów literackich, burząc nie tylko tradycje artystyczne, ale i naturalne granice między rodzajami sztuki, po trzecie «symboliczną niejasnością, tajemniczością, zagadkowością jego poezji i wreszcie tym, że «Młoda Polska» «potrzebowała gwałtownie» «księcia poetów», «takiej wielkiej firmy, wielkiej sławy, wielkiego poety z marką rodzimą, coby jej nadawało taką udzielność, jaką miała nasza wielka poezja romantyczno-narodowa», «i oto w Wyspiańskim... znalazła takiego kandydata do korony, jakiego potrzebowała, to jest takiego, który łączył w sobie wszystkie cechy modernistycznych prądów, czerpał z motywów narodowych i ludowo-polskich, a ciągłymi reminiscencjami z Mickiewicza i Słowackiego zdawał się wskazywać swoje duchowe pokrewieństwo z nimi».

Że te sądy o poetach współczesnych (wypowiedziane zre-

sztą tylko przygodnie — w recenzji ostatniego tomu *Historii literatury polskiej* Tarnowskiego) nie rzucają cienia na studia Tretiaka o Mickiewiczu, o Słowackim, o Zaleskim, o Krasińskim i w ogóle o poetach dawniejszych, że nie ujmują tym studiom wartości, — zbyt cicho mówić. Ich wartość jest tym większa, że ich autor był wysoce utalentowanym pisarzem, że pisał klasycznie jasno i z klasyczną prostotą, bez cienia deklamacji, bez żdziebelka górnego patosu, a zawsze pięknie — plastycznie, obrazowo, żywo, z temperamentem, trzymanym wprawdzie na wodzy przez wymagania obiektywizmu naukowego, nie mniej przeto bardzo wyrazistym, silnym, a męskim w całym znaczeniu tego wyrazu: taniego morału, sentymentalnej lezki patriotycznej, wstydliwego listka figowego, którym się u nas tak często posługują dla zasłaniania «drażliwej prawdy» — nie ma w pismach Tretiaka ani na lekarstwo.

I dlatego to nie w samej tylko historii nauki polskiej zajmuje on stanowisko wybitne, jako autor znakomitych monografii historyczno-literackich, jako subtelny krytyk-psycholog i krytyk-esteta; ma on także zapewnione miejsce w historii literatury polskiej w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu — jako znakomity krytyk-artysta i w ogóle jako wybitny prozaik, jako niepospolity talent pisarski. W jego spuściźnie literackiej są prawdziwe perły, z których przynajmniej jedna powinna się stać dobrem ogólnonarodowym: jest nią rozprawa *Kto jest Mickiewicz*, którą powinno by się drukować w wypisach szkolnych.

STANISŁAW TARNOWSKI
W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN

ODCZYT WYGŁOSZONY W KOLE POLONISTÓW UNIwersYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO DNIA 7 LISTOPADA 1837 ROKU

I

«Talent to ze wszechmiar niepospolity, życia pełen, a dojrzwały, z poglądem szerokim, trzeźwym, a nie ostyglym, stylem i formą odznaczający się; dziś już między krytykami, publicystami naszymi jedno z pierwszych miejsc zajmuje. Sąd o nim był tak zgodny, jednomyślny, a tak pochlebny, jak u nas się prawie nie trafia». Tak pisał w roku 1868 o Stanisławie Tarnowskim Kraszewski, mając na myśli jego pierwsze artykuły publicystyczne w *Przeglądzie Polskim*, a nade wszystko jego debiut literacki, to znaczy jego znakomitą recenzję monografii Małeckiego. Ale cóż? Minął rok, i Kraszewski, nie cofając wprawdzie tego, co powiedział o niepospolitym talencie literackim Tarnowskiego, zaliczył go, dotknięty jego recenzją słynnych *Rachunków* Bolesławity, do grona tych pisarzy, na których «sprawiedliwość, rozagę... nieledwie uczciwość» (!) liczyć nie można.

Takie sprzeczne, czasem nawet diametralnie przeciwne sądy krytyki były udziałem Tarnowskiego przez cały ciąg jego niemal pięćdziesięcioletniej pracy pisarskiej, a dotyczyły zarówno jego niezliczonych artykułów, rozpraw i książek, poświęconych bieżącym zagadnieniom politycznym, społecznym, moralnym, jak jeszcze liczniejszych ocen literatury (i w ogóle sztuki) współczesnej i studiów historyczno-literackich, które były nie tylko jego główną specjalnością, jako długoletniego profesora historii literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim (1869—1909), ale także jego najgorętszym umiłowaniem, największą zasługą i najpoważniejszym tytułem do trwałego stanowiska w historii literatury polskiej.

Przykładów tej sprzeczności sądów o pismach Tarnowskiego można by przytoczyć długi szereg. Kto ich ciekaw, niech weźmie do ręki dwutomową monografię Ferdynanda Hoesicka (*Stanisław Tarnowski, rys życia i prac*), ogłoszoną jeszcze za życia Tarnowskiego (w roku 1906), pamiętając przy tym, że niektóre zbyt ostre sądy Hoesick pominął — całkiem niepotrzebnie, głównym bowiem ich źródłem były nie tyle kryteria obiektywne i nie tyle nawet odmiennosc poglądów i upodobań, ile niechęć albo i zaciekle nienawiść ku Tarnowskiemu, jako konserwatysty i stańczykowi, «wstecznikowi», prawowiernemu i szczeremu katolikowi, a do tego jeszcze hrabiemu (bo i hrabstwa niektórzy darować mu nie mogli).

A byli i tacy krytycy i przeciwnicy, którzy go nienawidzili za jego niesłychaną, tak rzadką w naszej literaturze i w naszym życiu, odwagę cywilną, z jaką rąbał ludziom prawdę w oczy. Wystarczy przypomnieć jego artykuł pt. *Królowa Opinia*, obnażający demoralizację dziennikarstwa lwowskiego, albo jeszcze artykuł *Sumiennosc dzienników i dziennikarzy* (w *Tece Stańczyka*): jedni powitali te artykuły z wielkim uznaniem, a nawet z entuzjazmem, inni — z pianą na ustach, nie mogąc strawić tej np. (do dziś dnia aktualnej) prawdy, że «wyciąganie fałszywych wniosków, fałszywe przedstawianie osób i rzeczy, po prostu mówiąc: potwarz i oszczerstwo, są nieledwie grzechem codziennym naszego dziennikarstwa; kiedy kto jest naszym przeciwnikiem lub nieprzyjacielem, nie próbujemy pokazać jemu ani drugim, że i w czym się myli — wybieramy drogę krótszą i łatwiejszą: mówimy, że co robi, robi za pieniądze albo za order, albo za obietnicę stanowiska, albo za nadzieję władzy; wystarcza głosować nie podług myśli tego lub owego dziennika, wystarcza zganić, co on popiera, lub pochwalić, co gani, żeby jutro plunął ci kto w oczy, że... nie jesteś Polakiem». A cóż dopiero powiedzieć o artykule pt. *Porcje*, wymierzonym przeciwko tym, którzy «z chłopskiej skóry ciągną zyski nieprawie» i nie pojmują, «co robią, do czego prowadzą, jak Ojczyźnie służą, krzywdząc chłopą i na swoją korzyść biedę jego wyzyskując... I dziwić się potem, że nam chłop nie wie-rzy, że nas podejrzewa, że powtarza ciągle ze strachem: «panowie chcą przywrócić pańszczyznę». Musi podejrzewać, musi

nienawidzić, musi się bać, a po niektórych naturalnie sędzi wszystkich». Straszna burza zerwała się przeciwko Tarnowskiemu za te słowa. Niektórzy jednak, jeżeli nie przyznawali mu całkowitej słuszności, to stawali w jego obronie, biorąc pod uwagę nieskazitelną czystość pobudek, które mu podyktowały ten artykuł przeciwko wyzyskiwaniu ludu przez szlachtę. Zresztą jeden z obrońców, Bartłomiej Rozwadowski, przyznał i udowodnił, że się Tarnowski zbyt zapędził, że nie wszystkie jego zarzuty były słuszne. I wówczas to ujawniła się w całej pełni jedna z najpiękniejszych jego cech, jako człowieka — uczciwość: stłumił on w jej imię (nie ten jeden raz zresztą) miłość własną i ogłosił w *Czasie* list otwarty do Rozwadowskiego, odwołując te zarzuty, których niesłuszność mu udowodniono.

Jako krytyk i historyk literatury przez długi czas cieszył się Tarnowski powszechnym uznaniem, a jego odczyty publiczne, wygłoszone w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie, przyniosły mu sławę znakomitego mówcy; starsi ludzie nigdy chyba nie zapomną tego ogromnego wrażenia, jakie na nich wywarły warszawskie odczyty o komediach Fredry, o poezji romantycznej, o *Panu Tadeuszu*, odczyty poznańskie o *Balladynie* i *Lilli Wenedzie*, albo jeszcze lwowskie — o Henryku Rzewuskim. Te ostatnie odsłoniły, obok talentu krasomówczego, jedną jeszcze piękną cechę charakteru Tarnowskiego, tę mianowicie, że kiedy chciał, nie obwijał w bawełnę swoich sądów o tej warstwie, z której sam pochodził, to jest o arystokracji: Henryk Rzewuski okazuje się w tych odczytach jako gawędziarz i powieściopisarz w świetle bardzo pochlebnym, ale jako człowiek i Polak — w świetle straszliwie ciemnym, ot po prostu jako nikczemnik i tak dobrze jak renegat.

Nawiasem mówiąc, taki sąd Tarnowskiego o grafie Rzewuskim nie jest jedynym jego sądem o arystokracji polskiej; w drugim tomie swojej monografii o *Pisarzach politycznych XVI wieku*, na str. 414, przytoczywszy zaklęcie Skargi, skierowane do «ziemskich bogów» («Nie cieśnijcie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach»), mówi dosłownie tak: «Rada głęboka i mądra, zawsze dobra i na czasie dla wszystkich uprzywilejowanych tego świata, dla wszyst-

kich, wszystkich krajów, czasów i rodzajów arystokracji. Miłość rodziny, bardzo u niej silna zazwyczaj i oczywiście bardzo szanowna, miłość swojego rodu i nazwiska, rzecz niebezpieczna, ale tak naturalna, że trudno o nią ludzi winić, i która, na wodzy trzymana, może nie być szkodliwą i grzeszną, — u nas, zwłaszcza od końca XVI wieku, zaczęła być najczęściej i szkodliwą i grzeszną, stała się «kurczeniem Ojczyzny w domach swoich...» Cała historia polska do rozbiorów jest usprawiedliwieniem i komentarzem tych słów Skargi, one są jej dziwnym, fenomenalnym przewidzeniem i są najmędrszą, najgłębszą przestrogą dla wszystkich na świecie arystokracji».

Wspomniana monografia o polskiej literaturze moralno-politycznej XVI wieku, po raz pierwszy uwydatniająca w całej pełni jej bogactwo, doczekała się pochlebnej krytyki tak poważnych historyków, jak Wincenty Zakrzewski, Brückner, Bobrzyński, Rembowski, — inaczej niż książka o Kochanowskim, którą fachowa krytyka przyjęła, na ogół biorąc, nieprzychylnie (i słusznie). Monografia o Krasińskim natomiast w wielu czytelnikach wywołała entuzjazm, a i fachowa krytyka, nie wyłączając najobszerniejszej i najlepszej ze wszystkich ocen (pióra Tadeusza Sternala), stwierdziła jej ogromną wartość. A i tomik *Życiorysów znakomitych Polaków*, poświęcony twórczości Mickiewicza, spotkał się z niemniejszym uznaniem krytyki i z niemniejszą radością czytelników.

W roku 1900 ukazała się (w sam dzień uroczystego obchodu pięćsetlecia Uniwersytetu Jagiellońskiego) pięciotomowa *Historia literatury polskiej* Tarnowskiego. Nawet najsurowszy jej krytyk, Chlebowski, przyznał, że dzieło to pomimo wielu braków i wad jest jednakże znacznym postępem pod względem metodycznym, a to przez wyzwolenie literatury z ciasnych ram biograficznych, w jakie zakuwano ją dawniej, i przez uwydatnienie jej związku z życiem politycznym narodu. Nierównie mniej oszczędnym w pochwałach był Brückner, który orzekł, że w tym dopiero dziele «słowo narodowe znalazło tłumacza narodowego» i «że żadna literatura słowiańska nie może się równym poszczycić». A jakież sądy wydał Piotr Chmielowski, to znaczy ten znakomity historyk literatury, który przez całe swoje życie stał pod wszystkimi, z wyjątkiem pa-

triotyzmu i zapалу naukowego, względami na przeciwnym biegunie wobec Tarnowskiego, pozytywista, demokrat, postępowiec, wróg konserwatyzmu i klerykalizmu, niejednokrotnie ostro z Tarnowskim polemizujący? W swoich *Dziejach krytyki literackiej w Polsce*, wytknąwszy mu bez ogródki to wszystko, co poczytywał za słabą stronę jego twórczości krytycznej i historyczno-literackiej, zamknął swój wyrok w słowach, które niechaj wolno będzie przytoczyć w całości: «Dokonałość nie jest udziałem człowieka. Tarnowski tak gorąco ukochał swój przedmiot, tak gorliwie przez lat z górą trzydzieści go uprawiał, tak świetnie umie przemawiać o wielkich arcydziełach poezji naszej, że wady i błędy, że braki i niedostatki jego umysłu czy jego talentu nie zdołają zagłuszyć wielkich jego przymiotów. A *Historia literatury polskiej*, którą nas obdarował, jest pomimo licznych usterek... nie tylko najlepszym jego dziełem, ale jednym z tych, co stanowić będą chlubę naszego piśmiennictwa i bardzo obfitą, pięknie podaną karm duchową. I w niej wprawdzie nie przestał być rzecznikiem swego obozu, ale więcej niż w którymkolwiek innym dziele przemawiał przede wszystkim jako Polak, radośnie opowiadający o chwałach narodu i najgoręcej życzący mu pomyślnego rozwoju nadal».

Lecz nadeszły czasy tryumfu «Młodej Polski». Tarnowski na łamach *Przeglądu Polskiego* (a później w drugiej części szóstego tomu *Historii literatury*) poddał ostrej, niekiedy nawet drwiącej i szyderczej krytyce nową poezję, nie wyłączając poezji Wyspiańskiego, na której swoiste wartości miał oczywiście szczelnie zamknięte. Nie dziw, że tak surowy, ale bezstronny krytyk, jak Chlebowski, wydał o tej krytyce sąd bardzo niekorzystny, ale będący jeszcze niczym w porównaniu z sądami czołowych krytyków «Młodej Polski», którzy od czci i wiary odsądzili Tarnowskiego, i to nie tylko jako historyka literatury, krytyka i w ogóle pisarza, ale także — w pewnej mierze — jako człowieka.

Elementarna jego dusza — tak się kończy w *Piśmiennictwie polskim* Wilhelma Feldmana rozdział, poświęcony Tarnowskiemu — «oparta o poduszkę dogmatów, śpi w gnuśności serca, nie odczuwającego, co ludzkość, co żywych boli,

wstrząsa, zapala, do rozpacz doprowadza, w gnuśności umysłu, znającego trud mechanicznej pracy, a nie olśnień, natchnień, nateżeń myśli samodzielnej, zwątpień i wzlotów potężnych; a gdy się budzi, to na to, aby gładkim, pustym frazesem w gnuśności pogrążyć drugich — nieuleczalnie banalnym moralizowaniem, obrażającym każdą subtelniejszą inteligencję, nawoływaniem do literatury szablonów uświęconych, do literatury bez indywidualności szczerych, do literatury kastratów. I w tym duchu wychowuje od lat trzydziestu kilku pokolenia dojrzewające».

Z większym jeszcze rozmachem, z bujniejszą jeszcze fantazją i ze złością w sercu pohulał sobie nad Tarnowskim Stanisław Brzozowski w dziewiątym rozdziałku swojej *Współczesnej krytyki literackiej*: «Katolicyzm jest jedną z najpotężniejszych konstrukcyj umysłowych, jakie kiedykolwiek istniały. Jest on zdolny do nadzwyczajnych pogłębień... Ale słabość Kościoła polega dziś na tym, że sam przed sobą kłamie... Hr. Tarnowski należy całkowicie do tego operowego czy operetkowego katolicyzmu Leona XIII et comp. Dla niego, jak i dla drugiego reprezentanta szlacheckiej dekadencji» (tj. dla Sienkiewicza!), «wystarcza fakt, że się msza odprawia, i że on, hr. Tarnowski, na niej bywa». «Hr. Tarnowski... jest jedną z najhumorystyczniejszych postaci, jakie kiedykolwiek bądź uległy obłudowi wielkości. Wyjątkowa nędza umysłowego życia u nas mogła sprawić, że hr. Tarnowski zajmuje w nim dotychczas miejsce». «Styl hr. Tarnowskiego jest kokieteryjnie majestatyczny, jak umizgi podstarzałej piękności». «Wątpię bardzo, czy istnieje dziś w Europie pisarz o umyśle tak całkowicie zahipnotyzowanym przez gest i frazes i tak bezwzględnie niezdolny do ujęcia i opracowania jakiegokolwiek treści». Chyba dosyć takich sądów, aby się zgodzić, że ów rozdziałek Brzozowskiego jest niefortunnym, albo raczej niesmacznym, albo lepiej wręcz obrzydliwym i na poły niepo czytalnym pamphletem.

Takie to sprzeczne sądy wydawano o Tarnowskim za jego życia. Jedni wynosili jego pisma pod niebiosy, inni odmawiali im wszelkiej wartości; jedni widzieli w nich same tylko zalety, inni — same wady. Jedni i drudzy byli bądź dyletantami w tych

przedmiotach, o których pisał Tarnowski, bądź też ludźmi zaślepionymi przez doktrynę tego lub owego stronnictwa, do którego należeli; byli i tacy, co się w sądach swoich kierowali nie rozważą, tylko uczuciem wobec człowieka — bądź przyjaźnią, szacunkiem, a nawet uwielbieniem, bądź też niechęcią, a nawet nienawiścią, albo i... zazdrością wobec jego pozycji społecznej i talentu pisarskiego i krasomówczego; byli i tacy naturalnie, którzy chcieli mu się przypodchlebić. *Nomina sunt odiosa*. Na sąd bezstronny zdobyło się niewiele: należą do nich, oprócz wymienionych historyków, niektórzy badacze literatury — nade wszystko Chmielowski, a także Nehring, Tretiak i Brückner.

Dzisiaj, kiedy mija już lat dwadzieścia od śmierci Tarnowskiego (31 grudnia 1917 roku), kiedy zanikają już ówczesne osobiste sympatie czy antypatie i porachunki partyjne, wolno mieć nadzieję, że i z historii literatury ulotnią się stronnicze sądy o jego twórczości, a zwyciężą bezstronne.

II

Jedno przede wszystkim nie ulega najmniejszej wątpliwości: Tarnowski zapewnił sobie trwale stanowisko w historii literatury polskiej, jako bardzo niepospolity pisarz-prozaik. Styl jego, zwłaszcza w pismach późniejszych, bywa niekiedy nadto retoryczny, czasem rozwlekły, ale, na ogół biorąc, posiada wielkie przymioty: nieposzlakowaną czystość języka, jasność i przejrzystość zarówno poszczególnych zdań, jak długich, nierzadko nawet przydługich okresów, doskonale obmyślaną, logiczną budowę zarówno poszczególnych części, jak całości artykułów, odczytów, rozpraw, książek, a nadto żywość, płynącą z żywego temperamentu, oraz uczuciowość, objawiającą się czy to jako miłość i uwielbienie dla miłych autorowi postaci i utworów, czy też jako ironia albo i złośliwość względem niemiłych mu ludzi i czynów.

Twórczość pisarska Tarnowskiego jest w swej różnorodności godna podziwu: w jednej osobie był mówcą, dziennikarzem, publicystą, moralistą, pamiętnikarzem, historykiem i krytykiem nie tylko literatury, ale także malarstwa i muzyki

(dzieło o Matejce, szkice o Chopinie i Grotgerze). Stanowisko najtrwalsze wywalczył sobie jako krytyk i historyk literatury, to znaczy jako autor sześćcio-, a właściwie siedmiotomowej *Historii literatury polskiej* (1900—1907), kilku obszernych monografij, od *Pisarzów politycznych XVI wieku* aż do dzieła o Klacze (1909), i długiego szeregu studiów i szkiców, od rozprawy o Modrzewskim (1866) aż do odczytu *Miłość ojczyzny w poezji polskiej XIX wieku* (1915).

Na czymże polega jego stanowisko jako krytyka i historyka literatury? Przede wszystkim na tym, że pojęcia literatury nie kurczył do «literatury pięknej», że nie poczytywał «piękną» utworów za jedyne kryterium ich przynależności do literatury, rozpatrywał szczegółowo także i te utwory, które, chociaż nie zawsze «piękne», mieszczą w sobie (jak pisał w przedmowie do *Pisarzów politycznych*) «pojęcie narodu o swoim — w każdej epoce — położeniu i stanie: przecież z tych pism najlepiej, zdaje się, moglibyśmy poznać, cośmy w minionych wiekach o sobie myśleli, jakeśmy się sądzili; pomogłoby to zapewne i do poznania, jacyśmy byli». Mimo woli przypomina się pogląd Mochnackiego, że przez literaturę narodową i w niej naród «uznaje samego siebie w swoim jestestwie». Otóż ani jeden historyk literatury polskiej, nie wyłączając Chmielowskiego, nie rozpatrywał jej z tego właśnie stanowiska tak szczegółowo i tak konsekwentnie, jak Tarnowski.

W najściślejszym związku z takim jego stanowiskiem pozostają rodzaje i kryteria jego sądów zarówno o utworach, jak o ich autorach.

Co do sądów o utworach, często mówiono i pisano, że specjalnością i zarazem największą zasługą Tarnowskiego jest krytyka estetyczna. Co kto przez ten termin pojmuje. Jeśli zadaniem krytyki estetycznej jest szczegółowy rozbiór i charakterystyka stylu, określenie i analiza różnorodnych postaci piękna, np. tragizmu, wzniosłości, wdzięku itd., pierwiastków malarskich, plastycznych, muzycznych, uczuciowych, nastrojowych w utworze literackim — to Tarnowski, nie będąc nic a nic filozofem (co nieraz sam otwarcie przyznawał), tym samym nie był estetykiem, jak, mówiąc nawiasem, nie był nic a nic filologiem; nowszych badań estetycznych nie znał, jak

tego bardzo wymownie dowodzi jego recenzja przepięknego dzieła Stanisława Witkiewicza *Sztuka i krytyka u nas*. A jeżeli kto powie, że głównym zadaniem krytyki estetycznej jest dać albo przynajmniej ułatwić czytelnikowi odczucie piękna utworu, to, nazywając Tarnowskiego estetykiem, także nie będzie miał słuszności. Będzie natomiast miał zupełną słuszność, jeśli go nazwie e s t e t ą.

Tak, był Tarnowski estetą bardzo niepospolitym, wyczuwał piękno utworów literackich i, streszczając je szczegółowo a świetnie, nie tylko uczył je czytelnika rozumieć, ale także, dzieląc się z nimi swoimi własnymi wrażeniami estetycznymi, pogłębiał je albo nieraz nawet budził w duszy czytelnika. Wolno go tedy nazwać krytykiem-impresjonistą, bodaj czy nie najznakomitszym ze wszystkich, jakich w dziedzinie krytyki literackiej miała Polska. Że jako esteta był daleki od tego ideału, który Anglicy nazywają *catholicity of beauty* (tj. powszechnością albo raczej wszechstronnością piękna, a jeszcze lepiej odczuwaniem wszystkich jego rodzajów i odcieni), to prawda: nie wdając się w szczegóły, wystarczy stwierdzić, że piękna poezji «Młodej Polski», nie wyłączając poezji Wyspiańskiego, a po części i Kasprowicza, Tarnowski nie wyczuwał, podobny przez to do klasyków, a raczej pseudoklasyków pierwszej połowy XIX wieku, którzy nie wyczuwali piękna młodej poezji romantycznej, nie wyłączając utworów Mickiewicza. Tak, ale za to rozbiory tych utworów, których piękno wyczuwał, to prawdziwe arcydzieła krytyki estetyzującej; są nimi nade wszystko rozbiory komedij Fredry, *Pana Tadeusza*, *Małepki*, *Horsztyńskiego*, *Niepoprawnych* (jak nazwał Małeckiego *Fantazego*), *Ojca zadżumionych* i *W Szwajcarii*, *Nieboskiej Komedii* i *Irydiona*, powieści Sienkiewicza, *Koriolana* Szekspira, tragedij Schillera.

Lecz na krytyce estetyzującej Tarnowski nigdy nie poprzestawał, co niechaj wolno będzie mu poczytać za wielką zasługę. Zapatrując się na literaturę jako na środek nie tylko uznania się narodu w swoim jestestwie, ale także jako na potężny czynnik rozwoju tego jestestwa i poczytując za najważniejszy cel tego rozwoju kulturę moralną i, co za tym idzie, kulturę patriotyczną, sądził zawsze literaturę także ze stano-

wiska moralnego w ogóle, a patriotycznego w szczególności: stąd jego miłość pełnej ducha obywatelskiego literatury XVI wieku, zwłaszcza *Kazań sejmowych* Skargi, a nade wszystko uwielbienie poezji romantycznej Mickiewicza i Krasińskiego; stąd pewna, wzmagająca się z biegiem lat, niechęć do nadmiernego w jego oczach indywidualizmu Słowackiego (przy całym uwielbieniu dla jego poezji, ale tylko przedmistycznej); stąd oburzenie na chorobliwy i dla zdrowia społecznego szkodliwy egotyzm i przesadny estetyzm Przybyszewskiego; stąd często złośliwa i drwiąca krytyka faktycznej czy też tylko urojonej niejasności poezji «Młodej Polski», krytyka, którą Jan Śniadecki, gdyby wstał z grobu, z pewnością podpisałby obydwoma rękami, on, który wszelką niejasność słowa poczytywał za klęskę dla narodu, niemal za zdradę ducha narodowego.

Moralista i patriota niejednokrotnie pognębiał w Tarnowskim estetę. Stąd płynęło przecenianie wartości estetycznej niektórych utworów Krasińskiego, np. *Przedświtu*; wprawdzie przyznaje Tarnowski, że są w tym utworze ustępy, «w których natchnienie zdaje się słabnąć, w których pierwiastek filozoficzny i dydaktyczny bierze górę, w których trafiają się wyrażenia ciężkie, prozaiczne», ale pomimo to nie waha się powiedzieć, że *Przedświt* jest «dziełem tak potężnego natchnienia, tak silnych uczuć wiary i miłości Boga i Ojczyzny, że może stawać śmiało obok najpiękniejszych natchnień Mickiewicza». Czy to nie przesada? czy w ogóle jest coś w poezji polskiej, co by mogło stawać śmiało obok najpiękniejszych natchnień Mickiewicza? Przecenia także Tarnowski wartość kazań Kajsiwicza, tragedij Szujskiego i niektórych innych utworów.

Raz jeden wszakże esteta pognębił moralistę — w świetnym rozbiórce *Pana Podstolego* (na co zwrócił uwagę już Chmielowski). Przyznając bohaterowi tego romansu społeczną ogromną zacność, zarzuca mu jednak Tarnowski, że «ta regularnie zbudowana i regularnie funkcjonująca maszyna wszechdoskonałości tak człowieka męczy, nuży i niecierpliwi, że się tęskni za hulakami i łotrami; miałoby się ochotę powiedzieć: kradnij, zabijaj, pal» («cudzołóż» Tarnowski nie dodał!), «ale żyj, miej duszę, nie mechanikę w ciele, bądź człowiekiem, nie

zegarem, wycinającym kazania jak kuranty za każdym pociągnięciem sznurka; sznurków takich jest liczba nieskończona; co chwila autor jeden pociąga, a posłuszny pozytywek gra swoją sztukę i recytuje perorę o jakimkolwiek obowiązku rodzinnym lub obywatelskim».

Będąc sam gorącym i wierzącym katolikiem, nieraz sądzi Tarnowski utwory ze stanowiska prawowierności katolickiej, jak np. ostatni kurs *Prelekcij paryskich* Mickiewicza, zawierający w sobie surową, ale zupełnie sprawiedliwą krytykę Kościoła, nie mówiąc już o wolnomyślnych utworach Narcyzy Żmichowskiej, a nade wszystko Kasprowicza, którego religijności nie odczuwa, nie rozumie, czy też odczuwać i rozumieć nie chce — dlatego właśnie, że ta religijność, pomimo swojej przepastnej, tak rzadkiej w sercach polskich głębi, nie ma charakteru katolickiego. A czy trzeba jeszcze dodawać, że nie doceniał Tarnowski tej olbrzymiej i dobroczynnej roli, jaką w historii literatury polskiej odegrała w wieku XVI reformaacja, w XVIII oświecenie, a w drugiej połowie XIX pozytywizm? Otóż nie co innego stało temu na przeszkodzie, tylko mocne przekonanie, że wszystko, co się nie zgadza z katolicyzmem, jest dla Polski i w ogóle dla ludzkości szkodą.

Ale co ciekawe i dla Tarnowskiego znamienne, że tak bardzo zrozumiałe jego uwielbienie dla Cieszkowskiego, jako autora dzieła *Ojciec Nasz*, zamknęło mu oczy właśnie na jego nieprawowierność katolicką. Wprawdzie nie tai Tarnowski, że «teologia katolicka wykazuje niejedną różnicę między nauką Kościoła a Cieszkowskiego filozofią historii», ale twierdzi, że Cieszkowski bóstwo i prawo Chrystusa przyjmuje «za podstawę, przyczynę i kres wszystkiego, co się na świecie działo, dzieje i dzieć będzie». Prawo — zgoda, ale bóstwo — nie; Cieszkowski bowiem wyraźnie pisze, że Chrystus urodził się tak, jak my wszyscy, człowiekiem, że «On nie jest tylko najdoskonalszym z ludzi, ale jest po prostu doskonałym człowiekiem», i dopiero «jako człowiek, który u r z e c z y w i s t n i ł w sobie całe pojęcie człowieka..., przestał być tylko człowiekiem, przemienił się w istotę wyższą nad człowieka», «On jeden jest doskonałym Synem Boga, poprzedzicielem i zapowiadaczem Ducha Świętego». Więc tylko Synem Boga, ale nie

Bogiem!... A i na ten jeszcze pogląd Cieszkowskiego zamknął Tarnowski oczy, że z biegiem czasu, w miarę postępu moralnego ludzkości, Kościół, jako odrębna organizacja, będzie ludziom niepotrzebny. To wszystko jednak nie przeszkodziło Tarnowskiemu do wydania o tym dziele zupełnie słusznego sądu, że technicznie on tak potężnym i tak wspaniałym duchem chrześcijańskim, jak mało które dzieło historiozofii europejskiej XIX wieku.

Dodajmy teraz, że Tarnowski znał doskonale nie tylko literaturę polską, ale i obcą, że się od wczesnej młodości zaczytywał w arcydziełach zarówno poezji, jak prozy. Ulubionymi jego autorami byli z wielkich poetów Homer, Szekspir i Schiller, z prozaików nade wszystko Macaulay. Otóż znajomość arcydzieł literatury powszechnej pozwoliła mu nieraz uwydatniać podobieństwa i pokrewieństwa utworów literatury polskiej z utworami literatury powszechnej.

Lecz ani na rozbiorach utworów, ani na uwydatnianiu ścisłego związku literatury z życiem narodu (nade wszystkim politycznym) Tarnowski nie poprzestawał. Od samego początku pracy nad historią literatury, jak o tym świadczy jego studium o Modrzewskim, nęcił go problem charakterystyki utworów. A posługiwał się w niej (z wyjątkiem wielkich monografii o Krasińskim i Klacze) nie tyle materiałem biograficznym, który często nawet, zwłaszcza w *Historii literatury polskiej*, pomijał, ile utworami charakteryzowanych pisarzy. Chodziło mu zaś tutaj nie tylko o charakterystykę pisarza, ale także o uwydatnienie umysłowych i moralnych wartości człowieka, albo też ich braku. Otóż te charakterystyki, których pomysł zawdzięcza prawdopodobnie *Portretom literackim* Sainte-Beuve'a (pomimo że ten szukał do nich materiału w biografiiach), należą do najświetniejszych kart jego twórczości; dosyć wymienić charakterystyki Modrzewskiego, Orzechowskiego, hetmana Żółkiewskiego, Paska, Albrechta Radziwiłła, Krasickiego, Staszica, a nade wszystko to skończone arcydzieło, którym jest charakterystyka Henryka Rzewuskiego.

W imię bezstronności jednak wyznać trzeba, że czasami te charakterystyki bywają nie tylko jednostronne, a to właśnie wskutek pomijania materiału biograficznego, ale i stronnicze:

jednym z wielu przykładów jest charakterystyka Krasińskiego jako człowieka, w której Tarnowski tak jakby zapomniał o jego własnych słowach: «przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością».

Stronniczym bywał zresztą Tarnowski w swoich sądach nie tylko o pisarzach jako ludziach, ale także o ich utworach: jednych przeceniał, jak np. Szujskiego, Kajetana i Stanisława Koźmianów, Kajsiewicza, innych nie doceniał, jak np. Słowackiego i Asnyka, nie mówiąc już o Szczepanowskim, Witkiewiczu i Wyspiańskim. A odgrywały tutaj rolę nie same tylko upodobania estetyczne, ale nieraz także względy polityczne, patriotyczne i religijne, a czasem — lecz niezmiernie rzadko — niechęci osobiste, np. wobec Wilhelma Feldmana, którego *Współczesną literaturę polską* zbył czterowierszową wzmianką pomimo niewątpliwego talentu literackiego jej autora i tego niewątpliwego wpływu, jaki to dzieło wywarło na recepcję poezji «Młodej Polski» w społeczeństwie — (czy ten wpływ był ze stanowiska estetycznego i narodowego ujemny, czy dodatni, to inna sprawa).

Na zakończenie jedno jeszcze. Czy kto podziela estetyczne, etyczne, polityczne i społeczne poglądy Tarnowskiego, czy nie, musi przyznać, że wszystko, co w życiu swoim napisał, było szczere, bo płynęło z na wskroś prawego i mocnego charakteru człowieka oraz z uczuć gorącego patrioty, który, we wczesnej młodości ukochawszy Ojczyznę, nigdy się nie sprzeniewierzył hasłu Kochanowskiego:

Śłużmy pocziwiej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spółnego pomoże.

Tarnowski mógł dużo, miał bowiem niepospolity talent pisarski i krasomówczy i oddał go całkowicie na służbę «dobru spółnemu». Nie ma dotychczas drugiej takiej historii literatury, która by w duszach polskich budziła równie wielką miłość literatury ojczystej, jak jego *Historia literatury polskiej*. Współzawodniczyć z nią mogą tylko poszczególne studia historyczno-literackie tegoż autora, ze studium o *Panu Tadeuszu* na czele. Raz na zawsze zdobył sobie Tarnowski w historii kultury duchowej swego narodu «pocziwą sławę».

JÓZEF KALLENBACH

(1861—1929)

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

W roku 1884, w *Rozprawach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności*, ukazały się dwa studia o Kochanowskim: o jego elegiach i o jego tragedii. Autorem był młody wychowaniec Uniwersytetu Jagiellońskiego, który po latach czterdziestu czterech będzie jego rektorem, zmarły (12 września r. 1929) Józef Kallenbach.

Jeszcze jako student, ogłosił pracę o poemacie Lukrecjusza (w roku 1881), chociaż bowiem wstąpił na uniwersytet z myślą poświęcenia się historii literatury polskiej (którą podówczas wykładał Stanisław Tarnowski), studiował z zapalem także literatury starożytnej, zdając sobie sprawę, że ich znajomość jest podwaliną wszelkich w ogóle studiów historyczno-literackich. Gdyby nie ta znajomość, nigdyby nie mógł w dziedzinie swojej umiłowanej specjalności naukowej dokonać tego, czego dokonał, nigdyby nie opanował tak gruntownie metodą filologiczną, z której zdał świetny egzamin w pracy p. t. *Rewizja tekstu pierwszej części «Dziadów» Mickiewicza według autografu* (1887). Można także śmiało twierdzić, że, gdyby nie studia uniwersyteckie nad językiem staropolskim, gdyby nie wczesne umiłowanie autorów XVI wieku, nigdyby nie opanował tak znakomicie polskim językiem literackim, nigdyby nie pisał tak niepokalanie czystą polszczyzną.

Po ukończeniu nauk w Uniwersytecie Jagiellońskim, wyjechał Kallenbach za granicę: studiował w Lipsku, w Monachium, w Paryżu, w Rzymie. Wkrótce po powrocie habilitował się (w roku 1887) w Uniwersytecie Jagiellońskim na podstawie rozprawy *Czwarta część «Dziadów», studium porównawcze*. Odtąd to zaczyna się jego blisko czterdziestoletnia działalność nauczycielska, jako profesora historii literatury polskiej: dwuletnia docentura w Krakowie, potem, od roku 1889

do 1901, profesura we Fryburgu Szwajcarskim. Nastąpiła krótka przerwa (1901—1904), wypełniona pracą dyrektora Biblioteki Ordynacji Kasińskich w Warszawie, po czym — znowu profesura: we Lwowie (1904—1915), w Warszawie (1915—1916), znowu we Lwowie (1916—1918), potem w Wilnie (1919—1920) i wreszcie w Krakowie (1920—1929).

Jakim był Kallenbach profesorem, o tym sędzić mogą najlepiej jego uczniowie.

«W październiku r. 1904 w tłumnie zapelnionej sali XIV, największej wśród audytoriów lwowskich, młodzież witała z zainteresowaniem i radością nowego kierownika, który w wykładzie wstępnym przedstawił pogląd swój na istotę i znaczenie literatury. I stale odtąd liczne rzesze słuchały wykładów, poświęconych zarówno literaturze romantycznej i przedromantycznej, jak wiekowi XVI i XVII, jasnych, ułożonych przejrzysto, bogatych często w nowe wiadomości, rzeczowych, a jednak dających wyczuć utajone ciepło prawdziwe i ujmujących pięknem słowa. Liczna też gromada skupiała się w seminarium... Piękną pamiątką zespołu seminaryjnego stała się księga, z inicjatywy prof. Kallenbacha poświęcona *Cieniom Juliusza Słowackiego*, w jubileuszowym roku 1909. Jeśli się zważy, że pewna oporność nauki «oficjalnej» wobec Słowackiego nie była jeszcze wtedy czymś całkiem minionym, to inicjatywa owa nabiera tym większej wagi. Zaslugę szczególną zdobył sobie nadto kierownik seminarium polonistycznego, tworząc wkrótce po swym przyjeździe do Lwowa bibliotekę seminaryjną». Tak świadczy swemu profesorowi uczeń — Juliusz Kleiner.

A oto inne świadectwo, także nie byle czyje, bo Stanisława Wasylewskiego: «Talent pisarski był najcenniejszą może częścią jego pracy nauczycielskiej we Lwowie. *Iurantes in verba magistri*, uczyli się członkowie jego seminariów przede wszystkim miłości języka, wdrażani w pracę nad jego opanowaniem, a inspiracyjny polot słów profesora był im przykładem i wzorem».

Warto jeszcze przytoczyć świadectwo jednego ze słuchaczy fryburskich, Władysława Kucharskiego: «Zapalony do tematu, przejęty sam potęgą słowa mickiewiczowskiego,...

profesor przykuwał uwagę całego audytorium głęboką i wszechstronną znajomością wykładanego przedmiotu, barwnością przedstawienia, i zdawało się nieraz, że to nie wykład, ale jakaś uroczysta biesiada duchowa, w której uczestniczyć było rozkoszą... Praca profesora nie ograniczała się na wykładzie. Umiał on słuchaczowi, rwącemu się do samodzielnej pracy, dawać rozumne wytyczne, umiał kierować jego umysłem. Seminarium... było też kuźnicą młodych talentów, które w wielu wypadkach jemu zawdzięczają swój rozwój. Nie surowy krytyk młodych lotów, ale pobłażliwy i życzliwy ocenicieł młodzieńczych porywów literacko-krytycznych, lekką ręką doradcy-przyjaciela kierował prof. Kallenbach swoim seminarium, zwracając uczestników ku pracy źródłowej, żmudnej, rzetelnej i budząc zamiłowanie do studiów poważnych».

Takim był Kallenbach, jako profesor.

A teraz — badacz, historyk literatury polskiej. Na tym polu rozpoczął działalność od studiów nad Kochanowskim. Później nieraz jeszcze wracał do literatury XVI wieku, czy to w rozprawie o tragedii Szymonowicza *Castus Ioseph*, czy w obszernym szkicu francuskim o humanistach polskich, czy w licznych recenzjach.

Nade wszystko jednak pociągała go literatura Polski porobiorowej.

W części pierwszej wydanych przez Akademię Umiejętności *Dziejach literatury pięknej w Polsce* (1918) opracował historię epiki i liryki w latach 1800—1863, wybrnąwszy szczególnie z niefortunnego pomysłu, narzuconego współpracownikom *Dziejów* przez ich redakcję — pomysłu budowania muru chińskiego pomiędzy poszczególnymi rodzajami poezji, jak gdyby jedną z głównych cech naszej poezji porobiorowej (romantycznej) nie było zatarcie granic pomiędzy pierwiastkami epickim, lirycznym i dramatycznym!

Z wielu prac Kallenbacha, poświęconych poszczególnym autorom, największą wartość posiadają, oprócz szczegółowej analizy i krytycznej edycji poematu Czartoryskiego *Bard polski*, studia i szkice o charakterze syntetycznym — o Polu i o jego *Pieśniach Janusza*, o Lenartowiczu, o Edmundzie Wasilewskim, o Konopnickiej, o Mochnackim, o Małeckim. Piękny

odezbyt o Sienkiewiczu, wygłoszony na publicznym posiedzeniu Akademii Umiejętności w roku 1917, a będący najpiękniejszym może dowodem nie tylko talentu pisarskiego Kallenbacha, ale w ogóle jego twórczej indywidualności (zwłaszcza jasnego umysłu i serdecznego uczucia), — ten odezbyt jest do dziś dnia najlepszą syntezą twórczości i nieśmiertelnych zasług Sienkiewicza.

Warto jeszcze dodać do tych studiów wydanie kilku nieznanych lub zapomnianych utworów XIX wieku, jako to *Assuntę* Norwida, wiadomość o komedii Niemcewicza *Dwa stolki* i in.

Nie te jednak prace wysuwają się na czoło działalności naukowej Kallenbacha i nie one zapewniają mu trwale stanowisko w historii nauki polskiej: raz na zawsze jego nazwisko będzie związane z pracami o Mickiewiczu i Krasińskim.

Dzisiaj trudno sobie po prostu wyobrazić, jakby wyglądała nasza wiedza o Mickiewiczu, gdyby nie szczęśliwa ręka Kallenbacha, gdyby nie jego wręcz epokowe odkrycia — gdyby nie *Archiwum Filomatów*, a w nim młodeńcze pisma Mickiewicza, gdyby nie autografy trzeciej części *Dziadów* i *Ksiąg pielgrzymstwa*, gdyby wreszcie nie trwająca bez przerwy lat czterdzieści dwa (1887—1929) własna praca naukowa nad życiem i twórczością Mickiewicza, praca, której owocem jest, oprócz długiego szeregu studiów i przyczynków, dwutomowa monografia.

Równie trudno byłoby sobie dzisiaj wyobrazić, jakby wyglądała nasza wiedza o Krasińskim, gdyby nie wydana przez Kallenbacha korespondencja poety z Henrykiem Reeve'm i z Augustem Cieszkowskim, gdyby nie zbadanie listów do Delfiny Potockiej i w ogóle całej spuścizny rękopiśmiennej, gdyby nie dwutomowe dzieło o młodości Krasińskiego.

Monografia o Mickiewiczu ukazała się po raz pierwszy w roku 1897, kiedy to Kallenbach był jeszcze profesorem we Fryburgu. «Oby trud mój — pisał autor w przedmowie — choć w części przyczynił się do zwiększenia czci dla Wieszcza!... Jeśli zaś książka moja spotkać się ma z niepowodzeniem, oby przynajmniej, padłszy «wśród zawodu», stała się dla innej, późniejszej, «szczęblem do sławy grodu!» Obawa nie ziściła się:

książka nie padła wśród zawodu i, wbrew obawie, nie śmiercią, tylko swoim życiem (o którym świadczą jej cztery wydania), była, jest i zapewne długo jeszcze będzie dla badaczy życia i twórczości Mickiewicza «szczeblem do sławy grodu». Natomiast życzenia autora ziściły się w całej pełni: jego książka przyczyniła się i do dziś dnia przyczynia do szerzenia i pogłębiania czci dla Mickiewicza.

Tę chlubną rolę odegrało już pierwsze jej wydanie, pomimo że musiało współzawodniczyć z dwutomową monografią Chmielowskiego, której pierwsze wydanie ukazało się na lat dwanaście przed książką Kallenbacha, a drugie — w rok po niej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dzieło Chmielowskiego, nie mówiąc już o jego niepospolitej wartości naukowej, zrobiło dużo dobrego: było przecie p i e r w s z ą obszerną monografią o życiu i twórczości Mickiewicza. Tak, ale Chmielowski, chociaż ją drukował w Krakowie, musiał rachować się z cenzurą rosyjską, pragnął bowiem, żeby dzieło miało debiet w zaborze rosyjskim: stąd pochodzą różne niedociągnięcia, stąd nie mógł autor wszystkiego napisać, co napisać chciał. Kallenbach nie potrzebował rachować się z cenzurą; toteż o tym, żeby jego książka miała debiet w zaborze rosyjskim, nie było mowy, — sprzedawano ją tajnie i... bardzo drogo: piszący te słowa dobrze pamięta, że zapłacił za nią dziesięć rubli, i to nawet nie u Żydka na Świętokrzyskiej, tylko w księgarni chrześcijańskiej na Krakowskim Przedmieściu: chrześcijanin tłumaczył się, że musiał dać cenzorowi lapówkę.

Lecz nie tylko dlatego książka Kallenbacha pobila — w oczach niejednego czytelnika — książkę Chmielowskiego, że była pisana bez myśli o cenzurze. Przy całym szacunku, jaki dla Chmielowskiego musi mieć każdy, kto sobie zdaje sprawę z jego olbrzymich, niezrównanych zasług naukowych i społecznych — wszyscy chyba zgodzą się na to, że Kallenbach przewyższał Chmielowskiego talentem pisarskim, a nade wszystko ciepłem uczucia, które (niechaj wybaczą zwolennicy «czystej nauki» i pedanci ze szkiełkiem w oku) jest skrzydłem także i dla uczonego, zwłaszcza dla historyka, piszącego o takim przedmiocie, jak życie i twórczość Mickiewicza.

Prawda, że miłość, co więcej, cześć i niemal religijny kult Kallenbacha dla Mickiewicza, nie tylko jako poety, ale i jako człowieka, wpadały niekiedy w czułościowość, a nadto skłaniały czasem autora (w przymierzu ze swojszcem pojmowanymi względami pedagogicznymi) do przemilczania takich szczegółów biograficznych, które świadczą, że i Mickiewicz, jak każdy, choćby największy i najlepszy człowiek, nieraz upadał; te same względy (w przymierzu z nietajoną niechęcią do towianizmu i z prawowiernością katolicką, która stanowiła jedną z najznamienniejszych cech zarówno uczuciowości, jak umysłowości Kallenbacha) sprawiły, że roztrząsając *Prelekcje paryskie*, pominął — w trzech pierwszych wydaniach swej monografii — wykłady, wymierzone przeciwko «Kościołowi oficjalnemu» (*l'Église officielle*), i dopiero w wydaniu czwartym krótko o nich wspomniął. Z drugiej jednak strony, uczucie, ożywiające książkę, w zespole z wartościami naukowymi i z talentem literackim, jest główną przyczyną, dla której się marzenie autora spełniło: jego książka stała się mocną podwaliną kultu największego poety narodowego, a zatem pożyteczną dźwignią życia duchowego narodu.

W lat siedem po monografii o Mickiewiczu ukazało się dzieło: *Zygmunt Krasiński, życie i twórczość z lat młodych (1812—1838)*. I tutaj, jak w książce o Mickiewiczu, jest pewna idealizacja zarówno człowieka, jak poety; jest także bardzo niefortunna próba apologii jego ojca, generała Wincentego, który był, nazywając rzecz po imieniu, albo raczej mówiąc grzecznie, nieciekawą figurą. Ale i ta książka, choć nie tak poczytna, jak tamta, ma wartość niemałą. Do jej napisania skłonił Kallenbacha, obok jego uwielbienia dla poezji «archaniola wiary», nowy, a niezmiernie cenny materiał biograficzny, oraz cały szereg nieznanych poprzednim badaczom utworów młodzieńczych Krasińskiego. Studia nad tym materiałem (nade wszystko nad rewelacyjną korespondencją Krasińskiego z Reeve'm i z ojcem), przyniosły plon tak obfity, że śmiało można powiedzieć, iż dopiero dzięki książce Kallenbacha poznaliśmy młodość Krasińskiego, tę młodość, o której każdy biograf powtarzał za poetą, że jest «rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały», ale, co mianowicie wyrzeźbiła w duszy poety, tego ani jeden

z dawniejszych badaczy nie umiał dokładnie powiedzieć, jak nie umiał i nie mógł należycie odtworzyć tej tragedii życia Krasińskiego, której źródłem było powstanie listopadowe, a głównym sprawcą... rodzony ojciec. Niemniej obfity od biograficznego jest w książce Kallenbacha plon literacki. Mniejsza o analizę niezbyt ciekawych utworów francuskich; mniejsza nawet o wyjaśnienie genezy *Nocy letniej* i *Pokusy*; o wiele ważniejsze są nowe zdobycze, dotyczące dwóch arcydzieł Krasińskiego. Geneza *Nieboskiej Komedii*, znana przedtem tylko ogólnikowo, przestała być, dzięki listom poety do Reeve'a i do ojca, tajemnicą, podobnie jak wpływ saint-simonizmu, dawniej znany niezbyt dokładnie. A co do *Irydiona*, to wykazał Kallenbach znakomicie, jakim to kolejnym zmianom ulegał pomysł poematu (w najściślejszym związku ze zmianami uczuć) i jak te zmiany pomysłu pociągnęły za sobą pewną sprzeczność niektórych szczegółów w prologu a epilogu. W ogóle ta monografia Kallenbacha należy do najlepszych studiów o poetach polskich XIX wieku, a pod względem bogactwa nowego materiału bodaj czy ma sobie równą.

Albo raczej ma sobie równą, a jest nią ostatnia książka Kallenbacha, wydana w roku 1926 (z datą 1924): *Towianizm na tle historycznym*. Stosunek Towiańskiego do «proroka» francuskiego Vintras'a, wiara mistrza Andrzeja w metempsychozę i reinkarnację, jego poglądy na stosunek mężczyzny do kobiety, jego taktyka wobec ludzi, jego «trudy i troski», jego «drogi i rozdroża», — oto zagadnienia, które Kallenbach oświetlił z nieznannej albo też z mało dotychczas znanej strony, opierając się na nieznanych częściowo źródłach. Bez względu na to, czy się kto pisze, czy nie, na sąd autora, że «Towiański był mistykiem nie tyle z Bożej łaski, co z Bożego dopustu», każdy z radością przyzna, że książka ta posuwa studia nad Towiańskim o duży krok naprzód.

Ale nie tylko nad Towiańskim. Dwa najobszerniejsze jej rozdziały, oparte na nieogłoszonych wówczas drukiem listach Krasińskiego do pani Potockiej, są wręcz rewelacją: teraz dopiero poznaliśmy dokładnie stosunek Krasińskiego do towianizmu, a więc, pomiędzy innymi, tę rolę, jaką towianizm odegrał w genezie *Przedświtu*, teraz dopiero zrozumieliśmy psy-

chikę Krasińskiego w roku 1848 i jego owoczesne poglądy na Mickiewicza. Nie dosyć na tym: teraz dopiero, dzięki tym listom, odczuliśmy cały ogrom tragizmu życia Krasińskiego, tragizmu, który płynął nie tylko z jego charakteru, ale nade wszystko stąd, że miał takiego ojca. Jak straszne wrażenie sprawiają te własne Krasińskiego słowa: «Mogłemże... wszystko porzucić i pójść za Chrystusem? Mogłemże? Nie byłbym, tak czyniąc, zabił tych, których zabijać nie powinienem i nie mogę, których zabicie zgryzotami by mi serce zaludniło?... Oto tajemnica i braku energii we mnie — i nieszczęścia wiecznego...»

Lecz i to jeszcze nie wszystko. Rewelacyjna dla Krasińskiego jest książka Kallenbacha o towianizmie, rewelacyjna i dla Mickiewicza, a to dzięki ogłoszeniu tych ustępów z listów Krasińskiego, w których się zawierają szczegółowe relacje o pobycie Mickiewicza w Rzymie w roku 1848, o jego stosunku do mistrza Andrzeja, do Kościola i do ruchu rewolucyjnego. Wielkość Mickiewicza, jako człowieka, jako romantyka, jako najszlachetniejszego idealisty i najpłomienniejszego entuzjasty, jaśnieje w tych listach w całym swoim blasku.

Co za bolesna strata dla nauki i dla społeczeństwa, że Kallenbach nie zdążył wyzyskać wszystkich zgromadzonych przez siebie materiałów, że nie skończył monografii o Krasińskim, nad której drugą częśćią w ostatnich latach pracował! Nie zniechęciły go do ukochanej pracy ani słabnące siły, ani podjęte po wojnie różne niefortunne rewizje krytyczne i pseudokrytyczne tych wartości, które nam pozostawiła po sobie poezja romantyczna, a które były mu święte, ani wreszcie odzywające się tu i ówdzie zaczepki i docinki ze strony krytyki, które on zbyt żywo brał sobie do serca. Pracował niemal do ostatniego tchu i jeszcze na miesiąc przed śmiercią podzielił się listownie z piszącym te słowa swoją nadzieją wykończenia w niedługim czasie dzieła o Krasińskim.

Nie sądzono było ziścić się tej nadziei. Ale to, czego Kallenbach dokonał, zapewnia mu zaszczytne stanowisko w dziejach polskiej nauki historyczno-literackiej oraz trwałą pamięć i gorącą wdzięczność w sercach miłośników literatury ojczystej.

BRONISŁAW GUBRYNOWICZ

Dnia 6 maja 1933 roku zmarł we Lwowie, w sześćdziesiątym trzecim roku życia (urodzony 2 października roku 1870) profesor Uniwersytetu Warszawskiego Bronisław Gubrynowicz.

Już we wczesnej młodości ukochał literaturę ojczystą, na co, być może, nie mało wpłynęło to, że był synem tak bardzo zasłużonego księgarza lwowskiego Władysława Gubrynowicza, którego imię zapisało się chlubnie w historii umysłowości i literatury polskiej. On to przecie, wraz ze swym współnikiem Schmidtem, wydawał we Lwowie od roku 1886 *Bibliotekę Polską*, w której ukazały się, pomiędzy innymi, dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zaleskiego, Lenartowicza, Romanowskiego, Asnyka.

Po ukończeniu gimnazjum imienia Franciszka Józefa we Lwowie w roku 1888, wstąpił Gubrynowicz na wydział filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego i, obok studiów nad historią (pod kierunkiem Ksawerego Liskego i Tadeusza Wojciechowskiego), poświęcił się nade wszystko studiom historyczno-literackim pod przewodnictwem Romana Pilata, którego postać, metodę i talent pedagogiczny do samej śmierci przechował we wdzięcznej pamięci (jak zresztą wszyscy uczniowie tego znakomitego profesora).

Po ukończeniu studiów we Lwowie (1892), uwieńczonych doktoratem filozofii, był przez krótki czas zastępcą nauczyciela w tym samym gimnazjum, w którym się uczył, a jednocześnie skryptorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lecz już w r. 1892 wyjechał na studia do Berlina, gdzie słuchał, pomiędzy innymi, wykładów Brücknera i Eryka Schmidta, a po roku, jako delegat Akademii Umiejętności w Krakowie, udał się do Włoch dla poszukiwań naukowych w Archiwum Watykańskim i bibliotekach włoskich.

Po powrocie do kraju przez lat kilka był sekretarzem Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza we Lwowie i współpracownikiem wydawanego przez to Towarzystwo *Pamiętnika*, który z czasem, po wydaniu sześciu tomów, poświęconych życiu i twórczości Mickiewicza, przeistoczył się na pierwsze w Polsce pismo, poświęcone w ogóle historii literatury polskiej, to znaczy na wychodzący do dziś dnia kwartalnik pod nazwą *Pamiętnik Literacki*. Założył go nie kto inny, tylko Gubrynowicz, jako inicjator i wykonawca decyzji, zapadłej w roku 1902 na zebraniu Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza we Lwowie, a szczegółowo omówionej w szczupłym gronie, w którym, prócz Gubrynowicza, wzięli udział: ks. Jan Fijałek, Edward Porębowicz i Ign. Chrzanowski. Pismo zaczęło wychodzić w roku 1902, pod redakcją, jak opiewała karta tytułowa, Bruchnalskiego, Gubrynowicza i Porębowicza; główny jednak trud redakcyjny wziął na siebie Gubrynowicz i złożył go dopiero w lecie roku 1905, kiedy to, wskutek wywołanej książką Treliaka o Słowackim burzy w Towarzystwie Literackim, nastąpił w nim rozłam: redakcję objął zrazu (1905—1907) Tadeusz Pini, po Pinim — Ludwik Bernacki, po Bernackim (1908—1911) — Wiktor Hahn (1912—1922). W roku 1923 redaktorem był prezes Towarzystwa Literackiego, Wilhelm Bruchnalski, póki wreszcie, w r. 1925, redakcji nie objął — z powrotem — Gubrynowicz, który redagował czasopismo dosłownie do samej śmierci, bo nie tylko pierwszy zeszyt, ale i cały niemal rocznik (1933) sam przygotował do druku, wzywając do współpracownictwa w tym tomie (trzydziestym) wszystkich żyjących współpracowników tomu pierwszego.

W roku 1904 habilitował się Gubrynowicz w Uniwersytecie Lwowskim z historii literatury polskiej (jeszcze za życia Pilata), w roku następnym objął obowiązki kustosa muzealnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Wkrótce po wielkiej wojnie, w roku 1920, został mianowany profesorem zwyczajnym historii literatury polskiej w Uniwersytecie Warszawskim i na tym stanowisku dokonał życia.

W Warszawie, pochłonięty wyteżoną, sumienną i owocną pracą na katedrze uniwersyteckiej, znalazł jednak czas na za-

łożenie i redagowanie (przy wydatnej pomocy Piotra Grzegorzyczka) innego jeszcze czasopisma naukowego — miesięcznika *Ruch Literacki*, którego tom pierwszy wyszedł w roku 1926. I te dwa czasopisma naukowe (które, przykro to powiedzieć, są w Polsce pierwszymi czasopismami, specjalnie poświęconymi historii literatury), to wielka, wręcz ogromna zasługa Gubrynowicza.

Ale nie jedyna. Pozostawił on po sobie szereg prac naukowych, którym zawdzięcza, oprócz profesury, godność członka Polskiej Akademii Umiejętności, Towarzystwa Naukowego w Warszawie i we Lwowie, oraz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Ten szereg prac historyczno-literackich, rozpoczynają dwie rozprawy: (1892) o twórczości Brodzińskiego w latach 1830—1835 i o Reklewskim (1893), oraz różne drobne przyczynki do życia i twórczości Mickiewicza w *Pamiętniku Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza* i szkic o *Dantyszku Słowackiego* (1897). W roku 1904 ukazuje się we Lwowie pierwsza większa monografia Gubrynowicza (częściowo drukowana w *Pamiętniku Literackim*) pt. *Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta*. Pierwsze to studium o powieści stanisławowskiej. Z czasem uzupełnił je znacznie autor zarysem historycznym, poświęconym powieści staropolskiej od XVI do połowy XVIII wieku. (Zarys ten stanowi jeden z rozdziałów *Dziejów literatury pięknej w Polsce*, wydanych przez Polską Akademię Umiejętności w tomie XXII *Encyklopedii Polskiej*; na krótko przed śmiercią Gubrynowicz przygotował nowe opracowanie tej rozprawy, które się ukazało, z poprawkami i uzupełnieniami Juliana Krzyżanowskiego, w drugim wydaniu tego tomu). Dodać trzeba, że w *Bibliotece Narodowej* Gubrynowicz opracował tekst krytyczny *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków* i poprzedził go gruntownym studium o tej powieści Krasickiego.

Lecz nie oświecenie, tylko preromantyzm i romantyzm były przedmiotem szczególnych umiłowań historyczno-literackich Gubrynowicza. Pomijając długi szereg drobniejszych (drukowanych przeważnie w *Pamiętniku Literackim*) przyczynków do twórczości Niemcewicz, Reklewskiego, Romanowskiego, Andrzeja Brodzińskiego (o którym pisał także w *Księdze pa-*

miłkowej ku czci Orzechowicza) i innych, — największą jego zasługą około preromantyzmu polskiego jest obszerna monografia: *Kazimierz Brodziński, życie i dzieła, 1791—1821* (Lwów 1914). Zgodnie z tytułem rozpatruje tutaj autor twórczość Brodzińskiego na tle biograficznym, jak to stało się w XIX wieku i bywa jeszcze dotychczas obowiązującym zwyczajem w monografiach historyczno-literackich. A zarówno biografię, jak twórczość autora *Wiesława*, uzupełnił tytuł zupełnie przedtem nieznanymi szczegółami, że ta książka długo jeszcze zapewne, póki się na koniec nie ukaże zbiorowe wydanie krytyczne pism Brodzińskiego, będzie nie tylko pomocą, ale i podstawą badań nad jego twórczością.

Największą zasługą Gubrynowicza około romantyzmu polskiego jest pierwszy wydanie dzieł Słowackiego w setną rocznicę urodzin poety, mianowicie tomów I—IV i X, obejmujących utwory liryczne, powieści poetyckie, *Króla Ducha* i prozę; zasługę tę dzieli Gubrynowicz z Wiktorem Hahnem, który opracował tomy V—IX, obejmujące dramaty i przekłady. Dzisiaj, wobec wspaniałego wydania *Króla Ducha* przez Jana Gwałberta Pawlikowskiego i wobec (nieukończono jeszcze) szesnastotomowego wydania krytycznego pod redakcją Kleinera, tamto wydanie nie posiada już naukowego znaczenia. Lecz, jak bardzo się przyczyniło do znajomości poezji Słowackiego w Polsce i do jego wciąż zmiennego, ale w swoim czasie wciąż wzrastającego kultu, to trudno wyrazić! Tu należy jeszcze studium o *Mazepie* w *Bibliotece Narodowej*.

Ale to jeszcze nie wszystko. Nic rzadszego u nas, jak monografie o uczonych: stąd historia nauki polskiej to do dziś dnia tak dobrze jak *terra incognita*. Czy to nie wstyd, np. że mamy wprawdzie, dzięki Arturowi Śliwińskiemu, biografię (lecz nieukończoną) Lelewela, a dzięki Korzonowi, Warnce i Chodynickiemu świetne studia o jego pracach naukowych, ale nie mamy monografii naukowej o całokształcie życia i działalności naukowej «największego historyka», jakiego wydała Polska? I podobnych przykładów możnaby, niestety, dużo przytoczyć. Monografia Wrzoska o Jędrzeju Śniadeckim należy do wyjątków. Do wyjątków także należy monografia o jednym z najznakomitszych badaczy naszej prze-

szłości narodowej, autorze przepięknej książki o Słowackim, wspaniałych studiów historycznych, tragedii *List żelazny* i komedii *Grochowy wieniec*. Otóż ten wyjątek zawdzięczamy Gubrynowiczowi, który napisał i wydał w roku 1920 wielkie dzieło: *Antoni Małeckie*. Biografię i charakterystykę Małeckiego, jako człowieka, oparł on tutaj w znacznej części na materiale rękopiśmiennym, przedtem niewyzyskanym. Co do rozbioru i charakterystyki twórczości Małeckiego, to nie wszystkie oczywiście jego prace mógł autor ocenić samodzielnie; nie będąc z fachu ani historykiem, ani badaczem języka, musiał w ocenie jego badań historycznych i językowych polegać na sądach specjalistów. Natomiast utwory poetyckie znakomitego uczonego, jego studia historyczno-literackie, niezmiernie ciekawą i dla swojej epoki wysoce znamionną rozprawę *O żywej, pojmującej się i dokonywującej narodowości* roztrząsał i ocenił samodzielnie i trafnie. Zasluga jego polega i na tym jeszcze, że scharakteryzował nieogłoszone dotąd drukiem lwowskie wykłady Małeckiego o literaturze polskiej, nie szczędząc obfitych cytata, niezmiernie ciekawych dla tych zwłaszcza historyków literatury, którzy nie zapominają o jednym z najpoważniejszych swoich zadań, mianowicie o uwzględnianiu historii sądów o pisarzach i utworach, sądów, zmieniających się z epoki na epokę.

W lat osiem po dziele o Małeckim wyszła mniejsza, ale cenna monografia Gubrynowicza: *Józef Maksymilian Ossoliński, człowiek i pisarz*, także w znacznej mierze oparta na nieznanym materiale rękopiśmiennym. Za główne zadanie wziął sobie tutaj autor uwydatnienie zasług Ossolińskiego, nie jako twórcy biblioteki, tylko jako mecenasu nauki polskiej w bodaj czy nie najkrytyczniejszej chwili życia umysłowego w porzecznej Polsce, tudzież jako autora *Wieczorów badeńskich* oraz *Wiadomości historyczno-krytycznych do dziejów literatury polskiej*, to znaczy dzieła, które, śmiało można powiedzieć, jest podwaliną nauki historii naszego piśmiennictwa.

I wreszcie — jedna jeszcze pozycja w dorobku naukowym Gubrynowicza i charakteryzująca go jeszcze lepiej, niż pomienione dzieła naukowe, nie tylko jako badacza literatury, ale i jako człowieka. Tą pozycją są jego liczne recenzje,

zwłaszcza większe, np. rozprawa z powodu książki Szyjrowskiego *Schiller w Polsce* (w *Kwartalniku Historycznym* 1916), albo recenzja dwóch pierwszych tomów monografii Kleinera o Słowackim (w *Pamiętniku Literackim* 1924/25). Sumiennosc, gruntownosc i bezstronność, oraz wiedza, pozwalająca nie tylko prostować, ale i uzupełniać badania innych uczonych, to bynajmniej nie jedyne znamiona tych recenzji; odznaczają się one jeszcze wielką, tak rzadką w świecie naukowym życzliwością dla innych badaczy, chętnym uznaniem dla ich zasług, niepowszednią wstrzeźliwością w wysuwaniu swojego własnego «ja» na plan pierwszy; bije nadto z tych recenzji — również rzadka w tym kochanym świecie — szczerza radość ze wzbogacenia skarbcu nauki nowymi, nie własnymi, zdobyczami. Otóż, kto znał Gubrynowicza (jak piszący te słowa, który poznał go lat temu z górą czterdzieści na studiach w Berlinie i przez lat czterdzieści żył z nim w przyjaźni), ten przyzna, że te wszystkie znamiona jego recenzji płynęły wprost z jego charakteru.

A ktoby chciał wiedzieć, co go jeszcze cechowało, co było w jego oczach i w jego sercu największą wartością literatury, którą tak bardzo od młodości ukochał, niech przeczyta końcowe słowa jego rozprawy o Schillerze: «Związany z wielkimi nazwiskami i arcydziełami, stał się nam Schiller bliskim, pobratymcą naszym po duchu; jemu to w wielkiej mierze zawdzięczamy, że pierwiastek idealistyczny w literaturze polskiej tak silnie wybujał, że literatura nasza działała tak pokrzepiająco, że ułatwiała nam życie wśród ciężkich i trudnych warunków. A kiedy mimowoli nasuwa się pod pióro jeszcze pytanie, czy i dzisiaj twórczość Schillera posiada dla całej ludzkości jakie znaczenie, to na to najlepszą odpowiedź dał prof. Kühnemann, autor znakomitej o poecie monografii, w takich słowach: «...Ich sehe im deutschen Idealismus, dessen Prophet Schiller ist, die Lösung der Lebensfragen und den notwendigen Standpunkt der modernen Weltanschauung».

«DZIEJE KULTURY POLSKIEJ»
ALEKSANDRA BRÜCKNERA (1)

Dzieło to jest pierwszą w naszej nauce godną tego imienia historią kultury polskiej od najdawniejszych czasów do roku 1831 i stanowi, śmiało można powiedzieć, koronę wspinałej, fenomenalnej, przeszło półwiekowej pracy Brücknera nad kulturą słowiańską w ogóle, a polską w szczególności.

Powstanie społeczeństwa i państwa polskiego; kultura polityczna i społeczna, a więc ustroj państwa, skarbowość, sądownictwo, wojsko, struktura społeczeństwa (stany, wieś, miasto); kultura ekonomiczna (gospodarstwo rolne, przemysł, handel); życie rodzinne i domowe (obyczaje, obrzędy, zabawy); kultura religijna (wiara i Kościół); rozwój i kultura języka; kultura umysłowa i estetyczna (oświata szkolna i pozaszkolna, nauka, literatura, architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka): oto główne pierwiastki treści dzieła. Lecz, żeby dać pojęcie o całym jego bogactwie, dodać trzeba, że autor wszędzie uwzględniał kulturę nie tylko rdzennej Polski, ale także zjednoczonej z nią Rusi i Litwy, że uwidatniał odrębności kulturalne poszczególnych dzielnic, że sporo miejsca poświęcił zamieszkałym na ziemiach polskich Żydom, Ormianom, Tatarom. O tym zaś, że na każdym kroku wyjaśniał, jakie są w kulturze polskiej pierwiastki rodzime (słowiańskie i polskie), a jakie obce (zachodnie zarówno, jak wschodnie); że nadto wszędzie wykazywał, i to w sposób niezmiernie plastyczny, jak się kultura polska stopniowo rozwijała, kiedy i dłaczego szła naprzód, a kiedy i dłaczego się cofała, — o tym wszystkim nie trzeba chyba mówić: nie byłby Brückner sobą, to znaczy wielkim uczonym,

(1) Tom I: Od czasów przedhistorycznych do roku 1506; tom II: Polska u szczytu potęgi; tom III: Czasy nowsze do roku 1831. Kraków, 1930—1931.

jakim jest, a dzieło jego nie byłoby historią kultury polskiej, jaką jest.

Rozumie się, że w książce, obejmującej tak rozległe horyzonty, nie wszystko mogło być owocem własnych badań. Oto własne wyznanie autora: «Oparłem się o prace poprzedników, czerpię z nich pełną ręką i winienbym w porządku alfabetycznym, poczynawszy od Abrahama Wl. i Balzera O., wymienić dzieła, jakich używałem; spis objąłby stronic kilkanaście; ...do długu, jaki wobec nich zaciągnąłem, przyznaję się z najżywszą wdzięcznością». Lecz, prawdę powiedziawszy, jedynie rozdziały o rzeźbie, architekturze, malarstwie i muzyce są całkowicie oparte na obcych badaniach; a do tego są to rozdziały krótkie, może nawet za krótkie w porównaniu z obszernymi rozdziałami o literaturze (co zresztą jest w całej pełni usprawiedliwione, literatura bowiem jest bodaj czy nie różnistronniej z y m zwierciadłem kultury, aniżeli inne «sztuki piękne»). Lwia część książki oparta jest na własnych źródłowych badaniach autora — dawnych i nowych, podjętych, kiedy dojrzał zamiar napisania dzieła. A tam nawet, gdzie się autor opierał częściowo na badaniach innych uczonych, zajmuje względem nich stanowisko krytyczne i niejednokrotnie (częściej nawet, aniżeli zrazu zamierzał) polemizuje z nimi, czasem jawnie, wymieniając ich nazwiska, a czasem skrycie, nie wymieniając ich, tylko zbijając ich poglądy i głosząc swoje własne; jako przykład, jeden z wielu, służyć tutaj może to wszystko, co autor mówi o mitologii słowiańskiej: kamień na kamieniu nie pozostał ani z czarodziejskich gmachów, zbudowanych przez kronikarzy średniowiecznych, ani z fantastycznych hipotez nowoczesnej pseudonauki. I czy mogło być inaczej? Przecie Brückner to nie tylko erudyta, jakiemu równego — w dziedzinie humanistyki — nie ma u nas i nie było (nawet Lelewel nie stanowi wyjątku), ale nadto uczony, obdarzony umysłem wyjątkowo lotnym i wyjątkowo śmiałym (czasem nawet aż do zuchwałości), a stąd mający zawsze o tym wszystkim, co bada, swój własny, na wskroś samodzielny sąd. Ponosi go niekiedy ta lotność umysłu, o miedzę granicząca z bujną fantazją: z tego źródła płyną czasami poglądy, zbyt pośpiesznie wytwarzane, ale też... przez samego ich twórcę, po głębszym

namyśle, odwoływane, bo, jak na niedostatek samodzielności, tak na brak krytycyzmu (a nawet sceptycyzmu) nie może uskarżać się Brückner, i to nie tylko względem innych, ale także, co się tak wyjątkowo zdarza w świecie uczonych, względem samego siebie. Pod tym względem (ale nie tylko pod tym) jest to postać wyjątkowa.

Dzieło swoje przeznaczył autor, jak sam wyznaje w przedmowie, «dla szerszej publiczności». Bezstronność każe powiedzieć, że nieraz o tym zapominał, — zwłaszcza w rozdziałach, poświęconych kulturze pierwszych wieków, np. w rozdziale o szczepach, o nazwach miejscowych i o imionach osobowych. Na ogół jednak biorąc, pamiętał o tym: z jednej strony, np. w rozdziałach o literaturze i obyczajach, urozmaicał swój wykład obfitymi cytataми ze źródeł współczesnych, czy to z *Krótkiej rozprawy* Reja, czy z satyr Marcina Bielskiego, Krzysztofa Opalińskiego, Wacława Potockiego, czy z paszkwilów Zabłockiego, czy z mów sejmowych; a z drugiej strony, zarówno poszczególne pierwiastki składowe kultury polskiej, jak jej rysy charakterystyczne, a nawet całokształty w poszczególnych epokach, ujmuje s y n t e t y c z n i e, nieraz — jednym rzutem oka. I ta — bardzo rzadka w nauce historycznej — umiejętność syntetyzowania zjawisk dziejowych, będąca tak znamioną cechą umysłowości i talentu naukowego Brücknera, to jedna z największych wartości jego *Dziejów kultury polskiej* i najpiękniejsza ich ozdoba. Szczytem zaś tej umiejętności jest rozdział (w tomie trzecim) pt. *Tysiąclecie kultury polskiej* — wspałały rzut oka na całą kulturę niepodległej Polski.

Lecz Brückner posiada nie tylko wielki talent naukowy, ale i bardzo wybitny talent pisarski. Zapewne, pedant, cóż dopiero zoil (a trzeba wiedzieć, że Brückner ma wielu zazdrośników — i nie dziw, bo jest mu czego zazdrościć), wytknie mu niejedną niepoprawność języka, zarzuci mu brak harmonii w budowie niejednego zdania, pomówi go o zbyt ni pośpiech w pisanii. I nie bez słuszności. Ale nikt chyba nie ośmieli się powiedzieć, że Brückner nie ma wręcz olbrzymiego rozmachu pisarskiego (na jaki przed nim zdobywał się u nas spośród uczonych XIX wieku jeden tylko bodaj Trentowski), nikt mu nie zarzuci braku silnej wyrazistości, wielkiej dobitności, nie-

pospolitej plastyki: krótko mówiąc, Brückner ma swój własny, na wskroś oryginalny styl, w którym kunsztowności, wyszukania, nie ma ani zdziebelka, w którym jest za to — mocny rumieniec życia.

Ale bo też Brückner to nie tylko znakomity uczony, ale nadto żywy i wiecznie młody człowiek. Tryska zaś ta jego młodość nie tylko ze stylu, ale i z samego ujęcia przedmiotu. Zbyt żywym temperamentem obdarzyła go natura, żeby, pisząc dzieło historyczne, to jest mówiąc o ludziach i zdarzeniach, mógł poprzestać na spokojnej, przedmiotowej opowieści o nich i nie wydawać nadto sądu o ludziach, o ich czynach i przyrodzeniu. Ten to żywy temperament, którego nie może i nie chce autor trzymać na uwięzi, każe mu np. nazwać króla Michała kpm ukoronowanym, Augusta III — ciemiegą, Trembeckiego — próchnem świecącym, Dyzmę Tomaszewskiego — mamutem, szlachtę polską — próżniakami, opozycję przeciwko Konarskiemu — skrzeczeniem żab jezuickich i t. p.

W ogóle niczego nie obwija Brückner w bawełnę: to cecha nie tylko jego stylu, ale i jego uczciwości naukowej. Píše więc jasno i otwarcie o samolubstwie szlachty, o ucisku chłopów, o podłości magnatów, o rozpuszczeniu i zmaterjalizowaniu duchowieństwa w XVI i XVIII wieku, o jego ciemnocie i fanatyzmie w XVII i XVIII wieku; nie tai, że w wieku XV po pijanemu «zdradzano nieraz tajemnicę spowiedzi, wymawiając się, że to tylko z żartu (!), ależ zdradzał ksiądz mężowi niewierność żony»; Długosza nazwie «pierwszym świadomym patriotą,... w którym ortodoksja nie zabiła Polaka»; o magnatach za Stanisława Augusta powie bez ogródki, że «wychowani (mniej lub więcej), grzeczni, humanitarni, nie wyzbyli się zaślepienia, sobkostwa, obojętności dla ojczyzny, jak za najgłębszego mroku saskiego», że «pojęcie Ojczyzny było im obce, uznawali tylko obecny stan posiadania, dla nich tak wygodny, i potępiali wszystko, coby mu groziło» itd.

Ta sama jednak bezstronność, która podyktowała Brücknerowi tak surowe, a zupełnie zasłużone sądy, kazała mu uwidatniać jasne strony czy to pracy kulturalnej duchowieństwa średniowiecznego, czy nawet działalności jezuitów, ale tylko

w XVI wieku, czy wielkie zasługi kulturalne poszczególnych jednostek, np. Jana Zamoyskiego albo Stanisława Augusta, czy olbrzymią, a dodatnią rolę reformacji w historii kultury nie tylko umysłowej, ale i moralno-religijnej: zepsucie Kościoła katolickiego utorowało «drogę nowemu prądowi, który Europę z niechybnej moralnej zatraty wybawił; Luter, Zwingli i Kalwin ocalili katolicyzm i kulturę». Że, nie mówiąc już o humanizmie, także i oświecenie, do dziś dnia wyklinane przez różnego kalibru klerykalów, poczytuje Brückner za potężną i błogosławioną dźwignię kultury polskiej, nad tym nie trzeba się długo rozwodzić; wystarczy przytoczyć te jego własne słowa: «Narzekania naszych kaznodziei-satyryków były przesadne;... dokonywało się moralne przeobrażenie, charaktery tężały, i ze zdumieniem spostrzegł Sievers, że nie przyjmowano wielkiego kanclerstwa, składano urzędy, opuszczano Grodno, inaczej niż w r. 1773 i 1774, kiedy się o jurgielty i względy rosyjskie gwałtem napierano; w dobie Stanisławowej naród nie tylko politycznie i umysłowo dojrzewał, ale i do moralnej równowagi docierał, poważniał, pozbywał się przesądów, a nabywał miłości ojczyzny i ofiarności dla niej; i teraz jeszcze, np. we Lwowie r. 1795, oddawano się zupełnie wirowi zabaw, ale to były już tylko chwilowe przerwy widocznego skupienia całego narodu: Polska przybrała nową postać moralną, którą przygotowały i wypiały okrzyki z niemoralności czasy króla Stasia».

Tę «nową postać moralną» Polski oświecił Brückner w *Epilogu*, w którym, dawszy ogólną charakterystykę «tysiącletnia kultury polskiej», z tym samym zawsze znawstwem uwydatnia jej koleje i postępy w latach porzecznych, mianowicie w zaborze rosyjskim, w Księstwie Warszawskim, w Królestwie Kongresowym. A jak się autor zapatruje na rolę tego wypadku, po którym zaczęło się systematyczne niszczenie kultury polskiej, to jest na znaczenie powstania listopadowego? Odpowiedź na to pytanie, do dziś dnia nie ustalona w polskiej nauce historycznej (a cóż dopiero w polskich sercach!), jest także wymownym świadectwem bezstronności Brücknera: «Powstanie spełniło najpierw rolę drugiej odsieczy wiedeńskiej, bo wystawiła się Polska na sztych, aby Zachód przed najściem

Wschodu, tym razem rosyjskiego, obronić. Zapobiegło dalej wszelkiemu przedawnieniu: Europa poczęła już zapominać o krzywdzie polskiej, a mogło się zdawać, że i Polacy sami w końcu się z nią pogodzą, że w oczach władz zaborczych idealny na razie trójlojalizm powoli, siłą faktów, wejdzie w życie, że oswoją się z nim zupełnie młodsze pokolenia, wyrosłe w niewoli: w tym celu należało przede wszystkim zacierać ślady wielkiej przeszłości. Całą tę pajęczynę, oplatającą głowy i serca, zerwało nagle, na długo, zbrojną ręką powstanie... Dowiodło męstwa i sprawności wojska polskiego... Dowiodło ofiarności narodowej w imię wolności... Można było zgnieść powstanie, nie uczucia, nim rozbudzone... Obliczalne, i łatwo, są klęski, jakie powstanie na kraj ściągnęło, gdy wszelki postęp brutalnie przerwano; nieobliczalne są zasługi, jakie mimowoli nawet sprawie polskiej oddało, między innymi i ta, że uwydatniło ponownie cechy charakteru narodowego». Ale pytamy: jakie cechy? czy tylko męstwo i miłość wolności, które w różnych miejscach swego dzieła zalicza autor do głównych znamion charakteru narodowego Polaków? Czy nie odegrały tu jeszcze wielkiej roli inne jego znamiona, które autor bardzo słusznie także poczytuje za główne, a więc: popędliwość, ruchliwość, powierzchowność, zarozumiałość, porywczosć bez wytrwałości, większa świadomość swoich praw, niż swoich obowiązków, i, dodajmy od siebie, lekkomyślność i wiara w «jakoś to będzie»?

Ale nie będziemy toczyli polemiki z Brücknerem ani o przyczyny psychologiczne, ani o faktyczne wyniki powstania (które w oczach recenzenta miało nierównie więcej złych, aniżeli dobrych skutków): w książce tego rodzaju, co *Dzieje kultury polskiej*, to przecie rzecz uboczna. Ubocznym także jest w tej książce problem charakteru polskiego, problem, o którym tyle się u nas pisało, zwłaszcza w pierwszych latach porzecznych, a który do dziś dnia nie doczekał się choćby takiego studium, jakie o charakterze niemieckim napisał Müller-Freienfels (*Psychologie des deutschen Menschen und seiner Kultur, ein charakterologischer Versuch*).

Jeszcze kilka drobnych szczegółów. Mówiąc o zrywaniu sejmów, nie dodaje autor, że w tej procedurze maczali palce

i pieniądze Żydzi, jak to wykazał Ryszard Mienicki. Czy w lożach wolnomularskich «polityka była wykluczona», o tym niechaj wolno będzie mocno wątpić. Do bibliografii, podanej w tomie drugim na str. 444, należałoby dodać studium Kazimierza Bartoszewicza *Antysemityzm w literaturze polskiej XV—XVII wieku*. Koń «wsrokoczywy» (II, 99) to nie koń «rosły», tylko koń srokaty: konie rosły są mocne, a srokate — najczęściej słabe; stąd poszło przysłowie, pełne rezygnacji: «Koń srokacz, żona Magda, co ma Bóg dać, to i tak da». Anegdota francuska, przytoczona w tomie II na str. 49, jest, być może, jedynie pośrednim źródłem opowieści Kollataja o Annie Firlejowej: jezuici polscy mogli się z tej anegdoty nauczyć jednego z wielu sposobów oszukiwania ludzi i oszukiwać w taki właśnie sposób głupią babę, podobnie jak w wieku XVI figle księdza angielskiego Amisa mogły nauczyć «frantów» polskich płatać figle zakonnikom częstochowskim. Żeby Drużbacka «nie знаła Francuzów», jest rzeczą niemożliwą; rękopisy w bibliotece Krasińskich w Warszawie mówią, że знаła. W charakterystyce Stanisława Augusta jest pewna sprzeczność: raz (III, 163) pisze autor, że król «pracował nieznużenie», a wkrótce potem, że magnaci «czas trawili beczynnie, w czym im... król sam przyświecał» (III, 169). Data 1785 na *Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego* jest mylna (umyślnie): w rzeczywistości wydał je Staszic tuż przed wielkim sejmem, jak to wykazał Leśniewski. Czy Czartoryski, jako autor komedyj, stanął «nierównie wyżej niż Bohomolec», o to możnaby się z autorem spierać, jak i o to możnaby się kłócić, czy rzeczywiście forma poezji Krasickiego jest aż «s z c z y t n a», i czy przekłady tragedj francuskich przez Osińskiego są aż «znakomite». Mylnie przypisuje Brückner Niemcewiczowi wiersze: *Hetman w ogródcu*, *Hetman na krzyżu*, *Ewangelia o Branickim*, *Psalm na Wielki Piątek*, — ich autorem jest Zabłocki. *Książd Pleban*, wydany po raz pierwszy w roku 1786, nie 1789, jest powieścią nie Massalskiego (III, 282), tylko Kossakowskiego; powieść ta rzuca jaskrawe światło nie tylko na chciwość, ale także na ciemnotę i nieludzką wiejskiego duchowieństwa świeckiego; o zakonnikach książd pleban nie mówi, a kiedy pyta o nich jednego z księży, ten mu odpowiada: «Przeczytaj Waćpan...

Monachomachiją, tam ich znajdziesz żywe odmalowanie». Bliźnięta w *Zjawieniu Emilki* Woronicza oznaczają nie Polskę i Litwę, jak to mniema Brückner, wierząc niebacznie Chrzanowskiemu, ale Francję i Legiony, jak to bystro wywodzi Kamykowski. Akcja powieści Kropińskiego *Julia i Adolf* odbywa się za Zygmunta Starego, a nie w wieku XVII, jak podaje Brückner.

Lecz dosyć tego, albowiem idzie tutaj nie o szczegółową ocenę, lecz jedynie o ogólną charakterystykę dzieła znakomitego uczonego. Żeby dać szczegółową ocenę *Dziejów kultury*, na to trzeba całego zespołu specjalistów — jeden nie podola temu, bo drugiego Brücknera nie mamy. Dotychczas tylko tom pierwszy pobudził specjalistów do polemiki w sprawie niektórych problemów (1). Na samo czoło ogólnych charakterystyk wybija się rozprawa St. Estreichera *Problem dziejów kultury polskiej* (2); pisząc ją, autor nie znalazł jeszcze tomu trzeciego, ale to, co mówi o dwóch pierwszych, dobrze charakteryzuje całe dzieło: «Toruje ono drogę przyszłości, podając w wątpliwość wiele hipotez, odrzucając wiele fantazji;... daje ono obraz całości, nie kryjąc, jak wiele jest jeszcze luk do wypełnienia i w którą stronę należy skierować dalsze badania; nie cofa się ono przed poruszaniem trudnych pytań, lecz przeciwnie stara się dać na nie odpowiedzi, o ile już dzisiaj są możliwe; jednym słowem, są to silnie murowane fundamenty pod przyszłą wiedzę o dziejach kultury polskiej. Zasługa autora jest przeto bardzo wielka, a doniosłość dzieła i rola, jaką odegra ono w dalszym rozwoju naszej nauki, jest pierwszorzędna». Do tego sądu warto jeszcze dodać słowa uczonego specjalisty tej miary, co K. Tymieniecki: «Nadzieje, które szeroki ogół pokłada w pracy naukowej prof. Al. Brücknera, nigdy jeszcze nie zawiodły».

Dodajmy na zakończenie, że tom czwarty *Dziejów kultury* jest już w druku. Serce ściska się na myśl, że go Brückner nie doczekał (um. 24 maja 1939).

Cześć pamięci wielkiego uczonego!

(1) Ob. w tomie X *Slavia Occidentalis* recenzje K. Tymienieckiego i M. Rudnickiego. — (2) *Przegląd Współczesny*, nr 105.

«DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ»
ALEKSANDRA BRÜCKNERA

W roku 1900 księgarnia Amelanga w Lipsku rozpoczęła wielkie wydawnictwo: *Die Literaturen des Ostens in Einzeldarstellungen*. Do «Wschodu» zaliczono łaskawie wszystkich Słowian — nie tylko wschodnich, ale i zachodnich: Czechów i Polaków. Tom pierwszy tego wydawnictwa ukazał się w roku 1901: zawierał on *Geschichte der polnischen Literatur* Aleksandra Brücknera; (wydanie drugie, skrócone i gruntownie przerobione wyszło w roku 1922). Wkrótce po pierwszym wydaniu książki niemieckiej ukazała się w r. 1902 książka polska, będąca nie przekładem, lecz pracą zupełnie nową, samoistną: *Dzieje literatury polskiej w zarysie* (dwa tomy); w r. 1908 — wydanie drugie; w 1924 — trzecie.

Ażeby sprawiedliwie ocenić to ostatnie wydanie, trzeba wziąć pod uwagę własny komentarz autora, znajdujący się w jego artykule *O literaturze słów kilka* (*Przegląd Współczesny* 1924, nr 25, str. 214—5); oto rękopis dzieła złożył autor *Bibliotece Polskiej* na początku roku 1921, «więc odleżał się porządnie», zanim go ogłoszono; nie winą tedy jest autora, że nie uwzględnił wielu nowych, czasem niezmiernie ważnych badań.

Oto dlaczego brak w jego dziele wiadomości, że się odnalazły takie skarby literatury staropolskiej, jak *Kupiec Reja*, dawniej znany tylko w urywkach, albo *Historia o siedmiu mędrkach*, *Historie rzymskie*, *Sowizdrzał*, dawniej znane tylko z późnych wydań. Nie mógł jeszcze autor znać, kiedy książkę swoją pisał, znakomitej rozprawy Kridla (w książce *Krytyka i krytycy*) o przedmowie Haeckera do *Trybuny Ludów* Mickiewicza, więc, zawierzywszy Haeckerowi, napisał, że Mickiewicz stał się «ja-

wnym socjalistą», co, jak to wykazał niezbitcie Kridl, jest niezgodne z prawdą. Nie mógł także autor znać ani książki Jana Dąbrowskiego o Warneńczyku, ani studium Kallenbacha o *Pieśniach Janusza*: inaczej nie twierdziłby po dawnemu, że Warneńczyk nie składał przysięgi i że *Pieśni Janusza* wyszły w roku 1833.

Nie autor także odpowiada za niezbyt staranną korektę, jak «Antipoeras» (zamiast «Antipocras»), Bouacc (zam. Boccaccio), Radeliffe (zam. Radcliffe), Brorcjusz (zam. Broscjusz), Warnieński (zam. Warmiński) itd.

Za niektóre natomiast drobne przeoczenia odpowiada już sam autor. Marcin Bielski, wbrew temu, co sam mówi, nie podług Wapowskiego opowiada o dziejach Polski, tylko podług Miechowity. Wiersz *Joannes Sarcasmus* czyż jest utworem Trembeckiego? Nie Niemcewicz «pociosał» i rozszerzył *Barda Polskiego*, tylko sam Czartoryski: hipoteza Chrzanowskiego okazała się zupełnie mylną, jak to już dawno wykazał Kallenbach. Wiadomość, że w pierwotnym, czterozwrotkowym hymnie *Boże, coś Polskę* «dwie pierwsze zwrotki są Felińskiego, dwie ostatnie Goreckiego», jest mylna: wszystkie cztery zwrotki wyszły spod pióra Felińskiego, a Gorecki, naśladowując go, napisał hymn inny, także czterozwrotkowy; już przed powstaniem listopadowym śpiewano kombinację tych dwóch hymnów.

Ze zmian i uzupełnień, poczynionych w ostatnim wydaniu, najważniejsze znajdują się w zarysie historii literatury najnowszej, który został (bardzo słusznie) wyodrębniony jako rozdział osobny («Młoda Polska»). Inne zmiany i uzupełnienia tłumaczą się nie tylko tym, że się autor, przygotowując do druku trzecie wydanie, nie potrzebował już liczyć z cenzurą rosyjską, ale także uwzględnianiem nowych badań i odkryć, swoich i cudzych. A więc, w zakresie literatury staropolskiej, świadectwo Długosza o bibliotece królowej Jadwigi, przytoczone dawniej bez zastrzeżeń, teraz, w wydaniu trzecim, podaje autor w wątpliwość, twierdząc, że jeśli Długosz opowiada o posiadaniu przez Jadwigę polskich przekładów pism ascetycznych, «to stosunki późnego XV wieku przeniósł do XIV». Są dalej nie istniejące w dawnych wydaniach ustępy o pierwszej drukowanej książce polskiej i dialogu pseudo-Lucjana,

o pierwszym katechizmie polskim z pamiętnego roku 1543, o rozwoju twórczości Reja, o Adamie Włodzisławczyku, o sowizdrzałach, o Szczęsnym Herburcie, o Józefie Potockim, o poezji patriotycznej epoki rozbiorów. Drobniejsze zmiany i uzupełnienia pomijamy. W zakresie literatury XIX wieku są nowe ustępy o Fredrze, o preromantyzmie, o pierwszych utworach Mickiewicza, o romantyzmie i fantazji Słowackiego, o dwóch pierwszych częściach *Nieboskiej Komedii*, o Stanisławie Tarnowskim, jako krytyku, o Norwidzie, o niepowołanych i stronniczych krytykach Sienkiewicza; jest wreszcie nowe zakończenie, a na końcu każdego tomu jest «dodatek bibliograficzny».

Od szczegółów i drobiazgów przejdźmy do charakterystyki dzieła Brücknera.

Przede wszystkim, jeżeli pominiemy podręczniki szkolne, jest ono pierwszym u nas równomiernym opracowaniem historii literatury ojczystej od najdawniejszych do ostatnich niemal czasów; takim było już w pierwszym swoim wydaniu. Chmielowski w swej sześciotomowej *Historii literatury polskiej* (1899—1900) zbył czasy najnowsze krótko, powołując się na swój *Zarys najnowszej literatury polskiej* (po powstaniu styczniowym); Tarnowski doprowadził swoje wielkie sześciotomowe dzieło (1900—1907) do końca, ale, zwłaszcza w ostatnim tomie, zatracił wszelkie poczucie proporcji, nie mówiąc już o tym, że ten tom jest raczej zbiorem felietonów, aniżeli wykładem historyczno-literackim.

Przewyższa dalej dzieło Brücknera wszystkie inne bogactwem opracowanego materiału w dziedzinie literatury staropolskiej, której znajomością nikt, od początku istnienia nauki historii literatury, nie mógł i do dziś dnia nie może się nawet równać z Brücknerem. Jemu to przecie zawdzięczamy odkrycie całego długiego szeregu zabytków naszej dawnej literatury; pierwszy wiersz polski treści świeckiej, *Kazania Świętokrzyskie*, najstarsza legenda (o świętej Dorocie), liczne pieśni religijne i prawie cała poezja łacińska, kazania polsko-łacińskie z nieprzejrzanym bogactwem szczegółów obyczajowych, apokryfy (a wśród nich *Rozmyślanie przemyskie*) — w wiekach średnich; w wieku XVI — *Ezop* Biernata z Lublina, dro-

bnę dialogi Reja, dwie elegie łacińskie Kochanowskiego, erotyki Szarzyńskiego, poezje Anonima-protestanta; w wieku XVII literatura mieszczańska, wiersze historyczne (np. Eliasza Pielgrzymowskiego, Gabriela Krasińskiego), pisma Herburta, *Moralia* Potockiego, jego *Ogród* i inne utwory, autobiografia wierszem Anny Stanisławskiej itd. itd. — ten katalog możnaby jeszcze dalej prowadzić.

Oprócz rzeczy zupełnie nowych, oprócz własnych odkryć, jest w *Zarysie* Brücknera szereg rzeczy, dawniej wprawdzie znanych, lecz które on dopiero przedstawił w nowym oświetleńniu; jako przykład niech służy satyra *Coś nowego* i traktat *Rozmowa plebana z ziemianinem*, dwa wybitne utwory literatury XVII wieku, o których nie wiedziało się przed Brücknerem, że wyszły spod pióra Łukasza Opalińskiego.

Niektóre z tych odkryć nie tylko wzbogaciły materiał historyczno-literacki, ale na zjawiska literackie rzuciły zupełnie nowe światło. Oto przez odkrycie *Ezopa* Biernata z Lublina i przez wykazanie, że pierwsze nasze drukowane książki religijne są tylko zmodernizowanymi wydaniem rękopisów średniowiecznych, dowiódł Brückner jasno (jedna to z jego największych zasług, jako historyka literatury polskiej), że pomiędzy naszą literaturą średniowieczną a późniejszą istnieje bardzo ścisły związek. A drugą, jeszcze większą, jest ostateczna rehabilitacja wieku XVII. Nie przeczy wprawdzie Brückner, że się w tym stuleciu obniżył i poziom estetyczny i duch obywatelski literatury, ale wykazał za to całą jej niesłychaną, a nieznaną dawniej różnorodność, jej mocne piętno narodowe, o wiele mocniejsze, niż w wieku złotym, jej olbrzymie znaczenie dla dziejów kultury (zwłaszcza obyczajowej), jej wspaniałe zdobycze na Wschodzie.

Nie dosyć na tym. Są całe działy literatury staropolskiej, których od czasu Maciejowskiego nikt nie tykał, a które Brückner dopiero wciągnął do swego *Zarysu*; tu należą listy i mowy, polemika religijna, wiersze i pieśni ulotne, powieści ludowe, makarony, a nade wszystko «literatura sowizdrzańska» XVII wieku, której autorowie (mieszczanie) «nie znają zagranicy, nie naśladowa Włochów, niewiele usta pomazali łaciną, ani cenią, ani wyszukują klasycznych reminiscencyj, ...za to

nuta ich jest rodzima, jędrna, staropolska; humor dosadny, ale własny, forma nie wyszukana, ale swojska;... obchodzą się bez panegiryzmu i makaronizmów,... nie boją się przesady, parodii, nie uszanują nawet rzeczy świętych, rubaszni, nazywają wszystko po imieniu i tym gorszą ucho cenzorów duchownych; «tu objawił się humor staropolski, humor Pasków i Zagłobów; są to również źródła pierwszorzędnej wagi dla historii obyczajowości polskiej».

Wciągnięcie tej literatury, którą trudno nazwać «piękną», do *Zarysu* tłumaczy się tym, że autor całą w ogóle literaturę staropolską «uważa i ceni» «głównie jako odbicie dawnego życia», że wylawia z niej szczegóły tego życia i «nie opuszcza, ile możliwości, niczego». Innymi słowy, autor patrzy na literaturę staropolską, jako na zwierciadło kultury, i to właśnie jest, w pierwszym tomie, głównym kryterium wyboru materiału.

W tomie drugim jest inaczej: «Wielka literatura nowa — mówi autor — nie dopuszcza takiego sylabizowania; o wyczerpaniu jej zasobów nawet mowy być nie może; wybór ograniczam do celniejszych jej zjawisk i głębokim milczeniem pomijam to, czego w wiekach poprzednich nie wahałem się wyliczać». Swoją drogą i w drugim tomie nieraz popoľgował Brückner swej żylce historyka kultury: są całe ustępy o słowianofilstwie i sławistyce pierwszych lat porozbiorowych, albo o filozofii XIX wieku. Na ogół jednak w tym tomie «literatura piękna» ma już przewagę przytłaczającą; szkoda tylko, że tę «literaturę piękną» — inaczej niż historycy literatury francuskiej — autor pojmuje dosyć ciasno, zaliczając do niej prawie wyłącznie poezję i powieść, a po macoszemu traktując te nawet utwory historiografii, krytyki, publicystyki, moralistyki, filozofii, które ze względu na swój styl mogą sobie słuszenie rościć prawo do tego, aby je zaliczono do «pięknej prozy». O takich np. *Wizerunkach duszy narodowej* Trentowskiego nie ma ani wzmianki, która w dziejach literatury byłaby o wiele potrzebniejsza, niż wzmianka o jego filozofii.

Co do podziału tak obficie nagromadzonego materiału, to autor powiada w przedmowie do wydania pierwszego, że «zatrzymał podział najbardziej mechaniczny, jako najmniej

gwałcący prawdę», że rozpatrywał literaturę stuleciami. Zapowiedź tę spełnił wprawdzie, ale byłoby krzywdą dla jego *Zarysu* powiedzieć, że to podział mechaniczny: albowiem w ramach każdego wieku (poczynając od XVI) są podziały szczegółowe, odpowiadające na ogół tym «epokom» czy «okresom», na które się u nas powszechnie dzieli literaturę. Autor nie lubi tylko tych wyrazów, ale przywiązane do nich pojęcia uznaje, inaczej bowiem nie byłby historykiem.

W układzie szczegółowym wysuwa Brückner na pierwszy plan te czynniki kultury umysłowej i politycznej, które wpłynęły na zmianę charakteru piśmiennictwa. Samą zaś literaturę rozbija na działy i rodzaje; a więc np. w poezji szlacheckiej XVII wieku wyróżnia epikę historyczną i romantyczną, epikę religijną (mesjady), satyrę, wiersze dydaktyczne i fraszki, lirykę religijną, polityczną, miłosną, gnomiczną, próby dramatyczne. Przy takim podziale autor nie mógł, w obrębie poszczególnych rozdziałów, uwzględniać ściśle chronologii; tak np., ponieważ charakterystyka pamiętników i epiki XVII wieku poprzedza rzecz o liryce, więc Miaskowski, który zaczął pisać jeszcze w wieku XVI, figuruje dopiero po Pasku i Potockim, których działalność przypada dopiero na drugą połowę XVII stulecia.

Tego podziału jednak nigdzie nie przestrzega autor z pedanterią, z którą jego żywy i lotny umysł nie ma nic wspólnego. Najkonsekwentniej stosuje podział na rodzaje w literaturze wieku XVII, dlaczego, nie trudno zgadnąć: oto w żadnym innym okresie naszej literatury nie było tak wielkiej różnorodności, takiej pstroczyny zjawisk literackich; przysłowie: «Wolno w Polsce, jako kto chce», maluje nie tylko życie, ale i literaturę tego stulecia: tu i tam panowała anarchia. Otóż tę anarchię należało ująć w karby, i to właśnie zrobił Brückner, grupując literaturę rodzajami i działami. W wieku XVI, a cóż dopiero w drugiej połowie XVIII, anarchii nie było; taki Krasicki np. uprawiał satyrę i listy poetyckie, poematy komiczne i epos bohaterski, bajki i fraszki, powieści i komedie: ale wszystko to było ożywione jedną myślą — służby narodowej, a i Naruszewiczowi przyświecała ta sama myśl zarówno w bajkach, jak w pismach historycznych; toteż ani Krasickiego-

poety od Krasickiego-powieściopisarza, ani Naruszewicza-satyryka od Naruszewicza-historyka autor nie odłącza.

Tym bardziej nie rozбивa Brückner na rodzaje, na ogół biorąc, literatury wieku XIX, kiedy to indywidualność twórców zaczyna wyciskać daleko silniejsze piętno na literaturze, niż dawniej, kiedy więc ta indywidualność, nie rodzaj, stała się dla historyka całokształtu literatury — jedynym możliwym *principium divisionis*. To *principium* panuje w drugim tomie niemal wszechwładnie; jeżeli pomimo to działalność Mickiewicza, Goszczyńskiego i Zaleskiego podzielił Brückner na dwie części, to już, naturalnie, nie na podstawie rodzajów poezji, tylko na podstawie tej zmiany, jaka zaszła w literaturze wskutek powstania listopadowego.

A teraz — w jaki sposób traktuje Brückner zjawiska literackie? jak poczyną sobie z autorami i utworami? Przy ocenie jego dzieła o tym przede wszystkim pamiętać trzeba, że (inaczej niż dzieła Chmielowskiego i Tarnowskiego) «autor — jak sam mówi — daje z a r y s d z i e j ó w, nie myśli o wyczerpaniu szczegółów, mimo to stara się o wystawienie całokształtu». A więc nie ma tutaj ani dokładnych szczegółów bibliograficznych i biograficznych, ani wyczerpującej charakterystyki pisarzy, ani obszernych rozbiórów poszczególnych dzieł. Autorowi chodziło nade wszystko «o wystawienie całokształtu» literatury w jej najwybitniejszych prądach i w jej najwybitniejszych utworach. I ten cel swój osiągnął w zupełności.

Wyjaśniając istotę głównych prądów literackich, Brückner świetnie charakteryzuje różnorodne ich czynniki historyczne, a więc życie polityczne, społeczne, religijne, oświatowe itd. Tym sposobem w każdym rozdziale książki mamy bogate tło, na którym się literatura rozwijała, doskonale zespolone z charakterystyką jej głównych zjawisk; czytelnik poznaje w ogólnych zarysach całokształt życia duchowego Polski. Ani jedna historia literatury polskiej nie może się pod tym względem równać z książką Brücknera.

Że się autor na każdym kroku posługuje metodą porównawczą, że śledzi wpływy obce, aby określić stopień samorodności naszej literatury, zbytecznie mówić; dzięki tej metodzie

jasno się czytelnikowi przedstawia związek naszej literatury z zachodnio-europejską. Nie zapomina także autor, znakomity sławista, o literaturach słowiańskich — rosyjskiej, czeskiej, dubrownickiej, już to aby tym plastyczniej uwypatnić cechy literatury polskiej, tym silniej uwypatnić jej różnice od innych słowiańskich, już to aby pokazać, jak wiele nasza literatura zawdzięcza (w wiekach średnich) czeskiej, i jak mocno i daleko promieniowała nasza literatura na zewnątrz, zwłaszcza na wschód słowiański: «na literaturze polskiej wyrastają liczne pokolenia wschodnie w Kijowie i Jassach, a wpływ tej literatury sięga i Moskwy». Z żadnej innej historii literatury polskiej nie dowiadujemy się tyle o jej zasługach w historii cywilizacji słowiańskiej. Dodajmy jeszcze, że przy końcu każdego rozdziału autor, obdarzony niepospolitym talentem syntetycznym, podaje zwięzłą charakterystykę ogólną cech i postępów literatury w pewnym przeciągu czasu, a w zakończeniach obydwóch tomów — charakterystykę jej całokształtu i jej znaczenia w życiu narodu. Nie należy bowiem Brückner do tych ciasnych estetów, którzy zamykają oczy na wszystkie wartości literatury z wyjątkiem estetycznych; a zresztą jest on przede wszystkim historykiem: stwierdza fakty, a faktem jest, że nasza literatura chciała i w rzeczywistości była mistrzynią życia narodowego.

Jak charakterystyki całych prądów literackich i w ogóle kulturalnych, tak charakterystyki twórczości poszczególnych pisarzy i oceny poszczególnych utworów są przeważnie syntetyczne, a niezmiernie zwięzłe i treściwe. Autor, obdarzony niezmiernie bystrym umysłem, odróżnia zawsze zarówno w indywidualnościach twórczych, jak w utworach literackich, cechy istotne od mniej ważnych i tylko na te cechy istotne zwraca uwagę. Jedna to z największych zalet jego dzieła; poznał się na niej już Chmielowski, który w swej ocenie pierwszego wydania *Zarysu* słusznie pisał, że odznacza się on «umiejętnością wydobywania i uwypatniania znamion charakterystycznych». Ta właśnie umiejętność sprawiła, że ogromną większość swoich sądów i poglądów mógł autor — po latach dwudziestu — pozostawić bez zmiany, pomimo że przez ten czas nie próżnowali przecie historycy literatury, a przede wszystkim sam autor.

Na niektóre jego sądy nie każdy przystanie, na ten przede

wszystkim, że Kochanowski «zepchnął ponownie rydwan» polskiej «literatury na tory naśladownicze, z których już się nie wydobyła, okupując znaczne zyski znaczniejszymi stratami». Że dzięki Kochanowskiemu miała literatura nasza nie tylko znaczne, ale ogromne, wręcz nieocenione zyski (mianowicie świadomy artyzm), na to zgoda, ale żeby Kochanowski odpowiadał za późniejsze «znaczniejsze straty», na to nie ma zgody: nie jego jest winą, że dopiero w XIX wieku zdobyła się Polska na poetów, którzy umieli zespolic artyzm z oryginalnością i narodowością! Gdyby nie Kochanowski, toby literatura nasza — pod względem artystycznym — zeszła na psy, a to, że na psy nie zeszła, było i jest tak wielkim «zyskiem», że okupuje on wszystkie znaczniejsze straty, za które, raz jeszcze, odpowiada nie Kochanowski, tylko nieudolność lub niesamodzielność jego następców.

Inne sporne poglądy nie mają już tak zasadniczego znaczenia. Wolno jednak wątpić, czy ma słusność Brückner, kiedy twierdzi, że *Lilla Weneda* nie jest tragedią powstania listopadowego, albo, że «czym był Siemieński dla historii literatury, pozbawiwszy ją pedanterii, drobiazgowości, sam jednak nie skupiający sił dla wydania całości, myszkujący po różnych jej działach, tym został dla historii narodowej Karol Szajnocha»: czyż samo porównanie Szajnochy, artysty i uczonego, z Siemieńskim, utalentowanym wprawdzie, ale bardzo powierzchownym felietonistą, nie jest krzywdą, wyrządzoną autorowi *Jadwigi i Jagielły*? *Pan Balcer* to, zdaniem Brücknera, «epopea ludowa», którą Konopnicka «utworzyła tak, że największym niemal dorównała»: czy to nie za wiele? Na sądach autora o «Młodej Polsce» zaważyły tu i owdzie, jeśli się nie mylimy, chwiejne i płytkie impresje Feldmana.

Zresztą tego rodzaju sądów subiektywnych, co o *Panu Balcerze*, jest w *Zarysie* mało (najwięcej, rozumie się, w ostatnich rozdziałach, poświęconych literaturze najnowszej); autorowi bowiem zawsze chodzi więcej o charakterystykę zjawiska literackiego, aniżeli o jego ocenę. Zresztą i w ocenach stara się on zawsze być bezstronnym i miał zupełne prawo powiedzieć o sobie, że «żadnej tendencji czy partii nie wprzął się w służbę». A zasługuje to na tym większe uznanie, że, jak wia-

domo, czego jak czego, ale żywego, gorącego temperamentu nie odmówiły Brücknerowi miłościwie nieba. Umiał go jednak w tym dziele trzymać na wodzy, tak dalece, że nie będąc nigdzie i nigdy bezdusznym, owszem wszędzie i zawsze tryskając życiem, należy ono do najbezzstronniejszych dzieł, jakie o literaturze polskiej napisano. Ujawniła się zaś ta bezstronność nie tylko wobec poszczególnych pisarzy, ale i wobec całych prądów.

Nietrudno np. spostrzec, że autor jest całym sercem po stronie reformacji, a jednak, przyznając jej olbrzymie zasługi około rozwoju języka ojczystego i literatury narodowej (zasługi, o których Tarnowski milczy), stwierdza ten smutny fakt, że niejeden talent wprowadziła ona na fałszywe tory, że nawet niejednego pisarza wykoleiła. Nie ukrywa także swej szczerzej, głębokiej sympatii względem arian, ale to nie przeszkodziło mu bynajmniej do sprawiedliwej oceny jezuitów. A oto ostateczny sąd Brücknera o mesjanizmie — warto naprawdę przytoczyć go w całości:

«Łudził... mesjanizm jednostronną apoteozą przeszłości, ...ale różnił się dodatnio od słowianofilstwa, apoteozującego również własną przeszłość, tym, że o powrocie do tej przeszłości nigdy nie marzył; że nie zakuwał, jak słowianofilstwo, ludzkości i jej postępu w ciasne ramy niemożliwej doktryny, że wierzył w postęp, w udoskonalenie; że cel miał przed, nie za sobą, nie wsteczny, ani fantastyczny. Łudził mesjanizm oczekiwaniem rychłego przewrotu, wielkiej jutrzni odrodzenia ludzkości — ale któż w przededniu wiosny ludów (1848) tak się nie łudził? A zresztą i dla mesjanizmu sprawa bywała «tą przegraną, której cel daleki, a która w końcu wygrywa na wieki». Lecz chociaż, dziś szczególnie, pozbywamy się iluzji, chociaż nie wierzymy, że «nim ten jeszcze wiek przeminie, wyjdzie ludów lud jedyny», ani, że «myśl Boga w twoim łonie i los świata w twym zakonie», przyznajemy żywotność samej idei mesjanistycznej, wolnej od owych naleciałości, idei postępu świata, zamiaru: «wylać ducha na miliony, ciałom wszystkim rozdać chleba, duszom wszystkim — myśli z nieba... do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie... bo cel światów szlachetnienie».

I z tego to stanowiska, jedynie słusznego i bezstronnego, ocenia Brückner i *Przedświt* i *Psalmy przyszłości* i *Księgi pielgrzymstwa*.

Na szczególną uwagę zasługuje bezstronność autora względem «Młodej Polski».

Pomimo że, jak widzieliśmy, od przesadnego estetyzmu jest bardzo daleki, pomimo że ceni wysoko tę służbę narodową, jaką pełniła literatura w epoce niepodległości oraz w epoce romantyzmu, nie jest niesprawiedliwy wobec modernistów, hołdujących hasłu «sztuka dla sztuki». Prawda, sądzi ich nieraz bardzo surowo:

«Erotyzm dźwięczy tu aż nadto natrętnie..., instynkt, pociąg, namiętność przerodziły się w szal, wyuzdanie, chorobliwą manię; we śnie i na jawie trapi ta zhora niejednego z poetów, zawładnęła wyobraźnią i uczuciami, i, jak nałogowiec do wódki, wraca poeta taki do «kobiety» i wmawia w siebie, słabość woli maskując, jakiś fatalizm erotyczny, jakąś nienawiść żywiołową obu płci, jakieś rozdarcie pierwotnej androgyny i nieczyszczone, zawsze daremne pragnienie złączenia się napowrót. W ten sposób wymysł Platona w krew i ciało przyoblekając, zwodząc głupich i maluczkich, idących naiwnie na ten lep, szerzy literatura kult chorobliwy samej choroby, gardząc zdrowiem ducha i ciała».

Nie przypada też autorowi do smaku sztuka, która

«w szkole niedawnego naturalizmu zbyt wychłodzona i wyschła, pchnęła się odruchową siłą kontrastu w nierealność;... rzucają... poeci wiotkie mosty nad przepaścią, łączą brzegi dwóch światów, naszego i nieziemskiego, duchowego, astralnego; pogłębia się niezmiernie sztuka, lecz ulatnia się treść».

Rażą go poeci, którzy

«rwą... stare formy, sadzą się na dziwaczne sploty wyrazów, wyginają zwrotki w niemożliwe, pozbawione rytmu układy i rzucają w końcu wiersz dla jakiejś prozy miarowej; prostota i naturalność ulatniają z tych wierszów — przeładowane myślą, nie wyrażające jej, a częściej bezmyślne, chociaż udające myśl, każą się podziwiać, jak obrazy «secesji» lub jej ornamenty, gdzie dziwaczność nieraz bywa jedyną zasługą».

Ale teraz odwrotna strona medalu:

«Niepodobna odmówić zasług «Młodej Polsce»; pomijamy pierwszorzędne jej sily, w dziełach literatury uwiecznione; fakty świadczą, że przełamała obojętność publiczności, że zrehabilitowała poezję, podniosła smak czytających, wstrząsnęła nimi, że poruszała nowe zagadnienia, próbowała nowych form, odświeżyła język... Jeśli by nic innego nie zdziałali, już za to się im należy wdzięczność i uznanie; skarg na niezrozumiałość, na uchylenie się od hasel społecznych i pracy organicznej, na naśladownictwo obcych, na orgie zmysłowe i rozpaczliwy

pesymizm, na powtarzanie się i przesadę, czasem i częściowo słusznych, uogólniać się nie godzi. Nigdy nie zapomnimy, że to oni odwołowali dziedzinę poezji, że odwiązali ją od pręgierza tendencji, od katechizmu życiowego dla *vulgus profanum*, że oddali ją sztuce».

Trudno naprawdę uwierzyć, żeby ten sam uczony, który z takim umiłowaniem pisał o kazaniach i wierszach średnio-wiecznych, który z takim zapalem poświęcał się studiom nad Rejem i Potockim, który taki ogrom pracy włożył w badania gramatyczne i leksykalne, historyczne i mitologiczne, — żeby ten sam uczony z takim rozmachem, z taką pewnością pióra, wydawał tak mądre i trafne sądy o modernizmie, z którym się tylu starszych ludzi do dziś dnia pogodzić nie chce. Można być pewnym, że gdyby pisał o ekspresjonizmie czy futuryzmie, o dadaizmie czy kubizmie, nie zawiodłoby go ani pióro, ani głowa... Bo pod względem szerokości rozumienia zjawisk literackich na przestrzeni całych wieków oraz szerokości zainteresowań intelektualnych w tej dziedzinie (nie mówiąc już o fenomenalnej erudycji) nie ma u nas i nie było wśród historyków literatury nikogo, kto by się z Brücknerem mógł równać. Nie dziw, że jego dwutomowe *Dzieje literatury polskiej w zarysie* są u nas dziełem jedynym, że lepszej syntezy całokształtu dziejów literatury ojczystej nie mieliśmy i nie mamy.

ZYGMUNT WASILEWSKI JAKO KRYTYK LITERACKI W ŚWIETLE DWÓCH WŁASNYCH KSIĄŻEK

Pierwszą z tych książek, wydaną jeszcze w roku 1927, są *Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim*; druga wyszła w roku 1929: *Poeci i teatr, spostrzeżenia*.

W obydwóch oblicze duchowe autora, jako krytyka literackiego, zarysowuje się jeszcze może wyraźniej i pełniej, niż w jego licznych dziełach dawniejszych. Oblicze to scharakteryzował kiedyś (przygodnie, ale bardzo trafnie) Ochorowicz, który, po przeczytaniu pracy Wasilewskiego o Kasprowiczu, wyraził się w liście do jej autora, że bierze on «o parę tonów za wysoko». Tak jest we wszystkich dawniejszych studiach literackich Wasilewskiego, tak jest i w dwóch wymienionych książkach: wznosi się on wysoko ponad poziom zwykłego zakresu krytyki literackiej, sięga w dziedzinę psychologii, socjologii, filozofii, roztaczając przed czytelnikiem całe bogactwo swojej niepospolitej umysłowości, zasilanej rozległą lekturą naukową i wydyscyplinowanej usilną pracą woli, bez której o samodzielnym myśleniu mowy być nie może. Nie ma u nas dzisiaj krytyka bardziej myślącego, a przez to i oryginalniejszego niż Wasilewski; każda jego rzecz, czy to będzie studium, czy szkic literacki, rozbiór, czy synteza, portret, czy charakterystyka, a choćby tylko «wspomnienie», daje czytelnikowi, bez względu na to, czy się z sądami autora zgadza lub nie, bardzo wiele do myślenia o zagadnieniach nie tylko literackich, ale także wyższych «o parę tonów».

Co do zagadnień literackich, to Wasilewskiego pociąga nade wszystko problem syntezy, syntezy twórczości poety i, co za tym idzie, charakterystyka jego duszy, jego typu twórczego, — i tutaj krytyka literacka podaje rękę psychologii. Cecha ta widoczna jest nawet w drobnych sprawozdaniach tea-

tralnych, wcielonych do książki *Poeci i teatr*, jeszcze widoczniejsza w świetnych charakterystykach syntetycznych Wyspiańskiego, Staffa, Illakowiczówny, umieszczonych na czele tego tomu, najwidoczniejsza zaś we *Wspomnieniach o Kasprowiczu i Żeromskim*.

Nie są to «wspomnienia» we właściwym znaczeniu tego wyrazu, albo raczej, mówiąc dokładniej, nad kilku luźnymi wspomnieniami o dwóch znakomitych twórcach, z którymi Wasilewskiego łączyły węzły koleżeństwa i serdecznej przyjaźni, ogromną przewagę mają *rozważania*, których przedmiotem jest ogólny charakter twórczości i dusz Kasprowicza i Żeromskiego. Otóż, nie przecząc bynajmniej, że «wspomnienia» Wasilewskiego są i bardzo ciekawe i niezmiernie cenne, jako autentyczny materiał do biografii tych dwóch poetów, niechaj wolno będzie powiedzieć, że jeszcze ciekawsze i cenniejsze są owe rozważania, które staną się niewątpliwie trwałą podstawą sądów o twórczości Kasprowicza i Żeromskiego, i to nie tylko o jej rodzaju i charakterze, ale także o jej najgłębszej istocie — psychologicznej, społecznej, narodowej. Żeby nie być gołosłownym, oto kilka «spostrzeżeń» Wasilewskiego.

«Dziwny to był pogrzeb, równy poezji Kasprowicza. Kto ją zna, ten pamięta zasadniczy jej motyw — obcowania życia ze śmiercią, ten przepiękny motyw poetycki grobu, pogłębiony filozofią życia, która od grobu się zaczyna i przez grób jest zasilona... Wielkość jego pieśni, jego charakteru, jego człowieczeństwa polegała na tym, że żył w nim człowiek wieczny, gardzący chwilą bieżącą, jako celem i nagrodą». «W każdym z cyklów... twórczości... rysem głównym jego usposobień jest dążenie odśrodkowe od swojego Ja do wielkiego Nie-Ja, które jest resztą świata i absolutem. Z pojęciem Ja samolubnego wiąże się ograniczoność, skończoność, zmysłowość i grzech. Przez miłość świata poeta dochodzi do potężnych natchnień prometejskich, porywa się do buntu przeciwko prawu stworzenia, ale nawet upokarza się przed Bogiem, który karze pychę, — i w nizinie cierpi za siebie i za ludzi. Na ziemi widzi cięń wielkiego Krzyża i sam doznaje uczuć rozpięcia. Jakaś siła daje mu lot strzelisty do zenitu, a druga, wyznaczająca służbę na rzecz życia, przekreśla poetę w kształt krzyża... Kasprowicz

pragnie Życia, jak żaden z poetów, a gdy wpada w wątplenie, wzywa śmierci, jako zbawicielki, z taką dozą szczerości, jakiej nie spotykamy u innych poetów. Grób jest dla niego punktem, od którego zaczyna się nowe życie».

Tu warto przytoczyć sąd samego Kasprowicza o tym, co Wasilewski dawniej o nim pisał: «Przeczytałem Twą książkę (1). Nie mogę Ci wprost powiedzieć, jaką mi sprawiłeś radość. Otworzyłeś mi przede wszystkim niejedną zakamarek duszy, o którym zdawało mi się, że sam już zapomniałem. Odniosłem też jedno wrażenie: jeżeli moja poezja przetrwa, to książka Twoja będzie niewyczerpanym źródłem do poznania i zrozumienia tej poezji. Ktokolwiek będzie zajmował się moją poezją, będzie musiał uciekać się do Twojej książki... Niezwykłe jest wnikliwa».

Niemniej wnikliwe jest to, co Wasilewski mówi o Żeromskim. «Z przyrodzenia swojego był to talent liryczny. Garnął w siebie życie wrażliwością zmysłową; ...natura sensualistyczna, zaprzeczenie intelektualizmu, w sferze idei oderwanych mało mogła znaleźć pokarmu dla talentu poetyckiego. Żywiołem naturalnym Żeromskiego była pamięć rzeczy przeżytych, pamięć precyzyjna, decydująca o powołaniu artysty, a nadto poetycka, idealizująca rzeczy pamiętane, i powiększająca... Bliżej było Żeromskiemu do romantycznego na świat poglądu z jego kultem dawności, patyny wieków i zaściankowości, niż do uniwersalizmu i do futurystycznego patrzenia w nieznana przyszłość, w którą z lubością ulatuje doktryner, gotowy w każdej chwili do rozpoczynania życia na nowo». Z tym wszystkim doktrynerstwa tego dużo było w Żeromskim, a stąd «w zenicie rozwoju swego talentu popadł w dwoistość, która odbierała jego utworom wartość monolitu; czerpiąc natchnienie z dwu inspiracji, dalekich od zharmonizowania, narodowej i radykalnie społecznej, tworzył podwójnym pasmem, które siłą talentu zaplata, ale które nigdy nie dawało obrazu harmonijnego, jakby dwu słońcom zawdzięczał oświetlenie». «Poryw liryczny unosi go w głąb dziejów i z lubością przypada do wielkich postaci

(1) Mowa o książce: Jan Kasprowicz, zarys wizerunku (Warszawa 1923).

narodowych, ale jakiś mus nakazuje mu czynić z uniesień swoich użytek historiozoficzny według doktryny... Na każdym kroku męczy się w tej dialektyce dwu światów, nie widząc nawet ulgi w tym, że współczesność za dogmat chce brać każde jego słowo, którego sam nie jest pewien».

Czy to nie znakomita charakterystyka bodaj czy nie najistotniejszego znamienia twórczości Żeromskiego i zarazem jego — tragedii, artystycznej zarówno, jak życiowej?

Lecz te i podobne rzuty syntetyczne, uwydatniające najważniejsze znamiona twórczości poetów i sięgające w ich dusze, i to nieraz bardzo głęboko, bo aż w dziedzinę ich podświadomości, — nie wystarczają Wasilewskiemu. Jak dawniej, tak i dzisiaj bardzo żywo interesują go związane z psychologią twórczości zagadnienia socjologiczne.

Nie poszedł on na lep różnych poglądów, które stały się w dzisiejszej krytyce literackiej modnymi — dzięki doktrynerii niemieckiej (którą tak dowcipnie ośmieszył Tadeusz Zieliński w przedmowie do swej monografii o Sofoklesie), poglądów, usiłujących obalić poglądy dawne, zdobyte przez wielkich twórców pozytywizmu, dla których twórczość choćby największych poetów jest wytworem nie tylko ich własnych geniuszów, czy talentów, ale także zbiorowego życia. I właśnie ciągle uwydatnianie związku twórczości Żeromskiego czy Kasprowicza, Wyspiańskiego czy Staffa, z życiem zbiorowym, z życiem narodu, stwierdzanie charakteru narodowego (lub jego braku) w utworach literackich, badanie wpływu rasy, otoczenia i chwili dziejowej na twórczość artystyczną, — wszystko to wchodzi w zakres rozważań Wasilewskiego i podwyższa ich wartość.

«Sądzę — czytamy w przedmowie do *Poetów i teatru* — że na całość spraw literatury trzeba patrzeć pod szerszym kątem, ze stanowiska socjologicznego... Odczuwam zawsze pewien niepokój, ilekroć debaty nad doniosłymi zagadnieniami życia intelektualnego toczą się bez udziału gospodarza, jakim jest samo życie... Historyk literatury bierze przed się coś więcej, niż tekst — bierze zjawisko literackie. Bierze dzieło ze wszystkimi włóknami, którymi trzymało się życie przed swym urodzeniem, i ze wszystkimi pędami, które puściło w swoim środowisku po wyjściu na świat».

Słowa te nie są w dziełach Wasilewskiego pustym frazesem, nie są tylko platonicznym wyznaniem wiary krytyka literackiego; jego studia są urzeczywistnieniem tej zasady.

Przez życie zaś, którego utwór literacki jest nie tylko skutkiem, ale i przyczyną, nie tylko wytworem, ale i twórczym czynnikiem, rozumie Wasilewski nade wszystko życie *narodowe*. W przedmowie do *Wspomnień o Kasprowiczu i Żeromskim* pisze, co następuje:

«Od momentu, gdy Krasiński widział w łożu wolnomularskiej starcie Aligiera z Pankracym, walka rozszerzyła się z torów socjalnych na teren duchowy... Z duchem ziemi rozdzonej walczy duch niepomny ziemi. Nie całą prawdą jest, że operacja Pankracych naszych czasów polega na wydziedziczeniu materialnym z ziemi szlachty; ona poszła głębiej i wydziedzicza duchy szlachetne, zwracając je przeciw natchnieniom ziemi. Poezja jest częstką twórczości ogólnej. To samo, co spala się w widzeniach poetyckich, gdy połączone jest z myślą i wolą twórczą, staje się siłą natchnień cywilizacji narodowej. Pokazać, gdzie i dlaczego pod działaniem «ducha bez ziemi» załamuje się poezja, starczy za pokazanie, gdzie się załamuje cywilizacja narodu».

W dawniejszych swoich studiach nieraz rozpatrywał Wasilewski z tego właśnie stanowiska twórczość Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, Wyspiańskiego: z tego samego stanowiska rozpatruje twórczość poetów nowszych, nade wszystko Kasprowicza i Żeromskiego, — tak głęboko i wnikliwie, tak bezstronnie i sprawiedliwie, jak nikt inny.

W dziejach polskiej krytyki literackiej (i w ogóle w dziejach polskiej myśli narodowej) ma Wasilewski raz na zawsze zapewnione stanowisko, na wskroś własne, a mocne, bo oparte nie tylko o zmysł krytyczny, rozległą wiedzę i samodzielną pracę myśli, ale także o ziemię rodzinną, której ducha doskonale rozumie, głęboko wyczuwa, gorąco kocha i właśnie dlatego troszczy się tak bardzo o jego czystość.

« K S I Ę G A P I E L G R Z Y M S T W A »

NA WSCHODNIM POSTERUNKU. KSIĘGA PIELGRZYMSTWA: taki tytuł ma książka Zygmunta Wasilewskiego, wydana pod koniec roku 1919 w Warszawie, a obejmująca przeszło pięćset pięćdziesiąt stron sporego formatu. Składa się na nią wybór artykułów, pisanych podczas wielkiej wojny na emigracji w Rosji, w latach 1915—1918. Ukazywały się one w redagowanym przez autora czasopiśmie *Sprawa Polska*, a założonym w Petersburgu przez uczestników Komitetu Narodowego z inicjatywy Romana Dmowskiego.

Wydając swoje artykuły w osobnej książce, autor podzielił je na cztery części. Na pierwszą, pod tytułem *Orientacja wewnętrzna*, składają się refleksje o zagadnieniach życia narodowego, o kulturze i literaturze ojczystej, o psychice polskiej itd. Część druga — *Droga krzyżowa* — obejmuje uwagi i sądy o ważniejszych faktach z życia narodu podczas wojny, nie tylko na obczyźnie w Rosji, ale i w kraju. Część trzecią poświęca autor charakterystyce *Duszy rosyjskiej*, zwłaszcza uwydatniając jej zupełną odrębność od duszy zachodnio-europejskiej, odrębność, która się tak jaskrawo zaznaczyła podczas wojny światowej i rewolucji bolszewickiej. Część czwarta wreszcie — *Motywy i osobistości* — składa się ze «szkiców literackich» o tęsknocie, jako czynniku twórczym, o romantyzmie, tudzież o niektórych wybitnych twórcach naszego życia narodowego; są nimi: Mickiewicz, Sienkiewicz, Kasprowicz, Witkiewicz, Dmowski; jest także w tej części wspomnienie o zmarłym podczas wojny Zygmuncie Balickim.

Oto treść książki Wasilewskiego. Temu, kto pragnie ją ocenić, narzuca się przede wszystkim jedno pytanie: czy artykuły publicystyczne, pisane często dorywczo, pod wpływem zmiennej fali wypadków, zasługiwały na to, aby je wydawać razem w osobnej książce? Otóż wystarczy ją choćby pobieżnie przej-

rzec, albo przeczytać choćby kilka artykułów, aby dojść do przekonania, że byłaby to wielka szkoda, gdyby autor tej książki nie wydał, i to podwójna.

Nasamprzód — dla historii. Cóżby dał historyk za to, gdyby najwybitniejsi publicyści na emigracji po roku 1831 wydali swoje artykuły w osobnych książkach! Jak bardzo miałby przez to ułatwione zadanie scharakteryzowania głównych prądów życia duchowego emigracji paryskiej! Nie potrzebowałby wertować tylu różnych czasopism, których kompletny zbiór posiada jedynie Biblioteka Polska w Paryżu! Otóż przyszły historyk naszej emigracji podczas wojny, «emigracji rosyjskiej», będzie miał zadanie niezmiernie ułatwione — dzięki książce Wasilewskiego; nie zastąpi mu ona naturalnie całego materiału źródłowego, ale da mu od razu gotową wytyczną, obznajmi go z najważniejszymi zjawiskami tej emigracji, która miała tak bardzo odmienny charakter od emigracji po powstaniu listopadowym: była bowiem licznie od niej większa, wzięły w niej udział wszystkie stany, nie tylko inteligencja, terenem jej był kraj, posiadający cywilizację nie wyższą, ale znacznie niższą!

Lecz nie tylko tym, co pragną poznać historię naszej emigracji rosyjskiej, stałaby się wielka krzywda, gdyby Wasilewski nie ogłosił swej *Księgi pielgrzymstwa*: najdrobniejszy artykuł publicystyczny posiada nie przelotną tylko, ale trwałą wartość, jeśli jego autorem jest pisarz tej miary, co Wasilewski, autor *Nowego Konrada*, *Myśli przebudowy*, książki *O sztuce i człowieku wiecznym*, to znaczy pisarz, który każde zjawisko, czy to literackie, czy życiowe, ujmując pod szerokim kątem widzenia, mianowicie pod kątem najżywoźniejszych zagadnień, interesów, potrzeb, ideałów narodowych. Otóż każdy, komu sprawy narodowe leżą na sercu, kto się pragnie przyczynić do budowy nowego państwa i nowego społeczeństwa polskiego, powinien znać tę ideologię narodową Wasilewskiego, szlachetną, a jednocześnie mądrą i trzeźwą.

Jako umysł, w całym znaczeniu tego wyrazu nowoczesny i zachodnio-europejski, Wasilewski z wielką łatwością orientuje się w naczelnym problematach dzisiejszej kultury i doskonale rozumie jej cele i kierunki. Przy każdej sposobności

wpajał i do dziś dnia wpaja w społeczeństwo myśl, że «uspołecznianie się duszy jest żelaznym prawem kultury europejskiej», że się to uspołecznianie musi koniecznie odbywać pod znakiem krzyża, tj. w duchu kultury chrześcijańskiej, jako jedynej prawdziwej, jako tej jedynej, która «nigdy nie grozi katastrofą, oparta jest bowiem na pierwiastkach organicznych»; nieodzownymi warunkami rozwoju i postępu tej kultury są: cierpienie i poświęcenie jednostki dla dobra pospolitego; że zaś ten proces przedstawiamy sobie jako mękę i ofiarę, że go tak nazywamy — to przeżytek dawnej psychologii i dawnego słownictwa, jest to bowiem tylko przemiana na rzecz wyższego typu życia, proces naturalny i zbawczy, stający się męką dla tych jedynie, dla których praca w ogóle jest męką...

Niemniej nowoczesną jest zasada, że każda jednostka, biorąca w ten lub inny sposób czynny udział w budowie gmachu kultury, powinna mieć poczucie odpowiedzialności nie tylko za samą siebie, ale i za całe społeczeństwo. I na tym punkcie właśnie polega ogromna różnica pomiędzy psychiką zachodnio-europejską a rosyjską.

«Stosunek społeczeństwa do państwa w Rosji — mówi autor — ma wszystkie cechy psychologii rodzinnej; społeczeństwu rosyjskiemu właściwa jest opozycyjność, ale jaka? oparta głównie na nieokreślonej tęsknocie do swobód i niezadowolenia z tego, co jest, nawet z siebie samej; w gruncie jednak rzeczy głębokie jest poczucie spokoju, jakie daje rodzina, która za wszystkich myśli, nie obarczając członków zbyt ciężką odpowiedzialnością. Rodzina nie jest kooperatywą, jest zarządem; żeby przejść od tego systemu do kooperatywy nowożytnej, określającej stosunek jednostki do państwa, trzeba przeżyć ciężką szkołę sumienia, która uczy obywatela, jak każdą sprawę narodu brać na barki osobiste, jakby to była sprawa własna, jakby każdy był ojcem narodu. Z takiej atomizacji dusz powstaje kooperatywa nowożytna we wszystkich instytucjach społecznych, nawet w instytucji rodziny; jednostka jest już instytucją autonomiczną, nie tylko wyciągającą rękę po prawa, ale gotową nieść obowiązki, ponosić odpowiedzialność; tak a psychika, składana, ale harmonizowana poczuciem interesu publicznego, tworzy w sposobie kooperatywy nowożytnej duszę zbiorową, nie zaś psychika — z prerogatywy, jak w dawnej rodzinie».

Mimowoli przypomina się jeden z najpiękniejszych sonetów Asnyka z cyklu *Nad głębiami*, ten, który się kończy słowami:

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając na wypadków fali
Každy za wszystkich, za kaźdego wszyscy!

Przypomina się także i ten jeszcze sonet, którego myślą przewodnią jest, że «každy nosi w duszy swojej, na dnie, odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa».

Tylko że Asnyk, streszczając w tych sonetach swoją filozofię, ma na myśli stosunek jednostki do całej ludzkości; Wasilewski, wydając swą książkę na użytek społeczeństwa, zastanawia się nad stosunkiem jednostki do narodu.

Za główne bowiem zadanie — nie tylko swojej ostatniej książki, ale całej w ogóle swej działalności publicystycznej — wziął sobie autor, nie tracąc z oka ideałów i interesów ogólnoludzkich, budowanie własnego narodu, jako nowoczesnego społeczeństwa i nowoczesnego państwa; bo, że naród polski odzyska swoją państwowość, o tym, podobnie jak Dmowski, nie wątpił nigdy. Wiara jego wzmocniła się jeszcze po wybuchu wojny i mówiła mu, że jedyny jest sposób, aby Polska mogła się zjednoczyć: pogrom państw centralnych i że pogrom ten niewątpliwie nastąpi. «Widok tej drogi dziejowej — pisał autor we wrześniu 1916 roku — jest tak oczywisty, że kompromituje wymową swoją wszystkie tzw. orientacje, będące w podstawie rozlicznych grup politycznych, o których tak dużo się pisze w prasie krajowej i na emigracji».

Oto dlaczego z tak wielką radością powitał Wasilewski wiadomość o uchwale majowej Koła Sejmowego w Krakowie. W świetnym artykule pt. *Echa krakowskie*, w którym energicznymi rysami scharakteryzował ten paraliż polityczny, do jakiego Kraków doszedł pod rządami austriackimi, a przy pomocy polityków, wysługujących się (w jak najlepszej wierze) polityce austriackiej, czytamy na czele te słowa:

«Wieści o proklamowaniu przez całe przedstawicielstwo polityczne Galicji zasadniczego programu polityki polskiej rozległy się w sercach polskich, jakby ludzkim głosem przemówił dzwon Zygmunta na Wawelu. Przemówił Kraków taki, jak go czuł Wyspiański, gdzie w kaźdym kamieniu zakłeta tradycja przedstawia śpiącą duszę narodu, gotową w chwili wielkiej obudzić się. Kamienie przemówiły, składając w decydującej chwili świadectwo prawdzie, jakie są historyczne dążenia Polski. Stał się jeden z cudów życia organicznego. Jak

spod lodu wrywa się do życia kwiat na wiosnę, jak spod skorupy jaja wykluwa się ptak, tak spod powłoki konwenansu prowincjonalnego dobywa się ku słońcu w chwilach ogólnego odrodzenia zasadnicza myśl polityczna».

Od dawna wierząc, że prędzej czy później polska myśl polityczna ten wielki tryumf odniesie i że prędzej czy później Polska odzyska niepodległość, walczył Wasilewski wytrwale z tymi wszystkimi objawami naszego życia duchowego, które dla Polski, jako nowoczesnego społeczeństwa, poczytywał nie tylko za niepożądane i szkodliwe, ale wręcz za zgubne i zabójcze. Jak Dmowski, tak i on budował duszę «nowoczesnego Polaka». Więc występował przeciwko różnym romantycznym, a raczej pseudoromantycznym mrzonkom o realizacji ideałów ogólnoludzkich kosztem interesów narodowych; dzwonił na trwogę na widok niebezpieczeństw, grożących duszy polskiej ze strony kultury rosyjskiej i kosmopolityzmu żydowskiego; nie zapominał i o niebezpieczeństwie tego jarzma, w jakie się — wskutek nieszczęśliwej sytuacji politycznej — wprzęgły głowy polskie, ślepo ufające filozofii i nauce niemieckiej; przestrzegał przed bezkrytycznym uwielbieniem naszej poezji romantycznej; odsłaniał ślepotę polityczną naszej inteligencji, która się, jak w zaczarowanym kole albo w deptaku, zamykała w ciasnym obrębie dawnej ideologii i nie chciała, czy też nie mogła zrozumieć, że, jak mówi Asnyk, «trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe».

Otóż te wszystkie nauki i przestrogi, myśli i wskazania narodowe znajdują się w książce *Na wschodnim posterunku*, na nowo przemyślane i pogłębione, a ożywione wiarą, że Polska stoi w przededniu nowego życia, i dlatego właśnie wypowiedziane z większą jeszcze aniżeli dawniej siłą przekonania.

Jako przykład, niech wystarczy to, co autor mówi o ujemnych stronach oddziaływania wielkiej poezji romantycznej na dusze polskie. W artykule *Z testamentów romantyzmu* czytamy:

«Od niemieckich filozofów dostaliśmy teorię, że poezja jest ostatnim punktem rozwoju wszechstworzenia, syntezą między światem widzialnym a niewidzialnym, teorią a praktyką, rzeczywistością a ideałem; że ta poezja, która jest rozlana po całym wszechświecie, w poe-

tach ma swoje kratery; że przez poetów Bóg objawia swoje prawdy najwyższe».

Ta wiara w nieomyślność tego, co powiedzieli nam wielcy poeci, zapadła nam, istotnie, głęboko w dusze. A skutek? Taki, że, jak mówi Wasilewski w artykule *Życie polskie i literatura*, kiedy gdzie indziej panuje nad umysłowością poczucie rzeczywistości, dające instynktowi samozachowawczemu narodu swobodę działania, u nas wszelkie działania umysł kontrolował ze stanowiska gotowej formuły *t e s t a m e n t o w e j*. Do dziś dnia jeszcze bardzo wielu spośród nas brzmia w uszach formuły z dawnych czasów, na zasadzie których, jak przy pomocy Ewangelii, interpretują każdą nową sprawę, przeklinając ją, gdy nie odpowiada dawnym formułom.

Znamy wybitnego pisarza, bardzo zresztą, prywatnie biorąc, uczciwego człowieka, który z popędu uczuciowego gotów jest poświęcić się nawet za sprawę polską, ale brzydziłby się pójść za wskazaniem nowoczesnej polityki, realnie obmyślanym w widokach istotnego pożytku dla sprawy; nie starczy mu już na to wyobraźni, bo on żyć może tylko formułą sprzed stu lat i dorabia rym dziejowy: coś jak z *Wesela* Wyspiańskiego! Więc dba tylko o to, żeby słycać było te same hasła, które się zna z pieśni i które go od kołyski otaczały urokiem patriotyzmu ojców; te same chce widzieć koło siebie kroje, barwy i oreże, te same gesty, niemal te same nazwiska, — i to mu wystarcza; wypadki bieżące są dla niego snem, realną zaś jawą są wypadki dawne, zaklęte w pełnych uroku formułach i znakach».

Ma zupełną słuszność Wasilewski, twierdząc, że z wieszczenia romantycznego można przejść do znachorstwa — a tylko dlatego, że się młodość źle spędziło poza życiem w kraju, lub poza krajem w życiu cudzym, albo pod złym kierunkiem szkoły, która całe usiłowanie w to kładła, aby umysł polski nie znalazł rzeczywistości i oduczał się ją czuć.

I możnaby jeszcze przytoczyć wiele takich przykładów, świadczących, że artykuły, składające się na *Księgę pielgrzymstwa*, chociaż powstawały dorywczo, pod wpływem wypadków bieżących, nie straciły i długo jeszcze nie tracą swojej wartości, jako studium nad naszym charakterem narodowym i jako skarbnica mądrych narodowych wskazań.

W szkicu o Romanie Dmowskim słusznie mówi autor, że Dmowski jest z tych, którzy organizują pewien *p r ą d ś w i a-*

domości narodowej, kierunek myślenia politycznego dla całości narodu, i dodaje, że cały naród uzdolnić do czucia i myślenia politycznego, uczynić z niego osobowość, zdolną do przejawiania woli w rzeczach elementarnego bytu, aby naród nie był pastwą podmuchów i podkopów, jak ciało martwe, — oto zadanie nowoczesnego polityka polskiego. To właśnie zadanie wziął sobie za cel swojej publicystyki także Wasilewski i dzięki swojemu rozumowi, rozległej wiedzy, talentowi i patriotyzmowi, spełnia je tak umiejętnie, tak uczciwie, tak pożytecznie, jak mało kto dzisiaj i mało kto dawniej.

Jeszcze jedno. W artykule pt. *Gwiazda Ojczyzny* mówi Wasilewski o religijnej wierze we własne siły i w gwiazdę własnej ojczyzny, o wierze, bez której nie dźwignie się żadne społeczeństwo na wyższy poziom cywilizacji, nie urzeczywistni żadnego z ideałów życia narodowego, nie zbuduje potężnego państwa. Tę wiarę odebrała — nie wszystkim, chwała Bogu — ale bardzo wielu z nas długoletnia niewola; dzisiaj prysły wprowadzić jej okowy, ale niewiara w wielu sercach pozostała.

Otóż książka Wasilewskiego — mimo że pisana w najsmutniejszych chwilach — jest cała, od początku do końca, prześwietlona mocną i niewzruszoną wiarą w siły narodu polskiego i w jego wielką przyszłość. Pod tym względem — jak i pod wielu innymi — jest ona blisko spokrewniona z *Myślami nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, którego też «rozumowi, talentowi i zasłudze w roku odzyskania Polski wolnej i zjednoczonej» złożył autor w holdzie swoją *Księgę pielgrzymstwa*.

O KILKU STUDIACH NAD HISTORIĄ FILOZOFII POLSKIEJ

Polska filozofia narodowa, 15 wykładów, urządzonych staraniem Tow. Filozoficznego w Krakowie. Wydał i przedmową zaopatrzył prof. dr Maurycy Straszewski, prezes Tow. Filoz., Kraków 1921, Gebethner i Spółka, 8-ka, str. VIII i 503.

Na książkę tę składają się następujące odczyty: Stanisława Garfein-Garskiego *Zagadnienie polskiej filozofii narodowej*; Ignacego Halperna *Jan Śniadecki*; Maurycyego Straszewskiego *Józef Maria Hoene Wroński*, *Józef Gołuchowski*, *Adam Mickiewicz*, *Zygmunt Krasiński*, *Juliusz Słowacki*, *Józef Supiński*; Mariana Zdziechowskiego *Andrzej Towiański*; Adama Żółtowskiego *August Cieszkowski*; Władysława Horodyskiego *Bronisław Trentowski*; Wojciecha Marcelego Gieleckiego *Karol Libelt*; Kazimierza Lubeckiego *Józef Kremer*, *Ludwik Królikowski*; Franciszka Gabryla *Polska filozofia katolicka w połowie XIX wieku*.

Wszystkie te odczyty, wygłoszone w Krakowie w latach 1910 i 1911, nazwał wydawca w szumnej przedmowie monografią, dodając, że stanowią one «pierwszy krok do pragmatycznego opracowania tak dalszych szczegółów, jak całości». Z tejże przedmowy, a i z tytułu książki, wolno wnosić, że owe «monografie» mają czytelnikowi wyjaśnić główne cechy naszej «filozofii narodowej», którą, jak pisze wydawca, i my także posiadamy, «tak samo jak posiadają Włosi, Niemcy, Francuzi lub Anglicy»: «zagadnienia filozoficzne są wszechludzkie, ale sposób ich poruszania i ich wybór może stać w związku z życiem i losami danego narodu, i to właśnie wyciska pewne właściwe piętno na twórczości jego myślicieli».

Szczegółowo omawia problem polskiej filozofii narodowej Garfein-Garski; wyjaśnia mianowicie, że filozofia naro-

dowa powstała w Polsce w XIX wieku i że stworzyli ją nade wszystko Hoene-Wroński, Trentowski, Kremer, Libelt, Cieszkowski i Królikowski; po czym, rozprawiwszy się z nie wytrzymującym krytyki poglądem Struvego (że istotę polskiej filozofii narodowej stanowi, po pierwsze, jej dążność praktyczna, a po drugie, żywość i obrazowość wysłowienia), oraz stwierdziwszy, że ani mesjanizm, ani ścisły węzeł pomiędzy religią a filozofią także nie są cechami, właściwymi jedynie filozofii polskiej — autor bardzo trafnie ujmuje problem filozofii narodowej w tych słowach: «Momenty, określające filozofię narodową, a leżące zewnątrz niej, poza jej treścią, możemy nazwać momentami zewnętrznymi, i na tej zasadzie filozofia każdego narodu jest narodową z momentów zewnętrznych, gdy tymczasem ze swojej treści, ze swoich momentów wewnętrznych, będzie ta filozofia filozofią całego ogółu kulturalnego lub pewnych grup jego»; tak np. pozytywistyczna filozofia Locke'a lub Hume'a była z momentów zewnętrznych angielską filozofią narodową, co, naturalnie, nie przeszkodziło, że się ze swych momentów wewnętrznych stała własnością ogólnokulturalną.

«Czyż jednak — pyta autor — nie może istnieć filozofia już z momentów wewnętrznych, z treści swojej narodowa?» Odpowiedź brzmi, oczywiście, twierdząco: może, o ile jej przedmiotem jest np. historiozofia tego albo owego narodu, mająca na celu uświadomienie sobie przez naród własnego posłannictwa dziejowego. Tak tedy «możliwa jest — mówi autor — filozofia z momentów wewnętrznych narodowa, filozofia funkcjonalnie narodowa, i możliwa jest filozofia z momentów wewnętrznych, ze swej istoty narodowa, filozofia organicznie narodowa; tam jest filozofia przejawem ducha narodu, tu duch narodu jest przedmiotem filozofii». Otóż filozofia polska XIX wieku, w epoce romantyzmu, była «narodową funkcjonalnie i organicznie».

Na wszystkie te poglądy autora trzeba się zgodzić w zupełności. Szkoda jednak, że tak trafnie ujętego problemu filozofii narodowej dalsze odczyty albo wcale nie wyjaśniają, albo wyjaśniają go jednostronnie, zupełnie bowiem pomijają

jego część pierwszą, to znaczy zagadnienie, o ile filozofia tego lub owego myśliciela polskiego XIX wieku jest polską z ducha, to jest funkcjonalnie narodową; stwierdzają tylko, że ulubionym przedmiotem badań, a raczej rozmyślań filozoficznych w epoce romantyzmu była u nas historiozofia, która odpowiadała na pytania, dręczące naród, bo dotyczące nie tylko jego przeszłości, ale także i przyszłości; czyli, innymi słowy: dalsze odczyty stwierdzają tylko to, o czym się od dawien dawna dobrze wiedziało, że filozofia ta jest «organicznie narodową»; taką jest filozofia Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Cieszkowskiego, Królikowskiego, do pewnego stopnia — Wrońskiego, w znacznej mierze — Trentowskiego: ci wszyscy myśliciele rzeczywiście usprawiedliwiają tytuł książki. Dlaczego wśród tych filozofów nie ma Bukatego, trudno zrozumieć.

Nie usprawiedliwiają natomiast tytułu książki odczyty ani o Janie Śniadeckim, ani o Libelcie, ani o Kremerze. Co do Śniadeckiego, to jego filozofię, pomimo jej zależności od myśli angielskiej, można śmiało nazwać narodową, a to z dwóch względów. Po pierwsze, jedną z najważniejszych pobudek, które go skłoniły do pracy nad filozofią, był patriotyzm: pragnął on ustrzec swój naród od tej «zarazy moralnej», jaką w jego oczach była metafizyka niemiecka, i nauczyć go «porządnie» myśleć. A po wtóre, pisma filozoficzne Śniadeckiego są doskonałym wyrazem tej cechy umysłu polskiego, którą Jan Gwalbert Pawlikowski nazwał kochaniem się w jasności, dodając, że jeśli do niej Polak «nie dochodzi, to nie jest to defekt umysłu, lecz charakteru» (1). Komu zaś, jak komu, ale Janowi Śniadeckiemu nikt charakteru nie odmawiał, nie odmawia i nie odmówi. Otóż na to wszystko nie położono w odczycie należytego nacisku. Co do Libelta, to sprawa narodowości jego filozofii pozostała w odczycie całkiem nietknięta; pominięto całkiem w wykładzie jego filozofii rozprawę *O miłości ojczyzny*: wspomniano o niej jedynie tylko w szkicu biograficznym.

Wszystko razem wzięwszy, książka pod tytułem *Polska*

(1) *Mistyka Słowackiego*, str. 178.

filozofia narodowa nie przyczynia się ani do ustalenia, ani do pogłębienia pojęcia naszej filozofii narodowej; o wiele właściwszy byłby tytuł: *Filozofowie polscy XIX wieku*, a jeszcze właściwszy: *Odczyty o wybranych filozofach XIX wieku*. Tak, tylko odczyty, nie «monografie», jak je nazwał wydawca. Na nazwę monografii nie zasługują te odczyty już choćby dlatego, że, z wyjątkiem odczytu o Libelcie, zupełnie, albo prawie zupełnie, pomijają literaturę przedmiotu. Ale mniejsza o to. Mniejsza i o nazwę: odczyty, czy nie odczyty, — jaką mają wartość? Bardzo nierówną, jak to zwykle bywa w książkach zbiorowych. Odczyty o Janie Śniadeckim, o Towiańskim, o Cieszkowskim, o Libelcie, o Trentowskim zasługiwały na to, aby je ogłosić drukiem ze względu, że (o ile to przy ówczesnym stanie badań nad historią filozofii polskiej było możliwe) mogą być z pożytkiem przeczytane przez tych, co się filozofią ojczystą interesują, z tym jeszcze zastrzeżeniem, że, o ile odczyty o Śniadeckim, Towiańskim, Cieszkowskim i Libelcie są napisane jasno i popularnie, o tyle odczyt o Trentowskim, oparty na własnej obszernej, ale chybionej monografii prelegenta (1), nie odpowiada zadaniu odczytu, przeznaczonego dla szerszej publiczności.

A odczyty o innych myślicielach? Szkoda było czasu, aby ich słuchać, szkoda było atlasu, aby je drukować. Niektóre, nazywając rzecz po imieniu, są na kolanie pisanymi, lichymi wypracowaniami. Prym trzyma odczyt o Kremerze, pretensjonalny w stylu, jałowy co do treści, rojący się od frazesów, niby uroczystych, w istocie pustych i wręcz śmiesznych. Odczyt (też prelegenta) o Królikowskim ma tę przynajmniej zaletę, że, nie siląc się na syntezę, streszcza jako tako mało znane i należące do rzadkości bibliograficznych pisma Królikowskiego; po co jednak było ten odczyt drukować, skoro w siódmym tomie *Stu lat myśli polskiej* znajduje się treściwe a doskonałe studium o tym myślicielu pióra Józefa Ujejskiego?

Odczyt ks. Gabryła o polskiej filozofii katolickiej w połowie XIX wieku ma przede wszystkim tę wadę, że, wobec nadto obszernego wstępu, autorowi zabrakło czasu na mniej lub wię-

(1) Bronisław Trentowski, Kraków, 1913.

cej wyczerpującą charakterystykę głównych przedstawicieli tego kierunku i na uzasadnienie nadto śmiałego poglądu, że, «patrzac na dorobek naszych przedstawicieli na polu filozofii religijnej, potrzeba z żalem powtórzyć słowa Pola: cudze chwalcie, swego nie znacie». Jest to pusty frazes, nic więcej; a w każdym razie z odczytu Gabryla nie widać jakoś, żeby nasza «filozofia katolicka» XIX wieku była tak bogata. Takie zaś brednie, płynące z ignorancji, jak wiadomość, podana na str. 475, że Zan «zorganizował w roku 1817 najprzód Towarzystwo Filantropów (!), do którego i Mickiewicz należał» itp. — nie mogą obudzić w czytelniku nadmiernego zaufania do wiedzy i do krytycyzmu autora, który się tutaj, zamiast sięgnąć do źródeł, powołuje na powagę... ks. Pelczara! Pogląd autora, że «Kościół swej nauki nie wymyślił, tylko ją gotową od swego boskiego założyciela otrzymał do opowiadania, rozszerzania i strzeżenia w jej całości» (str. 484), byłby na miejscu może w dziele teologicznym, ale nie w historyczno-filozoficznym.

Blisko połowę książki wypełniają odczyty Straszewskiego. Odczyt o Supińskim posiada, w porównaniu z innymi, jedną zaletę: krótkość (która u Straszewskiego należy do rzadkich wypadków). Należytego pojęcia o filozofii Supińskiego odczyt ten nie daje; o tym, że istnieją o Supińskim studia Kempnera, Witolda Celichowskiego, Gargasa i innych, autor zdaje się nic nie wiedzieć. Podobnie w rozwlekłym i wodnistym odczycie o Mickiewiczu nie wymienia autor obszernego studium Chmielewskiego o filozofii Mickiewicza, pomimo że się ono przecie ukazało w *Przeglądzie Filozoficznym*, który autor miał w ręku, skoro się raz powołuje na studium Biegańskiego (str. 186), znakomite, chociaż drobne rozmiarami, dające o filozofii Mickiewicza stokroć lepsze pojęcie, aniżeli rozwlekły i po kronikarsku ujęty odczyt Straszewskiego.

Rzecz o «filozofii» Krasieńskiego jest o wiele lepsza, ale to zasługa nie autora, tylko Kleinerera, na którego znakomitej książce autor się opierał, usiłując przy tym (niezbyt fortunnie) zbliżyć jego zupełnie słuszny pogląd, że Krasieński to raczej myśliciel aniżeli filozof.

Szkoda natomiast, że o istnieniu innej pracy Kleinerera —

Z badań nad źródłami filozofii Słowackiego (1) — Straszewski nie wiedział: inaczej by z pewnością wypadł sąd o tej «filozofii». A gdyby autor, przed oddaniem swojego odczytu do druku, zadał był sobie trud przeczytania cennej rozprawy Tadeusza Newlin-Wagnera, — *Słowacki wobec zagadnienia predestynacji* (2) — to nie twierdziłby może tak stanowczo, że nie wolno Słowackiemu, «ze względu na sposób i na metodę jego rozmyślań», odmawiać nazwy filozofa.

W sądach swoich o wartości polskiej «filozofii romantycznej» jest Straszewski zbyt pochopny do superlatywów, a przynajmniej nie umie ich uzasadnić (czy też poczytuje to za zbyt cenne!). Pisze np., że Wroński to mocarz w krainie myśli (str. 105); że «to zaiste postać niezwykła, umysł to wielki, potężny» (str. 91—92); że «jego twórczość robi wrażenie wspaniałej świątyni, podziemnymi katastrofami wstrząsanej i porysowanej» (str. 92); że był «Wroński niewątpliwie jednym z najuniwersalniejszych umysłów, jakich (!) wydały koniec XVIII i początek XIX wieku; porównać go można chyba tylko z Aleksandrem Humboldtem, z Goethem lub z Kantem; ma on jednak i nad nimi tę wyższość, iż ogarnął i zgłębił całą dziedzinę matematyki, czego tamtym brakowało» (str. 87). Czyż tak jest istotnie? Z tego, co w odczycie Straszewskiego czytamy o filozofii Wrońskiego, niktyby się nawet nie domyślił, że był to taki potentat; wierzyć zaś Straszewskiemu na słowo — może tylko czytelnik bardzo już naiwny. Zresztą nie brak do dziś dnia bezkrytycznych wielbicieli Wrońskiego; warto, żeby sobie przeczytali świetny szkic Wincentego Lutosławskiego pt. *Wskrzeszenie Wrońskiego* (3).

Dumania Gołuchowskiego nazwał Straszewski «świetnym pomnikiem filozoficznej myśli polskiej»; tymczasem jasno wykazał (o czym niżej) Stefan Harassek, że ów «świetny pomnik filozoficznej myśli polskiej» jest w bardzo znacznej mierze zlepkiem myśli cudzych (zwłaszcza Chalybäusa).

Streśmy się. Książka pt. *Polska filozofia narodowa* sprawia niezmiernie przykre wrażenie. Kiedy się w niej czyta te

(1) Księga pamiątkowa ku czci Bolesława Orzechowicza, Lwów, 1916. — (2) Prace historyczno-literackie, nr 11, Kraków, 1918. — (3) Czas 1938, nr 235 i 238.

nawet prace, które mają wartość, trudno opędzić się myśli, że historia filozofii polskiej jest jeszcze bardzo niedostatecznie opracowana, że więc nie czas jeszcze ani na jej syntezę, ani nade wszystko na wyroki o jej wartości. Wydawać je, bez obawy narażenia się na śmieszność, co więcej, na zarzut bezmyślności i zrozumiałstwa, wolno nam będzie dopiero wtedy, kiedy zostaną zbadane gruntownie źródła naszej filozofii, jej stosunek do filozofii obcej i, co za tym idzie, rodzaj jej odrębności i stopień jej samodzielności. Póki to nie nastąpi, będą wśród nas po dawnemu obiegały przesadne ogólniki o znakomitości i głębokości naszych myślicieli. Czy nastąpi to prędko? Wolno wątpić, albowiem nasi fachowi filozofowie bardzo mało interesują się filozofią ojczyzną. Komisja historii filozofii polskiej, zorganizowana na krótko przed wybuchem wielkiej wojny przy Polskiej Akademii Umiejętności, pracuje (albo raczej przez pewien czas pracowała) sumiennie i rzetelnie, na razie jednak zajmuje się prawie wyłącznie polską filozofią średniowieczną, albo raczej filozofią średniowieczną w Polsce; wydanie pism Wrońskiego jest dopiero w projekcie; wydanie *Bożycy* Trentowskiego utknęło ze śmiercią Horodyskiego. A zresztą i Komisja Filozoficzna niewiele zdziałała, jeśli jej nie przyjdą na pomoc uniwersytety, a mianowicie jeśli się we wszystkich naszych uniwersytetach nie będzie wykladało historii filozofii polskiej: dopóki nasi profesorowie nie obudzą dla niej zainteresowania wśród młodzieży, dopóty nie będzie dostatecznej ilości pracowników na tym polu. Warto, aby nasi profesorowie filozofii wzięli sobie do serca mądre słowa, które, z powodu rozmyślań wojennych Wilhelma Wundta, wypowiedział Józef Ujejski w pięknej rozprawie pt. *Narody i ich filozofia* (1):

«Filozof, który rodzimej tradycji myślowej swego narodu nie zna, nie ma jej w swojej głowie, jako najgłębszego podłoża, nie oddaje życiu duchowemu narodu nawet tej przysługi, żeby w proces tego życia wprowadzał choćby cenne pierwiastki obce; te, które wprowadza, mogą pływać tylko po powierzchni strumienia narodowego ducha, ale się z nim — jeśli wolno... użyć tej przenośni — chemicznie nie złączą».

(1) Rok Polski, 1916.

Francuzi zdobyli się w ostatnich czasach już na kilka wydań dzieła Delbosa (1) i na znakomite dzieło Parodi'ego: *La philosophie contemporaine en France, essai de classification des doctrines*. Myśmy się w ostatnich czasach zdobyli na omówione, po większej części liche, odczyty, na bodaj lichsze jeszcze odczyty Wacława Mileskiego (2), którymi się zajmować nie warto, i na elukubrację ks. Kwiatkowskiego. Z dzieł, poświęconych całokształtowi naszej filozofii, posiada wartość, i to bardzo niepospolitą, jedynie praca Wincentego Lutosławskiego *Die polnische Philosophie* (3), posiadająca jednak charakter przeważnie bibliograficzny i sprawozdawczy. Przyszły historyk historii filozofii polskiej znajdzie w tej pracy nie tylko ogólną pomoc, ale także systematyczny rozkład materiału i zwięzłą charakterystykę prądów polskiej myśli filozoficznej (4).

Prof. Maurycy Straszewski: *Historia filozofii w Polsce*. Przerobił i uzupełnił ks. Franciszek Kwiatkowski, profesor w Kolegium Filozoficznym ks. jezuitów w Krakowie. Kraków 1930, nakładem wydawnictwa księży jezuitów. Nadbitka z trzeciego wydania *Historii filozofii w zarysie* dra A. Stoeckla i dra J. Weingärtnera w opracowaniu ks. Franciszka Kwiatkowskiego T. J., str. 88.

Z «uwag wstępnych» do tej odbliski, zatytułowanej szumnie jako *Historia filozofii w Polsce*, dowiadujemy się, że jest to kompilacja: za jej ośnowę wziął ks. Kwiatkowski studia nie żyjącego już profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Maurycego Straszewskiego, ale «wprowadzając uzupełnienia i zmiany,

(1) *La philosophie française*, Paryż, 1919 (Plon). — (2) *Polska filozofia narodowa*, cykl 24-ch prelekcji, wygłoszonych przed mikrofonem Polskiego Radia w Warszawie. Warszawa 1927. — (3) W tomie piątym Ueberwega *Grundriss der Geschichte der Philosophie*. — (4) W ostatnich czasach zainteresowali się naszą filozofią Czesi. Ob. Josef Tvrdý, *Soudobá filozofie polská* (w książce *Současná filosofie u Slovanů*, Praha 1932), oraz Wilhelm Georg Friedrich, *Hegel bei den Slaven*. Im Auftrage der Deutschen Gesellschaft für slavische Forschungen in Prag mit Unterstützung des Slavischen Institutes in Prag, herausgegeben von D. Čyževskij, Prag 1934.

jakich wymagają już badania dzisiejsze». «Co zaś dotyczy wiadomości o współczesnej filozofii w Polsce», — mówi ks. Kwiatkowski, — «posłużymy się szkicem prof. W. Lutosławskiego, opracowanym przy pomocy ks. prof. Leona Puciaty i prof. Tadeusza Czeżowskiego, a zamieszczonym w najnowszym wydaniu Ueberwega, część piąta, str. 229—334 (Berlin 1928), a także notatkami, zawartymi w najnowszych czasopiśmiech polskich, zwłaszcza filozoficznych».

Z tego jednak kompilacyjnego charakteru *Historii filozofii w Polsce* nie wolno czynić ks. Kwiatkowskiemu zarzutu; wolno natomiast zastanowić się, czy jest to kompilacja dobra, czy zła, czy daje wierny obraz dziejów polskiej myśli filozoficznej. Odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna: jest to kompilacja zła, a nawet bardzo zła, aż nadto jasno dowodząca, że się jej autor w filozofii polskiej należycie nie orientuje, że nie odróżnia w niej pozycji ważnych od mniej ważnych, a nawet od nic nie znaczących, że, wbrew swojej własnej zapowiedzi, nie wprowadza uzupełnień i zmian, «jakich wymagają już wymagania dzisiejsze», że, krótko mówiąc, nie zna dobrze ani literatury swego przedmiotu, ani samego przedmiotu, a czasem nie ma o nim nawet wyobrażenia.

Oto kilka dowodów, że nie są to zarzuty gołosłowne.

Filozofię pojmuje autor bardzo szeroko: zalicza do niej nie tylko metafizykę, teorię poznania, logikę, psychologię, etykę, historię filozofii, literaturę polityczną, historiozofię, filozofię religii td., ale także estetykę, pedagogikę, a nawet... historię wychowania (skoro na str. 66 wymienia dzieło St. Kota). Otóż, choćby się nawet zgodzić, że to nic nie szkodzi (w myśl przysłowia «od przybytku głowa nie boli»), pytamy, dlaczego autor mówi coś niecoś o pismach politycznych Modrzewskiego, Orzechowskiego, Górnickiego, a pisma polityczne Staszica tylko wymienia? Przecie te pisma zawierają w sobie dużo więcej filozofii, aniżeli tamte wszystkie; (*Ród ludzki*, nad którym się autor wcale szczegółowo rozwodzi, jest dziełem historiozoficzno-socjologicznym, a nie politycznym). Albo jeszcze: dlaczego ks. Kwiatkowski, który w suchym wyliczaniu nazwisk i dzieł jest tak rozmiłowany, że czasem nie wiezieć doprawdy, czy pisze «historię filozofii», czy układa jej bibliografię, — dla-

czego wymienia (w dziedzinie estetyki) pisma Sobieskiego i Tarkiewicza oraz pozbawioną wartości *Naukę o pięknie* Wizego i liche *Studia estetyczne* Niedziałkowskiego, a przemilcza *Estetykę barw* Struvego, *Najnowsze teorie estetyczne* Rubczyńskiego, badania Porębowicza (*Nowe piękno wieków średnich!*), Kołaczkowskiego (o tragizmie), B. Zawadzkiego (o komizmie) i wiele innych, posiadających rzetelną wartość? Dlaczego wymienia *Nieśmiertelność człowieka* Michała Dębickiego, a pomija milczeniem *O nieśmiertelności duszy* Struvego i *Zarys filozofii wiekuistej* Sulickiego — dzieło, z pewnością nie więcej fantastyczne od teorii psychopannychii Dębickiego?

A kiedy już mowa o bibliografii, to stwierdzić trzeba, że autor pominął niejedną cenną pozycję, o wiele cenniejszą nieraz od tych, które przytacza. Tak np. o tym, że w r. 1900 Struve wydał pierwszy (i, niestety, jedyny) zeszyt *Historii filozofii w Polsce*, autor nie wie, a przynajmniej milczy; nie wymienia także monografii Leśniewskiego i studiów Czarnowskiego o Staszicu, pomimo że mają one większą wartość od wymienionych na str. 23 studiów Ign. Chrzanowskiego i W. M. Kozłowskiego, nie wymienia prac Ujejskiego i Zielenczyka o Wrońskim, Ujejskiego o Bukatym i Królikowskim; (nie zapomina za to o lichotach ks. Gabryła i Lubeckiego!). W bibliografii mesjanizmu są wprowadzić elukubracje Wacława Mileskiego (Mutermilcha), ale nie ma rozprawy Lutosławskiego *Polish Messianism* (wcielonej do jego książki *Pre-existence and reincarnation* — ks. Kwiatkowski milczy o tej książce!); mówiąc o problemie filozofii narodowej (str. 5), powołuje się jedynie na książkę Stanisława Garskiego (Garfeina), zapominając o tak poważnych poglądach na to zagadnienie, jakie wypowiedzieli: Zielenczyk, Ujejski, Gawecki na łamach «najnowszych czasopism polskich», z których autor twierdzi przecie, że korzystał.

Lecz te wszystkie przeoczenia nie stanowią jeszcze najslabszej strony pracy ks. Kwiatkowskiego. Jej brakiem najważniejszym, jej grzechem śmiertelnym jest, że autor tak sobie upodobał pisma Straszewskiego, iż wziął je «za ośnowę» swego «opracowania». A przecie Straszewski, który w młodości napisał znośną, a nawet, jak na owe czasy (1875), przyzwoitą monografię o Janie Śniadeckim, z biegiem czasu coraz bardziej,

jako historyk filozofii polskiej, zalegał pole naukowe i, zamiast jasnych określeń i ścisłych sądów, opartych na sumiennych studiach, wypowiadał powierzchowne ogólniki i puste frazesy, podlane obficie sosem patriotycznym. Że też ks. Kwiatkowski nie poznał się na tym! A nie poznawszy się, powtarza bezkrytycznie owe ogólniki i frazesy, których pustka walczy o lepsze z ignorancją. Oto próbki.

O Grzegorzu z Sanoka, którego poglądy filozoficzne znamy jedynie z biografii, skreślonej przez blagiera Kallimacha, dowiadujemy się, że dzięki tym poglądom «myśl polska nie tylko nie pozostawała w tyle za umysłowym ruchem Zachodu, przygotowującym nową epokę, ale przeciwnie, kroczyła w pierwszych szeregach» (!) (str. 11). Wyraźnie ks. Kwiatkowski nie rozumie, że Kallimach, pisząc życiorys Grzegorza z Sanoka, pragnął scharakteryzować postać i d e a l n ą, nie zaś indywidualną, i że, co za tym poszło, wyposażył swego bohatera w różne rysy fikcyjne. O pomysłach Ostroroga dowiadujemy się, że «obejmują one zarówno sprawy społeczne, jak i urządzenie całej maszyny rządowej». Czyż naprawdę c a ł e j? Autor widocznie nie widział na oczy *Memoriału* Ostroroga; gdyby widział, nie twierdziłby, że «idealem Ostroroga jest narodowa monarchia, od władz kościelnych zupełnie niezależna, ale duchem chrześcijańskim pomimo tego natchniona» (str. 12): zapewne, wymaganie, żeby chciwi księża nie obdzierali ludzi za posługi duchowne, żeby nie byli nieukami, żeby nosa nie zadzierali (o tym wszystkim autor milczy dyskretnie), zgadza się z duchem chrześcijańskim, ale czy zgadza się z duchem chrześcijańskim wymaganie: *Quoad vulnera et mortem poena pecuniaria et criminalis eadem maneat, quae ex more fuit veteri* (rozdział XXXII)? Modrzewski dopiero zaprotestował przeciwko temu niechrześcijańskiemu prawu, z czego jednak wcale nie wynika, żeby, jak pisze autor (str. 13), domagał się «równości wobec prawa dla wszystkich», bo i on miał na myśli jedynie prawo k a r n e. A i ten jeszcze frazes powtarza ks. Kwiatkowski za Straszewskim, że Orzechowski domaga się nałożenia podatków na szlachtę: tę nieprawdę powtórzył Straszewski za Tarnowskim, nie wiedząc, że ją dawno sprostował Brück. Z dzieł Górnickiego wymienia ks. Kwiatkowski *Rozmowę*

Polaka z Włochem i Drogę do zupełnej wolności, ale o tym, że w *Dworzaniu* (w księdze czwartej) po raz pierwszy przemówił ślicznym językiem polskim Platon, milczy; co autor miał na myśli, pisząc, że Górnicki «domaga się sejmu», trudno zgadnąć: czyż sejm w Polsce nie było? Porównanie Reja z Montaigne'm (pomimo że wymyślił je Mickiewicz) jest dzisiaj... śmieszne; jeżeli z którym pisarzem francuskim XVI wieku wolno Reja porównywać, to chyba tylko z Rabelais'em (jak to zrobił w pięknym szkicu Glixelli).

A oto inne jeszcze puste frazesy, w których się tak lubował Straszewski i które powtarza za nim ks. Kwiatkowski: w przepowiedniach, dotyczących przyszłości Europy i w ogóle ludzkości, Staszic «posługuje się ścisłą naukową metodą» (! str. 24); «jeżeli filozofia jest dążeniem do jasności, to Kołłątaj niewątpliwie w pełni zasługuje na miano filozofa» (str. 25): czyż wystarczy dążyć do jasności, żeby być filozofem? *Rady przyjacielskie* Szaniawskiego «stanowią świetny wstęp do dalszej twórczości w kierunku idealistycznym» (str. 33): na czym polega ta świetność, autor nie wyjaśnił. Pustymi frazesami są także twierdzenia, że polską myśl filozoficzną na emigracji po roku 1831 «przenika do głębi duch wielkiej i głębokiej filozofii» (str. 50), że «w pomysłach historiozoficznych przewyższa Wroński Hegla» (str. 36), że «chyba nie było w ostatnich 50 latach ani jednego głośniejszego europejskiego, albo nawet amerykańskiego myśliciela, któryby nie był na umyśle polskie jakiegoś wywarł wpływu» (str. 57); że «prace ks. Gabryły łączą w sobie dorobek naukowy nowych czasów z niezmiennymi zasadami filozofii wieczystej» (str. 73). A czy taki np. sąd o Kazimierzu Twardowskim: «O ile jaka teza wydaje mu się oczywistą, przyjmuje ją bez względu na to, skąd przyszła, jeśli nieuzasadnioną i niejasną, odrzuca, nie troszcząc się o jej pochodzenie» (str. 64), — czy nie jest banalnym frazesem? czy też nieuzasadnionych i niejasnych nie odrzuca każdy w ogóle filozof i każdy w ogóle jasny umysł (a cóż dopiero tak wyjątkowo jasny, jak Twardowski)? Co za szkoda, że się ks. Kwiatkowski nie wzorował na Twardowskim w odrzucaniu tego, co nieuzasadnione: nie powtarzałby za Straszewskim pustych frazesów.

Niektóre frazesy autora tłumaczą się jednak nie tylko predylekcją Straszewskiego do wygłaszania pustych słów, ale także, nazywając rzecz po imieniu, ignorancją, jak np. niezgodny z prawdą frazes, że w *Bardzie polskim* Czartoryskiego i w *Trenach* Morelowskiego są już preludia mesjanizmu (str. 42) i że w obydwóch tych utworach zawiera się myśl, iż naród polski jest «do wyższych... przeznaczony celów». A gdyby ks. Kwiatkowski przestudiował dokładnie gruntowną monografię Harasska o Gołuchowskim, to, mówiąc o tym myślicielu, nie uderzyłby zapewne w ton tak górny (str. 38); gdyby znał studium Ujejskiego *O cenę absolutu*, to prawdopodobnie obniżyłby zachwyt Straszewskiego dla Hoene-Wrońskiego (str. 33—37); gdyby czytał studium Kołaczewskiego o estetyce Kremiera, toby go nie poczytywał za poprzednika Taine'a (str. 51); gdyby wiedział, do jakich wniosków doszedł Chmaj w studium *De Spinoza a Bracia Polscy*, możeby się nie wyrażał tak pogardliwie o arianach (str. 16); gdyby zaś słyszał o rozprawie Ignacego Myślickiego (Halperna) *Jonston i De Spinoza*, toby nie mógł w *Historii filozofii polskiej* pominąć dzieła *Naturae constantia*, które ma chyba troszeczkę większą wartość, niż np. *Philosophia curiosa* jezuity Tyłkowskiego (str. 17), której autor nie pomija.

Na karb ignorancji ks. Kwiatkowskiego położyć dalej należy jaskrawy, rzucający się w oczy brak proporcji w traktowaniu różnych myślicieli. Dostyc powiedzieć, że każdemu z «trzech wieszczów», a i Norwidowi także, poświęcił więcej miejsca niż Cieszkowskiemu i Trentowskiemu. O tak wybitnych, a nawet znakomitych myślicielach polskich, jak Abramowski i Dawid, — są tylko wzmianki bibliograficzne, o takim zaś fantasmie, jak ks. Dębicki, albo o tak płytkim «myślicielu», jak ks. Gabryl — dłuższe ustępy! Wyrażnie autor nie ma pojęcia o tym, kto to był Edward Abramowski, ani o tym, że Dawid jest autorem znakomitych studiów z dziedziny filozofii religii. Nie zapominał za to ks. Kwiatkowski o... księdzu Surowieckim, o którym nawet ks. Gabryl mówi, że był «nie tyle może» (!!) «filozofem w ścisłym tego słowa znaczeniu, ile raczej apologetą». Nie wiedzieć także po co i na co wpakował autor do *Historii filozofii w Polsce* Skargę za to tylko, że

«w swych *Kazaniach sejmowych* zdradza niezrównaną miłość Ojczyzny i troskę o jej dobro» (str. 14): natomiast dzieło Libelta *O miłości Ojczyzny*, które się wznosi do godności filozofii i patriotyzmu, — pominął milczeniem.

Przemilcza także znakomitą rozprawę Jana Śniadeckiego *O filozofii* — albo znowu przez ignorancję, albo też (kto wie) świadomie i tendencyjnie: bo przecie w tej rozprawie, będącej wspaniałą obroną wolnej myśli ludzkiej, filozofii i w ogóle nauki przeciwko bezmyślnemu wsteczniectwu, Śniadecki atakuje nie kogo innego, tylko jezuitów, których Akademia Połocka odegrała tak smutną rolę w historii myśli i kultury naszej! I w ogóle tendencyjność, jak szydło z worka, nieraz wyłazi z kompilacji ks. Kwiatkowskiego, zwłaszcza z jego niesprawiedliwych sądów o reformacji i o filozofii wieku oświeconego, tudzież z nadto pochlebnych sądów o filozofii neoscholastycznej, która, zdaniem autora, dąży do «prawdziwej filozofii» (str. 68).

Mniejsza jednak o tendencyjność. Nie ona sprawia, że kompilacja ks. Kwiatkowskiego jest wręcz skandalem naukowym, tylko, oprócz zamięlowania do pustych frazesów, *ignorantia crassa*: przytoczone jej dowody są tylko garsteczką, wyjętą z imponującej całości.

Odpowiedź na replikę ks. Kwiatkowskiego (w tymże tomie *Kwartalnika Filozoficznego*, co powyższa recenzja) brzmi jak następuje.

Ks. Kwiatkowski sam się otwarcie przyznaje, że niektóre uwagi recenzenta są słuszne. Z innymi polemizuje. Przyjrzyjmy się sposobowi odpierania zarzutów, nasamprzód szczegółowych, a potem — ogólnych.

Na zarzut, że autor nie wymienił prac Ujejskiego i Zielenczyka o Wrońskim i że, gdyby znał studium Ujejskiego *O cenę absolutu*, toby prawdopodobnie obniżył swoje i Straszewskiego zachwyt nad Wrońskim, — na ten zarzut autor ma tylko tę odpowiedź, że wątpi, «czy Ujejski przekonał o tym Warraina, Cherfilsa, Chomicza, Jankowskiego i cały Instytut mesjaniczny». Że tego rodzaju odpowiedź jest wykrętą, każdy

się chyba zgodzi. Wolno nadto przypomnieć autorowi, że Witwicki, uważany przezeń (bardzo słusznie) za powagę naukową, napisał wręcz entuzjastyczną recenzję dzieła Ujejskiego.

Na zarzut, że o tak wybitnym myślicielu, jak Dawid, są w elukubracji ks. Kwiatkowskiego jedynie wzmianki bibliograficzne, autor odpowiada, że «zachwyty krytyka» dla studiów Dawida nie podziela, i dodaje, że nie podziela go także inny pisarz, którego nazwiska... nie wymienia, kto wie, czy nie dlatego, że go sam za powagę nie poczytuje. Albowiem tym pisarzem jest... ks. Aleksander Pechnik. O Boże!

Zarzut recenzenta, że Skarga całkiem niepotrzebnie figuruje w *Historii filozofii w Polsce*, autor zbija dłuższą cytata z rozprawy tegoż recenzenta *O Kazaniach sejmowych Skargi*, cytata, w której... ani jednego słowa nie ma o tym, żeby Skarga był filozofem: nie każdy przecie, kto się posługuje «rozumem przyrodzonym», jest filozofem. Co zaś do argumentu, że poglądy na ustrój państwa są dla historyka filozofii interesujące, wystarczy (nie wchodząc w słusność tego argumentu) zaznaczyć, że ks. Kwiatkowski nawet nie wspomniał o tym, że w *Kazaniach sejmowych* są poglądy na ustrój państwa!

Wstydzi się autor za recenzenta, że mu niesłusznie zarzucił przemilczenie dzieła Śniadeckiego *O filozofii*, niesłusznie, skoro autor mówi o «rozprawach polemicznych, skierowanych przeciwko Kantowi», a jedną z tych rozpraw jest właśnie rozprawa *O filozofii*. Prawda, ale czy polemika z Kantem wyczerpuje całą jej treść? Chyba sam ks. Kwiatkowski odpowie, że nie. To jedno. Po drugie, czy wolno, omawiając działalność filozoficzną Śniadeckiego, nie poinformować czytelnika choćby w kilku słowach, że główną treść rozprawy *O filozofii* stanowi nie polemika z Kantem, tylko obrona wolnej myśli ludzkiej, mającej prawo samodzielnie badać prawdę? Zdaniem ks. Kwiatkowskiego, chyba tylko «przez nienawiść i zabarwione szkła mógł tam krytyk wyczytać atak na Akademię Połocką». Na to jest jedna tylko odpowiedź: ażeby w tej rozprawie nie widzieć ataku na obskurantyzm jezuitów w Połocku, trzeba jedno z dwojga, — albo być ślepym od urodzenia, albo też mieć wrodzony talent do zamykania oczu na to nawet, co jest jasne jak słońce.

Ks. Kwiatkowski posiada ten talent w bardzo wysokim stopniu, co widać i stąd jeszcze, że olbrzymie zasługi, jakie reformacja i oświecenie położyły około rozwoju filozofii, nazywa r z e k o m y m i i że karci recenzenta za jego «chorobliwą manię» obstawania przy tym poglądzie. (Tu znowu powołuje się autor na... ks. Pechnika, tym razem wymieniając jego nazwisko).

Lecz nie zbijanie poszczególnych zarzutów recenzenta wziął sobie ks. Kwiatkowski za główny przedmiot swej repliki, tylko odpowiedź na ten zarzut ogólny, że *Historia filozofii w Polsce*, którą ze Straszewskiego «przerobił i uzupełnił», jest skandalem naukowym. Cóż na to autor? Przede wszystkim broni Straszewskiego (powołując się na Struvego). Lecz obrona to beznadziejna: te pisma Straszewskiego, na których autor oparł swój «szkic», nie mają wartości naukowej, a kruszenie kopii w ich obronie kompromituje tylko zapalczywego obrońcę. Powaga Struvego nie uratuje Straszewskiego, ani ks. Kwiatkowskiego od zarzutu, że pierwszy kochał się w szumnych frazesach, a drugi powtarza je niewątpliwie w dobrej wierze, ale bezkrytycznie, nie umiając, albo raczej, wskutek braku źródłowej znajomości przedmiotu, nie mogąc się poznać na ich pustce ideowej i bładze.

Tłumaczy się ks. Kwiatkowski, że dał w swym «szkicu» «tymczasowe opracowanie rozwoju myśli filozoficznej w Polsce», nie mogąc się doczekać opracowania «kogoś więcej fachowego» (a więc przyznaje się, że sam jest niebardzo fachowy!), gdyż «to wstyd», by młodzież nie mogła czytać po polsku o filozofii polskiej. Zapewne, zamiar to chwalebny. Cóż z tego? Dobrymi chęciami i piekło brukowane! «Szkic» ks. Kwiatkowskiego jest, możnaby powiedzieć, religijny (woła bowiem o pomstę do Boga), ale pod względem naukowym jest, raz jeszcze, skończoną lichotą, a nawet skandalem. Na to i «święty Boże nie pomoże». Autor, nie przytaczając żadnego dowodu, twierdzi, że recenzent «nie zdał sobie sprawy z tego, co wniósł szkic krytykowany do opracowań dotychczasowych» (Krupińskiego, Straszewskiego, Bączka, Tatarkiewiczza). «Na szczęście — dodaje skromny autor — poznali to już i uznali inni». Otóż recenzent może ks. Kwiatkowskiego zapewnić, że

wielu innych, a w ich liczbie dwóch *f a c h o w c ó w* (krakowskich), pisze się w zupełności na inkryminowaną recenzję. Czy wymienić może ich nazwiska? Owszem, jeżeli oni pozwolą, a ks. Kwiatkowski zechce!

Sapiens, cum vituperatur, non irascitur. Szkoda, że ks. Kwiatkowski jest innego zdania, że replikę swoją zaprawił obficie gniewem i płynącymi z tego źródła osobistymi wycieczkami przeciwko recenzentowi, zarzucając mu «niepohamowane uniesienie», «dziwne zapatrywania osobiste», chorowanie «na wielką powagę w kwestiach nie tylko filozoficznych, ale i religijnych», «gwałtowne wystąpienia przeciw wszystkiemu, co księżę, a zwłaszcza co jezuickie» itp. Nie dosyć na tym: kończy swą replikę słowami recenzenta, zawierającymi w sobie charakterystykę Orzechowskiego, wyraźnie widząc w niej autocharakterystykę recenzenta. Na tego rodzaju zarzuty, dlatego właśnie, że osobiste, recenzent odpowiadać nie myśli, tym bardziej, że do podobnych sądów od dawna przywykł i że go one ani ziębią, ani grzeją. Jedno tylko. Czyż naprawdę recenzent występuje gwałtownie przeciwko *w s z y s t k i e m u*, co jezuickie? Czyż w swoim studium o *Kazaniach sejmowych* Skargi występuje gwałtownie przeciwko Skardze? Czy go raczej nie uwielbia za patriotyzm gorący, za rozum polityczny, za uczciwość i odwagę cywilną — zwłaszcza w kazaniu *O monarchiej i królestwie*; kazanie to w trzecim wydaniu *Kazań sejmowych* musiał Skarga opuścić dzięki «uczciwości» i «odwadze cywilnej» swoich starszych braci zakonnych, którzy się — po rokoszu Zebrzydowskiego — bali i nie chcieli narażać motłochowi szlacheckiemu.

Wypomina jeszcze ks. Kwiatkowski recenzentowi (oczywiście w jak najszlachetniejszej intencji), że, dzięki różnym «przeoczeniom» «wzbogacił, nasz język... słowem: *wiatrologia*». Ma tu autor na myśli artykuł Boya-Zeleńskiego pt. *Wiatrologia*, złośliwie, ale słusznie wytykający recenzentowi różne gaffy w jego książce o Fredrze (których się jej autor bardzo wstydzi). Niechajże wolno będzie odwdziżyć się ks. Kwiatkowskiemu i przypomnieć, że zakon, do którego ma zaszczyt należeć (i którego jest, jako uczony, tak piękną ozdobą), wzbogacił znakomicie skarbnicę aforyzmów staropolskich w takim np. rodzaju: «Jaje jaju nie jest podobniejsze, jako jezuitowie

Krzyżakom»; albo: «Gdzie mina jezuicka i ukłon niski, tam honor śliski»; albo jeszcze: «Wstydać się właśnie jest karanie człowiecze, a jezuitowie nawet wstydać się nie umieją».

* * *

O naukowym opracowaniu historii filozofii polskiej wtedy dopiero będzie można poważnie pomyśleć, kiedy będziemy mieli opracowania specjalne czy to jej poszczególnych kierunków, czy poszczególnych myślicieli, czy poszczególnych dzieł.

Otóż w ostatnich czasach, już po odzyskaniu niepodległości (i z pewnością, w znacznej mierze, dzięki jej odzyskaniu) raz po raz ukazują się takie opracowania specjalne, jak Antoniego Roszkowskiego *Poglądy społeczne i ekonomiczne Augusta Cieszkowskiego*, Józefa Ujejskiego *O cenę absolutu* (o Wrońskim), Marii Rymarkiewiczówny *Pojęcie Boga w filozofii Libelta i Filozofia Libelta*, Zdzisława Kaczmarskiego *Źródła poglądów estetycznych Libelta*, Stefana Kołaczkowskiego *Estetyka Kremiera*, Franciszka Zbroi *Etyczne poglądy Świętochowskiego*, Bolesława Gaweckiego *Filozofia teoretyczna Bolesława Prusa*, Stefana Harasska *Prolegomena do filozofii narodowej Trentowskiego*, *Pomysł i założenia epistemologiczne filozofii narodowej Trentowskiego i Trentowski o filozofii narodów europejskich*; Stanisława Pigonia *Dwoista teozofia Trentowskiego*, ks. Jana Szczotki *Poznawanie Boga u Trentowskiego*, Bogdana Suchodolskiego *Stanisław Brzozowski, rozwój ideologii*, Bohdana Chrzanowskiego *Podstawy logiczne Analityki Trentowskiego* i jeszcze inne, z których dwa — Harasska i ks. Klepacza — niechaj wolno będzie krótko omówić.

* * *

Stefan Harassek: *Józef Gołuchowski, zarys życia i działalności*. (Prace Historyczno-Literackie, nr 22—23). Kraków 1924, str. XXII i 575.

Stefan Harassek już w pierwszej swojej (doktoryzacyjnej) pracy (*Kant w Polsce przed rokiem 1830*) dał się poznać jako badacz niezwykle sumienny, gruntowny, rozważny, piszący jasno, treściwie, zawsze z planem, mający wstręt do szumnych i pustych frazesów. Te same zalety znamionują jego pracę habilitacyjną — monografię o Gołuchowskim.

Część pierwsza obejmuje życiorys, druga — rozbiór młodzińskich pism filozoficznych, nade wszystko *Filozofii życia*, trzecia — rozbiór pism, poświęconych problemowi społecznemu, czwarta — rozbiór *Dumań*, przegląd dotychczasowych sądów o filozofii Gołuchowskiego, oraz ogólną jej charakterystykę i ocenę. W przypisach zamieścił autor (prócz nieznanych dotychczas dokumentów biograficznych, słownika Gołuchowskiego, szczegółowej bibliografii i spisu nazwisk) kilka zestawień tekstu *Dumań* z tekstem dzieła myśliciela niemieckiego Chalybäusa *Filozofia i chrześcijaństwo*. Jest to w nauce naszej pierwsze tak gruntowne i wyczerpujące studium o polskim myślicielu.

Jakże się ten myśliciel — w świetle nowej krytyki — przedstawia? Czy ostały się o nim dawne sądy, wśród których były wprawdzie sądy surowe, ale przeważały już nie łagodne, ale wręcz pochlebne. Pisano np., że pisma Gołuchowskiego «staną się jednym z pomników narodowej chwały» i «niepoślednie zajmują miejsce w dziejach naszej filozofii narodowej», że Gołuchowski to «niewątpliwie najznamienszy po Wrońskim krzewiciel transcendentalnego idealizmu, czyli romantyzmu filozoficznego, na niwie umysłowości polskiej», że w ogóle to myśliciel «znakomity», «samodzielny», co więcej, że, gdyby nawet nic więcej prócz *Filozofii w stosunku do życia* nie napisał, «to już ta jedna praca wystarczylaby, aby mu zapewnić nie tylko jedno z pierwszorzędných stanowisk w dziejach myśli polskiej, ale także wybitne miejsce w dziejach filozofii XIX wieku». Ten ostatni sąd wyszedł, oczywiście, spod pióra Straszewskiego, który swój brak gruntownych badań i swoją pustkę myśli krytycznej zapychał szumnymi frazesami i tanim samochwalstwem narodowym, ubranym w płaszczyk patriotyzmu. Otóż, kto uważnie przeczytał książkę Harasska, który tyle mozolnej, uczciwej i umiejętnej pracy włożył w szczegółową analizę pism filozoficznych Gołuchowskiego, ten będzie zmuszony powiedzieć sobie o takich sądach: «Jednakże ja to między bajki włożę».

Okazuje się bowiem przede wszystkim, że samodzielność Gołuchowskiego, jako filozofa, jest po prostu legendą, że w tym, co stanowi przewodnią myśl jego filozofii, mianowicie «w usi-

lowaniach, zmierzających do zharmonizowania religii i filozofii, był Gołuchowski wiernym echem nie tylko Schellinga, ale i hasel, którymi rozbrzmiewała współczesna mu literatura filozoficzna». Jego dzieło niemieckie o stosunku filozofii do życia jest całkowicie oparte na Schellingu: «Bez dokładnej znajomości jego wywodów — mówi Harassek — dzieło Gołuchowskiego jest dla filozofa zupełnie niezrozumiałe; autor nasz rysuje bowiem tylko kontury systemu, szkicuje zaledwie wiązania szczytu budowli, której myślowe fundamenty, jako też żmudne konstrukcje architektoniczne, znajdują się całkowicie poza obrębem jego przedstawienia: w filozofii Schellinga».

A *Dumania nad najwyższymi zagadnieniami człowieka*? Z badań Harasska okazuje się niezbicie, że dzieło to także nie oryginalne, że głównym źródłem mądrości Gołuchowskiego był tutaj Chalybäus; przejął z niego Gołuchowski «nie tylko wykład filozofii Hegla i Herbarta, do czego sam się przyznał, ale także wykład filozofii Kanta, Fichtego, Schellinga, uwagi o Locke'u, Hume'ie, o pankosmizmie, do czego się już nie przyznał». «Część druga dzieła podająca rzekomo własne poglądy Gołuchowskiego, jest również zmodyfikowaną kopią pomysłów Chalybäusa, o czym autor oczywiście niemniej dyskretnie zamilczał. Powiedział tylko, że z poglądami filozofa niemieckiego na najwyższe przedmioty ujrzał się w bliskim zetknięciu, chociaż szedł drogą oddzielną».

«Jak to zetknięcie przy wykładzie oryginalnej filozofii Gołuchowskiego w szczegółach wygląda — pisze dalej Harassek — uwidoczniliśmy w odnośnych przypisach. Kto je zechce przeczytać i ewentualnie sprawdzić, zgodzi się zapewne z nami, że za podobnie bliskie zetknięcia autorowie żyjący obrażają się na siebie mocno». Wierzmy autorowi w zupełności, nawet nie sprawdzając jego zestawień, i, co za tym idzie, odmawiamy Gołuchowskiemu samodzielności i jakiegokolwiek stanowiska w historii filozofii ogólnoeuropejskiej.

Z tego nie wynika naturalnie, aby odmawiać mu stanowiska, a nawe rzetelnej zasługi, w dziejach polskiej myśli filozoficznej; na czym to stanowisko i ta zasługa polega, wykazuje szczegółowo autor w ostatnim rozdziale swego pięk-

nego dzieła: swoje, czy cudze, myśli Gołuchowskiego były dla naszego społeczeństwa pokarmem ożywczym, pobudzającym do myślenia i, na ogół biorąc, bardzo pożytecznym, zwłaszcza jego podniosły idealizm, jego mocna wiara w potęgę życia duchowego i w ostateczne zwycięstwo dobrego nad złem, jego piękne myśli o znaczeniu filozofii dla życia, jego rozumowania, «wykazujące, że kultura materialistyczna nosi w sobie zaród śmierci, a komunizm, na jednostronności tej kultury oparty, kryje w sobie sprzeczność».

Z tym wszystkim, czy w swojej chwalebnej trosce o bezstronność i sprawiedliwość nie zapędził się Harassek zbyt daleko, zgadzając się z Krasieńskim nie tylko na to, że dzieła Gołuchowskiego (o kwestii włościńskiej) wrzynają się w duszę, że odsłaniają głębokość wielką i majestat prawdy, ale i na to, że noszą wyraźne ślady genialności i wieszczego ducha? Nie, ten sąd pozostaje w sprzeczności z sądami i wywodami całej książki, które ani na chwilę nie pozwalają wierzyć w genialność Gołuchowskiego, odsłaniając nam wiernie jego prawdziwe oblicze.

* * *

Ks. dr Michał Klepacz: *Idea Boga w historiozofii Augusta Cieszkowskiego na tle ówczesnych prądów umysłowych*. Kielce 1933, str. 432.

Książka to niemałej wartości. Przede wszystkim odznacza się doskonałym w swej jasności i przejrzystości układem, co na tym większe uznanie zasługuje, że jej treść jest bardzo bogata: autor bowiem nie poprzestał na wyjaśnieniu zagadnienia, uwydatnionego w tytule książki, to jest idei Boga jako centralnej idei historiozofii Cieszkowskiego, ale związał je umiejętnie z innymi problemami jego filozofii, a nade wszystko z jego metodami filozoficznymi. Nie dosyć na tym: każde zagadnienie i każdy pierwiastek metody umieścił na szeroko zakreślonym tle porównawczym, uwzględniając nade wszystko filozofię współczesną, ale czasem sięgając nawet w daleką przeszłość filozofii. Dzięki takiej metodzie filozofia Cieszkowskiego nie wisi w powietrzu, jako coś odosobnionego od gruntu filozofii powszechnej, ale przedstawia się nam jako jej organiczna

częstka, jako cegielka, dorzucona do materiału, z którego powstał jeden z największych gmachów myśli ludzkiej, mianowicie myśli, działającej nie tylko z własnych pobudek, to znaczy z dążenia do prawdy i do wiedzy, ale także z popędu serca, głośno wołającego o wiarę religijną, i z rozkazu woli, która — świadomie, czy nieświadomie — domaga się idei Boga, jako niezbędnego warunku do pracy nad taką budową własnego i cudzego życia, żeby ono posiadało już nie tylko nieprzemijającą wartość, ale w ogóle jakikolwiek sens. Otóż to wołanie o wiarę w Boga, które, spośród poetów polskich epoki romantyzmu, najsilniej rozlegało się w duszy Mickiewicza, w duszy żadnego innego filozofa polskiego tej epoki nie było tak głośne, jak w duszy Cieszkowskiego, i nie wydało też drugiego tak obfitego i pięknego plonu, jak wspaniała księga *Ojciec Nasz*.

Dlatego to właśnie, jak wolno sądzić, obrał sobie ks. Klepacz nie co innego za temat do swoich rozważań, tylko filozofię Cieszkowskiego. I dlatego właśnie są te rozważania nie tylko gruntowne, jak przystało na studium naukowe, ale nadto ożywione własnym uczuciem autora — mianowicie szczerą sympatią dla człowieka i myśliciela, który, rzecz można, przez całe swoje życie szukał Pana Boga i który mocno wierzył w to, że Go znalazł.

Ta zaś sympatia autora na tym większe zasługuje uznanie, że się przecie idea Boga w historiozofii Cieszkowskiego niekoniecznie zgadza z ideą, jaką wypracował Kościół katolicki, a w której prawdę autor mocno wierzy. Nie zataja tego bynajmniej — przeciwnie, wykazuje szczegółowo różnice, zachodzące pomiędzy filozofią i wiarą Cieszkowskiego a wiarą i nauką katolicką, i twierdzi, że Cieszkowski nieraz «zbacza na manowce» i że «nie tędy wiedzie droga w Krainę Prawdy». Czy w dziele naukowym z zakresu historii filozofii stwierdzanie czyjejs nieprawowierności jest potrzebne, to inna sprawa: dosyć, że to stwierdzenie nie tylko nie ściągło ze strony autora gromów na głowę Cieszkowskiego (które huczą np. w *Polskiej filozofii religijnej wieku XIX* księdza Gabryła, albo w artykule księdze Pechnika), ale nic a nic mu nie przeszkodziło do spokojnego, wysoce bezstronnego oświetlenia całego jednego zagadnienia filozofii Cieszkowskiego. Otóż sympatia autora dla tego

najszlachetniejszego ze szlachetnych myślicieli polskich tłumaczy się tym właśnie, że autor, obdarowany umysłem logicznym i uczciwością myśli zarówno, jak serca, a do tego szczerym zapalem naukowym, który ma to do siebie, że przywiązuje człowieka do obranego tematu, — nie mógł i zapewne nie chciał tłumaczyć swojego szacunku i uznania dla tak wielkiego wysiłku myśli i serca, jaki cechuje dzieło *Ojciec Nasz*.

A pomimo to, raz jeszcze, monografia ks. Klepacza jest wysoce bezstronna, tym bezstronniejsza, że wykład i wyjaśnienie filozofii Cieszkowskiego przytłaczają swoją szczegółowością i wszechstronnością sądy o jej wartościach religijnych.

Ostateczny wynik badań autora nad ideą Boga w historii filozofii Cieszkowskiego jest taki, że nie był on ani panteistą, ani teistą, tylko panenteistą. Etymologicznie rzecz biorąc, panenteizm oznacza: «wszystko w Bogu». Innymi słowy: Bóg dla świata jest zarazem immanentny i transcendentny, czyli: świat jest częścią Boga, i wskutek tego Bóg żyje w nim, a on w Bogu (immanencja) i że zarazem Bóg przewyższa świat (jako Jego część) i całkowicie go obejmuje (transcendencja Boga). System ten więc jest jakby syntezą teizmu i panteizmu, monizmu (Bóg) i pluralizmu (świat). W takim też systemie Bóg nie staje się wcale sumą lub całością rzeczy. I właśnie sam Cieszkowski, chociaż nie wymienia tej nazwy, daje jednak do niej podstawę zarówno rzeczową, jak i częściowo nominalną. Mówi bowiem, że jego system «godzi w jedność spekulatywną: immanentność i transcendentność Boga», «nieskończoność Boga i skończoność rzeczy stworzonych». Zastrzega się ks. Klepacz, że, pomimo to, pogląd Cieszkowskiego na ideę Boga nie mieści się w panenteizmie bez reszty, ale słusznie twierdzi, że nazwa ta najbardziej odpowiada jego systemowi.

Niektóre szczegóły tej pięknej książki trzeba zakwestionować albo uzupełnić.

Czyż naprawdę «w żmudnym pochodzie ludzkości ku swym wiecznym przeznaczeniom... naród polski... nieraz wyprzedza inne ludy i państwa?» W przypiskach do tego poglądu autor podaje kilka dowodów, nie na wszystkie jednak można

się zgodzić — np. na ten, że Witelon był Polakiem. Co do przodownictwa w filozofii autor powołuje się nie tylko na Struvego (który, chociaż był uczonym niewątpliwie bardzo poważnym, nieraz przeceniał wartości myśli polskiej), ale także (*ri-sum teneatis, amici?*) na Straszewskiego i, co jeszcze gorsza, na ks. Kwiatkowskiego.

Trudno się także zgodzić na to, żeby Rousseau swoją obroną praw człowieka wywołał «reakcję romantyczną przeciwko poglądom klasycznym», a jeszcze trudniej na to, aby Novalis przyczynił się do tego, że w Niemczech powstał «mocny, choć płytki ruch romantyczny, znany pod nazwą *Sturm und Drang*». Ależ ten «ruch romantyczny» (a właściwie dopiero preromantyczny) skończył się w roku 1787, kiedy Novalis miał lat... piętnaście!

Nie tylko romantyzm polski, ale i niemiecki, a nawet francuski, wierzył, że człowiek «gdyby swą wolę ścisnął, natężył i razem wyświecił, możeby sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił!»: wystarczy przypomnieć Novalisa i Alfreda de Vigny.

Cieszkowski, jak to słusznie pisze autor, «pomimo stwierdzenia, że duch jest nieśmiertelny, i to dzięki swej istocie», mniemał jednak, że «nie wszyscy dostąpią tej nieśmiertelności». Czy nie należałoby tutaj dodać, że później głosił podobny pogląd Struve w rozprawie *O nieśmiertelności duszy* (z czego sztychował Edward Sulicki w swoim *Zarysie filozofii wiekuistej*)?

Co do nauki Cieszkowskiego o reinkarnacji (która dzisiaj ma w Polsce swego wyznawcę i apologetę w osobie Wincentego Lutosławskiego), autor twierdzi, i to bez zastrzeżeń, że nauka ta (podobnie jak «brak powszechnej nieśmiertelności, pogląd na czyściec, piekło, niebo») «odbiega od tez chrześcijańskich». Otóż tutaj warto jednak przytoczyć, co o wierze w reinkarnację mówi tej miary teolog i myśliciel, co ks. Franciszek Sawicki w książce *Dusza nowoczesnego człowieka, tło moralne i religijne akcji katolickiej* (1): «Sądzę, że reinkarnacja i w tej postaci» (to jest tak, jak ją pojmuje Lutosławski) «niezgodna jest z dogmatyką katolicką, ale dopóki Ko-

(1) Poznań, Księg. św. Wojciecha, bez roku (1931), str. 115.
Studia i szkice II 22

ściół wyraźnie jej nie potępił, nauka ta nie jest formalną herezją, lecz tylko *sententia haeresi proxima*.

Mówiąc, że «panenteizm należał do najdawniejszych systemów», że «poważne jego ślady znajdujemy u Plotyna i Eriugeny», należało dodać, że panenteizm był wiarą niektórych myślicieli epoki odrodzenia, a przede wszystkim Erazma z Rotterdamu, jak to wykazał Wilhelm Dilthey w swoich wspaniałych studiach o filozofii i religii tej epoki.

Żeby Krasiński przez «czynów stał» rozumiał poezję, jak mniema autor, to zupełnie do prawdy niepodobne, jak i to, żeby Piotr Chmielowski był «później kantystą»: ależ nie był nim nigdy, do samej śmierci, pomimo że na krótko przed śmiercią przełożył na język polski *Krytykę czystego rozumu*.

W literaturze przedmiotu, której znajomość i bezstronna ocena jest jedną z wielu zalet studium ks. Klepacza, pominięto niektóre pozycje, jako to: H. Boguskiego *Hegel i jego zwolnicy* (w *Przeglądzie Narodowym*, 1911), Bogdana Suchodolskiego *Pokrewieństwo poglądów Cieszkowskiego, Trentowskiego i Euckena* (w *Przeglądzie Warszawskim*, nr 20), Anny Minkowskiej *Wpływ filozofii czynu A. Cieszkowskiego na działaczy okresu Paskiewicza* (komunikat, wygłoszony na Zjeździe historyków polskich w Poznaniu 1925), Emilii Bagieńskiej *Szkice i notatki* (Kijów 1917), profesora E. Jarry *L'idea dell' assoluto nella filosofia giuridica polacca* (Modena 1930).

Dodajmy przy sposobności, że bliższe jeszcze pokrewieństwo, niż z Euckenem (które wykazał Suchodolski), łączy Cieszkowskiego z pewnym myślicielem belgijskim: jest nim Paul Gille, autor dzieła *Esquisse d'une philosophie de la dignité humaine* (Paryż 1924). To zwłaszcza, co mówi Gille o *la socialité*, bardzo żywo przypomina «socjalność» Cieszkowskiego, któryby niezawodnie i ten pogląd Gille'a bez wahania podpisał, że człowiek staje się jednocześnie coraz wolniejszym, a coraz bardziej świadomym swoich obowiązków społecznych: *l'homme qui se possède vraiment, celui qui est vraiment homme, est à la fois personnel et social*.

«WSPÓŁCZESNA LITERATURA POLSKA» W. FELDMANA (1)

I

Siódme wydanie *Współczesnej literatury polskiej* Feldmana ukazało się już po śmierci autora, jest więc przedrukiem wydania szóstego (z roku 1918), z pominięciem jednak działu krytyki literackiej (i z uzupełnieniami Stanisława Lama).

Do dziś dnia sądy o tym dziele są równie nieustalone, jak za życia autora: po dawnemu jedni odsądzają je od czci i wiary, albo też pokrywają je głuchym milczeniem, inni zaś obsypują je nadmiernymi pochwałami. Historia sądów o książce Feldmana byłaby niezmiernie ciekawym przyczynkiem do dziejów naszej krytyki literackiej i opinii publicznej; okazałoby się, jak bardzo wrażliwi jesteśmy na frazesy i rozmach pisarski, jak łatwo w nas wmówić, że ten, albo ów utwór literacki jest znakomity, jak się łatwo zwłaszcza, pókiśmy młodzi, dajemy chwycić na lep hasel «postępowych».

Pamiętać trzeba, że książka Feldmana przez cały szereg lat (wydanie pierwsze wyszło w roku 1902) cieszyła się i do dziś dnia cieszy wielką poczytnością; nie osłabiła jej ani ostra, przykra, złośliwa, ale *in merito* słuszna krytyka Ignacego Rosnera (w odcinkach *Czasu* r. 1900, także w odcitce, wydanej w Krakowie tegoż roku), ani chłodna, spokojna trzeźwa krytyka Spasowicza (w *Kraju* r. 1903, przedrukowana w dziewiątym tomie *Pism*); niesmaczne napaści Tetmajera, czy Żuławskiego nie na dzieło, tylko na osobę autora, ani nawet dowcipne szyderstwa Boya-Żeleńskiego także nie wpłynęły na zmniejszenie się poczytności tej książki.

(1) Wilhelm Feldman: *Współczesna literatura polska, 1864—1923*. Wydanie siódme z 53 ilustracjami. Przygotował do druku i uzupełnił okresem 1918—1923 Stanisław Lam. Nakładem H. Altenberga we Lwowie (Kraków 1923).

Nie dziw, że, będąc tak poczytną, wywarła duży wpływ na opinię publiczną, że mianowicie odegrała niezmiernie ważną rolę w kształtowaniu się sądów o «Młodej Polsce». Jeżeli byli i są jeszcze tacy, którzyby się dali w kawałki posiekać za to, że epoka «Młodej Polski» była epoką wielką, godną stanąć tuż obok epoki romantycznej, że się w tej epoce literatura polska wybiła na samo czoło europejskiej, — jest to w bardzo znacznej mierze zasługą, a raczej nie zasługą, tylko dziełem Feldmana, którego książkę śmiało można nazwać apoteozą «Młodej Polski». Tego niewątpliwego faktu niektórzy albo nie widzą, albo nie chcą widzieć: przecie, kiedy Feldman umarł (1919), niektóre pisma poprzestały jedynie na krótkiej notatce o jego śmierci.

Otóż historyk literatury musi, chętnie, czy niechętnie, zaprotestować przeciwko takiemu ignorowaniu działalności literackiej Feldmana, zwłaszcza jako krytyka; musi orzec stanowczo, że jako pisarz, obdarzony żywym temperamentem pisarskim, ma zapewnione stanowisko w historii krytyki polskiej, — głównie dlatego właśnie, że wywarł tak wielki wpływ na sądy o literaturze współczesnej, że się przyczynił niemało do wywalczenia tryumfu «Młodej Polsce». Pod tym względem, ale, rozumie się, tylko pod tym jednym jedynym, można go porównać do Mochackiego, który się niemało przyczynił do wywalczenia tryumfu romantyzmowi.

Dodajmy jeszcze, że wrogie stanowisko znacznego odłamu krytyki względem Feldmana tłumaczyło się i tłumaczy, jeśli nie wyłącznie, to w pewnej przynajmniej mierze, bądź partyjnictwem, bądź antysemityzmem, bądź osobistymi antypatiami, bądź wreszcie przekonaniem, że Żyd literatury polskiej, tak głęboko przesiąkniętej duchem narodowym, odczuć, a więc zrozumieć należycie nie może, że przeto najlepiej zrobi, jeśli o niej pisać nie będzie.

Z drugiej jednak strony jest rzeczą pewną, że i ci, którzy zajęli i zajmują względem książki Feldmana stanowisko przyjazne, kierowali się także w pewnej mierze bądź partyjnictwem i filosemityzmem (jak Matuszewski), bądź liberalizmem (jak Chmielowski), bądź osobistą sympatią dla człowieka zdolnego, uczciwego, pełnego dobrej woli i entuzjazmu, szczerze i bezin-

teresownie pragnącego służyć sprawie polskiej (tak, oczywiście, jak ją rozumiał i kochał), dla człowieka, wtrąćmy jeszcze, który, bawiąc podczas wojny z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego w Berlinie, kiedy po pokoju brzeskim przejrzał, kiedy na koniec jasno zobaczył całą podłość polityki niemiecko-austriackiej i całe straszliwe bankructwo swego obozu politycznego, miał (czy czasem nie on jeden z tego obozu?) odwagę publicznego uderzenia się w piersi — w liście otwartym do Fryderyka Naumanna. Ta osobista sympatia wpłynęła, pomiędzy innymi, i to bardzo mocno, na sąd Brücknera (w książce zbiorowej pt. *Pamięci Wilhelma Feldmana*). Brückner posiada umysł zbyt krytyczny na to, żeby nie dojrzeć całego szeregu słabych stron książki Feldmana; a pomimo to nazwał ją «znakomitym dziełem historycznym», «pięknym, treściwym» (!), i orzekł, że góruje ono «nad wszelkimi innymi próbami ujęcia dziejów literackich najnowszych to szerokością, obfitością, dokładnością, to unikaniem ciasnej doktryny» (!), «czy tendencji» (!!), «to usuwaniem frazesu» (!!!); że dalej «autor o rzeczach piękna mówi pięknie a jasno, nie gubi się w mglistych, niby głębokich wieszczeniach-rojeniach» (!!), że to «książka-czyn, o znacznych wartościach moralnych i estetycznych» (!). Trudno naprawdę uwierzyć własnym oczom, że te wszystkie sądy wyszły spod pióra Aleksandra Brücknera. A i w *Przeglądzie Współczesnym* (1924), w artykule *O literaturze słów kilka*, obsypał Brückner Feldmana pochwałami.

Jedna z nich jest ze wszech miar zasłużona: pracowitość Feldmana, jako historyka literatury i krytyka (zresztą nie tylko na tym polu), była istotnie nadzwyczajna. Śmiało można twierdzić, że pod względem rozległego odczytania w naszej najnowszej literaturze nikt Feldmanowi nie dorównał. Prawda, że niektóre jej utwory pominął niezasłużonym, krzywdzącym milczeniem, np. *Pajaki* Klemensa Junoszy, albo zbiór przepięknych obrazków Jana Powalskiego *W słońcu*. Czy tłumaczy się to tym, że w *Pajakach* dopatrzył się taniego paszkwilu na Żydów (w rzeczywistości nie jest to bynajmniej paszkwil, jak twierdzą *Wiadomości Literackie*, tylko przepyszna pod względem plastyki i zupełnie zgodna z prawdą charakterystyka pajaków-lichwiarzy) i że na piękności obrazków Powalskiego nie

poznał się po prostu, jak się na nich nie poznało (albo ich nie znało) wielu innych krytyków? Jest to możliwe; wolimy jednak przypuścić, że przemilczenie tych utworów tłumaczy się jedynie przeoczeniem, bardzo zrozumiałem wobec ogromu zebranego materiału.

I ten właśnie ogrom nagromadzonego materiału, oraz próba jego rejestracji i usystematyzowania stanowi niewątpliwie rzetelną zasługę Feldmana, jako historyka literatury. Każdy, kto bezstronny, przyzna, że jak Chmielowski, przez swój *Zarys najnowszej literatury polskiej*, który w wydaniu czwartym, z roku 1898, ogarnął czasy od r. 1864 do 1897, stworzył historię literatury polskiej epoki pozytywizmu, tak Feldman, przez swoją *Współczesną literaturę polską*, stworzył historię literatury polskiej w epoce reakcji przeciwko pozytywizmowi. Zasluga to niemała, ale też j e d y n a nie ulegająca wątpliwości. Albowiem wartość tej historii, to jest charakterystyka literatury współczesnej i sądy o niej, jest bardzo problematyczna, do tego stopnia, że jest rzeczą niezmiernie pożądaną, aby znaczna większość tych sądów, jak najprędzej... należała do historii, aby przestała wpływać na opinię publiczną o literaturze naszej od roku 1863 aż do śmierci autora. Charakterystyka sądów i poglądów Feldmana, skreślona swojego czasu przez Spasowicza i Rosnera, do dziś dnia nie straciła swojej wartości.

II

Ostał się przede wszystkim w całej mocy zarzut tendencyjności.

Feldman był przede wszystkim utalentowanym publicystą, mianowicie szczerym rzecznikiem i gorącym obrońcą wszelkiego rodzaju liberalizmu — społecznego, politycznego, religijnego; nacjonalizmu nie cierpiał, nie pojmując jego racji i jego doniosłości, z upodobaniem szybował w obłokach «nadmorskich» (jeden to z ulubionych jego wyrazów); nie lubił i tradycjonalizmu, także nie doceniając olbrzymiego znaczenia tradycji, jako jedyne go potężnego fundamentu, na którym można coś w kulturze zbudować; wszelka walka o wolność, choćby w danej chwili beznadziejna, a nawet bezmyślna, i przez to dla

społeczeństwa szkodliwa, a nawet zgubna, uchodziła w jego oczach za cnotę, za wielki czyn, za bohaterstwo, za dźwignię i błogosławieństwo życia. I zdawało mu się, że w tych swoich hasłach był człowiekiem postępowym, ani się spostrzegając, że brnie głęboko po części w przestarzałym liberalizmie, a po części w przestarzałej ideologii romantyzmu politycznego.

Możnaby z książki Feldmana przytoczyć cały szereg próbek, ilustrujących jego liberalizm, zwłaszcza religijny; autor bowiem lubi mówić o religijności, o «bóstwie», o «religii entuzjazmu», o «absolucie», o «nieskończoności». «Stary bóg umarł, nowy się nie narodził; nie przynosi go ani wiara, ani filozofia, nie ma go w sferze transcendentalnej, ani w tej ziemskiej, jaką jest patriotyzm, zastępujący współczesnemu człowiekowi dawną religię» (! mowa tutaj o epoce pozytywizmu). Bourget'a, w drugiej epoce jego twórczości, obdarza autor mianem «prawdziwego *cochon triste*, kończącego, jak każda stara rozpustnica, dewocją nie tyle w kościele, ile u stóp księdza». To się nazywa rozumieć zwrot w twórczości Bourget'a i doniosłość moralną tego zwrotu! Niekiedy odzywa się Feldman z przekazem o tych, którzy uznają konieczność zewnętrznej organizacji życia religijnego; tego, że przy dzisiejszym stanie kultury ogromna większość ludzi nie może poprzestać na żywieniu uczuć religijnych w głębi piersi, że je chce i musi uzewnętrzniać, Feldman wyraźnie nie rozumie. Skwapliwie powtarza czyjś ironię, że «Kremer absolutowi Hegla wsadził na głowę infułę biskupią», i dodaje od siebie, że «w wyższym jeszcze stopniu czynił to Cieszkowski» (co jest dowodem, że o filozofii Cieszkowskiego nie miał Feldman pojęcia); o Mickiewiczu mówi raz mimochodem, że (w trzeciej części *Dziadów*) «odrzucał wszelką theodiceę» («póki Nowosilcow pija»), ale zapomina jakoś dodać, że to «odrzuć teodycei» przez Mickiewicza należało — w tym właśnie utworze — już do przeszłości. Lubi także Feldman mówić o wartościach i uczuciach «ogólnoludzkich», «kosmicznych», o «czystym człowieczeństwie», nie zdając sobie sprawy z tego, że droga do urzeczywistnienia ideału «wszechczłowieczeństwa» prowadzi przez realizację ideałów narodowych, że «czyste człowieczeństwo» bez narodowości jest albo abstrakcją, albo potwornością, że

nacjonalizm jest postępem, nie wstecznictwem. W ogóle pełno w książce Feldmana ogólników, wziętych z międzynarodowego słownika liberalizmu.

A teraz kilka próbek romantyzmu politycznego Feldmana. Powstanie Kościuszki dlatego się, jego zdaniem, nie udało, że «dusze tak mało były rozegzaltowane»; jeżeli powstanie listopadowe skończyło się klęską, to odpowiada za nią «brak wiary i czucia romantycznego, mędrkowanie i rezygnacja»; zorganizowana przez Polską Partię Socjalistyczną akcja roku 1905 to w oczach Feldmana «jeden z najszlachetniejszych wysiłków nienajgorszych synów Polski», cóż z tego, kiedy «głuchą na ten głos pozostała zwarta większość «dobrze myślącego społeczeństwa», która «nie okazała odrodzenia w duchu, zabrakło jej woli dziejowej».

Z wybuchem wielkiej wojny przyszedł, zdaniem Feldmana, znowu czas, kiedy trzeba było «uderzyć... w czynów stal». Któż w nią uderzył, kto dokonał «czynu własnego, wyzwającego?» Oczywiście, Pilsudski — on jeden «do romantyzmu się przyznał i wysnuł z jego ducha wszystkie następstwa». Cemu zawdzięczamy wskrzeszenie Polski? «Czynniki romantyczne to sprawiły, że spełnił się sen pokoleń i przy poklasku całego kulturalnego świata Polska zrzuciła z siebie jarzmo niewoli». Wobec takich poglądów Feldmana na «czyn» nikogo chyba nie zdziwi jego pogląd, że «polityka, jako taka, nie jest twórcza, co najwyżej może być organizatorką i, jak wszelkie «taktyki», pozbawiona jest wielkości», bo «ta przysługuje tylko twórcom nowych wartości» (!!). Chyba zbyteczną byłoby rzeczą wykazywać całą nicość ideową tego frazesu.

Otóż tendencyjność Feldmana polega na tym, że główną miarą oceny utworów i twórców jest dlań właśnie ów liberalizm i romantyzm, że, jak się słusznie wyraził Rosner, «każde dzieło, nie organizujące życia po jego myśli, nazywa ideowo słabym». Dodajmy do tego, że liberalizm Feldmana przymykał mu nieraz oczy na wartości narodowe najnowszej literatury polskiej. Tak np. w twórczości Wyspiańskiego (na co kiedyś zwrócił uwagę już Chlebowski) widzi przede wszystkim prometeizm, a nie wyczuwa głębiej ani narodowych, ani religijnych wartości jego poezji. Że *Wyzwolenie* jest w znacznej

mierze odpowiedzią na ideologię mesjanistyczną Wojciecha Dmowskiego (w książce *Mesjanizm polski a prawda dziejów*), autor ma słuszość; ale tego, że na ideologię *Wyzwolenia* bardzo wyraźny wpływ wywarła trzeźwa myśl nacjonalistyczna *Przeglądu Wszechpolskiego*, zwłaszcza drukowane w tym czasopiśmie *Myśli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, tego się Feldman nawet nie domyśla — i prawdopodobnie z oburzeniem odrzuciłby to twierdzenie, bo toby w jego oczach Wyspiańskiemu ubliżało. W *Księdze ubogich* Kasprowicza (napisanej już podczas wielkiej wojny), w wierszach mianowicie:

Pali się świat... Niechaj zginie
W tej strasznej skier zawierusze,
Byleby wyszły z niej cało
Nasze stęsknione dusze, —

nie wyczuwa jakoś Feldman troski patriotycznej poety, która przecie tak wyraźnie bije z tych wierszy.

Rozumie się, że utwory «nieromantyczne», lub niedosyć «romantyczne», oraz utwory nie dosyć «liberalne», a cóż dopiero «konserwatywne», np. wielbiące piękne strony tradycji narodowej, nie znajdują łaski w oczach autora *Współczesnej literatury polskiej*. Że na jego kulcie dla wszelakiego romantyzmu ucierpiał w tej książce nie tylko niejeden pisarz epoki pozytywizmu, np. Orzeszkowa i Dygasiński, których twórczość potraktował po macoszemu, ale w ogóle cała epoka, cały pozytywizm, — to jasne. Zresztą z tego wszystkiego, co Feldman pisze o pozytywizmie, jasno wynika, że nie rozumiał dobrze, co to jest pozytywizm, jak nie rozumiał, nie mając w swoim umyśle ani źdźbiełka zmysłu filozoficznego (pomimo przeciwnych pozorów), istoty żadnego w ogóle prądu filozoficznego. Tego, że pozytywizm był nie tylko konieczną, ale i zbawienną reakcją przeciwko romantyzmowi politycznemu, wywołaną przez katastrofę roku 1863, Feldman, oczywiście, także nie rozumiał — i nie mógł rozumieć, będąc zaślepionym wyznawcą romantyzmu politycznego, zwolennikiem poglądu, że (jak się wyraził Spasowicz) «skoro przy wyczerpaniu się sił i wypoczęciu przybędzie jakikolwiek zapas energii, należy brać się znowu do przerwanej przez pogrom roboty pod dawniejszymi przed-

pogromowymi hasłami, jeżeli nie filareckimi («mierz siłę na zamiary» i «rozumni szalem»), to pod tym, które podaje Andrzej Niemojewski: «bądźcie mniej trzeźwi, bardziej szalenii!»

Najjaskrawszym wyrazem ciasnej tendencyjności Feldmana, a zarazem dowodem jego słabego odczuwania wartości narodowych poezji, są jego sądy o Sienkiewiczu. Sądy te zresztą zmieniały się z wydania na wydanie, Feldman bowiem był niezmiernie wrażliwy na wszelkie zmiany czy to opinii publicznej, czy krytyki. W wydaniu ostatnim umiarkował wprawdzie swoje sądy o *Trylogii* i rozpiął się wymowniej aniżeli w wydaniach dawniejszych, czym ona jest dla Polski; dawnego sądu (nie wiedzieć, czy świadomie ironicznego, czy nieświadomie humorystycznego), że w *Trylogii* jest Sienkiewicz «opowiadaczem najpyszniejszych bajek» (!!!), «jakie literatura polska posiada» (tak dosłownie czytamy w wydaniu piątym na stronie 195), w wydaniu ostatnim — w przytoczonym brzmieniu — już nie ma (kto wie czy nie dzięki temu, że jeden z krytyków ośmieszył ten sąd); ale i w ostatnim wydaniu sztywno z worka wyłazi: oto na stronie 95 czytamy o «bajkowym tonie» *Trylogii*; nie dosyć na tym, że stronie 378 dowiadujemy się, że między *Trylogią* a życiem «żadnego pomostu nie było»: trudno, naprawdę, własnym oczom uwierzyć. Pokutują w ostatnim wydaniu i takie wręcz humorystyczne sądy, że «krzesając z przeszłości głównie artystyczne piękno, Sienkiewicz nie umie go harmonizować z ideałem», że był «poetą przeciętności», że w osobie Waskowskiego (w *Rodzinie Polanieckich*) okazał «uraganie... idei mesjanizmu narodowego», jak gdyby Waskowski i Sienkiewicz byli jedną osobą! «W cóż się obróciły — woła patetycznie Feldman — gdzież się zapodział duch rycerzy Zbaraża i Częstochowy? Czy jest jakikolwiek ślad, że Stanisław Polaniecki bodaj czytał — *Ogniem i mieczem*?» To, że Polanieckiego Sienkiewicz bynajmniej nie idealizuje, nie przyszło widocznie Feldmanowi do głowy. W *Krzyżakach* widzi on samo tylko «piękno formalne», zwłaszcza walory malarskie; ducha bohaterskiego, ożywiającego tę powieść, jakoś nie wyczuwa.

W ogóle nie zdaje sobie należyte sprawy z tej roli olbrzymiej, jaką Sienkiewicz odegrał w życiu narodu polskiego, nie rozumie, że on to przede wszystkim wyrwał dusze polskie

z tego zwątpienia o sobie, w jakie je wtrąciła klęska 63 roku. Przyszły historyk polskiej myśli i polityki narodowo-demokratycznej będzie się musiał poważnie zastanowić nad pytaniem, czy *Trylogia* Sienkiewicza nie przyczyniła się do tego, że mądre ziarna tej myśli i polityki weszły i wydały plon nie tylko w głębi dusz polskich, ale i w widomej pracy nad budową nowego życia Polski, oraz, czy to, że Liga Polska, przekształcona potem na Ligę Narodową, a założona dla pracy nad odzyskaniem niepodległości, powstała już we dwa lata po ukazaniu się *Ogniem i mieczem*, — czy to jest dziełem tylko przypadkowej zbieżności chronologicznej, czy też do pewnego stopnia przyczynowej.

«Wyspiański — pisze Feldman — przywraca Słowu majestat jego królewski i wagę, w jego rękach staje się ono znowu młotem Woli, potęgą, mającą organizować życie narodu. Sztuka wraca do posłannictwa, jakie pełniła za wielkich romantyków — choć ze zmienioną treścią». Czy Sienkiewicz, przez *Trylogię* i *Krzyżaków*, nie uprzedził czasem Wyspiańskiego w położeniu tej zasługi narodowej, czy mu nawet jej położenia nie umożliwił? Ale w książce Feldmana darmobyśmy szukali podobnej myśli, narzucającej się każdemu, kto się nie daje łapać na lep modnej teorii, że w dziedzinie życia duchowego przyczynowość jest jedynie fikcją. I czy mogło być inaczej? Przecie ani kult tradycji narodowej, do której Sienkiewicz tak gorąco był przywiązany i której znaczenie dla budowy życia narodowego tak dobrze rozumiał, jako człowiek mądry i kulturalny, ani wydobywanie z popiołów przeszłości świętego ognia, oświecającego narodowi drogę przyszłości, — nie zgadza się z «postępem», z «demokracją», z «liberalizmem» itd. Przecie, zdaniem Feldmana, nawet Świętochowski «zdolnym do rozwoju się nie okazał». I znowu — trudno własnym oczom wierzyć: Świętochowski nie okazał się zdolnym do rozwoju! Ależ do samej śmierci ten starzec wspaniały rozwijał się i szedł naprzód, nie przed wszystkimi bogami swojej młodości uderzając czołem, przez całe swoje życie był «posłem prawdy», chorążym postępu... i właśnie dlatego stał się apostołem nacjonalizmu, czego mu darować nie może wielu z tych, któ-

rzy mu dawniej bili pokłony (zwłaszcza spośród «mniejszości narodowych»).

Jakże inny jest stosunek uczuciowy Feldmana względem największego powieściopisarza «Młodej Polski» — Żeromskiego! Cały rozdział, poświęcony jego twórczości, jest jednym hymnem pochwalnym na jego cześć; tu i owdzie tylko spotykamy zarzuty (drobniutkie wobec zarzutów, czynionych Sienkiewiczowi), dotyczące strony estetycznej jego utworów, mianowicie — kompozycji większych utworów. Innej słabej strony artysty Żeromskiego, polegającego na tym, że ten wielki twórca nie umiał nieraz wyodrębnić swojej własnej twórczej indywidualności od swoich wizyj artystycznych, wskutek czego musiały powstawać nieporozumienia, czasem bardzo bolesne, co do idei jego utworów (*Przedwiośnie* nie jest bynajmniej wyjątkiem!), — tego organicznego defektu nie dopatrzył się Feldman w talencie Żeromskiego. Nie ma także albo żadnych, albo poważniejszych zastrzeżeń co do strony ideowej i uczuciowej jego utworów, np. co do ich głębokiego pesymizmu i przejaśkrawionego tylekroć erotyzmu. O erotyzmie czytamy tylko, że «słabość to siły wielkiej, cienie towarzyszące słońcu». Co do pesymizmu zastrzeżeń nie ma, pomimo że powinien on, zdawałoby się, nastroczać bardzo poważne refleksje — komu jak komu, ale krytykowi, który, będąc wrogo usposobiony względem hasła «sztuka dla sztuki», tego przede wszystkim od sztuki wymaga, aby była «potęgą, mającą organizować życie»? Bo czy wszystko, co napisał Żeromski, odpowiada temu warunkowi? «Walka z szatanem», piętnowanie krzywdy bliźniego i w ogóle zbrodni społecznych, choćby ono nawet płynęło z głębi zbolełego i tak żywo czującego serca, jak to, które biło w piersi Żeromskiego, nie jest jeszcze potęgą, organizującą życie; albowiem dla organizowania życia trzeba nie tylko negacji, nie tylko burzenia, nie tylko walki, ale nade wszystko budowania, organicznej, twórczej pracy, w której skuteczność Żeromski, przy całym swoim kulcie dla obowiązku moralnego, będącego dlań największą ze wszystkich świętości, nie koniecznie, a przynajmniej nie zawsze, nie we wszystkich swoich utworach, wierzył. A jeżeli tak, to czy nie ma w poglądach Feldmana na jego twórczość pewnej niekonsekwencji?

III

W czym natomiast nie można odmówić Feldmanowi konsekwencji, to w stałym i ustawicznym zwalczaniu przesadnego estetyzmu, hasła «sztuka dla sztuki», które zresztą autor pojmuje niekoniecznie właściwie, nie znając dobrze, jak się wolno domyślać, jego historii, którego znaczenia dla kultury duchowej nie docenia, nie rozumiejąc, że hasło to, właściwie pojmowane, bynajmniej nie wyklucza sztuki, «organizującej życie»: bo przecie, jeżeli twórca całą siłą swojej duszy dąży do budowy nowego życia, to jego wizje artystyczne muszą się kształtować pod kątem tego dążenia, bez udziału tendencji; powieść np. społeczna może być tendencyjna, ale może być i nietendencyjna, czyli może być «czystą sztuką», i taka «czysta sztuka» będzie czynnikiem «organizacji życia».

Najjaskrawszym wyrazem niechęci Feldmana względem jednostronnie pojmowanej «czystej sztuki», względem «estetyzmu», jest to wszystko, co mówi o Miriamie i o jego *Chimerze*. «Estetyzm — pisze — nie jest sztuką, tylko środkiem. Ajschylos i Calderon, Goethe i Mickiewicz nie myśleli o pięknych wierszach» (czyż naprawdę nie myśleli?), «lecz o kształtowaniu w wyższym sensie: o formowaniu pewnych postaci, wyrażających treść ich wzruszeń, idee czy wprost ideały... I one się nam udzielają. Tryumfują, jeśli nie w przestrzeni — szlachetne postacie Sofoklesa, Szekspira, Słowackiego giną — to w czasie, gdyż zwyciężają przez wieki w duszach czujących widzów. W ten sposób artysta formuje wyobraźnię i sferę emocjonalną. Wśród nędzy i małości dnia powszedniego nie dopuszcza grzechu najcięższego: zleniwienia ducha, panowania «kukiel», rzuca niematerialny, a jednak niezłomny most, wiodący ku coraz to wyższemu bytowi: wielką tęsknotę — i smutno z dziełem sztuki, które tego nastroju nie zostawia, a biada tęsknocie, która nie przechodzi w wolę czynną... Z czasem wszelki ruch stygnie, tężeje, staje się intelektualistycznym, ujętym w ustalone prawidła: to klasycyzm; wówczas młodość apeluje do bezpośredniości uczucia, intuicji, natury, a ta wola łączy się z bezustannym dążeniem, tj. z «rozpędem życiowym», istotą bytu — to romantyzm, w ostatnich czasach świadomy siebie,

próżen sentymentalizmu, z całą mocą życia nowoczesnego dążący do wysokich celów».

Z tych słów widać, że, według Feldmana, życie organizują głównie (jeśli nie wyłącznie) pierwiastki irracjonalne (emocje, nastroje, «rozpęd życiowy»), i, co za tym idzie, ta tylko sztuka jest czynnikiem organizacji życia, która w duszy ludzkiej te pierwiastki budzi i podnieca je do czynu, to znaczy tylko sztuka «romantyczna».

Otóż pogląd ten, którego ciasnoty wykazywać nie potrzeba (wystarczy tylko przypomnieć tę doniosłą rolę, jaką w organizowaniu życia odegrał we Francji właśnie klasycyzm XVII i XVIII wieku, w Polsce zaś klasycyzm stanisławowski, a po części pseudoklasycyzm czasów porozbiorowych) — pogląd ten zaważył, rzecz naturalna, także i na estetycznych sądach Feldmana.

Jego zdaniem «okres stanisławowski nie miał poezji». Jeszcze ciekawszą jest wiadomość, że Słowacki w epoce tych swoich dzieł, w których się świadomie troszczył o artyzm, «był jeszcze mało Słowackim» (!): poszedł tutaj Feldman (nie ten jeden raz) za pędem mody, za modernistami, dla których prawdziwa wielkość poezji Słowackiego rozpoczęła się dopiero w epoce «utworów mistycznych».

Szczytem piękności poezji polskiej jest w oczach Feldmana poezja «Młodej Polski». Nie wystarczył mu sąd (bardzo słuszny), że «po wielkich trzech wieszczach jest Wyspiański największym inicjatorem»: dodał jeszcze, iż jest on «o tyle bogatszym niż oni, że nie tylko słowa był panem; mistrz formy malarskiej, reżyserskiej, drukarskiej, twórca w dziedzinie przemysłu artystycznego, snycerz form rzeźbiarskich, mógł być dla całej przyszłości, czym dla swojego czasu Norwid: twórcą wielkiej kultury polskiej, narodowej, a jednocześnie nadnarodowej» (!). (W ogóle wierzył Feldman w możliwość urzeczywistnienia artystycznego snów utopijnych Wagnera o syntezie wszystkich sztuk, snów, które zaszkodziły przede wszystkim sztuce Wagnera, a potem wszystkim zwolennikom jego utopii, do których, niestety, należał i Wyspiański).

Oceniając poszczególne utwory Wyspiańskiego, nie różnia Feldman, jak to już Brückner słusznie zaznaczył, tego,

co w jego poezji jest «istotnie wielkie, piękne, niespożyte, szczerze, jasne, od tego, co mętne, naciągane gwałtownie», i «rozróżnia może za mało między doskonałym wykonaniem a niejasnym majaczeniem olbrzymiej fantazji, dręczonej nadmiarem pomysłów, obrazów, scen i efektów». W tym sądzie Brücknera (w książce *Pamięci Wilhelma Feldmana*) wyraz «może» jest zbyt czuły. A i na to jeszcze trudno się zgodzić z Brücknerem, że «stopniowania wartości i znaczenia Wyspiańskiego autor umyślnie nie przeprowadził». Czyż umyślnie? Przecie sądy Feldmana o «Młodej Polsce» aż nadto wyraźnie świadczą, że nie rozumiał różnicy «między doskonałym wykonaniem a niejasnym majaczeniem», że — w jaskrawej sprzeczności z własnym poglądem, iż «niewątpliwie pierwiastek logiczny i formalny ma w sztuce znaczenie i tylko on czyni dzieło przemyślanym i doskonałym» — za wielkie dzieła sztuki poczytywał nieraz i takie, w których owego pierwiastku jest za mało, albo go nie ma zupełnie. Tym się właśnie tłumaczy owo nierozróżnianie wartości utworów Wyspiańskiego, nade wszystko zaś — sądy o Micińskim.

«Wchodzimy» — tak brzmi początek rozdziału o tym poecie, niewątpliwie bardzo utalentowanym, ale niezrównoważonym, a co gorsza drwiącym sobie nieraz w żywe oczy z czytelników — «wchodzimy w krainę «mroku gwiazd»; «żegnamy światło dziennej logiki». Ale ponieważ logika nie jest widocznie koniecznym warunkiem ani poezji, ani organizowania życia, więc «wczuwajmy się w utwory Micińskiego, a «najwyższy oddech» nas ogarnie». Kiedy piorunuje na zwyrodniałą ludzkość, wydobywa Miciński, zdaniem Feldmana, «tony potężne, godne stanąć obok najsilniejszych inwokacji Izajasza, Milтона, Skargi»; «w rodzinie artystów o górującej fantazji, w rodzinie Szekspira, Danta, Blake'a, Słowackiego, Wyspiańskiego, Miciński się ostatecznie, jako mocarz olbrzymiej wyobraźni twórczej».

Te próbki sądów estetycznych Feldmana nie są w jego książce odosobnione, przeciwnie, dają pojęcie o ich przeważnej części: są to zwykłe impresje, których najczęstszym wyrazem są bezkrytyczne superlatywy, w tym np. rodzaju, że młodzięcza liryka Asnyka była «wulkaniczna», albo że «którakol-

wiek scenę» *Kleopatry* Norwida «sobie uprzytomnimy, napotyamy najwyższe piękno» — oraz szumne, albo i puste frazesy. Trudno naprawdę zrozumieć, że Brückner, wielki uczony, który chyba przez całe swoje życie nigdy nie napisał, a może nawet nigdy nie powiedział ani jednego frazesu, zapisał na dobro książki Feldmana «usuwanie frazesów». Ależ ta książka wprost roi się od frazesów, zwłaszcza tam, gdzie autor usiłuje dać definicję lub uogólnienie jakiegoś prądu czy zjawiska literackiego, albo też wypowiedzieć jakiś pogląd, czy to estetyczny, czy też w ogóle filozoficzny.

Oto przykłady. «Byłoby dziwnym od syna Muzy żądać, by zarazem był synem Gracyj», czytamy o Kasprowiczu: czy Dante, Goethe, Mickiewicz, Słowacki nie byli «zarazem» «synami Muzy» i «synami Gracyj»? «Prawdziwi poeci myślą nie słowami, lecz samą istnością bytu»: co to jest «istność bytu», tego autor nigdzie nie wyjaśnił. Żeromski «na falach muzyki wewnętrznej odbija świat wzruszeń kosmicznych»: co to są «wzruszenia kosmiczne», tego się także nie dowiadujemy. «Kto przeżył duchowo» *Legion*, *Wesele* i *Wyzwolenie*, «ten istotnie rozszerzył duszę na miarę narodu i nieskończoności»: co znaczy rozszerzyć duszę na miarę nieskończoności, tego znowu nie tłumaczy nam autor. «Każdy czas, któremu było dane rozwinąć swe jestestwo w całej pełni, ma kulturę własną, stylową... Własny, pełny styl ma kultura odrodzenia; pełny, skończony, lubo mniej własny, ma klasycyzm polski; żadnego stylu, bo żadnej pełni i zgody prawdy wewnętrznej z zewnętrzną, nie ma i mieć nie może Polska niewolna, tj. czująca niewolniczo» (!): to także nic więcej, tylko stek pustych frazesów. Autor rozumie tutaj przez «styl» coś zupełnie dowolnego; a że i «Polska niewolna» zdobyła się jednak także na swój styl, o tym może coś powiedzieć taki np. Henryk Rzewuski, później, po roku 1863, tacy np. Stańczycy krakowscy i ugodowcy warszawscy, a jeszcze później Naczelny Komitet Narodowy...

Co to jest romantyzm, pozytywizm, realizm, naturalizm, symbolizm, neoromantyzm, — tego się z książki Feldmana, pomimo, że autor często się tymi terminami posługuje, nikt ścisłe i pewnie nie dowie. Dowiadujemy się za to pomiędzy innymi, że «romantyzm rozwinął z dawnych pierwiastków i do-

prowadził do rozkwitu nową, wielką kulturę polską», o kilka zaś stronic dalej, że «do stworzenia całokształtu żywej kultury polskiej» był powołany Norwid i że «wydany w roku 1851 *Promethidion* mógł być datą jej narodzin, a jeszcze dalej, że dopiero z Asnykiem poezja polska przechodzi «z okresu bohaterstwa do okresu kultury» (!). Nie dosyć na tym: dowiadujemy się później, że to nie romantyzm stworzył «wielką kulturę polską», tylko — zupełnie przeciwnie — «wielka kultura polska... stworzyła była potężny gmach romantyzmu polskiego», a na koniec, że romantyzm, pomimo że trwał tylko «ćwierć wieku», «przyniósł był kulturze polskiej więcej, niż przedtem pełnych kilka wieków, — dosłownie: «pełnych kilka wieków». Czyż potrzeba wykazywać całą pustkę tych wszystkich frazesów i całą ich sprzeczność?

A jest takich sprzeczności więcej, bo nietrudno o nie tam, gdzie panują frazesy. Oto np. na str. 1 czytamy, że kultura romantyzmu jest «religijną, a rozsądza zawsze formuły kościelne», a na str. 9, że «konstrukcje myślowe» naszych myślicieli epoki romantyzmu, «z wyjątkiem jednego może Trentowskiego, stale wieńczyła kopuła kościelna». O badaniu wpływów literackich autor, bardzo lubiący szydzić z krytyki «profesorskiej», mówi ironicznie: «Specjalista, w rodzaju tych, którzy w Szekspirze widzą «ojca złodziei literackich», odkryje w szeregu doktorskich «przyczynków», ile uncyj Maeterlincka jest w *Gościach* Przybyszewskiego» (200); o dziesięć zaś stronic dalej mówi autor, że Przybyszewski «przy całej zależności» (a więc nawet *zależności*!) od Maeterlincka... w tych samych *Gościach*, «osiąga... szczyt grozy» (210). «Źródłem właściwym Sztuki jest pęd bytu kosmiczny, wcielający się w wybrane jednostki. Uwarunkowany życiem historycznym, pęd ten wyraża się w duchu narodowym. Literaturę dyktuje, sztukę tworzy właściwie naród... O te dwie osie, indywidualność i moment dziejowy, opiera się cały rydwan sztuki. Indywidualność jest czynnikiem najważniejszym: geniusz człowieczeństwa, duch narodu, potrzeba czasu wnosi w nią swoje pierwiastki — indywidualność artysty, uskrzydłona, potężniej czując i widząc, niż otoczenie, przemienia je w nowe syntezy i wypowiada, co musi w danej chwili być wypowiedziane, co, w łonie czasu uspięne, w niej

znalazło wyraziciela» (514—5). Konia z rzędem temu, kto z tych słów wyrozumie, co ostatecznie w twórczości «jest czynnikiem najważniejszym», co «właściwie» «literaturę dyktuje, sztukę tworzy» — czy indywidualność twórcy, czy naród.

Niech tych przykładów wystarczy. Trudno, w myśl zasady: *amicus Plato, sed magis amica veritas*, nie możemy z Brücknerem przyznać Feldmanowi «kunsztu charakteryzowania krótkiego a dobitnego», a przede wszystkim «umysłu jasnego». Zgoda na to, że trud jego był naprawdę «znoyny», a serce naprawdę gorące i pełne szlachetnego entuzjazmu, nie mówiąc już o tym, że jego dobrej woli nikt nie miał i nikt nie ma prawa kwestionować: ale umysłu jasnego Feldman nie posiadał, i z tego to źródła wypłynął, jeśli się nie mylimy, tak znamienity dla jego upodobań estetycznych istny kult niejasności, który wycisnął tak silne piętno na jego sądach o niektórych utworach Wyspiańskiego, Micińskiego i kilku jeszcze innych poetów «Młodej Polski». «Nierozumialstwo» (według doskonalej terminologii Irzykowskiego) nigdy nie było dla Feldmana kamieniem obrazy.

I ten właśnie brak jasnego umysłu jest, obok ciasnej tendencyjności, piętą achillesową jego książki o polskiej literaturze współczesnej i odbiera jej tę najwyższą ze wszystkich wartości, jaką tego rodzaju książka zawsze posiadać powinna — wartość *pedagogiczną* (w szerokim znaczeniu tego wyrazu). Ciasna tendencyjność autora zamyka mu niejednokrotnie oczy nie tylko na estetyczne, ale i na społeczne, narodowe wartości literatury, brakiem zaś jasnego umysłu tłumaczy się tak wielka predylekcja do poezji «Młodej Polski», że mu zamyka oczy na różnicę pomiędzy jej ziarnem a jej plewą.

W rozdziale, poświęconym Stanisławowi Brzozowskiemu, czytamy, że «w Polsce, gdzie profesorzy galicyjscy i krytycy warszawscy literaturę przemieniali w bibulę lub pustą frazeologię, obcą najżywotniejszym zagadnieniom europejskim, zamiast czynić ją organem życia, istnieje zawsze niezawodny sposób tworzenia «epoki»: wyjechać za granicę, przywieźć stamtąd *dernier cri*». Trudno, prawdę, czytać te słowa bez uśmiechu; mimowoli bowiem przychodzi na myśl biblijne *Medice, cura te ipsum*: jeżeli kto bowiem spośród krytyków bał się,

jak ognia, posądzenia, że to, co pisze, nie jest *dernier cri*, to przede wszystkim Feldman, i tą właśnie obawą tłumaczy się w znacznej mierze, że się jego sądy o niektórych pisarzach zmieniały z wydania na wydanie (1).

W ogóle w reklamowaniu nowości Feldman nie miał sobie równego. A że nadto miał pisarski temperament bojowy; że się umiał posługiwać szumnymi frazesami, które tak często zasłaniają ludziom, zwłaszcza młodym, brak jasnej i ścisłej myśli; że głosił hasła liberalne, które tak bardzo poplaczają w pewnych epokach, zwłaszcza wśród młodych; że nieraz na wyżyny piękna wynosił «nierozumialstwo», ciesząc się nie tylko u nas powodzeniem i uznaniem — wśród tych, którzy, bojąc się, aby ich posądzono, że są głupcami albo że się nie znają na poezji, udają, że rozumieją to nawet, czego by nawet sam diabeł nie rozumiał, — więc nie dziw, że się *Współczesna literatura polska* doczekała tylu wydań. Czy będzie poczytna i nadal, czas pokaże. Byłoby do życzenia, żeby jak najprędzej poczytność swoją straciła, żeby przestała krzewić w naszym społeczeństwie przestarzałe pojęcia «liberalizmu», nade wszystko zaś żeby przestała tumanić umysły niejasnością myśli i szumem frazesów. Mówi się u nas obecnie dużo o potrzebie «przewartościowania» naszej poezji romantycznej; może ona z całym spokojem czekać na rezultat tej pracy, albowiem jest w niej mnóstwo wartości nieśmiertelnych. Czy i poezja «Młodej Polski» posiada ich dużo, nad tym warto by się poważnie zastanowić; śmiemy twierdzić, że jest ich o wiele mniej, niż ich widział Feldman, nie mówiąc już o tym, że, jak widzieliśmy, są i takie, które odczuć przeszkodziła mu jego tendencyjność. Obyż jak najprędzej znalazł się u nas krytyk, któryby, nie ustępując Feldmanowi pracowitością i temperamentem pisarskim, a przewyższając go bezstronnością, jasnością myśli, zmysłem estetycznym i, oczywiście, poczuciem narodowym, — dokonał «przewartościowania» całej w ogóle naszej literatury po roku 1863! Społeczeństwo, które naprawdę jest przywiązane do swo-

(1) Doskonale uwydatnił tę chwiejność sądów Feldmana (w odniesieniu do poezji Kasprowicza) Zygmunt Wasilewski w części pierwszej swojej książki o Kasprowiczu.

jej literatury, raz po raz, w każdym okresie swego życia umysłowego, powinno podejmować bez obawy rewizję jej walorów.

Jedno jeszcze. Są we *Współczesnej literaturze polskiej* karty gorsze i lepsze. Co ciekawe, że kart lepszych jest znacznie więcej w trzech pierwszych księgach, poświęconych epoce pozytywizmu i realizmu, aniżeli w trzech drugich, poświęconych modernizmowi i literaturze najnowszej: o literaturze epoki pozytywizmu i realizmu nie tylko mówi Feldman znacznie jaśniej, ale i wydaje o niej, przy całej swojej tendencyjności, sądy znacznie sprawiedliwsze, niż o literaturze «Młodej Polski», czyli, mówiąc inaczej, niedoceniając pierwszej nie jest tak wielkie, jak przecenianie drugiej; nawet krzywdą, wyrządzoną Sienkiewiczowi, nie jest tak wielka, jak reklama, zrobiona jednemu przedstawicielowi «Młodej Polski». Najlepszym ze wszystkich rozdziałów trzech drugich ksiąg jest rozdział o Wyspiańskim, co się tłumaczy nie tym, że go autor ze wszystkich poetów najwyżej ceni, ile raczej tym, że wiele skorzystał ze studiów, napisanych przez owych «uczonych» przedstawicieli «krytyki profesorskiej», z których sobie tak często drwi i żartuje; najwięcej zawdzięcza tu autor studiom znakomitego filologa, Tadeusza Sinka.

IV

Całą księgę siódmą w siódmym wydaniu *Współczesnej literatury polskiej* Feldmana, poświęconą «Literaturze odrodzonej Polski», napisał Stanisław Lam. Mamy tutaj krótką charakterystykę najnowszych prądów liryki (formizmu, futurizmu, ekspresjonizmu, «neorealizmu» *Skamandra*), dramatu (pomiedzy innymi inowacyj St. Ign. Witkiewicza) i powieści.

Sposób pisania Lama odbija korzystnie od stylu Feldmana, bo jest wolny od frazesów i niejasności. Na sąd ogólny Lama o naszych «najmłodszych» nie tylko można, ale i trzeba się zgodzić: na nic wielkiego jeszcze się nie zdobyli. A jeżeli słowa Mickiewicza: «Taki wieszcz, jaki słuchacz» są prawdą, to na coś wielkiego długo nam jeszcze czekać przyjdzie, trudno bowiem mieć nadzieję, żeby w społeczeństwie, znużonym i zdemoralizowanym wojną, zrodził się tak prędko, zamiast głodu nowości i sensacji, głód piękna.

Nie dosyć na tym. Słusznie zwraca Lam uwagę na to, że dzisiaj, «kiedy życie nasze otrzymało możność pełnego rozwoju», nowe prądy literackie dochodzą do nas często «nie zawsze prostą drogą», ale... przez Rosję, a to dzięki temu, «że pośrednictwa w sprowadzaniu hasel i form podjęli się głównie nie ci pisarze, w których duszy przewagę stanowić mogą elementy szczerze polskie»; słusznie, ale dlaczego autor nie nazywa tych pośredników po imieniu? dlaczego nie kończy: «tylko Żydzi?» Mówi jeszcze autor, że «polemiki literackie doby obecnej mają tedy zupełnie inny ton, niż znane nam z czasów walki klasyków z romantykami, romantyków z pozytywistami, czy wreszcie z okresu «Młodej Polski». «Zabarwienie polityczne — czytamy dalej — w zwalczaniu literatury nowej jest, kto wie, czy nie silniejsze, niż zajęcie się samą sztuką, zbadać jej walorów i bezstronna ocena». I tutaj autor ma słuszną, tylko znowu wyraził się nadto... wstydliwie, używając wyrazu «polityczny» zamiast «narodowy».

Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że dzisiaj toczy się u nas walka przede wszystkim o polskość naszej literatury, o to, czy będzie ona polską, czy też żydowsko-polską. Nigdy jeszcze najazd Żydów na nasze życie umysłowe w ogóle, a na literaturę w szczególności, nie był tak tłumny i tak zorganizowany. Otóż temu problemowi Lam zbyt mało poświęcił uwagi, pomijając zupełnie milczeniem, że Tuwim, Słonimski i jeszcze inni to przecie poeci nie polscy, tylko żydowsko-polscy, albo raczej żydowscy, posługujący się językiem polskim. Jeżeli historyk literatury XVI wieku ma obowiązek powiedzieć o Stanisławie Orzechowskim, że był *gente Ruthenus, natione Polonus*; jeżeli historycy literatury angielskiej nie tają, że Conrad był *gente Polonus*: to czy historyk literatury polskiej wieku XX nie powinien wyraźnie powiedzieć o niektórych poetach, że są *gente Iudaei*? A *natione*? «Z ręką na sercu — pisze z godną uznania szczerością Słonimski — mogę wyznać, iż nie mam wcale uczuć narodowych! Nie czuję się ani Polakiem, ani Żydem» (1).

(1) Antoni Słonimski: O drażliwości Żydów, w *Wiadomościach Literackich*, r. 1924, nr 35.

Zresztą sądy Lama o poezji Tuwima i Słonimskiego są, na ogół biorąc, słuszne. Warto jednak zaznaczyć, że sąd o Tuwimie znajduje się w pewnej sprzeczności z sądem Feldmana o tym poecie. Warszawa — pisze Feldman — «na chwilę przypomniała sobie, że literatura polska istnieje, gdy pismo studenckie przyniosło w r. 1918 wiersz Tuwima *Wiosna*»; język Tuwima, zdaniem Feldmana, «notuje wszystkie przeguby, przejęcia, odcienie uczuć — z rozmachem bujnym, na miarę piersi potomków wielkiego Farysa» (!!!). W sądach Lama nie ma takich frazesów i superlatywów; sądzi go autor nierównie surowiej i nierównie sprawiedliwiej. Złe by się stało — tak kończy Lam swoją ocenę poezji Tuwima — «gdyby i po latach powtórzyć można było bez zmiany dziś rzucone słowa, że «brak zdecydowanej ideowości — czyni zeń twórcę nie obrażającego niczych uczuć swą bezwzględnością» (czyż naprawdę niczych?), «czyni... bawidelko znudzonego mieszczaństwa, ulubieńca naszej ubogiej duchem, płytkiej i krótkowidzającej inteligencji» (dodajmy od siebie: bardzo ubogiej duchem, bardzo płytkiej i bardzo krótkowidzającej).

Na Słonimskiego jest Lam nieco łaskawszy; zarzuca mu wprawdzie niejedno, ale go sam bierze w obronę: zaznaczywszy, że «filozofem nie jest mimo chęci filozofowania, ani anarchistą mimo słów mocnych, rewolucyjnych», dodaje: «Ale jest młody! więc mu wolno zaglądać w przepaści, napawać się ich urokiem i odbłask tego uroku podawać dalej, choćby on się załamał w jego oczach —; nie uginał się zaś pod ciężarem pracy roznoszenia, więc też wolno mu burzyć bezkarnie wszystko, zwłaszcza jeśli to czyni... poetyckim słowem jedynie». Czy ta obrona jest fortuna, to inna sprawa. A zresztą może to... ironia? — jeżeli tak, to szkoda, że trochę niejasna.

Bardzo jasną natomiast (choć dziwną) jest ta ironia, z jaką się Lam wyraża o nowelach przedwcześnie zmarłego Eugeniusza Małaczewskiego, twórcy dużej miary i o wskroś polskiej duszy, o którym pisał Żeromski, że «bije w tych utworach serce człowiecze i nie ma literatury» (1). Tymczasem Lam pomiędzy innymi pisze, że «epizody wojny bolszewic-

(1) Ob. Ruch Literacki III, 126.

kiej» w tych nowelach «są więcej propagandą niż beletrystyką», że «dziennikarskie wieści o barbarzyństwach, popełnianych przez czerwoną armię, wdzierającą się na ziemie polskie, zostały potraktowane tu jako prawda, do czego fantazja młodego autora dodała sporo nieprawdziwości». «W ten sposób — pisze dalej Lam — otrzymaliśmy utwór, który w felietonie, tuż pod depeszami i relacjami z frontu, mógł czynić pewne wrażenie, w książce jednak raz przejąskrawieniem». A więc coś jakby obrona biednych, pokrzywdzonych bolszewików? O Boże!

Można być pewnym, że Feldman, który swoją szczerą i bezinteresowną chęć przynależności do kultury zachodnio-europejskiej i do polskości stwierdził chrztem, przyjętym na łożu śmierci, nigdyby — przy całym swoim liberalizmie — czego podobnego nie napisał.

V

W roku 1930 ukazało się ósme (i, jak dotychczas, ostatnie) wydanie *Współczesnej literatury polskiej (1863—1918)* Feldmana (1). Jest to, podobnie jak wydanie siódme, przedruk wydania szóstego, także z pominięciem działu krytyki literackiej, a uzupełniony bibliografią. Literaturę najnowszą (1919—1930) opracował Stefan Kołaczkowski w krótkim szkicu (niepełna osiemdziesiąt stronic).

Wywołał on cały szereg ocen, mało dla autora życzliwych, albo i wręcz nieprzychylnych: zarzucono mu «niezdecydowaną ideologię», «hiperbolizację pesymistyczną» wobec dzisiejszej poezji i powieści, niesprawiedliwość sądów, tendencję moralizatorską, «romantyczną pogardę dla szarzyzny małych spraw i małych problemów» itd. Dwa ostatnie zarzuty są po części słuszne i stanowią... wielkie zalety szkicu. Kołaczkowski, chociaż niezmiernie wrażliwy na piękno w jego najróżnorodniejszych postaciach, nie jest jednak — na szczęście — opętany estety: sądzi literaturę t a k że ze stanowiska moralnego i pod tym względem ma ideologię bardzo zdecydowaną; nadto, będąc zwolennikiem hierarchii ważności treści w poezji, nie

(1) Kraków, Spółka Wydawnicza.

da się w swych sądach przekupić walorami «czystej formy»; nadmierna szarżowność treści, a cóż dopiero «ubóstwa wnętrza poetyckiego», bardzo go razi; gniewa go, iż «tę słuszną prawdę, że wszystko może być tworzywem poezji, interpretowano tak, że wszystko, bez twórczego wyboru, można upoetyzować, i kunszt poetyzowania rozreklamowano jako zdobycie współczesności przez poezję»; żywi wstręt zarówno do banalności, jak do efekciarstwa, piętnuje wszelką nieszczerość, szuka w poezji, prócz pięknej formy, tętna nurtujących w społeczeństwie zagadnień, które mu silniej przemawiają do duszy, niż np. przelotne wrażenia poety, łączącego po ulicy.

Nie dosyć na tym. Kołaczkowski, mając odwagę cywilną nie mniejszą od powagi umysłu i od poczucia estetycznego, nie zataja przed czytelnikiem tego, o czym wielu naszych krytyków milczy: mówi otwarcie o tym ogromnym wpływie, jaki na dzisiejszą poezję polską wywierają Żydzi, piszący po polsku; zaznacza spokojnie, ale bez ogródki, co w twórczości tego lub owego poety jest «rdzennie polskiego», a co «obcego psychice polskiej», pisze o «semickiej błyskotliwości», o «nieukozonej nostalgii duszy żydowskiej», o «brutalstwie inwektyw i agresywności natur poniżonych», o «sceptycznej deprecjacji wartości uznanych», o «pacyfizmie i humanitaryzmie, tak znamienym dla *ressentiment* pokrzywdzonego uczucia narodowości»; stwierdza tę jasną jak słońce prawdę, że pisarze semickiego pochodzenia odgrywają «dość dużą rolę» w dzisiejszym «zamięcie ideowym, w szerzeniu mód i snobizmów».

Wobec takich poglądów Kołaczkowskiego nie trudno się domyślić, jakie są jego sądy o dzisiejszej literaturze. Za jedyn e wielkie dzieło lat ostatnich poczytuje *Wiatr od morza* Żeromskiego; jego dramaty *Ponad śnieg* i *Białą rękawiczkę* zalicza «do najgorszych rzeczy, jakie napisał», a i *Przepióreczkę* bynajmniej się nie zachwyca; *Mój świat* Kasprowicza to już tylko ostatnie ogniwo ewolucji wielkiego ducha, a *Marchott* jest wprawdzie «najpotężniejszym zjawiskiem na polu dramatu» ostatniej doby, ale grzeszy rozwlekłością.

A oto próbki sądu Kołaczkowskiego o twórcach *minorum gentium*: «nieprawdopodobny upadek, nieporadność artystyczna i naiwność», «chaotyczne koncepcje», «płytko zewnętrz-

ność efektów i brak smaku», «ultranaturalizm», «jałowość intelektualna», «jednostronność ubogiego talenciku» itd. A takie sądy to nie «hiperbolizacja pesymistyczna», to prawda i sprawiedliwość! Lecz ta sama prawda i ta sama sprawiedliwość każą Kołaczkowskiemu z równą stanowczością uwydatniać dodatnie cechy twórczości czy to Powalskiego, czy Kadena-Bandrowskiego, czy Nalkowskiej, czy Szczuckiej, czy Tuwima, czy Słonimskiego. Z tym wszystkim nie pomylił się Manfred Kridl, kiedy swoją świetną recenzję szkicu Kołaczkowskiego zatytułował: *Legenda Najmłodszej Polski*.

NOWY PRZEKŁAD POLSKI PISMA ŚWIĘTEGO

Potrzebę nowego przekładu *Pisma Świętego* odczuwano u nas już dawno: w roku 1837 arcybiskup gnieźnieński, Marcin Dunin, zwrócił się do arcybiskupa warszawskiego, Stanisława Kostki Choromańskiego, aby w porozumieniu z biskupami Królestwa Polskiego pomyślał o podjęciu pracy zbiorowej nad nowym przekładem *Biblii* «w tej doskonałości i przyjemności, do jakich dziś język polski posunięty został». Skończyło się jednak na niczym. Nie wydało również planu późniejsze o lat dwadzieścia cztery nawoływanie do tej pracy ks. Michała Nowodworskiego, późniejszego biskupa płockiego (1). Na przeszkodzie stanął brak nie dobrej woli, tylko sił fachowych w Polsce.

Wobec tego poprzestano na razie na częściowym odnowieniu starego przekładu Wujka: w roku 1900 wyszedł w Warszawie odnowiony *Nowy Testament*, w r. 1904 także w Warszawie, ukazały się *Lekcje i Ewangelie na wszystkie niedziele i święta według tłumaczenia ks. Jakóba Wujka, językowo i stylowo poprawionego*.

W *Nowym Testamencie* zmiany polegały tylko na tym, że zmodernizowano pisownię, zastąpiono stare formy gramatyczne nowymi, oraz wprowadzono odpowiednie przekształcenia w wyrazach, których dawne znaczenie się zmieniło: więc *czuć* zamieniono na *czuwać*, *dziewka* na *dziewczę*, *obluda* na *złudzenie* itp.; ograniczono się jednak w tych przekształceniach jedynie do tych wyrazów, które można było zastąpić wyrazami o tych samych źródłosłowach; inne natomiast archaizmy (z wyjątkiem dwóch wyrazów, poczytanych za trywialne: *chędożyć* i *obłapiać*) uszanowano, opatrzone je tylko objaśnieniami. Całej tej pracy dokonał ks. Antoni Szlagowski.

(1) Ob. ks. Antoni Szlagowski, Wstęp ogólny do *Pisma Świętego*, Warszawa 1908, str. 258—259.

Zmiany w *Lekcjach i Ewangeliach*, opracowane — z inicjatywy ks. Zygmunta Chelmskiego — także przez ks. Szlagowskiego, rozpatrzone i zatwierdzone przez osobną komisję pod przewodnictwem biskupa Kazimierza Ruskiewicza, a przy udziale prof. Józefa Kallenbacha, sięgnęły znacznie głębiej: przy zamianie archaizmów na wyrazy nowe nie ograniczano się już do tych wyrazów, których źródłosłowy mogły pozostać te same; więc *macloch* zamieniono na *otwór*, *taistrę* na *torbę* itd.; tu i ówdzie przestawiono w tekście Wujka wyrazy dla eufonii, unikając zbiegu dwóch samogłosek (przy czym, mówiąc nawiasem w zamianie *a Achaz* na *Achaz zaś* wpadło się z deszczu pod rynnę). Nie dosyć na tym: liczono się ze zmianą znaczenia takich wyrazów, jak *ratusz*, *królik* itd.; zamieniono je na *urząd*, *księżę* itd. Co więcej, w pewnych razach komisja pozwoliła sobie na poprawianie już nie gramatyki i słownika, ale samego przekładu Wujka (1).

Obydwa te «odnowienia» starego przekładu stanowią ogromną zasługę ks. Szlagowskiego: dzięki jego sumiennej i umiejętnej pracy przedziwna w swojej prostocie piękność i czarująca poezja przekładu Wujka może działać na tych nawet czytelników i słuchaczy *Nowego Testamentu*, którzy starodawnego języka XVI wieku w całej jego ozdobie już nie rozumieją; nie przestając być piękną, starodawną języka stała się zrozumiałą.

Jak wielką zaś rolę odgrywa starodawna mowa w oddziaływaniu na uczucie w ogóle, a w budzeniu uczuć religijnych w szczególności, w wywoływaniu w duszy uroczystego nastroju, to powszechnie wiadomo: wobec jedynej w literaturze całego świata prostoty stylu ewangelicznego potrzebna jest w nim jeszcze dla wywołania silnych wzruszeń religijnych pewna uroczysta tajemniczość, tej zaś nie da się osiągnąć inną drogą, tylko za pomocą archaizmu — jeśli już nie formy gramatycznej, to słownika. Wszelkie inne środki, zmierzające do oczarowania duszy uroczystą tajemniczością, np. sztuczna budowa zdań, chybiają celu.

I tutaj właśnie tkwi największa może trudność n o-

(1) Ob. tamże 260—262.

w y c h przekładów *Pisma Świętego*; albowiem umiejętne posługiwanie się archaizmami należy do najtrudniejszych problemów stylu; sama znajomość dawnego języka tutaj nie wystarcza, — potrzeba jeszcze poczucia piękna i talentu, podobnie jak do nadania stylowi naturalnej prostoty nie wystarcza prosta i jasna myśl, — potrzeba jeszcze prostego i czystego serca, bo sercem tylko można się wczuć w cudowną prostotę dziecięcą stylu ewangelicznego. Kto chce złożyć w darze narodowi swojemu *Pismo Święte* w języku ojczystym, ten powinien być jednocześnie i uczonym, bo inaczej przekład nie będzie wierny, i utalentowanym pisarzem, bo inaczej przekład nie będzie piękny, i człowiekiem prostego serca, bo inaczej przekład nie będzie prosty. Ten ostatni warunek jest ze wszystkich najtrudniejszy, bo do rzadkich wyjątków należą uczeni, którzy mają prawo mówić o sobie:

Szczęśliwi ludzie, co za nauk skarby
Skarbu serca nie oddali.

Do takich uczonych w wieku XVI należał Wujek, — tak: u c z o n y c h, bo, jak na wiek XVI w Polsce, Wujek był uczonym, — i dlatego jego przekład jest jedną z przedziwności języka naszego, dlatego to tak mocno do serca przemawia. Ten nawet, kto z biegiem lat przestał być w kościele, kto już nie słucha i nie czytuje *Pisma Świętego*, do śmierci zapewne będzie pamiętał, z lat dziecięcych, te wzruszenia serdeczne, jakich doświadczał, słysząc w dzień Bożego Narodzenia słowa: «I stało się w one dni, wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystek świat», a w dzień Wielkiejnocy: «Nie lękajcie się! Jezusa szukacie Nazareńskiego, ukrzyżowanego: wstał, nie masz Go tu; oto miejsce, gdzie Go położono».

Pomimo to wszystko o nowy przekład *Pisma Świętego* dawno już wołała u nas zarówno nauka, jak w ogóle kultura duchowa, bo przecie tłumaczenie Wujka przy całej swojej piękności dawno już przestało odpowiadać wymaganiom biblistyki nowoczesnej. To też wielkie uznanie i szczerą wdzięczność należy się od społeczeństwa polskiego ks. Władysławowi Szczepańskiemu T. J., który, nie zrażając się ani znaczą-

nymi trudnościami, ani ogromem pracy, podjął ciężki trud około nowego przekładu *Biblii* i który częściowo już go dokonał: w roku 1917 ukazały się w jego przekładzie *Cztery Ewangelie*, poprzedzone obszernym wstępem krytycznym i opatrzone obfitym aparatem naukowym; w tymże roku wyszło wydanie popularne *Ewangelij i Dziejów Apostolskich*, poprzedzone krótkim wstępem informacyjnym i opatrzone zwięzłym komentarzem (1).

Zasady, którymi się kierował w swoim tłumaczeniu, wyłuszczył ks. Szczepański w przedmowie (do wydania większego): 1) «Przekład jest całkowicie nowy; wszelako, mając na względzie ten fakt niezaprzeczony, że z niektórymi zdaniem *Ewangelii* zbyt się już żyło całe społeczeństwo polskie, bo przeszły one prawie w jego przysłowia, trzeba było tego rodzaju zwroty (bardzo nieliczne) o ile możliwości zachować. Uczyniłem to, ale w mierze bardzo ograniczonej, jedynie tam, gdzie (zdaniem moim) prawdziwa tego zachodziła potrzeba... Zachowany gdzieniegdzie archaizm językowy ma za cel nieco podkreślić więcej uroczyste ustępy Słowa Bożego. Ale i w tym względzie należało przestrzegać ściśle określonej miary. Co do stylu przekładu poszedłem drogą pośrednią. By naśladować prostotę (czasem nawet ubóstwo stylistyczne) opowiadania ewangelicznego, starać się musiałem o język czysty, poprawny, ale prosty, nie goniący za barwnością zwrotów, ni za rozmaitością wyrażen, albo błyskotliwością okresów». — 2) «Nowy przekład jest wierny: zamierzam więc odzwierciedlić nie tylko każde zdanie, ale i każde słowo natchnionego tekstu... Winienem jednak zaznaczyć, że wierny przekład może i powinien wykluczać taką niewolniczość, któraby np. polegała na przestrzeganiu szyku wyrazów pierwowzoru, na takim

(1) Cztery Ewangelie. Wstęp, nowy przekład i komentarz. Wydano z zasiłkiem Akademii Umiejętności w Krakowie, Kasy im. Mianowskiego w Warszawie i J. E. Arcb. E. Dalbora w Poznaniu. Wielka ósemka; część pierwsza, str. 160 (i mapy); część druga, str. XXXII i 611. Kraków 1916 i 1917. Ewangelie i Dziej Apostolskie, ... przekład zatwierdzony i polecony przez Stolicę Apostolską, nakładem wydawnictwa Tow. Jez. Mała ósemka, str. XVI i 742 (i mapki). Kraków 1917.

a nie innym doborze słów, na używaniu zwrotów i form, właściwych jedynie językowi greckiemu, hebrajskiemu lub łacińskiemu...». 3) «Przekład ma być krytycznym, to jest odpowiadającym ile możności poziomowi dzisiejszej krytyki tekstualnej *Ewangelii*».

Czy przekład ks. Szczepańskiego odpowiada tym trzem (naogół biorąc, bardzo słusznym) własnym zasadom tłumacza? Sam tłumacz daje w skromności swojej taką odpowiedź na to pytanie: «Nie luję się bynajmniej, jakoby wszędzie udało mi się zbliżyć do zamierzonego ideału, ale *in magnis et voluisse sat est*». Nie ufając zresztą własnemu zdaniu, a pragnąc, pomimo swej skromności, czytelnikowi swój przekład zalecić, umieścił ks. Szczepański na czele większego wydania kilka «aprobat kościelnych», wśród których bardzo zwinnie przemycił (ani wątpić, że w prostocie ducha) trzy listy prywatne: arcybiskupa warszawskiego, oraz biskupów plockiego i kieleckiego.

Wszystkie bez wyjątku przytoczone przez skromnego tłumacza opinie są dlań niezmiernie pochlebne. Oto kilka wyjątków: «Czasem poczuje się żal, że zniknął niejeden z archaizmów języka Wujkowego; Czcigodny Tłumacz czuł to, gdyż wszędzie stara się uwzględnić stary język Wujka; odstępuje od jego tłumaczenia o tyle, o ile wymagała tego krytyka tekstu, jasność tłumaczenia i dzisiejsze wymogi „(!)” języka». «Zdaje się, że Wujek sam, gdyby żył w czasach obecnych, nie by nie mógł zarzucić temu tłumaczeniu». «Zaznaczasz w Swej przedmowie, Czcigodny Księżu Profesorze, że usiłowałeś, aby przekład Twój był całkowicie nowy, wierny, krytyczny. Z trudnego zadania w zespoleniu tych czynników wywiązałeś się należycie. Niezrównaną prostotę, cichą serdeczność, a zarazem niedoścignioną wzniosłość oryginału umiejętnie odzwierciedlasz w dzisiejszej mowie polskiej...». «Wiernością przekładu i objaśnienia tekstu, potocznością, jednością i wzniosłością ojczystego języka, utrzymaniem poziomu wymagań naukowych biblijnych, zachowaniem powagi Pisma Bożego, odsłaniającej cechę natchnienia, — tłumaczenie to nowe stanie się duchowym skarbem społeczeństwa i najzupeł-

niej zaspokoi potrzeby dusz i serc polskich znowu przez szereg wieków».

Jeżeli ks. Szczepański zamierza i następne wydania swojego przekładu zaopatrywać w pochlebne głosy o nim, to będzie ich mógł przytoczyć znacznie więcej, albowiem wnet po wydaniu *Czterech Ewangelij* ukazało się w czasopiśmie wiele gorących pochwał i górnych zachwytów.

Otóż niechaj wolno będzie — w myśl sentencji Skargi, że «gdy jeden głos górnij idzie, drugi zniż się musi», — wprowadzić do tego zgodnego chóru jeden małeńki dysonans, który będzie prostym oddźwiękiem tych kilku przykrych zgrzytów i fałszywych akordów, jakie, przeglądając przekład ks. Szczepańskiego, zwłaszcza *Ewangelię* św. Mateusza, słyszał od czasu do czasu w swojej duszy pewien miłośnik i wielbiciel starego przekładu Wujka. A nie idzie mu tutaj naturalnie o sprawę ani krytyczności, ani nawet wierności nowego przekładu, w tej mierze mają prawo zabierać głos — bardzo niestety, u nas nieliczni — uczeni specjaliści; idzie tu jedynie o język i styl, o nic więcej.

* * *

Język nowego przekładu jest, naogół biorąc, poprawny. Ale są wyjątki, są, nazywając rzecz po imieniu, błędy językowe, rażące ucho zawsze i wszędzie, a cóż dopiero w przekładzie *Pisma Świętego*. Oto przykłady (1).

O ziarnie, które «padło na ziemię dobrą» — mówi ks. Szczepański, — że «zeszło, wystrzeliło w górę, rozrosło się i wydało plon» (Mar. 4, 8); ależ ziarno, o ile tylko jest zdrowe, nie schodzi z roli, tylko na niej wschodzi, więc nie zeszło, tylko wzeszło: gdyby zeszło, toby nie mogło ani wystrzelić w górę, ani rozrosnąć się, ani wydać plonu.

«Jezus zaś, świadom Sobie mocy cudotwórczej...» (Mar. 5, 30); po polsku mówi się «świadom Swej mocy»; owo «świadom Sobie» jest latynizmem: *sibi conscius* (choć w tekście

1) Gdzie się w nawiasach nie wymienia Ewangelisty, tam jest nim św. Mateusz.

łacińskim czytamy: *Jesus cognoscens in semet ipso virtutem*, co Wujek tłumaczy: «A poznawszy wnet Jezus w sobie moc»).

Latynizmem także jest: «Nie mamy króla, jak tylko cesarza» (Jan 19, 15), — *Non habemus regem, nisi Caesarem*. Wujek ustrzegł się latynizmu: «Nie mamy króla, jedno Cesarza».

Niewolniczym przekładem z łaciny (*et catelli edunt de micis, quae cadunt de mensa dominorum suorum*) tłumaczy się również błąd w użyciu zaimka dzierżawczego: «nawet szczenięta zjadają okruszyny, które padają ze stołu swych panów» (15, 27); — nie padające okruszyny przecie, tylko jedzące szczenięta mają swoich panów. To też Wujek przetłumaczył: «i szczenięta jedzą z odrobin, które padają z stołu panów ich».

Sedete hic, donec orem przekłada ks. Szczepański: «Usiądźcie tutaj, jak długo będę się modlił» (Mar. 14, 32). To nieszczęsne «jak długo» (zamiast «dopóki»), znane wprawdzie już Orzechowskiemu, pojawia się na nowo u Dawida Pilchowskiego (w jego przekładzie Seneki) np.: «Jak długo żyjesz, tak długo trzeba ci się uczyć, jak żyć». Ten nowotwór powstał może pod wpływem łacińskiego *quamdiu — tamdiu*; utrwalił się wszakże dopiero w wieku XIX i XX pod wpływem niemieckiego *wie lange — so lange*, i znamioną jest rzeczą, że się nim posługiwali, jeśli się nie mylimy, wyłącznie pisarze, pochodzący z «Galicji», np. Kaczkowski. Wobec istnienia czystopolskiego *dopóty — dopóki*, albo *dopóty — aż*, ten nowotwór jest zupełnie zbędny i w niektórych uszach budzi nie mniejszy wstręt, jak nieszczęsne *względnie* (zamiast *albo, albo też, czy też*). Dodajmy jeszcze, że Wujek przełożył przytoczone miejsce tak: «Siedźcie tu, aż się pomodłę», — «siedźcie», nie «usiądźcie»; ale bo też wyrażenie «usiądźcie tutaj, jak długo będę się modlił», nie ma sensu: siedzieć można bardzo długo, natomiast siada się zwykle bardzo krótko; przecie i w tekście łacińskim czytamy: *sedete*, a nie *sidite*.

«Kiedy zaś ty się modlisz, wejdź do izdebki swej i, zamknawszy drzwi, módl się w skrytości do Ojca swego» (6, 6). Nie, tak się nie mówi po polsku, o ile się pragnie wierne oddać to, co jest w Ewangelii św. Mateusza: *Tu autem cum*

orabis, intra in cubiculum tuum et clauso ostio tuo ora patrem tuum in abscondito. Zamiast czasu przyszłego w zdaniu czasowym (*orabis*) kładzie ks. Szczepański czas teraźniejszy (*modlisz się*). Otóż, po pierwsze, jest to germanizm (który popelniają bardzo często Wielkopolanie i Ślązacy); a po drugie — to nie ma sensu, a przynajmniej zmienia sens tekstu ewangelicznego, albowiem zdanie: «Kiedy zaś ty się modlisz, wejdź do izdebki», znaczy, że się człowiek, wchodząc do izdebki, już modlił. Wujek przetłumaczył naturalnie: «Ale ty, gdy się modlić będziesz» itd.

Oprócz błędów językowych nie brak w przekładzie ks. Szczepańskiego zaniedbań. «A liczba mężczyzn, którzy się posilili, nie licząc niewiast i dzieci, wynosiła pięć tysięcy» (14, 21); w zdaniu tym słowa: «nie licząc niewiast» są zupełnie zbędne, a raczej nie mają najmniejszego sensu, bo przecie w liczbie mężczyzn mogły być wprawdzie dzieci, ale niewiast w żaden sposób być nie mogło. Tekst łaciński opiewa też inaczej: *Manducantium* (wśród nich były i kobiety!) *autem fuit numerus quinque milia virorum, exceptis mulieribus et parvulis*, — co Wujek tłumaczy: «A tych, którzy jedli, była liczba pięć tysięcy mężów, oprócz niewiast i dzieci».

Albo jeszcze. «Z królestwem niebieskim ma się podobnie, jak z kwasem chlebowym, który wzięła niewiasta, i zaczęła w trzech miarach mąki, aż się wszystko zakwasilo» (13, 33). Co się zakwasilo? wszystko? tj. i kwas, i trzy miary, i mąka? Tłumacz miał tu zapewne na myśli ciasto, o którym mówi w przypisku do tego tekstu: ale w samym tekście ciasta nie ma (1). Wujek, trzymający się wiernie tekstu łacińskiego, nie dopuszcza do żadnego nieporozumienia: «Podobne jest królestwo niebieskie kwasowi, który wzięwszy niewiastę, zakryła we trzy miary mąki, aż się wszystko skwaśniało». (*Simile est regnum caelorum fermento, quod acceptum mulier abscondit in farinae satis tribus, donec fermentatum est totum*).

Do zaniedbań także wolno zaliczyć niezbyt zgrabne wyra-

(1) Zresztą możliwą jest rzeczą, że owo «wszystko» tłumaczy się niewolniczym przekładem z greckiego (holon).

żenie w zdaniu: «Gdy zaś zboże podrosło i ziarnem się obsypało, wówczas ukazał się i kąkol» (13, 26). Obsypać mogą się drzewa — owocami, łąki — kwiatami (albowiem obsypać się znaczy: mieć czegoś dużo na sobie, z wierzechu); zboże obsypuje się także, ale kłosami, które widać; wprawdzie i ziarna, wystające z kłosów, widać, ale dopiero później, kiedy kąkole już się nie ukazują, ale, przeciwnie, kiedy nikną, przekwitają.

Czasami zaniedbania w nowym przekładzie pociągają za sobą niejasność. Pisze np. ks. Szczepański, że Jezus, «opuszczając miasto Nazaret, poszedł i osiadł w nadmorskim Kafarnaum» (4, 13); możnaby więc mniemać, że oprócz Kafarnaum nadmorskiego było jeszcze jakieś inne, nie nadmorskie. W przekładzie Wujka żadnej w tym względzie niejasności nie ma: «I opuszczając miasto Nazaret, przyszedł i mieszkał w Kafarnaum, nad morzem».

Niechże wystarczy tych kilka przykładów niepoprawności językowych i zaniedbań. Czy nie ma ich więcej? Prawdopodobnie jest, bo jak sądzić wolno, nie są one bynajmniej przypadkowe; ale ręczyć za to mógłby ostatecznie ten tylko, kto przekład ks. Szczepańskiego przeczytał z uwagą od deski do deski.

* * *

A teraz — czy język przekładu ma w sobie to, bez czego *Ewangelie* nigdyby dusz ludzkich takim czarem i urokiem nie napelniały, — czy ma w sobie poezję? czy choć w przybliżeniu oddaje niedoścignioną, czarującą prostotę stylu biblijnego? czy jest dosyć uroczysty na to, aby spotęgować jeszcze te wzruszenia religijne, które sama już treść może wywołać w duszy czytelnika albo słuchacza? Czy, krótko mówiąc, przekład ks. Szczepańskiego pod względem zespolenia poezji z prostotą dorównywa przekładowi Wujka?

Nie, nie i, jeszcze raz, nie.

Co więcej: nie tylko mu nie dorównywa, ale go na każdym niemal kroku obniża i psuje, i to najczęściej bez żadnego słusznego powodu. Przytoczony sąd, że od starego języka Wujka tłumacz odbiega tam tylko, gdzie tego wymagały krytyka

tekstu, jasność i dzisiejsze wymaganie języka, to chyba żart. A już naprawdę na krwawą ironię zakrawa frazes, że «Wujek sam, gdyby żył w czasach obecnych, nichy nie mógł zarzucić temu tłumaczeniu». Z równą słusnością można by twierdzić, że Kochanowski, gdyby żył za Stanisława Augusta, uściskałby Karpińskiego przez wdzięczność, że jego *Psalterz Dawidów* przerobił na swoje *Psalmy Dawida*! Możeby go zresztą i uściśkał, ale poto, żeby go... udusić — za estetyczno-religijne świętokradztwo, jakiego się na jego arcydziele śpiewak Justyny dopuścił. Bo czy nie jest świętokradztwem wiersze:

Dzienni po niebie wiezie, nocli swoje konie,
On ustawicznie w Pańskim rozmyśla zakonie, —

zamieniać na wiersze:

Czy świeci słońce, czy noc nastanie,
Pańskie rozmyśla nakazy!?

Czy nie jest świętokradztwem wiersze:

Tobie, Panie, wszytek świat niechaj chwałę daje:
Twoje dary są płodnej ziemi urodzaje;
Racze nam błogosławić, Boże nasz, do końca,
Ciebie niechaj się boi wschód i zachód słońca, —

parodiować w ten sposób:

Miej od nas wszystkich chwałę Twoją:
Ziemia daje rodzaj wszelki;
Błogosław nas, Boże wielki,
Ziemi Cię się końce boją!?

Czasem wpada Karpiński w mimowolny humor, kiedy np. wiersze Kochanowskiego:

Jeszcze ja nie wypuścił słowa z ust swoich,
A to, Panie, już dawno brzmi w uszu twoich,

przerabia na wiersze:

Ty wszystkie drogi moje przewidziałeś
I, gdym miał mówić, język mi ruszałeś.

Otóż uczony ks. Szczepański w swojej trosce o dokładność naukową i nowość przekładu poczynił sobie z Wujkiem,

nie zawsze, na szczęście, ale bardzo często, w sposób, podobny do tego, w jaki zrozumieli Karpiński w swojej trosce o gładkość poetycką i nowość przekładu poczynił sobie z Kochanowskim.

Sam ks. Szczepański, jak widzieliśmy, zdawał sobie sprawę, że niektóre zwroty Wujka, te mianowicie, z którymi się żyło całe społeczeństwo polskie, należy w nowym przekładzie zachować nietknięte: szkoda, że uczynił to «w mierze bardzo ograniczonej», ludząc się, że te zwroty są «bardzo nie liczne»!

Nie ma chyba u nas człowieka, wychowanego w kulturze chrześcijańskiej, któryby nie pamiętał i często nie powtarzał sobie zwrotu: «Dosićci ma dzień na swej nędzy». Co z tego zrobił ks. Szczepański? «Dość ma dzień każdy swojej własnej biedy» (6, 34)!! Ani tekst grecki, ani łaciński, ani wzgląd na jasność, do takiej zmiany nie upoważniał tłumacza, nie rozumiejącego najwyraźniej tej prawdy, którą mądrość staropolska ujęła w jędrne i mocne słowa: «Co raz przywarło do serca, trudno odskrobać». Prawda, inne przysłowie mówi: «Co się raz z serca wyrzuci, tego nie mieć — nie zasmuci»: ale poco i naco zmuszać człowieka, żeby wyrzucał z serca to, co od dziecka ukochał?

A przykład to nie jedyny. «Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę»: tak tłumaczy Wujek (11, 28), i te jego słowa chyba każdy umie na pamięć. Ks. Szczepański całkiem niepotrzebnie zmienia «jesteście obciążeni» na «obciążeni jesteście», a «Ja was ochłodzę» na «Ja was pokrzepię», — pomimo, że ani greckie *anapauso*, ani łacińskie *reficiam* nie znaczą dosłownie *pokrzepię*. Dodajmy, że i Skarga, który czterokrotnie to miejsce w pismach swych przytacza, czterokrotnie tłumaczy: «ochłodzę» (1).

Inny przykład. «Zaprawdę powiadam wam, — tłumaczy Wujek — nie zostanie tu kamień na kamieniu, któryby nie był zepsowany» (24, 2). Podobnie Skarga: «Kamień na ka-

(1) Ks. St. Okoniewski, Pismo Święte w dziełach P. Skargi (Poznań, 1912), str. 480.

mieniu nie zostanie» (1). Wyrażenie to poszło w przysłowie, więc poco i naco zmienił je ks. Szczepański? «Nie o s t o i s i ę tu kamień na kamieniu», — potrzebne to, jak piąte koło u wozu, tym więcej, że do tej zmiany znowu nie upoważniał tłumacza tekst ani grecki, ani łaciński. Nie upoważniały go również teksty starożytne do zmieniania «bram piekielnych», które Kościół nie zwycięża (16, 18), na «moce piekielne». Czyżby ks. Szczepański nie rozumiał, że wyrażenie «bramy», i jako przenośnia i jako *concretum*, jest bardziej obrazowe, aniżeli *abstractum* «moce»?

Otóż to właśnie, że, czego jak czego, ale obrazowości stylu ewangelicznego nie wyczuwa jakoś ks. Szczepański. Dowodem jest np. jego stała metoda zastępowania rzeczowników jednostkowych zbiorowymi. — «Gdy Go tedy ujrzeni najwyżsi kapłani i służebnicy, zawołali mówiąc...» (Jan 19, 6). Służebników Wujka ks. Szczepański zamienia na służbę. W przekładzie Wujka Pan Jezus mówi: «Zaniechajcie dzieł, a nie zabraniajcie im przychodzić do Mnie» (19, 14); i mówi jeszcze Pan Jezus: «Jeruzalem, Jeruzalem!... Ile-kroć chciałem zgromadzić syny twoje, jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, a nie chciało» (23, 37). Ks. Szczepański woli od dzieł i synów — *działwę*, a przy sposobności kurczęta zamienia — nie wiedzieć poco i naco — na *pisklęta*. I jakżeby inaczej? przecie «pisklę» ma znaczenie ogólniejsze, niż «kurczę»!! Naprawdę, że to świadome, czy nieświadome, a tak właściwie chłodnym intelektualistom dążenie do abstrakcyjności, do ogólnikowości, do bezbarwności stylu żywo przypomina pseudoklasyków, którzy tak się bali obrazowości, jak diabeł święconej wody. Dobrze przynajmniej, że od piskląt nie odpędził ks. Szczepański kokoszy, aby zrobić miejsce dla kury!

I jeszcze. «Wejrzyjcie na ptaki niebieskie — czytamy u Wujka — iż nie sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je» (6, 26). Ks. Szczepański tłumaczy: «Przypatrzcie się ptakom w powietrzu; wszakżeż one nie sieją, ani żną, ani nie zbierają

(1) Tamże, 495.

do śpichlerzy, a Ojciec wasz niebieski żywi je! Przede wszystkim — dlaczego «przypatrzcie się», a nie «wejrzyjcie»? Przecie w tekście greckim jest: *emblemsate*, a w łacińskim — *respicite*, tj. «wejrzyjcie». Ale mniejsza o to. Stokroć niefortunniejszym wyrażeniem są owe «ptaki w powietrzu» zamiast «ptaków niebieskich»; gdzie jak gdzie, ale w powietrzu nie mogłyby ptaki, choćby nawet chciały, ani siać, ani żąć, ani zbierać do śpichlerzy, bo te wszystkie czynności odbywają się raczej na ziemi niż w powietrzu. Gdybyż jeszcze tej zmiany wymagały teksty starożytne! — tymczasem wyraźnie czytamy: *petejna tu uranu, volatilia caeli*. Całe szczęście jeszcze, że z Ojca niebieskiego nie zrobił ks. Szczepański Ojca powietrznego! (Oszczędził nam także, sprawiedliwość każe wyznać, królestwa powietrznego).

Innym razem zamienił tłumacz ptaki niebieskie na ptactwo powietrzne: «Lisy mają nory, a ptactwo powietrzne gniazda, Syn zaś człowieczy nie ma gdzie głowy położyć» (8, 20). Warto porównać ten przekład z przekładem Wujka: «Liszki mają jamy, i ptacy niebiescy gniazda, a Syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił». Że liszki zamienił ks. Szczepański na liśy, postąpił słusznie; jamy śmiało mogły zostać, a ptacy niebiescy zostać byli powinni. Ale nie o to nam idzie tym razem. Każdy, czyje ucho jest choć jako tako wrażliwe na formę dźwiękową prozy, wyczuwa w starym przekładzie żywy rytm: «Syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił», — w tym rytmie (którego, mówiąc nawiasem, nie jest ten ustęp pozbawiony ani w oryginale greckim, ani w przekładzie łacińskim) drga wyraźnie ból i żal Jezusa Chrystusa; w nowym przekładzie niczyje chyba ucho żadnego rytmu się nie dosłucha.

Już to w ogóle subtelnym zmysłem estetycznym nie obdarzyły ks. Szczepańskiego nieba. Pełno w jego przekładzie wyrażań niezgrabnych i ciężkich, którychby łatwo uniknął, gdyby nie jego pasja do modernizowania Wujka, gdyby nie jego żądza dokonania przekładu nowego. Oto kilka przykładów.

Wujek tłumaczy: «Wy jesteście sól ziemi. A jeśli sól zwietrzeje, czym solona będzie? Ninacz się więcej nie zgodzi, jedno aby była precz wyrzucona i podeptana od ludzi» (5, 13).

A ks. Szczepański: «Wy jesteście solą ziemi. Lecz gdyby sól zwietrzała, czymże ją nasolić? Na nic już się nie zda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi». Te rzeczowniki słowne: «wyrzucenie» i «podeptanie przez ludzi» — są ciężkie i nie zawierają w sobie ani połowy tej siły, co słowa Wujka: «aby była precz wyrzucona i podeptana przez ludzi». Do rzeczowników słownych ma w ogóle ks. Szczepański widoczną słabość, skoro zmienia także «Ten jest Syn mój miły, w którymem sobie dobrze u p o d o b a ł» (17, 5) na «Ten jest Syn mój miły, w którym mam u p o d o b a n i e». Zamiast «w n e t z e o d j e c h a ł» pisze ks. Szczepański «o d j e c h a ł b e z z w ł o c z n i e» (25, 15); zamiast «wstańcie, p ó j d ź m y» — «wstańcie, c h o d ź m y» (26, 46), nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że «wnet» ma w sobie więcej siły aniżeli «bezzwłocznie», a «pójdźmy» aniżeli «chodźmy». Dalej. Wujek tłumaczy: «I wiele była ucierpiała (niewiasta) od wielu lekarzów, a wszystko swe wydała była, a nic jej nie pomogło» (Mar. 5, 26); ks. Szczepański zamiast «wszystko swe» (*omnia sua*) pisze: «cały swój majątek», a zamiast «nic jej nie pomogło» (*nec quicquam profecerat*) — «bez żadnego skutku». «Łaknął» (4, 2) zmienia na «uczul głód», «pragnąłem» (25, 35) na «uczulem pragnienie»; nie powie: «Jezus... u s z e d ł do Galilei» (4, 12), tylko: «Jezus... usunął się do Galilei»; nie podoba mu się prorok «beze czci» (13, 57), woli proroka «bez poszanowania»; tkwiący każdemu w pamięci początek Ewangelii na Boże Narodzenie: «I stało się w one dni, wyszedł dekret od Cesarza Augusta, aby popisano wszystkich świat» (Łuk. 2, 1), zmienia tak: «Zdarzyło się zaś w owym czasie, że Cezar August wydał dekret, aby spisano ludność we wszystkich ziemiach». Po kiego licha te wszystkie zmiany? Czyżby ks. Szczepański był wyznawcą zasady, że «co nowe, to zdrowe», i że «nowsze zawsze lepsze»?

Takby się zdawało, skoro w walce, jaką wypowiedział archaizmom, nie umiał czy nie chciał — wbrew własnej zapowiedzi — «przestrzegać ściśle określonej miary», pozbawiając niejednokrotnie tekst *Pisma Świętego* tej piękności, którą w przekładzie Wujka wyczuwa i kocha każdy, kto posiada taki taki zmysł estetyczny. Ks. Szlagowski, obdarzony tym zmysłem w dużej mierze, odczuwa bardzo subtelnie piękność

archaizmów, to też w ich usuwaniu jest bardzo ostrożny, bardzo oszczędny, tymczasem ks. Szczepański, zmysłu estetycznego pozbawiony prawie doszczętnie, piękności archaizmów nie odczuwa, to też usuwa je z takim rozmachem, że się aż przypomina przysłowie ludowe: «Bij, kiej mos kij».

«Ale ty gdy się modlić będziesz, wnidź do komory swojej, a zawarłszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości» (6, 6), czytamy u Wujka. Ks. Szczepański zamienia «wnidź» na «wejdź», «komorę» na «izdebkę», «zawarłszy» na «zamknąwszy», «módl się Ojcu» na «módl się do Ojca», — i dzięki tym wszystkim zmianom, potrzebnym jak pies w kościele, zaciera całą uroczystość, całą podniosłość przytoczonych słów. Nie dosyć na tym: kto pamięta «komorę» Wujka, tego na widok «izdebki» ks. Szczepańskiego ogarnia... śmiech.

A mówiąc nawiasem, nie jedyny to przykład mimowolnego humoru, w który wpada ks. Szczepański i który spokrewnia go, jako tłumacza *Ewangelii*, z Karpińskim, jako tłumaczem *Psałmów Dawida*. «Czy zrozumieliście to wszystko?» — pyta Jezus uczniów; uczniowie odpowiadają: «Owszem» (13, 51). Że też ks. Szczepański nie czuje, że to «owszem» w ustach uczniów, odpowiadających Panu Jezusowi, jest wręcz śmieszne! U Wujka uczniowie odpowiadają nie humorystycznie, tylko poważnie: «Tak». Prawda, że i Wujek posługuje się wyrazem «owszem», wkłada go nawet w usta Chrystusa: «A widząc przedniejszą kapłani i doktorowie dziwy, które czynił, i dzieci, wołające w kościele mówiące: Hosanna Synowi Dawidowemu! rozgniewali się. I rzekli Mu: Słyszysz, co ci mówią? A Jezus rzekł im: I owszem» (21, 16). Otóż tutaj to «i owszem» w nikim z pewnością uczucia humoru nie wzbudzi; tutaj to «i owszem» wywołuje w czytelniku wrażenie, że Jezus na pytanie kapłanów, którzy Go nim zgubić chcieli, odpowiedział z pełnym godności spokojem, a nawet z pewną ironią, znamionującą Jego wyższość duchową nad nędznikami, czyhającymi na Jego zgubę.

Uczucia już nie humoru, tylko niesmaku, a nawet pewnej odrazy, doświadcza człowiek, kiedy czyta, że «niewiasta, która od lat dwudziestu cierpiała na krwiotok, przystąpiła

z tyłu i dotknęła się strzępców Jego płaszcza» 9, 20). Te strzępce (które, jak objaśnia uczony autor, Żydzi nosili na czterech rogach zwierzechnego płaszcza w celu uprzytomnienia sobie przykazań bożych) są przekładem greckiego *kraspedon*, łacińskiego *fimbria*. Wujek tłumaczy: «dotknęła się kraju szaty jego». Ks. Szczepański miał niewątpliwie prawo poczytywać to tłumaczenie za niedokładne — ze stanowiska archeologii żydowskiej; zapomniał jednak, a raczej zapewne nie wiedział o tym, że wyraz «strzępiec» jest wprawdzie w języku polskim, ale oznacza nie jakiś wisiorek u żydowskiego płaszcza, tylko roślinę z rodziny ukęśłowatych, zwaną inaczej «utruda» (*tetracera*). Ale mniejsza o to; ważniejszą jest rzeczą, że owe strzępce kojarzą się mimowolnie ze strzepami, z lachmanami, z lachami, w których nie wyobrażamy sobie przecie Pana Jezusa.

Ale wróćmy do archaizmów. Oto kilka próbek ich usuwania. «A gdy się z Niego naigrali, zwlekli Go z purpury i oblekli Go w szaty Jego i wywiedli Go, aby Go ukrzyżowali» (Mar. 15, 20). Ten przekład Wujka jest przecie do dziś dnia powszechnie zrozumiały, a do tego zupełnie dokładny; przeciwstawienie: «zwlekli» — «oblekli» doskonale odpowiada przeciwstawieniu: *exedysan* — *enedysan*, *exuerunt* — *induerunt*. W przekładzie ks. Szczepańskiego to przeciwstawienie (i wogóle całe piękno Wujka) przepadło bez śladu: «A kiedy Go wyszydzili, zdjęli z Niego purpurę i ubrali Go w Jego własne szaty i wyprowadzają Go, aby Go ukrzyżować».

Inny przykład: «Wziął Go zaś diabeł na górę wysoką bardzo i ukazał Mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich» (4, 8). Tak tłumaczy Wujek. Ks. Szczepański zwietrzył w czasowniku «ukazał» archaizm: zapewne, dzisiaj powiedzielibyśmy «pokazał»: ale czyż «ukazał» jest niezrozumiałe i czy nie jest wiernym przekładem greckiego *deiknysin*, a łacińskiego *ostendit*? Ks. Szczepański jednak w swoim ferworze oryginalności kropnął: «Szatan... przedstawia Mu wszystkie królestwa świata», co w niejednym czytelniku wywołać może wrażenie sztucznie uroczystej, a nawet wręcz komicznej teatralności.

Oblicze Chrystusa na górze Tabor «rozjaśniało, jako słońce»; tak tłumaczy Wujek *resplenduit*. Skarga przekłada: «I tam Pańska się twarz oświeciła, jako słońce». W przekładzie ks. Szczepańskiego oblicze Chrystusa «zajaśniało»: tłumacz wyraźnie nie odczuwa, o ile rozjaśnienie zawiera w sobie więcej siły od zajaśnienia.

Słowa Anioła, wyrzeczone do pasterzy: *Evangelizo vobis gaudium magnum* (Łuk. 2, 10) Wujek i Skarga tłumaczą: «Opowiadam wam wesele wielkie»; ks. Szczepański woli od wesela radość. Woli także «jakąś służącą» od «niektórej służebnicy» (Łuk. 22, 56), «rzucać kamienie» od «cisnąć kamienie» (Jan 8, 59), «istotnie» od «zaisteć» (Mat. 27, 54), «wzrok mu przywrócił» od «otworzył oczy jego» (Jan 9, 14), «ubranie» od «sukni» (Łuk. 9, 3), «znaleźć gospodę» od «stać gospodami» (Łuk. 9, 12), «wotywne dary» (żebyż przynajmniej ślubione!) od «upominków» (Łuk. 21, 5), «zarazy» od «morów» (Łuk. 21, 11), «pozwólcie tym odejść» od «dopuszczenie tym odejść» (Jan 18, 8), «cofnęli się wstecz» (czy można cofać się naprzód?) od «poszli nazad» (Jan 18, 6) itd. itd. Naprawdę, że trzeba mieć jednak, prócz dobrej woli i ugruntowanych zasad, niebylejakiego talent, żeby tak psuć piękno, tak mącić podniosłość, tak obniżać uroczystość stylu *Pisma Świętego*!

Mówiąc nawiasem, raz postanowił uczony tłumacz XX wieku prześcignąć uroczystością natchnionego tłumacza wieku XVI.

«A Jezus, wezwawszy dziecięcia, postawił je w pośrodku ich. I rzekł: ...Ktokolwiek się tedy uniży, jako to dzieciątko, ten jest większy w królestwie niebieskiem» (Mat. 18, 2—4). Ks. Szczepańskiemu «dziecię» i «dzieciątko» wydały się za mało poetycznymi, więc — *risum teneatis, amici?* — wołał pacholę, nie mając widocznie pojęcia, że pacholę a małe dziecko (*pajdion, parvulus*) to nie jedno i to samo.

Dodajmy jedno jeszcze. Oto ks. Szczepański zupełnie nie rozumie, że każda zmiana w budowie zdania pociąga za sobą odmienne wrażenie estetyczne: ze stanowiska logiki to samo, ze stanowiska estetyki — co innego! «Albo któryż z was

jest człowiek, którego jeśliby prosił syn jego o chleb, izali mu poda kamień?» (Mat. 7, 9). Tak tłumaczy Wujek dosłownie tekst łaciński, nie zmieniając budowy zdania; oryginał grecki posiada budowę tę samą: najprzód chleb, potem dopiero kamień, i bardzo naturalnie, bo przecie prośbie o chleb przeciwstawia się tutaj podanie kamienia, nie zaś podaniu kamienia — prośbę o chleb. Tymczasem ks. Szczepański nie rozumie tej subtelności i zmienia dowolnie budowę zdania: «Czyż jest kto między wami, co by dał synowi kamień, gdyby kto prosił o chleb?»

A przykład to wcale nie odosobniony. Słowa Chrystusa: *Calicem, quem dedit mihi pater, non bibam illum?* (Jan 18, 11) — Wujek tłumaczy dosłownie: «Kielicha, który mi dał Ojciec, pić go nie będę?» Ks. Szczepański, nie odczuwając siły tej inwersji, przekłada, jak biedny żak, któremu, zanim zaczął tłumaczyć Cezara, pan profesor kazał «zrobić konstrukcję»: «Czyż nie mam wypić kielicha, który Mi dał Ojciec?»

Podobnież ustęp: «A ponieważ było zimno, czeladź i służba stała przy ognisku» (Jan 18, 18), — trąci wyraźnie ławką szkolną. Wujek naturalnie i tutaj nie zmienił budowy zdania: «I stała czeladź i służebnicy u węgla, bo zimno było».

* * *

«Ojczyźnie na ręce Jej Prymasa» dedykował ks. Szczepański swój przekład *Ewangelii*. Już ta dedykacja świadczy, że szanowny tłumacz zdawał sobie dobrze sprawę, czym jest przekład *Pisma Świętego* dla kraju, dla jego kultury. Mimo-woli przypomina się Seklucjan, kiedy w przedmowie do *Nowego Testamentu*, dedykując go Zygmuntowi Augustowi, pisał, że przekład *Pisma Świętego* ma dla kraju większe znaczenie, aniżeli zdobycie całych prowincji. Miał słuszość. Tak było dawniej, tak będzie później i tak jest dzisiaj, — dzisiaj, kiedy Polska, odrodziwszy się po względem politycznym, odzyskawszy niepodległość, musi się dźwigać z tego strasznego bagna zepsucia, w którym ugrzęzła pospół z całym znikczemniałym światem. Co ją dźwignie, jeśli nie nauka Chrystusa?

Tak, ale na to, żeby jakakolwiek nauka dźwignęła człowieka z upadku moralnego, aby go zniewoliła do czynu, musi

mu trafić nie tylko do głowy, ale przede wszystkim do serca. Tymczasem nauka Chrystusa — w tej postaci, jaką jej dał ks. Szczepański w swoim «całkowitym nowym», «wiernym» i «krytycznym» przekładzie, — do serca nie trafi... z wyjątkiem tych miejsc, oczywiście, gdzie się tłumacz nie silił na całkowitą nowość, gdzie zaufał Wujkowi. Gdzie się na nowość silił (a silił się zwykle), tam przekład jest nie tylko suchy, pozbawiony wszelkiej poezji, ale wręcz pospolity, banalny, czasem rozpaczliwie banalny; myśl nauki Chrystusa oddaje wiernie, ale bicia jej serca w nim nie słyhać: Chrystus tam uczy, ale nie pociąga słodko, nie wzywa miłości. I trudno byłoby naprawdę zrozumieć te wszystkie zachwyty, jakimi okadzono ten nowy przekład, gdyby się nie wiedziało, na jak niskim poziomie — nie tylko fachowym, ale i moralnym — stoi nasza krytyka literacka i naukowa, gdyby się zapomniało, ile to pochwał i komplementów piszą nasi krytycy przez grzeczność, zwłaszcza jeśli autor umie o nie zabiegać. Przykro, wstyd pomyśleć!

Powiedziano o przekładzie ks. Szczepańskiego, że się stanie duchowym skarbem społeczeństwa i że najzupełniej zaspokoi potrzeby dusz i serc polskich znowu przez szereg wieków. Nieprawda! Nie przecząc (a przynajmniej nie mając prawa zaprzeczyć), że jego przekład, jako krytyczny, wzbogaca naszą naukę, a więc naszą kulturę umysłową, przeczy my stanowczo, żeby wzbogacał bezpośrednio naszą kulturę religijno-moralną, przeczy my, żeby się ks. Szczepański, jako tłumacz *Pisma Świętego* mógł stać dla nowych wieków tym, czym Wujek był dla wieków dawnych, czym — dzięki ks. Szlagowskiemu — jest dzisiaj i czym zapewne długo, długo jeszcze, będzie. Dusz i serc polskich przekład ks. Szczepańskiego nie zaspokoi, bo do serca to tylko trafia, co z serca wyszło, a nowy przekład wyszedł z głowy. Skarbem duchowym społeczeństwa nie będzie, bo, jak uczy *Pismo Święte*, skarb człowieka jest tam, gdzie jego serce, a nie tam, gdzie jego głowa; a stare przysłowie mówi: «Gdzie serce nie chce, rozum nie pomoże».

Szkoda, wielka szkoda, że z czytania lekcji ewangelicznych przed kazaniem zaczęto już usuwać przekład Wujka

i zalecać tłumaczenie ks. Szczepańskiego. Po co się było tak spieszyć? «Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy», mówi mądrość ludowa. Na szczęście pospieszono się tak nie w całej Polsce, tylko w niektórych diecezjach. Niektórzy biskupi — należy do nich, o ile wiemy, oprócz biskupa sandomierskiego, księżę metropolita krakowski — na wprowadzenie nowego przekładu nie pozwolili. Cześć im za to, że stoją «na straży narodowego pamiątek Kościoła!»

PRAWDA I KŁAMSTWO O MAKRYNIE MIECZYSŁAWSKIEJ

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze,
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię,
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dzieciątek hałasem,
W czepku, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże, pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mnie z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...

Nie tylko Słowacki widział wielkie, boże, złote męczeństwo na twarzy Makryny Mieczysławskiej; widzieli je wszyscy emigranci polscy, którzy się z nią zetknęli, a i ci, co jej nigdy nie oglądali, wierzyli, że jest męczenniczką za wiarę, ofiarą okrucieństwa caratu i prawosławia, że sam Pan Bóg ją przysłał do Francji, aby dała świadectwo prawdzie, aby własnym męczeństwem poświadczyła przed światem prześladowanie polskości i katolicyzmu w Rosji.

A i cudzoziemcy uwierzyli w nią, jako w świętą męczenniczkę. Kiedy w r. 1845 ks. Jelowicki wioził ją z Paryża do Rzymu, w Lyonie czekał już na nich powóz miejscowego arcybiskupa; do domu Sacré-Coeur zbiegli się duchowni i świeccy: «Nie podobna — pisał Jelowicki — wyrazić wzruszenia i wrażenia na wszystkich;... zewsząd sypią się jałmużny na rzecz męczenniczki naszej». U karmelitanek lyońskich na kawalki rozerwano jej welon — na relikwie. Z większą jeszcze wiarą w świętość Mieczysławskiej powitano ją w Marsylii: i tutaj lud chciał mieć relikwie, tak że «nie łatwo było ks. Jelowickiemu zachować Matce habit cały w przeprowadzeniu jej do statku».

A w Rzymie? 5 listopada przyjął Mieczysławską — wraz z ks. Jelowickim i przełożoną Sacré-Coeur — papież Grzegorz XVI, który, wysłuchawszy jej opowieści (w przekładzie Jelowickiego), zawołał wzruszony: «Siedem lat, siedem lat, i tyle wycierpiał, a ja nic nie wiedziałem». Później kazał papież Jelowickiemu spisać zeznania Mieczysławskiej. Składała je przez cały miesiąc, w obecności trzech notariuszy, a oni wiernie je spisali, nadając im tylko nieco inny styl i porządkując następstwo chronologiczne szczegółów męczeństwa. Niebawem przełożono te zeznania na język francuski, włoski, angielski, i oto sława świętej męczennicy polskiej rozeszła się po całym świecie.

Doszło do tego, że biskupi francuscy zaczęli ogłaszać listy pasterskie o męczeństwie matki Makryny.

Protesty i zaprzeczenia rosyjskie nic nie wskórały: nie uwierzono im. Sława Mieczysławskiej rosła, zwłaszcza od jesieni roku 1846, kiedy to do Rzymu przybył z Afryki pewien misjonarz francuski, który już dawno utracił był głos i pomimo zabiegów lekarskich nie mógł go odzyskać: otóż, zaznajomiwszy się z matką Makryną, odprawił wraz z nią nowennę przed ołtarzem Matki Najświętszej, *al fresco* na korytarzu klasztoru Sacré-Coeur malowanym, później odzyskał głos zupełnie. Odtąd obraz ten czczono, jako cudowny; korytarz pozwolił Pius IX zamienić na kaplicę, «uzyskano dla niej odpusty, a liczba osób, uciekających się w różnych potrzebach do pośrednictwa modlitw Ksieni, znacznie się powiększyła».

Dnia 20 października roku 1846 odwiedził Mieczysławską, w klasztorze na Trinità dei Monti, Pius IX, posadził ją obok siebie, «laskawie z nią rozmawiał, zanosząc dzięki Bogu, że w osobie wątłych niewiast wybrał narzędzie dla upokorzenia mocy wrogów Kościoła». Tam także, w klasztorze na Trinità dei Monti, odwiedzał ją, w roku 1848, Mickiewicz.

Niebawem otrzymała Mieczysławska własny klasztor w Rzymie. Teraz dopiero okazało się, że ludzie zanadto jej wierzyli: «Okazała się niezdolną do kierowania klasztorem i zakonnicami». Po upływie dwóch lat rozczarowano się do niej zupełnie; usuwali się od niej coraz bardziej zmartwychwstańcy, co więcej, zaczęto podawać w wątpliwość prawdę

jej zeznań. Ona sama pod koniec życia (które zakończyła w roku 1869) zaczęła podobno rozpaczać o swym zbawieniu, «naokoło siebie widziała piekło, nie chciała się spowiadać». Wreszcie skłonił ją do spowiedzi Kajsiewicz, przynosząc jej od Piusa IX specjalne błogosławieństwo i zapewniając ją, że od Ojca św. otrzymał upoważnienie «do usunięcia wszelkich trudności, jakiekolwiek duszę jej trapićby mogły». Ale «sekret tych trudności oczywiście poniósł spowiednik z sobą do grobu».

Jakież to trudności trapiły duszę Mieczysławskiej? Co wyrzucało jej sumienie? To, mówiąc krótko, że była... zwyczajną albo raczej bardzo niezwykłą oszustką, że oszukała i zmartwychwstańców i dwóch papieży i kardynałów i Słowackiego i Mickiewicza, słowem — wszystkich.

Nie tylko nigdy nie była ksienią bazylianek w Mińsku, ale wogóle nie była zakonnicą; skłamała, że bazylianom kazano się przesiedlić nasamprzód do Witebska i Połocka, a potem do Miadzioł; zmyśliła wszystkie nazwiska sióstr zakonnych, o których męczeństwie opowiadała, — nie wyłączając nazwiska własnego: żadna Mieczysławska nie istniała, i nie Mieczysławska, tylko Prakseda Lewczecka była ksienią bazylianek w Miadziołach; zmyśliła wreszcie męczeństwa, o których pod przysięgą opowiadała. Jednym słowem, wszystkie jej zeznania od A do Z to jedno wielkie kłamstwo.

Chodziły o tym jej oszustwie głuche wieści już dawno. Już Czartoryski, jak to widać z jego listu do Orpiszewskiego z dnia 4 października roku 1846, coś podejrzewał i bał się, że wypadnie może «rzecz całą zamazać i pokryć zapomnieniem». W tymże roku ukazała się w Monachium broszurka w języku niemieckim pod tytułem *Męczeństwo zdemaskowane tak zwanej Makryny Mieczysławskiej. (Das entlarvte Martherthum der sogenannten Makrina Mieczysławska)*. Ale cóż na to poradzić, kiedy — prawdę powiedział Cagliostro — *mundus vult decipi* — świat lubi być oszukiwanym; — nie wierzone ani notom rosyjskim, ani owej broszurce niemieckiej, i dużo, dużo jeszcze czasu upłynęło, zanim na koniec odżyło stare

...podejrzenie stwierdzone dowodem:

Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.

Udowodnił to w obszernej i gruntownej pracy, opartej na całej masie źródeł drukowanych, archiwalnych, rękopiśmiennych, zgromadzonych w Wiedniu, w Rzymie, w Petersburgu, ksiądz Jan Urban (1).

W dwóch pierwszych rozdziałach opowiedział ze wszystkimi szczegółami historię «Makryny Mieczysławskiej» od jej ukazania się w Paryżu aż do jej śmierci w Rzymie. Cały rozdział trzeci poświęcił właśnie udowodnieniu, że Makryna Mieczysławska nie była Makryną Mieczysławską. Argumentacja autora jest tak gruntowna, tak mocna, tak uzasadniona; że od-tąd dwóch zdań w tej sprawie być już nie może: «W Martyrologium naszym niema miejsca dla Mieczysławskiej», — ten wyrok ks. Urbana jest już bez apelacji.

Lecz jeżeli Makryna Mieczysławska nie była Makryną Mieczysławską, kimże więc była? Na to pytanie odpowiada autor w czwartym rozdziale swojej pracy, opierając się na trzech nieznanych dotychczas źródłach, którymi są: 1) zeznania Matki Grekowicz, przełożonej benedyktynek wileńskich, udzielone przez nią księdzu profesorowi L. Żebrowskiemu; 2) notatki, spisane przez Liwskiego z ust o. Juliana Syrunowicza, ostatniego kustosa bernardynów w Wilnie; 3) notatki tegoż Liwskiego, spisane z ust Matki Antoniny Leśniewskiej, bazylianki mińskiej. Otóż na podstawie tych źródeł, wykazujących wprawdzie pewne różnice, ale tylko w drobnych szczegółach, wykazuje ks. Urban, że «Mieczysławska» była wdową po jakimś Wińcu, że pochodziła... z Żydów (według informacji matki Grekowicz), że była szafarką czy kucharką u benedyktynek Święto-Michalskich w Wilnie; że później, zwiedzając klasztor bazylianek w Miadziołach, dowiedziała się o ich prześladowaniu, że za jakieś oszustwo poszła pod sąd, dostała baty i była odesłana etapem do miasteczka rodzinnego Lubcze. Ale dosyć tego: kto ciekaw historii

(1) Ks. Jan Urban T. J., *Makryna Mieczysławska w świetle prawdy*. Kraków, nakładem Przeglądu Powszechnego, 1923 (1922), str. 139.
Studia i szkice II

tego jedyne w swoim rodzaju oszustwa, niech sam przeczyta pracę ks. Urbana.

Dodajmy, że wszystkich szczegółów tej historii nie udało się autorowi zbadać i opowiedzieć: wiele jeszcze rzeczy pozostaje nadal tajemnicą, np. kto umożliwił Wińczowej wyjazd za granicę? kto ją do tego namówił? i w jakim celu? Ale największą tajemnicą pozostaje... psychologia niezwyklej oszustki, która istotnie musiała być (jak to już Kajsiewicz przyznał) wcale bogatą naturą... Wszystkie te i inne sprawy będą kiedyś, miejmy nadzieję, wyjaśnione, o ile się znajdą nowe materiały, nowe źródła. Na podstawie tych, którymi rozporządzał ks. Urban, nic więcej powiedzieć nie było można.

Czy jednak warto było, a nade wszystko czy się godziło, zadać sobie tyle mozolnego trudu, ile go podjął autor, aby rozbić w puch jedną z najpiękniejszych narodowych legend polskich XIX wieku? Może niejeden, przeczytawszy książkę ks. Urbana, weźmie mu to za złe? To trudno: cóż na to poradzić, że byli, są i będą tacy, którzy się wolą karmić kłamstwem aniżeli prawdą? Dla takich właśnie umieścił ksiądz Urban, jako motto, słowa papieża Innocentego III: *Falsitas tolerari non debet sub velamine pietatis*, — nie wolno nosić kłamstwa pod płaszczykiem pobożności. I jedno jeszcze motto, ze słów Leona XIII, umieścił autor na swej pracy: *Ne quid falsi dicere historicus audeat, ne quid veri non audeat*, — nie wolno historykowi by najmniejszego kłamstwa popełniać, nie wolno mu nie mieć odwagi do mówienia prawdy!

W imię miłości prawdy, a nienawiści do fałszu, zadał sobie ks. Urban trud rozwiania legendy, że niezbyt dlań miły, niech świadczą te jego własne słowa: «Już trzecie pokolenie karmi się opowiadaniem Mieczysławskiej o przebytych za wiarę cierpieniach. Jej stałość w wierze opiewał jeden z trójcy naszych największych poetów, Juliusz Słowacki; ona błogosławiła drugiego z tejże trójcy wieszcz, wielkiego Adama Mickiewicza, na religijny czyn pogodzenia się z Kościołem; ona w *Legionie* Wyspiańskiego spojrzeniem swym upokarza dumnego mocarza północy, gnębiciela ciał i dusz polskich. Ona stała się niejako symbolem tego wszystkiego, co katolicka i unicka Polska i Ruś zniosła za swą wierność Kościołowi

i ojczystej przeszłości. I naraz trzeba się dowiedzieć z całą pewnością, że ta rzekoma męczennica, ta czczona i opiewana patriotka,* ten jakby symbol wiary i wytrwania, to zwyczajna — owszem, lepiej powiedzieć — nadzwyczajna, niepospolita, wielka oszustka i samozwanka, że nie świadectwo prawdzie dała, ale swą marną osobą, swymi prostaczymi (1) oskarżeniami zbrudziła, skaziła, sprofanowała świętą kartę z historii rzeczywistych naszych cierpień i naszych poświęceń». «Niewątpliwie — pisze dalej autor w zakończeniu swej pracy — stwierdzenie tej prawdy jest bolesne», albowiem stwierdza się ją «kosztem zranienia uczucia, które z iluzją zrosło się, w niej znajdowało przedmiot swego podziwu i czci. Trzeba wtedy niemalej doży dobrej woli, odwagi, sumiennosci, by, nakazawszy uczuciu milczenie, powiedzieć sobie: *magis amica veritas*».

Otóż za to, że sobie ks. Urban to powiedział, za jego dobrą wolę, odwagę i sumiennosc, z jaką pracę swoją podjął, za to, że legendę, pomimo, że opromieniła ją wiara Mickiewicza i poezja Słowackiego i Wyspiańskiego, zburzył, — należy mu się szczere uznanie i głęboka wdzięczność od wszystkich, którzy wyznają zasadę: «Kto prawdę zaciera, Boga się wypiera».

(1) Ze «prostaczą» była także jej umysłowość, widać to z własnoręcznego listu jej do W. Wielogłowskiego z r. 1848. List ten ogłosił St. Pigoń w *Pamiętniku Literackim* (1920, str. 148).

KŁAMSTWO I PRAWDA O METROPOLICIE KASPRZE CIECISZOWSKIM

W roku 1764 odbyła się w Rzymie niezwykła uroczystość: papież Klemens XIII udzielił święceń kapłańskich dzieciom nastoletniemu młodzieńcowi; kładąc mu rękę na głowę, przemówił tak: «Mam przeczucie, że będzie to jeden z filarów świętego Kościoła naszego w tych dalekich stronach; w imię tedy Ducha Świętego zwalniam cię od brakujących ci lat i pewny jestem, że nie będę nigdy żałował tej łaski wyjątkowej».

Młodzieńcem tym z «dalekich stron» był Polak, pochodzący ze starożytnego rodu, Kasper Colonna Cieciszowski, dziad cioteczny i długoletni opiekun Joachima Lelewela (rodzony brat jego babki Antoniny z Cieciszowskich Szeluciny), a pradziad cioteczny Henryka Sienkiewicza (syna Stefania z Cieciszowskich). Przeczucie nie zawiodło papieża: Kasper Cieciszowski, od roku 1784 biskup kijowski, na Sejmie Czteroletnim gorliwy rzecznik spraw Kościoła, po drugim rozbiore biskup piński, po trzecim łucko-żytomierski, od roku 1827 arcybiskup mohylowski i *omnium ecclesiarum in Imperio Russico Metropolita*, — na wszystkich tych stanowiskach, w epoce, kiedy ogół duchowieństwa, nie wyłączając biskupów, nie stał na wysokości swego zadania, jaśniał świętobliwym życiem i wierną służbą Kościołowi i Ojczyźnie. Nie dziw, że tradycja rodzinna opromieniła go aureolą świętości. Że nie minęła się z prawdą, o tym mogą coś powiedzieć choćby *Pamiętniki* Kajetana Koźmiana: «Znałem... tego świętobliwego biskupa... Zdało mi się, że widzę przed sobą Ambrożego lub Tertuliana z całym urokiem świętobliwości, jaką słusznie nie tylko u chrześcijan, lecz i u Izraelitów słynął i był celem powszechnego uwielbienia, był to ideał prawdziwy arcykapłana».

A jednak złość i podłość ludzka nie oszczędziła tego świę-

tośliwego człowieka, wiernego sługi Kościoła i gorącego patrioty. Oto, nie mniej ani więcej, pomówiono go o przystanie do Targowicy; a co jeszcze gorsza, rzucono nań potwarz, że w roku 1831, na rozkaz cesarza Mikołaja, potępił oficjalnie, jako metropolita, powstanie listopadowe. Ta haniebna potwarz przedostała się do druku już podczas wojny 1831 roku (coś w miesiąc po śmierci Cieciszowskiego).

Mianowicie w numerze 131 *Nowej Polski* (z dnia 16 maja) osławiony ksiądz Aleksander Kazimierz Puławski (ten sam warchoł, który niebawem zrzuci suknię duchowną i którego później, już na emigracji w Paryżu, Mickiewicz napiętnuje szyderstwem w wierszach: «Komar niewielkie lichy...» i «W domu bił się hrabia z popem») podał do wiadomości, że Cieciszowski wydał do wiernych swojej diecezji «nie tylko nie-patriotyczną, lecz nawet nie-religijną» odezwę, w której potępił «jasno i niewątpliwie szlachetne powstanie», okazując «za wiele służalstwa despotyzmowi». Nawiasem mówiąc, możliwą jest rzeczą, że tą potwarzą chciał Puławski pogrzebać wniosek kasztelana Kochanowskiego, który na posiedzeniu Senatu dnia 5 maja, nie wiedząc, że Cieciszowski już nie żyje, «żądał, aby szanowni ze wszech miar senatorowie dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, Cieciszowski, przedtem biskup, a teraz arcybiskup mohylowski, i Sołtan, marszałek nadworny litewski, wprost na kandydatów do Senatu podani zostali» (1).

Wracając jednak do potwarzy, jaką Puławski rzucił na Cieciszowskiego w *Nowej Polsce*, już nazajutrz, w tymże dzienniku (nr 132), wziął swego dziada w obronę Joachim Lelewel. Przypominał nasamprzód, że po Targowicy «Cieciszowski, podówczas biskup kijowski, unikając widoku hańby i gwałtu, z innymi patriotami ujechał do Krakowa... Na sejmie targowickim grodzieńskim 1796 roku nie znajdował się, a mocnym listem upominał króla-przeniewiercę, aby przynajmniej od wymusu i krzywoprzysięstwa obywatelów ochraniał... Pomimo tego Targowiczanie... poważyli się ogłosić i drukiem upewnić, że Cieciszowski do Targowicy przystał». Po powrocie do

(1) Diarjusz Senatu z roku 1830—1831, wydał Stefan Pomarański (Archiwum Komisji Historycznej P. A. U., tom XIV, str. 553).

swej diecezji — pisze dalej Lelewel — Cieciszowski, «wolał imperatorów przeniesiony na biskupstwo łuckie, ostatecznie arcybiskupem-metropolitą został. Infułę 60 lat piastując, wśród ciągłych cierpień postradał wzrok i słuch, licząc 88 lat wieku swego. W takim kalectwie i w takim wieku znajdował się w tym 1831 roku Cieciszowski, w podpisie kreśląc nazwisko omackiem albo je stempelkiem wyciskając».

Wszystkiego Lelewel nie wiedział jeszcze podówczas, ale ksiądz Puławski coś już wiedział, skoro uznał za stosowne nazajutrz po wyjaśnieniu Lelewela oświadczyć (w numerze 133 z dnia 18 maja), że nie zarzuca Cieciszowskiemu złych chęci, że owa «niepatriotyczna odezwa jest dziełem kanonika Skierniewskiego».

Nie dosyć na tym. W numerze 151, z dnia 7 czerwca, ogłosił Puławski co następuje: «Wołynianie, przybyli do stolicy, opowiadali mi, że biskup Cieciszowski przed zgonem swoim przywołał do siebie okolicznych obywateli i uczynił przed nimi wyznanie swojej wiary patriotycznej. Mowa jego pełna była najczystszych dla Polski uczuć, a zapal, z jakim mówił ten blisko dziewięćdziesięcioletni starzec, wprawiał w zdziwienie obecnych. Co się tyczy odezwy, o której donosilem dawniej w *Nowej Polsce*, wyznał, że była dziełem kanonika Skierniewskiego, który mu co innego czytał, a co innego dał do podpisania i że mocno był zdziwiony, gdy się po raz pierwszy dowiedział, jak bezbożnemu aktowi swoim podpisem nadał pasterską powagę... Zbrodniarzem więc jedynym w tej sprawie był Skierniewski, i zasłużona nie minęła go kara. Zgryzota czy bojaźń, czy też nareszcie ostatki wstydu podały mu, podług zapewnienia Wołynian, truciznę. Tak kapłan, co się wyrzekał Boga, bo się wyrzekł Ojczyzny, nową zbrodnią, samobójstwem, zakończył życie».

Nierównie szczegółowiej całą tę sprawę wyjaśnił pożyty w swoim czasie powieściopisarz, autor *Bojów polskich*, Kajetan Suffczyński (pseudonim: K. S. Bodzantowicz), w obszernym życiorysie Cieciszowskiego, wydrukowanym w czasopiśmie *Biblioteka Ossolińskich* (1). Rzecz miała się tak.

(1) Poczet nowy, tom VI, r. 1864.

Cesarz Mikołaj napisał własnoręczny list do Cieciszowskiego z żądaniem, żeby na tych, co przystali do powstania, rzucił klątwę. Metropolita dał odpowiedź odmowną. «Przy pisaniu odpowiedzi do cesarza obecnym był ksiądz Skierniewski i świecki sekretarz metropolity, list więc ten, tak jak go metropolita podyktował, doszedł rąk cesarskich. Ależ w kilka dni później, kiedy metropolita z księdzem Skierniewskim załatwiał sprawy duchowne, ten mu podsunął do podpisu list pasterski, potępiający powstanie, a ciemny starzec, pełen zaufania, wycisnął podpis swój na nim, nie widząc, że tym niweczy wiekowy niemal nieskalany swój żywot i grób sobie otwiera; i zaraz ogłoszono ów list pasterski w katedrze i w bliższych Łucka parafiach». Pomiędzy innymi ogłosił go z ambo-ny, po nabożeństwie, proboszcz kościoła łacińskiego w Równem, w obecności oficjała łuckiego, biskupa Podhorodeńskiego. «Na pierwsze wyrazy niewypowiedziane zdziwienie wystąpiło na twarzy biskupa; uchwycił za rękę obok siedzącego księdza: «Co to jest?» — zawołał zmieszany, — «czy mnie słuch myli?» Zapytany pochylił głowę i milczał, a biskup, niepomny na miejsce, w jakim się znajdował, zerwał się z siedzenia i, ręką skinąwszy na mówiącego, «Przestań, księżę!» — wykrzyknął, «to fałsz! Cieciszowski nic podobnego nie mógł napisać!» Zamilkł czytający, zdziwieni słuchacze cisnęli się koło biskupa, który, patrząc na nich, «To szatańska jakaś sprawa», — zawołał wzruszony, — «wracam zaraz do Łucka i ukrywając sprawcę tej sromoty!».

A tymczasem ludzie, nie jeszcze nie wiedząc o haniebnym czynie Skierniewskiego, uwierzyli, że autorem owego listu pasterskiego jest sam metropolita; nie dziw, że się od niego milcząco odsuwać zaczęli. Milczenie przerwał zaufany kamerdyner, Jakób Sobolewski, zwany przez biskupa Jakubkiem: «Panie mój drogi — zawołał — dlaczego pan kazał przeklinać tych biednych powstańców?» Jak piorunem rażony zadrżał starzec: «Co ty mówisz! — wykrzyknął — kto? ja kazałem przeklinać, i to braci moich? Tyś tego nie słyszał, tobie się to zdało! oświećcie mnie, na Boga was zaklinam». Wówczas dopiero wyszła na jaw prawda o nikczemniku Skierniewskim: ujawnił ją marszałek metropolity, Gawroński. «Niegodny ka-

plan — zawołał Cieciszowski — nadużył kalectwa mego, zhańbił mnie nad grobem; niech mu to Bóg przebaczy!» Wtem wszedł biskup Podhorodeński. Wyciągając doń rękę, zapytał metropolita: «Wiesz o moim nieszczęściu?» «Wiem o wszystkim — odrzekł zapytany — ale nie wierzę w udział Waszej Ekscelencji w tym okrutnym czynie». — «Bóg ci zapłać, księże biskupie, za to słowo pociechy, to balsam na ten cios bolesny!» Chwilę się zamyślił, a potem, składając ręce: «Ha! ostatnia to próba moja w tym życiu — mówił — trzeba z niej wyjść czystym; pomówmy trochę, księże biskupie». Podhorodeński skinął na obecnych; ci wyszli do przyległego pokoju i radości swojej z rehabilitacji uwielbianego przez nich biskupa utaić nie mogli».

Nazajutrz, opowiada dalej Suffczyński, metropolita, czując, że się zbliża śmierć, «kazał się ubrać i wynieść z łóżkiem do pokoju z framugą, w której była kaplica; tam słuchał Mszy świętej, a kiedy się ta skończyła, na dziedzińcu usłyszano szmer wielki i płacz rzewny; a po chwili ukazał się poprzędzony krzyżem biskup Podhorodeński w rokicie, za nim kanonicy i niższe duchowieństwo w komżach i ze świecami w ręku. Otwarto narozcież wszystkie drzwi kilku pokoi, co prowadziły do sali, a te zapelniły się w jednej chwili duchowieństwem i świeckimi. Na wszystkich twarzach malował się smutek i żal wielki, wnieśli bowiem zaraz, że niebezpieczeństwo życia metropolity musi być wielkie i że Podhorodeński przyszedł dysponować na śmierć umierającego starca. Jakoż zaraz brał on ostatnie namaszczenie, a kiedy ten akt dopełniony został, kazał się podnieść trochę na łóżku i zaczął przemawiać do zgromadzonych. W wyrazach pełnych rezygnacji mówił, że czuje zbliżający się koniec życia, że, jak prawy chrześcijanin, Bogu się najprzód usprawiedliwił, a teraz chce wyświecić zarzut, jakiby obciążył pamięć jego, gdyby się z niego nie oczyścił, — i zaraz wyjął list cesarski, który po polsku odczytał książę Fryderyk (1); potem kopię odpowiedzi czytał sekretarz

(1) Lubomirski, przybyły nad ranem z Równa na wezwanie metropolity.

świecki, taką, jaką sam pisał. A kiedy skończył, metropolita odwrócił się znowu do obecnych i oświadczył im, że z obawy, iżby wątpliwość jaka nie powstała w ich sercach co do udziału jego w tej nieszczęsnej sprawie, postanowił wobec nich głośną zrobić spowiedź z całego życia swego. I zaraz bernardyn, zwykły spowiednik biskupa, ukląkł koło łóża jego... Więcej pół godziny trwała spowiedź, a kiedy po niej ksiądz dał choremu absolucję, ten zmęczony chwilę odpoczął... Potem przemówił znowu do obecnych, że po tej spowiedzi sumienie obowiązuje ich bronić pamięci jego, że on, jako kapłan Boga miłości, wzdyga się na rozlew tej krwi chrześcijańskiej, ale ma nadzieję, że Bóg w miłosierdziu swoim oceni pobudki do walki narodu i przebaczy środki, «ja zaś — zawołał, wznosząc rękę do góry, — wszystkich, wszystkich, Boga i Ojczyznę kochających, z głębi serca błogosławię» — i usunął się na posłanie. Tłumiony płacz rzewny był całą odpowiedzią na ostatnie słowa biskupa, a kiedy doktorzy przystąpili do niego, ręka, którą ujął jeden z nich, upadła, strętwiała: cnotliwy starzec już nie żył».

Tuż po śmierci metropolity, opowiada jeszcze Suffczyński, udał się biskup Podhorodeński w asystencji kilku osób do mieszkania Skierniewskiego, ażeby zabrać od niego akta diecezjalne. «Zaczęli silnie stukać i wołać, a kiedy żadnej nie odebrali odpowiedzi, wnosząc, że coś niezwykłego zaszło, postanowili wejść siłą; silnie poparte drzwi pękły, a kiedy weszli do sypialni, cofnęli się mimowolnie, bo straszny uderzył ich widok. Na podłodze rozciągnięty leżał nieszczęśliwy, przewrócone krzesło ścisnęła skostniała ręka, twarz konwulsyjnie wykrzywiona była przestraszająca, a zamarłe oczy złowrogo patrzyły. Cóż był za powód tej śmierci gwałtownej?... Czy dopust boski, czy czyn szalonej rozpacz?... Bogu to tylko wiadomo»...

W świetle całej tej opowieści Suffczyńskiego, której źródłem są niewątpliwie relacje naocznych świadków, i która przez to ma na sobie wyraźne piętno wiarogodności, trudno naprawdę zrozumieć, dlaczego tak poważny historyk jak Maciej Lorent, ani jednym słowem nie wspomina o niej w swej rozprawie *Kościół katolicki w początku panowania Aleksan-*

dra I (1) i dlaczego, co za tym idzie, odmawia Cieciszowskiemu «dowodów wielkiego patriotyzmu» i zarzuca mu niewłaściwe «zachowanie się w epoce powstania listopadowego». Zresztą nie wyklucza Loret możliwości, że ów nieszczęsny list pasterski był «robotą księdza Piwnickiego, który jako sekretarz, prawa ręka i oko biskupa, główną za czyny jego ponosi odpowiedzialność». O Skierniewskim, o Puławskim, o Lelewelu — ani słowa.

Ale to jeszcze nie wszystko.

W roku 1936, w tomie XV *Rozpraw historycznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego*, wydawanych pod redakcją Marcelego Handelsmana, ukazała się rozprawa p. Mieczysława Żywczyńskiego pt. *Geneza i następstwa Encykliki Cum primum* z 9. VI. 1832 r. Na str. 139—140 czytamy te słowa: «Mohyłowską archidiecezją zarządzał osiemdziesięciokilkoletni arcybiskup Kasper Kazimierz Cieciszowski, człowiek popularny, gorliwy i pobożny, w spełnianiu rozkazów z Petersburga ogromnie dokładny, za to też orderami honorowany. I on, na rozkaz rządu, potępił powstanie, za co ze strony społeczeństwa polskiego sporo odczuł przykrości. Na starość głuchy i niewidomy, umarł nagle w kwietniu 1831 roku». Powołuje się p. Żywczyński na prace Dobszewicza, Loretę, Wasilewskiego, na *Encyklopedię kościelną* Nowodworskiego, ale o *Nowej Polsce* i o *Bibliotece Ossolińskich* grobowo milczy, — nie ze złej woli naturalnie, ale jedynie dlatego, że tych źródeł najwiśdziej nie zna, co nie świadczy pochlebnie o jego dokładności naukowej. Ale mniejsza o to: nie chodzi nam tutaj o ocenę wartości naukowej studium p. Żywczyńskiego, ale wyłącznie o dobrą sławę Cieciszowskiego, którą wyżej przytoczone słowa nie tylko pomniejszają, ale niszczą.

Na szczęście to wszystko nieprawda. Pan Żywczyński nie miał w rękach papierów, pozostałych po Cieciszowskim. Miał je natomiast we własnych rękach i czytał na własne oczy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego ks. Michał Godlewski, były biskup łucko-żytomierski, który autorowi niniejszego artykułu udzielił następującej piśmiennej informacji, upoważniając go

(1) Biblioteka Warszawska 1913, I.

jednocześnie do jej ogłoszenia: «Cieciszowski żadnej oficjalnej gorliwości w spełnianiu rozkazów rządowych nie okazał. Jeżeli był «honorowany» orderami, to dlatego, że każdy wówczas bez wyjątku biskup był «honorowany» orderami. Nie znam biskupów z tego czasu w państwie rosyjskim, którzy by nie mieli orderów. Jeszcze za moich czasów biskupi w Rosji co trzy lata, czy chcieli, czy nie chcieli, otrzymywali carskie ordery. W ostatnich latach życia Cieciszowski stracił stopniowo wzrok i władzę w nogach. Kiedy Mikołaj w początkach 1831 roku przyjechał do Łucka, arcybiskup Cieciszowski nie mógł wyjść na jego spotkanie. Wobec tego car odwiedził arcybiskupa w jego mieszkaniu. Sekretarz arcybiskupa, kanonik Michał Skierniewski, podsunął Cieciszowskiemu wraz z innymi papierami odezwę, potępiającą powstanie listopadowe, którą niewidomy starzec podpisał. Dowiedziawszy się o tym podstępnie, złamany starzec publicznie odezwę przez siebie podpisaną odwołał. Zmarł nie nagle, lecz po długiej i ciężkiej chorobie».

Dodać jeszcze trzeba, że Skierniewski zdążył przed śmiercią... otrzymać od cara Mikołaja order św. Anny II klasy z koroną (1).

(1) Leonard Chodźko w swym francuskim życiorysie Cieciszowskiego (przełożonym na język polski i wydrukowanym w emigracyjnym czasopiśmie paryskim Wiara, tom pierwszy, 1866), oparł się wyraźnie na opowieści Suffczyńskiego.

«POLSKA NA PRZEŁOMIE DZIEJÓW»

Nie ma dla historyka nic równie trudnego, jak pisać dzieje współczesne, a to nie tylko dlatego, że nie rozporządza dostateczną ilością źródeł, że czasem niedostępne mu są źródła najważniejsze, ale nade wszystko dlatego, że najczęściej nie umie (a często nie chce) zdobyć się na opowieść bezstronną, zwłaszcza, jeżeli brał w wypadkach ostatnich czasów czynny udział, jeżeli należy do tego lub innego stronnictwa itd.

Ukazał się w roku 1931 tom trzeci *Dziejów Polski w zarysie* Michała Bobrzyńskiego, obejmujący dzieje porozbiorowe i pierwsze lata odzyskanej niepodległości. Większa część tego tomu — aż do wybuchu wojny światowej — posiada wartość ogromną, nie mniejszą niż pierwsze dwa tomy, które (bez względu na to, czy się kto zgadzał czy nie zgadzał z tą przewodnią myślą autora, że upadek Polski jest jej własną winą, i że jego historia rozpoczyna się już w XVI wieku) odegrały w swoim czasie tak doniosłą rolę w historii naszego ruchu umysłowego. Podziwiać trzeba konsekwencję, z jaką Bobrzyński, zdając sobie sprawę, że psychika narodu zmienia się bardzo powoli, rozpatruje pod kątem swojej przewodniej idei historię porozbiorowej Polski; na wszelkie uznanie zasługują jego śmiałe i mądre sądy o zbrojnych próbach odzyskania niepodległości — o roku 1830, 1846, 1848, 1863, tudzież o ruchach rewolucyjnych roku 1905, sądy o egoizmie szlacheckim, któremu upadek Polski bynajmniej nie położył kresu; wręcz imponuje szerokość widnokręgów autora, który ogarnia wszystkie w ogóle przejawy życia narodowego, nie wyłączając literatury.

I możnaby jeszcze długo wyliczać zalety tomu trzeciego *Dziejów Polski*, ale cóż, kiedy, im bliżej jego końca, tym wyraźniej niknie zaleta, która nade wszystko zdobić powinna dzieło historyczne, — obiektywizm: uczony i trzeźwy historyk

ustępuje miejsca człowiekowi partii, który nie może (czy też nie chce?) przyznać, że nie on i jego stronnicy mieli słuszość, tylko inni. Taki wniosek narzuca się gwałtem czytelnikowi, kiedy czyta np. to wszystko, co autor wypisuje o narodowej demokracji w ogóle, a o działalności Dmowskiego w szczególności. Gorszą jeszcze jest rzeczą, że on, który niegdyś wraz ze Smolką tak wymownie karmił Długosza za przemilczanie nie miłych sobie wypadków, teraz sam popełnia ten grzech śmiertelny, przemilczając niektóre szczegóły działalności czy to Naczelnego Komitetu Narodowego, czy Rady Regencyjnej, albo jeszcze, pomijając grobowym milczeniem słynny, a raczej osławiony protest rządu Steczkowskiego przeciwko deklaracji wersalskiej. Naprawdę, że nie tylko przykre, ale wręcz bolesnego rozczarowania doznają ci spośród czytelników końcowych kart trzeciego tomu *Dziejów Polski w zarysie*, którzy byli i są wielbicielami talentu ich autora, którzy chylili i chylić czoła nie tylko przed jego zasługami naukowymi, ale i przed tak rzadką u nas odwagą cywilną i mocnym charakterem. Mimowoli przychodzi na myśl sentencja starożytna: *Senectus ipsa morbus*; niczym niepowetowaną krzywdę wyrządził sobie Bobrzyński, nie zamykając swoich *Dziejów Polski* na roku 1914 (albo i na wcześniejszym jeszcze!).

Jakże inaczej pod względem bezstronności przedstawia się dwutomowe dzieło Mariana Seydy p. t. *Polska na przełomie dziejów!* (1)

Zadaniem autora, jak widać z przedmowy do tomu pierwszego, było «wykazanie faktami i dokumentami roli, jaką Polska odegrała na przełomie dziejów w wojnie światowej». Fakty te, oparte na dokumentach, uszeregował autor niezmiernie

(1) Polska na przełomie dziejów. Fakty i dokumenty. Tom I. Od wybuchu wojny do zbrojnego wystąpienia Stanów Zjednoczonych. Poznań, 1927, str. IX+663. Tom II. Od zbrojnego wystąpienia Stanów Zjednoczonych do końca wojny (w tym szkic działalności Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu). Poznań, 1931, str. VII+666. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Doskonałą recenzję tego znakomitego dzieła napisał Władysław Konopczyński w Kwartalniku Historycznym XLVI, str. 251—259; oprócz oceny dzieła dał recenzent należyłą odpawę niektórym jego «krytykom i recenzentom».

nie przejrzyście w sposób następujący. We wstępie mamy rzut oka na podstawy i zadania polityki polskiej przed wielką wojną. W części pierwszej, zwięźle przedstawiwszy rozwój operacyj militarnych aż do proklamacji państw centralnych z 5 listopada roku 1916, wyjaśnia autor bardzo szczegółowo, jakie stanowisko wobec sprawy polskiej zajęły w tym okresie wszystkie trzy państwa rozbiorowe oraz państwa, walczące z nimi, tudzież stanowisko społeczeństwa polskiego wobec własnej sprawy. Treścią części drugiej jest proklamacja listopadowa; jej precedensy, jej ogłoszenie, nadzieje, jakie przywiązywały do niej Niemcy, stanowisko, jakie względem niej zajęło społeczeństwo polskie, oraz stanowisko Rosji i zachodnich państw sprzymierzonych. W części trzeciej podział jest taki sam: nasamprzód — wypadki wojenne, a więc ofensywa pokojowa państw centralnych, rola Stanów Zjednoczonych i wybuch rewolucji rosyjskiej, a potem dopiero stanowisko trzech państw ościennych, koalicji i samej Polski wobec sprawy polskiej.

Bilans tego pierwszego, blisko trzyletniego, okresu wojny dla sprawy polskiej ujmuje autor tak, że państwa centralne, jak dawniej, tak i teraz nie myślały nawet o zjednoczeniu ziem polskich, że Rosja przestała sobie rościć prawo do traktowania kwestii polskiej, jako swojej wyłącznie sprawy wewnętrznej, że natomiast na widowni dziejów ukazała się myśl Wilsona o zjednoczeniu i niepodległości Polski, że za tą myślą oświadczył się również nowy rząd rosyjski i że Francja, Anglia i Włochy zapowiedziały pracę nad jej urzeczywistnieniem.

Przyczyną zaś tej olbrzymiej ewolucji sprawy polskiej była — mówi słusznie autor — «nie tylko wiekowa waga gatunkowa problemu polskiego, ale ponad to i przede wszystkim postawa narodu polskiego». «Chociaż rozdarty na trzy zaborzy — czytamy dalej w *Zakończeniu* — sprostał on na przełomie dziejów niesłychanie trudnemu zadaniu: nie zboczył z toru właściwego mimo prowokacji polityki rosyjskiej; nie załamał się pod brzemieniem austriacko-niemieckiej okupacji; przeciwstawił się próbom zrobienia z Polski narzędzia cudzej woli; objawił nieprzepartą siłę pędu do zjednoczenia i niepodległości. Przy programie tym skupili się wszyscy w społeczeństwie

polskim, którzy nie byli zapatrzeni w państwa centralne, szczególnie w potęgę Niemiec, i program ten był postawiony na gruncie międzynarodowym; ale do jego realizacji było daleko. Drogę, do niej wiodącą, zatarasowały Niemcy, które, będąc w sprawie polskiej faktycznym panem sytuacji, szły do traktatu brzeskiego. Stopniowo też trudności zachodnich narodów sprzymierzonych na terenie wojennym, i stąd zmęczenie psychiczne, osłabiły w nich wiarę w możność narzucenia Niemcom rozwiązania sprawy polskiej po myśli koalicji. Nadeszły dla Polski czasy może najcięższe: z bezwzględными dążeniami Niemiec, którym towarzyszyła obluda Austro-Węgier, borykało się społeczeństwo w kraju; nad przełamaniem niewiary i niemocy koalicji w sprawie polskiej pracował Komitet Narodowy Polski w Paryżu, wiodąc Polskę w szeregi narodów sprzymierzonych, organizując armię polską we Francji do walki zbrojnej z Niemcami i w konsekwencji torując Polsce drogę do udziału w konferencji pokojowej w Paryżu i do zdobyci traktatu wersalskiego».

Ależ — zapyta może czytelnik tego szkicu — poco i na co przytaczać tak długi ustęp z książki Seydy? Przecie to, że ogół rozumnego społeczeństwa polskiego nie zboczył podczas wojny z właściwego toru, że jedynie w zwycięstwie koalicji pokładał nadzieję odzyskania niepodległości, — jest rzeczą jasną, jak słońce! Niestety, nie dla wszystkich. Przecie, kiedy się ukazało wspaniałe dzieło Dmowskiego *Polityka polska i odbudowanie państwa*, byli wprowadzić tacy, których ono pouczyło, jaka była jedyna prawdziwa droga polityki polskiej podczas wojny, ale, nie mówiąc już o ludziach złej woli albo też tępego umysłu, którzy się z tego dzieła nie chcieli albo nie mogli niczego nauczyć, byli i tacy, którzy — szczerze, czy obludnie — twierdzili i do dziś dnia wmawiają w siebie i innych, że chociaż ta droga, którą poszedł Dmowski i jego zwolennicy, doprowadziła do celu, była jednak wcale nie jedyną właściwą, że do celu mogła także doprowadzić inna — ta, oczywiście, którą oni poszli, a przynajmniej, że ta ich droga nie była zawadą, ale raczej pomocą do osiągnięcia upragnionego celu. Otóż ci wszyscy, których niczego nie nauczyła książka Dmowskiego, niech przeczytają książkę Seydy: znajdą w niej dużo więcej

faktów; kiedy bowiem Dmowski opowiada głównie, chociaż nie wyłącznie, o tym, w czym sam brał udział, co sam stworzył, Seyda daje nam całkowitą historię *Polski na przełomie dziejów*.

A historia to oparta na źródłach pierwszej ręki (i na osobistym współudziale autora w akcji narodowej), a do tego wysoce bezstronna. O ileż wyżej stoi ta książka od anonimowego *Wskrzeszonego państwa polskiego* (Michała Bobrzyńskiego) zarówno pod względem ilości spożytkowanych źródeł, jak pod względem bezstronności!

Bezstronność jednak nie przeszkadza, rozumie się, autorowi do wypowiadania swoich sądów o wypadkach i o ludziach zarówno ze swojego, jak nie swojego obozu. Że wielu ludzi z tego drugiego obozu wyczyta o sobie gorzką prawdę, to trudno. Marcin Bielski mądrze powiedział: «Przeciw prawdzie rozumu nie», to znaczy, że jeśli coś jest prawdą, faktem, to rozum ludzki nie obali tego, choćby się nawet nie wiedzieć jak silil.

Więc np. nikt tego nie obali, że ów «rząd narodowy w Warszawie», na który się w zaraniu wojny powoływano, był fikcją, że tendencyjność Askenazego w drugim wydaniu *Uwag* jest równie oczywista, jak to, że w wydaniu pierwszym szkalował działaczy narodowych; i nikt nie obali tego faktu, że broszura *Pod sąd* jest denuncjacją; że memoriał, złożony dnia 7 grudnia roku 1914 przez Naczelnny Komitet Narodowy austriackiemu ministerstwu spraw zagranicznych, jest «straszny pod względem politycznym i moralnym»; że ewolucja linii politycznej niektórych działaczy powiodła ich «stopniowo od torowania drogi Tymczasowej Radzie Stanu do budowania pomostu między Rosją a Niemcami» itd., itd.

A nade wszystko nikt nie obali tych dwóch faktów, że «jeżeli... naród nasz w przyniatającej większości, ze społeczeństwem zaboru rosyjskiego na czele, zdławił w sobie bunt przeciwko gnębiącej go Rosji, jeżeli związał swe losy z koalicją i poparł nawet czynnie Rosję w jej walce z państwami centralnymi, a przede wszystkim z Niemcami, złożył tym samym dowód dojrzałości politycznej», — i że takie właśnie «stanowisko społeczeństwa polskiego wpłynęło nie tylko na

to, czym Polska wyszła z wojny światowej, ale przyczyniło się w pewnej mierze i do ogólnego wyniku tej wojny».

Pod kątem widzenia tych dwóch prawd pisał Seyda obydwa tomy swego znakomitego dzieła.

Część pierwsza tomu drugiego obejmuje historię sprawy polskiej podczas wielkiej wojny, od zbrojnego wystąpienia Stanów Zjednoczonych do rozejmu państw centralnych z Sowietami w Brześciu Litewskim; druga jest poświęcona traktatom brzeskim; trzecia — okresowi rozstrzygającemu wojny aż do klęski państw centralnych i zawieszenia broni w listopadzie roku 1918.

Układ poszczególnych części jest taki sam, jak w tomie pierwszym: 1) krótki rys wypadków wojennych; 2) stanowisko państw centralnych i koalicji wobec sprawy polskiej; 3) stanowisko społeczeństwa polskiego. Tę ostatnią sprawę autor traktuje z natury rzeczy bardzo szczegółowo. A i tutaj wszędzie opiera się na materiale źródłowym, zgromadzonym niezmiernie obficie. Już to jedno nadaje książce niepospolitą wartość.

Ale nie to jedno. Pomijając już doskonały, przejrzysty układ oraz jasne, potoczyste, przykuwające uwagę czytelnika opowiadanie o faktach najwyższej dla nas wagi, bo rozstrzygających o odbudowaniu Polski, — umiał się Seyda zdobyć jak w pierwszym, tak i w drugim tomie na chwalebna, idealna niemal bezstronność, co zasługuje na tym większe uznanie, że w wielu wypadkach, których historię opowiada, sam brał czynny udział: był przecie współpracownikiem Dmowskiego. Ta zaś bezstronność tłumaczy się nie tylko uczciwością i powagą autora, ale także głównym celem, jaki sobie, pisząc swoją książkę, wytknął: chciał dać czytelnikom nie pamflet polityczny, tylko historię. Lecz i tu także, jak w tomie pierwszym, nie wstrzymywał się od własnych sądów. Więc wizytę Rady Regencyjnej w Berlinie i jej hołdy, składane Wilhelmowi, nazywa «wystąpieniem Polaków przed światem w roli żyrantów obłudnych twierdzeń Wilhelma» i «krwawą ironią losu»; nie waha się orzec, że Polacy «zmarnowali własny ruch wojskowy w Rosji i w smutnej konsekwencji rozbiorów wciąż jeszcze dzielili się na zwalczające się ostro orientacje i obozy», «przy czym mniejszość narodu, na szczęście niewielka, tak się zgu-

biła w rozwoju wypadków, że potępiała to, co dźwigało sprawę polską na poziom zagadnienia międzynarodowego i wiodło Polskę ku zjednoczeniu i niepodległości»; deklaracja rządu Steczkowskiego to «bezprzykładny brak zmysłu politycznego», to «prowokacja wobec państw sprzymierzonych»; wywalczone przez Komitet Narodowy uznanie armii polskiej we Francji za armię sprzymierzoną «dźwigało Polskę na poziom państwa niepodległego» i otwierało jej «drogę na konferencję pokojową — nie jako pokonanemu winowajcy, obok państw centralnych..., lecz jako zwycięzcy wspólnie z wielkimi państwami sprzymierzonymi». Nie brak także sądów o działalności jednostek, np. Lednickiego, Wojciecha Rostworowskiego, Franciszka Radziwiłła, Dmowskiego, Paderewskiego itd.

Wszystkie jednak te sądy wypowiedziane są nadzwyczaj spokojnie. Co więcej, powiedzieć można, że wszystkie tkwią już gotowe w samych faktach, to znaczy, że się narzucają każdemu, kto się kieruje logiką, zdrowym rozsądkiem i sumieniem, nie oślepionym ani przez namiętności stronnice, ani przez miłość własną, która tak często nie pozwala człowiekowi uderzyć się w piersi i przyznać się do winy, a choćby tylko do omyłki, a nawet kusi go i zniewala do obalania faktów i fałszowania prawdy.

Książka Seydy, cała — od początku do końca — oparta na udokumentowanych faktach, znakomicie utrudnia tę procedurę i prędzej czy później uniemożliwi ją: kłamstwo zginie, zatryumfuje prawda!



NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA

Poszczególne części tego tomu były drukowane po różnych czasopismach i wydawnictwach; obecnie ukazują się niektóre ze zmianami i uzupełnieniami.

«Godzina myśli» — Przegląd Humanistyczny 1922.

Spisek koronacyjny w «Kordianie» — Słowo Polskie 1923, Nr 129—143.

Dlaczego Słowacki nie wykończył «Horsztyńskiego»? — Goniec Krakowski 1925, Nr 123.

Idea «Balladyny» — Pamiętnik Literacki XXII—XXIII, 1926.

Czy «Lilla Weneda» jest arcydziełem dramatu? — Przegląd Warszawski 1924, Nr 36.

Zmartwychwstanie Polski w dramacie Słowackiego «Beniowski» — Głos Narodu 1936, Nr 101.

Wpływ romantyków francuskich na twórczość Słowackiego — Kurier Warszawski 1934, Nr 345.

Przyjaźń w życiu Krasieńskiego — Przedmowa do Listów Z. Krasieńskiego do Adama Potockiego, Warszawa 1922 i Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej, Kraków 1928.

Dwa problemy naczelne «Nieboskiej Komedii» Krasieńskiego — Kurier Poznański 1935, Nr 210, 262, 345.

Dwie wizje romantyczne przyszłości narodowej — Myśl Narodowa 1937, Nr 24—25.

Monografia Tadeusza Piniego o Krasieńskim — Myśl Narodowa 1928, Nr 11—12.

Cudze chwalicie, swego nie znacie... — Kurier Poznański 1937, Nr 573.

Józef Ignacy Kraszewski — Myśl Narodowa 1937, Nr 53.

Śmiertelny wróg głupstwa — Nowa Książka 1938, Nr 8; Kurier Poznański 1938, Nr 29.

O Sienkiewiczu — Głos Narodu 1921, Nr 294; Czachowski, Henryk Sienkiewicz, obraz twórczości, Kraków 1931; Przedmowa do noweli «Z pamiętnika korepetytora», Kraków 1936; Gazeta Warszawska 1924, numer jubileuszowy; Kurier Poznański 1937, Nr 320; Przegląd Pedagogiczny 1937, Nr 1; Tęcza 1938; Tygodnik Ilustrowany 1931.

Bolesław Prus o «Zmartwychwstaniu» Tolstoja — Kurier Warszawski 1935, Nr 1.

- Władysław Reymont — *Myśl Narodowa* 1935, str. 804.
 Władysław Nehring — *Gazeta Warszawska i Słowo Polskie* 1909; odbitka, Warszawa 1909.
 Józef Treliak — *Rzeczpospolita* 1923, Nr 83, 91, 92.
 Stanisław Tarnowski w setną rocznicę urodzin — *Przegląd Współczesny* 1937, Nr 188.
 Józef Kallenbach — *Głos Narodu* 1929, Nr 250—251.
 Bronisław Gubrynowicz — *Pamiętnik Literacki* XXX, 1933.
 «*Dzieje kultury polskiej*» Al. Brücknera — *Slavia* 1933, XII.
 «*Dzieje literatury polskiej*» Al. Brücknera — *Przegląd Warszawski* 1935, Nr 41.
 Zygmunt Wasilewski jako krytyk literacki — *Gazeta Warszawska* 1929, Nr 349.
 «*Księga pielgrzymstwa*» — *Głos Narodu* 1929, Nr 74, 75, 78; *Gazeta Warszawska* 1924, Nr 235, 236.
 O kilku studiach nad historią filozofii w Polsce — *Kwartalnik Filozoficzny*, tom I, 1923 i IX, 1931; *Rzeczpospolita* 1929; *Myśl Narodowa* 1934, Nr 9.
 «*Współczesna literatura polska*» W. Feldmana — *Przegląd Wszechpolski* 1925, Nr 3; *Slavia* IV, 1925 i XII, 1933.
 Nowy przekład polski *Pisma Świętego* — *Głos Narodu* 1920, Nr 99—104 i odbitka, Kraków 1920.
 Prawda i kłamstwo o Makrynie Mieczysławskiej — *Rzeczpospolita* 1922, Nr 323.
 Kłamstwo i prawda o metropolicie Kasprze Cieciszowskim — *Gregoriana* 1936, zeszyt 3—4.
 «*Polska na przełomie dziejów*» — *Głos Narodu* 1927, Nr 224; *Gazeta Warszawska* 1931, Nr 268.

I N D E K S N A Z W I S K

- Abakanowicz 186, 198
 Abicht 240
 Abraham Wł. 283
 Abramowski 326
 Z Akwinu Tomasz św. 152
 Aleksander I 75, 293
 Alfieri 72
 Ambroży św. 388
 Amis 288
 Ankwidzówna 111
 Antoniusz 26
 Arystofanes 36, 188
 Askenazy (14), 27, 28, (30), (33), 400
 Asnyk 194, 243, 267, 276, 309, 310, 311, 351, 353
 August III 285
 Augustyn św. 135, 157
 Babiarczyk 240
 Bagieńska 338
 Balicki 307
 Balzac 8, 102
 Bałucki (57)
 Bartoszewicz (14), 288
 Barzykowski 19, 20, 21, 32, (33), 35
 Belza 205
 Bentkowski 232
 Berlioz 60
 Bernacki 277
 Bernatowicz 182
 Biegański 318
 Biegeleisen (42)
 Bieliński 21, (34)
 Bielski Joachim 235, 246
 Bielski Marcin 235, 284, 291, 400
 Biernacki 19
 Biernat z Lublina 292, 293
 Biskupski 240
 Björnson 140
 Blake 351
 Bleibtreu 140
 Bobowski 240
 Bobrowa 109, 132, 135
 Bobrzyński 258, 396, 397
 Boguski 338
 Bogusławski 214, 215
 Bohomolec 288
 Bolesław Chrobry 47, 48
 Bolesław Śmiały 46
 Bona 1
 Bostel 197
 Bossuet 137
 Bourget 343
 Boy-Zeleński 330, 339
 Bööck 223
 Brodziński Andrzej 278
 Brodziński Kazimierz 38, 39, 232, 245, 278, 279
 Bruchnalski 235, 277
 Brunetière 137, 138, 139
 Brückner 187, 234, 258, 261, 276, 282—296, 298, 299, 301, 324, 350, 351, 352
 Brühl 179
 Brzozowski St. 214, 216, 260, 331, 354
 Bukaty 316, 323
 Byron 4, 5, 102, 135
 Calderon (47), 104, 210, 349
 Cagliostro 384
 Cegielski 230
 Celichowski 318
 Cervantes 188

- Cezar 26, 155, 379
 Chalybäus 319, 332, 333
 Chateaubriand (100), 102, 104
 Chelmiecki 363
 Chesterton 142, 165
 Cherfils 327
 Chlebowski 82, 161, 162, 428, 258, 259, 344
 Chłopicki 76, 77
 Chmaj 326
 Chmielnicki 211, 216
 Chmielowski (5), 83, (89), 187, 195, 214, 236, 237, 247, 258, 261, 262, 264, 272, 292, 296, 297, 318, 338, 340
 Chodyncki 279
 Chodźko L. (395)
 Chomicz 327
 Chopin 262
 Choromański St. K. 362
 Chrzanowski B. 331
 Chrzanowski Ign. (65), 277, 289, 291, 323
 Cichowski Adolf 15
 Cichowski Seweryn 15
 Cieciszowska Stefania 388
 Cieciszowski K. 388—392, 394, 395
 Cieszkowski 106, 107, 110, 113, 118, 119, 120, 122, 126, 127, 129, 130, 134, 152, 154, 165, 265, 271, 314—317, 326, 331—338, 343
 Conrad 356
 Corneille 138, 146
 Croiset (71)
 Cybulski 226
 Czachowski 214, 215
 Czarnowski 323
 Czartoryska Maria 182
 Czartoryski Ad. J. (34), (35), 38, 39, 134, 270, 291, 326, 384
 Czartoryski A. K. 288
 Czeżowski 322
 Čyževskij (321)
 Ćwik (50), (51)
 Dahn 199
 Dąbrowski Jan 291
 Dalbor (365)
 Danielewicz 110, 111, 112, 119
 Dante 135, 138, 351, 352
 Danysz 240
 Dawid 326, 328
 Dębicki 323, 326
 Delbos 321
 Dembiński 240
 Dickens 184, 188, 195
 Dieter 171
 Diltthey 338
 Długosz 295, 291, 397
 Dmochowska 196
 Dmowski 159, 206, 208, 307, 310—313, 345, 392, 397, 400, 401, 402
 Dobrowolski 15
 Dobszewicz 394
 Dołęcki 218
 Donimirski 197
 Drużbacka 246, 288
 Dumas (ojciec) 102, 105
 Dunin 362
 Dyboski 205
 Dygasiński 345
 Działyński T. 18, 20
 Dzieduszycki W. 345
 Ebers 199
 Epimenides (80)
 Erazm z Rotterdamu 338
 Eriugena 338
 Erzepki 240
 Eschylos (71), (80), 349
 Estreicher 289
 Eurypides 70, (71)
 Ezechiel (80)
 Feldman 216, 259, 267, 298, 339—352, 354—359
 Feliński 291
 Fichte 120, 333
 Fijałek 277
 Fleming 179

- Folkierski 100—105
 Franciszek Józef 188
 Fredro 188, 194, 257, 263, 292, 330
 Friedrich W. G. (321)
 Fryderyk II 202
 Fryderyk August, ks. warszawski (30)
 Gabryl 314, 317, 318, 323, 325, 326, 335
 Garczyński 161
 Gargas 318
 Garfein-Garski 314, 323
 Gaszyński 323, 331
 Gawecki 323, 331
 Gawroński 391
 Gąsiorowski 246
 Georges 219
 Gielecki 314
 Gille 338
 Gioberti 148—154, 157—160
 Glixelli 325
 Godlewski M. bisk. 394
 Godlewski Mściław 217
 Goethe 96, 138, 200, 203, 236, 319, 349, 353
 Gogol 118, 239
 Gołuchowski Józef 314, 319, 326
 Gorecki 291
 Gostomski 214
 Goszczyński 19, 20, 21, 242, 245, 253, 296, 306
 Górnicki 240, 322, 324, 325
 Grabowski Michał 232
 Grabowski Tadeusz (1), (3), 60
 Grekowicz 385
 Grillparzer 60
 Grimm (44)
 Grotter 262
 Grzegorz 278
 Grzegorz XVI 383
 Grzegorz z Sanoka 324
 Grzegorzewicz (44)
 Grzelka (64), (65)
 Gubrynowicz Br. 276—281
 Gubrynowicz W. 276
 Guizot 163
 Gundulicz 239
 Gurowski Adam 15, 16, 18, 19, 20, 21, 23—26, 35
 Gurowski Józef 15
 Haase 231
 Haecker 290, 291
 Hahn (73), 279
 Haller 205
 Halpern-Mysliński 314, 326
 Hamerling 199
 Handelsman 394
 Harassek 319, 326, 331—334
 Hardy 223
 Hauptmann 140
 Hausner 207
 Hegel 110, 118, 119, 136, 176, 325, 333, 343
 Heidenstein 233, 246
 Heine 200
 Hennequin 215
 Herbart 333
 Herbut Szczęsny 292, 293
 Heyse 199
 Hoesick 102, 256
 Hofmanowa 215
 Holówko 215
 Homer 97, 223, 266
 Horodyski 314, 320
 Hugo 101, 102, 103, 141, 156
 Hume 315, 333
 Ibsen 60, 220
 Illakowiczówna 303
 Innocenty III 386
 Irzykowski 354
 Izajasz 351
 Jabłonowski Antoni 32
 Jabłonowski Jan Stanisław 21
 Jackowski 218
 Jadwiga 291
 Jan Kazimierz 211, 216

- Jankowski Czesław 197
Janik (79)
Jänisch 243
Jaraczewska 182
Jaroszyński 110, 135
Jarra 338
Jaspers 164
Jonston 326
Julian Apostata 198
Junosza-Szaniawski Klemens 341
Jurkowski 236
- Kaden-Bandrowski (361)
Kaczmarek 231
Kaczkowski 194, 211, 368
Kajsiewicz 38, 117, 118, 264, 267, 291, 384, 386
Kaligula 180
Kallenbach 38, (42), (56), 161, 269—275
Kallimach 324
Kalwin 287
Kamykowski 289
Kant 319, 328, 331, 333
Karpiński 246, 371, 372, 376
Karśnicki 15
Kasproicz 253, 263, 265, 302—307, 352, (359), 360
Kaszewski (55), 230
Katarzyna II 25, 75
Kazimierz Odnowiciel 47
Kasinowski 240
Kempner 318
Kenig 197
Klaczko 106, 262, 266
Klages 164, 171
Klaudiusz 180
Kleiner (3), (5), (10), 27, (42), (44), (45), (47), (51), (54), (57), (58), 60, (73), (75), (80), (86), 94, 101, 214, 251, 269, 279 281, 318
Klemens XIII 388
Klepacz 331, 334—338
Klonowicz 233
Knot (246)
- Kochanowski Jan 12, 233, 235, 239, 246, 258, 267, 268, 293, 298, 371, 372
Kochanowski J. K. 240
Kolaczkowski 323, 326, 331, 359, 360, 361
Kollataj 288, 325
Konarski 179, 246, 285
Konopczyński (397)
Konopnicka 194, 214, 243, 270, 298
Konstanty w. ks. 28—32
Kopernik (37)
Kornilowiczowa 208
Korzeniowski 5, 7, 8, 182
Korzon 279
Kossakowski 288
Kościuszko (30), 34, 243, 344
Kot 322
Kotowicz (52), (54), (55), (57), (58), (59)
Kozłowski 323
Kozmian Edward Andrzej 19, 115, 118
Kozmian Jan 106, 115
Kozmian Kajetan 114, 115, 267, 388
Kozmian Stanisław Egbert 115, 116, 117, 121, 122, 267
Krasicki (37), 182, 188, 190, 236, 246
Kraśńska Eliza 123
Kraśński Adam (118)
Kraśński Gabriel 293
Kraśński Stanisław 111
Kraśński Wincenty 22, 110, 113, 114, 161, 163, 273
Kraśński Z. 41, 43, 44, 53, 56, 106—150, 153—170, 194, 198, 205, 214, 232, 245, 251, 253, 258, 264, 266, 271, 273—276, 306, 314, 318, 334, 338
Kraszewski 175—183, 211, 237
Kraushar 21
Kremer 314—317, 326, 331, 343
Kridl (3), (12), 166, 290, 291
Kropiński 289
Królikowski Ludwik 314—317
Krupiński 329

- Krupp 201
Krzyżanowski Julian (184), 187, 278
- La Bruyère 172
La Haye 118
Lam Jan 184—191
Lam St. 184, 339, 356—359
Lasserre 9
Lechoń 214
Leciejewski 240
Lednicki A. 402
Lelewel 45—49, 139, 174, 279, 283, 388, 389
Lelewelówna 193
Lenartowicz 271, 276
Leo Anna 217
Leon XIII 260, 386
Leroux 141
Leśniewska 385
Leśniewski 288, 323
Lewczycka 384
Lewestam (5), (52), (53), 73, 74
Libelt 120, 314—317, 327, 331
Linneusz 172
Lipiński (14)
Liske 276
Liwski 385
Locke 315, 333
Loewenfeld 240
Loret 393, 394
Lubecki Kazimierz 314, 323
Lubomirski Fryderyk 392
Lubomirski Jerzy 118, 133, 136
Luter 287
Lutosławski W. 319, 321, 322, 323, 337
- Laski Aleksander 14—18, 20, 22—25
Lempicka z Sołtyków (30), 32
Lubiński Leon 108, 134, 135
Luniński (16), (17), 21
- Maeterlinck 353
Macaulay 266
Maciejowski 233, 293
- Małachowski G. 15, (16), 18, 19, 20
Małachowski St. 113, 114, 129
Małaczewski 358
Małecki 27, 60, 83, 94, 233, 243, 244, 247, 250, 255, 263, 270, 280
Mańkowski 240
Massalski 288
Matejko 262
Matuszewski 104, 214, 340
Maurer (72)
Mazzini 150, 159, 160
Mecherzyński 235
Metodiusz 238
Meysner 38, 39
Miaskowski 295
Michelet 156
Miciński 351, 354
Mickiewicz A. 3, 36, (43), 45, 46, 59, 71, 72, 105, 106, 107, 115, 119, 120, 124—130, 132, 135, 139, 146, 149, 156, 159, 160, 168, 190, 195, 196, 197, 209, 224, 230, 232, 236, 237, 239, 242—247, 249—254, 258, 263, 264, 265, 268, 271—277, 292, 296, 306, 314, 316, 318, 325, 335, 343, 349, 352, 356, 383, 384, 386, 387, 389
Mickiewicz Wł. 18
Miechowita 241
Mieczysławska 382, 383, 385, 386
Mienicki 288
Mierzyński 233
Miklosich 239
Mikołaj I 14, 17, 18, 20, 35, 127, 163, 389, 391, 395
Milton 3, 351
Minkowska 338
Miriam 349
Młynarski 207
Mochnecki Kamil 15
Mochnecki Maurycy 15, 19, 33, 232, 262, 270, 340
Modrzewski 262, 266, 322, 324
Molier 188
Monika św. 135

- Montaigne 325
 Montesquieu 202
 Morawski Fr. 124
 Morawski Kaz. (30)
 Morawski Teof. 19
 Morelowski 326
 Morsztyn Jędrzej 235
 Morsztyn Zbigniew 240
 Morsztynowie 233, 239
 Mościcki Henryk 246
 Müller-Freienfels 287
 Muret 225
 Mutermilch-Mileski 321, 323

 Nabelak Ludwik 38, 39
 Nalkowski 214
 Napoleon I 75, 135, 155, 209
 Napoleon ks. Reichstadtu 21
 Naruszewicz 295, 296
 Nehring 226—241, 246, 261
 Neron 180
 Nestor 238
 Newlin-Wagner 319
 Niedziałkowski 323
 Niemcewicz 17, 22, 27—37, 75, 103,
 182, 209, 224, 271, 278, 291
 Niemojewski Bonawentura 19
 Nitschowa A., p. Powalski J.
 Norwid 106, 133, 134, 135, 271, 292,
 326, 350, 352, 353
 Noyes 204

 Ochorowicz 302
 Odenbach 171
 Odyniec 193
 Omar 128
 Opaliński K. 284
 Opaliński L. 293
 Orpiszewski 384
 Orzechowski 233, 266, 322, 324, 330,
 368
 Orzeszkowa 345
 Osada 206, 207, 208
 Osiński 288

 Ossoliński J. 233, 280
 Ostroróg 324

 Paderewski 205, 402
 Parodi 321
 Pasek 195, 266, 294, 295
 Paszkiewicz 15, 16
 Paulhan 164
 Paweł I 75
 Pawlikowski Jan Gw. 279, 316
 Pawłowski Br. (14)
 Pechnik 328, 329, 335
 Pelczar^o 318
 Petrycy Seb. 166
 Pielgrzymowski 293
 Pigoń (36), (125), 331, (387)
 Pilat 276, 277
 Pilchowski 368
 Pilsudski 344
 Pini (42), 161—170, 277
 Pius IX 383, 384
 Platon 240, 300, 325
 Plotyn 338
 Podhorodeński 391, 392, 393
 Pol 224, 318
 Poletylo 121
 Poniński St. 15
 Popiel 215
 Popliński 230
 Porębowicz 277, 323
 Potocka Delf. 112, 119, 120, 126, 127,
 128, 133, 164, 165, 271, 274
 Potocki A. 136
 Potocki B. 20
 Potocki J. 292
 Potocki Wacław 284, 293, 295
 Powalski Jan 341, 361
 Prus 175, 188, 195, 197, 214, 218, 221
 331
 Przyborowski 233, 246
 Przybyszewski 353
 Puciata 322
 Puławski 389, 390, 394
 Puszkina 242, 243
 Puzyńska 215

- Rabelais 188
 Radziwiłł Alb. 266
 Radziwiłł Fr. 402
 Radziwiłł M. 76, 77
 Ranke 228
 Reeve 107, 108, 109, 271, 273, 274
 Rej 235, 284, 290, 325
 Reklewski 278
 Rembowski 258
 Rettel (16)
 Reymont 175, 187, 223, 224, 225
 Roosevelt 204
 Romanowski 276, 278
 Rosner 339, 342
 Rostworowski W. 402
 Roszkowski 331
 Rousseau 337
 Rowiński 240
 Rozwadowski B. 257
 Rubczyński 323
 Rudnicki (289)
 Ruszkiewicz 363
 Ryksa 47
 Rymarkiewiczówna 341
 Rzązewski 246
 Rzepecki 240
 Rzewuski Henryk 181, 211, 224, 257,
 266, 325, 352

 Sainte-Beuve 236, 266
 Saint-Simon 140
 Salvagnoli 157
 Sawicki 337
 Scheffer 135
 Schelling 120, 333
 Schiller 43, 60, 99, 146, 200, 203, 263,
 266, 281
 Schmidt 276
 Schmidt Eryk 276
 Schoell 223
 Seillière 9
 Seklucjan 379
 Semenenko 118
 Seneka 368
 Seyda 397, 399, 400, 401, 402

 Siemieński 195, 298
 Sieniawski 209
 Sienkiewicz 109, 175, 186, 188, 192—
 217, 224, 243, 260, 263, 271, 292,
 307, 346, 347, 356, 388
 Sievers 286
 Sikorski 205, 206, 207
 Sinko (54), (70), 356
 Skarbek 75, 182
 Skarga 235, 242, 245, 252, 257, 258,
 264, 326, 327, 351, 372
 Skierniewski 390, 391, 393, 394
 Skórkowski (33)
 Sławoj-Składkowski 205
 Słonimski 357, 358, 361
 Słowacki 1—105, 106, 125, 128, 131,
 132, 133, 136, 194, 197, 205, 214,
 233, 242—245, 247—254, 264, 267,
 269, 276—281, 292, 306, 314, 316,
 319, 349—352, 382, 386, 387
 Smagłowski 21, 22
 Smolka 397
 Snowacki 240
 Sobeski 323
 Sobolewski 391
 Sofokles (71), 305, 349
 Sokrates 37
 Solikowski 235
 Sołtan 389
 Sołtan Adam 112, 113, 114, 130, 135,
 136
 Sołtyk Maciej (30)
 Sołtyk Roman 20, 31, 32
 Sołtyk Stanisław 27, 30—33, 36
 Sołtykowa Karolina (30)
 Sołtykowa Salomea (30)
 Spasowicz 195, 214, 243, 246, 339,
 342, 345
 Spazier 14, 19, (34)
 Spielhagen 199
 Spinoza 326
 Spitznagel 1, 2
 Staff 303, 305
 Stanisław August 48, 179, 278, 285,
 286, 288, 371

- Stanisławska Anna 293
 Staszic 266, 288, 322, 325
 Steczkowski 397
 Stefan św., 48, 49
 Sternal 258
 Stoeckl 321
 Straszewski 314, 316, 318, 319, 321, 323—327, 329, 330, 337
 Struve 315, 323, 329, 337
 Strykowski 174
 Suchodolski 331, 338
 Suffczyński 390, 392, 393
 Sulicki 323, 337
 Supiński 314, 318
 Surowiecki 326
 Swedenborg 3, 9
 Syrokomla 224, 246
 Syrunowicz 385
 Syski 205
 Szajnocha 298
 Szaniawski 325
 Szastecki 240
 Szczepanowski 267
 Szczepański 364—381
 Szczucka 361
 Szekspir 38, 50, 101, 115, 138, 188, 195, 263, 266, 349, 351, 353
 Szelucina 388
 Szewczenko 243
 Szlagowski 362, 363, 375, 380
 Szokalski (35)
 Szujski 264, 267
 Szulc 227
 Szuman 171
 Szweykowski 187
 Szykowski 281
 Szymonowicz 270
 Śliwiński 279
 Śniadecka Ludwika 2
 Śniadecki Jan 39, 314, 316, 317, 323, 327, 328
 Śniadecki Jędrzej 279
 Świętochowski 181, 331, 347
 Taine 247, 248, 332
 Tarnowski 60, 92, 101, 113, 114, 161, 162, 187, 195, 214, 235, 244, 254—268, 296, 299, 324
 Tasso 4, 5
 Tatarkiewicz 323, 329
 Tertulian 388
 Tetmajer 194, 349
 Tieck (44)
 Thackeray 184
 Tolstoj 218—221, 240
 Tomaszewski Dyżma 285
 Towiański 125, 237, 245, 274, 275, 314, 317
 Trembecki 243, 246, 252, 285, 291
 Trentowski 106, 110, 121, 122, 123, 129, 284, 294, 314—320, 326, 331
 Tretiak (3), (79), 186, 242—254, 261
 Trzciński 15, 17
 Turowski (73)
 Tuwim 357, 358, 361
 Tvrdý (321)
 Twardowski 325
 Tyberiusz 180
 Tylkowski 326
 Tymieniecki 289
 Ujejski 27, 317, 320, 323, 327, 328, 331
 Urban 385, 386, 387
 Überweg (321), 322
 Wagner 82, 350
 Walkowicz 204
 Walter-Scott 212
 Warrain 327
 Warnko 279
 Wasilewski Edmund 270
 Wasilewski Zygmunt (19), 205, 250, 302—308, 311, 312, 313, (355)
 Wasilewski 394
 Wasylewski 269
 Waszyngton 28, 29, 30
 Weingärtner 321

- Weyssenhoff 214
 Wężyk 103
 Widman (5)
 Wiewiórka 205
 Wilhelm II 401
 Willan 109
 Wincenty à Paulo 220
 Wińcz 385
 Wińczowa 386
 Wiszniewski 164, 171, 172, 174, 233
 Wiśniowiecki Jeremi 216
 Wiśniowiecki Michał 285
 Witelon 337
 Witkiewicz St. 263, 267, 307
 Witkiewicz St. Ign. 356
 Witos 205
 Witwicki 327
 Wize 323
 Władysław Warneńczyk 291
 Włast Piotr Dunin 231
 Włodzisławczyk 292
 Wojciechowski T. 276
 Wolff 192
 Wolter 66
 Woronicz (80), 289
 Woroniecki 192
 Wóycicki (5)
 Wroński-Hoene 314, 315, 319, 320, 323, 325, 326, 327, 331
 Wrzosek (35), 279
 Wundt 320
 Wysocki Piotr 15—20, 26, 28, 29
 Wyspiański (52), 99, 194, 253, 259, 263, 267, 303, 305, 306, 310, 344, 345, 347, 350, 351, 354, 386
 Zabłocki 240, 284, 288
 Zakrzewski 258
 Zaleski J. B. 39, 236, 242, 244, 245, 247, 254, 276, 296
 Żalusi A. 44, 136
 Zamoyski Jan 286, 288
 Zamoyski Wład. 38, 39, 134, 135
 Zan 318
 Zawadzki 323
 Zborowscy 231
 Zbroja 331
 Zdziechowski 314
 Zebrzydowski 330
 Zieleńczyk 323, 327
 Zieliński Tadeusz 305
 Zola 140, 223, 224, 225, 243
 Zwierkowski 15, 17
 Zwingli 286
 Zygmunt August 379
 Zygmunt Stary 289
 Żebrowski 385
 Żeromski 214, 302—306, 348, 352, 358, 360
 Żmichowska 109, 265
 Żółkiewski 266
 Żółtowski 314
 Życzyński (8), (62)
 Żywczyński 394